

JAMES ROLLINS

**AMAZONIA**

Z angielskiego przełożył  
PAWEŁ WIECZOREK



Tytuł oryginału:  
AMAZONIA

Copyright © Jim Czajkowski 2002  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2009

Polish translation copyright © Paweł Wieczorek 2009

Redakcja: Lucyna Lewandowska  
Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski  
Zdjęcie autora: David Sylvian  
Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz  
Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-764-8

*Dystrybucja*

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk  
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.  
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)  
[www.empik.com](http://www.empik.com)  
[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

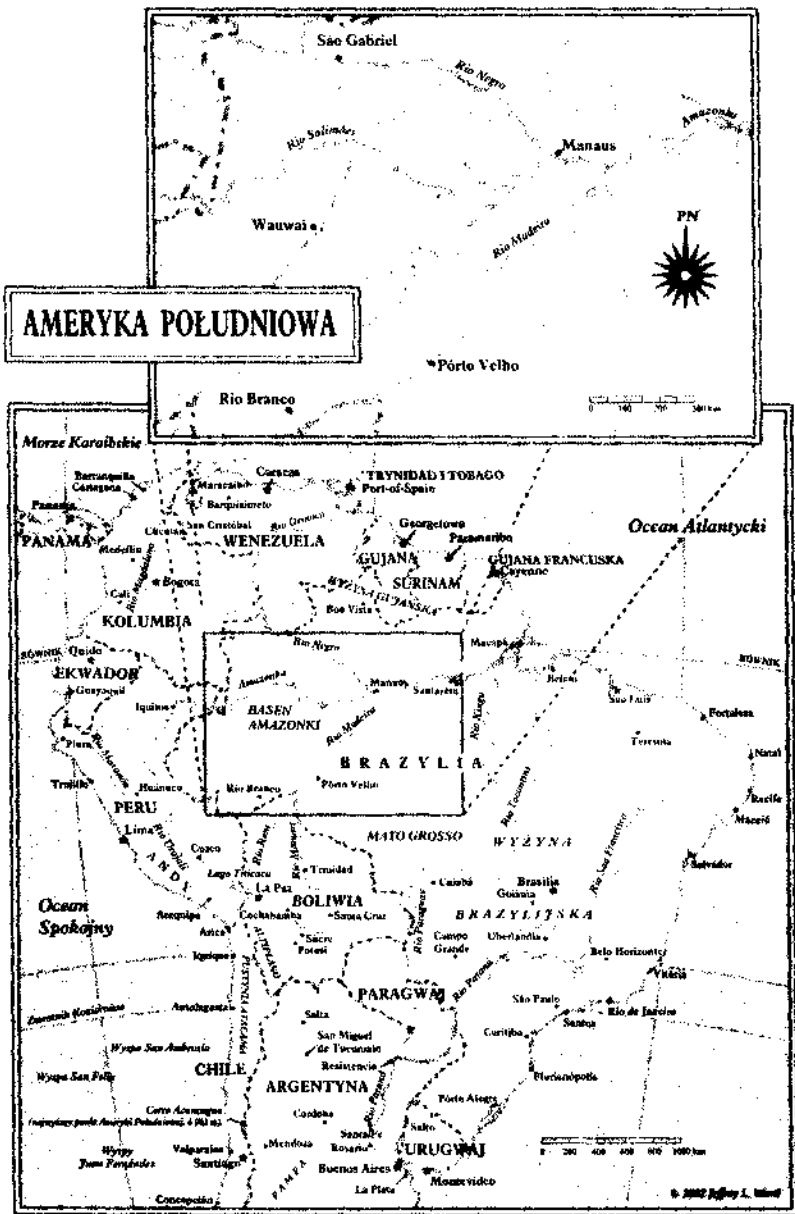
WYDAWNICTWO ALBATROS  
ANDRZEJ KURYŁOWICZ  
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2009. Wydanie 1 Druk:  
OpolGraf S.A., Opole

*Dla Johna Petty'ego i Ricka Hourigana,  
przyjaciół i współkonspiratorów*

## Podziękowania

Wielkie podziękowania dla tych, którzy pomogli zbierać materiały do tej książki - zwłaszcza dla Leslie Taylor z Raintree Nutrition, Inc. za zgodę na wykorzystanie jej wspaniałych rysunków roślin oraz udostępnienie cennej wiedzy o medycznych zastosowaniach roślin lasu deszczowego. Niedbalstwem byłoby pominięcie dwóch bardzo cennych źródeł: *In Trouble Again: A Journey Between Orinoco and the Amazon* Redmonda O'Hanlona oraz książki, która zainspirowała moją: *Tales of a Shaman's Apprentice* doktora Marka Plotkina. Za pomoc najserdeczniej dziękuję też mojej rodzinie i przyjaciołom, którzy pomogli doprowadzić manuskrypt do obecnej postaci: Chrisowi Crowe, Michaelowi Gallowglassowi, Lee Garrettowi, Dennisowi Graysonowi, Susan Tunis, Penny Hill, Debbie Nelson, Dave'owi Meekowi, Jane O'Rivie, Chrisowi „Małemu” Smithowi, Judy i Steve'owi Preyom oraz Caroline Williams. Za pomoc w zakresie języka francuskiego dziękuję mojej kanadyjskiej przyjaciółce Dianne Daigle, za wskazówki podczas moich internetowych poszukiwań Steve'owi Winterowi, a Carolyn McCray za wytrwałe wsparcie. Za mapy dziękuję *CIA World Factbook 2000*. Dziękuję również trzem osobom, które były - i nadal są - moimi najbardziej lojalnymi współpracownikami i pomocnikami: redaktor Lyssie Keusch, agentce Russ Galen i wydawcy Jimowi Davisowi. Na koniec chciałbym zaznaczyć, że wszystkie błędy dotyczące faktów i szczegółów to wyłącznie moja wina.



# Prolog

25 LIPCA, GODZ. 6.24 INDIAŃSKA  
WIOSKA MISYJNA REJON  
AMAZONKI, BRAZYLIA

Kiedy obcy wytoczył się z dżungli, padre Garcia Luiz Batista pilił chwasty w ogrodzie misji. Mężczyzna miał na sobie jedynie porwane czarne spodnie i był bosy. Padł na kolana między rzędami kiełkującego manioku. Jego skóra, spalona słońcem, była wytatuowana w niebieskie i czerwone wzory.

Padre Batista wziął przybysza za jednego z tutejszych Indian Yanomami, więc odsunął na tył głowy słomkowy kapelusz z szerokim rondem i pozdrowił go w ich języku.

- *Eou, shori* - powiedział. - Witaj, przyjacielu, w misji Wauwai.

Nieznajomy uniósł głowę i Garcia natychmiast dostrzegł swój błąd. Oczy mężczyzny były ciemnoniebieskie - nie był to kolor oczu Indian z amazońskich plemion. Miał też kilkutydniowy ciemny zarost.

Zdecydowanie nie był to Indianin, ale biały.

- *Bemvindo* - powiedział Batista po portugalsku, sądząc, że nieznajomy może być jednym z wieśniaków, którzy przybyli do amazońskiego lasu deszczowego z przybrzeżnych miast w poszukiwaniu lepszego życia. - Witam cię w naszej misji, przyjacielu.

Nietrudno było się domyślić, że biedak od dawna jest w dżungli. Skóra tak ciasno opinała klatkę piersiową, że widać było każde żebro. Jego czarne włosy były potargane, a ciało

pokrywały liczne cięcia i ropiejące rany. Unosiła się nad nim chmara brzęczących much.

Kiedy spróbował coś powiedzieć, spieczone wargi popękały i zaczęła się z nich sączyć krew. Pełził w kierunku padre, błagalnie unosząc rękę. Bełkotliwe słowa, jakie wypowiadał, były zupełnie niezrozumiałe.

W pierwszym odruchu Garcia chciał się odsunąć, ale nie pozwoliło mu na to jego powołanie. Dobry chrześcijanin nigdy nie odmawia pomocy zbłąkanemu wędrowcy. Pochylił się i pomógł mężczyźnie wstać. Przybysz był tak wyniszczony, że ważył niewiele więcej od dziecka. Nawet przez materiał koszuli padre czuł, że nieznajomy ma gorączkę.

- Chodź do środka, zejdźmy ze słońca - powiedział i poprowadził gościa w kierunku kościoła, którego wyblakła wieża wbijała się w błękitne niebo. Za kościołem, na wyrąbanej w dżungli polanie, znajdowała się wioska - bezładna mieszalnina pokrytych palmowymi liśćmi chat i drewnianych domków.

Misja Wauwai miała pięć lat, ale wioska liczyła już niemal osiemdziesięciu mieszkańców, członków różnych miejscowych plemion. Niektóre chaty stały na palach, typowych dla Indian Apalai, inne, z drewna i liści palm, zbudowali Indianie Waiwai i Tiriós. Najwięcej było tu jednak Indian Yanomami, którzy mieszkali w wielkim wspólnym okrągłym domu.

Garcia pomachał wolną ręką jednemu z nich, stojącemu na skraju ogrodu. Był to Henaowe, jego pomocnik. Indianin miał na sobie spodnie i koszulę z długimi rękawami.

- Pomóż mi zaprowadzić tego człowieka do domu - powiedział padre, kiedy Henaowe podszedł bliżej.

Indianin kiwnął głową i stanął po drugiej stronie przybysza. Trzymając go we dwóch, przeszli przez bramę ogrodu, obeszli kościół i skierowali się do przylegającej do jego południowej ściany przybudówki. Tylko mieszkania misjonarzy były wyposażone w generator, który zapewniał oświetlenie kościołowi oraz zasilał lodówkę i jedyną we wsi klimatyzację. Czasami Garcia zastanawiał się, czy to, że Indianie tak chętnie przychodzą do kościoła, wynika z płynącej z głębi serca wiary w zbawienie przez Chrystusa, czy może raczej jest zasługą panującego w kościele chłodu.

Kiedy dotarli do przybudówki, Henaowe otworzył drzwi i przeciągnęli obcego przez jadalnię do pokoju w głębi. Mieszkał w nim jeden z akolitów misji, jednak dwa dni temu wszyscy młodszy misjonarze pojechali do sąsiedniej wioski z wizytą ewangeliczną. Pokoik był ciasny i ciemny, ale było w nim chłodno.

Garcia polecił Henaowe, by zapalił lampę naftową - do mniejszych pomieszczeń elektryczność nie została doprowadzona. Światło wystraszyło pająki i karaluchy, które natychmiast uciekły w ciemność.

Podnieśli mężczyznę i położyli go na łóżku.

- Pomóż mi go rozebrać. Muszę oczyścić jego rany i opatrzyć je.

Henaowe kiwnął głową, ale kiedy pochylił się nad chorym, nagle zamarł, a potem głośno westchnął i odskoczył do tyłu, jakby zobaczył skorpiona.

- *Weti kete?* - spytał Garcia. - Co się stało?

Oczy Henaowe były szeroko otwarte z przerażenia. Wskazał na pierś leżącego na łóżku człowieka i zaczął coś szybko mówić w języku swojego plemienia.

Garcia zmarszczył czoło.

- O co chodzi?

Niebieskie i czerwone rysunki tatuazu składały się z geometrycznych kształtów: okręgów, drżących esów-floresów i poszarpanych trójkątów. Pośrodku znajdowała się czerwona spirala, przypominająca spływającą z rany krew. Tuż nad pępkiem mężczyzny widniał niebieski „odcisk” dłoni.

- *Shawara!* - krzyknął Henaowe i cofnął się do drzwi. - Złe duchy.

Garcia popatrzył na swojego pomocnika. Sądził, że Indianin pozbył się już przesądów.

- Dość tego! - powiedział surowo. - To tylko farba, a nie dzieło diabła. Podejdz i pomóż mi go rozebrać.

Ale Henaowe pokręcił głową, nie ruszając się z miejsca.

Chory jęknął i padre pochylił się nad nim. Mężczyzna miał szkliste od gorączki oczy, majaczył i słabo uderzał rękami w prześcieradło. Garcia dotknął jego czoła. Płonęło. Znowu zwrócił się do Henaowe:



- W takim razie przynieś mi przynajmniej apteczkę i penicylinę z lodówki.

Indianin odszedł z wyraźną ulgą.

Garcia westchnął. Mieszkał w amazońskim lesie deszczowym od dziesięciu lat i musiał opanować wiele podstawowych umiejętności medycznych: zakładanie łubków, czyszczenie ran i nakładanie na nie maści, leczenie gorączki. Umiał nawet przeprowadzać najprostsze zabiegi, takie jak zszywanie ran czy pomaganie przy trudnych porodach. Jako przełożony misji był nie tylko opiekunem dusz jej mieszkańców, ale także ich doradcą i lekarzem.

Zdjął mężczyźnie brudne spodnie i odłożył je na bok. Dżungla dokonała wielkich spustoszeń na ciele chorego. W głębokich ranach wiły się robaki. Paznokcie stóp były niemal całkowicie zjedzone przez łuskowate zakażenie grzybicze, a blizna na pięcie informowała o starym ukąszeniu przez węża.

Zastanawiał się, kim jest nieznajomy. Może miał w dżungli rodzinę? Niestety wszelkie próby porozumienia się uniemożliwiał deliryczny bełkot mężczyzny.

Wielu wieśniaków, którzy z trudem wiazali koniec z końcem, kończyło tragicznie z rąk wrogo nastawionych Indian, złodziei, handlarzy narkotyków albo leśnych drapieżników, jednak najczęstszą przyczyną zgonów osiedleńców były choroby. Pomoc medyczna mogła dotrzeć do tych odludnych zakątków deszczowego lasu dopiero po wielu tygodniach i często nawet zwykła grypa kończyła się śmiercią.

Od drzwi dobiegło szuranie stóp o drewno. Wrócił Henaowe z apteczką i wiadrem czystej wody. Nie był sam. Za nim stał Kamala, *shapori*, plemienny szaman. Henaowe musiał po niego pobiec.

- *Haya*, dziadku - powitał go Garcia. Tak zwykle witano ludzi ze starszyny Yanomami.

Kamala podszedł do łóżka, spojrzął na leżącego i zmrużył oczy. Odwrócił się do Henaowe i dał mu znak, aby odstawił apteczkę i wiadro. Uniósł ręce nad obcym i zaczął coś śpiewnie mówić. Garcia znał wiele miejscowych dialektów, ale nie rozumiał ani słowa z tej przemowy.

Kiedy Kamala skończył mówić, odwrócił się do niego.

— Ten *nabe* został dotknięty przez *shawara*, niebezpieczne duchy z głębokiego lasu - powiedział po portugalsku. - Umrze jeszcze tej nocy. Jego ciało trzeba spalić przed wschodem słońca - dodał, po czym odwrócił się i ruszył do wyjścia.

— Chwileczkę! Powiedz mi, co oznaczają te tatuaże.

— Są znakiem plemienia Ban-ali - odparł szaman. - Krwawych Jaguarów. Ten człowiek należy do nich. Nikomu nie wolno pomagać *ban-yi*, niewolnikowi jaguarów. To oznacza śmierć - dodał, po czym zrobił gest odganiający złe duchy, dmuchnął na palce i wyszedł.

Henaowe wyszedł za nim.

Garcia poczuł chłód, który wcale nie płynął z klimatyzacji. Słyszał nieraz o Ban-ali, jednym z mitycznych plemion-duchów z głębin dżungli. Byli to ludzie, którzy parzyli się z jaguarami i posiadali niewyobrażalną moc.

Pocałował krucyfiks i odsunął na bok przesądne myśli. Nasączył gąbkę wodą i przyłożył ją do popękanych warg leżącego.

- Pij - powiedział.

W dżungli jedną z najczęstszych przyczyn śmierci jest odwodnienie.

Wycisnął gąbkę i nakapał wody do ust chorego.

Obcy zareagował jak niemowlę, któremu matka podała pierś. Zaczął odruchowo ssać, ale tak dyszał, że omal się nie zakrztusił. Garcia uniósł mu głowę. Po kilku minutach gorączka nieco spadła. Mężczyzna zaczął drapać palcami, jakby szukał gąbki, ale Garcia mu jej nie dał. Zbyt dużo picia po odwodnieniu mogłoby tylko zaszkodzić.

- Odpocznij, *senhor*. Pozwól, że oczyszczę ci rany i wsma ruję w nie trochę antybiotyku.

Ale chory chyba tego nie zrozumiał. Próbował usiąść, sięgnął po gąbkę i zaczął coś bełkotać. Kiedy Garcia popchnął go lekko na poduszkę, głośno westchnął i padre wreszcie zrozumiał, dlaczego mężczyzna nie może mówić.

Nie miał języka. Obcięto mu go.

Garcia przygotował strzykawkę z ampicyliną i pomodlił się

za dusze potworów, które potrafiły zrobić coś takiego drugiemu człowiekowi. Termin ważności lekarstwa już minął, ale nic lepszego nie miał. Wstrzyknął antybiotyk w pośladek chorego, po czym zajął się jego ranami.

Obcy wciąż oscylował między jawą i delirycznymi majakami. Gdy odzyskiwał przytomność, sięgał po spodnie, jakby zamierzał się ubrać i kontynuować swoją wędrówkę, ale Garcia za każdym razem przyciskał go do materaca i przykrywał kocami.

Kiedy słońce zaszło i zapadła noc, wziął Biblię i zaczął modlić się za chorego. W głębi duszy wiedział jednak, że jego modlitwy nie zostaną wysłuchane. Szaman Kamala miał rację. Przybysz nie przeżyje nocy.

Na wszelki wypadek - gdyby mężczyzna był chrześcijaninem - godzinę temu dał mu ostatnie namaszczenie. Kiedy znaczył mu czoło olejem, chory zadrżał, ale się nie ocknął. Jego czoło nadal płonęło gorączką. Antybiotykwowi nie udało się pokonać zakażenia.

Choć Garcia wiedział, że śmierć nieznajomego jest tylko kwestią godzin, wciąż przy nim czuwał. Nic więcej nie mógł zrobić dla tej zbłąkanej duszy. Gdy zaczęła zbliżać się północ i dżungla obudziła się z chóralnym cykaniem szarańczy i kumkaniem niezliczonych żab, zasnął na krześle z Biblią na kolanach.

Kilka godzin później obudził go zduszony krzyk chorego. Natychmiast wstał, rzucając Biblię na podłogę. Kiedy się po nią pochylił, zobaczył, że umierający wpatruje się w niego. Nadal miał szkliste oczy, ale gorączka minęła. Uniósł drżącą dłoń i wskazał swoje spodnie.

- Nie możesz nigdzie iść - powiedział Garcia.

Mężczyzna zamknął na chwilę oczy, pokręcił głową i z błagalnym spojrzeniem znowu wskazał na spodnie.

Garcia uznał, że nie może odmówić ostatniej prośbie umierającego, i przyniósł mu je.

Chory zaczął przesuwając palcami wzdłuż wewnętrznego szwu nogawki. Po chwili zatrzymał się na kilkucentymetrowym odcinku i drżącymi rękami wyciągnął spodnie w kierunku Garcii.

Padre pomyślał, że chory znów traci przytomność, bo jego oddech stał się urywany i chrapliwy. Doszedł do wniosku, że powinien spełnić jego zachciankę. Wziął spodnie i pomacał w tym samym miejscu.

Wyczuł pod palcami coś sztywnego, ukrytego pod szwem. Sekretne kieszonka...

Zaciekawiony, wyjął z apteczki nożyczki. Mężczyzna z westchnieniem opadł na poduszkę, najwyraźniej zadowolony, że jego przekaz został zrozumiany.

Garcia przeciął szew i otworzył ukrytą kieszonkę. Włożył w nią palec i wydobyl monetę z brązu. Uniósł ją do lampy. Na monecie było wyryte nazwisko.

- Gerald Wallace Clark - przeczytał na głos. Czy to nazwisko obcego? - To ty, *senhor*?

Spojrzał na łóżko.

- Święty Jezu...

Mężczyzna wbijał pusty wzrok w sufit. Jego usta były otwarte, a pierś znieruchomiła. Wyzionął ducha w chwili, gdy przestał być bezimienny.

- Spoczywaj w pokoju, *senhor* Clark - powiedział Garcia.

Ponownie uniósł monetę do lampy i odwrócił ją na drugą stronę. Zaschło mu w ustach, kiedy zobaczył znajdujący się na niej napis:

#### SŁY SPECJALNE ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH

1 SIERPANIA, GODZ. 10.45  
KWATERA GŁÓWNA CIA  
LANGLEY, WIRGINIA

Telefon zaskoczył George'a Fieldinga. Jako zastępca dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej często był wzywany przez szefów różnych wydziałów na pilne spotkania, ale telefon o priorytecie numer jeden od Marshalla O'Briena, dyrektora Centrum Środowiskowego, był czymś niezwykłym. DEC zostało założone w 1997 roku jako dział wspólnoty wywiadowczej, mający zajmować się zagadnieniami dotyczącymi ochrony środowiska naturalnego, ale do tej pory żaden szef DEC nie

wykonał takiego telefonu. Tego typu telefony były zastrzeżone dla spraw związanych z bezpieczeństwem narodowym. Co mogło skłonić Stare Ptaszysko - jak nazywano Marshalla O'Briena - do podniesienia takiego alarmu?

Ruszył szybko korytarzem, łączącym stary budynek kwatery głównej z nowym. „Nowy” obiekt został zbudowany pod koniec lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku i znajdowała się w nim większość wydziałów agencji - z DEC włącznie.

Patrzył na oprawione w ramy portrety, zdobiące długi korytarz - przedstawiające wszystkich wcześniejszych dyrektorów CIA, poczynając od generała-majora Donovana, dyrektora Biura Służb Strategicznych - poprzednika CIA z okresu drugiej wojny światowej. Któregoś dnia do tej kolekcji dodany zostanie również portret szefa Fieldinga, a jeżeli on sam będzie mądrze pogrywał, przejmie po nim pierwsze skrzypce.

Po chwili był już w „nowym” budynku i po przejściu kilku kolejnych korytarzy stanął przed ciągiem gabinetów DEC. Zaraz za głównym wejściem powitała go sekretarka.

— Pan O'Brien czeka na pana - powiedziała, po czym podeszła do mahoniowych drzwi, lekko zapukała i pchnęła drzwi.

— Dziękuję pani.

Powitał go basowy, toczący się jak grzmot głos:

- Dziękuję, panie dyrektorze, że zechciał pan do mnie przyjść.

Marshall O'Brien wstał z fotela. Był wysokim mężczyzną o srebrnych włosach. Wielkie biurko wydawało się przy nim małe. Wskazał gościowi krzesło.

- Proszę usiąść. Wiem, że pański czas jest bardzo cenny, więc nie chcę go marnować.

Jak zwykle od razu do sedna, pomyślał Fielding. Przed czterema laty krążyły pogłoski, że Marshall O'Brien może zostać mianowany dyrektorem CIA. Był zastępcą dyrektora agencji przed Fieldingiem, ale swoją zasadniczą postawą zraził do siebie zbyt wielu senatorów, a kolejne mosty spalił sztywnym podejściem do tego, co uczciwe i co nieuczciwe. W ten sposób nie uprawia się polityki w Waszyngtonie, więc choć był teraz

dyrektorem Centrum Środowiskowego, niewiele znaczył. Jego nagły telefon był prawdopodobnie próbą udowodnienia samemu sobie, że ciągle jest w grze.

- O co chodzi? - spytał Fielding.

O'Brien usiadł i otworzył leżącą na biurku szarą teczkę. Odchrząknął.

- Dwa dni temu do agencji konsularnej w Manaus w Brazylii zgłoszono znalezienie ciała Amerykanina. Zmarły został zidentyfikowany na podstawie monety weryfikacyjnej oddziału Sił Specjalnych, w którym kiedyś służył.

Fielding zmarszczył czoło. Monety weryfikacyjne nosiło członków wielu amerykańskich formacji wojskowych. Były nie tyle identyfikatorem, co tradycją. Członek oddziału - obecny lub były - który nie miał przy sobie swojej monety, musiał postawić kolegom kolejkę.

— Co to ma wspólnego z nami?

— Ten zmarły mężczyzna to nie tylko były żołnierz Sił Specjalnych. To jeden z moich ludzi. Agent Gerald Clark.

Fielding zamrugnął z zaskoczenia.

- Pod pretekstem uczestnictwa w wyprawie naukowej agent Clark został wysłany do basenu Amazonki w celu zbadania zasadności skarg dotyczących niszczenia środowiska przez poszukiwaczy złota oraz zebrania informacji na temat transportu przez ten region boliwijskiej i kolumbijskiej kokainy.

Fielding wyprostował się.

— I został zamordowany, tak? O to chodzi?

— Nie. Sześć dni temu agent Clark pojawił się w leżącej głęboko w dżungli misjonarskiej wiosce, półprzytomny z gorączki i wycieńczenia. Padre z misji próbował mu pomóc, ale po kilku godzinach Clark zmarł.

— To bardzo smutne, ale jakie to ma znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego?

— Cóż... chodzi o to, że agent Clark zaginął cztery lata temu. - O'Brien przesunął po blacie biurka faks artykułu z gazety.

Fielding wziął kartkę do ręki.

- Cztery lata temu?

## **EKSPEDYCJA GINIE W AMAZOŃSKIEJ DŻUNGLI**

### **Associated Press**

MANAUS, BRAZYLIA, 20 MARCA - Poszukiwania milionera i przemysłowca doktora Carla Randa oraz jego międzynarodowego zespołu trzydziestu naukowców i przewodników zostały zawieszono po trzech miesiącach intensywnych poszukiwań. Członkowie wyprawy - połączonego przedsięwzięcia Amerykańskiego Narodowego Instytutu Badań nad Rakiem oraz Fundacji Indian Brazylijskich - zniknęły w lesie deszczowym, nie pozostawiając żadnej wskazówki co do swojego losu.

Celem ekspedycji było przeprowadzenie spisu liczby Indian i plemion, żyjących w lasach Amazonii. Trzy miesiące po opuszczeniu znajdującego się w sercu dżungli miasta Manaus codzienne raporty, przekazywane z terenu za pomocą radia, nagle zostały przerwane. Wszelkie próby nawiązania kontaktu z ekspedycją nie odniosły skutku. Do ostatniego znanego miejsca jej pobytu wysłano helikoptery ratunkowe, nikogo tam jednak nie znaleziono. Dwa tygodnie później odebrano ostatni komunikat: „Przyślijcie pomoc... nie wytrzymamy dłużej. Boże, są wszędzie wokół nas...”. Potem ekspedycja została pochłonięta przez dżunglę.

Po trzech miesiącach intensywnych poszukiwań i nagłaśniania sprawy w mediach komandor Ferdinand Gonzales, dowódca ekipy ratunkowej, uznał członków ekspedycji za „zagubionych i najprawdopodobniej martwych”. Poszukiwania zostały odwołane.

Obecnie śledczy są zgodni co do tego, że ekspedycja musiała zostać napadnięta przez wrogo nastawione plemię albo natknęła się na tajną bazę handlarzy narkotyków. W każdym razie raczej nie można już liczyć na to, że którykolwiek z uczestników wyprawy się odnajdzie. Należy podkreślić, że w dżungli amazońskiej co roku znika wielu badaczy, naukowców i misjonarzy.

- Boże drogi... - wymamrotał Fielding.  
O'Brien wyjął artykuł z jego dłoni.

- Po zniknięciu ekspedycji żaden z uczestników nie na-  
wiązał z nami kontaktu. Agent Clark został uznany za zmarłego.

- To na pewno ten sam człowiek?

O'Brien kiwnął głową.

- Opis zębów i odciski palców mężczyzny zmarłego w mi-  
sji pasują do tego, co zawierają akta Clarka.

Fielding znowu pokręcił głową.

— Niezależnie od tego jak bardzo to przykre, w dalszym  
ciągu nie widzę w tym nic, *co* mogłoby dotyczyć bezpieczeń-  
stwa narodowego.

— Pewnie bym się z panem zgodził, gdyby nie jedna  
rzecz... - O'Brien zajrzał do teczek i wyciągnął z niej dwa  
zdjęcia. Podał Fieldingowi pierwsze z nich. - Zostało zrobione  
kilka dni przed wyruszeniem ekspedycji - dodał.

Fielding popatrzył na ziarnistą fotografię człowieka ubra-  
nego w lewisy, koszulę w hawajskie wzory i tropikalny kape-  
lusz. Mężczyzna był szeroko uśmiechnięty i trzymał w dłoni  
drinka.

— To agent Clark?

— Tak. Zdjęcie zostało zrobione przez jednego z naukow-  
ców podczas przyjęcia zorganizowanego z okazji startu eks-  
pedycji. - O'Brien podał mu drugą fotografię. - A to  
wykonano w kostnicy w Manaus, gdzie w tej chwili jest  
ciało.

Fielding z niechęcią wziął do ręki błyszczącą odbitkę.  
Oglądanie zwłok zawsze przyprawiało go o mdłości, ale nie  
miał wyjścia. Ciało na fotografii było nagie i leżało na stole z  
nierdzewnej stali - wychudzony, obciągnięty skórą szkielet. Na  
klatce piersiowej widać było dziwne tatuaże, ale rysy twarzy  
wskazywały, że to ta sama osoba. Fielding poprosił o  
pierwszą fotografię i porównał je. Była jednak pewna  
różnica...

O'Brien musiał zauważyć zmianę wyrazu jego twarzy, bo  
powiedział:

- Dwa lata przed zniknięciem, podczas misji zwiadowczej  
w Iraku, agent Clark dostał w lewe ramię postrzał od snajpe-  
ra - powiedział. - Zanim zdążył dotrzeć do amerykańskiego  
obozu, wdała się gangrena. Kończynę trzeba było amputować



przy samym barku, co zakończyło jego karierę w Siłach Specjalnych.

— Ale ciało w kostnicy ma obie ręce.

— Właśnie. Odciski palców z tej ręki zwłok, której nie powinno być, pasują do danych z akt sprzed postrzału. Wygląda na to, że agent Clark dotarł do Amazonii z jednym ramieniem, a wyszedł z niej z dwoma.

- Ale to przecież niemożliwe! Co tam się stało?

Marshall O'Brien patrzył na niego przez chwilę swoimi jastrzębimi oczami.

- Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć - powiedział.

# AKT PIERWSZY

## Misja



KURARA

**rodzina:** miesięcznikowate (*Menispermaceae*)

**rodzaj:** *Chondrodendron*

**gatunek:** *Tomentosum*

**powszechnie używana nazwa:** kurara

**wykorzystywane części:** liść, korzeń, żywica

**właściwości/działanie:** moczopędne, przeciwgorączkowe,  
zmiotczające mięśnie, tonizujące, paraliżujące

# 1

## Olej węża

6 SIERPANIA, GODZ. 10.11 DŻUNGLA  
AMAZOŃSKA, BRAZYLIA

Anakonda trzymała indiańską dziewczynkę w swoich potężnych splotach i ciągnęła ją w stronę rzeki.

Nathan Rand usłyszał jej krzyki, kiedy wracał do wioski Yanomami po porannych zbiorach leczniczych ziół. Rzucił na ziemię torbę i ruszył na pomoc, ściągając w biegu z ramion krótkolufą strzelbę. Każdy, kto wędruje samotnie po dżungli, nosi broń.

Przedarł się przez gęstą zasłonę gałęzi i ujrzał węża z dziewczynką. Połowa ciała anakondy - jednej z największych, jakie kiedykolwiek widział, mającej przynajmniej dwanaście metrów długości - znajdowała się w rzece, a druga leżała na błotnistym brzegu. Czarna skóra gada błyszczała od wilgoci. Musiał czaić się pod powierzchnią, kiedy dziewczynka przyszła nabrać wody. Przychodzące nad rzekę pekari, kapibary i leśne jelenie często stawały się łupem tych olbrzymich węży, jednak anakondy rzadko atakowały ludzi.

Ale Nathan był etnobiologiem i podczas swojej dziesięcioletniej pracy w amazońskiej dżungli nauczył się, że jeżeli zwierzę jest bardzo głodne, zwykłe zasady przestają obowiązywać. Tym światem pod zielonym baldachimem rządziła jedna reguła: zjesz albo zostaniesz zjedzony.

Spojrzał przez celownik strzelby i poznał dziewczynkę.

- Boże, Tama!

Była to dziewięcioletnia bratanica wodza, uśmiechnięte, szczęśliwe dziecko, które miesiąc temu - kiedy przybył do wioski - dało mu bukiet dzunglowych kwiatów. Często ciągnęła go za włoski na przedramionach, których nie mieli Yanomami, i nazwała *Jako Basho* - Bratem Małpą.

Znowu popatrzył przez wizjer. Dopóki dziecko znajdowało się w potężnych splotach węża, nie mógł strzelać.

- Niech to cholera! - zaklął, po czym odrzucił broń i sięgnął po maczetę u pasa. Odpiął ją i skoczył do przodu, ale anakonda zaczęła już wsuwać się do rzeki, ciągnąc dziewczynkę w ciemną toń. Po chwili krzyki małej umilkły, a na powierzchni wody pojawiły się pęcherzyki powietrza.

Nathan zanurkował.

Ze wszystkich środowisk Amazonii nie ma groźniejszego od wodnego. Pod spokojną powierzchnią rzek kryją się liczne niebezpieczeństwa. W ich głębinach pływają stada obgryzających mięso do kości piranii, na mulistym dnie leżą ogończe, a wśród korzeni i zatopionych pni ukrywają się elektryczne węgorze. Najgorsze ze wszystkiego są jednak wielkie gady, polujące na ludzi - czarne kajmany. Amazońscy Indianie doskonale wiedzą, że nie należy wchodzić do nieznanymi rzek.

Ale Nathan Rand nie był Indianinem.

Rozejrzał się i zobaczył w mętnej wodzie przed sobą wijące się sploty, wśród których mignęła mała rączka. Uderzył nogami, sięgnął po drobną dłoń i chwycił ją. Paluszki dziewczynki mocno złapały jego rękę.

Tama była jeszcze przytomna!

Podpłynął do węża i zamachnął się maczetą, wciąż ściskając rączkę dziecka.

Ciemna woda zawirowała i przed jego twarzą pojawiły się czerwone ślepia ogromnego węża. Zwierzę najwyraźniej wyczuło, że ktoś chce zabrać mu łup. Wielka paszcza otworzyła się szeroko.

Nathan gwałtownie odsunął się w bok, jednak nie puścił Tamy.

Szczęki anakondy zacisnęły się wokół jego ręki jak imadło. Choć ugryzienie ogromnego węża nie było jadowite, siła ucisku jego szczęk mogła mu zmiażdżyć nadgarstek. Zignorował ból i narastającą panikę i skierował maczetę na ślepia stwora.

Anakonda przekręciła się, pchnęła go w dół i przycisnęła do mulistego dna. Dwustukilowy ciężar pokrytych łuską zwojów wypchnął z jego płuc całe powietrze. Próbował walczyć, ale śliski muł nie dawał mu oparcia.

Po chwili palce dziewczynki zostały wyrwane z jego uchwytu i wąż zaczął odpływać.

Nie... Tama!

Puścił maczetę i zaatakował węża. Jego ramiona zapadały się w muliste dno, ale nie rezygnował. Każdy zwój, który odepchnął, był zastępowany następnym. Zaczynał słabnąć, jego płuca rozpaczliwie domagały się powietrza.

Zrozumiał, że czeka go śmierć - i nie był tym zaskoczony. Zawsze wiedział, że któregoś dnia fatum się spełni. Takie było jego przeznaczenie, przekleństwo jego rodziny. Jego rodzice zostali pożarci przez amazońską dżunglę. Kiedy miał jedenaście lat, matkę zaatakowała nieznana gorączka i umarła w maleńkim misyjnym szpitalu. Ojciec cztery lata temu zniknął w lesie deszczowym, pochłonięty przez niego bez śladu.

Wspomnienie rozpaczy, jaką czuł po stracie ojca, wyzwoliło w nim złość. Przeklęty czy nie, nie zamierzał iść w jego ślady. Nie pozwoli, aby dżungla go połknęła! I nie straci Tamy!

Wykorzystując resztki powietrza w płucach, zrzucił z siebie anakondę, wbił uwolnione nogi w dno i zaczął przeć do góry.

Kiedy jego głowa wystrzeliła nad wodę, chciwie zaczerpnął powietrza. Ale anakonda, która wciąż trzymała w paszczy jego rękę, wciągnęła go z powrotem pod wodę.

Tym razem jednak Nathan nie walczył z gadem. Przycisnął uwięziony nadgarstek do piersi i przekręcił ciało, aby drugą ręką móc objąć anakondę tuż za łbem, po czym wbił jej kciuk w oko.

Wąż machnął łbem, wynosząc Nathana ponad powierzchnię wody, i po chwili znowu go w niej zanurzył. Draniu, puść!

Nathan zgiął uwięzioną dłoń i wbił palec w drugie oko zwierzęcia, modląc się, aby to, co powiedziano mu na kursie z fizjologii gadów, okazało się prawdą. Ucisk oczu powinien za pośrednictwem nerwu wzrokowego wywołać odruch wymiotny.

Pchał z całych sił, popędzany natarczywym rytmem pulsu w uszach.

Nagle ucisk szczęk węża na nadgarstek zelżał i Nathan został rzucony z taką siłą, że poleciał wysoko w powietrze i wylądował na brzegu, waląc barkiem w muł. Odwrócił się i ujrzał wypływający na powierzchnię rzeki blady kształt.

Tama!

Tak jak miał nadzieję, odruch wymiotny spowodował, że oboje zostali uwolnieni. Wszedł do wody i złapał Tamę za ramię, po czym przyciągnął do siebie jej nieruchome ciało. Zarzucił je na plecy i szybko wyszedł na brzeg.

Ułożył nieprzytomną dziewczynkę na brzegu. Nie oddychała i miała sine wargi. Sprawdził tętno. Było bardzo słabe.

Rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy. Nikogo nie dostrzegł, więc musiał sam spróbować reanimować małą. Przed wyprawą do dżungli przeszedł kurs pierwszej pomocy i resuscytacji oddechowo-kръżeniowej, ale nie był lekarzem. Ukląkł, przekręcił Tamę na brzuch i zaczął uciskać jej plecy. Z nosa i ust małej wyleciała odrobina wody.

Odwrócił ją ponownie na plecy i zaczął oddychanie usta-usta.

Niemal w tym samym momencie z dżungli wyszła Indianka z plemienia Yanomami. Jak wszyscy przedstawiciele jej plemienia, była niewysoka - najwyżej metr pięćdziesiąt - miała czarne włosy przycięte w tradycyjny sposób, „pod garnek”, a jej uszy były poprzekłuwane piórami i kawałkami bambusa. Na widok białego mężczyzny pochylającego się nad indiańską dziewczynką jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

Nathan zdawał sobie sprawę z tego, jak to musi wyglądać. Wyprostował się, ale Tama nagle odzyskała przytomność, zaczęła wypluwać z siebie potoki wody, machać rękami i krzyczeć z przerażenia. Spanikowana dziewczynka, tkwiąca jeszcze myślami w horrorze ataku węża, wściekle waliła w niego pięstkami.

— Spokojnie, jesteś bezpieczna - powiedział do małej w dialekcie Yanomami, próbując jednocześnie unieruchomić jej ręce. Odwrócił się do kobiety, aby wyjaśnić, co się stało, ale Indianka rzuciła koszyk i zniknęła w gęstym listowiu, krzycząc coś przenikliwie. Nathan znał ten okrzyk. Oznaczał on, że jeden z mieszkańców wioski został zaatakowany.

— Wspaniale, po prostu cudownie... - mruknął.

Kiedy przed czterema tygodniami przybył do wioski, aby zapisać medyczną wiedzę starego plemiennego szamana, wódz kazał mu się trzymać z daleka od wioskowych kobiet, bo w przeszłości zdarzały się przypadki, że obcy próbowali się do nich dobierać. Nathan zastosował się do tego polecenia, choć wiele dziewczyn chętnie dzieliłoby z nim hamak. Jego ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, błękitne oczy i jasne włosy były nowością - i atrakcją - dla kobiet tego odizolowanego od świata plemienia.

Na wezwanie Indianki odpowiedziały liczne podobne okrzyki. Nazwę plemienia Yanomami można tłumaczyć jako „gwałtowni ludzie” i jego członkowie byli uważani za bezlitosnych wojowników. *Huyas*, młodzi mężczyźni z wioski, nieustannie stawiali sobie coś za punkt honoru albo twierdzili, że rzucono na nich jakieś przekleństwo - ponieważ dawało im to pretekst do walki z sąsiednim plemieniem albo nawet ze swoimi współplemieńcami. Potrafili wyróżnić w pień całą wioskę tylko za to, że ktoś ich pogardliwie nazwał.

Nathan popatrzył na dziewczynkę. Jak wioskowi *huyas* zinterpretują tę sytuację? Biały człowiek zaatakował jedno z dzieci należących do ich plemienia - i to bratanicę wodza!

Tama uspokoiła się i zasnęła. Jej oddech był równomierny, ale gorące czoło świadczyło o tym, że pojawiła się gorączka. Na prawym boku zaczął pojawiać się ciemny siniak. Jedno dotknięcie wystarczyło, aby stwierdzić, że w czasie ataku anakonda złamała Tamie dwa żebra. Nathan usiadł na piętach i przygryzł dolną wargę. Jeżeli dziewczynka miała przeżyć, potrzebowała natychmiastowej pomocy lekarskiej.

Wziął ją delikatnie na ręce. Najbliższy szpital znajdował się piętnaście kilometrów w dół rzeki - w Sao Gabriel. Trzeba było ją tam jak najszybciej dostarczyć.

Pozostawał tylko jeden problem - Yanomami. Nie da rady uciec przed nimi z dziewczynką. Znajdował się na ich terenie i choć znał go dość dobrze, nie był tubylcem. Mieszkańcy Amazonii mawiają: *Na boesi, ingi sabe ala sani* - „W swojej dżungli Indianie wiedzą wszystko”. Yanomami byli znakomitymi myśliwymi i umieli doskonale obchodzić się z łukiem, dmuchawką, dzidą i pałką.

Nie ucieknie im.

Zabrał z krzaków swoją strzelbę i zarzucił ją sobie na ramię, po czym mocniej objął rękami dziewczynkę i ruszył w kierunku wioski. Będzie musiał w jakiś sposób sprawić, żeby go wysłuchali - aby uratować życie jej i sobie.

Wioskę, którą przez ostatni miesiąc uważał za swój dom, ogarnęła śmiertelna cisza. Ucichły nawet pohukiwania małp i świergot ptaków.

Wstrzymał oddech i wyszedł z za ostatniego zakrętu. Drogę zastępowała mu ściana Indian. Łuki były naciągnięte, a strzały wycelowane w niego, tak samo ostrza dzid. Wyczuł jakiś ruch za plecami. Spojrzał przez ramię i zobaczył kolejnych Indian o pomazanych purpurą twarzach.

Był tylko jeden sposób, który mógł pozwolić mu uratować siebie i dziewczynkę.

- *Nabrushi yi yi!* - zawołał. - Żądam sądu poprzez walkę!

6 SIERPANIA, GODZ. 11.38

POD SAO GABRIEL DA COCHOERIA

Manuel Azevedo wiedział, że jest obiektem polowania. Biegając ścieżką, słyszał dobiegające zza ściany lasu posapywanie jaguara, przypominające ciche kasłanie. Zmęczony, zlany potem, potykając się, biegł w dół stromej ścieżki, prowadzącej ze szczytu Góry Świętej Drogi. Przed nim, za przecinką, widać było Sao Gabriel. Miasteczko leżało w zakolu Rio Negro, północnego dopływu Amazonki.

Zatrzymał się z poślizgiem i spojrzął za siebie. Szukał znaków świadczących o obecności wielkiego kota: trzasku gałązki, szelestu liści. Nic jednak nie zdradzało miejsca, w którym mógł się czać jaguar. Ucichło nawet pokasywanie. Zwierzę wyczuwało, że ścigana ofiara jest na skraju wyczerpania. Podpełzało do niej, aby zabić.

Manny przechylił głowę, ale słyszał jedynie bzyczenie szarańczy i odległe trele ptaków. Po jego karku spłynęła strużka potu. Napiał mięśnie i nastawił uszu. Odruchowo przysunął dłoń do noża przy pasie, a drugą położył na krótkim pejczu.



Rozejrzał się. Sploty grubych jak liny porostów i liściaste krzaki otaczały ścieżkę po obu stronach niczym dwie ściany. Gdzie się pojawi jaguar?

Cienie na ścieżce przesunęły się.

Manny odwrócił się na pięcie, przykucnął i próbował dojrzeć coś przez listowie. Nic z tego.

Kilka metrów w dole zobaczył fragment cienia - smukły miraż nakrapiany czernią na pomarańczowym tle. Czekał przyklejony do ścieżki, prężąc grzbiet. Był to ogromny młody samiec - dwulatek.

Czując, że został dostrzeżony, zaczął poruszać ogonem. Zadrżały okoliczne liście.

Manny pochylił się niżej. Był przygotowany na atak.

Wielki kot skoczył na niego z basowym charkotem, szczerząc potężne kły.

Manny stęknął i razem ze zwierzęciem potoczył się w dół ścieżki. Świat zawirował i zamienił się w serię zielonych błysków i plam słonecznego światła oraz kotłowaną futra i kłów.

Kiedy jaguar objął Manny'ego łapami, jego pazury przecięły ubranie i oderwały kieszeń. Wielka paszcza unieruchomiła bark człowieka, ale choć jaguar ma potężne szczęki, zęby zwierzęcia jedynie lekko naciskały skórę.

Po chwili zatrzymali się kawałek dalej - gdzie ścieżka zrobiła się pozioma. Manny ciężko dyszał, unieruchomiony pod jaguarem. Wpatrywał się w płonące ślepie kota, z pomrukiwaniem żującego jego koszulę.

- Skończyłeś, Tor-tor? - zapytał.

W języku Indian Arawak imię jaguara oznaczało ducha, choć w tej chwili, gdy Manny czuł na sobie ciężar jego wielkiego cielska, nie bardzo do niego pasowało.

Na dźwięk głosu pana wielki kot puścił koszulę i wbił w niego wzrok. Po chwili gorący, szorstki jęzor zlizął pot z czoła Manny'ego.

- Ja też cię kocham. Ale teraz zabierz ze mnie swój futrzasty tyłek.

Pazury cofnęły się i Manny usiadł. Sprawdził stan ubrania i westchnął. Uczenie młodego jaguara polowania w szybkim tempie doprowadzało do ruiny jego garderobę.

Wstał, stęknął i pokręcił głową, próbując pozbyć się skurczu szyi. Skończył trzydzieści dwa lata i robił się za stary na tę zabawę.

Kot stanął na czterech łapach i przeciągnął się, po czym machnął ogonem i zaczął węszyć.

Manny zaśmiał się i lekko pacnął jaguara dłonią w bok łba.

- Skończyliśmy na dziś z polowaniem. Robi się późno. W biurze czeka na mnie sterta raportów.

Tor-tor zamruczał z niezadowoleniem, ale wrócił na ścieżkę.

Dwa lata wcześniej Manny uratował osierocone zwierzę, kiedy miało dopiero kilka dni. Jego matka zginęła z rąk kłusowników, którzy zamierzali sprzedać jej futro na czarnym rynku. Najnowsze szacunki wykazywały, że populacja jaguarów spadła do piętnastu tysięcy sztuk, rozrzuconych po gigantycznych połaciach amazońskiej dżungli. Żadne działania obrońców przyrody nie były w stanie odwieść żyjących na granicy minimum egzystencjalnego wieśniaków od polowania na nie dla zarobku. Pusty żołądek sprawia, że człowiek nie ma ochoty myśleć o ochronie zagrożonych gatunków.

Manny aż nazbyt dobrze doświadczył tego na własnej skórze. Był półkrwi Indianinem i jako dziecko wiele lat spędził na ulicach położonego nad Amazonką Barcellos. Żył, jedząc to, co znalazł, żebrał u turystów, a kiedy niczego nie wyżebrał ani nie znalazł, kradł. W końcu zaopiekował się nim salezjański misjonarz, więc Manny mógł rozpocząć edukację - i doszedł aż do doktoratu z biologii na Uniwersytecie Sao Paulo. Jego studia sponsorowała Fundacja Indian Brazylijskich FUNAI i potem w rewanżu zaczął pracować z miejscowymi plemionami: bronił ich interesów i próbował umożliwić im zachowanie tradycyjnego stylu życia i korzystanie z zajmowanej przez nich ziemi. Gdy skończył trzydzieści lat, trafił do Sao Gabriel jako kierownik biura FUNAI.

Znalazł Tor-tora - sierotę jak i on - podczas śledzenia bandy kłusowników grasujących na terytorium Yanomami. Prawa tylna łapa jaguarka była złamana w miejscu, gdzie kopnął go kłusownik, i Manny nie mógł zostawić maleństwa na pastwę losu. Zawinął popiskującego i powarkującego malca w koc, zaniósł do domu i zajął się nim troskliwie.

Popatrzył na idącego przodem Tor-tora. Młody jaguar wciąż jeszcze lekko kulał, ale nie wpływało to na jego zręczność i szybkość. Za niecały rok osiągnie dojrzałość płciową, jego dzikość zdominuje wtedy inne cechy i trzeba będzie wypuścić go na wolność. Manny musiał go do tego czasu nauczyć dbać o siebie. Dżungla nie była miejscem dla niewtajemniczonych.

Ścieżka wiła się zarośniętymi dżunglową roślinnością zboczami Góry Świętej Drogi. W dole rozpościerało się Sao Gabriel, bezładna zbieranina ruder i betonowych kłoców, przytulonych do Rio Negro. Krajobraz urozmaicało kilka nowych hoteli i budynków, postawionych w ciągu ostatnich pięciu lat. W oddali widać było nowe lotnisko pasażerskie. Asfaltowy pas wyglądał jak blizna w dżungli. Był dowodem, że nawet w najgłębszej dzicy nie da się powstrzymać postępu.

Manny otarł czoło z potu i wpadł na Tor-tora, który nagle się zatrzymał. Z gardzieli jaguara wydobył się ostrzegawczy warkot.

- Co się dzieje? - zapytał Manny, ale w tym samym momencie usłyszał odpowiedź.

Odbijając się echem od baldachimu dżungli, w górze narastało basowe DAMP-DAMP-DAMP-DAMP. Zdawało się dochodzić ze wszystkich stron. Manny zmrużył oczy. Choć ten dźwięk był tutaj rzadkością, Manny od razu go rozpoznał. Helikopter. Większość ludzi przybywało do Sao Gabriel rzeką albo na pokładach małych śmigłowców - odległości były zbyt duże, aby dało się je pokonać helikopterem. Nawet tutejsza baza wojskowa miała tylko jeden helikopter, wykorzystywany podczas akcji ratunkowych i ewakuacyjnych.

Odgłos coraz bardziej narastał i po chwili Manny stwierdził, że to nie może być pojedynczy helikopter.

Rozejrzał się po niebie, ale niczego nie dostrzegł.

Nagle Tor-tor sprężył się i skoczył w krzaki.

Na niebie pojawiły się trzy helikoptery w barwach kamuflujących - wyleciały zza Góry Świętej Drogi i zataczając szeroki łuk, skierowały się w stronę miasteczka.

Były to pękate wojskowe maszyny - typ UH-1 Huey.

Manny wykręcił szyję i zobaczył przelatujący dokładnie nad nim czwarty helikopter. W odróżnieniu od pierwszych trzech

maszyn był smukły i czarny. Dzięki kilkumiesięcznemu stażowi w wojsku Manny natychmiast poznał jego charakterystyczny kształt - był to RAH-66 Comanche, maszyna zwiadowczo-szturmowa.

Smukły helikopter przeleciał tak blisko, że Manny dostrzegł wymalowaną na kadłubie małą amerykańską flagę. Liście w koronach drzew, uderzone powietrzem odpychanym przez łopaty wirnika, zadygotało. Małpy rzuciły się do ucieczki, wrzeszcząc jak oszalałe, a w błękitne niebo, niczym smuga ognia, wystrzeliła gromada szkarłatnych papug.

Ostatni helikopter zaczął opadać w kierunku pól otaczających bazę wojskową, dołączając do swoich poprzedników.

Manny zagwizdał na Tor-tora. Wielki kot wystawił ze swojej kryjówki łeb i uważnie się rozejrzał.

- Już wszystko w porządku - zapewnił go Manny.

DUMP-DUMP cichło, helikoptery musiały już wylądować.

Manny podszedł do Tor-tora i położył dłoń na jego łopacie. Ciało zwierzęcia wyraźnie drżało. Zdenerwowanie jaguara udzieliło się człowiekowi.

Kiedy ruszyli obok siebie w dół, Manny położył dłoń na rączce zatkniętego za paskiem pejcza.

Czego armia Stanów Zjednoczonych szuka w Sao Gabriel?

Nathan, rozebrany do samych bokserek, stał pośrodku *shabano* Indian Yanomami, czyli okrągłego domu - budowli o średnicy mniej więcej czterdziestu metrów i wyciętej środkowej części dachu, aby nic nie oddzielało ziemi od nieba. Kobiety i starsi mężczyźni leżeli na ocienianych przez dach z palmowych liści hamakach, młodszy stali wokół z dzidami i łukami w rękach, pilnując Nathana.

Kiedy prowadzono go pod ostrzami dzid do wioski, próbował wyjaśnić, co się stało, i pokazywał ślady ugryzień na nadgarstkach, nikt go jednak nie słuchał. Nawet wódz odsunął jego słowa machnięciem dłoni, jakby go obrażały.

Nathan wiedział, że nie zostanie wysłuchany, dopóki nie odbędzie się sąd. Tak to wyglądało u Yanomami. Zażądał walki, aby zyskać na czasie, i nikt go nie wysłucha, póki walka

się nie zakończy. Zostanie wysłuchany tylko wtedy, jeżeli bogowie przyznają mu zwycięstwo.

Stał w pyłe na bosaka, a grupa *huyas* spierała się, który z nich ma przyjąć jego wyzwanie i jaka broń ma zostać użyta. Tradycja nakazywała walczyć na *nabrushi*, dwuipółmetrowe pałki, ale w poważniejszych pojedynkach używano groźniejszej broni, takiej jak maczety czy dzidy.

Tłum po drugiej stronie placu się rozstał i do przodu wystąpił młody Indianin. Był wysoki jak na Yanomami - niemal tak wysoki jak Nathan - i choć szczupły, miał muskularne ciało. Był to ojciec Tamy, Takaho, brat wodza. Miał na sobie jedynie ozdobiony koralikami, owinięty wokół talii szeroki pas materiału, zakrywający czubek uniesionego do góry członka - był to typowy strój Indian Yanomami. Na jego piersi widniały namalowane popiołem skośne linie, twarz miał pomalowaną purpurowym barwnikiem, a włosy przytrzymywała opaska z „małpim ogonem”, czyli ozdobnie zakończonym długim sznurkiem. Dolną wargę Takaho wypychała duża prymka tytoniu, co nadawało jego twarzy wojowniczy wygląd.

Wyciągnął rękę i jeden z *huyas* podał mu topór na długim trzonku. Jego stylisko było wykonane z purpurowego drewna wężowego, a kończył się spiczastym jak dzida ostrzem. Była to jedna z najgroźniejszych broni pojedynkowych.

Nathanowi wciśnięto do ręki taki sam topór.

Do Takaho podbiegł drugi *huya* i podsunął mu trzymany w dłoniach gliniany pojemnik z oleistą ciecżą.

Nathan bez trudu rozpoznał, co to takiego. Pomagał szamanowi w przygotowaniu tej partii *woorari*, czyli kurary, paraliżującej nerwy trucizny przyrządzanej z porostu z rodziny miesięcznikowatych. Zazwyczaj środek ten był używany do polowania na małpy, dziś jednak miał posłużyć bardziej ponuremu celowi.

Jednak jemu samemu nie podano *woorari*. Wyglądało na to, że walka nie będzie całkiem równa.

Wódz uniósł nad głowę łuk i wydał okrzyk, oznaczający początek walki.

Takaho ruszył przed siebie, z wprawą machając toporem.

Nathan uniósł broń. Jak mógł wygrać ten pojedynek? Jedno

zadrapanie oznaczało śmierć. Zresztą nawet gdyby wygrał - co by osiągnął? Zdecydował się na tę walkę, aby uratować Tamę, ale żeby tego dokonać, musiałby najpierw zaszlachtować jej ojca.

Unióśł topór na wysokość piersi i spojrzał w pełne wściekłości oczy przeciwnika.

- Nie skrzywdziłem twojej córki! - zawołał w narzeczu Yanomami.

Takaho zmrużył oczy. Zrozumiał słowa Nathana, ale w jego oczach była nieufność. Popatrzył na wioskowego szamana zajmującego się Tamą. Starzec pochylał się nad dziewczynką i zawodził śpiewnie, machając jej nad głową żarzącą się wiązką wysuszonej trawy. W całym *shabano* rozchodził się gorzki zapach gryzącego dymu - było to coś w rodzaju soli trzeźwiących, uzyskiwanych z mikanii pnącej. Jednak dziewczynka w dalszym ciągu leżała bez ruchu.

Indianin wbił wzrok w Nathana i z głośnym krzykiem rzucił się do przodu, zamierzając się toporem w głowę przeciwnika.

Nathan trenował kiedyś zapasy, więc umiał walczyć. Natychmiast upadł na ziemię i odtoczył się na bok, po czym machnął toporem i podciął przeciwnikowi nogi.

Takaho ciężko upadł na ubitą glinę, uderzając barkiem w ziemię, i zgubił przytrzymującą mu włosy opaskę. Nathan, który uderzył go tępą stroną topora, błyskawicznie skoczył na niego, zamierzając przygnieść Indianina ciałem. Był od niego znacznie cięższy. Gdyby udało mu się go unieruchomić...

Ale Takaho z kocią zręcznością odtoczył się na bok, po czym znów zamachnął się toporem.

Nathan cofnął się przed śmiertelnie ostrym uderzeniem. Zatrute ostrze świsnęło tuż przed jego nosem i wbiło się w ziemię między dłońmi. Stracił jednak na chwilę czujność i spóźnił się o ułamek sekundy z unikiem - i Indianinowi udało się kopnąć go w głowę. Zadzwońiło mu w uszach i zatoczył się. Topór wyslizgnał mu się ze zdrętwiałej dłoni i wpadł między najbliższych gapiów.

Nathan otarł krew z pękniętej wargi i wstał szybko.

Takaho również był już na nogach.

Kiedy wyciągał swój wbity w ziemię topór, Nathan odważył się rzucić okiem przez ramię. Szaman dmuchał właśnie Tamie dymem w usta, co było rytuałem mającym odgonić złe duchy.

Otoczający go *huyas* zawodzili pieśń śmierci.

Takaho uniósł topór i odwrócił się do Nathana. Jego twarz była purpurową maską, wykrzywioną wściekłością. Ruszył na przeciwnika, wymachując bronią, kontury wirującego ostrza topora rozmazywały się w powietrzu.

Nathan zaczął się cofać.

A więc tak umrę...

Oparł się plecami o ostrza indiańskich dzid. Nie było ucieczki. Takaho zwolnił kroku i jeszcze wyżej uniósł topór.

Ale kiedy zaczął opuszczać trzymany w obu rękach topór, śpiew *huyas* przeciął ostrzy krzyk szamana:

- *Yulo!* Stop!

Nathan, kuląc się przed ciosem, który nie nastąpił, popatrzył w górę. Ostrze drżało dwa centymetry nad jego głową. Na policzek skapnęła mu kropla trucizny.

Szaman przepychał się przez tłumek na placu.

- Twoja córka się obudziła! - oświadczył i wskazał na Nathana. - Mówi o wielkim wężu i o tym, że ten biały człowiek ją uratował.

Wszystkie głowy zwróciły się w kierunku Tamy. Popijała wodę z tykwy, którą trzymała jedna z kobiet.

Kiedy Takaho odwrócił się do niego, Nathan popatrzył mu w oczy. Twarz Indianina zmiękła. Upuścił topór na ziemię, ścisnął ramię Nathana i przyciągnął go do siebie.

- *Jako* - powiedział, przyciskając go mocno do piersi. - Bracie.

Było już po wszystkim.

Wódz przepchnął się do przodu i stanął przed Nathanem.

- Walczyłeś z wielkim *susuri*, anakondą, i wyciągnąłeś z jego brzucha córkę naszego plemienia. - Wyjął zza ucha długie pióro i wetknął je Nathanowi we włosy. Było to pióro z ogona harpii, bardzo cenione trofeum. - Nie jesteś już *nabe*, człowiekiem z zewnątrz. Teraz jesteś *jako*, brat mojego brata. Jesteś teraz Yanomami.

W całym *shabano* wybuchł wielki aplauz. Nathan wiedział, że spotkał go najwyższy zaszczyt, ale musiał jeszcze coś załatwić.

- Moja siostra... - zaczął, wskazując na Tamę. Wśród

Indian Yanomami mówiąc o kimś nie używa się imienia, ale określeń oznaczających relacje rodzinne, niekoniecznie prawdziwe. Tama jęknęła cicho. - Moja siostra w dalszym ciągu jest chora. Odniosła rany, którymi mogą zająć się uzdrowiciele w Sao Gabriel. Chciałbym cię prosić, abys pozwolił mi zabrać ją do szpitala w mieście.

Podszedł do nich szaman. Nathan obawiał się, że będzie twierdził, że jego lekarstwa wystarczą do wyleczenia dziewczynki. Wszyscy szamani byli bardzo dumni i nieustępliwi. Na szczęście ten wcale się nie upierał.

- Nasza mała siostra została uratowana przed *susuri* przez naszego nowego *jako*. Powinniśmy oddać cześć bogom i wybrać go na jej ratownika - oświadczył. - Ja nie mogę dla niej nic więcej zrobić.

Nathan ostrożnie startł z policzka truciznę, usiłując nie wetrzeć jej w jakieś zadrapanie\*, i podziękował szamanowi. Stary Indianin już i tak zrobił wystarczająco dużo. Jego leki ocuciły dziewczynkę w ostatnim momencie. Odwrócił się do Takaho.

— Chciałbym cię prosić, abys pożyczył mi czółno na podróż.

— Wszystko, co mam, jest twoje. Popłynę razem z tobą do Sao Gabriel.

— Powinniśmy się pośpieszyć.

Tama natychmiast została ułożona na bambusowych noszach i umieszczona w czólnie. Takaho, który przebrał się w podkoszulek bez rękawów i szorty marki Nike, dał Nathanowi znak, aby usiadł na dziobie dźbanki, po czym odepchnął się wiosłem od brzegu i wpłynął w główny nurt Rio Negro.

W milczeniu pokonali piętnaście kilometrów. Nathan co jakiś czas sprawdzał stan Tamy i widział niepokój w oczach jej ojca. Dziewczynka znowu była nieprzytomna, drżała i mamrotała coś niezrozumiałego. Nathan owinał ją kocem.

Takaho zręcznie przeprowadzał czółno przez niewielkie katarakty i omijał zwalone pnie.

Po drodze minęli Indian z sąsiedniej wioski, łowiących ryby

\* Kurara jest trująca tylko wtedy, gdy dostanie się do krwiobiegu.



za pomocą dzid. Kobieta siedząca w stojącym nieco dalej w górę rzeki czóźnie sypała do wody ciemny proszek. Nathan znał ten sposób połowu: wysuszone i zmiażdżone pnącza *ayaeya* rozpuszczały się w wodzie, otumaniając ryby, które wypływały na wierzch, a wtedy mężczyźni nabijali je na dzidy. Tej pradawnej metody rybackiej używa się do dziś w całej Amazonii.

Zastanawiał się, jak długo ta tradycja się utrzyma - jedno pokolenie czy dwa?

Zdawał sobie sprawę, że wielu bitew o ocalenie tego świata nie wygra. Na dobre albo na złe, cywilizacja będzie kontynuować swój marsz przez dżunglę.

Przyglądał się obrzeżającym rzekę ścianom listowia. Wszędzie wokół kipiało życie - bzyczało, świergotało, skrzeczało, pohukiwało i powarkiwało.

W lesie po obu stronach wrzeszczały stada wyjców, skaczących po szczytach drzew. Na płycznach polowały na ryby białopióre bączki, a opancerzone pyski kajmanów wyznaczały tereny lęgowe tych niezwykłych amazońskich krokodyli. W powietrzu nad ich głowami krążyły chmary komarów i kaśliwych much.

Dżungla rządziła tu niepodzielnie, wydawała się nieskończona, nieprzenikniona i pełna tajemnic. Była jednym z ostatnich miejsc na Ziemi, które jeszcze czekały na dokładne zbadanie. Znajdowało się w niej wiele obszarów, na które jeszcze nigdy nie wkroczył człowiek. Właśnie ta tajemniczość i niezwykłość przyciągnęła tu rodziców Nathana. Spędzili w dżungli całe życie, zarażając miłością do gigantycznego lasu swojego jedyne syna.

Pojawiało się coraz więcej oznak cywilizacji - zbliżali się do Sao Gabriel. Po chwili ujrzeli porobione przez wieśniaków przecinki, a z brzegu do pasażerów szybko płynącego czółna machały dzieciaki. Nawet odgłosy dżungli przycichły, zagłuszone przez hałaśliwy rozgardiasz współczesnego świata: pomruk traktorów na polach, wycie silników śmigających po rzece łodzi motorowych, ryczące w którejś z chat radio.

Za zakrętem dżungla nagle się kończyła. Miasteczko Sao Gabriel sprawiało wrażenie nowotworu, który wyżarł tkankę

lasu. Przy samej wodzie było zbieraniną pleśniejących drewnianych ruder i betonowych budynków postawionych przez rząd. Nieco dalej od rzeki na pobliskie zbocza wspinały się małe i duże domy. Pirsy i nabrzeża były pełne łodzi turystów i barek rzecznych o bokach tak pomazanych farbą antykorozyjną, że wyglądały jak poranione.

Nathan kazał Takaho płynąć w stronę wolnego miejsca przy brzegu. Indianin z przerażeniem gapił się na miasto, z całej siły przyciskając wiosło do piersi.

- Wypełnia cały świat... - wymamrotał.

Nathan ostatni raz był w mieście po zapasy dwa tygodnie temu i też nie czuł się najlepiej w tym hałasie. Jak musiał odbierać go ktoś, kto nigdy nie wychylił nosa z dżungli?

- Nie ma tu nic, czego powinien się obawiać wielki wojownik - powiedział uspokajająco, wskazując ruchem głowy miejsce do przycumowania. - Musimy zanieść twoją córkę do szpitala.

Takaho kiwnął głową. Jego twarz znowu znieruchomiła, ale oczy w dalszym ciągu skakały po cudach innego świata. Dobił do brzegu zgodnie ze wskazówkami Nathana, po czym pomógł mu wynieść z czołna nosze z nieprzytomną Tamą.

Dziewczynka jęknęła, a jej powieki zatrzepotały, ukazując same białka. Podczas podróży jej skóra stała się znacznie bledsza.

- Musimy się pospieszyć - powiedział Nathan.

Przenieśli dziewczynkę przez nabrzeże, obserwowani przez ciekawskich miastowych, a kilku turystów pstryknęło im zdjęcia. Choć Takaho miał na sobie „cywilizowany” strój, jego charakterystyczna opaska na włosach, pióra w uszach i fryzura wyraźnie wskazywały, że należy do tubylczego plemienia.

Na szczęście szpital leżał blisko rzeki. Przeznaczenie tego parterowego budynku można było rozpoznać jedynie po namalowanym nad wejściem - od dawna łuszczącym się - czerwonym krzyżu, ale Nathan już tu bywał, konsultując z jednym z miejscowych lekarzy chorobę mężczyzny z Manaus. Po kilku minutach wnieśli nosze do środka. Wszędzie śmierdziało amoniakiem i wybielaczem, ale pomieszczenia były klimatyzowane. Chłód uderzył Nathana w twarz niczym wilgotny ręcznik.

Podszedł do dyżurki pielęgniarek i zaczął wyjaśniać, co się stało małej. Pulchna kobieta zmarszczyła czoło, najwyraźniej nic nie rozumiejąc - i Nathan uświadomił sobie, że mówi w dialekcie Yanomami. Szybko przeszedł na portugalski.

— Dziewczynka została zaatakowana przez anakondę. Ma kilka złamanych żeber, ale obawiam się, że wewnętrzne obrażenia mogą być poważniejsze.

— Proszę tędy - powiedziała pielęgniarka i wskazała podwójne drzwi. Popatrzyła podejrzliwie na Takaho.

- To ojciec małej - uspokoił ją Nathan.

Pielęgniarka kiwnęła głową.

— Doktor Rodriguez jest na wizycie domowej, ale wezwę go przez telefon.

— Proszę to zrobić jak najszybciej.

— Może ja byłabym w stanie pomóc? - odezwał się jakiś głos za jego plecami.

Nathan odwrócił się.

Ze składanego krzeselka w poczekalni wstała wysoka szczupła kobieta z długimi kasztanowymi włosami. Kiedy weszli, była częściowo zasłonięta przez stertę skrzynek oznakowanych czerwonym krzyżem. Podchodząc, uważnie przyglądała się przybyszom.

Nathan wyprostował się.

— Jestem amerykańskim lekarzem. Kelly O'Brien - przedstawiła się po portugalsku z lekkim bostońskim akcentem. Wyjęła identyfikator z medycznym kaduceuszem.

— Chętnie skorzystamy z pani pomocy - odparł Nathan, przechodząc na angielski. - Ta dziewczynka została zaatakowana...

W tym momencie plecy leżącej na noszach Tamy wygięły się w łuk. Zaczęła uderzać piętami i drgawki natychmiast objęły całe ciało.

- Ma atak epileptyczny - stwierdziła lekarka. - Zanieście ją na oddział.

Pulchna pielęgniarka szeroko otworzyła przed nimi drzwi.

Mężczyźni położyli Tamę na jednym z czterech łóżek w małym oddziale nagłych wypadków. Kelly O'Brien szybko włożyła chirurgiczne rękawiczki.

- Daj mi dziesięć miligramów diazepamu! - zawołała do pielęgniarki.

Pielęgniarka kiwnęła głową i podbiegła do szafki z lekami. Po kilku sekundach Kelly trzymała w dłoni wypełnioną bursztynowym płynem strzykawkę. Założyła na ramię dziewczynki opaskę uciskową.

- Trzymajcie ją - poprosiła Nathana i Takaho.

Zamieszanie sprowadziło do pokoju drugą pielęgniarkę i rosłego sanitariusza.

- Przygotujcie wlew dożylny i jedno opakowanie mlecza nowego roztworu Ringera - poleciła im Kelly. Wymacała palcami delikatną żyłę na szczuplutkim ramieniu dziewczynki. Z wprawą wbiła igłę i zaczęła wstrzykiwać lek. - To valium, powinno powstrzymać atak do chwili, aż dowiemy się, co go spowodowało.

Konwulsje zamarły. Kończyny Tamy przestały podrygiwać i rozluźniły się. Drgały jedynie powieki i kąciki ust. Kelly sprawdziła źrenice ołówkową latarką.

Sanitariusz odsunął Nathana, aby włożyć się do żyły w drugim ramieniu Tamy i przygotować wlew.

Nathan popatrzył na przerażonego ojca małej.

- Co jej się stało? - spytała lekarka, nie przerywając badania.

Nathan opowiedział o ataku węża.

— Od tamtej pory co jakiś czas traci przytomność, a potem ją odzyskuje - dodał. - Wioskowemu szamanowi udało się ją obudzić tylko na parę minut.

— Ma kilka złamanych żeber, ale nie widzę przyczyny padaczki ani stuporu. Miała w drodze podobny napad?

— Nie.

— Padaczka w rodzinie?

Nathan przetłumaczył to pytanie Takaho.

Indianin pokiwał głową.

— *Ah-de-me-nah gunti*.

Nathan zmarszczył czoło.

— Co on powiedział? - zapytała lekarka.

— *Ah-de-me-nah* to węgorz elektryczny. A *gunti* to choroba.

— Choroba elektrycznego węgorza?

Nathan kiwnął głową.

- Tak mówi, ale to nie ma sensu. Ofiara węgorza elektrycznego często dostaje konwulsji, jednak następują one zaraz po ataku. A Tama nie była w wodzie od kilku godzin. Nie wiem, może „choroba elektrycznego węgorza” to nazwa używana przez Yanomami dla określenia epilepsji?

- Była z tego powodu leczona? Dostawała jakieś leki?

Nathan znów przetłumaczył odpowiedź Takaho:

- Wioskowy szaman leczył ją kiedyś z tego powodu dy mem z mikanii pnącej.

Kelly O'Brien westchnęła.

- A więc nie była leczona. Nic dziwnego, że stres wywołany napaścią anakondy wyzwolił tak gwałtowny atak. Może pan zaprowadzić jej ojca do poczekalni? Zobaczę, czy uda mi się jakoś temu zaradzić.

Nathan spojrział na Tamę. Leżała spokojnie, ale jej twarzyczkę co jakiś czas wykrzywiały mimowolne skurcze.

- Sądzi pani, że będzie miała następny atak?

Kelly popatrzyła mu w oczy.

- Przez cały czas go ma. To *status epilepticus*, czyli nieustanny napad. Większość ludzi, którym się to przydarza, sprawia wrażenie otępiałych, jęczy i wykonuje nieskoordynowane ruchy. Będą się też pojawiać tak zwane duże ataki, jak len, który miał miejsce przed chwilą. Jeżeli nie uda nam się tego zatrzymać, mała umrze.

Nathan wpatrywał się w dziewczynkę.

— Sądzi pani, że ona przez cały czas ma atak?

— Wszystko wskazuje na to, że tak.

— Ale przecież szamanowi z wioski udało się ją wydobyć z otępienia...

— Trudno mi w to uwierzyć - odparła Kelly i ponownie zajęła się dziewczynką. - Z pewnością nie ma na tyle silnych leków, aby przerwać to błędne koło.

Nathan przypomniał sobie, że Tama piła wodę z tykwy.

— Jednak tak się stało. Niech pani nie uważa plemiennych szamanów za oszustów. Znam ich od lat, to naprawdę mądry ludzie.

— No cóż, mądry czy nie, my w każdym razie mamy

silniejsze lekarstwa. Prawdziwe lekarstwa. - Skinęła głową w stronę ojca Tamy. - Niech pan go weźmie do poczekalni - powtórzyła, po czym odwróciła się do pielęgniarek i sanitariusza. Audiencja była skończona.

Nathan najeżył się, ale posłuchał. Od wieków świat zachodniej medycyny drwił z szamanizmu. Wyprowadził Takaho z oddziału do poczekalni, kazał mu usiąść, po czym skierował się do wyjścia.

Znowu znalazł się w amazońskim upale. Niezależnie od tego, czy amerykańska lekarka w to wierzyła czy nie, sam widział, że szamanowi udało się obudzić dziewczynkę. Ale był ktoś, kto mógł znać przyczynę tajemniczej choroby Tamy, i Nathan wiedział, gdzie go znaleźć.

Pobiegł truchtem w stronę obrzeży miasta. Po mniej więcej dziesięciu przecznicach dotarł do bazy wojskowej. Senny zazwyczaj obiekt kipiał aktywnością. Na wielkim placu stały cztery helikoptery z amerykańskimi oznakowaniami. Wzdłuż płotu tłoczyli się tubylcy, pokazywali sobie palcami dziwne maszyny i paplali z podnieceniem.

Nathan pospieszył do przypominającego betonową kostkę budynku, stojącego wśród drewnianych baraków. Na frontowej ścianie widniał napis: FUNAI. Znajdowało się tu miejscowe biuro Fundacji Indian Brazylijskich, które dla tutejszych plemion - Baniwa i Yanomami - było jedynym oparciem. W niedużym budynku mieściły się zarówno biura fundacji, jak i pomieszczenia dla bezdomnych Indian, którzy przybyli do miasta, aby skorzystać z pomocy białego człowieka.

FUNAI miała także własnego doradcę medycznego - był nim wieloletni przyjaciel rodziny Nathana, człowiek, który pomagał jego ojcu poznawać amazońską dżunglę.

Nathan pobiegł prosto na piętro. Modlił się, aby jego przyjaciel był w swoim gabinecie. Przez otwarte drzwi dolatywały dźwięki piątego koncertu skrzypcowego Mozarta.

Dzięki Bogu!

Zapukał we framugę i zawołał cicho:

- Profesorze Kouwe!

Siedzący za małym biurkiem Indianin o skórze koloru kawy uniósł wzrok znad sterty papierów. Miał trochę ponad pięć-

dziesiąt lat i siwiejące na skroniach włosy do ramion. Zdjął okulary i gdy rozpoznał gościa, uśmiechnął się szeroko.

- Nathan!

Wstał, wyszedł zza biurka i objął gościa z siłą przypominającą uścisk anakondy, z którą Nathan walczył kilka godzin wcześniej. Mimo niewielkiego wzrostu miał siłę bawołu. Resh Kouwe był kiedyś szamanem plemienia Tiriós na południu Wenezueli. Przed trzydziestu laty poznał ojca Nathana i szybko się z nim zaprzyjaźnił. Z jego pomocą opuścił dżunglę i skończył studia w Oxfordzie, uzyskując podwójne magisterium - z lingwistyki i paleoantropologii. Był też jednym z najwybitniejszych botaników regionu Amazonki.

- Mój chłopcze, nie mogę uwierzyć, że tu jesteś! Manny kontaktował się z tobą?

Kiedy Nathanowi udało się uwolnić z niedźwiedziego uścisku, popatrzył na niego.

— Nie. Czemu o to pytasz?

— Szuka cię. Wpadł tu mniej więcej godzinę temu, aby się dowiedzieć, w której wiosce można cię teraz znaleźć.

— Dlaczego?

— Nie powiedział, ale był z nim jeden z tych mądrali z Telluksa.

Nathan przewrócił oczami. Tellux Pharmaceuticals była międzynarodową korporacją, która finansowała jego badania dotyczące praktyk tutejszych szamanów.

Kouwe pokręcił głową.

— Sam podpisałeś pakt z szatanem.

— Jakbym po śmierci ojca miał wybór...

Profesor zmarszczył czoło.

— Nie powinieneś zbyt szybko rezygnować z samodzielności. Zawsze byłeś...

— Mam teraz inny problem - przerwał mu Nathan. Nie chciał wracać do tamtego mrocznego okresu swojego życia. Sam sobie posłał i będzie musiał się wyspać w tym łóżku. - Chodzi o dziewczynkę z plemienia Yanomami - dodał i szybko opowiedział o chorobie Tamy. - Martwi mnie sposób jej leczenia. Pomyślałem, że mógłbyś porozmawiać z tą lekarką.

Kouwe zdjął z półki skrzynkę na wędkarskie przynęty.

- Niemądrze... niemądrze... - wymamrotał i ruszył do wyjścia.

Nathan musiał dobrze wyciągać nogi, aby dotrzymać mu kroku. Po kilku minutach byli w szpitalu.

Na widok Nathana Takaho zerwał się z krzesła.

- *Jako...* bracie...

Nathan dał mu znak, aby usiadł.

- Przeprowadziłem kogoś, kto może będzie mógł pomóc twojej córce.

Kouwe wchodził już na oddział. Nathan pospieszył za nim.

W sali panował chaos. Amerykańska lekarka, spięta i wyraźnie zdenerwowana, pochylała się nad Tamą, która znowu miała „duży” atak. Pielęgniarki biegały tam i z powrotem, wypełniając jej polecenia.

Kelly O’Brien popatrzyła na przybyszy.

— Tracimy ją - powiedziała.

— Może będę w stanie pomóc - odparł Kouwe. - Co dostała?

Lekarka szybko wyliczyła leki, jakie zaaplikowała małej, i odgarnęła włosy ze spoconej twarzy.

Kouwe kiwnął głową, otworzył swoją skrzynkę i wyjął z niej niewielką skórzaną sakiewkę.

- Potrzebuję słomki.

Pielęgniarka spełniła jego polecenie tak szybko, jakby wydała je doktor O’Brien. Nathan podejrzewał, że nie była to pierwsza wizyta profesora Kouwego w szpitalu. Nikt lepiej od niego nie znał chorób tutejszych ludzi i sposobów ich leczenia.

— Co pan robi? - spytała Kelly. Była czerwona ze zmęczenia, potargane włosy związała w koński ogon.

— Działała pani, wychodząc z błędnego założenia - stwierdził spokojnie Kouwe, napychając rurkę proszkiem z sakiewki. - Drgawkowa postać choroby elektrycznego węgorza nie jest objawem zaburzenia ośrodkowego układu nerwowego jak epilepsja, ale wynikiem dziedzicznego zaburzenia równowagi chemicznej w płynie mózgowo-rdzeniowym. To bardzo rzadka choroba, zapada na nią jedynie garstka Indian Yanomami.

— Dziedziczna choroba metaboliczna?



- Tak. Podobnie jak fawizm u niektórych rodzin mieszkających nad Morzem Śródziemnym albo choroba zimnego tłuszczu u marońskich plemion z Wenezueli. - Kouwe podszedł do dziewczynki i przywołał gestem Nathana. - Przytrzymaj ją - powiedział.

Kiedy Nathan przycisnął głowę małej do poduszki, profesor włożył koniec słomki do jej nozdrza, po czym wdmuchnął proszek do nosa Tamy.

Doktor O'Brien przyglądała mu się podejrzliwie.

— Jest pan tutejszym lekarzem?

— Nie, moja droga - odparł Kouwe i wyprostował się. - Jestem tutejszym czarownikiem.

Kelly popatrzyła na niego z niedowierzaniem, ale zanim zdążyła zaprotestować, drgawki zaczęły zanikać, a skóra dziewczynki nabrała zdrowszej barwy.

- Wchłanianie pewnych leków przez błony śluzowe zatok jest prawie tak samo skuteczne jak ich dożylna podanie - wyjaśnił Kouwe.

Kelly ze zdumieniem obserwowała Tamę.

- To działa!

Kouwe podał sakiewkę jednej z pielęgniarek.

— Doktor Rodriguez jest już w drodze? - zapytał.

— Wezwałam go przez telefon, profesorze - odparła, patrząc na zegarek. - Powinien tu być za dziesięć minut.

— Proszę przez następną dobę podawać małej pół słomki proszku co trzy godziny, a potem raz dziennie. Powinno to na tyle ustabilizować jej stan, aby można było zająć się urazami.

— Tak jest, profesorze.

Tama zamrugła i powoli otworzyła oczy. Popatrzyła na stojących wokół obcych ludzi, wyraźnie zdziwiona i przestraszona. Uspokoiła się jednak, kiedy zobaczyła Nathana.

— *Jako Basha...* - wyszeptała.

— Tak, Brat Małpa jest przy tobie - odpowiedział w języku Yanomami i poklepał ją po ręku. - Jesteś bezpieczna. Twój tata też tu jest.

Jedna z pielęgniarek zawołała Takaho. Kiedy ujrzał, że jego córka obudziła się i mówi, padł na kolana i zapłakał z ulgi.

- Będzie zdrowa - zapewnił go Nathan.

Kouwe spakował swoją skrzynkę i wyszedł. Za nim wyszli Nathan i doktor O'Brien.

— Co było w tym proszku? - spytała lekarka.

— Suszone pnącze *ku-nah-ne-mah*.

— Mikania pnąca - przetłumaczył Nathan. - Ta sama roślina, którą plemienny szaman palił we wsi nad głową dziewczynki, aby ją ocucić. Mówiłem już o tym pani.

Kelly zaczerwieniła się.

- Chyba jestem panu winna przeprosiny. Nie sądziłam... nie wyobrażałam sobie, że...

Kouwe poklepał ją po ramieniu.

- Zachodni etnocentryzm to dla nas nic nowego. Nie należy się z tego powodu wstydić, tylko trzeba z tego wyrosnąć.

Nathan nie był tak uprzejmy.

- Następnym razem proszę uważniej słuchać i wykazać się większą otwartością umysłu - powiedział szorstko.

Przygryzła wargę i odwróciła się.

Nathan poczuł się jak ostatni drań. Niepokój o małą i strach minionych godzin sprawiły, że nie potrafił się opanować. A przecież ta kobieta chciała jak najlepiej. Otworzył usta, aby przeprosić, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, do holu wszedł wysoki rudy mężczyzna w mundurze khaki i wyświechtanej baseballówce Red Soksów.

- Kelly, jeśli skończyłaś już przyjmować dostawę zapasów, powinniśmy ruszać - powiedział do lekarki. - Mamy łódź, która zabierze nas w górę rzeki.

- Oczywiście - odparła lekarka i popatrzyła na Nathana i Kouwego. - Dziękuję.

Podobieństwo między nią a rudym mężczyzną było oczywiście: takie same piegi i zmarszczki wokół oczu, ten sam bostoński akcent. Nathan pomyślał, że na pewno są rodzeństwem.

Wyprowadził ich na zewnątrz i zaskoczony cofnął się o krok, wpadając na Kouwego.

Po drugiej stronie ulicy stała kilkunastoosobowa grupa żołnierzy w pełnym rynsztunku - z M-16 ze składanymi kolbami, pistoletami w kaburach i ciężkimi plecakami. Nathan rozpoznał naszywki. Rangersi. Jeden z żołnierzy mówił coś do mikrofonu

i po chwili machnął na innych, aby ruszali w kierunku rzeki. Dwoje Amerykanów dołączyło do nich.

- Zaczekajcie! - zawołał ktoś stojący za rangersami.

Kiedy grupa żołnierzy rozdzieliła się, Nathan ujrzał uśmiechniętą znajomą twarz. Manny Azevedo. Miał na sobie pomięte spodnie, a wyrwana kieszonka koszuli zwisała jak oklapła flaga. Zza paska wystawał jego znak rozpoznawczy - krótki pejcz.

Nathan odwzajemnił uśmiech i ruszył w jego kierunku. Objęli się i pokleпали po plecach.

- Znowu bawiłeś się z Tor-torem? - zapytał Nathan, wskazując oderwaną kieszonkę.

Manny wyszczerzył się w uśmiechu.

— Odkąd go ostatni raz widziałeś, przytył dziesięć kilo.

— Wspaniale - zaśmiał się Nathan. - Jakby już nie był wystarczająco duży. - Zauważył, że rangersi zatrzymali się i patrzą na nich. - O co tu chodzi? Dokąd oni się udają?

Manny spojrział na grupę żołnierzy. Wokół zebrał się spory tłum gapiów.

- Wygląda na to, że rząd amerykański przysłał oddział zwiadowczy do penetracji dżungli.

- Po co? Będą szukać handlarzy narkotyków?

Podeszła do nich Kelly O'Brien.

Manny skinął jej głową i wskazał Nathana.

— Mogę ci przedstawić doktora Randa? Doktora Nathana Randa.

— Wygląda na to, że już się poznaliśmy - odparła Kelly. - Nie przedstawił mi się jednak.

Nathan wyczuł, że Manny i lekarka przekazują sobie jakiś niemy komunikat.

- Co się dzieje? Czego zamierzacie szukać w górze rzeki?

Kelly O'Brien popatrzyła na niego. Jej oczy miały barwę szmaragdów.

- Przybyliśmy znaleźć pana, doktorze Rand.

## 2

# Odprawa

6 SIERPANIA, GODZ. 21.15 SAO  
GABRIEL DA COCHOERIA

Kiedy Nathan szedł w stronę bazy wojskowej, towarzyszyli mu brazylijski biolog i profesor Kouwe. Profesor właśnie wrócił ze szpitala i poinformował go, że Tama wraca do zdrowia.

Ogolony i wykąpany, w uprzanym ubraniu, Nathan Rand czuł się zupełnie inaczej niż człowiek, który zaledwie kilka godzin wcześniej przybył do miasteczka z chorą dziewczynką. Miał wrażenie, jakby wraz z brudem i potem zeszkrobał i odszorował z siebie dżunglę. W ciągu kilku godzin z człowieka przyjętego do plemienia Yanomami z powrotem zamienił się w amerykańskiego obywatela. Dezodoryzujące mydło „Irlandzka wiosna” w zdumiewający sposób odmieniało ludzi. Pociągnął nosem, aby poczuć resztki zapachu.

— Po tak długim pobycie w dżungli może się od tego robić niedobrze, prawda? - mruknął profesor Kouwe i pyknął z fajki. - Kiedy po raz pierwszy opuściłem mój dom w wenezuelskim lesie, najdłużej musiałem przyzwyczajać się do bombardowania zmysłów zapachami, hałasami i całą tą wściekłą ruchliwością cywilizacji.

— Człowiek bardzo szybko przyzwyczaja się do życia w dziczy, jest jednak coś, co sprawia, że wszelkie udręki współczesnego cywilizowanego życia są warte znośnienia.

— Co to takiego? - spytał Manny.

— Papier toaletowy.

Kouwe parsknął śmiechem.

- A jak myślisz, dlaczego opuściłem dżungłę?

Podeszli do bramy oświetlonej jak choinka bazy. Spotkanie miało się zacząć za dziesięć minut. Może wtedy uzyskają choć część odpowiedzi na swoje pytania.

Nathan popatrzył na miasteczko. Nad rzeką wisiał księżyc w pełni, odbijał się w jej gładkiej powierzchni i rozmazywał w opadającej na Sao Gabriel wieczornej mgle. W nocy dżungla zdawała się odzyskiwać tereny zajęte przez cywilizację. Po zachodzie słońca odgłosy miasta ucichały, zastępowane przez odbijającą się echem pieśń nocnej krzątaczki wśród drzew, chorwały kumkających żab oraz vibrato szarańczy i świerszczy. Nawet na ulicach zamiast trąbienia samochodów i ludzkiej paplaniny słychać było łopot skrzydeł nietoperzy i wściekłe bzyczenie moskitów. Obecność człowieka widoczna była tylko w otwartych *cantina*, z których dolatywał śmiech późnych gości.

Poza tym w nocy miastem rządziła dżungla.

Nathan starał się dotrzymać kroku Manny'emu.

- Czego może chcieć ode mnie rząd USA? - zapytał.

Manny pokręcił głową.

— Dokładnie nie wiem, ale to ma jakiś związek z ludźmi, którzy finansują twoje badania.

— Tellux Pharmaceuticals?

— Właśnie. Przylecieli z kilkoma korporacyjnymi szuchami. Sądząc po wyglądzie, to prawnicy.

Nathan jęknął.

— Chyba kręcą się w pobliżu wszystkiego, w czym Tellux bierze udział.

— Nie musiałeś sprzedawać im Eco-Teku - zauważył Kouwe, nie wyjmując fajki z ust.

— Profesorze... - westchnął Nathan.

Kouwe uniósł rękę.

— Przepraszam. Wiem, to drażliwy temat.

Nie było to określenie, jakiego użyłby Nathan. Założony dwanaście lat wcześniej Eco-Tek był dzieckiem jego ojca. Była to niszowa firma farmaceutyczna, stawiająca sobie za cel wykorzystanie szamańskiej wiedzy przy produkcji nowych

leków roślinnych. Ojciec Nathana chciał ocalić od zapomnienia wiedzę ludowych uzdrowicieli basenu Amazonki i zapewnić miejscowym plemionom zyski z posiadanej przez nie wiedzy. Było to nie tylko marzenie i cel życia ojca, ale także realizacja obietnicy danej matce Nathana, Sarah. Pracując jako lekarka dla Korpusu Pokoju, poświęciła całe życie mieszkańcom tego regionu i swoją pasją zaraziła innych. Ojciec Nathana obiecał kontynuować jej dzieło i spełnieniem tej obietnicy był Eco-Tek - połączenie najnowocześniejszych modeli prowadzenia biznesu z polityką non-profit.

Ale dziedzictwo rodziców zostało połączony przez Tellux.

- Wygląda na to, że będziemy mieli eskortę - powiedział Manny, przerywając rozmyślania Nathana.

Przy bramie bazy, tuż za nerwowo podrygującym brazylijskim żołnierzem, przeżyło się dwóch rangersów w jasnobrązowych beretach.

Nathan popatrzył na pistolety w ich kaburach i znów zaczął się zastanawiać, jaki charakter ma mieć to spotkanie.

Kiedy doszli do bramy, jeden z rangersów wystąpił do przodu.

- Mamy zaprowadzić panów na odprawę. Jeśli byliby panowie tak uprzejmi iść za mną...

Odwrocił się na pięcie i ruszył przed siebie, a jego towarzyszy zajął strategiczną pozycję za nimi. Nathan poczuł, że ogarnia go strach.

Ale profesor Kouwe był beztroski jak szczygiełek. Pykał z fajki i obojętnie sunął za uzbrojonym żołnierzem. Manny też nie wyglądał na zaniepokojonego.

Przeprowadzono ich między skorodowanymi blaszanymi barakami, które służyły brazylijskiej armii jako kwatery, i zaprowadzono do rozpadającego się magazynu z zamalowanymi na czarno oknami.

Idący przodem żołnierz otworzył zardzewiałe drzwi. Nathan wszedł jako pierwszy. Spodziewał się mrocznego, zarośniętego pajęczynami wnętrza, zaskoczyło go więc, że wielkie pomieszczenie jest jasno oświetlone halogenami na słupach i podwieszonymi pod sufitem jarzeniówkami. Po betonowej podłodze biegły kable, niektóre tak grube jak jego nadgarstek.

W jednym z wydzielonych pod tylną ścianą boksów terkotał generator.

Nathan wbił zdumiony wzrok w porozstawiany dookoła najnowocześniejszy sprzęt elektroniczny: komputery, radia, telewizory.

Pośrodku tego pozornego chaosu ustawiono długi stół konferencyjny zarzucony wydrukami, mapami, wykresami i gazetami. Wszędzie krzżeli się ludzie - zarówno w wojskowych mundurach, jak i po cywilnemu. Kilka osób siedziało przy stole - w tym Kelly O'Brien - i wertowało sterty dokumentów.

Co tutaj się dzieje?

- Obawiam się, że tu nie wolno palić - powiedział jeden z eskortujących ich rangersów, wskazując na fajkę profesora Kouwego.

— Już gaszę - odparł Kouwe i wystukał fajkę w progu.

Żołnierz zdeptał żarzący się tytoń obcasem.

— Dziękuję.

Otworzyły się drzwi jednego z boksów i pojawił się w nich wysoki rudy mężczyzna - brat doktor O'Brien. Obok niego stał ktoś, kogo Nathan doskonale znał i z całego serca nie cierpiał. Był ubrany w granatowy garnitur, ale marynarkę przerzucił sobie przez rękę - marynarkę, na której z pewnością znajdowało się logo Telluksa. Jego czarne włosy były jak zwykle wybrylantynowane i starannie zaczesane. Tak samo starannie uczesana była jego kozia bródka. Uśmiech, z którym popatrzył na Nathana i jego dwóch przyjaciół, był tak obslizgły, jakby też go wybrylantynował.

Jego rudy towarzysz przyjaźnie wyciągnął do nich dłonie. Widać było, że naprawdę cieszy się z przybycia gości.

— Doktorze Rand, dziękuję, że pan zechciał do nas przyjść. Chyba zna pan doktora Richarda Zane'a?

— Poznaliśmy się już - odparł chłodno Nathan i uściśnął dłoń rudzielca. Mężczyzna miał chwyt, którym mógłby kruszyć kamienie.

— Nazywam się Frank O'Brien i jestem szefem tej operacji. Moją siostrę już pan poznał. - Skinął głową w kierunku Kelly, która popatrzyła na nich znad stołu i uniosła dłoń. - Skoro wszyscy już jesteśmy, możemy zaczynać.

Poprowadził Nathana, Kouwego i Manny'ego do stołu i dał znak, aby wszyscy zajęli miejsca.

Naprzeciwko Nathana znalazł się mężczyzna o kanciastej twarzy, z długą bladą blizną, przecinającą szyję na wysokości gardła. Obok niego usiadł jeden z rangersów z dwiema srebrnymi belkami na pagonach, które informowały, że jest kapitanem oddziału.

Miejsca u szczytu stołu zajęli Richard Zane oraz Kelly O'Brien, a Frank O'Brien usiadł z drugiej strony Zane'a. Przy drugim boku Franka siedziała pracownica Telluksa, niska Azjatka w granatowym stroju, składającym się z żakietu i spodni. Jej oczy błyszczały inteligencją i zdawała się chłonać wszystko, co się wokół działo. Kiedy Nathan napotkał jej spojrzenie, uśmiechnęła się do niego.

Gdy zajęto miejsca, Frank odchrząknął.

- Na początek chciałbym powitać doktora Randa w centrum dowodzenia operacji Amazonia, przedsięwzięciu Centrum Środowiskowego CIA oraz Dowództwa Sił Specjalnych. - Skinął głową kapitanowi rangersów. - Jesteśmy także wspierani przez rząd brazylijski i wspomagani przez dział badawczy Tellux Pharmaceuticals.

Kelly przerwała bratu uniesieniem dłoni. Musiała zauważyć dezorientację malującą się na twarzy Nathana.

- Doktorze Rand, jestem pewna, że ma pan do nas wiele pytań. Prawdopodobnie pierwsze z nich brzmi, dlaczego chce liśmy, aby pan w tym uczestniczył.

Nathan kiwnął głową.

Kelly wstała.

- Głównym celem operacji Amazonia jest poznanie losu zaginionej ekspedycji pańskiego ojca.

Nathanowi pociemniało w oczach. Poczul się jak bokser, który otrzymał niespodziewany cios. Zaczął coś mamrotać bez ładu i składu i dopiero po chwili odzyskał mowę.

— To było cztery lata temu - wykrztusił.

— Wiemy o tym, ale...

— Nie! - Wstał tak gwałtownie, że jego krzesło z hurgotem upadło na cementową podłogę. - Oni nie żyją. Wszyscy nie żyją!

Profesor Kouwe położył mu dłoń na ramieniu.



- Mój drogi...

Nathan strząsnął jego dłoń. Pamiętał tamten telefon, jakby odebrał go wczoraj. Właśnie kończył pisać doktorat na Harvardzie. Wsiadł w pierwszy samolot do Brazylii i dołączył do poszukiwań. Wspomnienia napływały szeroką falą - przypominał sobie strach, złość i rozczarowanie, jakie wtedy czuł. Kiedy ogłoszono koniec poszukiwań, nie poddał się. Wiedział, że nie wolno mu tego zrobić. Błagał ludzi z Tellux Pharmaceuticals o umożliwienie mu prywatnych poszukiwań. Tellux wraz z Eco-Tekiem finansował wyprawę ojca, której celem było określenie liczebności tubylczych plemion i zapisanie ich wiedzy medycznej, zanim zostanie zapomniana. Tellux odmówił mu jednak pomocy. Korporacja przyjęła, że ekipa albo zginęła z rąk jakiegoś wrogo nastawionego plemienia, albo natknęła się na obóz handlarzy narkotyków.

Nathan był innego zdania. W ciągu następnego roku wydał miliony na kontynuację poszukiwań, przetrząsając Amazonię w nadziei znalezienia jakiegoś znaku, tropu czy wskazówki, co mogło się stać z Carlem Randem. Była to finansowa czarna dziura, w którą wrzucał pieniądze Eco-Teku, jeszcze bardziej destabilizując firmę ojca. Eco-Tek już i bez tego ledwo zipsał - po zaginięciu prezesa zarządu w dżungli akcje firmy poleciały na łeb, na szyję. W końcu studnia wyschła. Kiedy Tellux podjął próbę przejęcia firmy, Nathan był zbyt zmęczony, zraniony i przygnębiony, aby walczyć. Tak więc Eco-Tek i jego środki trwałe - z Nathanem włącznie - przeszły na własność międzynarodowego koncernu.

Potem nastąpił jeszcze mroczniejszy okres w jego życiu - długi ciąg alkoholowego i narkotycznego otumanienia. To, że się w końcu pozbierał, było zasługą takich ludzi jak profesor Kouwe czy Manny Azevedo. Stwierdził, że w dżungli jego ból jest słabszy, że tylko tutaj jest w stanie żyć w miarę normalnie. Próbował żyć dalej najlepiej jak umiał i kontynuował pracę ojca, wspomagany ochłapami z Telluksa.

Aż do dzisiejszego dnia.

- Nie żyją! - powtórzył. - Po tak długim czasie nie ma szans, aby się dowiedzieć, co mogło się stać z moim ojcem!

Kiedy próbował się uspokoić, poczuł na sobie świdrujące spojrzenie szmaragdowych oczu Kelly O'Brien.

- Znał pan Geralda Wallace'a Clarka? - spytała.  
Nathan otworzył usta, żeby zaprzeczyć, ale przypomniał sobie, że człowiek o tym nazwisku był członkiem ekspedycji ojca. Obliznął wargi.

- To był żołnierz, który dowodził pięcioosobowym oddziałem zbrojnym ochraniającym ekspedycję ojca - odparł.  
Kelly wzięła głęboki wdech.

- Dwanaście dni temu Gerald Wallace Clark wyszedł z dżungli.  
Oczy Nathana zrobiły się wielkie jak spodki.

- Jasna cholera... - wymamrotał Manny.  
Profesor Kouwe postawił przewrócone krzesło Nathana i pomógł mu na nim usiąść.

- Niestety Gerald Clark zmarł w misji, w której się pojawił, zanim zdążył powiedzieć, skąd przybył - ciągnęła Kelly. - Celem naszej operacji jest przebadanie jego śladów wstecz i dowiedzenie się, co się stało z ekspedycją Carla Randa. Mieliśmy nadzieję, że jako jego syn będzie pan zainteresowany współpracą z nami.  
Zapadła cisza.  
Frank O'Brien odchrząknął.

- Doktorze Rand, jest pan nie tylko ekspertem od spraw dżungli i zamieszkujących ją tubylczych plemion, ale także lepiej niż ktokolwiek znał pan ojca i jego ekipę. Tego typu wiedza może się bardzo przydać podczas naszych poszukiwań.  
Nathan był zbyt zaskoczony, aby na to odpowiedzieć. Wyręczył go profesor Kouwe.

- Doskonale rozumiem, dlaczego Tellux Pharmaceuticals zaangażowała się w tę sprawę - oświadczył i popatrzył na Richarda Zane'a. - Nigdy nie przepuści okazji do wzbogacenia się... nawet na czyjejs tragedii.  
Uśmiech Zane'a zgasł.  
Kouwe zwrócił się do rodzeństwa O'Brienów.

- Dlaczego jednak interesuje się tym Centrum Środowiskowe CIA? I czemu przydzielono do tej akcji oddział rangerów? - zapytał, unosząc brwi. - Czy któregoś z państwa albo kapitan mogliby mi to wyjaśnić?  
Frank zmarszczył czoło i popatrzył na siostrę.

- Gerald Clark był żołnierzem, ale także agentem CIA. Został wysłany z tą ekspedycją w celu zebrania informacji o trasach przetrzutu kokainy w rejonie lasu deszczowego - odparła Kelly.

Frank rzucił jej ostre spojrzenie, zignorowała go jednak i dodała:

- Wszelkie dalsze wyjaśnienia zostaną udzielone jedynie wtedy, gdy doktor Rand zgodzi się przyłączyć do nas.

Kouwe popatrzył na Nathana. Ostrzegał go wzrokiem.

Nathan wziął głęboki wdech.

- Jeżeli istnieje jakakolwiek szansa dowiedzenia się, co się stało z moim ojcem, nie mogę jej odrzucić. - Odwrócił się do swoich dwóch przyjaciół. - Przecież wiecie, że nie mogę. Zgadzam się iść z wami - oświadczył.

Manny wstał.

- Wobec tego ja też idę. - Rozejrzał się po obecnych i zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, powiedział: - Rozmawiałem już z moimi przełożonymi. Jako generalny przedstawiciel FUNAI mam prawo decydować o tym, kto może wziąć udział w tej operacji.

Frank kiwnął głową.

- Zostaliśmy poinformowani o tym przed godziną. Nie mam nic przeciwko temu. Czytałem pańskie akta... biolog z pańskim doświadczeniem może się nam bardzo przydać.

Kouwe położył dłoń na ramieniu Nathana i również wstał.

— W takim razie może wam się także przydać lingwista.

— Doceniam pańską ofertę, ale tę sprawę mamy już załatwioną - odparł Frank, wskazując siedzącą obok niego Azjatkę. - Doktor Anna Fong jest antropologiem i zna kilkanaście tutejszych dialektów.

Nathan pokręcił głową.

— Bez obrazy, doktor Fong, ale profesor Kouwe zna ponad sto pięćdziesiąt...

— Doktor Rand ma rację - powiedziała Anna cichym, miłym głosem. - Profesor Kouwe jest znany na całym świecie i chyba najlepiej zna życie i zwyczaje amazońskich plemion. Byłoby dla mnie zaszczytem móc z nim współpracować.

— Jest też wybitnym specjalistą z zakresu ziołolecznictwa i chorób dżunglowych - dodała Kelly O'Brien.

Kouwe skłonił się jej w podziękę.

Kelly odwróciła się do brata.  
- Jako lekarz ekspedycji nie miałabym nic przeciwko temu, żeby nam towarzyszył.  
Frank wzruszył ramionami.  
— A pan? - zapytał, patrząc na Nathana.  
— Oczywiście, że nie.  
— W takim razie wracajmy do pracy - oświadczył Frank.  
- Przybycie doktora Randa do miasta pozwoliło nam zaoszczędzić nieco czasu, ale jeśli chcemy wyruszyć jutro o świcie, musimy jeszcze pozafatwiać mnóstwo spraw. - Kiedy zaczęto się rozchodzić, zwrócił się do Nathana: - Może uda nam się odpowiedzieć na kilka pańskich pytań.  
Ruszyli w stronę jednego z boksów w głębi budynku.  
— Zastanawiam się, w czym właściwie mam uczestniczyć... - mruknął Manny.  
— W czymś bardzo niezwykłym - odparła Kelly. - Zaraz to panom pokażę.

Nathan przyjrzał się zdjęciom ciała agenta Clarka i podał je dalej.

— Chcecie powiedzieć, że odrosła mu ręka?  
— Na to wygląda - odparł Frank i usiadł. - Potwierdziły to odciski palców. Dziś ciało Clarka przewieziono z kostnicy w Manaus do Stanów. Jutro zostanie zbadane w prywatnym ośrodku badawczym, sponsorowanym przez MEDEA.  
— MEDEA? - powtórzył Manny. - Czemu ta nazwa wydaje mi się znajoma?  
— Od chwili założenia w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku MEDEA działa na rzecz ochrony lasu deszczowego - wyjaśniła Kelly, stojąca przy rozpiętych na ścianie mapach topograficznych.  
— A czym jest ta MEDEA? - spytał Nathan.  
— W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku prowadzone były w Kongresie przesłuchania dotyczące tego, czy dane, uzyskiwane przez CIA za pomocą nadzoru satelitarnego, mogłyby być przydatne do badania i monitorowania zmian środowiska. Właśnie dlatego w tysiąc dziewięćset dziewięćdzie-

siątym drugim roku założona została MEDEA. CIA zwerbowała ponad sześćdziesięciu badaczy z różnych dziedzin, mających związek z ochroną środowiska, i zgromadziła ich w jednej organizacji, mającej analizować te dane i wyciągać z nich wnioski dotyczące zagadnień z zakresu ochrony środowiska.

— Rozumiem - mruknął Nathan.

— Jednym z założycieli tej organizacji była nasza matka, która ma wykształcenie medyczne i doświadczenie w ocenie zagrożeń związanych z niebezpiecznymi odpadami - wyjaśnił Frank. - Została zatrudniona przez naszego ojca, kiedy był zastępcą dyrektora CIA. Będzie nadzorować przeprowadzanie sekcji agenta Clarka.

Manny zmarszczył czoło.

- Pański ojciec jest zastępcą dyrektora CIA?

- Był - odparł z goryczą Frank.

Kelly odwróciła się od map.

- Obecnie jest dyrektorem Centrum Środowiskowego CIA, założonego w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku przez Alę Gore'a na żądanie MEDEA - wyjaśniła. - Frank też tam pracuje.

- A pani? - zapytał Nathan. - Pani również jest z CIA?

Kelly wzruszyła ramionami.

— Jest najmłodszym członkiem MEDEA - odpowiedział za nią brat z dumą w głosie. - To duże wyróżnienie. Dlatego zostaliśmy szefami tej misji. Ja reprezentuję CIA, a Kelly MEDEA.

— Najlepiej pozostawiać wszystko w rodzinie... - mruknął Kouwe.

— Im mniej ludzi wie o tej operacji, tym lepiej - oświadczył Frank.

— A jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Tellux Pharmaceuticals? - spytał Nathan.

— Czy to nie oczywiste? - wtrącił Kouwe. - Ekspedycja twojego ojca była finansowana przez Eco-Tek i Tellux, które się połączyły. Są właścicielami wszelkiej własności intelektualnej, uzyskanej w trakcie wyprawy. Jeżeli ekipa twojego ojca odkryła jakiś składnik o właściwościach regeneracyjnych, prawa do niego ma Tellux.

Nathan spojrział na Kelly, która wpatrywała się we własne stopy.

Frank kiwnął głową.

- To prawda. Jednak nawet w Telluksie tylko garstka ludzi zna prawdziwy cel naszej misji.

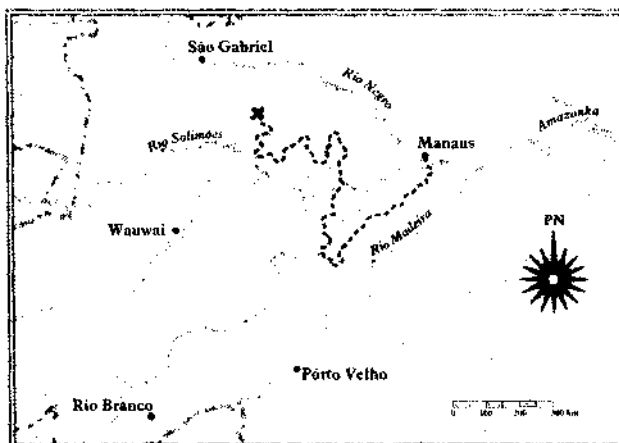
Nathan pokręcił głową.

- No to wspaniale...

Kouwe uspokajająco położył mu dłoń na ramieniu.

— Więc jaki ma być nasz pierwszy krok? - spytał Manny.

— Pozwólcie panowie, że wam coś pokażę. - Kelly ponownie odwróciła się do map na ścianie i wskazała tę, która wisiała pośrodku. - Jestem pewna, że doktor Rand ją sobie przypomina.



Nathan przyjrzał się i po chwili rozpoznał przecinającą mapę linię.

— To trasa, którą cztery lata temu przebyła ekspedycja ojca.

— Ma pan rację - powiedziała Kelly, przeciągając palcem po wykropkowanym szlaku, prowadzącym z Manaus na południe, wzdłuż rzeki Madeira. W połowie drogi do miasta Porto Velho trasa skręcała na północ, do serca basenu Amazonki. Od tego miejsca ekspedycja szła zygakiem, aż dotarła do mało zbadanego regionu między południowymi i północnymi dopływami Amazonki. Palec Kelly zatrzymał się na krzyżyku na końcu linii. - W tym miejscu utracono kontakt radiowy i stąd

rozpoczynano wszystkie poszukiwania, zarówno te sponsorowane przez rząd brazylijski, jak i te, które były finansowane prywatnie. - Popatrzyła na Nathana. - Co może nam pan o nich powiedzieć?

Nathan obszedł biurko i przyjrzał się mapie. Poczuł, jak ogarnia go znajoma rozpacz.

- Był grudzień, szczyt pory deszczowej - zaczął cicho. - Przez cały ten region przewaliły się dwa potężne układy burzowe. I właśnie dlatego nikt się nie zaniepokoił. Ale gdy raport nadal nie nadchodził, mimo że burze minęły, ogłoszono alarm. Jednak z początku nikt się zbytnio nie martwił. Przecież w ekspedycji brali udział ludzie, którzy doskonale znali dżunglę. Co mogło się im stać? Ale kiedy ekipy ratunkowe wyruszyły na poszukiwania, stwierdziły, że wszelkie ślady po ekspedycji zniknęły, spłukane deszczem lub ukryte pod wodą, która zalała las. Gdy do tego miejsca - Nathan dotknął palcem krzyżyka - dotarła pierwsza ekipa ratunkowa, znajdowało się ono pod wodą. - Odwrócił się od mapy. - Minał kolejny tydzień, potem jeszcze jeden. Nie było żadnych śladów, nie było zgłoszeń przez radio... aż do ostatniego rozpaczliwego sygnału: „Przyślijcie pomoc... nie wytrzymamy dłużej. Boże, są wszędzie wokół nas”. - Nathan wziął głęboki wdech. To wspomnienie wciąż jeszcze go prześladowało. - Ale głos był tak zniekształcony, że nie dało się nawet ustalić, kto mówił. Może wasz agent Clark. - W głębi serca był jednak przekonany, że to ojciec. Słuchał tego ostatniego komunikatu wiele razy. Popatrzył na porozrzucane na stole zdjęcia i dokumenty. - Przez następne trzy miesiące poszukiwacze krążyli po okolicy, ale burze i powodzie sprawiały, że poruszali się bardzo powoli. Nie udało im się określić, w jakim kierunku podążała grupa ojca. - Wzruszył ramionami. - Nie było to możliwe. Amazonia jest znacznie większa od Teksasu. W końcu wszyscy zrezygnowali.

- Z wyjątkiem pana - powiedziała cicho Kelly.

Nathan zacisnął dłoń w pięść.

- Nic to nie dało. Nie nawiązano z nikim kontaktu ani nie znaleziono żadnego śladu.

- Aż do tej chwili. - Kelly obróciła go delikatnie i wska-

zała czerwone kółeczko na mapie. Leżało jakieś pięćset kilometrów na południe od Sao Gabriel, niedaleko rzeki Jarurh, zasilającej Solimoes, południowy dopływ Amazonki.

— To misja Wauwai, w której zmarł agent Clark. Polecimy tam jutro.

— I co potem? - spytał Manny.

— Pójdziemy jego tropem. Mamy przewagę nad poprzednimi ekspedycjami poszukiwawczymi.

— Jaka?

— Trwa jeszcze pora sucha - odpowiedział za Kelly Nathan. - Od miesiąca przez ten region nie przechodziła żadna większa burza. - Popatrzył przez ramię na mapę. - Powinno nam się udać prześledzić jego ruchy.

— Właśnie dlatego zorganizowano tę operację w takim pośpiechu - wyjaśnił Frank. - Mamy nadzieję znaleźć wszystkie tropy, zanim zacznie się pora deszczowa i zostaną spłukane. Mamy także nadzieję, że agent Clark był na tyle przytomny, aby zostawiać znaki na drzewach czy kupki kamieni... coś, co doprowadzi nas do miejsca, gdzie był przetrzymywany przez ostatnie cztery lata.

Frank wziął ze stołu złożony arkusz papieru.

- Zatrudniliśmy Annę Fong, aby móc się porozumiewać z miejscowymi ludźmi: wieśniakami, Indianami, traperami. Musimy się dowiedzieć, czy ktokolwiek widział mężczyznę z takimi znakami na ciele. - Rozłożył i wygładził arkusz. - To było wytatuowane na piersi i brzuchu agenta Clarka. Mamy nadzieję, że uda nam się odnaleźć jakichś tubylców, którzy widzieli człowieka z takim tatuażem.

Kouwe popatrzył na rysunek i wzdrygnął się.

- Co to jest? - spytał Nathan.

Profesor wskazał falującą linię, rozchodzącą się od symbolu dłoni.





- Niedobrze. Bardzo niedobrze - mruknął i zaczął macać się po kieszeni w poszukiwaniu fajki. Popatrzył pytająco na Franka.

Rudy mężczyzna kiwnął głową.

Kouwe wyjął kapciuch, nabił fajkę i zapalił ją. Drżały mu dłonie, co było u niego niezwykle.

— Co to jest?

— Symbol Ban-ali - powiedział po chwili profesor. - Krwawe Jaguary.

— Zna pan to plemię? - spytała Kelly.

Kouwe wypuścił z ust długą smugę dymu, westchnął i pokręcił głową.

— Nikt go nie zna. To coś, o czym się szepcze wśród starszyny plemiennej, o czym przekazuje się opowieści z pokolenia na pokolenie. Według tych opowieści członkowie plemienia Ban-ali parzą się z jaguarami i umieją znikać. Przynoszą śmierć każdemu, kto się na nich natknie. Mówi się, że są tak starzy jak sama dżungla i nawet ona poddaje się ich woli.

— Nigdy o nich nie słyszałem - mruknął Nathan. - A przecież pracowałem z plemionami z całej Amazonii.

— Doktor Fong też o nich nie słyszała - wtrącił Frank.

- Wcale mnie to nie dziwi. Człowiek spoza plemienia to zawsze *pananakiri*, obcy. Nigdy nie rozmawiano by z nim o Ban-ali.

Nathan poczuł się nieco urażony.

— Ale przecież...

— Nie chcę umniejszać wartości twojej pracy, ale według wielu plemion imiona mają moc. Ludzie boją się ściągać na siebie uwagę Krwawych Jaguarów. - Kouwe wskazał rysunek. - Jeżeli weźmiecie ze sobą ten symbol, należy go pokazywać bardzo ostrożnie. Indianie mogliby was za to zabić. Nie ma większego tabu niż zakaz wpuszczania tego symbolu na teren wioski.

Kelly zmarszczyła czoło.

— A więc agent Clark raczej nie przechodził przez żadną wioskę.

— Gdyby to zrobił, nie wyszedłby z niej żywy.

Kelly i Frank wymienili zaniepokojone spojrzenia, a potem Kelly popatrzyła na Nathana.

- Ekspedycja pańskiego ojca katalogowała plemiona ama-  
zońskie, prawda? Jeżeli Carl Rand dowiedział się o tych  
tajemniczych Ban-ali albo znalazł jakiś ślad ich istnienia, być  
może zaczął ich szukać.

Manny złożył rysunek.

- I być może znalazł.

Kouwe zapatrzył się w żar swojej fajki.

- Módlmy się, żeby nie okazało się to prawdą.

Po omówieniu szczegółów dotyczących wyprawy Nathan,  
Manny i profesor Kouwe zostali odprowadzeni do wyjścia  
przez jednego z rangersów. Frank pozostał przy przenośnym  
nadajniku satelitarnym, aby przesłać swoim przełożonym ra-  
port - w tym także ojcu.

Kelly przyłapała się na tym, że co chwila zerka na Nathana  
Randa. Po niemiłej wymianie słów w szpitalu ciągle jeszcze  
czuła do niego urazę, musiała jednak przyznać, że nie jest już  
tym samym brudnym, spoconym i śmierdzącym obwiesiem,  
który przyniósł chorą dziewczynkę. Ogolony i ubrany w czyste  
rzeczy, okazał się zdecydowanie przystojnym mężczyzną: jasne  
włosy, smągła cera, stalowobłękitne oczy. Zachwycił ją nawet  
sposób, w jaki unosił brwi, kiedy coś go intrygowało.

- Kelly! - zawołał Frank. - Ktoś chciałby się z tobą  
przywitać.

Westchnęła i dołączyła do brata. Wszędzie wokół kończono  
ostatnie przygotowania i sprawdziany sprzętu. Położyła dłonie  
płasko na biurku i popatrzyła na ekran laptopa. Kiedy ujrzała  
dwie znajome twarze, uśmiechnęła się ciepło.

— Mamo, Jessie już dawno powinna spać. - Popatrzyła na  
zegarek i dodała: - U was chyba dochodzi północ.

— Jest już po północy, skarbie.

Matka Kelly mogłaby uchodzić za jej siostrę. Miała tak  
samo kasztanowe włosy jak córka; jedynym znakiem wieku  
były nieco głębsze zmarszczki w kącikach oczu i tkwiące na  
nosie okulary. Zaszła w ciążę w wieku dwudziestu dwóch lat,

kiedy jeszcze studiowała na Akademii Medycznej. Urodziła bliźniaki, które były wystarczająco dużą rodziną dla studentki medycyny i młodego inżyniera nadzoru elektronicznego marynarki wojennej. Więcej dzieci nie mieli.

Kelly poszła w ślady matki i zaszła w ciążę na czwartym roku w Georgetown. Jednak w odróżnieniu od Lauren, która nadal była z ojcem swoich dzieci, rozwiodła się z Danielem Nickersonem, kiedy przyłapała go w łóżku ze swoją koleżanką. Miał przynajmniej tyle przyzwoitości, aby nie kwestionować wniosku Kelly o przyznanie jej praw rodzicielskich do rocznej wówczas córki Jessiki.

Dziewczynka, teraz już sześciolatka, ubrana w żółtą flanelową koszulę nocną z podobizną księżniczki Pocahontas z przodu, stała obok babci. Jej potargane rude włosy wyglądały, jakby właśnie wstała z łóżka. Pomachała matce.

— Cześć, mamo!

— Cześć, skarbie. Dobrze się bawisz z babcią i dziadkiem?

Mała energicznie pokiwała głową.

— Byliśmy dziś w Chucku E. Cheesie\*!

— Brzmi nieźle. Żałuję, że nie mogłam iść z wami.

— Przynieśliśmy ci kawałek pizzy.

Matka Kelly przewróciła oczami. Wielki gryzoń sieci Chuck E. Cheese's zawsze przysparzał dziadkom kłopotów.

— Widziałaś już lwy, mamo?

— Nie, skarbie, tu nie ma lwów. Lwy mieszkają w Afryce.

— A goryle?

— Też mieszkają w Afryce. Ale za to widzieliśmy małpy.

Oczy Jessiki zrobiły się wielkie jak spodki.

- Możesz jedną złapać i przywieźć do domu? Zawsze chciałam mieć małpkę.

- Nie sądzę, aby jej się to spodobało. Ma tu swoją mamę.

Babcia objęła małą.

- Sądzę, że teraz powinniśmy dać twojej mamie pospać.

Musi tak samo jak ty wstać rano.

Dziewczynka naburmuszyła się.

Kelly przysunęła się bliżej ekranu.

\* Sieć amerykańskich restauracji specjalizujących się w obsłudze dzieci.

— Kocham cię, Jessie.

Mała pomachała jej.

— Cześć, mamó.

— Uważaj na siebie, kochanie - powiedziała starsza pani O'Brien z uśmiechem. - Chciałabym być tam z tobą.

— Masz dość własnej pracy - odparła Kelly, spojrzała na Jessie i zapytała: - Czy... przesyłka dotarła do celu?

Twarz matki spoważniała.

- Przeszła przez cło w Miami około szóstej, dotarła do Wirginii o dziesiątej i została przewieziona do instytutu Instar. Twój ojciec ciągle jeszcze tam jest, pilnuje, aby wszystko było gotowe do jutrzejszego badania.

Kelly kiwnęła głową, zadowolona, że ciało Clarka bezpiecznie dotarło do Stanów.

— Muszę teraz położyć Jessie - powiedziała matka. - Przekażę ci wszystkie nowe wieści podczas jutrzejszego popołudniowego połączenia. Bądź ostrożna.

— Nie martw się. Mamy do ochrony dziesięciu rangersów. Będę bezpieczniejsza niż w centrum Waszyngtonu.

— Mimo wszystko uważajcie.

Kelly popatrzyła na Franka, który rozmawiał z Richardem Zane'em.

- Oczywiście.

Matka posłała jej całusa.

— Kocham cię - powiedziała.

— Ja też cię kocham, mamó - odparła Kelly.

Kiedy ekran pociemniał, zamknęła laptopa. Nagle poczuła wielkie zmęczenie. Jej rzeczy już były spakowane i znajdowały się w helikopterze. Znowu zaczęła zastanawiać się nad tatuażem, przedstawiającym czerwoną serpentynę, owiniętą wokół niebieskiej dłoni - symbolem Ban-ali, plemienia duchów znad Amazonki.

Dręczyły ją dwa pytania: czy plemię Krwawych Jaguarów naprawdę istnieje, a jeśli tak, to czy dziesięciu rangersów wystarczy?

# 3

## Doktor i wiedźma

6 SIERPANIA, GODZ. 23.45 CAYENNE,  
GUJANA FRANCUSKA

Louisa Favre'a często nazywano draniem i pijakiem, ale nigdy nie mówiono mu tego w twarz. Nigdy. Nieszczęśnik, który ośmielił się to zrobić, siedział teraz na tyłku w zaułku za hotelem Seine, wielkim podupadającym kolonialnym gmachem, stojącym na wzgórzu dominującym nad stolicą Gujany Francuskiej.

Przed kilkoma minutami człowiek ten w ciemnym hotelowym barze potraktował lekceważąco innego stałego klienta, staruszka po osiemdziesiątce, któremu udało się przetrwać pobyt w kolonii karnej na Diabelskiej Wyspie. Jak wielu przywiezionych tu z Francji więźniów, otrzymał podwójny wyrok: na każdy rok spędzony w tym oddalonym o piętnaście kilometrów od brzegu piekle przypadał rok pobytu w Gujanie Francuskiej. W ten sposób Francja zapewniała sobie siłę roboczą w kolonii. Tak jak rząd się spodziewał, większość tych biedaków zostawała tu na stałe. Jakże po tylu latach mogło ich czekać życie we Francji?

Louis często przypatrywał się regularnie odwiedzającemu bar staremu człowiekowi. Obserwował, jak mężczyzna popija kolejne nierozcieńczone bourbony, i próbował odczytywać historie, zaklęte w zmarszczkach jego starej, wykrzywionej rozpaczą twarzy. Bardzo lubił te ciche chwile.

Kiedy podпиты Anglik potknął się i tracił łokieć starego,

przewracając mu drinka, a potem potoczył się dalej, nie zwracając uwagi na to, co się stało - nie mówiąc już o przeprosinach - Louis Favre wstał i zagroził mu drogę.

- Gghoń sssię, Frranssusie - wybełkotał mężczyzna.

Ale Louis nie ustąpił.

— Albo kupisz mojemu przyjacielowi nowego drinka, albo będziemy musieli załatwić to na zewnątrz, *monsieur*.

— Sspataj na rzzewo, sssapity smrosie.

Louis westchnął, po czym uderzył Anglika w nos i złapał go za poły taniej marynarki. Pozostali goście odwrócili się dyskretnie. Louis wyciągnął młodego rozrabiakę - oszołomionego uderzeniem i całą nocą ostrego chlania - tylnym wyjściem na zewnątrz, w wąski zaułek.

Anglik zaczął przeproszać, choć mówienie nie bardzo mu szło, bo pierwszy cios poluzował mu kilka zębów i usta miał pełne krwi. Kiedy Louis skończył go bić i kopać, zakrwawiony i zasikany znieruchomiał w pyle zaułka. Louis wymierzył mu ostatniego kopniaka i z satysfakcją usłyszał trzask pękającego zębra. Kiwnął głową, wziął z pojemnika na śmieci swoją białą panamę i poprawił garnitur. Popatrzył na buty ze skóry koloru kości słoniowej, wyjął śnieżnobiałą chusteczkę i starł z ich czubków krew. Wściekły na Anglika, najchętniej znowu by go kopnął, ale doszedł do wniosku, że nie warto brudzić sobie wypolerowanych butów.

Poprawił kapelusz, wrócił do zadymionego baru i dał znak barmanowi. Wskazał na staruszka.

- Dolej mojemu przyjacielowi.

Latynoski barman kiwnął głową i sięgnął po butelkę bourbona.

Louis spojrział mu w oczy i pokiwał palcem.

Zawsze żądał tego, co najlepsze - nawet kiedy stawał drinki znajomym. Skarcony barman sięgnął po butelkę starego glenlivet, najlepszej whisky w lokalu.

- *Merci* - powiedział Louis i ruszył w kierunku hotelowego holu. Niemal zderzył się z recepcjonistą.

Niski człowieczek ukłonił się i zaczął mówić szybko:

- Doktor Favre! Właśnie pana szukałem. Czeka na pana rozmowa międzynarodowa. - Podał Louisowi złożoną kart-

kę. - Nie chcieli zostawić wiadomości i podkreślali, że to bardzo pilna sprawa.

Louis rozłożył kartkę i przeczytał starannie wykaligrafowaną nazwę: ST. SAVIN BIOCHIMIQUE COMPAGNIE. Francuski koncern farmaceutyczny. Z powrotem złożył kartkę i wsunął ją sobie do kieszonki na piersi.

— Odbiorę rozmowę.

— Mamy tu prywatną kabinę...

— Wiem, gdzie ona jest - odparł Louis. Prowadził w niej wiele biznesowych rozmów.

Idąc przed recepcjonistą, wszedł do niewielkiego boks obok recepcji. Usiadł na tapicerowanym krześle, zalatującym pleśnią oraz mieszaniną starej wody kolońskiej i potu, po czym podniósł słuchawkę.

— Louis Favre - powiedział.

— *Bonjour*, doktorze Favre - powiedział głos po drugiej stronie linii. - Chcielibyśmy prosić o wykonanie dla nas usługi.

— Skoro macie ten numer, zakładam, że znacie mój cennik.

— Znamy.

— Czy mogę zapytać, jakiej klasy usług oczekujecie?

— *Premiere*.

Słowo to sprawiło, że palce Louisa zacisnęły się mocniej na słuchawce. „Pierwsza klasa” oznaczała sześciocyfrową płatność.

— Lokalizacja?

— Brazylijski las deszczowy.

— Cel?

Mężczyzna po drugiej stronie mówił bardzo szybko, ale Louis nie notował. Każda liczba natychmiast zapadała mu w pamięć, tak samo nazwiska. Zwłaszcza jedno. Oczy mu się zwęziły. Wyprostował się.

— Ekipa amerykańska musi być śledzona, a wszystko, co odkryje, ma zostać przejęte - dodał mężczyzna.

— A drugi zespół?

Nie odpowiedziano mu, słychać było jedynie szumy na linii.

- Rozumiem i zgadzam się - oświadczył Louis. - Chciałbym mieć połowę honorarium na moim zwykłym koncercie pod

koniec jutrzejszego dnia bankowego. Wszelkie szczegóły dotyczące ekipy amerykańskiej oraz posiadanych przez nią zasobów proszę jak najszybciej przefaksować na mój prywatny numer - dodał i podyktował numer.

— Otrzyma pan te dane w ciągu godziny.

— *Tres bon* - odparł Louis.

Usłyszał cichy trzask - interes został ubity.

Powoli odłożył słuchawkę i opadł na oparcie krzesła. Myśli o pieniądzach i wszystkich szczegółach związanych z zebraniem oddziału odplynęły na bok. W jego głowie jarzyło się jasnymi jak płonąca magnezja literami jedno nazwisko. Jego nowy pracodawca nie zauważył tego - gdyby tak było, oferta St. Savin wyglądałaby zupełnie inaczej. Louis przyjąłby to zlecenie nawet za cenę butelki taniego wina. Wymówił cicho to nazwisko, posmakował je na języku:

- Carl Rand...

Siedem lat wcześniej Louis Favre był biologiem i pracował dla Base Biologique Nationale de Recherches, znanej francuskiej fundacji naukowej. Jako specjalista od ekosystemów lasu deszczowego, prowadził badania na całym świecie: w Australii, na Borneo i Madagaskarze, w Kongo. Przez piętnaście lat zajmował się amazońskim lasem deszczowym, wyrabiając sobie międzynarodową reputację.

Do chwili, aż natknął się na tego przekłętą doktora Carla Randa.

Kiedy amerykański przedsiębiorca farmaceutyczny dowiedział się, w jaki sposób Louis przesłuchiwał szamana jednego z tubylczych plemion, uznał jego metody badawcze za nieco kontrowersyjne. Z jakiegoś powodu nie mógł zrozumieć, że obcinanie palców może bardzo ułatwić wydobywanie informacji z upartego Indianina, i żadna suma pieniędzy nie była w stanie nakłonić go do zmiany poglądów. Oczywiście sprawie nie pomogła też sterta znalezionych we wsi truchel zagrożonych wyginięciem czarnych kajmanów i skór jaguarów. Doktor Rand nie potrafił pojąć, że dofinansowywanie się wpływami z czarnego rynku to styl życia.

Niestety Carl Rand i towarzyszący mu oddział brazylijskich żołnierzy okazali się liczebniejsi od ludzi Louisa, więc go



pojmano i uwięziono. Na szczęście miał kontakty we Francji i dość pieniędzy, aby posmarować łapy kilku skorumpowanym brazylijskim politykom, co pozwoliło mu wykpić się tanim kosztem.

Jednak incydent ten w nieodwracalny sposób zepsuł mu reputację. Został zmuszony do ucieczki z Brazylii bez grosza przy duszy i ukrycia się w Gujanie Francuskiej. Wykorzystując swoje kontakty z czarnego rynku, zebrał oddział dżunglowych najemników. Podczas ostatnich pięciu lat jego grupa ochraniała transporty narkotyków z Kolumbii, odławiała dla prywatnych kolekcjonerów różne rzadkie i zagrożone gatunki, wyeliminowała na zlecenie właściciela kopalni złota dokuczliwego brazylijskiego inspektora rządowego, a nawet wybiła w pień małą wioskę, której mieszkańcy nie zgadzali się na wejście na ich teren firmy pozyskującej drewno. Było to bardzo lukratywne zajęcie.

Teraz mieli śledzić maszerujący przez dżunglę amerykański oddział wojskowy, szukający zagubionej ekspedycji Carla Randa, i ukraść mu wszystko, co znajdzie. Miało to na celu zdobycie pewnego środka umożliwiającego regenerację tkanek, odkrytego podobno przez zespół Randa.

Tego rodzaju zlecenie nie było niczym niezwykłym. Wyścig po nowe leki z lasu deszczowego stawał się coraz bardziej gorączkowy, ponieważ okazało się to wielomiliardowym biznesem. Poszukiwanie „zielonego złota”, nowych cudownych leków, doprowadziło w regionie Amazonki do wybuchu nowej „gorączki złota”. W otchłaniach dżungli, którą zamieszkiwali jedynie biedni jak myszy kościelne chłopcy i ciemni Indianie, zdrada i zbrodnia były codziennością. Każdego roku dżungla pożerała tysiące ludzi - umierali w wyniku chorób, ataków zwierząt, ran. Co znaczyło kilka osób więcej - biolog, etnobotanik czy poszukiwacz nowych leków?

Była to skrzynia z pieniędzmi, z której czerpać mógł każdy.

Louis Favre zamierzał dołączyć do tej gry - działając w imieniu francuskiego koncernu farmaceutycznego. Uśmiechnął się i wstał. Kiedy przed czterema laty usłyszał o zniknięciu Carla Randa, był zachwycony. Upił się wtedy, świętując nie-

szczęście, jakie spotkało jego największego wroga. Teraz miał wbić ostatni gwóźdź w trumnę tego drania - kradnąc to, co Rand odkrył.

Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz.

- Mam nadzieję, że wszystko było jak należy, doktorze Favre - powiedział recepcjonista.

- Jak najbardziej, Claude. Jak najbardziej - odparł Louis.

Ruszył do windy, antycznej klatki z kutego żelaza i drewna. W kabinie ledwo mieściły się dwie osoby. Wcisnął przycisk piątego piętra. Nie mógł się doczekać, kiedy podzieli się wiadomościami ze swoją kochanką.

Winda szczykała, pojękiwała i wzdychała przez całą drogę. Gdy dojechała do celu, Louis niemal pobiegł wąskim korytarzem do ostatniego pokoju. Jak kilku innych gości, którzy mieszkali w hotelu Seine na stałe, zajmował tu apartament składający się z dwóch sypialni, kuchenki, salonu z balkonem i niewielkiego gabinetu, pełnego regałów z książkami. Apartament nie był zbyt duży, ale wygodny. Personel hotelu był dyskretny i przyzwyczajony do ekstrawagancji gości.

Louis otworzył kluczem drzwi i wszedł do środka. Jego uwagę natychmiast zwróciły dwie rzeczy. Po pierwsze - pomieszczenie wypełniał znajomy podniecający zapach. Płynął z glinianego garnuszka, stojącego na małym gazowym piecyku. Gotowały się w nim liście ayahuasca, z których sporządza się silny halucynogeny napar, *natem*.

Po drugie z gabinetu dolatywał terkot faksu. Nowi pracodawcy działali bardzo sprawnie i szybko.

- Tshui!

Nie spodziewał się odpowiedzi, ale zgodnie ze zwyczajem plemion Shuar, kiedy wchodziło się do domu, należało o tym zawiadomić. Zauważył, że drzwi do sypialni są lekko uchylone.

Z uśmiechem na twarzy przeszedł do gabinetu. Z faksu wysunęła się kolejna kartka i spadła na rosnący pliczek. Szczegóły operacji.

- Tshui, mam wspaniałe wiadomości! - zawołał.

Wziął leżącą na wierzchu kartkę i popatrzył na nią. Znajdowała się na niej lista członków amerykańskiej ekipy poszukiwawczej.

## GODZ. 22.45: AKTUALIZACJA z bazy Alfa

- I. Op. AMAZONIA: cywilni członkowie jednostki
  - (1) dr Kelly O'Brien - MEDEA
  - (2) Francis O'Brien - Centrum Środowiskowe CIA
  - (3) Olin Pasternak - Wydział Nauki i Technologii CIA
  - (4) dr Richard Zane - Tellux Pharmaceutical, szef działu badań
  - (5) dr Anna Fong - Tellux Pharmaceutical, antropolog
  
- II. Op. AMAZONIA: wsparcie wojskowe - 75. Oddział Ran gersów Armii Stanów Zjednoczonych  
KAPITAN: Craig Waxman SIERŻANT SZTABOWY: Alberto Kostos KAPRALE: Brian Conger, James DeMartini, Rodney Gra-ves, Thomas Graves, Dennis Jorgensen, Kenneth Okamoto, Nolan Warczak, Samad Yamir
  
- III. Op. AMAZONIA: zwerbowani na miejscu
  - (1) Manuel Azevedo - FUNAI, biolog, obywatel brazylijski
  - (2) prof. Resh Kouwe - FUNAI, przedstawiciel miejscowych Indian
  - (3) dr Nathan Rand - etnobotanik, obywatel amerykański

Louis omal nie przeoczył ostatniego nazwiska na liście. Kiedy sobie uświadomił, co ma przed oczami, mocniej ścisnął kartkę. Nathan Rand, syn Carla Randa. Oczywiście, to miało sens. Chłopak nie zrezygnuje z okazji szukania śladów ekspedycji ojca. Louis zamknął oczy, delektując się tym bonusem. Bogowie mrocznej amazońskiej dżungli najwyraźniej mu sprzyjali. Zemsta, której nie udało mu się wyrzucić na ojcu, dosięgnie syna. Była w tym jakaś biblijna sprawiedliwość.

Z głównej sypialni doleciał jakiś szelest. Louis położył kartkę na stosiku. Później zapozna się ze szczegółami i ułoży plan. Teraz chciał się cieszyć chwilą.

- Tshui! - zawołał ponownie i poszedł w kierunku sypialni. Pchnął drzwi.

Pomieszczenie rozświetlało światło świec, między którymi

płonął ogień palnika. Jego przyjaciółka leżała naga na zwieńczonym baldachimem łożu. Wokół niego udrapowane były fałdy białego jedwabiu, moskitiera została odsunięta. Na stercie poduszek, ułożonych na prześcieradłach barwy kości słoniowej, oparta była kobieta z plemienia Shuar. Jej ciemnobrązowa skóra błyszczała w świetle świec. Długie włosy rozsypały się wokół jej głowy niczym wachlarz, powieki były przymknięte - może z pożądania albo od naporu *natem*. Na nocnej szafce stały dwie filizanki - pusta i pełna.

Widok kochanki jak zwykle sprawił, że Louisowi zabrakło tchu. Poznał tę kobietę przed dziesięcioma laty w Ekwadorze. Była żoną wodza Shuar - dopóki jego niewierność nie doprowadziła jej do wściekłości. Zaszlachtowała go jego własną maczetą. Choć zdrada i krwawe czyny były wśród Shuarów powszechne, Tshui została wypędzona do dżungli. Nikt - nawet kuzyni wodza - nie mieli odwagi jej dotknąć. Była dobrze znana w okolicy jako jedna z nielicznych kobiet-szamanów, uprawiała *wawek*, czarną magię. Jej umiejętności w zakresie sporządzania trucizn, tortur i zapomnianej sztuki *tzantza* - preparowania głów - budziły podziw i strach. Jedynym przedmiotem, jaki ze sobą zabrała, opuszczając wioskę, była wypreparowana głowa męża, którą zawiesiła sobie na szyi.

Kiedy Louis znalazł Tshui - dziką, piękną istotę z dżungli - wziął ją sobie, choć miał we Francji żonę, której od lat nie widział. Nie opierała się - zwłaszcza kiedy Louis i jego najemnicy wyróżnili wszystkich mieszkańców jej wioski bez względu na płeć i wiek.

Od tamtej pory byli nierozłączni. Tshui umiała przesłuchiwać ludzi i była mądra, więc towarzyszyła Louisowi we wszystkich jego akcjach. Z każdej wyprawy przywoziła sobie kolejne trofea.

Na półkach pod wszystkimi czterema ścianami leżały czterdzieści trzy *tzantza*, każda wielkości pięści - z zaszytymi ustami i powiekami i tak ułożonymi włosami, że przypominały rosnącą na drzewach oplątwe brodaczkowatą. Tshui umiała „kurczyć” głowy w zadziwiający sposób. Kiedyś przyjrzał się temu dokładnie.

Ten jeden raz wystarczył.

Zaczynała od oddzielenia z chirurgiczną precyzją skóry od czaszki - tak, aby pozostała w jednym kawałku - czasem robiła to, gdy ofiara jeszcze żyła i wrzeszczała wniebogłosy. Była prawdziwą artystką. Po ugotowaniu skóry - razem z włosami - i wysuszeniu jej nad gorącym popiołem, zaszywała powieki i usta kościaną igłą, po czym wypełniała skórzany worek gorącymi kamieniami i piaskiem. Kiedy skóra się kurczyła, modelowała ją palcami. Potrafiła tak ukształtować rysy, że przypominały ofiarę za życia.

Louis popatrzył na jej ostatnie dzieło. Leżało na stoliku przy łóżku - była to głowa boliwijskiego oficera, który szantażował handlarza narkotyków. Precyzja wykonania była zadziwiająca - od krótko przyszytych wąsów po zwisające nad czołem kosmyki włosów. Kolekcja Tshui zasługiwała na pokazywanie w najlepszych muzeach. Personel hotelu Seine sądził, że Louis jest antropologiem i zbiera eksponaty do muzeum, a jeśli ktoś myślał inaczej, trzymał buzię na kłódkę.

- *Ma chérie* - powiedział Louis. - Mam wspaniałe wieści.

Obróciła się ku niemu i wyciągnęła ręce, dając mu znak, aby położył się obok. Rzadko mówiła, rzucała jedynie od czasu do czasu pojedyncze słowa. Poza tym - jak dziki kot z dżungli - tylko patrzyła lub cicho mruzczała.

Louis zrzucił kapelusz i zdjął marynarkę. Po paru sekundach był tak samo nagi jak ona. Miał szczupłe, umięśnione ciało, poznaczone bliznami. Kiedy pił przygotowany dla niego napar *natem*, Tshui przeciągnęła palcem wzdłuż jednej z jego blizn, biegnącej przez brzuch do wnętrza uda. Louis poczuł dreszcz na plecach.

Gdy narkotyk wypełnił mu żyły, wyostrozając zmysły, położył się na niej. Otworzyła się przed nim i z wdzięcznością zanurzył się w jej ciepło. Pocałował ją, a ona drapała jego plecy ostrymi paznokciami.

Po chwili barwy i światło zaczęły mu się zlewać przed oczami. Pokój zawirował. Przez moment miał wrażenie, że leżące na półkach głowy ich obserwują, że martwe oczy patrzą, jak wbija się w Tshui. Widzowie jeszcze bardziej go podniecili.

Przydusił do pościeli leżącą pod nim kobietę, wyginając plecy i wchodząc w nią coraz głębiej. Z trudem powstrzymywał narastający w piersi krzyk.

Wszędzie wokół niego były twarze patrzące ślepych oczami.

Zanim bez reszty pochłonięła go namiętność, przemknęła mu przez głowę pewna myśl. Do trofeów na półkach należało dodać jeszcze jeden okaz - pamiątkę po synu człowieka, który go zrujnował: głowę Nathana Randa.

# AKT DRUGI

## Pod baldachimem



### BARWINEK

**rodzina:** toinowate (*Apocynaceae*)

**rodzaj:** *Vinca*

**gatunek:** *Minor, Major*

**powszechnie używana nazwa:** *barwinek, cezayirmeneksesi, barwinek popularny*

**wykorzystywane części:** *cała roślina*

**właściwości/działanie:** *przeciwbólowe, przeciwbakteryjne, przeciwzapalne, ściągające, wzmacniające serce, wiatropędne, oczyszczające, moczopędne, wywołujące miesiączkę, przeciwgorączkowe, przeciwnkrwotoczne, obniżające ciśnienie, mlekopędne, regenerujące wątrobę, uspokajające, ślinopędne, przeciwnskurczowe, zwiększające łaknienie, wzmacniające, przyspieszające gojenie się ran*

# 4

## Wauwai

7 SIERPNIĄ, GODZ. 8.12 NAD  
DŻUNGLĄ AMAZOŃSKĄ

Nathan wyglądał przez okno helikoptera. Choć miał na uszach słuchawki, ogłuszający ryk łopat wirnika zamykał każdego pasażera w jego własnym kokonie hałasu.

W dole rozpościerało się bezkresne morze zieleni - ciągnące się we wszystkich kierunkach aż po horyzont. Mogło się wydawać, że świat składa się jedynie z lasu. W tym bezkształtnym zielonym baldachimie były dziury - w miejscach, gdzie gigantyczne pojedyncze drzewa, tak zwane przerosty, wystawiały korony, w których wiły sobie gniazda harpie i tukany. Również niewidoczne z góry ciemne rzeki, wijące się leniwie przez las, znaczyły pęknięciami zielony bezkres.

Dżungla, nieprzenikniona i nieskończona, była tu najwyższą władzą.

Nathan oparł czoło o szybę. Czy ojciec gdzieś tam był? A jeżeli nie - czy kryły się tam odpowiedzi na jego wszystkie pytania?

Czuł kielkujące w głębi duszy ziarno strachu, gorzkie i kwaśne. Czy poradzi sobie z tym, co być może odkryją? Cztery minione lata nauczyły go jednego: czas wprawdzie leczy rany, ale zawsze pozostawia paskudną bliznę.

Po zniknięciu ojca Nathan odciął się od świata - najpierw schował się na dnie butelki, potem uciekł w objęcia silniejszych narkotyków. Gdy wrócił do Stanów, jego terapeuta używał



takich określeń jak: „problem odrzucenia”, „utrata zaufania” i „depresja kliniczna”. Dla Nathana jego stan był jednak wynikiem braku wiary w sens życia. Z wyjątkiem Manny'ego i Kouwego nie przyjaźnił się z nikim. Stał się zbyt twardy i zobojętniały.

Po powrocie do dżungli odnalazł coś w rodzaju spokoju. Teraz jednak...

Czy był już gotów na otwarcie starych ran, stanięcie twarzą w twarz z bólem?

W słuchawce trzasnęło i przez ryk wirnika przebił się głos pilota:

- Zaraz będziemy w Wauwai, ale na horyzoncie widać dym,

Nathan popatrzył do przodu, niestety ktoś mu zasłaniał widok. Wauwai miało służyć ekipie jako druga baza polowa, punkt pośredni, z którego dostarczano by zapasy maszerującej lasem ekipie i monitorowano jej postępy. Przed dwoma godzinami wystartowali z Sao Gabriel, wioząc na pokładach czterech helikopterów zapasy na początek wyprawy, sprzęt i broń. Po wejściu ekipy w las hueye miały służyć jako powietrzny most między Wauwai i Sao Gabriel, dowozić prowiant, ludzi i paliwo. W Wauwai miał stacjonować komancz - czarna bojowa maszyna o dużym zasięgu, która w razie potrzeby mogła chronić wyprawę z powietrza.

- Dym unosi się nad samym Wauwai - powiedział pilot. - Wioska płonie.

Nathan odsunął się od okna. Wioska płonie? Rozejrzał się po wnętrzu helikoptera. Razem z nim lecieli O'Brienowie, profesor Kouwe, Richard Zane i Anna Fong. Ostatnim pasażerem był mężczyzna o kanciastej twarzy, który podczas odprawy siedział naprzeciwko Nathana - człowiek z paskudną blizną na szyi. Przedstawiono go im dziś rano jako Olinę Pasternaka, agenta CIA, współpracującego z działem nauki i technologii. Jego błękitne jak lód oczy wpatrywały się w Nathana, nieruchoma twarz przypominała maskę.

Frank przystawił mikrofon do ust.

— Możemy lądować? - zapytał.

— Z tej odległości nie umiem ocenić sytuacji - odparł

pilot. - Kapitan Waxman poleci pierwszy i poinformuje nas, co się dzieje.

Jeden z helikopterów oderwał się od formacji i pomknął do przodu, a pozostałe maszyny zwolniły. Huey, którym lecieli, zatoczył półkole i z bocznego okienka można było zobaczyć na horyzoncie kolumnę czarnego dymu. Wznosiła się wysoko w błękitne niebo. Pasażerowie przysunęli się do okien.

Kelly O'Brien pochylała się nad ramieniem Nathana. Patrzył na jej poruszające się usta, ale hałas sprawiał, że w ogóle nie słyszał, co mówiła. Kiedy się cofnęła, zauważyła, że się w nią wpatruje.

Zaczerwieniła się i szybko odwróciła wzrok.

- Wygląda na to, że kapitan dał nam zielone światło - odezwał się w słuchawkach głos pilota. - Lądowisko znajduje się od nawietrznej. Proszę przygotować się do lądowania.

Usiedli i pozapinali pasy. Po kilku minutach helikoptery znalazły się nad wioską. Wszyscy piloci utrzymywali maszyny w takim położeniu, aby wirujące łopaty nie zdmuchiwały dymu w kierunku lądowiska. Choć nie było widać źródła ognia, dostrzegli łańcuszek ludzi, podających sobie od rzeki wiadra z wodą.

Po chwili ujrzeli kościółek z wyblakłą wieżyczką. Ogień płonął za nim, a na jego dachu stał jakiś człowiek i polewał gonty wodą.

Płozy helikoptera z lekkim tąpnięciem dotknęły ziemi i Frank dał znak, że mogą wysiadać.

Kiedy Nathan ściągnął z głowy słuchawki, jego bębenki natychmiast zaatakował ryk wirnika. Rozpiął pas i wyszedł na zewnątrz. Gdy znalazł się poza zasięgiem łopat, przeciągnął się i rozejrzał. Ostatni Huey właśnie siadał na skraju lądowiska. Wyschnięte bruzdy świadczyły o tym, że kiedyś było tu pole, które ktoś uprawiał.

Rangersi przystąpili już do działania. Kilku rozładowywało maszyny, pozostali biegli w stronę kościoła, aby pomóc gasić pożar.

Łoskot powoli cichł i po chwili dały się słyszeć głośne rozkazy, krzyki dobiegające zza kościoła, rozmowy zabezpieczających sprzęt żołnierzy.

Do Nathana podeszli Kelly i Frank.

- Powinniśmy poszukać księdza, który znalazł agenta Clarka. Musimy z nim porozmawiać - oświadczył Nathan.

Frank kiwnął głową i rodzeństwo ruszyło do tylnych drzwi kościoła.

Ktoś klepnął Nathana w bark. Był to profesor Kouwe.

- Chodźmy im pomóc - powiedział, wskazując dym.

Nathan podążył za nim. Kiedy obeszli kościół, ukazał im się obraz chaosu: ludzie biegali z wiadrami i łopatami, wokół szalały płomienie i buchał dym.

- Boże drogi... - jęknął Nathan.

Między kościołem i rzeką leżała wioska, składająca się z około stu domostw. Trzy czwarte z nich płonęło.

Ruszyli na pomoc gaszącym - Indianom o kawowej skórze, białym misjonarzom i rangersom. Po jakiejś godzinie wszyscy wyglądali tak samo: byli od stóp do głów pokryci sadzą i kaszleli od dymu.

Nathan biegał z wiadrami i próbował zdusić płomienie, powstrzymać ogień przed rozprzestrzenianiem się. Pokryte liśćmi palmowymi chaty znajdujące się w strefie ognia w ciągu kilku sekund zamieniały się w pochodnie. W końcu jednak udało się opanować pożar. Kiedy wszystkie chaty spłonęły, ogień sam przygasł. Z wioski pozostało jedynie kilka żarzących się polan.

Podczas walki z ogniem Nathan stracił Kouwego z oczu, a kiedy się skończyła, zobaczył, że profesor stoi obok wysokiego, barczystego Brazylijczyka. Mężczyzna wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać. Mamrotał coś po portugalsku - przypominało to modlitwę. Nathan doszedł do wniosku, że musi to być jeden z misjonarzy.

Odłonił usta i nos, które chronił kawałkiem materiału, i zapytał:

- Ktoś zginął?

- Pięcioro dzieci. - Głos mężczyzny się załamał. - Wiele osób zachorowało od dymu.

— Co się właściwie stało?

Misjonarz stał z twarzy sadzę.

— To moja wina. Powinienem być mądrzejszy. - Spojrzał

przez ramię na kościół. Był cały umazany sadzą, ale nie sprawiał wrażenia rannego czy poparzonego. Zasłonił oczy, a jego ramiona zadrżały. - To ja zdecydowałem, aby wysłać ciało tego człowieka do Manaus.

Nathan nagle zrozumiał, że rozmawia z przełożonym misji, człowiekiem, który znalazł Geralda Clarka.

- Padre Batista?

Brazylijczyk kiwnął głową.

- Oby Bóg mi wybaczył...

Nathan przedstawił się i obaj ruszyli w stronę kościoła. Po drodze polecił jednemu ze spoconych, czarnych od sadzy rangersów, żeby poprosił O'Brienów o przyjsie do kościoła.

Rangers słuźbiście kiwnął głową i poszedł wykonać polecenie.

Nathan i padre weszli po schodach do wnętrza kościoła, ciemnego i chłodnego. Przejście między ławkami prowadziło do ołtarza pod wielką figurą Chrystusa. Było tu jedynie kilku Indian - leżeli na podłodze i na ławkach. Nathan zaprowadził Batistę do pierwszego rzędu ławek i posadził go w nim.

Mężczyzna usiadł i jakby zapadł się w sobie. Wpatrywał się w krucyfiks.

- To wszystko moja wina - powtórzył.

Pochylił głowę i złożył dłonie.

Nathan milczał, nie chcąc mu przeszkadzać w modlitwie. Po chwili drzwi kościoła się otworzyły i pojawili się w nich O'Brienowie. Był z nimi profesor Kouwe. Wszyscy troje byli pokryci sadzą. Nathan pomachał do nich.

Kiedy podeszli bliżej, padre podniósł głowę. Nathan dokonał prezentacji i usiadł obok duchownego.

- Niech ojciec powie, co się stało. Od czego zaczął się pożar?

Batista rozejrzał się i westchnął ciężko.

— Jego przyczyną była moja krótkowzroczność...

Kelly usiadła z drugiej strony.

— Co ojciec ma na myśli?

- Kiedy ten biedak wyszedł z lasu, szaman Yanomami zganił mnie za zabranie go do misji. Powiedział też, że chory w nocy umrze, a jego ciało trzeba spalić. - Popatrz na

Nathana. - Ale jak mogłem coś takiego zrobić? Na pewno miał rodzinę. Może nawet był chrześcijaninem.

— Oczywiście. - Nathan poklepał go uspokajająco po dłoni.

— Nie powinienem jednak lekceważyć indiańskich przesądów. Zbyt wiele się spodziewałem po ich przejściu na katolicyzm i ochrzczeniu - powiedział padre i pokręcił głową.

— To nie ojca wina - odparł Nathan. - Niektóre wierzenia są zbyt głęboko zakorzenione, aby dało się je splukać chrztem.

Padre Batista westchnął.

— Z początku wszystko nie wyglądało najgorzej. Szaman był na mnie zły, że nie spaliłem ciała, ale jego zniknięcie z wioski najwyraźniej go uspokoilo.

— Co sprawiło, że sytuacja się zmieniła? - spytała Kelly.

— Po tygodniu u kilkorga dzieci pojawiła się gorączka. Nic nowego. Takie rzeczy są tu powszechne. Szaman stwierdził jednak, że stało się to z powodu wpuszczenia do wioski przybysza, na którym ciążyła klątwa.

Nathan kiwnął głową. Znał to dobrze. Większość indiańskich plemion nie uważała choroby za wynik urazu albo zaburzenia równowagi organizmu, ale za przekleństwo, rzucone przez szamana z sąsiedniej wioski. Mogło to być nawet powodem wojny między plemionami.

- Po dwóch dniach zachorowało troje kolejnych dzieci, w tym również dziecko Indian mieszkających w *shabano* - mówił Batista. - Kilka rodzin zabrało cały dobytek i uciekło. Każdej nocy słychać było śpiewy i bicie w bębny. - Zamknął oczy. - Wezwałem przez radio pomoc medyczną, jednak kiedy po czterech dniach zjawił się lekarz z Junty, żaden Indianin nie pozwolił zbadać swojego dziecka. Szaman Yano mami przekonał ich, że to działanie klątwy. Tłumaczyłem, błagałem, ale odmówili przyjęcia pomocy medycznej i oddali swoje dzieci pod opiekę wioskowemu czarownikowi.

Nathan popatrzył na Kouwego, który lekko pokręcił głową, dając mu znak, aby się nie odzywał.

- Wczoraj w nocy jedno z dzieci zmarło - ciągnął padre. - Zaczęło się wielkie lamentowanie. Aby jakoś wy-

tłumaczyć swoją porażkę, szaman ogłosił, że wieś jest przeklęta, i oświadczył, że wszyscy muszą stąd odejść. Robiłem, co mogłem, żeby uspokoić ludzi, ale bez rezultatu. Tuż przed świtem razem ze swoimi współplemieńcami podpalił okrągły plemienny dom, po czym wszyscy uciekli do dżungli. - Batista zaczął płakać. - Ten potwór... zostawił chore dzieci w środku. Spalili je żywcem. - Zakrył twarz dłońmi. - Zostało nas tak niewiele, że ogień natychmiast się rozprzestrzenił. Gdybyście się nie zjawili, straciłbym wszystko. Kościół... moich wiernych. Nathan położył mu dłoń na ramieniu.

- Niech ojciec nie rozpacza. Pomożemy w odbudowie - zapewnił go i popatrzył na brata Kelly, szukając potwierdzenia.

Frank odchrząknął.

- Oczywiście - powiedział. - Po naszym wyruszeniu w dżunglę przybędzie tu oddział rangersów i ekipa badaczy. Jestem pewien, że jako goście ojca chętnie ściagną helikopterami zapasy i pomogą ojcu odbudować wioskę.

Słowa te najwyraźniej dodały padre sił. Wytarł oczy i nos chustką.

— Niech was Bóg błogosławi.

— Zrobimy wszystko, co w naszej mocy - dodała Kelly. - Jednak czas także dla nas ma zasadnicze znaczenie. Chcemy ruszyć śladem zmarłego przybysza, zanim jego trop jeszcze bardziej wystygnie.

- Rozumiem... - odparł Batista zmęczonym głosem. - Powiem wam wszystko, co wiem.

Nie było tego wiele. Opowiedział im, co się wydarzyło, w drodze do części mieszkalnej kościoła. Jadalnia została zamieniona na prowizoryczny lazaret dla ofiar zatrucia dymem, ale na szczęście nikt poważnie nie ucierpiał. Padre powiedział, że namówił kilku Indian do pójścia tropem przybysza - na wypadek gdyby zmarły pozostawił w dżungli towarzyszy. Trop doprowadził ich do jednego z dopływów rzeki Jarurh. Nie znaleziono łodzi, ale ślad zdawał się prowadzić wzdłuż odnogi, w kierunku jednego z najbliższych miejsc dżungli. Tam indiańscy tropiciele odmówili pójścia dalej.

- Czy ktoś mógłby pokazać nam tę odnogę? - spytała Kelly.

Batista kiwnął głową. Umył twarz i chyba jakoś się pozbierał, bo jego głos brzmiał teraz bardziej zdecydowanie.

- Mogę powiedzieć mojemu pomocnikowi Henaowe, aby was tam zaprowadził. - Wskazał palcem niewysokiego Indianina.

Nathan z zaskoczeniem stwierdził, że to Yanomami.

- Jest jedynym człowiekiem z plemienia, który ze mną został - dodał z westchnieniem padre. - Miłość naszego Pana zdołała nawrócić przynajmniej jednego z nich.

Przywołał go gestem i coś do niego powiedział w dialekcie Yanomami. Nathan z podziwem słuchał, jak płynnie mówi.

Henaowe kiwnął głową, ale w jego oczach widać było strach. Choć był nawrócony, wciąż jeszcze rządziły nim głęboko zakorzenione przesady.

Gdy wyszli na zewnątrz, upał owinął ich jak mokry koc. Obeszli helikoptery. Rangersi zakończyli już wyładunek. Na ziemi leżał szereg ciężkich plecaków. Za każdym z nich stał żołnierz.

Kapitan Waxman przeprowadzał inspekcję ludzi i sprzętu. Kiedy ich ujrzał, stanął na baczność.

- Oddział gotów do wymarszu - zameldował.

Miał czterdzieści parę lat i mógłby pozować do plakatu: kamienna twarz, szerokie bary, świeżutko wyprasowany mundur, ostrzyżone na zapałkę włosy.

- My też jesteśmy gotowi - odparł Frank. - Znaleźliśmy kogoś, kto skieruje nas na właściwy trop - oświadczył, wskazując ruchem głowy towarzyszącego im Indianina.

Kapitan odwrócił się na pięcie.

- Założyć ekwipunek!

Kelly podprowadziła cywilów do drugiego szeregu plecaków - niemal dwukrotnie mniejszych od tych, jakie mieli żołnierze. Czekala już przy nich reszta ekspedycji. Anna Fong rozmawiała z Richardem Zane'em, oboje mieli na sobie stroje w kolorze khaki z logo Telluksa na ramionach. Obok nich stał Olin Pasternak, ubrany w czysty, ale najwyraźniej używany szary kombinezon i czarne buty. Kiedy pochylał się, aby podnieść największy plecak, w którym znajdował się sprzęt do komunikacji satelitarnej, wbijał wzrok w ostatniego „członka” zespołu.

Nathan uśmiechnął się pod nosem. Nie widział Manny'ego od Sao Gabriel, bo brazylijski biolog leciał w osobnym helikopterze. Powód był oczywisty: Manny w jednym ręku trzymał pejcz, a w drugim smycz.

- Jak Tor-tor zniósł lot? - spytał Nathan.

Manny poklepał ogromne zwierzę.

- Zachowywał się jak grzeczny kotek. Nie ma to jak cuda współczesnej chemii.

Jaguar jeszcze się lekko zataczał. Wyciągnął łeb, powąchał spodnie Nathana i trącił go nosem.

- Zawsze czuł do ciebie miętę - stwierdził ze śmiechem Manny.

Nathan ukląkł na jednym kolanie, poklepał zwierzę i podrapał je pod szyją. Jaguar zamruczał z zadowolenia.

- Jezu, jest teraz znacznie większy niż wtedy, gdy go widziałem ostatni raz!

Olin Pasternak skrzywił się i odwrócił, niezbyt zachwycony towarzystwem jaguara.

Nathan wyprostował się. Dołączenie do grupy Tor-tora było niełatwą sprawą, ale Manny się uparł. Tor-tor miał niedługo osiągnąć dojrzałość płciową i powinien spędzać znacznie więcej czasu w dżungli. Marsz przez dżunglę dobrze by mu zrobił. Poza tym był znakomicie wytresowany i mógł się przydać - do obrony i tropienia.

Nathan przedstawił jeszcze jeden argument, przemawiający za zabraniem wychowanka Manny'ego: jeżeli po drodze będą chcieli nakłonić Indian do współpracy, obecność Tor-tora może w tym pomóc, bo jaguar jest zwierzęciem bardzo cenionym przez tubylców.

Pierwsza zgodziła się Anna Fong, a potem przekonali Franka O'Briena i kapitana Waxmana i w końcu Tor-torowi pozwolono dołączyć do ekspedycji.

Kelly przyglądała się jaguarowi z bezpiecznej odległości. -

Musimy wyruszać.

Nathan kiwnął głową i podniósł swój plecak. Zawierał tylko najpotrzebniejsze rzeczy: hamak, moskitierę, trochę suszonego jedzenia, zmianę ubrania, maczetę, butelkę z wodą i pompę filtracyjną. Z takim wyposażeniem można było miesiącami



wędrować przez dżunglę. Dzięki obfitości owoców i jagód, korzeni i jadalnych roślin oraz zwierząt i ryb nie trzeba było nosić ze sobą pożywienia.

Miał jeszcze jeden ważny element ekwipunku: swoją wierną strzelbę z krótką lufą. Choć chronili ich rangersi, wolał mieć własną broń.

- Ruszajmy - powtórzyła Kelly. - Straciliśmy kawał dnia przy gaszeniu pożaru.

Kiedy zarzucała swój plecak na ramiona, Nathan nie mógł powstrzymać się od gapienia na jej nogi. Gdy w końcu zmusił się do podniesienia wzroku, zobaczył na jej plecaku duży czerwony krzyż - znajdowały się w nim lekarstwa wyprawy.

Frank sprawdził gotowość cywilów. Kiedy zatrzymał się przed Nathanem, wyciągnął z tylnej kieszeni spodni czerwoną baseballówkę i nałożył ją na głowę.

- Fan? - spytał Nathan, gdy zauważył, że to ta sama czapka, którą Frank miał w szpitalu w Sao Gabriel. Wskazał na logo bostońskich Red Soksów.

- I talizman na szczęście. Ruszamy!

Osiemnastoosobowa grupa, prowadzona przez indiańskiego tropiciela, zniknęła w dżungli.

Kelly jeszcze nigdy nie była w amazońskim lesie deszczowym. Przygotowując się do wyprawy, przejrzała szereg książek i artykułów, ale nie spodziewała się widoku, jaki ujrzała.

Rozglądała się zdumiona. W odróżnieniu od tego, co pokazuje się na starych filmach, dno amazońskiego lasu deszczowego wcale nie jest splątana masą czepiających się wszystkiego lian i bujnej roślinności. Odnosi się raczej wrażenie, jakby maszerowało się przez zieloną katedrę. Nad głowami znajduje się gęsty baldachim ze splecionych ze sobą gałęzi drzew, który pochłania większość słonecznego światła i zabarwia wszystko na zielonkawo. Przez ten ciągnący się nieprzerwanie „dach” przebija się i dociera do poziomu ziemi nie więcej niż dziesięć procent światła. Właśnie dlatego na najniższym piętrze lasu jest tak mało roślin. To świat mroku i rozkładu, w którym dominują owady, grzyby i korzenie.

Brak poszycia nie oznaczał jednak, że marsz przez pozabawioną ścieżek dżunglę był łatwy. Wszędzie leżały zgniłe pnie i gałęzie, pokryte żółtą pleśnią i białymi grzybami. Śliska warstwa liści w każdej chwili groziła poślizgnięciem się, a pod nią wily się korzenie przyporowe, podpierające gigantyczne drzewa w cienkiej warstwie gleby i zwiększające ryzyko skręcenia kostki.

Choć wegetacja na najniższym piętrze dżungli nie była zbyt bujna, miała wielu przedstawicieli. Tu i ówdzie rosły pierzaste paprocie, kolczaste bromelie, delikatne orchidee i smukłe palmy oplątane lianami.

Kelly usłyszała klaśnięcie i zobaczyła, że jej brat drapie się po karku.

- Cholerne muchy!

Sięgnęła do kieszeni i podała mu buteleczkę środka przeciwko owadom.

- Posmaruj się tym.

Polał płynem odkryte części ciała i wtarł nieco płynu w kark.

Podszedł do niego Nathan. Miał na głowie australijski buszmeński kapelusz i wyglądał jak Indiana Jones. Był wyraźnie rozbawiony.

- Tylko marnujecie czas z tym środkiem. Wszystko, co nałożycie na skórę, w ciągu kilku minut zostanie splukane potem.

Trudno było nie przyznać mu racji. Choć maszerowali dopiero kilkanaście minut, byli cali mokrzy. Wilgotność powietrza musiała dochodzić do stu procent.

- Więc co pan proponuje? - spytała Kelly.

Nathan wzruszył ramionami.

— Po prostu trzeba nauczyć się je ignorować. To walka, której nie da się wygrać. Jesteśmy w świecie, gdzie rządzi reguła: „zjeść albo być zjedzonym”, i czasami trzeba zapłacić za to, że cię całkiem nie zjedzą.

— Własną krwią? - spytał Frank.

— Nie skarż się. To niewielki haracz. Są tu znacznie gorsze owady niż muchy... i wcale nie mam na myśli tych naprawdę dużych, takich jak pożerające ptaki pająki czy półmetrowe skorpiony. Człowieka wykańczają małeństwa. Słyszeliście o zjadaku?

- Chyba nie - odparł Frank.

Kelly również pokręciła głową.

- No cóż, to niezbyt miły owad, który podczas kąsania wydala kał. Kiedy ofiara drapie ranę, wprowadza do swojego krwiobiegu odchody, zawierające pierwotniaka *Triponazoma crusii*. A potem, po dziesięciu albo dwudziestu latach, umiera z powodu uszkodzenia serca albo mózgu.

Frank zbladł i przestał drapać ukąszenie na karku.

- Są także czarne muchy, które przenoszą do gałki ocznej robaki, wywołując tak zwaną chorobę rzeczną. Z kolei muchy piaskowe przenoszą leiszmaniozę, chorobę mającą objawy podobne do trądu.

Kelly zmarszczyła czoło. Nie rozumiała, dlaczego Nathan próbuje przestraszyć jej brata.

— Znam dość dobrze większość tutejszych chorób zakaźnych - oświadczyła. - Żółtą febrę, dengę, malarię, cholerę, tyfus. - Poprawiła plecak z zapasami leków. - Jestem przygotowana na najgorsze.

— A na candiru?

— Co to za choroba?

— To nie choroba, ale powszechnie występująca w tutejszych wodach ryba, czasami zwana rybą-wykałaczką. Ma może trzy, cztery milimetry grubości i mniej więcej pięć centymetrów długości i pasożytuje w skrzelach większych ryb. Jest prawie przezroczysta, więc właściwie nie da się jej dostrzec. Ma brzydki zwyczaj wpływania w górę moczowodu mężczyzn i wbijania się w jego ścianki.

— W jaki sposób? - jęknął przerażony Frank.

— Rozkłada kolce grzbietowe i zakotwicza się, zatykając pęcherz moczowy i zabijając człowieka w ciągu doby.

— Jak można się jej pozbyć?

Kelly знаła tę rybę, zwaną po łacinie *Vandellia cirrhosa*, i jej paskudne zwyczaje.

— Jedynym sposobem leczenia jest odcięcie członka i wyciągnięcie ryby - powiedziała obojętnym tonem.

— Odcięcie członka? - Frank wzdrygnął się i zasłonił sobie krocze.

Nathan wzruszył ramionami.

- Witajcie w dżungli.

Kelly popatrzyła na niego uważnie, znowu zastanawiając się, dlaczego próbuje ich przestraszyć. Ale jego uśmiech świadczył o tym, że to tylko niewinne żarty.

— No i jeszcze są węże... - dodał.

— Chyba wystarczy tego - przerwał mu profesor Kouwe, ratując rodzeństwo O'Brienów od dalszego ciągu przerażającego wykładu. - Prawa dżungli należy respektować, jednak jest ona nie tylko miejscem niebezpiecznym, ale i pięknym. Potrafi niszczyć, lecz umie też uzdrawiać.

— I właśnie dlatego tu jesteśmy - powiedział jakiś głos za ich plecami.

Kelly odwróciła się. Doktor Richard Zane. Za nim zobaczyła pogrążonych w rozmowie Olinę Pasternaka i Annę Fong. Jeszcze dalej z tyłu - przy zamykających pochód rangersach - siedł Manny Azevedo z jaguarem.

Nathan zeszywniał. Pojawienie się przedstawiciela Telluksa zburzyło jego dobry nastrój.

- A co pan może wiedzieć o dżungli? - spytał zaczepnym tonem. - Od czterech lat nie wytknął pan nosa z biura Telluksa w Chicago... od czasu zaginięcia mojego ojca.

Richard Zane potarł małą kozią bródkę i choć zachował spokój, uwadze Kelly nie uszedł błysk irytacji, jaki pojawił się w jego oczach.

- Wiem, co pan o mnie myśli, doktorze Rand. To jeden z powodów, dla których zgłosiłem się do udziału w tej ekspedycji. Jak pan wie, byłem przyjacielem pańskiego...

Nathan zrobił krok w jego kierunku, zaciskając dłoń w pięść.

- Niech pan tego nie mówi! Niech pan nie mówi, że był przyjacielem mojego ojca! Kiedy przyszedłem do pana i błagałem o kontynuację poszukiwań po tym, jak rząd się poddał, odmówił pan. Czytałem notatkę, którą pan wysłał z Brazylii do Stanów: „Nie widzę dalszych korzyści z przeznaczania zasobów firmy Tellux na bezpłodne poszukiwania doktora Carla Randa. Nasze pieniądze bardziej przydadzą się do finansowania nowych przedsięwzięć”. Pamięta pan te słowa? Słowa, które skazały mojego ojca? Gdyby mocniej nacisnął pan wtedy na centralę...

— Wynik byłby taki sam - odparł Zane przez zaciśnięte zęby. - Zawsze był pan naiwny. Decyzja o zaprzestaniu poszukiwań została podjęta na długo przedtem, zanim złożyłem ten raport.

— Gówno prawda.

— Po zniknięciu wyprawy przeciw Telluksowi wystosowano ponad trzysta pozwów: od rodziny uczestników ekspedycji, gwarantów, firm ubezpieczeniowych, rządu brazylijskiego, Krajowej Fundacji Nauki. Atakowano nas ze wszystkich stron. Był to jeden z powodów, dla których musieliśmy przejąć środki trwałe Eco-Teku. Pomogło nam to pozbyć się wielu pazernych firm farmaceutycznych, które krążyły wokół nas jak rekiny. Nie mogliśmy dłużej finansować poszukiwań, które wyglądały na beznadziejne. Musieliśmy wygrać większą wojnę.

Ale Nathan przez cały czas gotował się z wściekłości.

— Postanowiliście przerwać poszukiwania, nie zawiadamiając mnie o tym.

— Gdybyśmy przegrali, tysiące rodzin straciłyby żywicieli. Musieliśmy szybko podjąć wiele trudnych decyzji i nie zamierzam za nie przeproszać.

Nathan i Zane wbili w siebie złowrogie spojrzenia.

Profesor Kouwe próbował ich uspokoić.

- Zostawmy na razie przeszłość. Jeżeli tym razem chcemy odnieść sukces, powinniśmy współpracować. Proponuję rozejm.

Po chwili Zane wyciągnął rękę.

Nathan popatrzył na jego dłoń i odwrócił się.

- Ruszajmy - powiedział tylko.

Zane pokręcił głową i popatrzył na profesora.

— Dziękuję, że pan spróbował - mruknął.

— Proszę dać mu nieco czasu - odparł Kouwe, spoglądając na odchodzącego Nathana. - Choć próbuje to ukryć, ciągle jeszcze bardzo cierpi.

Kelly również na niego patrzyła. Szedł sztywno, z wyprostowanymi ramionami. Próbowała sobie wyobrazić, jak by się czuła, gdyby także straciła matkę i ojca, ale było to dla niej czymś nie do pojęcia. Taka strata oznaczała otchłań rozpacz, z której chyba nie udałoby się jej wydobyć. Zwłaszcza gdyby była sama.

Spojrzała na brata, szczęśliwa, że jest obok niej.  
Od czoła pochodu doleciał okrzyk.  
- Doszliśmy do rzeki! - wołał jeden z rangersów.

Kiedy szli wzdłuż brzegu, Nathan trzymał się nieco z tyłu. Zza splecionej ściany gałęzi od czasu do czasu migotała brązowa woda niewielkiej rzecznej odnogi. Podążali wzdłuż niej od niemal czterech godzin. Nathan oceniał, że przeszli prawie dwadzieścia kilometrów. Posuwali się powoli, ponieważ kapral Nolan Warczak bardzo pilnował, aby nie zboczyli z wyznaczonej trasy.

Indiański przewodnik mógłby się poruszać znacznie szybciej, ale po dojściu do odnogi Yanomami z Wauwai odmówił pójścia dalej. Pokazał im w glinie wyraźne ślady stóp, prowadzące w głąb lasu.

- Wy same pójdą - wymamrotał po portugalsku. - Ja zostawam z padre Batista.

Ruszyli dalej, zdecydowani pokonać jak największy odcinek przed zapadnięciem zmroku. Kapral Warczak był jednak bardzo ostrożnym tropicielem i posuwali się do przodu w ślimaczym tempie. Dało to Nathanowi sporo czasu do rozmyślań. Kiedy się uspokoił, doszedł do wniosku, że jego wybuch podczas rozmowy z Zane'em był niepotrzebny, że być może potraktował całą tę sprawę zbyt emocjonalnie i nie wziął pod uwagę wszystkich czynników.

Trzaśnięcie gałązki po jego lewej stronie zapowiedziało przybycie Manny'ego z Tor-torem, który od początku trzymał się z dala od pozostałych. Gdy wielki kot zbliżał się do rangersów, robili się nerwowi i zaczęli przysuwać palce do spustów swoich M-16. Jedynym żołnierzem, który nie bał się jaguara, był kapral Dennis Jorgensen. Szedł teraz razem z Manny'ym i rozmawiali o Tor-torze.

- Ile je w ciągu dnia? - zapytał wysoki kapral, zdejmując kapelusz i ocierając czoło z potu. Miał zadziwiająco jasne włosy i bladobłękitne oczy, dar nordyckich przodków.

Manny poklepał wielkiego kota.

- Jakies pięć kilogramów mięsa, ale do tej pory miał za mało ruchu. Teraz trzeba będzie tę ilość podwoić.

- Jak pan go zamierza karmić?
- Musi nauczyć się polować. Dlatego wziąłem go ze sobą.
- A jeśli mu się nie uda?

Manny popatrzył na idących za nimi żołnierzy.

- Zawsze są jakieś źródła mięsa...

Jorgensen lekko zbladł, jednak po chwili zrozumiał, że Manny żartuje, i dźgnął go łokciem w zebro.

— Bardzo dowcipne - mruknął i zwolnił, żeby zaczekać na swoich kolegów.

— Jak się trzymasz? - spytał Manny Nathana. - Słyszałem o twojej pyskówce z Zane'em.

— Nic mi nie jest - odparł z westchnieniem Nathan. Tor-tor trącił go nosem w udo i Nathan podrapał zwierzę za uchem. - Ale trochę głupio się czuję.

— Niepotrzebnie. Ja też nie ufam temu gościowi. Widziałeś ten jego elegancki strój? Czy on był choć raz w życiu w dżungli?

Nathan uśmiechnął się.

- Ale za to doktor Fong wygląda w tym mundurku bardzo ładnie - dodał Manny i popatrzył na przyjaciela. - Nie wyrzuciłbym jej z hamaka... no a ta Kelly O'Brien...

Perorę Manny'ego przerwało jakieś zamieszanie na czele pochodu. Cała grupa zatrzymała się przy zakręcie rzeki. Manny i Nathan pobiegli zobaczyć, co się stało.

Anna Fong i profesor Kouwe pochylali się nad niedokładnie schowaną pod palmowymi liśćmi dłubanką.

- Trop prowadził do tego miejsca - wyjaśniła Kelly.

Nathan popatrzył na nią. Pokryta potem twarz lekarki błyszczała lekko. Odsunęła włosy do tyłu i związała je zieloną chustką do nosa.

Profesor Kouwe trzymał w ręku gałąź palmy i oglądał ją uważnie.

- Została oderwana z palmy *mwapu* - powiedział, pokażując im koniec gałęzi. - Nie odcięta, ale oderwana.

Kelly kiwnęła głową.

- Kiedy znaleziono agenta Clarka, nie miał przy sobie noża. Profesor Kouwe przeciągnął palcem po wysuszonych i po żółkłych czubkach liści.

- Sądząc z wyglądu tej gałęzi, została oderwana od pnia jakieś dwa tygodnie temu.

Podszedł do nich Frank.

— Czyli mniej więcej wtedy, gdy Gerald Clark pojawił się w wiosce.

— Właśnie.

Kelly była wyraźnie podekscytowana.

- Wobec tego musiał przypląć tym czołnem - oświadczyła.

Nathan popatrzył na wąską rzekę. Oba jej brzegi przypominały zielone ściany: pnącza, palmy, krzewy, mchy, figowce bengalskie, paprocie. Miała około dziesięciu metrów szerokości. Woda przy brzegach była na tyle przejrzysta, że pozwalała dostrzec mulisto-kamieniste dno, po chwili jednak przestawało być widoczne.

Pod powierzchnią rzeki mogło kryć się wszystko: węże, kajmany, piranie. Bywały tu nawet wielkie sumy, które mogły nieostrożnemu pływakowi odgryźć stopę.

Podszedł do nich kapitan Waxman.

- Dokąd teraz? Możemy poprosić, żeby dostarczyli nam drogą powietrzną pontony, ale co potem?

Anna Fong uniosła dłoń.

- Chyba mam odpowiedź na to pytanie. - Odsunęła resztę przykrywających czołno gałęzi i powiodła palcami po jego boku. - Sądząc po kształcie i pomalowanych na czerwono krawędziach, ta łódka została wykonana przez Yanomami. Tylko oni robią takie czołna.

Nathan ukląkł i przyjrzał się dłubance.

- Doktor Fong ma rację - stwierdził. - Gerald Clark musiał to czołno dostać od nich albo ukraść. Jeżeli popłyniemy w górę rzeki, zapytamy pierwszych Yanomami, których spotkamy, czy widzieli białego człowieka albo czy zginęło im czołno. Od tamtego miejsca zaczniemy tropić na nowo.

Frank odwrócił się do kapitana Waxmana. -

Wspomniał pan o pontonach...

Kapitan kiwnął głową.

- Przekażę naszą pozycję przez radio i każę je dostarczyć na hueyach. Trochę to potrwa, więc możemy rozłożyć obóz.



Rozbili obóz przy rzece i rozpalili ognisko. Kouwe przyniósł z lasu trochę śliwek *ubos* i orzechów *sawari*, a Manny - po wysłaniu Tor-tora na polowanie - za pomocą drąga i siatki zabrał się do łowienia ryb.

Po upływie godziny lasem wstrząsnął łoskot helikopterów, co spowodowało paniczną ucieczkę ptaków i małp. Z maszyn spuszczone na wodę trzy wielkie skrzynie, które rangersi przyciągnęli linami do brzegu. W skrzyniach znajdowały się pontony z silnikami zaburtowymi, które rangersi nazywali „gumowymi komandosami”. Kiedy słońce zaczęło zachodzić, trzy czarne pontony zostały przycumowane do drzew na brzegu.

Nathan zaczął przygotowywać sobie spanie - powiesił hamak i rozciągnął wokół niego moskitierę. Potem poszedł pomóc Kelly, która miała z tym kłopoty.

— Należy tak napiąć siatkę, aby nie dotykała hamaka, bo nocni drapieżnicy mogliby dobrać się przez nią do śpiącego.

— Poradzę sobie - zapewniła go, ale nie bardzo jej to szło.

— Pokażę pani, jak to zrobić.

Za pomocą kamyków i naniesionych przez rzekę kawałków drewna tak umocował moskitierę, aby tworzyła nad hamakiem sięgający ziemi szeroki baldachim.

Frank również walczył ze swoją moskitierą.

— Nie rozumiem, dlaczego nie możemy spać w śpiworach - powiedział. - Wszędzie, gdzie do tej pory biwakowałem, zupełnie dobrze się to sprawdzało.

— Ale teraz jesteśmy w dżungli - odparł Nathan. - Gdyby pan spał na ziemi, rano dzieliłby pan łóżko z najrozmaitszymi stworami. Wężami, jaszczurkami, skorpionami, pajakami. Jeśli ma pan na to ochotę...

— No dobrze, mogę spać w tym cholernym hamaku, ale po co ta siatka? Moskity atakowały nas przez cały dzień.

— W nocy są znacznie gorsze. A jeśli im nie uda się wypić z człowieka całej krwi, na pewno zrobią to wampiry.

— Wampiry? - zdziwiła się Kelly.

— To gatunek nietoperzy. Są tu wszędzie. W nocy należy bardzo uważać nawet podczas wyjścia do latryny. Atakują wszystkie ciepłokrwiste istoty. Jesteście oczywiście zaszczepieni przeciwko wścieklicznie?

Kelly kiwnęła głową.

- To dobrze.

Popatrzyła na łóżko, które pomagał jej przygotować. Kiedy się wyprostował, jej twarz znalazła się jedynie parę centymetrów od jego twarzy.

- Dziękuję... - powiedziała cicho.

Nathana znowu uderzył kolor jej oczu - szmaragd z odrobiną złota.

- Proszę bardzo. - Odwrócił się do ogniska i stwierdził, że wszyscy zbierają się przy nim do posiłku. - Zobaczymy, co jest na kolację.

Kiedy podeszli do ogniska, Manny i Richard Zane kłócili się zażarcie.

- Jak można występować przeciwko nakładaniu ograniczeń na przemysł drzewny? - zapytał Manny, potrząsając patelnią ze smażącą się rybą. - Przemysłowe pozyskiwanie drewna jest główną przyczyną niszczenia lasów deszczowych na świecie. W regionie Amazonki tracimy akr lasu co sekundę!

Richard Zane siedział na zwałonym pniu. Nie miał już na sobie swojej eleganckiej bluzy, a rękawy jego koszuli były podwinięte - jakby przygotował się do walki.

- Te wszystkie dane są przekłamywane przez obrońców środowiska - oświadczył. - Opierają się na źle prowadzonych badaniach i publikuje się je nie po to, by informować, ale przerażać. Znacznie prawdziwsze są dane uzyskiwane na podstawie zdjęć satelitarnych, według których niemal dziewięćdziesiąt procent brazylijskiego lasu deszczowego jest w dobrym stanie.

Manny popatrzył na niego ze złością.

- Nawet jeśli informacje na temat stopnia zniszczenia lasu a według pana przesadzone, to wszystko, co zostało utracone, zostało utracone na zawsze. Każdego dnia tracimy ponad sto gatunków roślin i zwierząt. Na zawsze.

- To pan tak twierdzi - odparł spokojnie Richard Zane. - Teoria, że wycięty las deszczowy się nie regeneruje, jest przestarzałym mitem. Po ośmiu latach prowadzenia przemysłowego wyrębu lasu deszczowego w Indonezji szybkość odradzania się roślin przekroczyła wszelkie oczekiwania. To samo

jest w tutejszych lasach. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku górnicy wycięli w zachodniej Brazylii szeroki pas lasu. Kiedy po piętnastu latach przybyli tam naukowcy, stwierdzili, że odnowiony las jest niemal nie do odróżnienia od otoczenia. Tego typu przypadki wskazują, że możliwy jest wyrąb, który nie narusza ekosystemu, a człowiek i przyroda mogą zgodnie współistnieć.

Nathana bardzo zainteresowała ta dyskusja. Jak ten palant może opowiadać się za niszczeniem lasu deszczowego?

- A co z wieśniakami, wypalającymi las dla uzyskania ziemi pod pastwiska i pola? - zapytał. - Podejrzewam, że to również pan popiera.

- Oczywiście - odparł Richard Zane. - Uważamy, że jeśli chodzi o lasy zachodniej Ameryki, regularne przechodzenie pożarów przez dojrzały las jest zdrowe, bo potrząsa wszystkim, co w nim rośnie. Dlaczego tutaj miałyby być inaczej? Jeżeli wyrąb lub pożar zniszczy dominujące gatunki, pobudza to rozwój tak zwanych gatunków tłumionych, czyli mniejszych krzewów i roślin. A tak naprawdę to właśnie one mają największą wartość medyczną. Dlaczego więc nie pozwolić na parę małych pożarów? To przynosi korzyść wszystkim zainteresowanym.

Zapadła zdumiona cisza. Przerwała ją Kelly.

— Ignoruje pan jednak implikacje globalne. Na przykład efekt cieplarniany. Czy lasy deszczowe nie są zielonymi płucami naszej planety, głównym źródłem tlenu?

— Obawiam się, że to tylko kolejny mit - oświadczył Zane. - Najnowsze badania satelitarne wykazują, że lasy mają niewielki wkład w światową produkcję tlenu, ponieważ stanowią układ zamknięty. Choć listowie baldachimu dżungli wytwarza mnóstwo tlenu, jest on zużywany przez procesy gnilne na dole, więc nie ma mowy o jego nadprodukcji. Jedynymi strefami, w których tlen jest produkowany z nadwyżką, są miejsca wtórnego odrostu lasu, bo młode drzewa wytwarzają go znacznie więcej. Tak więc kontrolowane odlesianie jest korzystne dla atmosfery kuli ziemskiej.

- A co z ludźmi, którzy żyją w lesie? - spytał Nathan. - W ciągu ostatnich pięciu wieków liczebność członków tubyl-

czych plemion spadła z ponad dziesięciu milionów do dwustu tysięcy. Podejrzewam, że według pana to także korzystne zjawisko.

Richard Zane pokręcił głową.

- Oczywiście, że nie. To tragedia. Jeżeli szaman umrze, nie przekazując nikomu swojej wiedzy, świat traci mnóstwo niemożliwych do zastąpienia informacji. To właśnie jeden z powodów, dla których walczę o fundusze na finansowanie pańskiej działalności wśród tubylczych plemion.

Nathan podejrzliwie zmrużył oczy.

— Ale las i zamieszkujący go ludzie są nierozzerwalnie ze sobą związani. Zresztą nawet gdyby to, co pan mówi, było prawdą, odlesianie niszczy gatunki. Chyba nie zaprzeczy pan temu.

— Nie, ale ekolodzy zdecydowanie przesadzają, jeśli chodzi o liczbę utraconych gatunków.

— Nawet jeden może być ważny. Na przykład barwinek różyczkowy.

Twarz Zane'a poczerwieniła.

- No cóż, ma pan rację, ale to wyjątek...

— Barwinek różyczkowy? - powtórzyła Kelly.

— To pochodząca z Madagaskaru roślina, z której pozyskuje się dwa silne cytostatyki: winblastynę i winkrystynę.

Kelly zmarszczyła brwi.

- Wykorzystywane w leczeniu choroby Hodgkina, chłoniaków i wielu nowotworów u dzieci, tak?

Nathan potwierdził kiwnięciem głowy.

— Te leki co roku ratują życie tysiącom dzieci, a roślina, z której się je wytwarza, została wypleniona w miejscu, skąd pochodzi. Co by było, gdyby nie zdążono odkryć jej właściwości? Ile dzieci by zmarło?

— Jak powiedziałem, ta roślina jest wyjątkiem.

— Naprawdę? Pan widzi ten świat przez pryzmat statystyk i zdjęć satelitarnych, ale tak naprawdę każda roślina ma jakiś potencjał leczniczy. Każdy gatunek jest bezcenny. Kto wie, jakie leki mogą zostać utracone z powodu odlesiania? Może Któraś z tych roślin mogłaby leczyć AIDS? Albo cukrzycę czy nowotwory, które dręczą ludzkość?

- Mogłaby też umożliwić regenerowanie kończyn -  
dodała cicho Kelly.

Richard Zane zapatrzył się w ogień.

- Kto wie? - mruknął.

- O to właśnie mi chodzi - powiedział Nathan.

Do ogniska podszedł Frank.

- Przypala pan rybę - stwierdził, patrząc na Manny'ego  
i wskazując zapomnianą patelnię.

Botanik zaśmiał się i zdjął patelnię z ognia.

— Dobrze, że mamy doktora O'Briena, bo inaczej  
jedlibyśmy dziś suchary.

— Olin już prawie uruchomił łącze satelitarne - powiedział  
Frank do Kelly i spojrzął na zegarek. - Za jakąś godzinę  
będziemy mogli się połączyć.

— To świetnie. - Kelly popatrzyła na pracującego przy  
rozkładanej antenie satelitarnej Pasternaka. - Może sekcja  
ciała Clarka da nam jakieś odpowiedzi. Coś, co nam pomoże.

Nathanowi przemknęło przez głowę, że może padre Garcia  
powinien posłuchać szamana Yanomami i spalić ciało Clarka.  
Indianie byli w sprawach dotyczących dżungli najmądrzejsi.  
*Na boesi, ingi sabe ala sani.* W swojej dżungli Indianie wiedzą  
najlepiej.

Popatrzył na ciemniejący las, za którym znikaty ostatnie  
promienie słońca.

Kiedy dżungla budziła się do nocnego życia chórem od-  
bijających się echem pohukiwań i pomruków, leśne mity  
nabierały kształtów i ciała. W tych zagubionych ostępach  
możliwe było wszystko.

Nawet przekleństwo Ban-ali.

## 5

# Badania nad komórkami macierzystymi

7 SIERPANIA, GODZ. 17.32  
INSTYTUT INSTAR, LANGLEY, WIRGINIA

Gdy zadzwoniono z prosektorium, Lauren O'Brien siedziała przy mikroskopie.

— Niech to cholera... - mruknęła. Wyprostowała się, zsunęła okulary z czoła na nos i wcisnęła przycisk telefonu głośnomówiącego. - Histologia, słucham.

— Doktor O'Brien, sądzę, że powinna pani tu zejść, żeby to zobaczyć - powiedział Stanley Hibbert, patolog sądowy z Johna Hopkinsa i członek MEDEA. Został poproszony o konsultację podczas sekcji Geralda Clarka.

— Jestem teraz trochę zajęta. Właśnie zaczęłam przeglądać próbki tkanek.

- Miałem rację co do tych uszkodzeń w ustach?

Lauren westchnęła.

— Pana ocena była prawidłowa. Nowotwór płaskonabłonkowy. Na podstawie wysokiego stopnia podziału pośredniego i zróżnicowania tkanki uznałabym to za złośliwość typu pierwszego. Jedną z najgorszych, jakie kiedykolwiek widziałam.

— A więc język Clarka nie został obcięty, lecz zjedzony przez nowotwór.

Lauren z trudem pohamowała chęć nieprofesjonalnego wzruszenia ramionami. Usta zmarłego były pełne rozmaitych nowotworów. Z języka pozostał jedynie krwawy strzęp. A był to

dopiero czubek góry lodowej. Podczas sekcji okazało się, że całe ciało jest poprzecastane nowotworami w różnych fazach rozwoju - zaatakowane były płuca, nerki, wątroba, śledziona, trzustka. Lauren popatrzyła na stos przygotowanych dla laboratorium histologicznego preparatów, zawierających wycinki nowotworów oraz próbki szpiku kostnego.

— Można choć w przybliżeniu określić początek raka w ustach? - spytał patolog.

— Trudno to stwierdzić z całą pewnością, ale prawdopodobnie zaczął się rozwijać jakieś sześć do ośmiu tygodni temu.

Stanley Hibbert gwizdnął.

— Cholernie szybko to poszło!

— Właśnie. Większość preparatów, które do tej pory oglądałam, wykazuje podobny stopień złośliwości. Ale nie znalazłam ani jednego nowotworu, który sprawiałby wrażenie starszego niż trzy miesiące. - Popatrzyła na leżącą przed nią stertę próbek. - Zostało mi jednak jeszcze trochę do obejrzenia.

— A co z potworniakami?

— Są takie same. Wszystkie mają od miesiąca do trzech. Ale...

— To jakiś absurd - przerwał jej doktor Hibbert. - Nigdy nie widziałem w jednym ciele aż tylu nowotworów. Zwłaszcza potworniaków.

Lauren doskonale go rozumiała. Potworniaki to torbielowate nowotwory embrionalnych komórek macierzystych, komórek zarodkowych, które mogą rozwinąć się, tworząc dowolną tkankę: mięsień, włosy, kość. Nowotwory tych komórek występują zazwyczaj jedynie w nielicznych narządach, takich jak grasica czy jądra. Ale w ciele Geralda Clarka znajdowały się wszędzie - i to właśnie było najdziwniejsze.

— Stanley, to nie tylko potworniaki. To potworniaki złośliwe.

— Wszystkie?

Kiwnęła głową, zaraz jednak przypomniała sobie, że rozmawia przez telefon.

- Wszystkie - potwierdziła. Potworniak złośliwy to nowotwór przybierający postać mieszaniny tkanki mięśniowej, wło-

sów, kości i nerwów. - Nigdy nie widziałam takich próbek. Znalazłam miejsca z częściowo wykształconą tkanką wątroby, tkanką jąder, a nawet zwojami nerwowymi.

— Mogłoby to wyjaśnić dziwną rzecz, którą znaleźliśmy...

— Co pan ma na myśli?

— Jak powiedziałem, powinna pani zejść do nas i spojrzeć na to sama.

— No dobrze - odparła z westchnieniem. - Zaraz schodzę.

Rozłączyła się i wstała. Przeciągnęła się, aby pozbyć się napięcia w plecach, spowodowanego dwugodzinnym ślęceniem przy mikroskopie. Zrezygnowała z telefonu do męża, który na pewno był bardzo zajęty. I tak miała się z nim spotkać za godzinę, podczas konferencji z Frankiem i Kelly.

Włożyła kitel laboratoryjny i ruszyła do instytutowego prosektorium. Czuła lekki niepokój. Choć była lekarzem i przez dziesięć lat pracowała w oddziale ratunkowym, nie lubiła sekcji. Od pił do kości, stołów i wag ze stali nierdzewnej wolała czyste laboratorium histopatologiczne, ale dziś nie miała wyboru.

Kiedy szła korytarzem, zastanawiała się nad dziwnym przypadkiem Geralda Clarka. Zaginął na cztery lata, po czym wyszedł z dżungli z nową ręką, co bez wątplenia należało zaliczyć do kategorii cudownych ozdrowień. Jego ciało było jednak poprzerastane nowotworami, które zaczęły się rozwijać jakieś trzy miesiące przed jego śmiercią. Skąd się wzięły? I dlaczego w jego organizmie pojawiło się tyle potworników? Gdzie przebywał przez cztery lata?

Pokręciła głowę. Było za wcześnie na odpowiedzi, ale ufała współczesnej nauce. Tajemnica Geralda Clarka na pewno wkrótce zostanie rozwikłana - dzięki jej pracy i pracy jej dzieci.

Weszła do szatni, wciągnęła na buty papierowe ochraniacze, rozsmarowała pod nosem miętową maść łagodzącą nieprzyjemne zapachy i założyła maskę chirurgiczną. Tak przygotowana, weszła do prosektorium.

Sceneria przypominała kiepski horror. Ciało Geralda Clarka było porozcinane jak truchło żaby na lekcji biologii w szkole.



Połowa jego narządów znajdowała się w czerwonopomarańczowych torbach na niebezpieczne odpady albo na szalkach wag, a na stole w głębi pomieszczenia stały próbki w formalinie i płynnym azocie. Po odpowiednim przygotowaniu miały trafić do Lauren jako zabarwione preparaty mikroskopowe - tak jak lubiła.

Zanim jeszcze znalazła się w środku, przez mentolową pastę pod nosem przebiły się mocniejsze zapachy: perhydrołu, krwi, zawartości jelit, gazów pośmiertnych. Próbowwała nie myśleć o tym, co za chwilę zobaczy.

Było tu mnóstwo ludzi w zakrwawionych fartuchach, obojętnych na koszmarnie widoki i nieprzyjemne zapachy. Pracowali szybko i sprawnie, krążąc po sali w swoim *dance macabre* medycznych profesjonalistów.

Wysoki, chudy jak kościotrup mężczyzna przywitał ją uniesieniem ręki i dał znak, aby podeszła bliżej. Lauren minęła kobietę, która przechylała szalkę wagi, by zsunąć z niej do torby wątrobę Geralda Clarka.

- Co pan znalazł, Stanley?

Doktor Hibbert wskazał na zwłoki.

- Chciałem, aby pani zobaczyła to dziwo, zanim je wytniemy.

Stali u wezłowania stołu, na którym leżało ciało Geralda Clarka. Żółć, krew i inne płyny ustrojowe ściekały do odpływu w rogu i skapywały do wiadra. Pokrywa czaszki Geralda Clarka została odpiłowana i jej zawartość znajdowała się na wierzchu.

- Proszę popatrzeć tutaj - powiedział patolog i pochylił się nad fioletowawym mózgiem.

Ostrożnie, jakby odsuwał kurtynę, odsunął kciukiem zewnętrzne opony mózgowie. Pod spodem widać było korę mózgową, poprzecinaną ciemniejszymi naczyniami krwionośnymi.

- Znaleźliśmy to przy wycinaniu mózgu z czaszki - dodał doktor Hibbert.

Rozchylił półkule mózgu. W zagłębieniu między dwiema półkami, na spoidle mózgu - białawym pęczku nerwów i naczyń krwionośnych łączących obie półkule - znajdowała się grudka wielkości orzecha włoskiego.

Patolog popatrzył na Laurę O'Brien.

— To kolejny potworniak, może nawet potworniak złośliwy, ale niech pani popatrzy na to... - Dotknął narośli kciukiem.

— Boże drogi! - krzyknęła Lauren i odskoczyła do tyłu, bo dotknięty nowotwór odsunął się od palca Hibberta. - To się... porusza!

— Niezwykłe, prawda? Dlatego chciałem, żeby pani to zobaczyła. Czytałem o takiej właściwości niektórych potworniaków... o zdolności reagowania na bodźce zewnętrzne. Opisano nawet przypadek dobrze zróżnicowanego potwornika, który miał tyle tkanki mięśnia sercowego, że bił jak serce.

Lauren odzyskała mowę.

- Ale przecież Gerald Clark nie żyje od dwóch tygodni...

Patolog wzruszył ramionami.

- Biorąc pod uwagę lokalizację, przypuszczam, że ten potworniak ma dużo komórek nerwowych. Spora ich część musi być ciągle jeszcze żywa, dlatego nowotwór reaguje na pobudzenie. Spodziewam się jednak, że po utracie ładunku przez nerwy i wyczerpaniu się rezerw wapnia w mięśniach ta zdolność zaniknie.

Próbując zebrać myśli, Lauren wzięła kilka głębokich oddechów.

— Nawet w tym przypadku dla wykształcenia tego typu odruchu narośl musi być bardzo zróżnicowana - stwierdziła.

— Bez wątplenia. Potnę ją i jak najszybciej zrobię preparaty. - Hibbert wyprostował się. - Pomyślałem jednak, że przedtem chciałyby pani obejrzeć ją w akcji.

Lauren kiwnęła głową. Patrzyła to na narośl, to na ramię zmarłego. Przyszła jej do głowy pewna myśl.

— Zastanawiam się...

— Tak?

— Liczba potworniaków i stopień dojrzałości tego guza mogą być kluczem do zrozumienia mechanizmu odrośnięcia ramienia Clarka.

Patolog zmrużył oczy.

- Chyba nie nadażam...

Lauren spojrzała na niego, zadowolona, że może patrzeć na coś innego niż poszatkowane zwłoki leżące na stole.

- Chcę powiedzieć, że jego zregenerowane ramię mogłoby

być potworniakiem, który rozrósł się i osiągnął kształt w pełni funkcjonującej kończyny. Hibbert uniósł brew.

— Kontrolowany rozrost nowotworu? Żyjący, funkcjonujący potworniak?

— Czemu nie? Przecież cały człowiek właśnie tak powstaje. Nasze ciała wykształcają się poprzez szybki, podobny do nowotworowego, podział jednej zapłodnionej komórki. Tyle że rozrastając się, komórki się różnicują, tworząc rozmaite tkanki. Czy nie to właśnie jest celem wszystkich badań nad komórkami macierzystymi: poznanie mechanizmu kontrolowanego rozrostu tkanek? Odkrycie, co powoduje, że jedna komórka staje się tkanką kostną, druga mięśniową, a trzecia nerwową? - Lauren wbiła wzrok w ciało Geralda Clarka. Już nie była spięta, ale zaciekawiona. - Może właśnie jesteśmy w trakcie poznawania tej tajemnicy.

— Gdyby nam się udało zrozumieć ten mechanizm...

— Oznaczałoby to koniec raka na świecie i rewolucję w całej medycynie.

Patolog pokręcił głową.

- Módlmy się, aby poszukiwania prowadzone przez pani syna i córkę zakończyły się sukcesem.

Lauren pożegnała się z nim i ruszyła do wyjścia. Popatrzyła na zegarek. Frank i Kelly... zbliżał się czas konferencji. Trzeba było porównać notatki. Odwróciła się i po raz ostatni popatrzyła na to, co zostało z Geralda Wallace'a Clarka.

- Coś jest w tej dżungli - mruknęła pod nosem. - Tylko co?

7 SIERPANIA, GODZ. 20.32  
DŻUNGLA AMAZOŃSKA

Kelly stała z boku, próbując przyswoić sobie to, co powiedziała matka. Wpatrywała się w ciemną gęstwinę, z której dolatywały chóralne śpiewy szarańczy i żab. Ogień ogniska rozświetlał jedynie kilka metrów leśnej otchłani. Za granicą światła dżungla nadal ukrywała swoje tajemnice.

Tuż obok Kelly pracowali rangersi, ustawiając wokół obozu detektory ruchu. Laserowe promienie, przecinające przestrzeń niecały metr nad ziemią, miały powstrzymać większe drapieżniki przed nadmiernym zbliżeniem się.

Kelly patrzyła ponad plecami żołnierzy w las.

Co tam się mogło stać z agentem Clarkiem? Drgnęła, kiedy tuż obok niej jakiś głos powiedział:

- To rzeczywiście niepokojące wiadomości.

Spojrzała na profesora. Jak długo stał obok? Najwyraźniej nie stracił umiejętności bezszelestnego poruszania się.

- Tak... Bardzo niepokojące.

Kouwe wyjął fajkę i nabił ją, a potem zapalił. W powietrzu rozszedł się zapach dymu tytoniowego.

— Co pani sądzi o sugestii matki, że nowotwory i zregenerowane ramię Clarka mogą mieć ze sobą jakiś związek?

— To intrygujące i... być może wcale nie aż tak bardzo nierealne.

— Nie rozumiem.

Kelly potarła nasadę nosa.

— Zanim wyruszyłam ze Stanów na tę wyprawę, przejrzałam publikacje dotyczące regeneracji tkanek. Uznałam, że powinnam być przygotowana na różne ewentualności.

— Hm... to bardzo rozsądne. Jeśli chodzi o dżunglę, przygotowanie i wiedza mogą oznaczać różnicę między życiem a śmiercią.

Kelly kiwnęła głową. Była zadowolona, że może się z kimś podzielić swoimi przemyśleniami.

- Podczas przeglądania tych publikacji natrafiłam na ciekawy artykuł w „Proceedings of the National Academy of Sciences”. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku zespół badaczy z Filadelfii wyhodował szczep myszy z uszkodzonym układem odpornościowym. Wykorzystywano te zwierzęta do badania stwardnienia rozsianego i AIDS. Kiedy zaczęto eksperymenty, zaobserwowano dziwne zjawisko...

— Jakie?

— Badacze wycinali w uszach myszy otwory, co jest powszechną metodą znakowania zwierząt eksperymentalnych, i stwierdzili, że zarastają one w niezwykłym tempie, w dodatku

nie pozostawiając po sobie śladu. Wycięte otwory nie zabiły się, ale całkowicie regenerowały. Wszystko się odbudowywało... tkanka chrzęstna, skóra, naczynia krwionośne, nawet nerwy. - Kelly zamilkła na chwilę, po czym podjęła: - Po tym odkryciu prowadząca ten program doktor Ellen Heber-Katz przeprowadziła kilka kolejnych eksperymentów. Amputowano myszom ogony i odrastały. Przecinano nerw wzrokowy i też się regenerował. Nawet kiedy wycinano fragment rdzenia kręgowego, po niecałym miesiącu odrastał. Do tej pory u żadnych ssaków nigdy nie zaobserwowano tego typu regeneracji. Kouwe był wyraźnie pod wrażeniem.

- Jaka była przyczyna tego zjawiska?

Kelly pokręciła głową.

— Jedyne różnice między zwykłymi myszami a tymi, które się regenerowały, polegała na tym, że te drugie miały uszkodzony układ odpornościowy.

— A jakie to ma znaczenie?

Kelly uśmiechnęła się lekko. Cieszyła się, że ma tak uważnego słuchacza.

— Zwierzęta posiadające zdolność regeneracji utraconych części ciała, na przykład rozgwiazdy, płazy i gady, mają niemal szczątkowy układ odpornościowy. Doktor Heber-Katz wysunęła hipotezę, że przed tysiącami lat ssaki dokonały czegoś w rodzaju ewolucyjnego handlu. Aby móc chronić się przed chorobami, zrezygnowały ze zdolności regeneracji. Jak pan wie, nasz skomplikowany układ odpornościowy jest tak skonstruowany, że eliminuje nieodpowiedni podział komórki, na przykład nowotworowy. Przynosi to oczywiście określone korzyści, ale jednocześnie blokuje próby odtworzenia części ciała. Podział słabo zróżnicowanych komórek, jaki byłby konieczny do regeneracji kończyny, układ odpornościowy uznałby za raka i przerwał ten proces.

— A więc złożoność naszego układu odpornościowego nie tylko nas chroni, ale i skazuje na straty.

— Chyba że coś mogłoby w bezpieczny sposób wyłączyć układ odpornościowy. Jak u tamtych myszy.

- Albo u Geralda Clarka. - Kouwe zmarszczył brwi. - Sugeruje pani, że coś wyłączyło jego układ odpornościowy,

aby mogło dojść do regeneracji ręki, ale ten sam mechanizm sprawił, że w jego organizmie rozwinęły się nowotwory?

- Być może, jednak musi to być znacznie bardziej skomplikowane. Na czym polega ten mechanizm? Dlaczego nowotwory pojawiły się u niego tak nagle i w takiej ilości? - Pokręciła głową. - I wreszcie najważniejsze: co wyzwoliło zmianę działania organizmu?

Kouwe wskazał głową w kierunku ciemnej dżungli.

— Jeżeli taki wyzwalacz istnieje, być może znajduje się właśnie tam. Trzy czwarte leków przeciwnowotworowych jest uzyskiwanych z roślin lasu deszczowego. Dlaczego nie miałoby tam być także rośliny, która wywołuje raka?

— Jakiś karcynogen?

— Tak, ale z korzystnymi działaniami ubocznymi... na przykład takimi jak regeneracja kończyn.

— Brzmi to nieprawdopodobnie, ale biorąc pod uwagę zregenerowane ramię Geralda Clarka, kto wie? W ciągu najbliższych dni badacze MEDEA będą badać jego układ odpornościowy i dokładniej przyjrzą się znalezionym w jego organizmie nowotworom. Może coś odkryją.

Kouwe wypuścił z ust długie pasmo dymu.

— Bez względu na to, jak brzmi ostateczna odpowiedź, nie zostanie znaleziona w laboratorium. Tego jestem pewien.

— A gdzie?

Zamiast odpowiedzieć, Kouwe wskazał główką fajki w kierunku ciemnego lasu.

Kilka godzin później w mroku dżungli, tuż za granicą światła ogniska, przykucnęła szczupła naga postać. Była pomalowana popiołem zmieszonym z miąższem owocu *meh-nu*, tworzącym skomplikowany wzór granatu i czerni i zamieniającym człowieka w żywy cień.

Obserwował intruzów od zapadnięcia zmroku. Dżungla nauczyła go cierpliwości. Wszyscy *teshari-rin*, czyli plemienni tropiciele, wiedzieli, że sukces zależy nie tyle od działania, co od umiejętności bezszelestnego pokonywania przestrzeni.

Pozostał na stanowisku przez całą noc, obserwując wielkich

ludzi, śmierdzących obcością i kręcących się po obozie. Mówili dziwnym językiem i mieli na sobie dziwne stroje.

Patrzył uważnie, aby jak najlepiej poznać wroga.

W pewnym momencie na grzbiet dłoni, którą opierał się o ziemię, wpełził świerszcz. Tropiciel jednym okiem dalej obserwował obóz, a drugim małego owada, pocierającego jedną tylną nogą o drugą i wygrywającego swoją pieśń.

Była to zapowiedź poranka.

Tropiciel musiał odejść. Dowiedział się już wszystkiego, czego mógł się dowiedzieć. Wstał tak płynnie i cicho, że świerszcz nie odleciał z jego ręki i nadal śpiewał swoją ostatnią tej nocy pieśń. Nagi człowiek uniósł dłoń do ust i zdmuchnął zaskoczzonego owada.

Ostatni raz rzucił okiem na obóz i ruszył w głąb dżungli. Umiał biec leśnymi ścieżkami, nie pozostawiając żadnego śladu. Nikt się nie zorientuje, że tu był.

Wiedział, co jest jego powinnością.

Śmierć wszystkim poza Wybranymi.

## 6

# Czynnik amazoński

11 SIERPANIA, GODZ. 15.12  
DŻUNGLA AMAZOŃSKA

Nathan trzymał palec na cynglu skierowanej do przodu strzelby. Kajman musiał mieć przynajmniej sześć metrów długości. Był to olbrzymi egzemplarz *Melanosuchus niger*, kajman czarny, królewski gatunek wśród krokodyli drapieżników amazońskich rzek. Leżał na brzegu i wygrzewał się w popołudniowym słońcu. Jego matowoczarne, twarde jak stalowy pancerz łuski pochłaniały promienie światła. Paszcza była lekko otwarta i widać było ostre żółte zęby, dłuższe niż dłoń mężczyzny. Ślepią kajmana były czarne jak węgiel, zimne i martwe - oczy prehistorycznego potwora. Wielka bestia tkwiła bez ruchu jak skała, trudno było stwierdzić, czy widzi trzy zbliżające się pontony.

- Zaatakuj nas? - zapytała szeptem Kelly, siedząca za plecami Nathana.

Wzruszył ramionami.

- Są nieprzewidywalne - odparł. - Ale jeśli ludzie zostawiają je w spokoju, zazwyczaj też zostawiają ludzi w spokoju.

Kłęczał na dziobie środkowego pontonu. Byli z nim O'Brie-nowie, Richard Zane i Anna Fong. Jeden z rangersów - kapral Okamoto - obsługiwał mały silnik zaburtowy. Krępy Azjata niemal bez przerwy pogwizdywał, co po czterech dniach płynięcia po rzece zaczynało być trudne do wytrzymania. Na szczęście niemelodyjne dźwięki, jakie wydawał z siebie kapral,



nie wywierały żadnego wrażenia na wylegającym się na brzegu potworze.

Ponton prowadzący konwój - trzymający się blisko przeciwnego brzegu - minął gada. Ponton zamykający był najeżony wycelowanymi w czarnego kajmana M-16.

Na każdej jednostce znajdowało się sześć osób. Pierwszą płynęło trzech żołnierzy i pozostała trójka cywilów: profesor Kouwe, Olin Pasternak i Manny, siedzący obok swojego jaguara. Tor-tor często pływał łodziami i najwyraźniej ten środek transportu mu się podobał - leniwie poruszał ogonem i nastawił uszy, ale miał półprzymknięte powieki.

W trzecim pontonie płynęło sześciu rangersów z kapitanem Waxmanem na czele.

- Powinni zastrzelić to bydlę - stwierdził Frank, patrząc na kajmana.

Nathan pokręcił głową.

— To zagrożony gatunek. W ubiegłym stuleciu niemal całkiem je wybito. Dopiero niedawno ich liczba zaczęła wzrastać.

— Ciekawe, dlaczego ta informacja mnie nie zachwyca? - mruknął Frank, rozglądając się po rzece. Naciągnął daszek czapki na czoło, jakby chciał się pod nim schować.

— Kajmany zabijają rocznie setki ludzi - wtrącił Zane. - Zatapiają łodzie, atakują, co tylko się da. Czytałem o czarnym kajmanie, którego znaleziono martwego... miał w brzuchu dwa silniki zaburtowe, które połknął w całości. Jestem tego samego zdania, co pan O'Brien. Kilka dobrze wycelowanych strzałów...

Pierwszy ponton minął właśnie miejsce, które bestia wybrała sobie na opalanie, a teraz zbliżał się do niego ponton Nathana. Silnik pomrukiwał, walcząc z leniwym prądem.

Kajman był ogromny i wyglądał, jakby pochodził z całkiem innej epoki.

— Jest wspaniały - powiedział Nathan.

— To samiec, prawda? - spytała Anna Fong, z fascynacją wpatrując się w zwierzę.

— Chyba tak, sądząc po wielkości głowy i całego ciała oraz po kształcie nozdrzy.

- Cii... - uciszył ich Frank.

- Rusza się! - zawołała Kelly i szybko przysunęła się do dalszej burty. Richard Zane zrobił to samo.

Opancerzony łeb obrócił się powoli i ślepiec zaczął śledzić ponton.

— Budzi się - stwierdził Frank.

— Wcale nie spał - odparł Nathan. - Jest tak samo ciekawy nas, jak my jego.

— Ja tam wcale nie jestem go ciekaw - mruknął Frank. - Prawdę mówiąc, może mnie pocałować w...

Kiedy minęli kajmana, wielkie cielsko błyskawicznie przesunęło się po śliskim mule i zniknęło w mulistej wodzie. Trzeci ponton właśnie dopłynął do miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą leżał. Znajdujący się w nim żołnierze strzelili kilka razy, ale nagły ruch krokodyla całkowicie ich zaskoczył. Gdy pociski wbiły się w mulisty brzeg, zwierzęcia już na nim nie było.

- Przestańcie! - zawołał Nathan. - On ucieka!

Pierwszym odruchem kajmana była ucieczka przed tym, czego nie znał. Zaatakowałby tylko wtedy, gdyby został pobudzony albo poczuł się zagrożony.

Jeden z rangersów, wysoki czarny kapral, stał wyprostowany, z wycelowanym przed siebie karabinem, i rozglądał się po wodzie.

- Nic nie widzę...

Dalej wszystko potoczyło się bardzo szybko. Ponton z rangersami wystrzelił pół metra nad wodę. Mignął czarny, pokryty łuską ogon. Stojący żołnierz poleciał głową naprzód do wody. Pozostali złapali się gumowych uchwytów. Ponton z pluskiem opadł na wodę.

Kapitan Waxman przykucnął przy silniku.

- Graves!

Kapral wystrzelił spod wody jak korek, jednak prąd zdążył go już znieść dziesięć metrów poniżej miejsca, w którym znajdowały się pontony. Zgubił kapelusz, ale broń nadal trzymał w rękach. Zaczął kopać nogami, kierując się ku najbliższemu pontonowi.

Za jego plecami, niczym wynurzający się okręt podwodny, pojawił się łeb kajmana; jego wypukłe ślepiec wyglądały jak peryskopy.

Rangersi złapali za broń, zanim jednak zdążył paść choćby jeden strzał, gad zanurzył się pod wodę.

Nathan niemal widział, jak potężny stwór sunie przez mulistą toń, przyciągany gwałtownymi ruchami miotającego się w wodzie żołnierza.

- Jasna cholera... - wymamrotał pod nosem, po czym ryknął ile sił w płucach: - Kapralu Graves! Nie ruszaj się! Przesztań kopać!

Ale żołnierz go nie usłyszał. Wszyscy wrzeszczeli do niego, żeby się spieszył. Jego spanikowana szarpanina zrobiła się jeszcze gwałtowniejsza. Kapitan Waxman cofał ponton, żeby znaleźć się bliżej Gravesa.

- Przesztań płynąć! - wrzasnął ponownie Nathan.

Bardziej ze złości, że nikt go nie słucha, niż z odwagi, odrzucił strzelbę i skoczył do wody. Zanurzył się, ale choć płynął z otwartymi oczami, mętna toń pozwalała widzieć jedynie na niewiele więcej niż pół metra. Po zanurkowaniu pchnął mocno nogami i pociągnął rękami, po czym pozwolił się nieść rozpędowi i nurtowi. Słyszał, jak zamykający konwój ponton mija go po lewej stronie.

Wygiął plecy w łuk i jego głowa wystrzeliła nad wodę. Rodney Graves był od niego oddalony najwyżej o trzydzieści centymetrów.

- Kapralu Graves! Przesztań kopać! Udawaj trupa! - krzyknął i zamarł w bezruchu, unosząc się na plecach na wodzie.

Żołnierz odwrócił się do niego. Jego oczy były okrągłe z przerażenia.

- Pieprzę... to! - wydyszał między dwoma zduszonymi oddechami.

W dalszym ciągu kopał i walił rękami. Płynący mu na ratunek ponton znajdował się już tylko metr od niego.

Nathan wyczuł w pobliżu ruch, nagłe pchnięcie wody w poprzek prądu. Fala przesunęła się między nim a kapralem.

Boże...

- Graves! - krzyknął po raz ostatni.

Jeden z rangersów - Nathan rozpoznał w nim brata Rodneya Gravesa - wychylił się poza burtę pontonu. Dwóch kolegów trzymało go za pas. Wyrzucił do przodu ramiona, jego twarz wykrzywił lęk o brata.

Rodney kopał nogami i wyciągał przed siebie ręce.

Tom Graves złapał go za palce.

- Mam go! - zawołał.

Zaczął ciągnąć brata, a jego samego ciągnęli koledzy. Drugą ręką złapał Rodneya za kurtkę munduru i szarpnął się całym ciałem do tyłu, aby go wciągnąć do pontonu.

Rodney wyfrunął z wody i wylądował w pontonie na brzuchu. Roześmiał się z ulgą.

- Cholerny krokodyl! - wysapał.

Kiedy odwracał się na plecy, żeby wyciągnąć z wody resztę ciała, wynurzyły się z niej potężne szczęki, rozwarłe jak potężne wrota, i połknęły jego nogi do połowy ud. Zęby zacisnęły się na ofierze i kajman zaczął cofać się do wody. Gdy Rodney został wyszarpięty z rąk brata, z jego ust wydobył się przeraźliwy krzyk.

Po chwili zniknął pod wodą, ale jego wrzask jeszcze przez kilka sekund odbijał się echem nad rzeką. Klęczący żołnierze celowali w wodę, nie padł jednak ani jeden strzał. Nie chcieli ryzykować, że kula trafi nie gada, ale towarzysza broni. Widać było jednak, że wszyscy zdają sobie sprawę z tego, co się stało. Kapral Rodney Graves był stracony. Wszyscy widzieli ogromne szczęki, które go porwały.

Teraz kajman zaciągnie swój łup jak najgłębiej i przytrzyma go, aż ofiara wyzionie ducha. Potem albo zacznie jeść, albo „zmagazynuje” ciało pod wodą, pod korzeniami mangrowców, by po nadgniciu dawało się łatwiej rozrywać.

Nie było żadnego sposobu uratowania kaprała Gravesa.

Nathan unosił się w wodzie, nie poruszając kończynami. Wielki gad był prawdopodobnie zadowolony, że zdobył posiłek, ale tam, gdzie pojawił się jeden, szybko mogły się pojawić się inne - zwłaszcza że w wodzie była krew. Wolał nie ryzykować. Przekręcił się na plecy i leżał na wodzie bez ruchu, dopóki nie poczuł, że łapia go ręce żołnierzy i wyciągają na ponton.

Tom Graves wpatrywał się we własne dłonie, jakby obwiniął je o to, że okazały się zbyt słabe, aby utrzymać brata.

- Przykro mi - powiedział cicho Nathan.

Kapral podniósł wzrok i w jego oczach pojawił się błysk wściekłości - że Nathan przeżył, a jego brat zginął. Odwrócił się sztywno.

Kapitan Waxman nie był jednak taki powściągliwy.

- Na Boga, co pan próbował zrobić? - warknął. - Co to za chory numer? Też chciałeś zginąć, człowieku?

Nathan odsunął z oczu mokre włosy. Po raz drugi w tym tygodniu wskoczył do Amazonki, żeby kogoś ratować. Najwyraźniej nabierał złych nawyków.

— Próbowałem pomóc...

— To my mamy was chronić. Nie na odwrót!

Nathan nie odpowiedział. Przeszedł przez stojące obok siebie pontony i wrócił na swoje miejsce.

Kapitan Waxman dał znak, że mają płynąć dalej. Zawyły silniki.

— Kapitanie... ale mój brat... - jęknął Tom Graves. - Jego ciało...

— On odszedł, kapralu. Odszedł.

Popłynęli dalej. Nathan kątem oka zauważył, że Kouwe ze smutkiem kręci głową. W dżungli nawet najlepsza broń i doskonałe wyszkolenie wojskowe mogą okazać się niewystarczające. Jeżeli postanowi połknąć człowieka, to go połknie. Zjawisko to nosi nazwę „czynnika amazońskiego”: kto wędruje przez dżunglę, zdany jest na jej łaskę i niełaskę.

Nathan poczuł dotknięcie dłoni na kolanie. Obok niego usiadła Kelly i westchnęła.

- To było głupie, ale... cieszę się, że pan to zrobił.

Miał siłę jedynie na krótkie skinienie głową, ale jej słowa ogrzały lodowatą pustkę w jego wnętrzu.

Przez resztę dnia podróżowali w milczeniu. Nawet kapral Okamoto przestał pogwizdywać. Płynęli, aż słońce zbliżyło się do horyzontu - jakby chcieli zostawić jak najdalej za sobą miejsce śmierci Rodneya Gravesa.

Kiedy rozbijali obóz, przekazano tragiczną wieść do Wauwai. Ponury nastrój trwał przez całą kolację, składającą się z ryby, ryżu i dżunglowych batatów, które Kouwe znalazł w pobliżu.

Rozmawiano jedynie o jedzeniu - o owocach przyniesionych przez profesora w plecaku zrobionym z palmowych liści.

- Trudno znaleźć ich tyle w jednym miejscu - zauważył Nathan.

Kouwe wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie miejsce, w którym je znalazłem, było kiedyś indiańskim sadem. Rosło tam też kilka drzew awokado i ananasów.

Widelec Kelly zatrzymał się w połowie drogi.

- Indiański sad? - powtórzyła, patrząc na profesora.

Przez ostatnie cztery dni nie natknęli się na nikogo. Jeżeli Gerald Clark dostał czóino od Indian Yanomami, powinni być gdzieś w pobliżu, ale nie mieli pojęcia, gdzie można ich znaleźć.

— Tak, ale został już dość dawno porzucony - powiedział Kouwe, gasząc nadzieję, która zamigotała w oczach Kelly. - Przy brzegach rzek w regionie Amazonki można znaleźć wiele takich miejsc. Tutejsze plemiona, a zwłaszcza Yanomami, to wędrowcy. Zakładają sady, pozostają w tym samym miejscu przez rok lub dwa, po czym przenoszą się gdzie indziej. Obawiam się, że obecność tego sadu niczego nie oznacza.

— W każdym razie to już coś - odparła Kelly. - Znak, że byli tu jacyś ludzie poza nami.

— Te bataty są naprawdę świetne - wtrącił Frank. - Już mi się robiło niedobrze od ryżu.

Manny uśmiechnął się i przeciągnął palcami przez futro jaguara. Tor-tor leżał przy ognisku i pożerał wielką rybę.

W pewnej odległości od ich ogniska rangersi zapalili drugie. O zachodzie słońca odbyli przy nim krótką ceremonię pogrzebową i siedzieli teraz przy kolacji milczący i ponurzy. Ich zachowanie znacznie się różniło od tego z poprzednich wieczorów, kiedy przed położeniem się do hamaków i wyznaczeniem wart wymieniali się sprośnymi dowcipami i rechotali jak nakręceni. Wydarzenia dzisiejszego dnia gwałtownie ich uspokoiły.

- Chyba powinniśmy już iść spać - stwierdziła w końcu Kelly i wstała. - Jutro przed nami kolejny trudny dzień.

Zaczęto się rozchodzić. Kiedy Nathan wrócił z latryny, zastał przy swoim hamaku Kouwego - jak zwykle pykającego z fajki.

— Profesorze... - zaczął Nathan, czując, że profesor chce porozmawiać z nim w cztery oczy.

— Przejdźmy się, zanim rangersi włączą czujniki ruchu - zaproponował Kouwe i ruszył w kierunku lasu.

Nathan poszedł za nim.

- O co chodzi? - spytał po chwili.

Kiedy znaleźli się głęboko w mroku dżungli i ogniska obozu migotały przez liście jak dwie zielone plamki, Kouwe zatrzymał się.

- Po co mnie tu przyprowadziłeś? - zapytał Nathan.

Profesor zapalił małą latarkę.

Nathan rozejrzał się. W miejscu, w którym stali, nie było wysokich drzew. Rosło tu jedynie kilka niskich drzew chlebowych i pomarańczowych oraz parę figowców. Nathan domyślił się, że są w porzuconym indiańskim sadzie, o którym mówił wcześniej Kouwe. Kiedy się rozejrzał, zobaczył kilka bambusowych tyk zwęglonych na czubku. Prawdopodobnie służyły jako pochodnie - podczas zbiorów napełniano je proszkiem *tok-tok*, który zapalano, aby odstraszać owady.

W trakcie swoich wędrówek po Amazonii Nathan wiele razy widywał podobne miejsca, ale to miało w sobie coś upiornego. Niemal czuł na sobie wzrok obserwujących go dawnych właścicieli tego opuszczonego sadu.

— Śledzono nas - oświadczył Kouwe.

— O czym ty mówisz?

Profesor poprowadził Nathana w głąb sadu, skierował światło latarki na męczennicę i przygiął do ziemi jedną z jej niższych gałęzi.

— Oberwano ją z liści - powiedział. - Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy wyciągaliśmy na brzeg pontony. Kilka łodyg było jeszcze wilgotnych od soku.

— Kiedy to zauważyłeś?

— Spodziewałem się czegoś takiego. Wczoraj i przedwczoraj rano, kiedy szedłem do lasu po owoce, zobaczyłem, że miejsca, którymi przechodziłem poprzedniego wieczoru, są zmienione. Połamane gałęzie, oberwane z krzewów *guajalote* owoce...

- Może to żerujące w nocy zwierzęta?

Kouwe pokiwał głową.

— Z początku też tak sądziłem, więc nic wam nie mówiłem. Nie widziałem odcisków stóp ani innych śladów. Ale dziś doszedłem do wniosku, że ktoś nas śledzi.

— Kto?

— Prawdopodobnie Indianie. To ich dżungla. Umieją śle-  
dzić, sami nie będąc widzianymi.

— Yanomami?

— Być może...

- Kto inny mógłby to być?

Kouwe zmrużył oczy.

— Nie wiem, ale wydaje mi się dziwne, że nie byli ostroż-  
niejsi. Prawdziwy tropiciel nie pozwoliłby na to, aby zauważono  
jego obecność.

— Zauważyłeś to, bo sam jesteś Indianinem... żaden biały  
nie dostrzegłby tych śladów, nawet specjalnie przeszkolony  
rangers.

Profesor pokręcił głową.

— Może...

— Powinniśmy zawiadomić o tym kapitana Waxmana.

— Właśnie dlatego najpierw chciałem porozmawiać z tobą.  
Naprawdę sądzisz, że powinniśmy to zrobić?

— Nie rozumiem...

— Jeżeli tropią nas Indianie, chyba nie powinniśmy na-  
kłaniać rangersów do ich szukania, bo wtedy po prostu znikną.  
Jeśli chcemy nawiązać z nimi kontakt, może lepiej poczekać,  
aż się pokażą. Niech się do nas przyzwyczają. Niech sami  
zrobią pierwszy krok.

Nathan miał ochotę zaprotestować - chciał iść dalej, by jak  
najszybciej poznać odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.  
Wkrótce zacznie się pora deszczowa i woda zmyje wszelkie  
ślady, uniemożliwiając odnalezienie tropu Geralda Clarka.

Dziś jednak przypomniano im wszystkim brutalnie, że tutaj  
rządzi Amazonka. Musieli poruszać się w tempie dostoso-  
wanym do przyrody. Walka z nią oznaczała nieuchronną po-  
rażkę.

- Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli odczekamy kilka dni -  
stwierdził Kouwe. - Upewnijmy się jednak najpierw, czy się  
nie mylę. Może to ty masz rację. Może to tylko zwierzęta. Ale  
jeśli się okaże, że to ja mam rację, chciałbym dać Indianom  
szansę skontaktowania się z nami na warunkach, jakie sami  
wybiorą. Nie powinniśmy ich straszyć ani zmuszać do współ  
pracy. W ten sposób nie uzyskamy żadnych informacji.



- Damy im dwa dni, a potem komuś o nich powiemy - odparł Nathan.

Kouwe kiwnął głową i zgasił latarkę.

- Powinniśmy iść spać - mruknął.

Wrócili do gasnących ognisk. Nathan zastanawiał się nad słowami profesora. Wyglądało na to, że nie bardzo wierzył, iż śledzą ich Indianie. Ale kto inny mógłby to robić?

Kiedy wrócili do obozu, większość członków ekspedycji leżała już w swoich hamakach. Dwóch żołnierzy patrolowało teren. Kouwe pożegnał się z Nathanem i poczłapał do swojego legowiska. Gdy Nathan ściągał buty, usłyszał dobiegający spod moskitier Franka O'Briena stłumiony jęk. Wcale by się nie zdziwił, gdyby wszyscy mieli koszmarne sny po dzisiejszej tragedii.

Położył się na swoim hamaku i zasłonił oczy ramieniem. Czy komuś to się podoba, czy nie, nie da się walczyć z Amazonką. Wielka rzeka żyje w swoim własnym rytmie i zaspokaja swój głód, jak jej się podoba. Człowiek może się jedynie modlić o to, aby nie zostać kolejną ofiarą. Ostatnia myśl, jaka przyszła Nathanowi do głowy, brzmiała: kto będzie następny?

Kapral Jim DeMartini szybko znienawidził dżunglę. Po czterech dniach podróży rzeką miał serdecznie dość wilgotnego powietrza, komarów i nieustannych wrzasków małp i ptaków. Poza tym na wszystkim zdawała się wyrastać pleśń: na ubraniach, hamakach, plecakach. Cały jego sprzęt śmierdział jak przepełniona skarpeta, pozostawiona na miesiąc w zamkniętej szafce. A minęły dopiero cztery dni!

Był na patrolu i stał w drzewach niedaleko latryny, opierając się o drzewo, a swoje M-16 wygodnie ułożył na rękach. Jego partnerem był Jorgensen, który akurat poszedł do latryny. Słyszał, jak stojący kilka metrów od niego kolega gwizdze i rozpina spodnie.

— Dobra pora na sranie - mruknął z irytacją.

— To od tej cholemej wody - usprawiedliwił się Jorgensen.

— Pospiesz się - powiedział DeMartini.

Wyjął z paczki papierosa i zadumał się nad losem Rodneya Gravesa. Kiedy jego kolega ginął, siedział w pierwszej łodzi

z cywilami, ale znajdował się wystarczająco blisko, aby widzieć, jak olbrzymi kajman wyskakuje z wody i porywa Grava. Przeszedł go dreszcz. Nie był nowicjuszem i wiele razy widział, jak ludzie umierają - w wyniku postrzału, w wypadku czy z powodu utonięcia - ale nigdy jeszcze nie widział czegoś podobnego do tego, co się dziś wydarzyło. Było to jak z nocnego koszmaru.

Rzucił okiem przez ramię i bezgłośnie sklął Jorgensena. Co on tam tyle czasu robi? Zaciągnął się głęboko dymem z papierosa. Pewnie wali konia, pomyślał. Ale trudno było mieć o to do niego pretensję. Obecność dwóch kobiet w wyprawie czasem przeszkadzała się skoncentrować. Po rozłożeniu obozu sam ukradkiem obserwował Azjatkę, gdy zdejmowała kurtkę munduru. Jej cienka bluzka była przepocona i kleiła się kusząco do drobnych piersi.

Odsunął te myśli, rzucił niedopałek na ziemię, zdeptał go dokładnie i wyprostował się. Jedyne światłem w ciemnościach był promień latarki, umocowanej pod spodem jego karabinka. Kierował go przed siebie, w stronę rzeki.

W lesie, za barierą laserowych czujników ruchu, migotały maleńkie ogniki. Świetliki. DeMartini pochodził z południowej Kalifornii, gdzie nie ma tych owadów, więc ich nieustanne migotanie sprawiało, że był jeszcze bardziej spięty. Obserwował maleńkie błyski i słuchał przypominających westchnienia szelstów liści. Większe gałęzie trzaskały jak stawy schorowanego starca. Miał wrażenie, że dżungla jest żywym stworem, który go połyka.

Powiódł wokół światłem latarki. Stosowany w amerykańskiej armii system dwójkowy dawał poczucie bezpieczeństwa - a w tej przeklętej dżungli możliwość wsparcia ze strony znajdującego się w pobliżu kolegi wydawała się jeszcze bardziej sensowna. Wśród rangersów krążyło powiedzenie: „System dwójkowy to twoja szansa na przeżycie, bo dzięki niemu wróg ma do kogo strzelić poza tobą”.

— Jorgensen, co się dzieje? - spytał DeMartini, który zaczynał się czuć nieswojo.

— Daj mi chwilę! - warknął jego partner.

Kiedy DeMartini ponownie odwrócił wzrok w kierunku lasu,

coś ukuło go w policzek. Machnął ręką i zgniótł owada dłonią. W tym momencie coś znacznie silniej ukuło go w kark. Skrzywił się i sięgnął dłonią, aby zrobić z drugim natrętem to samo co z pierwszym, i stwierdził, że owad wpija mu się w szyję. Strząsnął go z karku.

— Co to za kurewstwo? - syknął i cofnął się o krok. - Cholerne wampiry!

— Przynajmniej nie masz gołego tyłka! - zawołał Jorgensen z latryny.

DeMartini rozejrzał się i podciągnął wyżej kołnierz, aby utrudnić krwiożerczym owadom kolejne ataki. Kiedy się odwracał, światło latarki padło na coś jaskrawego, leżącego pod jego nogami. Pochylił się i podniósł pęczek piór, owiniętych wokół ostrej strzałki. Jej czubek był mokry od krwi - jego własnej krwi.

Jasna cholera!

Opadł na kolana i otworzył usta, aby ostrzec pozostałych, ale z jego gardła wydobył się tylko zduszony charkot. Spróbował wziąć głęboki wdech, stwierdził jednak, że nie jest w stanie poruszyć klatką piersiową. Jego kończyny zrobiły się tak ciężkie, jakby były z ołowiu. Przewrócił się na bok.

Jestem otruty... sparaliżowany... - pomyślał z przerażeniem.

Jeszcze na tyle panował nad dłonią, że mógł drapać palcami kolbę karabinka. Gdyby udało mu się strzelić... ostrzec Jorgensena...

Poczuł, że ktoś obserwuje go z ciemnej dżungli. Nie mógł przekręcić głowy, żeby spojrzeć w tamtą stronę, ale igielki jakiegoś pierwotnego strachu wysyłały do jego ciała ostrzegawcze sygnały.

Z całych sił walczył z niemocą, wciąż próbując dotknąć spustu karabinka. Modlił się bezgłośnie, błagając Boga o pomoc. W końcu jego palec dotknął osłony spustu. Kiedy ciemność zaczęła wkradać się w jego pole widzenia, posłał całą resztę energii do palca wskazującego i pociągnął za spust.

Nic się nie wydarzyło.

Z rozpaczą uświadomił sobie, że broń nie jest zabezpieczona. Po jego policzku stoczyła się łza. Paraliż uniemożliwił mu nawet zaniknięcie oczu.

Z lasu wyszła jakaś postać i zatrzymała się przy nim. Światło latarki ukazało obraz, który nie miał najmniejszego sensu.

Nad DeMartinim stała kobieta - naga kobieta, smukła i niezwykle piękna, z długimi nogami, przechodzącymi łagodnymi łukami w pełne biodra, a jeszcze wyżej w pełne piersi. Jednak uwagę sparaliżowanego mężczyzny najbardziej przyciągały jej wielkie, ciemne oczy, pełne tajemnic. Pochyliła się nad nim i jego twarz otoczyła kaskada czarnych włosów.

Przez chwilę miał wrażenie, że wdmuchuje mu do ust powietrze. Poczul, że w jego żyłach zaczyna krążyć coś ciepłego i dymnego.

Potem odpłynął, połknęła go ciemność.

Kelly obudziła się nagle. Wokół rozległy się podniecone głosy. Usiadła tak gwałtownie, że wypadła z hamaka i uderzyła kolanami o ziemię.

- Niech to cholera! - zaklęła i popatrzyła w górę.

Do ognisk dorzucono gałęzi i płomienie zaczęły rosnać. W oddali widać było skaczące po drzewach światła latarek - najwyraźniej czegoś szukano. Z dżungli dolatywały okrzyki i szybkie polecenia.

Kelly wstała i zaczęła wyplątywać się z moskitiery. Ujrzała stojących niedaleko Nathana i Manny'ego. Obaj mężczyźni byli boso, jedynie w bokserkach i T-shirtach. Między nimi siedział wielki jaguar. W końcu udało jej się oswobodzić.

- Co się dzieje? - zapytała.

Wokół zbierali się pozostali cywile - niekompletnie ubrani i przestraszeni. Kelly wystarczył jeden szybki rzut okiem, aby stwierdzić, że wszystkie hamaki rangersów są puste. Między ogniskami pozostał tylko jeden żołnierz. Miał uniesioną broń, przygotowaną do strzału.

Nathan zawiązywał sobie buty.

— Zaginął jeden z żołnierzy z warty - wyjaśnił. - Mamy czekać, aż pozostali rangersi zabezpieczą teren.

— Zaginął? Kto? Jak?

— Kapral DeMartini.

Kelly przypomniała go sobie: oleiste czarne włosy, szeroki nos, nieufne oczy.

— Co się stało?

Nathan pokręcił głową.

— Jak na razie nikt nic nie wie. Po prostu zniknął.

Znad rzeki doleciał przenikliwy krzyk. Większość świateł latarek ruszyła w tamtą stronę.

Do trójki cywilów dołączył profesor Kouwe. Kelly zauważyła spojrzenia, jakie wymienili z Nathanem. O czymś wiedzieli, ale nie zamierzali się tym podzielić z innymi.

Na skraju obozu pojawił się Frank. Szedł w ich kierunku szybkim krokiem, przyświecając sobie latarką. Kiedy stanął obok, ciężko dyszał. Piegi na jego twarzy wyraźnie odcinały się od szarej jak popiół skóry.

- Znaleźliśmy broń zaginionego - powiedział i popatrzył po kolei na Manny'ego, Nathana i profesora. - Wiecie o dżungli więcej niż ktokolwiek inny. Na brzegu rzeki jest coś, na co chyba powinniście rzucić okiem. Kapitan Waxman potrzebuje waszej opinii.

Wszyscy czworo ruszyli za nim, ale Frank uniósł dłoń.

— Tylko mężczyźni.

— Jeżeli ten żołnierz został ranny, mogę pomóc - zaprotestowała Kelly.

Frank przez chwilę się wahał, ale w końcu się zgodził.

Kiedy jednak chciał z nimi iść Richard Zane, pokręcił głową.

- Nie możemy zadeptywać miejsca zdarzenia bardziej niż to konieczne.

Ruszyli w kierunku rzeki. Jaguar bezszelestnie szedł obok swojego pana. Po chwili weszli w gęste poszycie nad brzegiem. Dżungla była tu jedną wielką płataniną drzew, krzewów i lian. Przebijali się gęsiego przez gęstwinę, zbliżając się do migoczących między drzewami latarek.

Kelly szła za Nathanem. Po raz pierwszy dostrzegła, jaki jest barczysty - i jak wspaniale porusza się po tym dzikim lesie. Przemykał pod lianami i między krzewami z zadziwiającą łatwością. Próbowwała naśladować jego zwinne ruchy, ale raz za razem potykała się w ciemności.

Nagle stanęła na czymś śliskim i stopy uciekły spod niej. Przewróciła się na bok, wyciągając ręce, aby zamortyzować upadek.

Otoczyły ją ramiona Nathana, który złapał ją i przytrzymał.

— Ostrożnie!

— Dziękuję... - Zarumieniła się i sięgnęła po lianę, aby podciągnąć się i wstać, zanim jednak zdążyła się jej złapać, Nathan szarpnął ją w bok. Musnęła pnącze jedynie czubkami palców.

— Co pan... aua! - jęknęła, bo zapiekły ją opuszki palców. Potarła nimi o materiał bluzki, ale zaczęły piec jeszcze bardziej. Czuła się, jakby jej palce ogarnął ogień.

— Proszę się nie ruszać - powiedział profesor Kouwe. - Pocieranie tylko pogorszy sprawę.

Zerwał garść liści z pobliskiego drzewa i zaczął miażdżyć je w dłoni, po czym chwycił nadgarstek Kelly i rozsmarował oleistą papkę na jej palcach i dłoni.

Pieczenie natychmiast osłabło. Kelly popatrzyła ze zdziwieniem na zmiażdżone liście.

- To *ku-run-yeh* - wyjaśnił stojący za jej plecami Nathan. - Z rodziny fiołkowców. Bardzo silny środek znieczulający.

Kouwe wcierał papkę w dłoń Kelly, aż ból całkowicie zniknął. W świetle latarki widać było, że na czubkach palców utworzyły się pęcherze.

- Wszystko w porządku? - spytał Frank.

Kelly kiwnęła głową. Czuła się bardzo głupio.

- Proszę dalej nakładać *ku-run-yeh*, wtedy szybciej się wygoi - powiedział Kouwe i po ojcowsku ścisnął jej ramię.

Nathan pomógł jej wstać. Wskazał palcem szarawą roślinę.

- Nazywa się ją „ognistą lianą” i jak widać, nie bez powodu. - U nasady pnia drzewa leżała splątana sterta zwojów niebezpiecznej rośliny i gdyby Nathan nie złapał Kelly, wpadłaby prosto w nią. - Wydziela silny środek podrażniający, który ma odstraszać owady.

- To coś w rodzaju broni chemicznej - dodał Kouwe.

Nathan dał głową znak Frankowi, że mogą iść dalej, po czym zatoczył krąg ramieniem.

- Cały czas trwa tu wojna. Właśnie dlatego dżungla jest takim wielkim magazynem leków. Pomysłowość, z jaką rośliny tworzą swoje narzędzia walki, sprawia, że ich różnorodność

znacznie przekracza wszystko, cokolwiek naukowcy mogą wyprodukować w swoich laboratoriach.

Kelly słuchała tego uważnie, ale nie była zachwycona możliwością zostania ofiarą w tej chemicznej wojnie.

Wkrótce dotarli do rangersów, zebranych w kręgu. Dwóch żołnierzy stało z boku - w goglach noktowizyjnych, z gotową do strzału bronią.

Kapral Jorgensen wyprężył się i zasalutował kapitanowi.

— Jak już mówiłem, korzystałem tylko z latryny. DeMartini stał na warcie przy drzewie.

— A to? - zapytał Waxman, podstawiając mu pod nos zdeptany niedopałek.

— Słyszałem, że zapala papierosa, ale nie sędzę, żeby odchodził. Kiedy się zapiąłem i odwróciłem, nie było go już. Nie mówił, że zamierza podejść do rzeki.

— No dobrze... - Waxman machnął ręką. - Odmaszerować!

— Tak jest, panie kapitanie.

Waxman wziął głęboki wdech i podszedł do cywilów. W jego oczach ciągle płonęła wściekłość.

- Potrzebuję waszej opinii w tej sprawie - powiedział, patrząc na trójkę „ekspertów”. Odwrócił się i poświecił latarką na miejsce, gdzie trawa została zgnieciona. - Znaleźliśmy tu porzuconą broń DeMartiniego i niedopałek, ale nie wiemy, co stało się z nim samym. Kapral Warczak szukał śladów stóp, jednak nie znalazł. Jest tylko pas zdeptanej trawy, który do chodzi do rzeki.

Pas przygniezionej trawy rzeczywiście ciągnął się do samej rzeki. Wysokie trzciny przy samym brzegu były porozsuwane i połamane.

- Muszę przyjrzeć się temu dokładniej - stwierdził profesor Kouwe.

Kapitan Waxman kiwnął głową i podał mu latarkę.

Nathan i Kouwe podeszli do brzegu. Manny chciał zrobić to samo, lecz jego jaguar zatrzymał się na skraju zgniezionej trawy, powąchał ją i zawarczał.

- Chodź, Tor-tor - namawiał go Manny, ale zwierzę nie chciało go słuchać.

Profesor kucnął i przyglądał się czemuś przy trzcinach. Powąchał palce.

— Co to? - spytał Nathan.

— Odchody kajmana. - Kouwe wytarł dłoń o trawę i spojrział na warczącego jaguara. - Tor-tor chyba się z tym zgadza.

Kelly popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Co pan ma na myśli?

— Dzikie koty mają zdolność wyczuwania wielkości zwierzęcia na podstawie zapachu jego kału albo moczu. Na zachodzie Stanów Zjednoczonych sprzedaje się mocz słoni jako środek do odstraszania rys i pum. Nie zbliżą się do miejsca oznakowanego moczem słonia, bo tak wielkie zwierzę ich przeraża - wyjaśnił Kouwe.

Przecisnął się przez trzciny do skraju wody, odsunął na bok kilka złamanych łodyg i machnął na Waxmana, aby do niego podszedł. Kelly ruszyła za kapitanem.

Profesor poświecił latarką na mulisty brzeg. Wyraźnie widać było na nim ślady pazurzystych łap.

- Kajman - mruknął Kouwe.

Kelly wydawało się, że słyszy w jego głosie ulgę. Znowu wymienił z Nathanem ukradkowe spojrzenie.

— Kajmany często polują na brzegach rzek na tapiry albo dzikie świny, które przyszyły do wodopoju - powiedział, patrząc na Waxmana. - Pański kapral musiał podejść zbyt blisko do wody i został porwany przez jednego z nich.

— Czy to mógł być ten sam gad, który zaatakował kaprala Gravesa? - spytał kapitan.

Kouwe wzruszył ramionami.

- Czarne kajmany są dość inteligentne. Kiedy ten osobnik stwierdził, że nasze pontony są źródłem pożywienia, mógł płynąć za terkotem silników, a potem zasadził się tutaj i czekał na kolejną okazję.

- Niech go cholera! - Waxman zacisnął dłoń w pięść i splunął. - Dwóch ludzi w jeden dzień.

Podszedł do nich sierżant sztabowy Kostos.

— Panie kapitanie, może powinniśmy poprosić o uzupełnienie? Hueye mogą być rano z powrotem z dwoma nowymi ludźmi.

— Tak, oczywiście - odparł kapitan. - Od tej chwili



zarządzam po dwa patrole na każdą wartę. Nikomu nie wolno iść do dżungli samemu, ani cywilowi, ani żołnierzowi. Pod żadnym pozorem! Obozy mają być zabezpieczane czujnikami ruchu także od strony wody!

- Tak jest!

Kapitan Waxman odwrócił się do cywilów.

- Dziękuję za pomoc - powiedział, ale w jego głosie nie było ciepła, jedynie służbowa obojętność.

Ruszyli w drogę powrotną do obozu. Kelly była przygnębiona. Kolejny żołnierz stracony... i to tak nieoczekiwanie. Ostrożnie minęła płataninę ognistej liany. To, co się w tym miejscu działo, nie było jedynie wojną chemiczną, ale jakimś szaleńcym pożeraniem. Słabszy nie miał w tej walce żadnych szans.

Z ulgą wróciła do obozu, do ciepła i światła. Płomienie ognisk dawały poczucie bezpieczeństwa, odsuwały na bok mroczne jądro dżungli.

Anna Fong rozmawiała z Richardem Zane'em. Przy ognisku stał Olin Pasternak i grzał sobie dłonie.

Manny szybko opowiedział im o tym, co znaleźli. Kiedy mówił, Anna zasłoniła usta dłonią i odwróciła się. Richard pokręcił głową. Olin - jak zwykle - pozostał niewzruszony i nadal wpatrywał się w ogień.

Kelly koncentrowała się na tym, co robią Nathan i Kouwe. Odeszli na bok i stanęli koło hamaka Nathana. Obserwowała ich kątem oka. Nie zamienili ani jednego słowa, ale kiedy profesor spojrział pytająco na swojego towarzysza, Nathan odpowiedział mu lekkim pokręceniem głowy.

Kouwe wyciągnął fajkę i odszedł kilka kroków dalej. Najwyraźniej potrzebował chwili samotności.

Kelly zobaczyła, że Nathan wbija w nią wzrok.

Szybko odwróciła głowę w kierunku ogniska, przełknęła ślinę i zagryzła wargę. Przypomniła jej się dotyk ratujących ją przed poparzeniem silnych ramion. Czuła, że Nathan cały czas na nią patrzy. Jego spojrzenie było jak dotyk słońca - grzało i wnikało pod skórę, wywołując mrowienie.

Co on ukrywał?

# 7

## Zbieranie danych

12 SIERPANIA, GODZ. 6.20  
LANGLEY, WIRGINIA

Lauren O'Brien była już spóźniona do pracy.

— Jessie! - zawołała i dołożyła pomarańczę do leżącej już w pudełku na lunch kanapki z masłem i dżemem. - Skarbie... musisz schodzić... Szybko! - Dojazd do przedszkola wydłużał jej zwykłą drogę do pracy o dwadzieścia minut, a potem będzie musiała jeszcze przebić się przez poranne korki do Langley. ['opatrzyła na zegarek. - Marshall!

— Już idziemy... - odparł jej mąż.

Lauren zobaczyła, że właśnie sprowadza wnuczkę po schodach. Jessie była ubrana, choć miała na stopach dwie różne skarpetki. Lauren zdążyła już zapomnieć, co to znaczy mieć w domu dziecko. Zmuszało to do zmiany wszystkich dotychczasowych harmonogramów.

— Mogę ją zawieźć - zaoferował się Marshall. - Pierwsze spotkanie mam o dziewiątej.

— Nie trzeba.

— Lauren... - Podszedł do niej i pocałował ją. - Pozwól sobie pomóc.

Wróciła do kuchni i zatrzasnęła pudełko na lunch.

— Powinieneś jak najszybciej dotrzeć do biura. - Robiła, co mogła, aby nie było słyhać napięcia w jej głosie, ale Marshalla nie tak łatwo było oszukać.

— Jessie, dlaczego nie wzięłaś swetra? - zapytał.

- Po co, dziadku? - zdziwiła się dziewczynka i pobiegła do wyjścia.

Marshall popatrzył na żonę.

- Frankowi i Kelly na pewno nic się nie stało - powie dział. - Gdyby tak było, powiedzieliby nam o tym.

Lauren kiwnęła głową, ale nie odwróciła się do niego. Nie chciała, żeby widział jej łzy. Wieczorem dowiedzieli się o ataku krokodyla na pierwszego rangersa, a dwie godziny po północy telefon znowu zadzwonił. Z tonu głosu Marshalla, który go odebrał, Lauren wywnioskowała, że wieści są złe. Telefon o tej porze mógł oznaczać tylko jedno: coś stało się Frankowi albo Kelly. Kiedy Marshall odłożył słuchawkę i powiedział jej o śmierci drugiego żołnierza, rozplakała się z egoistycznej ulgi, jednak w głębi jej duszy zasiane zostało ziarno strachu, którego nie umiała wyplenić. Dwóch ludzi zabitych... ilu jeszcze zginie? Nie mogła potem zasnąć do rana.

- Właśnie dowieziono helikopterem do obozu kolejnych dwóch rangersów - powiedział Marshall. - Frank i Kelly mają znakomitą ochronę.

Lauren kiwnęła głową i pociągnęła nosem. Zrobiło jej się głupio. Rozmawiała przecież z bliźniakami poprzedniego wieczoru. Były wstrząśnięte tragedią, ale zdecydowane iść dalej.

- To twarde dzieciaki - stwierdził Marshall. - Oboje są dobrze przygotowani i ostrożni. Nie będą podejmować głupiego ryzyka.

- Głupiego ryzyka? - prychnęła Lauren, cały czas odwrócona plecami do męża. - Przecież są w dżungli. To wystarczająco głupie.

Marshall położył dłonie na jej ramionach. Odsunął włosy z karku żony i delikatnie go pocałował.

- Nic im nie będzie - szepnął łagodnie do jej ucha.

Miał pięćdziesiąt cztery lata, ale nadal był bardzo przystojny. Jego ciemne włosy siwiały już na skroniach, a mocna szczękanka - choć złagodzona przez pełne wargi - podkreślała tkwiącą w nim siłę. Jego oczy - lekko zabarwiony błękitem brąz - zachwycaly ją do dziś.

- Kelly i Frankowi nic nie będzie - oświadczył. - Powtórz to głośno.

Próbowała spuścić wzrok, ale uniósł palcem jej podbródek.  
— Powiedz to... proszę. Dla mnie. Ja też chcę to usłyszeć.  
— Kelly i Frankowi... nic nie będzie - powtórzyła, widząc ból w jego oczach. Choć powiedziała to bardzo cicho, te słowa dodały jej otuchy.

Uśmiechnął się.

— Dobrze ich wychowaliśmy, prawda?

Objęła go i mocno uścisnęła.

— Tak... Pocałował ją w czoło.

— Zawiozę Jessie do przedszkola.

Kiedy wyszli, uściskała wnuczkę na pożegnanie, po czym ruszyła do swojego bmw. Czterdziestominutowa jazda do instytutu Istar była jednym ciągiem niewyraźnych obrazów. Gdy dotarła na miejsce, wzięła swoją aktówkę i weszła przez zabezpieczone kodowym zamkiem główne drzwi. Po takiej niespokojnej nocy dobrze było móc znów czymś się zająć, czymś, co pozwoli zapomnieć o zmartwieniach.

Poszła do swojego gabinetu, witając się po drodze ze znajomymi. Miała dziś otrzymać raport immunologiczny i była bardzo ciekawa, czy hipoteza Kelly o zmianach w układzie odpornościowym Geralda Clarka się potwierdzi. Wstępne wyniki badań nie dawały żadnej odpowiedzi. Prawidłową ocenę utrudniał stopień rozwoju procesów rakowych w organizmie Clarka.

Pod drzwiami gabinetu czekał na nią jakiś mężczyzna.

- Dzień dobry, doktor O'Brien - powiedział, wyciągając dłoń na powitanie. Miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, był szczupły, ostrzyżony na łyso i ubrany w niebieski kitel.

Lauren, jako szefowa projektu MEDEA, знаła każdą osobę, biorącą udział w badaniach, ale tego mężczyzny nie znała.

— Tak...?

— Jestem Hank Alvisio - przedstawił się.

Gdzieś już słyszała to nazwisko. Wyciągnęła rękę, jednocześnie próbując sobie przypomnieć, kim jest ten człowiek.

- Epidemiologia - podpowiedział, widząc jej zakłopotanie.

Kiwnęła głową.

- Oczywiście... przepraszam, doktorze. - Ostrzyżony na łyso mężczyzna był epidemiologiem ze Stanfordu i badał mechanizmy przenoszenia się chorób. - W czym mogę pomóc?

Uniósł trzymaną w dłoni kartonową teczkę.

— Chciałbym, żeby pani coś zobaczyła.

Popatrzyła na zegarek.

— Mam za dziesięć minut spotkanie na immunologii.

— Tym bardziej powinna pani rzucić na to okiem.

Otworzyła drzwi kartą magnetyczną i dała mu znak, aby wszedł do gabinetu. Zapaliła światło, usiadła za biurkiem i wskazała doktorowi Alvisio krzesło.

- Co to takiego?

— Coś, nad czym właśnie pracuję. - Zaczął przerzucać kartki w tezcze. - Natknąłem się na pewne niepokojące dane, które chciałbym pani przedstawić.

— Jakie dane?

— Przeglądałem brazylijskie raporty medyczne, szukałem przypadków podobnych do przypadku Geralda Clarka...

- Ludzi z regeneracją kończyn?

Uśmiechnął się lekko.

- Oczywiście, że nie. Próbowałem jedynie sporządzić epidemiologiczny szacunek częstotliwości występowania nowo tworów wśród ludzi żyjących w brazylijskim lesie tropikalnym, ze szczególnym uwzględnieniem regionu, w którym zmarł Gerald Clark. Pomyślałem, że może w ten sposób uda się prześledzić drogę, jaką przebył.

Lauren wyprostowała się. Było to bardzo nowatorskie podejście. Nic dziwnego, że doktora Alvisio włączono do ich projektu. Gdyby udało mu się odkryć klaster podobnych nowotworów, pozwoliłoby to zawęzić parametry wyszukiwania, co z kolei mogłoby skrócić pobyt Franka i Kelly w dżungli.

— I co pan znalazł?

— Nie to, czego oczekiwałem - odparł. - Skontaktowałem się ze wszystkimi szpitalami, ośrodkami medycznymi i szpitalami polowymi w interesującym nas regionie. Otrzymałem dane obejmujące minione dziesięć lat. Bardzo dużo czasu

zajął mi przepuszczanie tych danych przez moje modele komputerowe.

- I stwierdził pan jakieś trendy w występowaniu nowo tworów?

Doktor Alvisio pokręcił głową.

— Nic z tego, co znaleziono u Geralda Clarka. Wygląda na to, że jego przypadek jest wyjątkowy.

— Więc co pan odkrył? - spytała Lauren. Próbowала ukryć rozczarowanie, nie umiała jednak opanować lekkiej irytacji.

Alvisio wyjął z teczki kartkę papieru i podał jej. Założyła okulary.

Była to mapa północno-zachodniej Brazylii. Wszędzie widać rzeki i wszystkie były dopływami Amazonki. Kropki oznaczające miasta znajdowały się prawie wyłącznie w pobliżu dróg wodnych. Czarno-biała mapa była pokryta maleńkimi czerwonymi krzyżykami.

Młody lekarz dotknął kilku z nich czubkiem długopisu.

- To ośrodki medyczne, które dostarczały danych. Kiedy z nimi współpracowałem, nawiązał ze mną kontakt lekarz ze szpitala w Barcellos. - Długopis przesunął się ponad trzysta kilometrów w górę rzeki od Manaus. - Mieli tam problem z jakimś wirusem u dzieci i starszych ludzi. Wyglądało to trochę jak gorączka krwotoczna: gwałtowne skoki temperatury, zażółcenie oczu, wymioty, owrzodzenia w ustach. Lekarz z Barcellos stwierdził, że jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widział, i poprosił mnie o pomoc. Zgodziłem się.

Lauren zmarszczyła czoło. Alvisio został zatrudniony w instytucie wyłącznie do pracy przy ich projekcie. Nic jednak nie powiedziała i pozwoliła mu mówić dalej.

- Ponieważ miałem już w tamtej okolicy zorganizowaną sieć kontaktów, wykorzystałem je, wysyłając prośbę o natychmiastowe przekazywanie wszelkich informacji na temat tego wirusa - dodał epidemiolog i wyjął drugą kartkę. Wyglądała jak kopia pierwszej mapy: były na niej te same rzeki i podobne krzyżyki. Tutaj jednak niektóre krzyżyki zostały otoczone niebieskimi kółeczkami, obok których umieszczono daty. - To miejsca, w których zaobserwowano podobne przypadki.

Było ich dość dużo - występowały przynajmniej w dwunastu miejscach.

- Widzi tu pani jakiś trend?

Lauren przez chwilę wpatrywała się w kartkę, a potem pokręciła głową.

Epidemiolog wskazał jedno z niebieskich kółeczek.

- Każdy zgłoszony przypadek opatrzyłem datą. Ten jest najwcześniejszy. - Popatrzył na Lauren i postukał w kartkę długopisem. - Misja w Wauwai.

- Tam, gdzie znaleziono Geralda Clarka?

Doktor Alvisio pokiwał głową.

Lauren przypomniała sobie treść raportu z pierwszego dnia ekspedycji. Misja w Wauwai została zniszczona przez zabobonnych Indian. Przestraszyli się złych sił, kiedy kilkoro dzieci z wioski zapadło na nieznaną chorobę.

— Skontaktowałem się z miejscowymi władzami - dodał epidemiolog i zaczął stukać w kolejne niebieskie kółeczka. - Stateczek, który transportował ciało Geralda Clarka, zatrzymywał się w tych wszystkich miejscach... i w każdym z nich pojawiała się epidemia.

— Boże drogi... - wymamrotała Lauren. - Sądzi pan, że ciało Clarka było nośnikiem jakiegoś patogenu?

— Z początku też tak pomyślałem. Choroba mogła się zacząć rozchodzić od Wauwai za pośrednictwem wielu różnych nośników. Niemal cały transport w tym regionie odbywa się rzekami, należy się więc spodziewać podobnego schematu rozprzestrzeniania się każdej choroby zakaźnej. Ale sam schemat nie może być jednoznacznym dowodem na to, że źródłem zakażenia było ciało Clarka.

Lauren odetchnęła z ulgą.

— Ciało nie mogło nim być. Przed przewiezieniem go tu z Brazylii dokładnie sprawdzono, czy nie ma w nim patogenów cholery, żółtej febry, dengi, malarii, tyfusu i gruźlicy. Ale ciało było czyste.

— Obawiam się jednak, że wcale tak nie było - powiedział cicho doktor Alvisio.

— Dlaczego pan tak uważa?

— Przesłano to dziś rano faksem. - Wyjął z teczki kolejną

kartką, raport CDC\* z Miami. - Ciało Clarka było również sprawdzane w komorze celnej międzynarodowego lotniska w Miami. Do tej chwili zgłoszono trzy przypadki zachorowań wśród dzieci, których rodzice pracują na tym lotnisku.

Kiedy do Lauren dotarło znaczenie tych słów, opadła na oparcie fotela.

- To znaczy, że ta choroba jest również u nas. Sprowadziłeś my ją do siebie. To właśnie chce mi pan powiedzieć? - zapytała.

Doktor Alvisio kiwnął głową.

— Jak bardzo jest zaraźliwa? I jak złośliwa?

— Trudno to w tej chwili ocenić...

Lauren wiedziała, że mimo młodego wieku stojący przed nią mężczyzna jest doskonałym fachowcem w swojej dziedzinie. Inaczej by go tu nie było.

- Musi pan coś zakładać.

Alvisio przełknął ślinę.

- Na podstawie wstępnej oceny szybkości przenoszenia się choroby i okresu inkubacji można uznać, że jest to zarazek sto razy bardziej zaraźliwy od powszechnej grypy. A złośliwy... jak wirus Ebola.

Lauren poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

- Jaka śmiertelność?

Doktor Alvisio spuścił wzrok i pokręcił głową.

— Hank?

Podniósł głowę.

— Jak na razie nikt nie przeżył.

\* CDC (Centers of Disease Control and Prevention) - agencja Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej USA z siedzibą główną w Atlancie, założona w 1946 roku do walki z malarią. Obecnie skupia kilkanaście ośrodków naukowych, badawczych i leczniczych w jedenastu miastach USA oraz Portoryko, działających na rzecz zapobiegania i zwalczania chorób zakaźnych i chronicznych, okaleczeń i środowiskowych zagrożeń zdrowia. CDC cieszy się międzynarodowym uznaniem za bardzo wysoką jakość badań oraz staranność i skuteczność w zwalczaniu chorób zakaźnych. W Stanach Zjednoczonych jest traktowana niemal jak wyrocznia.



Louis Favre stał na skraju obozu i rozkoszował się widokiem rzeki o wschodzie słońca. Spokojny moment po długiej nocy. Przygotowanie porwania kaprała spod samego nosa ludzi w obozie ekspedycji kosztowało wiele godzin, ale jego najemnicy - jak zwykle - sprawili się doskonale.

Po czterech dniach śledzenie przeciwnika zamieniło się w rutynę. Co noc zwiadowcy zajmowali pozycje na dobrze zakamuflowanych stanowiskach na wysokich drzewach, wystających ponad leśny baldachim. Obserwowali tamtych, utrzymując cały czas kontakt ze swoimi za pośrednictwem radia. Za dnia płynęli czołnami dziesięć kilometrów za ekspedycją. W nocy podchodzili bliżej.

Louis odwrócił się od rzeki i wszedł głębiej między drzewa. Obóz był tak dobrze ukryty, że zauważało się go dopiero wtedy, kiedy było się prawie w jego obrębie. Rozejrzał się i popatrzył na swoich czterdziestu ludzi zwijających obóz. Była to niezła zbieranina: Indianie z najrozmaitszych plemion, czarni potomkowie murzyńskich niewolników z Surinamu, śniadoskórzy Kolumbijczycy z biznesu narkotykowego. Mimo wielu różnic łączyło ich jedno: twardość, wykuta w dżungli i zahartowana w jej krwawym kotle.

Obok miejsc, gdzie spano, leżała starannie ułożona i dokładnie zawinięta w płótno żeglarskie broń. Uzbrojenie było tak samo różnorodne jak ludzie: niemieckie MP-5 firmy Heckler & Koch, czeskie skorpiony, ingramy, izraelskie uzi, było nawet kilka przestarzałych brytyjskich stenów. Każdy miał coś swojego ulubionego. Louis wybrał sobie małe kompaktowe uzi - miało siłę rażenia swojego większego brata i jedynie trzydzieści pięć centymetrów długości. Podobała mu się jego konstrukcja. Ta broń była bardzo podobna do niego samego: mała, ale zabójcza.

Kilku ludzi ostrzyło maczety. Zgrzyt metalu o osetki mieszał się z porannymi wrzaskami budzących się ptaków i małp. W walce wręcz taka maczeta jest lepsza od każdej broni palnej.

U boku Louisa pojawił się jego zastępca - wysoki Murzyn

o imieniu Jacques. W wieku trzynastu lat został wypędzony z rodzinnej wioski za zgwałcenie dziewczyny z sąsiedniego plemienia i do dzisiejszego dnia nosił na twarzy ślady po ówczesnym marszu przez dżunglę. Nie miał połowy nosa - była to pamiątka po ataku piranii. Skłonił z szacunkiem głowę.

— Doktorze...

— Tak, Jacques?

- Pani Tshui kazała przekazać, że jest gotowa pana przyjąć. Louis westchnął. Nareszcie. Więzień okazał się nieoczekiwanie trudny.

Wyjął z kieszeni nieśmiertelniki i zaczął podrzucać je w dłoń. Ruszył w kierunku ustawionego na skraju obozu samotnego namiotu. Zazwyczaj dzielił go z Tshui, ale tej nocy zabawiła w nim kogoś innego.

- Tshui, moja droga, czy nasz przyjaciel jest gotów? - zapytał.

Odsunął połę namiotu i wszedł do środka.

W namiocie było bardzo gorąco. W rogu w małym piecyku płonęło drewno. Kochanka Louisa klęczała przed nim, trzymając w ręku pęk suchych liści, nad którymi unosił się kłęb aromatycznego dymu. Po chwili wstała. Na jej czekoladowej skórze błyszczała warstewka potu.

Louis pożerał ją wzrokiem. Najchętniej wziąłby ją od razu na miejscu, ale powstrzymywał się. Mieli gościa.

Odwrócił się do leżącego na ziemi nagiego mężczyzny z rozłożonymi na boki rękami i nogami. Był przywiązany do wbitych w ziemię kołków i zakneblowany. Louis musiał się zmuszać, aby patrzeć na zakrwawione, zmaltretowane ciało.

Podszedł do składanego krzeselka i usiadł. Spojrzał na wybite na nieśmiertelniku nazwisko.

- Kapral James DeMartini - przeczytał. - Słyszałem z godnego zaufania źródła, że jest pan gotów do współpracy.

Kapral jęknął i z jego oczu popłynęły łzy.

- Czy to ma być potwierdzenie?

Rangers kiwnął głową z bolesnym stęknieniem. Louis przyglądał mu się i zastanawiał, co go bolało bardziej: tortury czy załamanie.

Westchnął i wyciągnął z ust kaprała knebel. Przez lata nauczył się, że różnica między sukcesem a porażką tkwi w szczegółach. Miał mnóstwo informacji o ekipie przeciwnika - nie tylko dostarczonych przez St. Savin, ale także znacznie bardziej aktualnych.

Mimo to nie był do końca zadowolony.

Kazał porwać kaprała, ponieważ inne źródła informacji okazały się niewystarczające w zakresie szczegółów dotyczących siły rangersów: rodzajów broni, kodów radiowych, schematów czasowych. Był jeszcze jeden powód: porwanie kaprała miało być sprawdzianem dla jego ludzi.

Cała operacja została wykonana bez zarzutu. Mała grupa, wyposażona w gogle noktowizyjne, podpłynęła rzeką w pobliże obozowiska ekspedycji. Kiedy nadarzyła się okazja, jeden z rangersów został trafiony strzałką z kurarą, przygotowaną przez Tshui. Zamaskowali potem swoje ślady odchodami kajmana i odciskami jego łap. Indianka utrzymywała porwanego żołnierza przy życiu za pomocą oddychania usta-usta do momentu, kiedy można mu było podać antidotum.

Ale swoje prawdziwe umiejętności Tshui pokazała dopiero potem. Jej sztuka torturowania nie miała sobie równej, łączyła ból z przyjemnością w przedziwnym hipnotycznym rytmie, czego nikt nie wytrzymał.

- Zabij mnie... proszę - błagał ją chrapliwym głosem rangers. Z jego warg ciekła krew.

- Niedługo, *mon ami*... najpierw jednak kilka pytań.

Kiedy podeszła do kaprała i zaczęła machać mu nad głowę żarzącymi się liśćmi, Louis odchylił się do tyłu. Żołnierz próbował się odsunąć. Jego przerażone oczy podążały za każdym ruchem Tshui.

Louisa bardzo to podniecało, ale musiał zachować koncentrację.

- Zacznijmy od paru liczb... - powiedział.

W ciągu następnych kilku minut wydobył z rangersa wszystkie klucze kodowe i plany operacyjne. Nie musiał niczego zapisywać - bez trudu zapamiętywał częstotliwości i ciągi liczb. Te informacje znacznie ułatwią im podsłuchiwanie przeciwnika. Potem wypytał kaprała o siłę oddziału: liczbę i typy

broni, poziom wyszkolenia, słabe punkty, środki wsparcia powietrznego.

Rangers okazał się bardzo rozmowny. Gadał i gadał, ujawniając znacznie więcej, niż oczekiwali.

— Sierżant sztabowy Kostos ma w plecaku tajny zapas whisky... dwie butelki... w pontonie kapitana Waxmana jest skrzynka z minibombami napalmowymi... a kapral Conger ma „penthouse'a”...

— Chwileczkę - powstrzymał go Louis. - Bomby napalmowe?

— Minibomby... cały tuzin...

— Po co?

Kapral zrobił zdziwioną minę.

— Nie... nie mam pojęcia. Myślę, że dali nam je na wypadek, gdybyśmy chcieli oczyścić kawałek dżungli. Usunąć coś z drogi.

— Jaką powierzchnię może oczyścić taka bomba?

— Nie jestem... - Rangers z trudem powstrzymał chlipnięcie. - Nie jestem pewien... może akr... nie wiem.

Louis oparł łokcie na kolanach.

- Mówisz prawdę, James? - zapytał i kiwnął palcem na Tshui, którą to przesłuchanie znudziło i siedziała ze skrzyżowanymi nogami na ziemi, rozkładając swoje narzędzia.

Staneła na czworakach i zaczęła skradać się do nagiego żołnierza niczym kot.

— Nie... - wymamrotał kapral. - Nic więcej nie wiem...

Louis wygodniej usiadł na krześle.

— Mam ci uwierzyć?

— Proszę...

- Chyba ci uwierzę. - Louis wstał i odwrócił się do swojej kochanki. - Skończyliśmy, *ma chérie*. Jest twój.

Tshui podniosła się i przechodząc obok Louisa, podstawiała mu policzek do cmoknięcia.

— Nie... - jęknął leżący na ziemi mężczyzna.

— Nie marnuj czasu - powiedział Louis do Tshui. - Słońce już prawie weszło i wkrótce musimy ruszać.

Uśmiechnęła się, myśląc o czekającej ją przyjemności. Kiedy Louis szedł do wyjścia, kątem oka ujrzał, jak się pochyla

i podnosi z ziemi kościaną igłę oraz kłębek nici. Ostatnio wypróbowywała nową metodę preparowania głów. Zaszyciła ofiarom powieki, kiedy jeszcze żyły. Twierdziła, że ma to służyć lepszemu uchwyceniu istoty ich osobowości. Szamani z plemienia Shuar zwracali szczególną uwagę na oczy - wrota do duszy.

Powietrze przeszył gwałtowny krzyk.

- Załóż mu knebel! - syknął Louis.

Popęłnił błąd - spojrzał za siebie.

Tshui kuciała nad głową kaprała DeMartiniego, ściskając ją udami, aby nie rzucał nią na boki. Louis uniósł brew. Wyglądało na to, że jego kochanka próbuje czegoś nowego.

- *Pardon, ma chérie* - powiedział i wyszedł z namiotu.

Knebel nie był chyba potrzebny, bo Tshui zaszywała kapralowi usta.

# AKT TRZECI

## Przetrwają tylko najlepsi



### BERTOLECJA

**rodzina:** czaszniowate (*Lecythidaceae*)

**rodzaj:** *Bertholettia*

**gatunek:** *Excelsa*

**powszechnie używana nazwa:** *orzesznica wyniosła*,  
*Grzesznica brazylijska*, *Castanheiro do Para*, *orzech brazylijski*, *Castana-de-Para*, *Castana-de-Brazil*

**wykorzystywane części:** *orzechy*, *olej z nasion*

**właściwości/działanie:** *zmiękczające*, *odżywcze*,  
*przeciwutleniające*, *owadobójcze*

## 8

# Wioska

13 SIERPNIA, W SAMO POŁUDNIE  
DŻUNGLA AMAZOŃSKA

Nathan złapał linkę i przywiązał ją do mangrowca.

- Ostrożnie - ostrzegł współpasażerów. - Jest bardzo ślisko. Uważajcie, gdzie stajecie. - Pomógł Kelly wysiąść i dojść do twardego miejsca. Sam był zabłocony po kolana i całkowicie przemoczony.

Popatrzył na deszczowe chmury. W nocy szalała burza - rozpoczęła się gwałtowną ulewą, która w ciągu ostatniej godziny przeszła w nieprzerwaną mżawkę. Panował ponury nastrój. Przez cały poranek zmieniali się przy pompie, usuwając wodę z pontonu, i Nathana ucieszył rozkaz kapitana Waxmana, aby zrobić przerwę na obiad.

Kiedy wszyscy znaleźli się na brzegu, wszedł między drzewa. Dżungla wokół niego płakała, spływając wodą z liściastego baldachimu w górze.

Profesorowi najwyraźniej to nie przeszkadzało. Z plecakiem zrobionym z liści ruszył do lasu w towarzystwie przemoczonego kaprała Jorgensena. Po kwaśnej minie wysokiego Szweda widać było, że ta wycieczka wcale mu się nie uśmiecha. Jednak polecenie kapitana Waxmana było jednoznaczne: nawet Kowemu nie wolno było iść do lasu samemu.

Nastrój w obozie nie był najlepszy. Wczoraj wszyscy dowiedzieli się o możliwości istnienia zarazki, przewiezonego prawdopodobnie do Stanów wraz z ciałem Geralda Clarka.

W Miami i wokół instytutu, do którego przetransportowano ciało, zarządzono kwarantannę. Poinformowany o zarazku rząd brazylijski utworzył również ośrodki kwarantannowe w wielu miejscach Amazonii. Jak na razie zagrożone były jedynie dzieci, osoby starsze i ludzie z osłabionym układem odpornościowym. Zdrowi dorośli okazali się odporni na zakażenie. Brakowało jednak mnóstwa informacji: co powoduje chorobę, w jaki sposób jest przekazywana i jak należy ją leczyć. W instytucie Instar ogłoszono gotowość czwartego stopnia, aby jak najszybciej się tego wszystkiego dowiedzieć.

Nathan popatrzył na Franka i Kelly. Brat obejmował siostrę. Ciągle jeszcze była bardzo blada. Cała ich rodzina - wraz z córką Kelly i rodzinami innych pracowników Instaru - została poddana kwarantannie. Nikt nie miał objawów choroby, ale Kelly bardzo się o nich martwiła.

Nathan odwrócił się.

Jedyną pozytywną rzeczą było to, że podczas minionych czterdziestu ośmiu godzin żaden z uczestników ekspedycji nie padł ofiarą dżungli. Po zniknięciu kaprała DeMartiniego wszyscy bardzo się pilnowali i słuchali ostrzeżeń Nathana i Kouwego. Przed wyjściem z pontonu na brzeg lub kąpaniem się dokładnie sprawdzano, czy na płycznach nie kryją się ogończe albo elektryczne węgorze. Kouwe wyjaśniał, jak należy postępować, by ustrzec się skorpionów i węży. Nikt nie wkładał rano butów, dobrze ich przedtem nie wytrząsnąwszy.

Nathan sprawdził obóz, obchodząc go dookoła. Szukał ognistych lian, gniazd mrówek, ukrytych węży. Należało to teraz do codziennej rutyny.

Popatrzył na dwoje nowych członków wyprawy, którzy zastąpili zabitych. Zbierali drewno. Oboje byli szeregowcami, od niedawna służącymi w rangersach: przypominający bojowy czołg Eddie Jones o ciężkim akcencie z Bronksu i Maria Carrera, jedna z pierwszych kobiet w rangersach. Siły Specjalne zaczęły akceptować kandydatów kobiety dopiero wtedy, gdy Kongres przyjął poprawkę do rozdziału 10 - były jednak jeszcze wyłączone z uczestnictwa w działaniach na pierwszej linii frontu, najczęściej przydzielano je do takich zadań jak ta wyprawa.



Przylecieli rano z bazy w Wauwai helikopterem i po linach zjechali na ziemię z unoszącego się w powietrzu hueya. Razem z nowymi ludźmi dostarczono paliwo i zapasy.

Była to bardzo ważna dostawa - bo ostatnia. Od tego poranka wyprawa miała znaleźć się poza zasięgiem hueyów, które nawet tym razem musiały przelecieć niemal sześćset pięćdziesiąt kilometrów. Jediną maszyną o zasięgu pozwalającym dotrzeć do maszerującej przez dżunglę grupy był czarny komancz, ale miano z niego korzystać tylko w sytuacjach awaryjnych, takich jak ewakuacja rannego czy przeprowadzenie ataku z powietrza. Poza tym ekipa poszukiwawcza była pozostawiona sama sobie.

Po przeprowadzeniu inspekcji Nathan wrócił do środka obozu. Nad stertą gałęzi kuczał kapral Conger, próbując zapalić zapałką leżącą pod nimi kupkę suchych liści, ale strumyczki wciąż padającego deszczu zgasiły płomyk.

— Niech to cholera! - zaklął młody Teksańczyk i odrzucił zapałkę. - Wszędzie woda. Najchętniej wziąłbym flarę i nią rozпалиł ognisko...

— Daj sobie spokój - powiedział kapitan Waxman. - Zjemy na zimno.

Manny jęknął. Był przemoczony do suchej nitki. Jedinym członkiem grupy, który wyglądał na jeszcze bardziej przygnębionego niż on, był Tor-tor. Jaguar ze stulonymi uszami krążył wokół swojego pana, z jego futra ściekała woda. Nie ma nic bardziej żalnego od zmokłego kota - nawet stukilowego.

— Chyba mam na to sposób - oświadczył Nathan.

Natychmiast zwróciło się ku niemu kilka par oczu.

— Znam starą indiańską sztuczkę - dodał.

Ruszył w stronę grupy drzew i zaczął wśród nich szukać tego, które zauważył podczas inspekcji obozu. Krok w krok za nim szli Manny i kapitan Waxman. Szybko znalazł to, czego szukał - drzewo o charakterystycznej szarej korze. Wyjął maczetę i naciał korę. Zaczęła wypływać gęsta rdzawa żywica. Dotknął jej palcem i podstawił go Waxmanowi pod nos.

Kapitan powąchał.

- Pachnie jak terpentyna.

Nathan poklepał pień.

- To drzewo nazywa się *copal*, jego nazwa pochodzi od azteckiego słowa oznaczającego żywicę: *copalli*. Drzewa z tej rodziny spotyka się we wszystkich lasach deszczowych Ameryki Środkowej i Południowej. Uzyskiwane z nich medykamenty są wykorzystywane do bardzo wielu celów: leczenia ran i biegunki, łagodzenia objawów przeziębienia. Wykorzystuje się je nawet we współczesnej stomatologii.

- W stomatologii? - powtórzył ze zdziwieniem Manny.

Nathan uniósł umazany żywicą palec.

- Jeżeli kiedykolwiek zakładano ci plombę, masz w ustach trochę *copalli*.

- W jaki sposób ma to nam pomóc? - spytał Waxman.

Nathan ukląkł i zaczął przeciągać rękami przez leżące u podstawy drzewa gnijące liście.

- Te drzewa są bardzo bogate w węglowodory. Ostatnio zaczęto nawet prowadzić badania nad wykorzystaniem ich jako źródła paliwa. Okazało się, że silnik pracujący na paliwie copalowym jest znacznie wydajniejszy niż na benzynie. - Wreszcie znalazł to, czego szukał. - Indianie znają właściwości drzewa *copal* od wieków. - Wstał i pokazał pozostałym grudę stwardniałej żywicy wielkości pięści. Nabił ją na koniec ostrego patyka. - Mogę poprosić o ogień?

Kapitan Waxman wyjął z wodoodpornego pojemnika zapalniczkę.

Nathan skrzesał ogień i przytknął płomień do grudy żywicy. Zapaliła się natychmiast jasnym płomieniem. Ruszył w kierunku stosu gałęzi, którego nie udało się zapalić.

- Indianie używają tej żywicy do zapalania ognisk w czasie deszczów - wyjaśnił. - Będzie się palić przez wiele godzin.

Kiedy wsunął płonąca żywicę między liście i gałęzie, podszli do niego Frank i Kelly. Po chwili drewno złapało ogień.

- Dobra robota - stwierdził Frank, grzejąc ręce.

Nathan zauważył, że Kelly przygląda mu się z lekkim uśmiechem. Był to jej pierwszy uśmiech od wielu godzin.

Odchrząknął.

- To nie moja zasługa. Podziękujcie Indianom.

- Być może będziemy mogli to zrobić - odezwał się nagle profesor Kouwe.

Wszyscy odwrócili się w jego stronę. Profesor i kapral Jorgensen szybkim krokiem podeszli do ogniska.

— Znaleźliśmy wioskę - powiedział Jorgensen i wskazał fragment lasu, w którym wcześniej szukali owoców. - Kilkaset metrów w górę rzeki. Jest opuszczona.

— A przynajmniej na taką wygląda - dodał Kouwe, patrząc znacząco na Nathana.

Czyżby byli to ci sami Indianie, którzy ich śledzili? Nathan poczuł przyływ nadziei. Po burzy zaczął się obawiać, że wszelkie ślady, jakie pozostawił po sobie Gerald Clark, znikną. A po pierwszej burzy szybko nadejdą następne i zaczną się pora deszczowa. Zaczynało im brakować czasu. Teraz jednak...

- Powinniśmy to natychmiast zbadać - oświadczył Waxman. - Potrzebuję trzech ludzi do przeprowadzenia zwiadu.

Kouwe uniósł rękę.

- Może byłoby lepiej, gdybyśmy działali mniej agresywnie. Indianie na pewno wiedzą, że tu jesteśmy. Moim zdaniem właśnie dlatego opuścili wioskę.

Kapitan otworzył usta, zamierzając zaproponować, ale Frank powstrzymał go gestem.

— Co pan proponuje? - zapytał profesora.

Kouwe skinął głową w kierunku Nathana.

— Pozwólcie nam iść we dwóch... bez żołnierzy.

- Mowy nie ma! - zaprotestował Waxman. - Nie pozwolę wam iść bez ochrony.

Frank zdjął czapkę i otarł czoło.

— Sądzę, że powinniśmy posłuchać profesora. Wizyta uzbrojonych żołnierzy sprawi jedynie, że Indianie będą się nas bać. Potrzebujemy ich pomocy. Jednak tak samo jak kapitan uważam, że nie możecie tam iść zupełnie sami.

— No dobrze, ale tylko jeden żołnierz - zgodził się Nathan. - I będzie trzymał karabinek na ramieniu. Choć ci Indianie żyją na odludziu, doskonale wiedzą, jak wygląda broń palna.

— Może dobrze byłoby, gdybym poszła z wami - wtrąciła Anna Fong. Długie czarne włosy kleiły jej się do twarzy i ramion. - Obecność kobiety może sprawiać wrażenie, że

wizyta nie ma wrogiego charakteru. Kiedy Indianie atakują wioskę innego plemienia, nie biorą ze sobą kobiet. Nathan kiwnął głową.

- Doktor Fong ma rację.

Kapitan Waxman skrzywił się. Nie miał zamiaru pozwolić na to, aby cywile poszli sami do nieznanego indiańskiego obozu.

- Wobec tego może ja powinnam iść jako wsparcie? - zapytała Carrera. Była piękną ciemnoskórą Latynoską o ostrzyżonych tuż przy skórze czarnych włosach. Popatrzyła na kaptana Waxmana. - Jeżeli kobiety nie są uważane za wrogów, chyba najlepiej będę się nadawała do tej misji.

Po krótkim wahaniu Waxman w końcu się zgodził.

- Niech będzie. Mam nadzieję, że ocena profesora Kouwego jest właściwa. Ale reszta oddziału będzie czekać nie dalej niż sto metrów od was. Chcę też, abyście utrzymywali z nami stały kontakt radiowy.

Frank popatrzył na Nathana i Kouwego.

Obaj kiwnęli głowami.

- No to ruszajmy.

Kiedy Nathan, Kouwe, Anna Fong i Carrera wpływali już pontonem w nurt, kapitan Waxman wybrał trzech ludzi i kazał im wsiąść do drugiego pontonu. Mieli płynąć kilkaset metrów za pierwszym, zachowując bezpieczną odległość, ale jednocześnie będąc na tyle blisko, aby móc szybko zareagować. Trzech kolejnych rangersów, pod dowództwem kaprała Jorgensena, miało iść łodem. Oddziałek ten miał zająć pozycję sto metrów od wioski. Wszyscy pomalowali twarze barwami kamuflującymi.

Manny próbował dołączyć do tej ostatniej grupy, ale Waxman go zatrzymał.

- Pozostali cywile mają siedzieć w obozie! - oświadczył.

Tak więc Kelly również mogła tylko obserwować, jak poszczególne grupy odchodzą. W obozie pozostała dwójka rangersów - nowo przybyły szeregowiec Eddie Jones i kapral Tom Graves. W którymś momencie Kelly usłyszała, że Jones mruczy do Gravesa:

- Ciekawe, jak skończymy, pilnując tych pieprzonych owiec...

Kapral Graves nie odpowiedział, jedynie tępo patrzył przed siebie.

Kelly podeszła do Franka. Jako kierownik wyprawy miał prawo zażądać, by dołączono go do którejś z odchodzących grup, postanowił jednak zostać w obozie. Nie ze strachu, ale z troski o siostrę.

- Olin nawiązał połączenie satelitarne - powiedział i ujął Kelly pod ramię. - Jeśli jesteś gotowa, możemy spróbować złapać Stany.

Kiwnęła głową. Niedaleko ogniska, pod pałatką przeciwdeszczową, siedział Olin przy laptopie z anteną satelitarną. Pracowicie stukał w klawiaturę, marszcząc brwi ze skupienia. Nad nim stał Richard Zane i patrzył, co robi.

W końcu Olin odwrócił się do nich i kiwnął głową.

- Wszystko ustawione - oznajmił z lekkim rosyjskim akcentem. Jeżeli się nie wiedziało, na co zwracać uwagę, w ogóle się go nie słyszało. Był kiedyś agentem KGB - przed upadkiem reżimu komunistycznego pracował w wydziale nadzoru komputerowego. Uciekł do Stanów kilka miesięcy przed zburzeniem muru berlińskiego, a jego techniczne wykształcenie i znajomość rosyjskich systemów zapewniły mu pracę w Wydziale Nauki i Technologii CIA.

Frank doprowadził siostrę do stojącego przed laptopem krzeselka. Odkąd dowiedzieli się o pojawieniu się w kraju zarazka, chciała być dwa razy dziennie informowana o dalszym rozwoju wypadków. Twierdziła, że obie strony powinny być powiadamiane o wszystkim na bieżąco, ale tak naprawdę chodziło jej o informacje dotyczące rodziny. Ojca, matki i córki. Wszyscy troje tkwili w oku cyklonu.

Siedziała na biwakowym krzeselku i nieufnie obserwowała Olinę. Nigdy nie czuła się w obecności tego człowieka całkiem swobodnie. Może wynikało to stąd, że kiedyś był w KGB, a ona od dzieciństwa towarzyszyła karierze ojca w CIA. Może powodem była przypominająca odcisnięcie sznura blizna biegnąca w poprzek jego szyi. Zawsze twierdził, że był w KGB jedynie technikiem komputerowym, ale jeśli to była prawda, skąd miał tę bliznę?

Olin wskazał na ekran.

- Za trzydzieści sekund powinniśmy mieć połączenie.

Kelly patrzyła na odliczający sekundy zegar. Kiedy pokazał zero, na ekranie pojawił się jej ojciec. Był bez marynarki, z poluzowanym krawatem.

— Wyglądasz jak zmokły szczur - powiedział. Kelly uśmiechnęła się lekko i uniosła dłoń do włosów.

— Zaczęło padać.

— Widzę. Co tam u was?

W pole widzenia kamery wszedł Frank i szybko streścił, co odkryli.

Kiedy brat mówił, Kelly wsłuchiwała się w wycie silnika pontonu; którym odpłynął Nathan. Układ dróg wodnych oraz ogromna masa roślinności sprawiały, że dźwięki rozchodziły się w nietypowy sposób i mogły być mylące. Przez chwilę wydawało jej się, że ponton jest bardzo blisko, nagle jednak odgłos silnika ucichł. Musieli dopłynąć już do indiańskiej wsi.

- Uważaj na siostrę, Frank - powiedział O'Brien, kończąc rozmowę.

- Oczywiście, ojczu.

Nadeszła kolej Kelly.

- Jak mama i Jessie? - zaczęła. Miała dłonie zaciśnięte na kolanach.

Ojciec uśmiechnął się uspokajająco.

— Obie zdrowe jak ryby. Wszyscy jesteśmy zdrowi. Cały instytut. Jak na razie w okolicy nie zaobserwowano ani jednego przypadku choroby. Wszelkie możliwe źródła zakażenia zostały objęte kwarantanną, a całe zachodnie skrzydło instytutu zamieniliśmy w tymczasowy dom dla naszej rodziny. Przy tej liczbie lekarzy MEDEA przez dwadzieścia cztery godziny mamy zapewnioną opiekę medyczną.

— Jak Jessie sobie z tym radzi?

— Ma dopiero sześć lat - odparł, wzruszając ramionami. - Początkowo była nieco przestraszona, że musi opuścić dom, ale teraz świetnie się bawi z dziećmi innych pracowników. Może porozmawiasz z nią sama?

Na ekranie pojawiła się twarzyczka Jessie. Kiedy córeczka jej pomachała, Kelly wyprostowała się na krzeselku.

— Cześć, mammo!

— Cześć, kochanie. Dobrze się bawisz? - zapytała Kelly, z trudem powstrzymując łzy.

Jessie entuzjastycznie pokiwała głową i usiadła dziadkowi na kolanach.

- Mieliliśmy ciasto czekoladowe i jeździłam na kucyku!

O'Brien senior uśmiechnął się.

- Niedaleko stąd jest mała farma, też w strefie kwarantanny - powiedział nad głową wnuczki. - Sprowadzono tam kuczka, aby sprawić przyjemność dzieciom.

— To wspaniale, skarbie. Bardzo chciałabym być teraz z tobą. Jessie podskoczyła radośnie i zawołała:

— Ma przyjść kłown i będzie robił zwierzęta z balonów!

— Kłown?

- Doktor Emory z histopatologii - szepnął ojciec Kelly. - Jest w tym świetny.

— Poproszę go, żeby zrobił mi małpę - oznajmiła Jenny.

Kelly przysunęła się do ekranu.

— Cieszę się, że jesteś zadowolona, kochanie.

Po kilku kolejnych minutach zachwytów nad kucykami i kłownami dziadek stwierdził:

— Czas, żeby pani Gramercy zabrała cię z powrotem do sali. Jessie nadąsała się, ale nie protestowała.

— Cześć, skarbie! - zawołała Kelly. - Kocham cię! Mała pomachała jej energicznie.

— Cześć, mammo! Cześć, wujku Frankie!

Kelly musiała się powstrzymać przed dotknięciem ekranu. Kiedy Jessie zniknęła, twarz ojca spoważniała.

— Nie wszystkie wieści są optymistyczne - powiedział.

— To znaczy?

- Właśnie z tego powodu nie ma teraz z nami twojej matki. Choć wygląda, że zatrzymaliśmy to u siebie, na Florydzie epidemia się rozpowszechnia. W nocy w szpitalach w Miami stwierdzono sześć nowych przypadków, a kolejne kilkanaście w szpitalach dalej położonych hrabstw. Strefa kwarantanny została rozszerzona, wątpimy jednak, czy udało się zabezpieczyć teren na czas. Twoja matka i inni pracownicy instytutu otrzymują raporty z całego kraju.

— Boże drogi...

— W ciągu ostatnich dwunastu godzin liczba zachorowań wzrosła do dwudziestu dwóch, a liczba zgonów do ośmiu. Sporządzone przez najlepszych epidemiologów kraju scenariusze przewidują podwajanie się tych liczb co dwanaście godzin. Na wybrzeżach Amazonki liczba ofiar śmiertelnych zaczyna dochodzić do pięciuset.

Kiedy Kelly dokonała w pamięci szybkiego obliczenia, pobladła. Leżąc na jej barku dłoń Franka zacisnęła się mocno. W ciągu kilku dni liczba ofiar tajemniczej zarazy na terenie USA mogła osiągnąć dziesiątki tysięcy.

- Prezydent właśnie podpisał rozkaz mobilizacji Gwardii Narodowej na Florydzie. Oficjalna wersja mówi o wybuchu złośliwej grypy południowoamerykańskiej, ale nie podaje się do wiadomości publicznej, w jaki sposób do nas dotarła.

Kelly odchyliła się do tyłu, jakby odsunięcie się od ekranu mogło złagodzić złe wieści.

— Opracowano już jakąś metodę leczenia?

— Jak na razie nie. Antybiotyki i środki przeciwwirusowe najwyraźniej nie działają. Możemy to leczyć jedynie objawowo, podawać dożylnie płyny, leki przeciwgorączkowe, środki uśmierzające ból. Ale dopóki się nie dowiemy, co powoduje chorobę, będzie to walka z wiatrakami - stwierdził O'Brien. - Właśnie dlatego wasza praca w terenie ma tak wielkie znaczenie. Jeżeli uda wam się dowiedzieć, co się stało z agentem Clarkiem, może odkryjecie przyczynę.

Kelly kiwnęła głową.

— Zrobimy, co w naszej mocy - oświadczył Frank.

— Wobec tego wracajmy wszyscy do pracy - powiedział ojciec i rozłączył się.

Kelly popatrzyła na brata. Obok niego stał Manny, a z drugiej strony Richard Zane.

- Może należało posłuchać tego indiańskiego szamana z Wauwai i spalić ciało Clarka - mruknął Manny.

Zane pokręcił głową.

— Nic by to nie dało. Choroba prędzej czy później wydo-  
stałaby się z lasu. Jak AIDS.

— Co pan ma na myśli? - spytała Kelly.



- AIDS zaczął się po wybudowaniu biegnącej przez afrykańską dżunglę autostrady. Zakłócając prastare ekosystemy, nie mamy pojęcia, co wyzwalamy.

Kelly wstała.

— Więc naszym zadaniem jest to powstrzymać. Być może to dżungla stworzyła AIDS, ale dała nam także najlepsze lekarstwa na tę chorobę. Siedemdziesiąt procent leków przeciwko AIDS jest wytwarzanych z tropikalnych roślin. Jeśli ta nowa choroba wyszła z dżungli, dlaczego nie miałyby być w niej lekarstw także i na nią?

— Jeżeli uda nam się je znaleźć - mruknął z powątpiewaniem Richard Zane.

Jaguar Manny'ego zawarczał nagle. Odwrócił się i przykucnął, postawił uszy i wbił wzrok w zieloną gęstwinę.

- Co mu się stało? - spytał Zane.

Manny uważnie przyjrzał się ciemnemu lasowi.

- Poczul jakiś zapach - odparł. - Coś tam jest.

Nathan szedł wąską ścieżką w kierunku indiańskiej wioski, składającej się z jednego wielkiego okrągłego domu, pozbawionego w centralnej części dachu. Kiedy zbliżał się do budowli, nie dolatywały z niej żadne odgłosy. Nie było słychać klótni *huyas*, krzyków kobiet, śmiechów dzieci. *Shabano* było upiornie ciche.

- To zdecydowanie dom Yanomami - powiedział cicho Nathan do Kouwego i Anny Fong. - Mały. Jest w nim miejsce dla nie więcej niż trzydziestu mieszkańców.

Carrera szła z tyłu, swoje M-16 trzymała oburącz, ze skierowaną ku ziemi lufą. Szeptala coś do mikrofonu.

Anna patrzyła szeroko otwartymi oczami na *shabano*.

Kiedy chciała wejść do środka, Nathan powstrzymał ją.

- Była pani kiedyś wśród Yanomami?

Pokręciła głową.

Nathan osłonił usta dłonią.

- PUK-PUK! - zawołał, po czym wyjaśnił cicho: - Niezależnie od tego, czy wioska wydaje się opuszczona, czy nie, nie wolno się do niej zbliżać bez zapowiedzenia się.

Inaczej można zarobić strzałę w plecy. Yanomami najpierw strzelają, a dopiero potem pytają.

- Nie widzę w takim postępowaniu niczego złego - stwierdziła stojąca za ich plecami Carrera.

Zaczekali przy wejściu przez pełną minutę.

— Nikogo tu nie ma - mruknął w końcu Kouwe. Wskazał za siebie. - Na brzegu nie ma czóten, sieci ani żadnego innego sprzętu do łowienia ryb. Nie słychać też *yebis*.

— Co to takiego? - zapytała Carrera.

— Szaroskrzydłe trębaczki - wyjaśnił Nathan. - Coś w rodzaju paskudnych kurczaków. Indianie używają ich jako opierzonych psów stróżujących. Kiedy ktoś się zbliża do ich wioski, robią straszliwy rejwach.

— Skoro nie ma kurczaków, nie ma też Indian. - Carrera rozejrzała się wokół siebie. - Pójdę pierwsza.

Uniosła wyżej broń, zatrzymała się przed wejściem, po czym schyliła głowę i wsunęła ją do środka. Po sekundzie wślizgnęła się w obramowany bambusem otwór i przycisnęła do ściany z liści bananowca.

- Czysto! - zawołała cicho. - Ale trzymać się za mną!

Ruszyła w kierunku centralnej części okrągłej budowli.

Trzymała broń w gotowości, jednak zgodnie z radą Nathana kierowała lufę ku ziemi. U Yanomami nałożona na cięciwę strzała skierowana w stronę człowieka była wezwaniem do wojny. Ponieważ Nathan nie był pewien, czy Indianie z tej wioski znają współczesną broń, wolał uniknąć pomyłek w interpretacji.

Po chwili reszta grupy - Nathan, Kouwe i Anna - weszli do *shabano*.

Poszczególne „mieszkania” były pooddzielane od siebie palmowymi liśćmi, tykwami na wodę i koszami. Z belek sufitowych zwisały plecione hamaki - wszystkie puste. Na centralnym placyku leżały dwie przewrócone kamienne misy, a z żaren wysypała się na ziemię mąka maniokowa.

Kiedy ze sterty brązowych bananów poderwała się kolorowa papuga, wszyscy cofnęli się o krok.

- Nie podoba mi się to - mruknął Kouwe.

Nathan wiedział, co profesor ma na myśli. Kiwnął głową.

— Dlaczego? - spytała Carrera.

— Kiedy Yanomami przenoszą się w nowe miejsce, palą stare *shabano* albo przynajmniej zabierają z niego wszystkie użyteczne przedmioty. - Kouwe powiódł wokół dłonią. - Popatrzcie na to. Kosze, hamaki, pióra. Nie zostawiliby czegoś takiego.

— Co mogło sprawić, że uciekli w takim popłochu? - spytała Anna Fong.

— Coś musiało ich wystraszyć - odparł profesor.

— My? Sądzi pan, że wiedzieli o naszym przybyciu?

— Gdyby byli w wiosce, na pewno wiedzieliby o naszym zbliżaniu się. Uważnie obserwują swój las. Ale moim zdaniem to nie my skłoniliśmy ich do ucieczki.

Nathan popatrzył na niego.

- Dlaczego tak sądzisz?

Kouwe podszedł do strefy mieszkalnej.

— Wszystkie ogniska są zimne. - Dźgnął palcem banany, które jadła papuga. - Nadgnię. Yanomami nie pozwoliliby, aby żywność marnowała się w ten sposób.

— A więc uważasz, że wieś opuszczono już jakiś czas temu?

— Powiedziałbym, że przynajmniej przed tygodniem.

- Dokąd poszli? - spytała Anna.

Kouwe powoli obrócił się wokół własnej osi.

- Trudno powiedzieć, ale zauważyłem jeszcze jedną ważną rzecz...

Nathan rozejrzał się uważnie. Po chwili zrozumiał, o co profesorowi chodzi.

— Nie ma broni. - Między przedmiotami gospodarstwa domowego nie było ani jednej strzały, łuku, pałki czy maczety.

— Cokolwiek ich wystraszyło, bali się tego śmiertelnie - stwierdził Kouwe.

Podeszła do nich Carrera.

- Jeżeli ma pan rację, że to miejsce zostało porzucone jakiś czas temu, powinnam zawiadomić o tym moją jednostkę.

Profesor kiwnął głową.

Carrera odeszła na bok, mamrocząc coś do mikrofonu.

Kouwe odciągnął Nathana na bok. Anna zajęta była oglądaniem jednego z „mieszkań”.

— To nie oni nas śledzili - powiedział szeptem profesor.  
— Więc kto?  
— Ktoś inny. I wcale nie jestem pewien, czy to byli Indianie. Chyba czas powiadomić Franka i Waxmana.  
— Sądzisz, że to, co przstraszyło Indian, jest na naszym tropie?  
— Nie wiem, ale powinniśmy być bardzo ostrożni. Jeśli coś do tego stopnia przstraszyło Yanomami, że opuścili swoją wieś...  
Mżawka ustała, chmury zaczęły się powoli rozstępować i pojawiły się pierwsze promienie popołudniowego słońca. Po tyłu godzinach półmroku wydawało się bardzo jaskrawe.  
W oddali ryknął zapalany silnik. Zaraz będzie u nich kapitan Waxman ze swoimi ludźmi.  
- Jesteś pewien, że powinniśmy im o tym powiedzieć? - spytał Nathan.  
Zanim Kouwe zdążył odpowiedzieć, podeszła do nich Anna i wskazała niebo na południu.  
- Spójrzcie na to!  
Nathan popatrzył we wskazanym kierunku. Wraz z ustaniem deszczu w powietrze zaczęły wzbijać się ptaki, aby osuszyć skrzydła i ruszyć na kolejne łowy. W odległości jakichś ośmiuset metrów spomiędzy drzew wyleciała ogromna chmara czarnych ptaszysk, która zawisała w górze niczym czarna mgła. Musiały ich być tysiące.  
Podszedł do Carrery.  
- Mogę poprosić o lornetkę?  
Carrera, która ze skupieniem wpatrywała się w chmarę ptaków, odpięła od kurtki małą kompaktową lornetkę i podała mu ją. Nathan przyłożył lornetkę do oczu i wyostrzył obraz. Kiedy to zrobił, zobaczył pojedyncze ptaki - wielkie i małe. Wiele z nich walczyło między sobą. Mimo wszelkich różnic wszystkie ptaki łączyło jedno.  
— Padlinożercy - stwierdził Nathan i opuścił lornetkę.  
Kouwe przysunął się bliżej.  
— W tak wielkiej liczbie...  
- To sępniki różowogłowe, sępniki pstrogłowe i kondory królewskie.

— Powinniśmy sprawdzić, co tam się dzieje. - W oczach Kouwego widać było niepokój. - Zniknięcie Indian... padlinożercy... to zły znak.

— Sprawdzimy to dopiero wtedy, gdy dotrą tu moi koledzy - oświadczyła Carrera.

Usłyszeli ryk silnika pontonu, który po chwili zamarł. Po kilku minutach do *shabano* wszedł kapitan Waxman z trzema żołnierzami.

— Odesłałem ludzi stacjonujących w lesie do obozu - poinformował ich. - Zbiorą wszystkich, a wy w tym czasie sprawdzicie, co tu się dzieje. - Wskazał na Carrerę, kaprala Congera i sierżanta sztabowego Kostosa.

— Chciałbym iść z nimi - powiedział Nathan. - Znam tę dżunglę lepiej od nich.

Kapitan westchnął.

- Zezwalam - odparł i machnął ręką, aby ruszali. - Macie pozostawać z nami w kontakcie radiowym.

Kiedy odchodzili, Nathan zauważył, że do Waxmana podchodzi Kouwe.

- Kapitanie, jest coś, o czym powinien pan wiedzieć...

Nathan schylił się i wyszedł z *shabano*. Wolał nie być obecny przy rozmowie profesora z Waxmanem. Kapitan raczej nie będzie zachwycony, kiedy się dowie, że ukrywali przed nim informację o krążących w nocy wokół obozu intruzach.

Conger i Kostos poszli naprzód, a Carrera zamykała pochód, idąc za Nathanem.

Powoli przedzierali się przez mokry las, cały czas patrząc pod nogi, by nie poślizgnąć się w mule lub na warstwie przesiąkniętych wodą liści. W tym samym kierunku zdawał się płynąć niewielki strumyk. Znaleźli obok niego wąską ścieżkę, którą wędrowały zwierzęta, co bardzo przyspieszyło ich marsz.

Na ścieżce widać było odciski bosych stóp. Stare, niemal zupełnie zatarte przez deszcz. Nathan wskazał jeden z nich Carterze.

- Musieli tędy uciekać Indianie.

Kiwnęła głową i dała znak, aby szli dalej.

Było to bardzo dziwne. Jeżeli Indianie tak bardzo się czegoś przestraszyli, dlaczego uciekali pieszko? Dlaczego nie skorzystali z rzeki?

Wspinali się biegnącą wzdłuż strumienia ścieżką. Las dookoła nich był przedziwnie cichy. Sprawiało to dość upiorne wrażenie i Nathan zaczął żałować, że zostawił swoją strzelbę w obozie.

Był tak bardzo skoncentrowany na utrzymywaniu równowagi i wypatrywaniu ukrytych niebezpieczeństw, że niewiele brakowało, a przeoczyłby to. Zatrzymał się gwałtownie.

Carrera omal na niego nie wpadła.

- Cholera! Nie możesz ostrzec?

Idąca przodem dwójka nie zauważyła, że się zatrzymali, i szła dalej.

— Potrzebujesz odpoczynku? - zapytała z ironią Carrera.

— Nie - odparł Nathan i wyciągnął rękę. - Proszę popatrzeć.

Na cienką gałąź nabity był kawałek wyblakłego żółtego materiału. Miał kształt prostokąta i wielkość połowy standardowej karty do gry. Nathan zdjął go z patyka.

— Co to? - zdziwiła się Carrera. - Coś indiańskiego?

— Wątpię. - Pomacał materiał. - To chyba poliester albo jakiś inny syntetyk. - Obejrzał gałąź, na którą nabito materiał. Cienkie drewno nie zostało złamane, ale nacięte. Kiedy oglądał nacięcie, jego uwagę zwróciły wryte w korze toporne znaki. - A to co? - Starł dłonią wodę z drewna. - O mój Boże...

— Co jest?

Odsunął się, aby eskortująca go Carrera też mogła przyjrzeć się gałęzi. W korze wryta była zakodowana wiadomość.



↖ SW  
17/5 G

Carrera gwizdnęła z uznaniem i przysunęła się bliżej.

- Te G i C na dole...

- Gerald Clark - dokończył za nią Nathan. - Podpisał się. Strzałka musi wskazywać, skąd przybył... a przynajmniej miejsce, w którym znajduje się następny znak.

Popatrzyła na kompas.

- Południowy wschód.

- A te liczby? Siedemnaście i pięć?

Carrera zmarszczyła czoło.

- Może to data, zapisana po wojskowemu. Najpierw dzień, potem miesiąc.

- Czyli siedemnastego maja? Prawie trzy miesiące temu.

Odwrocił się, zamierzając pójść w kierunku wskazanym przez wyrytą w korze strzałkę, ale Carrera powstrzymała go gestem i drugą dłonią mocniej wcisnęła słuchawkę do ucha.

— Przyjęłam. Jesteśmy w drodze - rzuciła do mikrofonu.

Nathan pytająco uniósł brew.

— Conger i Kostos. Znaleźli ciała.

Nathan poczuł, że robi mu się niedobrze.

- Chodźmy - dodała Carrera. - Potrzebują pańskiej opinii.

Kiedy ruszyli, zaczęła składać raport swojemu przełożonemu.

Nathan spojrział na własną dłoń i zobaczył, że cały czas trzyma w niej strzępek żółtego materiału. Gerald Clark wyszedł z dżungli boso, ubrany jedynie w spodnie. Czyżby używał kawałków koszuli do znakowania przebytej trasy?

Potał materiał w palcach. Po czterech latach był to pierwszy namacalny dowód, że przynajmniej część ekipy Clarka Randa przeżyła. Do tej chwili Nathan nie żywił zbyt wielkiej nadziei, że ojciec mógł ocaleć. Nawet nie chciał o tym myśleć - nie po tak długim czasie, nie teraz, gdy wreszcie udało mu się jako tako pogodzić z faktem jego śmierci. Ból, jaki spowodowałoby utracenie go po raz drugi, byłby nie do zniesienia. Popatrzył jeszcze raz na skrawek materiału i schował go do kieszeni.

Ciekawe, czy są gdzieś inne takie same znaki. Ale jedno było już teraz jasne: nie spocznie, póki nie odkryje prawdy o losie ojca.

Idąca za nim Carrera zakłęła nagle.

Nathan odwrócił się i zobaczył, że zasłoniła nos i usta

ramieniem. Dopiero w tym momencie poczuł odór. Smród zepsutego mięsa.

- Tutaj! - zawołano do nich.

Dziesięć metrów dalej na ścieżce stał sierżant sztabowy Kostos. W swoim kamuflażowym stroju niemal całkowicie zlewał się z otoczeniem.

Nathan podszedł do niego. Widok był przerażający.

- Jezusie... - westchnęła Carrera.

Kapral Conger z chustką przy twarzy stał kawałek dalej, w samym środku szlachtuza. Odganiał karabinkiem ptaki, a wokół niego fruwały chmary much.

Wszędzie leżały ciała: na ścieżce, między drzewami, w wodzie. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Na pierwszy rzut oka wyglądało, że to sami Indianie, trudno było jednak stwierdzić to z całkowitą pewnością, bo wiele twarzy i kończyn było objedzonych do kości, a z brzuchów wylewały się wnętrzności. Padlinożercy z grubsza obrobiły ciała, resztę pozostawiając owadom i robakom. Tak naprawdę to jedynie wielkość zwłok wskazywała na to, że byli to Indianie Yanomami. Sądząc po liczbie - mieszkańcy całej wioski.

Nathan zamknął oczy. Przypomniawszy sobie Indian, z którymi miał do czynienia w ciągu ostatnich tygodni: małą Tamę, szlachetnego Takaho. Zrobiło mu się niedobrze i gwałtownie pochylił się nad strumieniem. Przez chwilę oddychał głęboko, walcząc z mdłościami, ale żołądek nie wytrzymał i do wody trysnęła żółć. Nathan klęczał z dłońmi na kolanach i ciężko dyszał.

- Nie mamy całego dnia, Rand! - warknął Kostos. - Co tu się mogło stać? Atak innego plemienia?

Nathan nie był w stanie się poruszyć, nie ufał swojemu żołądkowi.

Podeszła do niego Carrera i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Im szybciej skończymy, tym szybciej będziemy mogli stąd iść.

Nathan kiwnął głową, wziął kolejny wdech i zmusił się do powrotu między trupy. Przyjrzał się im dokładnie.

— I co pan o tym sądzi? - spytała Carrera.

— Musieli uciekać w nocy - stwierdził Nathan.



- Skąd pan to wie? - zdziwił się Kostos.

Nathan dotknął patykiem kawałka bambusa leżącego na ziemi obok zwłok jednego z Indian.

— Pochodnia. Nadpalona na końcu. Mieszkańcy wioski uciekali w ciemnościach. - Przyjrzał się ułożeniu ciał. - Kiedy ich zaatakowano, mężczyźni próbowali chronić kobiety i dzieci. Gdy zostali pokonani, kobiety próbowaly uciekać z dziećmi. - Wskazał leżące między drzewami zwłoki Indianki z dzieckiem przyciśniętym do piersi. Odwrócił się. - Zaatakowano ich zza rzeki - mówił dalej, pokazując stertę ciał na samym brzegu. Pokręcił głową. - Musieli zostać zaskoczeni. Nie mieli czasu na zorganizowanie obrony.

— Nie interesuje mnie, w jakiej kolejności zginęli - oświadczył Kostos. - Chcę wiedzieć, kto ich wymordował.

— Nie wiem. Żadne ciało nie jest przebite strzałą ani dzidą. Ale przeciwnicy mogli po przeprowadzeniu ataku zebrać swoją broń... na przykład dla zatarcia śladów. Zresztą nigdy jej nie zostawiają. Przy takim stanie ciał nie da się stwierdzić, co było przyczyną śmierci.

— Nie okazał się pan zbyt pomocny. - Kostos pokręcił głową, odszedł kilka kroków i zaczął coś mówić do mikrofonu.

Nathan otarł czoło. Co tu się stało?

Wrócił Kostos.

- Nowe rozkazy - powiedział głośno. - Mamy zabrać stąd jedno ciało... najmniej zeżarte, i zanieść je do wioski, żeby doktor O'Brien mogła je zbadać. Ktoś na ochotnika?

Kiedy nikt nie odpowiedział, sierżant uśmiechnął się złośliwie.

— No dobra. - Wskazał na Carrerę. - Odprowadź naszego delikatnego doktora do wioski. To robota dla mężczyzn.

— Tak jest, sierżancie - odparła Carrera i dała Nathanowi znak, aby wszedł na ścieżkę.

Ruszyli we dwoje w kierunku wioski. Kiedy odeszli kawałek, mruknęła cicho:

- Co za kutas...

Nathan kiwnął głową, choć prawdę mówiąc, był zadowolony, że może odejść z miejsca masakry. Miał gdzieś, co sierżant Kostos sobie o nim myśli, rozumiał jednak rozgoryczenie

Carrery. Doskonale mógł sobie wyobrazić, co musiała znosić kobieta w składającej się z samych mężczyzn jednostce.

Resztę drogi pokonali w milczeniu. Im bardziej zbliżali się do *shabano*, tym bardziej Nathan przyspieszał kroku. Chciał jak najszybciej powrócić między żywych. Miał nadzieję, że ktoś wpadł na pomysł rozpalenia ogniska.

Przy wejściu do okrągłego indiańskiego domu stał na warcie szeregowy Eddie Jones. Za jego plecami widać było sylwetki dwóch pilnujących brzegu rzeki rangersów.

Eddie od razu przekazał im najnowszą wiadomość:

— Nie uwierzycie, kurde, co wyciągnęliśmy z dżungli.

— Co? - spytała Carrera. Jones wskazał kciukiem na drzwi.

— Sami zobaczcie.

Carrera dała znak karabinem, aby Nathan wszedł pierwszy.

Na środku *shabano* stała gęsto zbита grupka ludzi. Jedyne Manny z Tor-torem trzymał się na uboczu. Kiedy ujrzał Nathana, uniósł rękę, ale nie uśmiechnął się na powitanie.

Stłoczeni pośrodku ludzie chyba o coś się kłócili.

— To mój więzień! - mówił kapitan Waxman. Stał z trzema rangersami, celującymi z broni do kogoś, kogo zasłaniały sylwetki cywilów.

— Rozwiążcie mu przynajmniej ręce - powiedziała Kelly. - Ma przecież spętane nogi. To starzec.

— Jeśli chce pan, żeby z nami współpracował, nie może pan go w ten sposób traktować - dodał profesor Kouwe.

— Musi odpowiedzieć na nasze pytania - oświadczył z groźbą w głosie Waxman.

Stanął przed nim Frank.

- W dalszym ciągu to ja kieruję tą operacją, kapitanie. Nie pozwolę na maltretowanie więźnia.

Nathan podszedł do grupy. Anna Fong popatrzyła na niego. W jej oczach malował się strach.

Richard Zane stał nieco z boku i uśmiechał się złośliwie.

- Złapaliśmy go, kiedy obserwował nas z dżungli - wyjaśnił Nathanowi. - Pomógł nam kot Manny'ego. Szkoda, że pan nie słyszał, jak się darł, gdy jaguar przyszpilił go do drzewa.

Odsunął się na bok i Nathan wreszcie zobaczył więźnia.

Indianin leżał w błocie, jego kostki i nadgarstki były związane. Sięgające do ramion siwe włosy informowały, że należy do starszyny. Mamrotał coś pod nosem i patrzył nerwowo to na lufy karabinków, to na kręcącego się w pobliżu Tor-tora.

Nathan wsłuchał się w jego mamrotanie. Yanomami. Podszedł bliżej. Starzec odmawiał szamańską modlitwę, mającą chronić przed złem. Był szamanem z tej wioski? Przeżył masakrę?

Indianin spojrzął na niego i gwałtownie poruszył nozdrzami.

- Śmierć jest przy tobie - powiedział w dialekcie Yanomami. - Wiesz. Widziałeś.

Nathan uznał, że szaman musiał poczuć smród zwłok, który przeniknął jego ubranie i przykleił się do skóry. Ukłąkł przy nim.

- *Haya*. Dziadku. Jesteś z tej wsi? - zapytał w języku szamana.

Starzec pokręcił głową.

- Ta wieś jest naznaczona. *Shawari*. Złe duchy. Przybyłem tu, aby oddać się Ban-ali, ale było już za późno.

Kłócący się dotychczas ludzie zamilkli i przysłuchiwali się wymianie słów między Nathanem a szamanem.

— Nie odezwał się do nikogo, nawet do profesora Kouwego - szepnęła Kelly.

— Dlaczego szukasz Ban-ali, Krwawych Jaguarów? - zapytał Nathan.

— Aby uratować moją wioskę. Nie posłuchaliśmy ich. Nie spaliliśmy ciała *nabe*, białego człowieka naznaczonego jako niewolnik Ban-ali. Teraz wszystkie nasze dzieci chorują na złą magię.

Nathan nagle zrozumiał. Białym człowiekiem, naznaczonym przez Ban-ali, musiał być Gerald Clark. A jeżeli tak, musiało to oznaczać...

- Jesteś z Wauwai, prawda?

Stary kiwnął głową i splunął na ziemię.

- Niech ta nazwa będzie przeklęta. Przeklęty niech będzie dzień, w którym postawiliśmy nogę w tej wiosce.

Człowiek, którego mieli przed sobą, musiał być tym samym szamanem, który próbował leczyć chore dzieci z misji, po

czym podpalił wioskę, aby uchronić te, które jeszcze nie zachorowały. Z jego słów wynikało, że mu się to nie udało. Zarazek w dalszym ciągu rozprzestrzeniał się wśród dzieci Yanomami.

— Dlaczego tu przyszedłeś? Jak się tutaj dostałeś?

— Doszedłem śladami *nabe* do jego czółna. Zobaczyłem, jak jest pomalowane, i dowiedziałem się w ten sposób, skąd przybył. Przyszedłem szukać Ban-ali, aby im się oddać. Aby błagać ich o zdjęcie przekleństwa.

Czując się winnym, przyszedł oddać swoje życie.

- Ale było już za późno. Żyła tylko jedna kobieta. - Szaman spojrział w kierunku miejsca masakry. - Dałem jej wody i opowiedziała mi o losie wioski.

— Co on mówi? - niecierpliwiał się kapitan Waxman.

Nathan zbył to pytanie machnięciem ręki.

— Co tu się stało?

- Nasi myśliwi znaleźli białego człowieka przed trzema księżycami, chorego i wychudzonego do kości. Zobaczyli jego znaki. Przerażeni, uwięzili go, bojąc się, że przyjdzie do ich wioski. Zabrali mu wszystko, co miał przy sobie, i zamknęli go w klatce, głęboko w lesie, aby Krwawe Jaguary zabrały go stamtąd. Karmili go i dbali o niego, bali się skrzywdzić niewolnika Ban-ali. Ale *nabe* coraz bardziej chorował. Jeden księżyc później zachorował syn jednego z myśliwych.

Nathan pokiwał głową. Zarazek zaczął się rozprzestrzeniać.

- Tutejszy szaman uznał naszych myśliwych za przeklętych i zażądał śmierci *nabe*. Dla złagodzenia złości Ban-ali mieli spalić jego ciało, ale kiedy dotarli do klatki, nie było go w niej. Uznali, że Ban-ali wzięli go sobie, i ucieszyli się. Potem zauważyli, że brakuje im jednego czółna, ale wtedy było już za późno. - Indianin zamilkł na chwilę. - W ciągu następnych dni syn myśliwego zmarł i zachorowały kolejne dzieci. Tydzień temu kobieta, która wracała ze zbierania bananów, zauważyła na zewnętrznej ścianie *shabano* znak. Nikt nie wiedział, skąd się tam wziął. - Indianin wskazał głową w kierunku południowo-zachodniej części okrągłego domu. - Jest tam cały czas. To znak Ban-ali.

Nathan przerwał szamanowi opowieść i szybko streścił

zaniepokojonym słuchaczom, czego się dowiedział. Gdy skończył, kapitan Waxman kazał Jorgensenowi sprawdzić wskazaną przez starego Indianina część ściany.

Kiedy czekali, aż rangers wróci, Nathanowi udało się namówić kapitana, aby pozwolił przeciąć pęta na rękach Indianina. Ponieważ starzec współpracował, Waxman się zgodził. Szaman usiadł wygodniej i zaczął popijać wodę z menażki.

Kelly uklękła obok Nathana.

— Z medycznego punktu widzenia jego opowieść ma sens. Izolując Clarka w lesie, myśliwi poddali go kwarantannie. Jednak albo wraz z postępem choroby Clark stał się bardziej zaraźliwy, albo myśliwy, którego syn zachorował, sam się w jakiś sposób zaraził. Tak czy owak, choroba dokonała przeskoku.

— I plemię spanikowało.

Wrócił Jorgensen. Miał ponurą minę.

— Stary mówi prawdę. Na ścianie jest rysunek. Taki sam jak tatuaż na ciele agenta Clarka. - Zmarszczył nos. - To cholera śmierdzi, jakby narysowano je świńskim gównem albo czymś w tym rodzaju. Paskudnie capi.

— Niech pan spróbuje dowiedzieć się jeszcze czegoś od szamana - powiedział Frank do Nathana.

— Co się stało po znalezieniu symbolu? - zapytał Nathan Indianina.

Szaman skrzywił się.

— Mieszkańcy jeszcze tej samej nocy opuścili wioskę, ale... coś po nich przyszło.

— Co?

Indianin zmarszczył czoło.

- Kobieta, z którą rozmawiałem, była półprzytomna. Nie rozumowała jasno. Mówiła coś o rzece, która przyszła ich zjeść. Uciekali, ale to ścigało ich wzdłuż strumienia i w końcu złapało.

— Co? Co ich złapało? Ban-ali? Szaman napił się wody.

— Nie, tak nie powiedziała.

— A jak?

Szaman popatrzył Nathanowi w oczy.

- Dżungla. Kobieta powiedziała, że z rzeki wyszła dżungla i rzuciła się na nich.

Nathan zmarszczył czoło, ale szaman wzruszył ramionami i dodał tylko:

- Nic więcej nie wiem. Przeklęta kobieta umarła, a jej duch dołączył do plemienia. Następnego dnia, to znaczy dzisiaj, usłyszałem, jak płyniecie rzeką. Poszedłem zobaczyć, kim jesteście. - Popatrzył na Manny'ego i jego jaguara. - Zo stałem znaleziony. Klei się do mnie zapach śmierci... tak jak do ciebie.

Nathan usiadł na piętach i spojrział na Manny'ego. Biolog trzymał Tor-tora na smyczy, ale wielki kot chodził w tę i z powrotem i miał nastroszoną sierść. Był wyraźnie przestraszony.

Kouwe skończył streszczać innym treść rozmowy Nathana z szamanem.

- To wszystko, co ten człowiek wie - powiedział.

Waxman dał Jorgensenowi znak, aby rozciął szamanowi pęta na nogach.

- Co pan o tym sądzi? - spytała Kelly, patrząc na Nathana.

- Nie wyrobiłem sobie jeszcze zdania - odparł. Wciąż miał przed oczami leżące za wioską ciała. Początkowo sądził, że Indianie zostali zaatakowani z rzeki, jeśli jednak umierająca kobieta mówiła prawdę, oznaczało to, że atak przyszedł z samej rzeki.

Podszedł do nich Kouwe.

— Opowieść tego starca pokrywa się z mitami o Ban-ali. Według nich Krwawe Jaguary potrafią narzucić dżungli swoją wolę.

— Ale co mogłoby wyjść z rzeki i zabić mieszkańców wioski? - spytała Kelly.

Profesor pokręcił głową.

- Nawet nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić.

Ich uwagę zwróciło jakieś zamieszanie przy wejściu do *shabano*. Do środka wszedł sierżant sztabowy Kostos, ciągnąc za sobą nosze ze zwłokami. Było to ciało jednego ze zmasakrowanych Indian.

Szaman wydał z siebie przenikliwy wrzask.

Nathan spojrzął na niego.

Indianin cofał się przerażony, z szeroko otwartymi oczami.

- Nie sprowadzajcie tu przeklętych! Przywołacie Ban-ali!

Jorgensen próbował zatrzymać szamana, ale mimo podeszłego wieku Indianin był bardzo silny. Wyślizgnął się z uchwytu rangersa, pobiegł do jednego z przedziałów mieszkalnych, po czym - wykorzystując hamak jako drabinę - wspiął się na dach *shabano*.

Jeden z żołnierzy uniósł broń.

- Nie strzelać! - krzyknął Nathan.

- Opuść broń, kapralu - rozkazał Waxman.

Szaman stanął na dachu.

- Martwi należą do Ban-ali! - zawołał. - Przyjdą po to, co do nich należy!

Powiedziawszy to, zeskoczył z dachu i zniknął w dżungli.

— Złapcie go! - polecił kapitan dwóm rangersom.

— Nigdy go nie znajdą - stwierdził Kouwe. - Zniknie w dżungli bez śladu.

Jego słowa sprawdziły się, indiańskiego szamana nic udało się znaleźć. Kiedy popołudnie zaczęło się zamieniać w wieczór, Kelly zaszyła się w rogu *shabano* i zaczęła badać ciało Indianina. Nathan zaprowadził kapitana Waxmana i Franka do drzewa z wyrytymi na korze przez Geralda Clarka informacjami.

- Musiał to napisać, zanim został złapany - stwierdził Frank. - To okropne. Był już tak blisko cywilizacji, ale został pojmany. - Pokręcił głową i dodał: - Uwięziono go na prawie trzy miesiące.

Kiedy wrócili do wielkiej chaty, reszta zespołu rozbijała obóz - rozpalano ogniska, ustalano plan wart, przygotowywano jedzenie. Jutro zamierzali kontynuować wędrówkę tropem Geralda Clarka po suchym terenie.

Gdy słońce zaszło, a kolacja była prawie gotowa, Kelly wyszła z zamienionego w prowizoryczne prosektorium kąta *shabano*, z ciężkim westchnieniem usiadła na połowym krzeselku i zapatrzyła się w ogień.

- Wiele wskazuje na to, że został czymś otruty - zaczęła. - Znalazłam dowody świadczące o tym, że umierał w kon-

wulsjach: przegryziony język, obkurczenie tkanek w okolicy kręgosłupa i kończyn...

— Co to takiego mogło być? - spytał Frank.

— Aby to ustalić, potrzebne byłoby laboratorium toksykologiczne. Nie jestem nawet w stanie określić, jaką drogą trucizna dostała się do organizmu. Mogła to być zatruta dzida, strzała albo mała strzałka z dmuchawki. Ciało jest zbyt mocno uszkodzone przez padlinożerców, aby dało się to stwierdzić.

Nathan słuchał i obserwował zachód słońca. W jego uszach dźwięczały słowa szamana: „Przyjdą po to, co do nich należy”. Myślał o masakrze, o rozprzestrzeniającej się tutaj i w Stanach epidemii. Nie mógł pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia, że kończy im się czas.



## 9

# Nocny atak

14 SIERPNIA, GODZ. 12.18  
DŻUNGLA AMAZOŃSKA

Kelly obudziła się z sennego koszmaru tak gwałtownie, że o mało nie wypadła z hamaka. Nie pamiętała szczegółów snu, jedynie to, że były w nim jakieś zwłoki i pogoń. Popatrzyła na zegarek. Właśnie minęła północ.

Większość uczestników wyprawy spała. Przy ognisku stał jeden z rangersów, a jego partner pilnował wejścia do *shabano*. Kelly wiedziała, że druga para żołnierzy patroluje teren na zewnątrz domu. Pozostali odsypiali ciężki, pełen przerażających przeżyć dzień.

Nic dziwnego, że dręczyły ją koszmary: masakra Indian, objęzione ciało, które badała, narastające napięcie. Dochodził do tego nieustanny lęk o przebywającą w Wirginii rodzinę. Jej podświadomość miała mnóstwo materiału, przez który musiała się przegryźć podczas snu.

Wieczorny raport ze Stanów nie był ani trochę optymistyczniejszy od południowego. Na terenie USA stwierdzono dwanaście nowych zachorowań i nastąpiły trzy zgony - dwoje dzieci i starsza kobieta z Palm Beach. W basenie Amazonki choroba i śmierć rozprzestrzeniały się jak ogień w suchym lesie. Ludzie barykadowali się w swoich domach albo opuszczali miasta. Na ulicach Manaus palono zwłoki.

Matka Kelly zapewniła córkę, że jak na razie nie zachorował

ani jeden pracownik instytutu Instar, ale było jeszcze zbyt wcześnie, aby uwierzyć, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Najnowsze dane, uzyskane głównie na podstawie analizy przypadków amazońskich, gdzie historia choroby była dłuższa, sugerowały, że okres inkubacji może trwać od trzech do siedmiu dni. U dzieci gorzej odżywionych albo osłabionych trwał krócej.

Jeśli chodzi o przyczynę choroby, CDC zdecydowanie wykluczyło bakterię, ale w dalszym ciągu sprawdzano różne warianty wirusowe. Jak na razie winny nie został jednak określony.

Choć już sam raport był wystarczająco ponury, czekały ich jeszcze gorsze wieści.

- Wiemy obecnie, że choroba przenosi się drogą powietrzną. Wcale nie potrzeba do tego kontaktu fizycznego - oświadczyła Lauren O'Brien.

Każdy lekarz wie, co to oznacza. Tak łatwo przenoszący się patogen jest niezwykle trudny do opanowania. A przy takiej śmiertelności...

- Pozostała nam tylko jedna nadzieja - powiedziała na końcu matka. - Potrzebujemy lekarstwa.

Kelly sięgnęła po stojącą obok hamaka menażkę i upiła łyk wody. Była pewna, że tej nocy już nie uda jej się zasnąć, więc po cichu wstała.

Wartownik przy ognisku odwrócił się w jej kierunku. Miała na sobie to samo ubranie co poprzedniego dnia - szary T-shirt i brązowe spodnie - i kiedy włożyła buty, była całkowicie ubrana. Wskazała wejście, dając w ten sposób żołnierzowi znak, że zamierza rozprostować nogi, ale nie chce przeszkadzać śpiącym.

Rangers kiwnął głową.

Gdy wyszła z *shabano*, stwierdziła, że na warcie stoi Carrera.

- Potrzebowałam trochę świeżego powietrza - szepnęła do niej.

Carrera kiwnęła głową i wskazała brzeg rzeki.

- Nie jest pani jedyna.

Kilka metrów dalej, przy samej rzece, stał ktoś jeszcze. Kelly bez trudu rozpoznała w tej postaci Nathana Randa. Był

sam - jeśli nie liczyć pilnujących brzegu dwóch rangersów z latarkami.

— Proszę trzymać się w bezpiecznej odległości od rzeki - ostrzegła ją Carrera. - Nie mamy wystarczającej liczby czujników ruchu, aby zabezpieczyć obóz od strony wody.

— Oczywiście - odparła Kelly. Doskonale pamiętała, co przydarzyło się kapralowi DeMartiniemu.

Poszła ścieżką. Noc wypełniały śpiewy szarańczy i ciche kumkanie niezliczonych żab. Te dźwięki uspokajały. W gałęziach drzew tańczyły świetliki, zataczając łagodne łuki nad wodą.

Nathan usłyszał jej nadejście. Z jego warg zwisał papieros, żar rozjaśniał ciemność niczym czerwona gwiazdka. Kelly stanęła obok niego i zapatrzyła się w rzekę.

— Nie wiedziałam, że pan pali.

— Bo nie palę - odparł i wypuścił długą strugę dymu. - Przynajmniej niewiele. Wyłudziłem tego papierosa od kaprała Congera. - Wskazał patrolującą teren dwójkę żołnierzy. - Nie paliłem od czterech albo pięciu miesięcy, ale... sam nie wiem... chyba potrzebowałem wymówki, aby tutaj przyjść.

— Wiem, co pan ma na myśli. Ja też przyszedłem tu po świeże powietrze - powiedziała i wyciągnęła rękę.

Podał jej papierosa.

Wciągnęła głęboko dym, próbując pozbyć się napięcia.

- Nie ma nic lepszego od świeżego powietrza - mruknęła i oddała papierosa Nathanowi.

Zaciągnął się po raz ostatni, rzucił niedopałek na ziemię i zdeptał go.

Stali w milczeniu i patrzyli na płynącą w dole rzekę. Tuż nad wodą przeleciało kilka nietoperzy polujących na ryby, w oddali żałośnie zaskrzeczał jakiś ptak.

- Nic jej nie będzie - powiedział w końcu Nathan.

Kelly popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Słucham? - Jessie, pani córce... nic jej się nie stanie. Kelly nic na to nie odpowiedziała.

- Przepraszam. Wtrącam się w nie swoje sprawy.

Dotknęła jego łokcia.

— Nie, to miłe... naprawdę. Nie sądziłam tylko, że mój niepokój jest aż tak widoczny.

— Może jest pani wspaniałym lekarzem, ale przede wszystkim jest pani matką.

Kelly milczała przez chwilę.

— Cóż... Jessie jest moim jedynym dzieckiem. Jedynym, jakie kiedykolwiek będę miała.

— To znaczy?

Kelly nie bardzo wiedziała, dlaczego postanowiła powiedzieć o tym akurat Nathanowi, lecz czuła, że może jej to ułatwić nazwanie swoich lęków.

- Kiedy rodziłam Jessie, doszło do komplikacji i... zabiegu chirurgicznego. Potem już nie mogłam mieć dzieci.

- Przykro mi.

Uśmiechnęła się słabo.

- To było dawno temu. Pogodziłam się z tym. Teraz jednak, kiedy Jessie jest zagrożona...

Nathan westchnął i usiadł na zwałonej kłodzie.

- Doskonale to rozumiem. Wędruje pani przez dżungłę, zamartwiając się o kogoś, kogo pani bardzo kocha, ale musi pani iść dalej.

Usiadła obok niego.

- Tak jak pan, kiedy zaginął pański ojciec...

Nathan wpatrywał się w rzekę.

- Czuje się wtedy nie tylko niepokój i lęk, ale także poczucie winy.

Dobrze znała to uczucie. Co tu robiła, po co błąkała się po tym mrocznym lesie, podczas gdy jej córeczce groziło niebezpieczeństwo? Powinna pierwszym lotem wracać do domu.

Znowu zamilkli, jednak po chwili milczenie zaczęło im ciążyć.

Kelly postanowiła wreszcie zadać Nathanowi pytanie, które dręczyło ją od ich pierwszego spotkania.

— Dlaczego pan tu przyjechał?

— Jak to?

— Stracił pan w Amazonii oboje rodziców. Dlaczego pan tu wrócił? Czy to nie jest zbyt bolesne?

Nathan potarł dłonie i wbił wzrok w ziemię.

- Przepraszam... To nie moja sprawa.

— Nie, nie - odparł szybko. Popatrzył na nią, zaraz jednak odwrócił wzrok. - Chyba szkoda, że zgasilem tego papierosa. Przydałby mi się teraz.

— Możemy zmienić temat.

— Nie ma takiej potrzeby. Po prostu trochę mnie pani zaskoczyła. Niełatwo odpowiedzieć na to pytanie... - Pokręcił głową. - Kiedy straciłem ojca i w końcu zrezygnowałem z poszukiwań, porzuciłem dżunglę i przysiągłem sobie, że nigdy tu nie wrócę. Ale ból nie ustępował. Próbowałem utopić go w alkoholu i stępieć narkotykami, nic to jednak nie dało. Rok temu wsiadłem do samolotu i przyleciałem tu ponownie. Nie wiem po co. Poszedłem na lotnisko, kupiłem bilet i wylądowałem w Manaus.

Zamilkł. Słysząc było jedynie jego ciężki, przepelniony emocjami oddech. Delikatnie położyła dłoń na jego kolanie. Bez słowa przykrył jej dłoń swoją.

— Kiedy wróciłem do dżungli, stwierdziłem, że tutaj łatwiej znieść ból.

— Dlaczego?

— Nie mam pojęcia. Może dlatego, że choć moi rodzice tu umarli, także właśnie tutaj żyli. Amazonia była ich prawdziwą ojczyzną. - Nathan wzruszył ramionami. - Chyba mówię bez sensu.

— Na pewno nie. Tutaj jest pan najbliższej rodziców.

Poczuła, że jego ciało sztywnieje. Nie odpowiedział.

— Nathan?

- Nie umiałem tego dotychczas nazwać, ale chyba ma pani rację - powiedział w końcu chrapliwym głosem. - Tu, w dżungli, są zawsze przy mnie. Tutaj związane z nimi wspomnienia są najwyraźniejsze. Jak matka uczyła mnie mieć maniok... jak ojciec pokazywał mi, czym się różnią od siebie poszczególne gatunki drzew... - Odwrócił się do Kelly. - To jest mój dom.

Jego twarz wyrażała jednocześnie radość i smutek. Kelly przyłapała się na tym, że pochyla się w jego stronę.

- Nathan...

W tym momencie kilka metrów od brzegu nad powierzchnię rzeki wystrzelił na ponad pół metra cienki gejzer. Coś wielkiego zawróciło pod wodą i zniknęło.

- Co to było? - spytała Kelly, podrywając się z miejsca, gotowa do ucieczki.

Nathan objął ją ramieniem i posadził z powrotem na kłodzie.

- Nie ma się czego bać. To tylko *boto*, delfin słodkowodny. Jest ich tu dużo, ale są dość płochliwe. Spotyka się je głównie w odludnych miejscach, jak tutaj, wędrują zwykle w niewielkich stadach.

Jakby na poparcie jego słów, z wody wystrzeliło kilka kolejnych gejzerów. Kelly dostrzegła wynurzające się z wody i zaraz znikające niewielkie płetwy grzbietowe. Zwierzęta poruszały się bardzo szybko.

— Są niesamowicie zwinne.

— Prawdopodobnie polują.

Kiedy znowu usiedli, zaczęła się prawdziwa procesja - delfiny pędziły jak szalone, niemal wyskakując nad wodę. Rozlegały się głośne plaśnięcia i gwizdy. Po kilkunastu sekundach rzeka wyglądała, jakby całe koryto było wypełnione pędzącymi w dół nurtu zwierzętami.

Nathan zmarszczył czoło i wstał.

— Co się dzieje? - spytała Kelly.

— Nie mam pojęcia. - Jeden z delfinów przemknął przez płyciznę u ich stóp, zawadził o mulisty brzeg i niemal wypadł z wody, uderzył jednak mocniej ogonem i wrócił do nurtu. - Coś je musiało przestraszyć.

Kelly również wstała.

- Co?

Nathan pokręcił głową.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, aby tak się zachowywały. - Popatrzył na stojących przy ujściu małego strumienia rangersów, którzy również przyglądali się paradzie delfinów. - Potrzebuję więcej światła.

Pobiegli do żołnierzy.

— Czy możecie mi pożyczyć latarkę? - spytał Nathan.

— To tylko delfiny - burknął Kostos. - Kiedy patrolujemy w nocy, widzimy mnóstwo tego cholerstwa. No tak, ale wszyscy śpicie sobie wtedy smacznie w swoich łóżeczkach.

Kapral Conger był bardziej skłonny do współpracy.

- Proszę, doktorze Rand - powiedział, podając Nathanowi latarkę.

Nathan wziął ją, zszedł do wody i poświecił w górę nurtu. Delfiny płynęły w dalszym ciągu, ale już w niewielkiej ilości. Nathan zwiększył szerokość promienia światła i znowu skierował go na wodę.

- A niech to cholera... - jęknął.

Ledwie światło dotknęło powierzchni rzeki, woda zaczęła się gotować. Pieniła się jak na bystrzach, kiedy ogromna masa wody musi przecisnąć się między zwężającymi koryta progami. Różnica była jednak taka, że kipiące pianą miejsce przesunęło się w dół nurtu.

- Co to takiego? - spytała zdumiona Kelly.

Kolejny delfin wpadł na płyciznę, zarył brzuchem w muł, ale nie wrócił na głębszą wodę tak jak poprzedni, tylko przetoczył się wokół własnej osi, wydając przenikliwy pisk. Nathan skierował na niego światło latarki. Kelly jęknęła i cofnęła się gwałtownie.

Delfin nie miał ogona, a z jego rozprutego brzucha wylewały się wnętrzności. Prąd wciągnął nieszczęsne zwierzę z powrotem do wody.

Nathan przesunął światło latarki w górę rzeki. Spieniona kipiela wody znacznie się do nich zbliżyła.

- O co tu chodzi? - wymamrotał kapral Conger. - Co jest grane?

Ciemności przeszył przenikliwy kwik świni, dobiegający z jakiegoś miejsca w górze rzeki. Zatrzepotały skrzydłami obudzone ptaki, wybite ze snu małpy zaczęły pokrzykiwać.

— Co jest grane? - powtórzył Teksańczyk.

— Potrzebuję na chwilę pańskich gogli noktowizyjnych - oświadczył Nathan.

- Czemu woda tak się kotłuje? - spytała Kelly, przysuwając się do Nathana.

Chwycił gogle noktowizyjne i założył je.

— Widywałem już spienione rzeki, ale nie aż tak.

— Co mogło to spowodować?

— Piranie... oszalałe z głodu piranie.

Oglądany przez gogle noktowizyjne świat jest jaśniejszy, ale

wszystkie kontury rozplywają się w monochromatycznej zieleni. Nathan potrzebował kilku sekund, aby skupić wzrok na pieniającej się wodzie. Ustawił soczewki, aby wyostrzyć obraz. Ujrzał w pianie mignięcia płetw grzbietowych delfinów, zaatakowanych przez drapieżne ryby o ostrych jak brzytwy zębach - oraz srebrne błyski boków piranii, walczących o łup.

- Nie widzę w tym żadnego zagrożenia - stwierdził z arogancką wyższością Kostos. - Niech sobie te pieprzone piranie żrą delfiny. Przecież nie wejdą na ląd.

Miał rację, ale Nathanowi przypomniały się zmasakrowane ciała Indian z wioski i ich strach przed rzeką. Czyżby mieli do czynienia z tym samym niebezpieczeństwem? Może w tutajszych wodach było tak dużo tych krwiożerczych ryb, że nawet Indianie bali się płynąć rzeką w nocy i dlatego uciekali brzegiem? No i to dziwne zachowanie piranii... atak na delfiny... Nie miało to sensu. Nathan nigdy nie słyszał o podobnym przypadku.

Jego uwagę przyciągnął jakiś ruch na skraju pola widzenia. Odwrócił się od spienionej wody i zobaczył leżące na brzegu truchło. Wyglądało jak pekari, dzika świnia. Czy właśnie to zwierzę kwiczało przed chwilą? Po nieruchomym ciele coś skakało - kilka mniejszych zwierząt. Przypominały żaby ryczące, ale zachowywały się jak drapieżniki: próbowały rozszarpać martwą świnie i ściągnąć ją do wody.

- Co to do cholery...

- Co się dzieje? - spytała Kelly. - Co zobaczyłeś?

Nathan przestawił teleskopowe soczewki na większe zbliżenie i patrzył, jak kolejne „żaby” wyskakują z wody i atakują truchło. Dołączały do nich następne - wyskakiwały wysoko nad brzeg i znikwały w leżących na ziemi liściach. Z zarośli wybiegła wielka kapibara\* i zaczęła pędzić wzdłuż mulistego brzegu. Wyglądała jak ogromny chomik. Nagle upadła - wyglądało to tak, jakby potknęła się o własne nogi. Ciałem zwierzęcia wstrząsnęły konwulsje. Z wody natychmiast zaczęły wyskakiwać kolejne żabopodobne stwory, aby rzucić się na nieszczęsnego gryzonia.

\* Największy żyjący współcześnie gryzoń. Zwierzęta te osiągają od 100 do 130 cm długości, a ich waga może dochodzić do 50 kg.



Nathan nagle pojął, co widzi. To właśnie musiało spotkać Indian z wioski. Wyraźnie pamiętał słowa szamana: „Dżungla wyszła z rzeki i rzuciła się na nich”. Kapibara wiała się i podrygiwała. A Kelly mówiła przecież, że Indianin, którego ciało badała, musiał umierać w konwulsjach.

Zerwał gogle z głowy. Linia spienionej wody znajdowała się już tylko trzydzieści metrów od nich.

- Musimy natychmiast oddalić się od rzeki! - krzyknął. - Od wszystkich dróg wodnych!

Kapral Conger wziął od niego gogle.

- Może powinniśmy posłuchać doktora... - urwał, bo coś uderzyło z mokrym plaśnięciem w jego hełm i spadło na ziemię. - Jezus Maria...

Nathan poświecił latarką w dół. W błocie stał dziwny stwór. Sprawiał wrażenie lekko zdziwionego. Przypominał monstrualną kijankę, ale z dobrze rozwiniętymi tylnymi kończynami.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, wczepił się w udo Congera. Kapral jęknął, trzasnął go kolbą karabinu i cofnął się.

- Ależ ten skurwiel ma zębiska...

Kostos zdeptał stwora obcasem i zrzucił go kopniakiem do rzeki.

- Już nie ma - warknął.

Zaczęli uciekać od rzeki. Conger trzymał się za udo i wyraźnie utykał. W spodniach miał dziurę, a kiedy odsunął rękę, była zakrwawiona.

- Wyrwał mi kawał uda - stwierdził z nerwowym śmiechem.

Błyskawicznie wrócili do wioski.

— Co się dzieje? - spytała Carrera. Nathan wskazał na rzekę.

— Idzie na nas to, co zaatakowało Indian. Musimy uciekać.

— Nie opuszczajcie posterunku - polecił Carrerze Kostos.

- Conger, niech ktoś rzuci okiem na waszą nogę, a ja pójde złożyć raport kapitanowi Waxmanowi.

— Mój zestaw medyczny jest w *shabano* - powiedziała Kelly.

Conger oparł się o bambusowy słupek przed wejściem.

- Nie czuję się dobrze - wymamrotał.

Popatrzyli na niego.

- Wszystko jakby zaczynało się... rozmazywać...

Kelly wyciągnęła do niego rękę. Z kącików ust kaprała pociekła ślina, głowa opadła mu do tyłu, a za nią tułów, którym zaczynały wstrząsać drgawki.

— Conger! - krzyknął sierżant Kostos, łapiąc przewracającego się bezwładnie kolegę.

— Zanieście go do środka - powiedziała Kelly i weszła do *shabano*.

Kostos próbował wciągnąć Congera do wnętrza okrągłego domu, ale kapral mu to uniemożliwił, wściekle machając rękami. Carrera zarzuciła broń na ramię i pospieszyła z pomocą.

- Wracaj na posterunek! - wrzasnął na nią sierżant, po czym odwrócił się do Nathana. - Złap go za nogi, do cholery!

Nathan opadł na kolana i wsadził sobie kostki Congera pod pachy. Kapral rzucał się z taką siłą, że Nathan miał wrażenie, jakby próbował utrzymać kabel wysokiego napięcia.

- Idziemy! - zakomenderował Kostos.

We dwóch przeciągnęli kaprała przez wąski otwór drzwiowy. Pojawili się obudzeni hałasem pozostali członkowie wyprawy.

— Co się dzieje? - zapytał Zane.

— Z drogi! - zawołał Kostos i odepchnął go z przejścia.

- Tutaj! - krzyknęła Kelly. Zdażyła już otworzyć walizkę i trzymała w dłoni strzykawkę. - Połóżcie go i przytrzymajcie.

Kiedy położyli Congera na ziemi, Nathan został odsunięty na bok. Jego miejsce zajęło dwóch żołnierzy, którzy przycisnęli kolegę do klepiska.

Kostos klęczał na barkach Congera, ale głowa kaprała nieustannie podskakiwała i opadała. Z jego przygryzionych warg leciała krwawa piana.

- Jezu, Conger! - jęknął sierżant.

Kelly rozcięła skalpelem prawy rękaw kaprała i szybko wkłuła się w jego ramię. Wcisnęła do końca tłoczek strzykawki i uklękła, czekając, aż środek zacznie działać. Przez cały czas trzymała Congera za nadgarstek.

- Dawaj... dawaj... - mamrotała.

Ramię żołnierza rozluźniło się w końcu.  
- Dzięki Bogu... - szepnął Kostos.  
Ale Kelly nie była zadowolona.  
- Niech to cholera! - Sprawdziła puls na szyi kaprała i odepchnęła żołnierzy na bok. - Niech ktoś zacznie sztuczne oddychanie! - krzyknęła.  
Rangersi byli zbyt zaskoczeni, aby zareagować.  
Nathan odsunął Kostosa na bok, starł z ust Congera krwawą pianę i zaczął robić oddychanie usta-usta. Skoncentrowany na współdziałaniu z Kelly, która robiła masaż serca, ledwie słyszał zaniepokojone głosy pozostałych.  
— To było jakieś cholerstwo przypominające wielką żabę - wyjaśnił Kostos. - Skoczyło i ugryzło go w udo.  
— Musiało być jadowite... - wysapała Kelly między kolejnymi uciśnięciami klatki piersiowej Congera.  
- Nigdy o czymś takim nie słyszałem - mruknął Kouwe.  
Nathan chciał potwierdzić słowa sierżanta, nie mógł jednak przerwać podawania żołnierzowi oddechu.  
— Były ich tysiące - dodał Kostos. - Przebijały się w dół rzeki, pożerając wszystko po drodze.  
— Co teraz? - zapytał Zane.  
Donośny głos kapitana Waxmana sprawił, że wszyscy zamilkli.  
— Przynajmniej nie będziemy panikować - oświadczył. - Kapral Graves i szeregowy Jones... dołączyć do Carrery! - rozkazał.  
— Zacznie... kajcie! - wysapał Nathan między kolejnymi wydechami.  
— O co chodzi? - spytał Waxman.  
Nathan starał się równocześnie mówić i reanimować Congera.  
— Jesteśmy za blisko wody. Rzeka płynie tuż za *shabano*.  
— I co z tego?  
— Te stwory atakują z wody... jak tamtych Indian. - Nathanowi kręciło się w głowie od hiperwentylacji. - Nie możemy zbliżyć się do rzeki ani żadnych innych dróg wodnych aż do rana. To nocne... - Znów się pochylił, aby podać Congerowi powietrze.

— Co pan ma na myśli?

— Indianie zostali zaatakowani w nocy - odpowiedział za niego profesor Kouwe. - Nathan sądzi, że te żabopodobne stwory żerują w nocy. Jeżeli uda nam się trzymać je od siebie z daleka do wschodu słońca, zagrożenie minie.

— Ale przecież zabezpieczyliśmy cały teren wioski. To tylko jakieś żaby, ryby czy coś w tym rodzaju.

Nathan wciąż miał przed oczami obraz, jaki zobaczył przez gogle noktowizyjne: wyskakujące z rzeki stwory, wpadające między drzewa.

— Nie jesteśmy tu bezpieczni! - wychrypiał i znowu się pochylił, ale powstrzymała go dłoń na ramieniu.

— To na nic - powiedziała Kelly. - Kapral Conger odszedł. - Spojrzała na stojących wokół ludzi. - Przykro mi. Jad rozprzestrzenił się zbyt szybko. Bez antidotum... - Pokręciła smutno głową.

Nathan popatrzył na nieruchome ciało młodego Teksaszczyka.

— Niech to cholera... - Wstał. - Musimy stąd iść. Nie wiem, jak daleko od rzeki te stwory są w stanie dotrzeć, ale ten, którego widziałem, miał skrzela. Prawdopodobnie nie mogą długo pozostawać poza wodą.

— Co proponujesz? - spytał Frank.

— Dotrzeć na wyżej położony teren. Unikać rzek i strumieni. Przypuszczam, że Indianie sądzili, iż muszą bać się tylko rzeki, ale te drapieżniki przyplęnęły strumieniem.

— Mówisz tak, jakbyś uważał, że te stwory są inteligentne.

— Nie, wcale tak nie uważam - odparł Nathan. Zastanawiał się, dlaczego tylko delfiny przed nimi uciekały, podczas gdy ryby wcale się nie niepokoily. A potem zabiły pekari i kapibarę. - Może są przystosowane jedynie do atakowania istot ciepłokrwistych? Może wyczuwają ciepło ciała albo coś innego i przeczesują wszystkie zbiorniki wodne oraz ich okolice w poszukiwaniu łupu?

— Moim zdaniem lepiej będzie, jeśli pójdziemy za radą doktora Randa - oświadczył Frank, patrząc na kapitana Waxmana.

— Ja też tak uważam - powiedziała Kelly i wstała. Wskazała na ciało kaprala Congera. - Jeżeli jedno ugryzienie może

doprowadzić do takiej szybkiej śmierci, nie możemy ryzykować.

Waxman odwrócił się do Franka.

- Jest pan co prawda szefem wyprawy, ale w zakresie bezpieczeństwa obowiązują moje decyzje.

W otworze drzwiowym pojawiła się głowa Carrery.

- Coś się dzieje na zewnątrz. Rzeka bardzo gwałtownie się pieni. Właśnie eksplodował jeden z pontonów.

Dżungla ożyła wrzaskami małp i ptasim skrzekiem.

— Zaczyna nam brakować możliwości działania - stwierdził Nathan. - Jeżeli te stwory podpłyną w górę rzeki i odetną nas od wyżej położonego terenu, znacznie więcej ludzi zginie tak jak Conger... i jak Indianie z wioski.

— Doktor Rand ma rację - poparł go nieoczekiwanie sierżant Kostos. - Widziałem to draństwo. Nic tego nie powstrzyma. - Zatoczył łuk ręką. - A już na pewno nie ta marna chata. Jesteśmy tu jak wystawione na odstrzał kaczki.

Po chwili namysłu Waxman kiwnął głową.

— Ładować sprzęt! - rozkazał.

— A co z czujnikami ruchu na obwodzie? - spytał Kostos.

- Zostawcie je. Lepiej, żeby nikt tam teraz nie szedł.

Kostos ruszył wypełniać rozkazy.

Zaczęto szybko ładować plecaki i zarzucać je na ramiona. Dwóch rangersów kopało płytki grób dla kaprała Congera.

Carrera stała w drzwiach. Miała na głowie gogle noktowizyjne i obserwowała rzekę oraz dżunglę.

- Ruch przy rzece się uspokoił, ale słyszę jakiś szelest w zaroślach - powiedziała.

Dżungla coraz bardziej cichła.

Nathan podszedł do wejścia i przykląkł obok wartowniczeki. Był już gotów do drogi, strzelbę z krótką lufą trzymał w prawej dłoni.

- Co widzisz? - spytał.

Carrera poprawiła gogle.

- Nic, ale drzewa są tak gęste, że nie da się nic zobaczyć na większą odległość.

Nathan wychylił się na zewnątrz. Usłyszał trzask pękającej gałązki. Po chwili z dżungli wystrzelił młody, nakrapiany jeleni,

i przemknął obok wejścia do *shabano*. Carrera i Nathan westchnęli i zanim zdążyli stwierdzić, że to nic niebezpiecznego, szybko cofnęli się do środka chaty.

- Jezu... - wydyszała Carrera, tłumiąc śmiech.

Jeleń zatrzymał się na chwilę tuż obok chaty i postawił uszy.

- Sio! - zawołała Carrera i groźnie pomachała swoim M-16.

W tym momencie coś spadło z drzewa i wylądowało na grzbiecie jelenka. Zwierzę zaskowyczało z przerażenia i bólu.

- Do środka! - krzyknął Nathan do Carrery.

Kiedy wbiegała do środka, osłaniał ją. Ze skraju lasu skoczył na młodego jelenia kolejny stwór, a trzeci wyprysnął z trawy. Zaatakowane zwierzę zrobiło kilka niepewnych kroków, po czym przewróciło się na bok i zaczęło wierzgać w agonii.

Od strony rzeki odezwał się pojedynczy czujnik ruchu.

- Już tu są... - mruknął pod nosem Nathan.

Carrera ściągnęła z głowy gogle i zapaliła latarkę. Promień światła oświetlił biegnącą do brzegu ścieżkę. Dżungla po jej obu stronach pozostała ciemna.

- Nic nie widzę...

Zaledwie kilka metrów od nich coś spadło na ścieżkę.

Z miejsca, w którym stali, stwór wydawał się składać z samych nóg i długiego kolczastego ogona, który włókł za sobą po ziemi. Kiedy jego paszcza, znajdująca się pod wypukłymi jak piłeczki ślepiami, otworzyła się szeroko, w świetle latarki błysnęły ostre zęby. Zwierzę wyglądało jak skrzyżowanie kijanki i piranii.

- Co to jest, do diabła? - szepnęła Carrera.

Stwór skoczył w ich kierunku, jakby zareagował na jej głos.

Nathan pociągnął za spust. Grad śrucin poszarpał intruza i odrzucił go do tyłu. To właśnie było najlepsze w strzelbie - nie wymagała precyzyjnego celowania. Idealnie nadawała się do obrony przed jadowitymi wężami, skorpionami, pajakami - a także przed tymi dziwnymi stworami.

- Cofnij się - polecił Nathan Carrerze i zamknął drzwi.

Była to jedynie mizerna zasłonka z plecionych liści bananowca, ale powinna na chwilę powstrzymać atak.

- To nasza jedyna droga ucieczki - zaprotestowała Carrera.

Nathan wolną dłonią odpiął od paska maczetę.

- Wcale nie. - Wskazał czubkiem ostrza ścianę w głębi. - Można tu sobie zrobić drzwi, gdzie tylko się chce.

Kiedy szli na centralny placzyk *shabano*, dołączyli do nich Frank i kapitan Waxman. Kapitan składał sztabową mapę.

- Są już przed chatą - powiedział Nathan. Kiedy doszli do tylnej ściany, zamachnął się maczetą i zaczął wycinać otwór w liściastej plecionce. - Musimy uciekać.

Waxman kiwnął głową i zawołał swoich ludzi.

- Wynosimy się stąd! Natychmiast!

Nathan kopnął kilka razy wycięty fragment ściany, wypychając go na zewnątrz i odsłaniając otwór.

Waxman wezwał do siebie kaprała Okamoto. Azjata trzymał w dłoniach jakąś dziwną broń.

— To miotacz ognia - wyjaśnił cywilom. - Jeśli będzie trzeba, wypalimy sobie drogę przez sam środek tych skurwieli. - Nacisnął spust i z „lufy” broni, niczym język węża, wystrzelił strumień pomarańczowego ognia.

— Znakomicie - mruknął Nathan i poklepał kaprała po ramieniu. Po kilku dniach spędzonych razem z nim na rzece polubił go, choć jego pogwizdywanie w dalszym ciągu doprowadzało go do szału.

Okamoto odpowiedział uniesieniem dłoni i pierwszy zanurkował w wyciętą dziurę. Zanim zniknął na zewnątrz, Nathan dostrzegł przypięty na jego plecach zbiornik z benzyną.

Za Azjatą wyskoczyło na zewnątrz czterech innych żołnierzy: Warczak, Graves, Jones i Kostos. Wszyscy mieli zamocowane na karabinkach granatniki. Dwóch ruszyło na lewo, dwóch na prawo od Okamoto. Kiedy znaleźli się w strefie czujników ruchu, zawyły alarmy.

- Teraz cywile - polecił Waxman. - Trzymać się blisko siebie. Idźcie tak, aby zawsze mieć między sobą a lasem żołnierza.

Na zewnątrz wyskoczyli Richard Zane i Anna Fong. Za nimi ruszyli Olin i Manny, z Tor-torem tuż za sobą. Potem wyszli Nathan, Kelly, Frank i Kouwe.

- Chodźmy - ponagliła Nathana Kelly, kiedy się zawahał.

Kiwnął głową i po raz ostatni popatrzył na wnętrze *shabano*. Waxman szedł z ostatnimi rangersami, którzy mieli zamykać pochód. Dwóch żołnierzy kucalo nad czymś w centralnej części chaty.

- Ruszać się, panienki! - zawołał do nich Waxman.

Rangersi wstali. Jeden z nich - kapral Samad Yamir - uniósł kciuk. Yamir rzadko się odzywał, a kiedy już to robił, mówił z ciężkim pakistańskim akcentem. Pełnił w oddziale rangersów funkcję sopera.

Nathan podejrzliwie przyjrzał się pozostawionemu na podwórzu chaty urządzeniu.

Waxman zauważył jego zainteresowanie, ale nie bawił się w żadne wyjaśnienia, tylko końcem lufy wskazał mu wyjście.

- Czekasz pan na osobiste zaproszenie, doktorze Rand?

Nathan ruszył za Frankiem i Kelly.

Znowu się okazało, że idzie za nim Carrera. Także i ona była uzbrojona w miotacz ognia. Wpatrywała się w ciemną dżungłę spod półprzymkniętych powiek. Waxman i Yamir opuścili *shabano* jako ostatni.

— Trzymać się blisko! - krzyknął Waxman. - Rozwalać albo smażyć wszystko, co się rusza!

— Kierujemy się na górkę jakieś dwa rzuty beretu stąd - powiedziała idąca tuż za Nathanem Carrera.

— Skąd wiecie, że jest tam jakaś górka?

— Z mapy topograficznej - odparła, ale nie zabrzmiało to zbyt pewnie.

Nathan popatrzył na nią pytająco.

Wskazała ruchem głowy w bok.

- Tego strumienia na niej nie było - mruknęła.

Kelly odwróciła ku nim głowę, ale nic nie powiedziała. Wyglądała, jakby było jej niedobrze.

Nathan westchnął. Niedokładność wojskowej mapy nie była dla niego zaskoczeniem. Nie dało się przewidzieć zmian w przebiegu dróg wodnych. Ponieważ w zależności od ilości opadów brzegi jezior i bagien różnie się zmieniały, powodowało to za każdym razem inną modyfikację przebiegu rzek i ich odnóg. Większość z nich nie miała nazw i w ogóle nie trafiała na mapy.

- Nie zatrzymywać się! - rzucił zza ich pleców Waxman.



Cała grupa weszła do dżungli. Nathan rozglądał się i przez cały czas nasłuchiwał podejrzanych odgłosów. Z oddali dolatywał plusk kolejnej odnogi rzeki. Oczami wyobraźni niemal widział biegnących ścieżką Indian, nieświadomych obecności czyhającego na nich niebezpieczeństwa.

Szedł tuż za Frankiem i Kelly. Ciemności przed nimi rozświetlał nieco płomyk na końcu miotacza kaprała Okamoto. Podczas wchodzenia na łagodne zbocze prawie nie rozmawiano. Wszyscy uważnie obserwowali otaczający ich las.

- Zapal świeczkę, Yamir - powiedział Waxman po mniej więcej dwudziestu minutach marszu pod górę do idącego obok niego żołnierza.

Nathan spojrzął za siebie. Samad Yamir stanął, odwrócił się i również popatrzył do tyłu. Zrzucił na ramię swój M-16 i wyjął z kieszeni urządzenie przypominające dużego pilota.

- Przekaznik radiowy - wyjaśniła Nathanowi Carrera. Yamir wysoko uniósł urządzenie i wcisnął guzik. Znajdująca się na urządzeniu czerwona lampka zaczęła szybko migać. Nathan zmarszczył czoło.

- Co to?

Rozległ się stłumiony huk i kawałek lasu wystrzelił w górę, zamieniając się w kulę ognia. W nocne niebo pomknęły płomienie, a dym przybrał charakterystyczny kształt grzyba.

Nathan z zaskoczenia zatoczył się dwa kroki do tyłu. Pozostali cywile również byli zdumieni, rozległo się kilka zduszonych okrzyków. Kula ognia gasła powoli, zapadała się w siebie, ale zapaliła spory kawał lasu. Przez czerwony żar widać było zwęgloną dziurę w dżungli, z drzew pozostały jedynie nagie pnie. Zniszczony teren obejmował jakieś pół hektara. *Shabano* zniknęło. Zamilkły też wszystkie czujniki ruchu.

Nathan był zbyt oszołomiony, aby się odezwać, ale rzucił wściekłe spojrzenie Waxmanowi.

Kapitan dał znak, aby szli dalej.

— Nie zatrzymywać się! Carrera lekko popchnęła Nathana.

— To najpewniejsza metoda: palić wszystko za sobą.

— Co to było? - spytał profesor Kouwe.

— Bomba napalmowa - wyjaśnił Yamir. - Nowa dżunglowa amunicja.

— Dlaczego nic nam nie powiedziano... a przynajmniej nas nie ostrzeżono? - zirytował się Frank.

— To była moja decyzja - odparł kapitan Waxman, nie zwalniając marszu. - Mój rozkaz. Nie chciałem żadnych dyskusji w tej sprawie. Moim najwyższym priorytetem jest bezpieczeństwo.

— Całkowicie pana popieram, kapitanie! - zawołał z przodu Richard Zane. - Miejmy nadzieję, że zlikwidował pan tę jadovitą sforę.

— Chyba jednak nie - mruknął Olin i wskazał na rzekę, dobrze widoczną w świetle pożaru. Znajdujący się na ich wysokości odcinek kipiał od tysięcy skaczących i pędzących w górę rzeki drapieżnych małych stworków.

— Naprzód! - zawołał Waxman. - Musimy się dostać na wyżej położony teren!

Zwiększono szybkość marszu. Wspinali się na zbocze, tak bardzo koncentrując się na utrzymaniu tempa, że niemal przestali obserwować dżunglę.

Wystrzały płomieni wskazywały, gdzie znajduje się prowadzący grupę rangers.

— Mam wodę! - zawołał nagle Okamoto. Pobiegli w jego stronę.

— Boże drogi... - jęknęła Kelly.

Pięćdziesiąt metrów dalej drogę przecinał kolejny strumień. Miał jakieś dziesięć metrów szerokości, był ciemny i nieruchomy. Teren za tą przeszkodą wznosił się coraz wyżej, prowadząc na szczyt wzgórza.

- Czy to ta sama rzeka? - spytał Frank.

Spomiędzy drzew wyszedł Jorgensen. W rękę trzymał gogle noktowizyjne.

— Zrobiłem rozpoznanie. To odnoga tamtej rzeki. Łączą się niedaleko stąd.

— Kurwa... - zaklął Waxman. - Ten rejon to jeden wielki wodny labirynt.

— Musimy przejść na drugą stronę, dopóki to możliwe - oświadczył Kouwe. - Te stwory na pewno zaraz się tu zjawią.

Waxman popatrzył na powoli płynącą wodę, a potem podszedł do Okamoto.

- Potrzebuję światła.

Żołnierz strzelił z miotacza tuż nad powierzchnią strumienia. Światła było za mało, aby mogli zobaczyć, co kryje się w mrocznej wodzie.

— Pójdę pierwszy, panie kapitanie - zgłosił się na ochotnika Okamoto. - Sprawdzę, czy da się bezpiecznie przejść.

— Bądź ostrożny, synu.

— Jak zawsze, panie kapitanie.

Kapral wziął głęboki wdech, pocałował zawieszony na szyi krzyżyk, po czym wszedł do wody. Parł do przodu, zanurzony po kolana, trzymając broń na wysokości piersi.

- Słaby prąd... - powiedział po chwili.

Kiedy dotarł na środek nurtu, woda sięgała mu do pasa.

- Pospiesz się... - wymamrotał pod nosem Frank, przyciskając pięść do brzucha.

Okamoto wyszedł na przeciwległy brzeg i odwrócił się do pozostałych z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Wygląda na to, że jest bezpiecznie.

— Jak na razie - mruknął Kouwe. - Powinniśmy się pośpieszyć.

— Ruszamy! - polecił Waxman.

Pierwsza część grupy zaczęła przechodzić przez wodę. Frank trzymał za rękę Kelly, a Nathan pomagał Annie Fong.

- Nie umiem zbyt dobrze pływać - powiedziała, nie kierując tej uwagi do nikogo konkretnego.

Po cywilach przyszła kolej na żołnierzy. Szli z uniesioną nad głową bronią.

Po wyjściu z wody natychmiast zaczęto się wspinać na stromy brzeg. Po deszczu z poprzedniego dnia ziemia była jeszcze śliska, musieli więc uważać na każdy krok. Posuwali się z trudem i bardzo powoli. Grupa rozciągnęła się.

Z mroku znowu wychynął Jorgensen.

— Kapitanie, sprawdziłem drugi strumień. Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Nie widziałem żadnych stworów.

— Są w pobliżu - ostrzegł Nathan. - Po prostu się uspokoili.

- Albo wróciły do rzeki - z nadzieją w głosie powiedział Jorgensen.

Waxman zmarszczył czoło.

- Nie powinniśmy raczej liczyć na...

Przerwał mu przeraźliwy krzyk. Z lewej strony po śliskim zboczu zsuwało się ciało. Człowiek. Rangers Eddie Jones. Machał rękami i nogami, próbując się zatrzymać.

- Niech to wszyscy diabli! - wrzasnął rozpaczliwie. Złapał jakiś krzew, ale jego korzenie wyrwały się z cienkiej warstwy ziemi. Uderzył w wybrzuszenie terenu i wystrzelił w powietrze. Broń wypadła mu z dłoni i po sekundzie plasnął w wodę.

Warczak i Graves rzucili mu się na pomoc.

Kiedy go wyciągnęli, kaszlał i pluł wodą.

- Cholera jasna! - warknął i zaczął wspinać się na brzeg. - Pieprzyć tę dżunglę!

W końcu wygramolił się na suchy grunt. Poprawił hełm, a z jego ust popłynął potok soczystych przekleństw.

— Spokojnie, Jones... tylko spokojnie... - mówił Warczak, wodząc po koleździe światłem latarki. - Za ten slalom dałbym ci całe dziesięć punktów.

— Wsadź je sobie gdzieś - burknął Jones i pochylił się, aby strząsnąć z nogawki spodni kupkę lepkich glonów. - Blee...

Pierwszy zobaczył to kapral Graves: po plecaku Jonesa coś peźzło.

— Jones...

— Co jest? - spytał zgięty wpół żołnierz.

Stwór skoczył i wbił się w miękkie ciało pod jego dolną szczęką.

Jones cały się wzdrygnął.

- Co to za paskudztwo?! - wrzasnął i jednym szarpnięciem oderwał drapieżnika od szyi. Trysnęła krew. - Hrrrrrr...

Wąska rzeczka zakipiała i z wody wystrzeliło kilkanaście stworów. Skoczyły na Jonesa, wczepiając się w jego nogi. Żołnierz przewrócił się na plecy, jego twarz wykrzywił ból. Z głośnym pluskiem wpadł z powrotem do wody.

- Jones! - zawołał Warczak i zrobił krok w kierunku kolegi.

Z wody wyskoczył kolejny stwór i plasnął w błoto u stóp kaprała. Jego skrzela drgały spazmatycznie. Warczak i Graves cofnęli się.

Jones szamotał się w płytkiej wodzie. Wyglądało to, jakby znalazł się we wrzątku. Jego ciało podskakiwało i dygotało.

- Cofnąć się! - krzyknął Waxman. - Wszyscy na górę!

Warczak i Graves zaczęli biec. Z rzeki wyskakiwały i pędziły

za nimi wielkimi susami kolejne stwory.

Cała grupa z wysiłkiem pięła się w górę, niektórzy pełzli, podpierając się rękami. W którymś momencie Kelly poślizgnęła się i nogi uciekły spod niej. Puściła dłoń brata i zaczęła zsuwać się ze zbocza.

- Kelly! - wrzasnął rozpaczliwie Frank.

Na szczęście Nathan był tylko dwa metry za nią. Złapał ją jedną ręką w pasie i osłonił własnym ciałem, równocześnie drugą ręką wyciągając w górę strzelbę. Natychmiast podbiegł do nich Manny i szybko pomógł im wstać. Tor-tor nerwowo krążył wokół nich.

Brazylijczyk machnął na jaguara.

- Ruszaj swój futrzasty tyłek!

Frank czekał na nich kilka metrów wyżej. Z żołnierzy pozostała z nimi już tylko Carrera. Co chwila odwracała się i wystrzeliwała z miotacza długi płomień.

— Musimy przyspieszyć - oświadczyła, zaganiając ich na górę jak kwoka pisklęta.

— Dzięki - powiedziała Kelly, obrzucając wzrokiem ich grupkę.

Kiedy dotarli do Franka, znowu ujął siostrę za rękę.

— Nie rób tego więcej - mruknął.

— Nie zamierzam.

Nathan obserwował teren za ich plecami. Kiedy jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Carrery, zobaczył w jej oczach strach. Ta krótka chwila dekoncentracji wystarczyła: jeden ze stworów skoczył na nią z poszycia lasu. Jakoś udało mu się prześlizgnąć obok zapory ognia.

Carrera przewróciła się na plecy i długi ozór ognia wystrzelił pionowo w niebo.

Stwór wylądował na pasie jej munduru, ale szukał odsłoniętej skóry.

Zanim Carrera zdążyła zareagować, rozległ się głośny trzask i stwór wystrzelił w powietrze - rozerwany na pół. Nathan i Carrera odwrócili się jednocześnie i ujrzeni, jak Manny szykuje swój pejcz do kolejnego uderzenia.

- Długo będziecie się tak gapić? - spytał.

Nathan pomógł Carrerze wstać i wszyscy pobiegli dalej. Po kilku minutach dotarli do szczytu, do czekających tam na nich pozostałych członków wyprawy. Nathan miał nadzieję, że oddzielenie się od drapieżnych stworów dość wysokim wzniesieniem zapewni im bezpieczeństwo.

— Powinniśmy iść dalej - oświadczył. - Musimy odejść stąd jak najdalej.

— Dobry pomysł, ale może okazać się niemożliwy do zrealizowania - odparł Kouwe i wskazał na zbocze za szczytem.

Nathan spojrział w tamtą stronę. Ze szczytu wzgórza powierzchnia wody wydawała się srebrna. Po chwili uświadomił sobie, że patrzy na fragment tej samej rzeki, od której uciekali. Rozejrzał się i zrozumiał, że popełnili fatalny błąd.

Rzeczka, przez którą przeszli kilkanaście minut temu, nie była dopływem większej rzeki, ale jej częścią.

- Jesteśmy na wyspie... - wymamrotała z przerażeniem Kelly.

Nathan popatrzył w górę rzeki i stwierdził, że woda rozdziela się tuż obok miejsca, w którym stali, i opływa je z obu stron. Za wzgórzem obie odnogi znowu się łączyły. Rzeczywiście znajdowali się na wyspie, otoczeni kipiącym śmiercią nurtem. Poczul, że robi mu się niedobrze.

- Tkwimy w pułapce - stwierdził.

GODZ. 2.12

ZACHODNIE SKRZYDŁO INSTYTUTU INSTAR

LANGLEY, WIRGINIA

Lauren O'Brien siedziała przy małym stoliku w kuchence dla pracowników, pochylona nad filiżanką kawy. O tak późnej porze miała całe pomieszczenie dla siebie. Pozostali poddani

kwarantannie pracownicy MEDEA albo spali w zaimprovizowanych sypialniach, albo pracowali.

Nawet Marshall już wiele godzin temu poszedł do ich pokoju, zabierając ze sobą Jessie. Rano miał mieć połączenie konferencyjne z CDC, dwoma szefami rządowymi i dyrektorem CIA. Nazwał czekającą go rozmowę „atakiem prewencyjnym, zanim polityczne gówno wpadnie w wentylator”. Takimi właśnie ścieżkami podąża polityka. Zamiast zaatakować problem, rząd wolał wyszukiwać potencjalnych winnych. Podczas tej konferencji Marshall zamierzał potrząsnąć swoimi rozmówcami. Zdecydowany plan działania był po prostu koniecznością. Piętnaście ognisk wybuchu epidemii w całym kraju było zarządzanych na piętnaście różnych sposobów i wszędzie panował chaos.

Lauren westchnęła i popatrzyła na sterty papierów i wydruków, piętrzące się na stoliku. Jej zespół nieustannie szukał odpowiedzi na jedno pytanie: CO JEST POWODEM CHOROBY?

W laboratoriach całego kraju przeprowadzano badania i analizy - od CDC w Atlancie po ośrodek imienia Salka w San Diego, jednak instytut Istar stał się naukową „strefą zero” choroby.

Lauren odsunęła raport doktora Shelby'ego, w którym zaproponowano wykorzystanie jako pożywki do posiewów komórek pobranych z małpich nerek. Niczego to nie dało. Reakcja negatywna. Jak na razie, czynnik zakaźny opierał się wszelkim metodom identyfikacji: za pomocą hodowli tlenowych i beztlenowych, testów z użyciem grzybów, hybrydyzacji jądra, mikroskopii elektronowej, łańcuchowej polimerazy. Niczego nie odkryto. Każde badanie kończyło się podobnym stwierdzeniem: „reakcja negatywna”, „rozrost zerowy”, „analiza nieokreślona”. Wszystkie te określenia oznaczały to samo: KLAPA.

Jej pager, leżący obok filiżanki z wystygłą kawą, zaczął buczeć i skakać po laminowanym blacie. Złapała go, zanim zdążył spaść.

- Kto może mnie o tej porze wzywać? - mruknęła pod nosem. Wyświetlacz określał numer dzwoniącego jako: „duże

laboratoria biologiczne". Nie wiedziała dokładnie, o które chodzi, ale prefiks wskazywał na północną Kalifornię. Prawdopodobnie jakiś technik prosił o jej numer faksu albo formularz raportu. Mimo wszystko...

Wstała, wsadziła pager do kieszeni i podeszła do wiszącego na ścianie telefonu. Kiedy podnosiła słuchawkę, otworzyły się drzwi za jej plecami. Gdy spojrzała przez ramię, zobaczyła ubraną w piżamę Jessie, trącą zaspane oczy.

- Babciu...

Odwiesiła słuchawkę i podeszła do wnuczki.

— Skarbie, dlaczego wstałaś? Powinnaś być w łóżku.

— Nie mogłam cię znaleźć...

Lauren uklękła przed dziewczynką.

- Co się stało? Znowu miałaś zły sen? - Przez kilka pierwszych nocy w nowym, nieznanym i odizolowanym od świata miejscu Jessie często budziła się z powodu nocnych koszmarów. Szybko jednak przyzwyczała się do nowego środowiska i zaprzyjaźniła z kilkoma przebywającymi tu dziećmi.

W oczach małej zamigotały łzy.

— Boli mnie brzuch, babciu.

— Skarbie, to na pewno dlatego, że jadłaś wieczorem loddy. - Lauren objęła wnuczkę. - Może dam ci szklankę wody i zaprowadzę z powrotem do...

Jej głos zamarł, gdy poczuła, jak gorące jest ciało Jessie. Dotknęła czoła dziewczynki.

- Boże drogi... - jęknęła.

Dziecko całe płonęło.

#### GODZ. 2.31 AMAZOŃSKA DŻUNGLA

Kiedy Jacques wracał od strony rzeki, Louis stał przy swoim namiocie. Porucznik niósł pod pachą coś owiniętego w przemoczony koc. Było to nie większe od arbuza.

— Doktorze... - zaczął.

— Co odkryłeś?



Dwie godziny temu Louis posłał swojego oficera wraz z dwoma żołnierzami, aby zbadali miejsce wybuchu, który nastąpił tuż po północy. Hałas obudził wszystkich w obozie zaraz po tym, jak udano się na spoczynek. Nieco wcześniej - o zachodzie słońca - Louis dowiedział się o losie Indian z wioski. Po kilku godzinach nastąpiła tajemnicza eksplozja...

Co tam się działo?

- Wioska została spalona... i kawał lasu dookoła. Ale nie mogliśmy podejść bliżej, bo pożar jeszcze nie wygasł. Może rano.

— A tamten oddział? Jacques

wbił wzrok w ziemię.

— Odszedł. Posłałem za nimi Malachima i Toady'ego.

Louis zacisnął pięść i skłął się w duchu za nadmierną pewnością siebie. Po udanym porwaniu żołnierza zbyt szybko sobie zaufał. A teraz to! Jeden z jego tropicieli musiał zostać dostrzeżony. Teraz, kiedy lis stał się czujny, misja Louisa znacznie się komplikowała.

— Zbierz ludzi. Jeżeli tamci uciekają przed nami, nie chcę, aby się zbyt oddalili.

— Tak jest, ale... doktorze... wcale nie jestem pewien, czy oni uciekają przed nami.

— Skąd taki pomysł?

— Kiedy podpływaliśmy do strefy ognia, natknęliśmy się na wypływające z bocznej odnogi ciało.

— Ciało? - powtórzył Louis. Przestraszył się, że może to być jego tajny szpieg, odkryty i posłany w dół rzeki jako ostrzeżenie.

Jacques odwinął przemoczony koc i pozwolił upaść jego zawartości na ziemię. Była to ludzka głowa.

- Pływała w wodzie niedaleko miejsca, w którym była wioska.

Louis zmarszczył czoło i ukląkł, aby przyjrzeć się temu, co pozostało z głowy. Twarz była obgryziona, ale sądząc po ostrzyżonych tuż przy skórze włosach, musiał to być jeden z rangersów.

- Ciało wyglądało tak samo - dodał Jacques. - Obgryzione do kości.

Louis uniósł głowę.  
— Co się z nim stało?  
— Sądząc po ranach, powiedziałbym, że to piranie.  
— Jesteś pewien?  
— Jak cholera. - Jacques pomacał bliznę na nosie, przypominając Louisowi, że w dzieciństwie miał bardzo bliskie spotkanie z tymi wodnymi drapieżnikami.  
— Pożarły go po śmierci?  
Jacques wzruszył ramionami.  
— Jeśli jeszcze żył, to mu współczuję.  
Louis wstał i popatrzył na rzekę.  
— Co tam się dzieje, do diabła?

# 10

## Ucieczka

14 SIERPANIA, GODZ. 3.12  
AMAZOŃSKA DŻUNGLA

Cywile stali na samym szczycie wzgórza, otoczeni wianuszkiem żołnierzy, których zostało już tylko ośmioro. Jeden żołnierz na jednego cywila, pomyślał Nathan. Jak osobista ochrona.

—Może użycie następnej bomby napalmowej, aby przebić nam drogę przez tę bandę? - powiedział Frank do stojącego obok niego kapitana Waxmana. - Można by ją sturlać w dół zbocza, a my schowalibyśmy się za szczytem...

—Wszyscy by wtedy zginęli. Jeśli nawet nie upiekłaby nas fala uderzeniowa, zostalibyśmy zamknięci w potrzasku między płonącym lasem a tymi jadowitymi stworami.

Frank westchnął i wbił wzrok w ciemny las.

- A co z granatami? Moglibyście wystrzeliwać je seriami, wycinając w tej zgrai coś w rodzaju przecinki.

Waxman zmarszczył czoło.

- Detonowanie ich blisko ludzi byłoby bardzo ryzykowne, poza tym jest zbyt ciemno i za wiele tu drzew... nie mielibyśmy pewności, czy zabiliśmy wystarczająco dużo tych stworów. Moim zdaniem powinniśmy pozostać na wzgórzu, wytrzymać tu aż do świtu.

Frank splótł ramiona na piersi. Plan kapitana nie bardzo go zachwycał.

Wokół szczytu od czasu do czasu strzelały ozory płomieni - to kapral Okamoto i Carrera pilnowali zboczy wzgórza. Choć

minęło pół godziny, odkąd ostatni raz widziano ścigające ich stwory, było oczywiste, że czają się w ciemnościach. Otaczający ich las ogarnęła śmiertelna cisza - zamilkły małpie krzyki, ucichły wrzaski ptaków. Nie słychać było nawet brzęczenia i popiskiwania owadów. Ale za kręgiem światła latarek liście ciągle szeleściły, potrącane przez pełznących poszyciem lasu niewidocznych napastników.

Przez gogle noktowizyjne widać było, że w otaczającej ich wodzie wciąż pełno jest krwiożerczych stworów - jedne wyskakiwały z wody na brzeg, inne wskakiwały z lądu do wody. Najwyraźniej Nathan miał rację: oddychające przez skrzela stwory musiały od czasu do czasu wracać do wody.

Manny klęczał na zasłanej liśćmi ziemi i w świetle latarki przeprowadzał sekcję. Tuż za jego plecami stali Kouwe i Kelly. Kilka minut temu, ryzykując życie, biolog wbiegł do lasu i - po oczyszczeniu kawałka terenu miotaczem - złapał jednego z żabopodobnych stworów. Choć nieco nadwęglony, nadawał się do badań. Od końca ogona po czubek najeżonej ostrymi zębami paszczy miał trzydzieści centymetrów długości. Wielkie czarne oczy mocno wystawały z łba, dając zwierzęciu pole widzenia o promieniu niemal trzystu sześćdziesięciu stopni. Dobrze wykształcone kończyny dolne miały zaopatrzone w błonę pławną i przyssawki palce o niemal takiej samej długości jak dość krótki tułów.

Manny pracował szybko i sprawnie, korzystając z narzędzi Kelly.

- Zdziwiające stworzenie... - mruknął.

Nathan podszedł do nich.

— To z pewnością chimera - stwierdził. - Zlepek kilku gatunków.

— Jak to możliwe? - zdziwiła się Kelly.

Manny odsunął się na bok i wskazał kciukiem pocięte ciało.

- Nathan ma rację. Choć skóra tego stwora nie ma łusek jak u ryby, układ oddechowy pochodzi od gatunku żyjącego w środowisku wodnym. Ma skrzela, a nie płuca. Natomiast nogi należą do płaza. Ten wzorek z pasków jest charakterystyczny dla *Phobobates trivittatus*, wielkiej zielonej trójpas-

kowanej żaby jadowitej, największego i najbardziej jadowitego przedstawiciela rodziny żab.

— Chcesz powiedzieć, że to zmutowana postać tego gatunku? - spytał Nathan.

— Początkowo tak sądziłem. Wygląda niemal jak kijanka, której rozwój zatrzymał się w chwili, gdy ma jeszcze skrzela, ale już wykształciły się tylne kończyny. Ale potem przestałem być tego pewny. Po pierwsze ten stwór jest zbyt duży. Waży przynajmniej półtora kilo. Jest monstrualnie wielki, nawet jak na największych przedstawicieli żab trójpaskowanych. - Manny przetoczył poddawane sekcji zwierzę na bok i wskazał na jego oczy i zęby. - Budowa czaszki również jest bardzo dziwna. Zamiast poziomego spłaszczenia jak u żab, kości są spłaszczone w pionie... podobnie jak u ryb. Popatrzcie na jego głowę, szczękę i zęby: są niemal identyczne jak u najgroźniejszego drapieznika amazońskich rzek, *Serrasalmus rhombeus*. - Manny spojrzał na stojących wokół niego ludzi. - Jak się pewnie domyślacie, chodzi o czarną piranię.

Kelly odchyliła głowę do tyłu.

- To jakiś absurd!

- Gdyby to stworzenie nie leżało przed moim nosem, z chęcią bym się zgodził. Badam amazońskie gatunki, odkąd sięgam pamięcią, i jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. To najprawdziwsza chimera. Stwór, który ma biologiczne cechy żaby i ryby.

Nathan uważnie przyjrzał się ciału dziwnego zwierzęcia.

- Jak mogło dojść do połączenia tych cech?

Manny pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. A jak może dojść u człowieka do odróżnienia kończyny? Moim zdaniem pojawienie się tej chimery jest dowodem na to, że jesteśmy na dobrym tropie. W pobliżu jest coś, co odkryła ekspedycja twojego ojca... coś o mutacyjnym potencjale.

Nathan wbijał wzrok w pocięte resztki. Co kryło się w otchłaniach dżungli?

- Znowu ruszyły! - krzyknęła Carrera.

Usłyszeli, że szelest w lesie po północnej stronie wzgórza wyraźnie się nasilił. Zdawało się, że cała dżungla drży.

Carrera posłała w dół zbocza długi płomień. Jaskrawe jęzory ognia odepchnęły ciemność i odbiły się w setkach ślepi stworów, ukrywających się zarówno w poszyciu, jak i na drzewach. Jeden z nich zeskoczył z gałęzi i znalazł się w strefie ognia. Zaterkotał karabinek szturmowy i zwierzę rozprysnęło się na krwawą miazgę.

- Wszyscy cofnąć się! - krzyknęła Carrera. - Zbliżają się!

Z trawy i spomiędzy drzew zaczęły wyskakiwać małe figurki, nie reagując na płomień i ogień z broni maszynowej. Jadowite żabopodobne stwory były zdecydowane pokonać ludzi swoją liczebnością, bez względu na własne straty.

Nathan przypomniał sobie zmasakrowanych Indian. Ściągnął z ramienia strzelbę i wypalił, trafiając w powietrzu stwora, który właśnie spadał z gałęzi na głowę Carrery. Opryskały ją strzępy zakrwawionego mięsa.

Wkrótce cała grupa została zmuszona do opuszczenia szczytu. Zaczęli schodzić południowym zboczem. Noc co chwila rozświetlały płomień miotaczy i ogniki wystrzałów. Światła latarek tańczyły jak szalone, sprawiając, że wszystkie cienie podrygiwały i bez przerwy się przemieszczały.

Idący przodem kapral Okamoto raz za razem wypuszczał ze swojego miotacza jęzor ognia.

- Tutaj droga wygląda na czystą! - zawołał.

Nathan spojrzał w tamtą stronę. W oddali widać było prześwitującą przez las odnogę rzeki, opływającą wyspę od południa.

- Dlaczego tych stworów nie ma po tej stronie wzgórza? - zdziwiła się Anna.

- Prawdopodobnie wszystkie zebrały się po drugiej stronie - odparł Zane.

Nathan wpatrywał się w rzekę. Była szeroka, gładka i cicha, ale nie zwiodło go to. Dobrze pamiętał kapibarę, wypłoszoną z lasu prosto na przyczajone w rzece drapieżniki.

— Zaganiają nas... - mruknął.

— Co takiego? - spytała z niedowierzaniem Kelly.

— Chcą nas zepchnąć bliżej wody. Spychają nas do rzeki.

— Obawiam się, że Nathan ma rację - przyznał Manny. -

Choć mogą przez jakiś czas przebywać na lądzie, są istotami wodnymi. Dlatego chcą nas zaatakować jak najbliżej wody. Kelly spojrzała za siebie, na osłaniających ich tyły rangersów.

- Więc co teraz?

Okamoto, który znajdował się najbliżej wody, również się zatrzymał, nie ufając pozornemu spokojowi. Odwrócił się do idącego za nim Waxmana.

- Kapitanie, spróbuję przejść pierwszy. Jak poprzednim razem.

Waxman kiwnął głową.

— Tylko bądźcie ostrożni, kapralu.

Okamoto ruszył przed siebie.

— Nie! - krzyknął Nathan. - To na pewno pułapka!

Okamoto popatrzył na niego, a potem na swojego kapitana, który dał mu znak, aby szedł dalej.

— Musimy wydostać się z tej wyspy - powiedział Waxman.

— Zaczekajcie... - powiedział Manny i zrobił krok do przodu. Miał ponurą, wykrzywioną bólem twarz. - Mogę... wysłać przodem Tor-tora.

Wszyscy zebrali się wokół niego.

Waxman popatrzył na wielkiego kota, po czym kiwnął głową.

- Niech pan to zrobi.

Manny poprowadził jaguara na skraj ciemnej wody.

Nathan zastanawiał się gorączkowo. Wejście do tej rzeki oznaczało śmierć. Było to tak oczywiste jak to, że jutro wszędzie słońce. Ale Waxman miał rację - musieli przedostać się na drugi brzeg. Zaczął rozpatrywać w myśli różne scenariusze.

Most linowy nad rzeką... Szybko odrzucił ten pomysł. Nawet gdyby jakimś sposobem udało im się zrobić taki most, te stwory umiały bardzo wysoko skakać i cała ich grupa zamieniłaby się wtedy w nanizaną na sznur przynętę.

Może powinni nawrzucać do wody granatów, żeby je oszłomić? Nie, to też na nic. Rzeka była długa i miejsce zabitych zwierząt natychmiast zajęłyby następne. Spłynęłyby z góry rzeki, wykorzystując prąd, i zaatakowały znajdujących się w wodzie ludzi. Potrzebne było coś, co spowodowałoby zniknięcie tych stworów z całej odnogi. Co to mogłoby być?

Nagle przypomniał sobie, co widział kilka dni temu, i przysła mu do głowy pewna myśl.

Manny i Tor-tor byli już tylko dwa metry od brzegu. Szedł z nimi Okamoto, oświetlając im drogę płomieniami.

— Zaczekajcie! - zawołał Nathan. - Mam pomysł!

Manny stanął.

— Co jest? - spytał Waxman.

— Manny uważa, że te stwory to przede wszystkim ryby, prawda?

— I co z tego?

Nathan odwrócił się do Kouwego.

— Masz w swoim plecaku sproszkowane *ayaeya*?

— Oczywiście, ale... - zaczął profesor i urwał. Jego oczy zrobiły się okrągłe. - Że też sam na to nie wpadłem... moje gratulacje, Nate.

— Co jest? - powtórzył niecierpliwie Waxman. Był coraz bardziej rozzłoszczony.

Stojący nieco wyżej rangersi trzymali nacierające stwory w szachu ogniem z miotaczy i broni palnej. Okamoto stał już nad samym brzegiem.

— Indianie używają sproszkowanego ziele *ayaeya* do łowienia ryb - zaczął szybko wyjaśniać Nathan. Doskonale pamiętał scenę sprzed kilku dni, kiedy płynął z Tamą i Takaho do Sao Gabriel: kobieta sypała do rzeki czarny proszek, a nieco dalej mężczyźni wyciągali oszołomione ryby sieciami lub nadziewali je na dzidy. - To ziele zawiera rotenon, silną toksynę, która paraliżuje ryby. Efekt jest niemal natychmiastowy.

— Więc co pan proponuje? - spytał Waxman.

— Wezmę torbę z proszkiem w górę rzeki i zatruję wodę. Powinno to wyłączyć z akcji wszystkie stwory w tej odnodze.

Waxman zmrużył oczy.

— Ten proszek naprawdę jest w stanie to sprawić?

— Powinien - odparł Kouwe, grzebiąc w swoim plecaku.

- Ale tylko pod warunkiem, że te stwory rzeczywiście oddychają skrzelami... - dodał i popatrzył na Manny'ego.

Biolog kiwnął głową.

- Jestem tego pewien.

Waxman westchnął i ruchem dłoni dał znak Okamoto i Man-



ny'emu, aby odeszli od brzegu. Kiedy odwrócił się do Nathana, zza ich pleców doleciał odgłos eksplozji.

W powietrze wystrzeliła fontanna błota, liści i gałęzi. Któryś z żołnierzy wystrzelił granat.

— Przebijają się! - krzyknął sierżant Kostos. Waxman wycelował palec w Nathana.

— Do roboty!

Profesor wyjął z plecaka sporą torbę i rzucił ją Nathanowi.

- Bądź ostrożny.

Nathan złapał torbę jedną ręką, a drugą mocniej ścisnął strzelbę.

— Carrera! - zawołał Waxman i wskazał Nathana. - Oslaniaj go!

— Tak jest, panie kapitanie! - odparła i podeszła do nich, a jej pozycję zajął Okamoto.

— Kiedy zobaczycie wypływające na powierzchnię ryby, natychmiast się przeprawiajcie - powiedział Nathan. - Choć prąd jest tu słaby, nie wiem, jak długo trucizna utrzyma się w tym miejscu w wodzie.

— Dopilnuję wszystkiego - oświadczył Kouwe.

Nathan rozejrzał się po twarzach ludzi. Chwilę dłużej popatrzył na Kelly, która przyciskała dłoń do gardła. Uśmiechnął się do niej, po czym razem z Carrerą ruszył biegiem w górę strumienia.

Carrera biegła pierwsza, raz za razem strzelając z miotacza. Z trudem przedzierali się przez zwęglone poszycie. Po chwili miejsce, w którym stała reszta członków wyprawy, było już tylko plamą jaśniejszej zieleni na ciemnym tle.

- Te dranie muszą w jakiś sposób wyczuwać, że coś się dzieje - stwierdziła po chwili Carrera, ciężko dysząc z wysiłku.

Wyglądało na to, że ma rację, bo z wody zaczęły wyskakiwać pojedyncze stwory i natychmiast ruszały w pogoń za dwójką biegnących ludzi.

- Nie zatrzymuj się - powiedział Nathan. - Już nie daleko.

Biegli dalej, wsłuchując się w pluski i plaśnięcia ciał dziwnych zwierząt o poszycie.

W końcu dotarli do miejsca, gdzie główny nurt rozdzielał się na północny i południowy. Koryto rzeki nieco się w tym miejscu zwężyło, więc prąd był szybszy, a woda rozbijała się o głazy i była mocno spieniona. Coraz więcej stworów wyskakiwało z wody, ich smukłe ciała błyszczały groźnie w świetle ognia.

Zatrzymali się i Carrera powiodła dookoła płomieniem ze swojego miotacza. Wiele zwierząt się zapaliło - część uciekła do wody z dymiącymi grzbietami, ale większość upiekła się w przybrzeżnym mule.

- Teraz albo nigdy - mruknęła Carrera.

Nathan zarzucił strzelbę na ramię i podszedł do wody. Szybko rozwiązał zamykający sakwę rzemień.

— Wrzuć wszystko jak leci - poradziła mu Carrera.

— Nie, trzeba to równo rozsypać - odparł i zrobił jeszcze jeden krok ku rzece.

— Tylko uważaj - ostrzegła go Carrera, która szła tuż obok i strzelała z miotacza.

Zatrzymał się niecałe pół metra od wody. Carrera przyklęła i pluła ogniem po powierzchni wody, oczyszczając pole dla Nathana.

- Teraz! - zawołała.

Pochylił się nad wodą i wyciągnął przed siebie rękę. Zwabiony ruchem, jeden ze stworów wyskoczył z wody i choć Nathan cofnął się szybko, udało mu się wbić zęby w mankiet jego koszuli.

Nathan machnął ręką, materiał się rozerwał i zwierzę poleciało wysokim łukiem między drzewa.

- Jasna cholera! - zaklął.

Nie czekając na kolejne ataki, zaczął sypać proszek na wodę. Mimo zdenerwowania starał się robić to dokładnie i równomiernie.

Carrera przez cały czas strzelała z miotacza, zabezpieczając tyły. Otaczała ich ława stworów.

Kiedy Nathan wysypał do wody cały proszek, wrzucił do rzeki sakwę i patrzył, jak spływa z prądem w dół nurtu. Modlił się, aby jego plan zadziałał.

— Gotowe - oświadczył i odwrócił się do Carrery.

— Mamy problem - powiedziała.

— Słucham?

Carrera podniosła lufę miotacza i strzeliła ogniem w kierunku dżungli. Płomień gwałtownie się skurczył. - Koniec paliwa.

Frank O'Brien patrzył na siostrę i uśmiechał się do siebie. Czasami mógłby przysiąc, że potrafi czytać w jej myślach. Na przykład teraz. Kelly obserwowała rzekę wraz z Kouwem i Mannym, wypatrując jakichkolwiek oznak świadczących o tym, że plan Nathana zadziałał. Równocześnie co chwila niespokojnie zerkąta na dżunglę - w miejsce, w którym zniknęli Nathan i Carrera.

Jej uwagę odwróciła gwałtowna eksplozja. Kolejny granat. Na ziemię znowu spadł grad gałęzi i liści. Żołnierze wciąż strzelali, ale mimo to byli coraz bardziej spychani na cywilów, których otaczali. Wkrótce nie pozostanie im nic innego jak zbić się w jedną gromadę i zejść do wody, w której czyhały pozostałe krwiożercze stwory.

Anna Fong stała razem z Zane'em i Olinem Pasternakiem, uzbrojonym w dziewięciomilimetrową berettę. Pistolet był kiepską obroną przed małymi, szybko poruszającymi się drapieżnikami, ale lepsze to niż nic.

Nagle usłyszeli basowy warkot Tor-tora.

- Patrzcie! - krzyknęła Kelly.

Frank spojrział we wskazanym kierunku. Jego siostra oświetlała latarką powierzchnię wody, na której zaczęły pojawiać się małe, połyskujące ciała, dryfujące w dół rzeki.

- Udało mu się! - zawołała Kelly i na jej ustach pojawił się szeroki uśmiech.

Kouwe podszedł do samej wody. Jedna z żabopiranii skoczyła ku niemu, ale wylądowała bezwładnie na błotnistym brzegu. Zatrzepotała kilka razy kończynami i znieruchomiała. Profesor popatrzył na Franka.

- Nie możemy zmarnować tej okazji. Musimy natychmiast zacząć przechodzić na drugą stronę.

Frank poszukał wzrokiem kapitana Waxmana, który stał kilka metrów wyżej.

- Kapitanie! Plan Randa działa! - Zamachał do rangera. - Możemy przechodzić!

Waxman kiwnął głową.  
- Jednostka Bravo! - rozległ się jego donośny głos. -  
Wycofujemy się przez strumień!

Frank dotknął daszka swojej szczęśliwej czapki i podszedł do Kelly.

- Ruszajmy.

Wyprzedził ich Manny.

- Tor-tor i ja przejdziemy pierwsi - oświadczył. - To dzięki mnie powstał ten plan.

Nie zamierzał czekać na odpowiedź, natychmiast ruszył do wody razem ze swoim czworonożnym pupilem. Po niecałej sekundzie byli już w wodzie. Koryto było tu zdecydowanie głębsze i Tor-tor musiał je przepłynąć.

Kiedy obaj znaleźli się po drugiej stronie i wyszli na brzeg, biolog odwrócił się.

- Szybko! W tej chwili jest bezpiecznie!

Cywilnie weszli do wody całą grupą.

Frank szedł z siostrą, trzymając ją za rękę. W wodzie unosiły się setki stworów. Musieli przeciskać się przez warstwę nieruchomych żabopiranii i odpychać je na boki, żeby nie nadziać się na ich ostre zęby. Przerażony Frank wstrzymywał oddech i modlił się, aby stwory nagle nie ożyły.

Gdy przebrnęli przez strumień, pospiesznie wspięli się na brzeg. Teraz odnogę zaczęli pokonywać obciążeni ciężkim ekwipunkiem rangersi, ale żaden z nich nie zwracał uwagi na pływające wokół nieruchome ciała. Kiedy wyszli na suchy ląd, do rzeki dotarły stwory, które ściagały ludzi lądem. Zatrzymały się przy wodzie z drżącymi skrzelami.

Frank pomyślał, że muszą wyczuwać niebezpieczeństwo. Nie miały jednak wyboru - na lądzie się dusiły. Po chwili setki zmutowanych piranii wskoczyły do wody.

- Cofnąć się! - zawołał Waxman. - Nie możemy liczyć na to, że woda jest jeszcze skażona!

Zaczęli uciekać na leżące przed nimi wzgórza. Światła wszystkich latarek były skierowane na wodę i brzegi, ale po kilku minutach stało się jasne, że pogoń się zakończyła. Albo woda była jeszcze zatruta, albo stwory zrezygnowały z pościgu.

- No to już po wszystkim... - westchnął z ulgą Frank.

Kelly stała przy nim i wodziła światłem latarki wzdłuż brzegu.

- Gdzie jest Carrera i Nathan? - spytała po chwili cicho.

W górze rzeki huknął strzał i odbił się głośnym echem w lesie.

Oczy Kelly rozszerzyły się.

- Mają problemy...

Nathan podniósł strzelbę i wypalił do kolejnego stwora, który odważył się podejść zbyt blisko. Carrera pochylała się nad bakiem, który zdjęła z ramion.

— Na ile jeszcze wystarczy? - spytał, próbując obserwować wszystko naraz.

— Jest prawie całkiem pusty.

Nathan popatrzył na strumień za plecami. W świetle latarki Carrery widać było, że sproszkowane ziele zadziało. W dole rzeki na powierzchnię wciąż wypływały kolejne stwory, a prąd szybko znosił je dalej. Jednak w wąskim korycie powyżej miejsca, w którym stali, nic nie wypływało, nie można więc było ufać temu odcinkowi. Musieli zejść w dół strumienia i tam spróbować szczęścia. Problem polegał na tym, że od bezpiecznego miejsca, gdzie woda była zatruta, oddzielała ich mała armia żabopiranii, zagradzając im przejście.

- Gotowe - oświadczyła Carrera i wstała.

Podniosła bak miotacza i zamknęła wlew paliwa. Zwisiał z niego kawałek sznurka. W baku było jeszcze trochę paliwa - za mało, aby zasilić miotacz, ale wystarczy do tego, co zaplanowali. Przynajmniej taką mieli nadzieję.

Nathan czekał z bronią gotową do strzału.

— Jesteś pewna, że to zadziała?

— Wcześniej działało...

W jej słowach nie było jednak przekonania.

- Wyceluj - powiedziała po chwili.

Skierował wylot lufy na drzewo o szarej korze, rosnące jakieś trzydzieści metrów od nich w dół rzeki.

- Zaczynamy. - Carrera zapaliła lont zapalniczką. - Bądź gotów!

Zamachnęła się i z całej siły rzuciła bak miotacza przed siebie.

Nathan wstrzymał oddech. Bak przekoziółkował kilka razy w powietrzu i wylądował w wybranym miejscu, dokładnie pod drzewem.

- Opłacyły się całe lata trenowania softballu... - mruknęła pod nosem Carrera. - Padnij!

Oboje rzucili się na pokrytą liśćmi ziemię. Na szczęście Nathan trzymał broń wysoko nad głową i mógł się nią posłużyć, gdy jeden ze stworów wyskoczył z krzaków i wylądował parę centymetrów od jego głowy. Natychmiast odtoczył się na bok, odrzucając żabopiranię kolbą.

— Baseball uniwersytecki - wyjaśnił.

— Padnij! - zawołała znowu Carrera i przycisnęła go do ziemi.

Wybuch był ogłuszający. Ciemność rozświetliły płomienie eksplozji, a o gałęzie w górze załomotał grad kawałków poszarpanej blachy. Nathan popatrzył w stronę miejsca wybuchu. Sztuczka Carrery zadziałała - niemal pusty bak zamienił się w bombę.

Carrera uniosła głowę.

- A co z...

Tym razem to on przycisnął ją do ziemi.

Drugi wybuch brzmiał jak uderzenie błyskawicy: rozległ się odgłos pękającego drzewa i zaraz potem basowy pomruk. Kawałek dżungli został jakby rozerwany, z góry spadł deszcz płonącej żywicy.

- A niech to cholera! - zaklęła Carrera. Palił się rękaw jej munduru. Szybko zgasła płomień w mokrej glinie.

Nathan wstał. Ich plan się powiódł. Z drzewa o szarej korze pozostał jedynie poszarpany pień, nad którym tańczyły błękitne płomyki. Tak jak się spodziewali, żywica zapaliła się od zrobionej z baku miotacza bomby i drzewo eksplodowało, ogarniając ogniem kilkadziesiąt metrów brzegu.

- Ruszamy! - krzyknął Nathan.

Pobiegli wzdłuż brzegu w dół strumienia, aż znaleźli się w strefie, gdzie woda była jeszcze zatruta przez ziele *ayaeya*. Koryto rzeki było pełne nieruchomych żabopiranii i różnych gatunków ryb.

- Tędy! - zawołał Nathan.  
Wskoczył do rzeki i pół płynąc, pół pełznąc, przedostał się na drugi brzeg. Carrera podążała tuż za nim.  
Po niecałej minucie wspinali się już na przeciwległy brzeg.  
- Udało nam się! - krzyknęła ze śmiechem Carrera.  
Nathan odetchnął z ulgą. Przed nimi między drzewami migotały latarki pozostałych członków wyprawy. A więc im też udało się przejść przez strumień...  
- Sprawdźmy, czy wszystko w porządku - powiedział.  
Pomagając sobie nawzajem, wspięli się na stromy brzeg i ruszyli w stronę głównej grupy.  
Kiedy wyszli z lasu, przywitano ich radosnymi okrzykami.  
- Zuch z ciebie, Carrera - stwierdził z uśmiechem sierżant Kostos.  
Powitanie Nathana było nie mniej miłe. Kelly zarzuciła mu ręce na szyję i mocno uściskała.  
- Udało wam się! - wymruczała mu do ucha. - Udało ci się!  
- W ostatniej chwili.  
Frank poklepał go po plecach.  
- Świetna robota, doktorze Rand - oświadczył kapitan Waxman i zaczął zbierać swoich ludzi. Nikt nie miał zamiaru pozostać w pobliżu rzeki.  
Kelly delikatnie pocałowała Nathana w policzek.  
- Dziękuję... dziękuję za uratowanie nas. I za to, że szczęście wróciliście.  
Odwróciła się, a oszołomiony i zdezorientowany Nathan potrząsnął głową.  
Carrera przewróciła oczami i dźgnęła go łokciem w zębra.  
- Wygląda na to, że ktoś się z kimś bardzo zaprzyjaźnił...

#### GODZ. 10.02 AMAZOŃSKA DŻUNGLA

Louis stał pośrodku wypalonego kawałka lasu. Jego doskonały węch pozwalał mu wyczuć unoszący się jeszcze w powietrzu ślad kwaśnego odoru napalmu. Członkowie oddziału roz-

ładowywali czółna i zarzucali na ramiona plecaki. Od tego miejsca mieli poruszać się pieszo.

Wraz ze świtem napłynęły chmury i gęsta mżawka pogasiła resztki ognisk. Nad wyrwaną w dżungli dziurą unosiła się przemieszana z dymem mgła, gęsta i upiornie biała.

Jego kochanka krążyła po miejscu wybuchu z wykrzywioną boleśnie twarzą, jakby zniszczenie dżungli było dla niej osobistą obrazą. Powoli okrążała wbity w ziemię drąg - nadziano na niego przedziwnego stwora, jednego z tych, które zaatakowały oddział przeciwnika. Louis nigdy przedtem czegoś podobnego nie widział. Mina Tshui wskazywała, że ona też nie. Indianka przyglądała się niezwykleму zwierzęciu, przekrzywiając głowę jak wpatrujący się w robaka ptak.

Do Louisa podszedł Jacques.

— Rozmowa do pana przez radio... na zakodowanej częstotliwości.

— Wreszcie...

Jakiś czas temu, tuż przed świtem, wrócił Malachim, jeden z jego zwiadowców. Był mocno przestraszony i miał dziki wzrok. Zameldował, że jego partner, krępy Kolumbijczyk o imieniu Toady, został zaatakowany przez jedną z wodno-ładowych bestii i umarł w straszliwych męczarniach. Jemu samemu ledwie udało się wrócić. Niestety nie potrafił powiedzieć nic sensownego o miejscu pobytu oddziału przeciwnika. Wyglądało na to, że rangersi, zmuszeni do przeprawy przez dopływ rzeki, uciekali przed tymi samymi stworami i szli obecnie na południowy zachód. Ale co było ich celem?

Louis wiedział, jak może się tego dowiedzieć. Wziął od Jacques'a radio. Łączyło się ono z niewielkim przekaźnikiem, który miał przy sobie jeden z członków grupy przeciwnika, umieszczony w niej za spore pieniądze szpieg.

- Dziękuję, Jacques - powiedział i odszedł kilka kroków.

Rano przeprowadził już jedną rozmowę - ze swoimi moco-dawcami, francuską firmą St. Savin Pharmaceuticals. Mówili coś o rozpowszechnianiu się w regionie Amazonki i w Stanach Zjednoczonych jakiejś choroby - jej pojawienie się łączono z przewiezieniem do Stanów ciała człowieka, który wyszedł z dżungli i zmarł. Gra toczyła się teraz o znacznie wyższą



stawkę. Louis zażądał podwyższenia wynagrodzenia, argumentując, że jego misja stała się bardziej ryzykowna, i przedstawiciel St. Savin przystał na jego warunki - tak jak Louis przewidywał. Doskonale wiedział, że lekarstwo na nową chorobę będzie dla jego mocodawcy warte miliardy. Co znaczyło dla niego kilka franków więcej?

— Favre przy aparacie - rzucił do mikrofonu.

— Doktorze... - w głosie rozmówcy słychać było wyraźną ulgę - dzięki Bogu, że pana złapałem.

— Czekałem na informacje od ciebie - powiedział Louis z odpowiednią porcją groźby w tonie głosu. - Straciłem w nocy dobrego człowieka, ponieważ ktoś nie przewidział, że należy nas zawiadomić o tych wściekłych małych gadzinach.

Zapadła długa cisza.

— Przepraszam... w całym tym zamieszaniu nie bardzo mogłem się oddalić od grupy. Dopiero teraz mi się to udało.

— Rozumiem. Opowiedz o tym wczorajszym „zamieszaniu”.

— To było straszne - odparł tamten i przez następne trzy minuty głądził jak poparzony, relacjonując wydarzenia minionej nocy. - Gdyby Rand nie użył jakiejś trucizny w proszku, wszyscy byśmy zginęli.

Słyszac nazwisko „Rand”, Louis mocniej ścisnął radio. Sam dźwięk tego słowa sprawiał, że jeżyły mu się włosy na karku.

— Gdzie teraz jesteście?

— W dalszym ciągu idziemy na południowy zachód i szukamy następnego znaku, pozostawionego przez Geralda Clarka.

— Doskonale.

— Ale...

— Co jest?

— Chcę... chcę się wycofać.

— *Pardon, mon ami?*

— W nocy omal nie zginąłem. Miałem nadzieję, że mógłby mnie pan... przechwycić, gdybym się oddalił. Chętnie zapłacę za dostarczenie mnie całego i zdrowego z powrotem na łono cywilizacji.

Louis zamknął oczy. Najwyraźniej jego kret zaczął pękać. Należało mu nieco popędzić kota.

— No cóż, jeżeli zejdziesz z posterunku, na pewno cię znajdę...

— Dziękuję. Najchętniej...

— ...i jestem pewien, że kiedy cię znajdę, twoja śmierć będzie długa, bolesna i upokarzająca. Jeżeli znasz moje akta, z pewnością wiesz, że potrafię być pod tym względem bardzo pomysłowy.

Po tamtej stronie zapadła cisza. Louis niemal widział, jak jego szpieg drży ze strachu.

— Rozumiem.

— Bardzo się z tego cieszę. Miło mi, że załatwiliśmy tę sprawę. Przejdźmy teraz do poważniejszych problemów. Nasz wspólny dobroczyńca z Francji zgłosił uzupełnienie naszego zlecenia. Obawiam się, że realizacja tego punktu będzie należała do ciebie.

— O co chodzi?

— Ze względów bezpieczeństwa oraz dla zagwarantowania praw własności tego, co mamy odzyskać, należy jak najszybciej uniemożliwić członkom ekspedycji porozumiewanie się ze światem zewnętrznym... oczywiście bez wzbudzania podejrzeń.

— W jaki sposób mam to zrobić? Mogę zawirusować komputer ekipy, aby zakłócić im komunikację z satelitą, ale rangersi mają własny sprzęt. Nie dam rady dostać się do niego.

— *No probleme.* Umieść wirusa gdzie trzeba, a rangersów zostaw mnie.

— Ale...

— Zaufaj mi. Nigdy nie jesteś sam.

Człowiek po drugiej stronie nic na to nie odpowiedział. Louis uśmiechnął się do siebie.

— Skontaktuj się ze mną ponownie wieczorem - powiedział w końcu.

— Spróbuję.

— Nie próbuj, ale zrób to.

— Tak jest, doktorze.

Rozmowa została zakończona.

Louis podszedł do Jacques'a.

— Powinniśmy ruszać. Mają nad nami sporą przewagę.

- Tak jest - odparł Jacques i poszedł organizować wy marsz.

Louis zauważył, że Tshui cały czas stoi przy nabitym na pal stworze. W jej oczach ujrzał cień strachu. Jak to możliwe? Nigdy jeszcze nie widział, żeby się czegoś przestraszyła. Podeszedł i objął ją.

Jej smukłe ciało drżało lekko.

- Spokojnie, *ma chérie*. Nie ma się czego bać.

Oparła się o niego, ale jej spojrzenie co chwila wędrowało w stronę dziwnego zwierzęcia. Przytuliła się do Louisa i jęknęła cicho.

Zmarszczył czoło. Może powinien wziąć pod uwagę to milczące ostrzeżenie? Może powinni zacząć maszerować ostrożniej? Oddział przeciwnika omal nie został unicestwiony przez te wodne stwory. Był to wyraźny znak, że prawdopodobnie znajdują się na dobrym tropie, co jednak, jeżeli wokół kryły się jeszcze inne zagrożenia?

Z pewnością tak było, ale jego oddział miał nad przeciwnikiem pewną przewagę. Odparcie nocnego ataku wymagało od rangersów i idących z nimi naukowców wielkiej pomysłowości i użycia wszelkich im dostępnych środków, a bitwa, jaką stoczyli, oczyściła drogę grupie Louisa. Dlaczego następnym razem nie miałyby być tak samo? Może warto było planowo wykorzystywać oddział przeciwnika jako „czyszcicieli”?

- A potem przemaszerujemy po ich martwych ciałach i zgarniemy nagrodę... - wymamrotał pod nosem. Zadowolony, pochylił się i pocałował Tshui w czubek głowy. - Nie bój się, moja kochana. Nie możemy przegrać.

GODZ. 10.09

ODDZIAŁ SZPITALNY INSTYTUTU INSTAR

LANGLEY, WIRGINIA

Lauren O'Brien siedziała przy łóżku wnuczki. Dawno już zapomniała o książce leżącej na kolanach. Były to *Zielone jajka i szynka* Doktora Seussa, ulubiona opowieść Jessie. Dziewczynka spała, zwinięta na boku. Gorączka zaczęła się wraz ze wschodem słońca. Koktajl środków przeciwzapalnych

i przeciwgorączkowych zrobił swoje, powoli obniżając temperaturę małej z 38,9 do 37 stopni. Nikt nie miał pewności, czy Jessie złapała chorobę roznoszoną przez zarazek z dżungli - gorączka jest u dzieci zjawiskiem bardzo częstym - ale nie zamierzano ryzykować.

Oddział, w którym przebywała Jessie, stanowił układ zamknięty, uszczelniony i zabezpieczony przed wydostaniem się z niego jakiegokolwiek zarazka. Lauren miała na sobie jednorazowy jednoczęściowy kombinezon kwarantannowy, zaopatrzony w maskę do oddychania. Z początku nie chciała go wkładać z obawy, że ten strój przestraszy Jessie, ale zarządzenie władz szpitala było jednoznaczne: każdy pracownik i gość musiał włożyć taki kombinezon.

Gdy weszła do sali, Jessie z początku była przestraszona, jednak twarz babci widoczna za przezroczystą maską i kilka łagodnych słów szybko ją uspokoiły. Lauren siedziała przy wnuczce przez cały poranek, towarzysząc jej podczas badań, pobierania krwi i podawania leków. Teraz mała zasnęła.

Cichy syk drzwi zapowiedział gościa. Krępowana w ruchach przez kombinezon Lauren odwróciła się z trudem. Kiedy dostrzegła za maską znajomą twarz, odłożyła książkę na stół i wstała.

- Marshall...

Mąż podszedł i objął ją obleczonymi w plastik ramionami.

— Widziałem kartę Jessie przed wejściem - powiedział. Jego głos brzmiał blaszано i głucho. - Gorączka spadła, prawda?

— Tak, kilka godzin temu.

— Są jakieś wiadomości z laboratorium?

— Nie... jeszcze za wcześnie, aby móc stwierdzić, czy to ta choroba.

Ponieważ nie znano czynnika chorobotwórczego, nie było możliwości stworzenia szybkiego testu diagnostycznego. Sygnałem choroby mogło być pojawienie się owrzodzeń w ustach, drobnych krwawień podśluzówkowych oraz gwałtowny spadek liczby białych krwinek. Jednak zazwyczaj objawy te nie występowały wcześniej niż w trzydzieści sześć godzin po pierwszej gorączce. Będą musieli poczekać. Chyba że...

Lauren spróbowała zmienić temat.

- Jak twoja telekonferencja z CDC i ludźmi z rządu?

Marshall pokręcił głową.

- Szkoda czasu. Minie jeszcze wiele dni, zanim wszystko się uspokoi i będzie można rozpocząć konkretne działania. Jediną dobrą informacją jest to, że Blaine z CDC poparł mój pomysł zamknięcia granic Florydy. Muszę przyznać, że trochę mnie to zaskoczyło.
- Nie powinno. Wysyłam mu od tygodnia dane i wykresy, łącznie z danymi dotyczącymi Brazylii. Implikacje są dość przerażające.
- No cóż, najwyraźniej nim wstrząsnęłaś - stwierdził i uścisnął jej dłoń. - Dziękuję.

Lauren popatrzyła na łóżko i westchnęła.

- Nie chcesz zrobić sobie przerwy? - spytał Marshall. - Mogę przez chwilę popilnować Jessie. Powinnaś się trochę przespać. Czuwałaś całą noc.
- Nie będę mogła zasnąć.

Objął ją w pasie.

- Więc przynajmniej napij się kawy i zjedz śniadanie. Za dwie godziny zadzwonią Frank i Kelly.

Lauren oparła się o niego.

- Co im powiemy?
- Prawdę. Jessie gorączkuje, ale nie ma powodu do paniki. Nie wiemy, czy to ta choroba, czy nie.

Kiwnęła głową. Przez chwilę milczeli, a potem Marshall odprowadził ją do drzwi.

- Idź.

Przeszła przez uszczelnione drzwi i ruszyła korytarzem do szatni, gdzie przebrała się w zwykły lekarski kitel. Potem zajrzała do dyżurki pielęgniarek.

- Przyszło coś z laboratorium?

Niska pielęgniarka o azjatyckich rysach podała jej plastikową teczkę.

- Przefaksowano to przed minutą.

Lauren otworzyła teczkę i zaczęła przerzucać kartki, szukając wyników badań biochemicznych i hematologicznych. Powiodła palcem po długiej kolumnie cyfr. Jak się spodziewała, chemia

była w normie, ale jej palec zatrzymał się przy liczbie krwinek białych.

**LEUK: 2130 (---) NORMA: 6000-15 000**

Znacznie za mało. Był to jeden z objawów zakażenia chorobą z dżungli.

Przesunęła drżący palec dalej, ku danym dotyczącym różnych rodzajów białych krwinek. Na to właśnie ubiegłego wieczoru zwrócił jej uwagę doktor Alvisio, epidemiolog ich zespołu: w danych laboratoryjnych, jakie brał pod uwagę jego modelujący chorobę komputer, pojawiał się specyficzny - występujący we wczesnym stadium rozwoju choroby, kiedy całkowita liczba leukocytów spadała - skok liczby białych krwinek zwanych bazofilami. Choć było za wcześnie na wyciąganie ostatecznych wniosków, ów skok bazofili wydawał się powtarzać we wszystkich przypadkach choroby. Może pozwoli to na jej szybsze rozpoznawanie?

Lauren popatrzyła na ostatnią linijkę.

**Bazofile: 12 (+++) NORMA: 0-4**

— O Boże... - jęknęła. Położyła kartkę na kontuarze dyżurki i zamknęła oczy.

— Wszystko w porządku, doktor O'Brien? - zapytała pielęgniarka.

Lauren nie usłyszała tego pytania.

W jej głowie huczało jedno zdanie: Jessie jest zakażona.

GODZ. 11.48 DŻUNGLA  
AMAZOŃSKA

Kelly szła za grupą, straszliwie zmęczona, ale nie zamierzała się poddawać. Maszerowali przez całą noc, robiąc częste, choć krótkie przerwy. Po ataku żabopiranii nie zatrzymywali się przez dwie godziny. O świcie rozbili tymczasowy biwak, aby rangersi mogli nawiązać kontakt z obozem w Wauwai. Po-

stanowiono, że po krótkim odpoczynku będą iść dalej do południa, kiedy naukowcy mieli umówioną rozmowę ze Stanami. Potem do końca dnia mieli odpoczywać i ustalić, co dalej. Kelly popatrzyła na zegarek. Zbliżało się południe. Dzięki Bogu. Waxman już zaczynał szukać miejsca na obóz.

- Z daleka od wszelkiej wody - polecił swoim ludziom.

Przez cały dzień zwracali uwagę na wszystkie strumienie i jeziora. Jeśli się dało, omijali je, jeśli nie, pospiesznie przechodzili na drugą stronę. Na szczęście nie zostali ponownie zaatakowani.

- Być może te stwory żyją na ograniczonym terenie - zasugerował Manny. - Może dlatego nigdy przedtem ich nie widziano.

- Jeśli to prawda, krzyżyk im na drogę! - mruknął Frank.

Poranna mżawka po jakimś czasie zamieniła się w gęstą mgłę. Wilgoć sprawiała, że wszystko zrobiło się cięższe: ubrania, plecaki, buty. Nikt jednak nie narzekał. Chcieli jak najszybciej oddalić się od miejsca przerażających nocnych wydarzeń.

— Polana! - zawołał idący na czele pochodu kapral Warczak. Był tropicielem, toteż powierzenie mu roli zwiadowcy miało służyć dodatkowemu celowi: rozglądając się po okolicy, jednocześnie szukał śladów Geralda Clarka.

— To miejsce idealnie nadaje się na obóz.

— Najwyższy czas... - westchnęła Kelly.

— Zbadać teren! - rozkazał Waxman. - Sprawdzić, czy w pobliżu nie ma jakichś strumieni!

— Tak jest, panie kapitanie. Kostos już poszedł na rekonesans.

- Bądźcie ostrożni! - zawołał Nathan. - Mogą tam być...

Z przodu grupy rozległ się nagle pełen bólu krzyk. Wszyscy zamarli, a Nathan natychmiast ruszył w tamtą stronę.

- Jasna cholera, czemu nikt nie słucha, co się do niego mówi? - wymamrotał pod nosem. Popatrzył na Kelly i Kouwego i machnął do nich. - Potrzebuję waszej pomocy! Obojga!

Kelly podeszła do profesora.

- Co się stało? - spytała.

Kouwe ściągnął już z ramion plecak i otwierał go.

- Przypuszczam, że chodzi o *Supay chacra*, czyli poletko diabła. Idziemy.

„Poletko diabła”? Już sama nazwa nie mogła się podobać.

Kapitan Waxman kazał reszcie swoich żołnierzy zostać z cywilami, a sam razem z Frankiem podążył za Nathanem.

Po chwili ukazała się dwójka rangersów. Wyglądali, jakby się bili - jeden turlał się po ziemi, a drugi walił go płaską ręką.

Nathan podbiegł do nich.

— Zabierz ze mnie to gówno! - zawył leżący na ziemi żołnierz i przeturlał się kawałek. Był to sierżant Kostos.

— Próbuję! - odrzyknął kapral Warczak, cały czas oklepując sierżanta.

Nathan odepchnął go na bok.

— Przestań! Tylko je bardziej rozwścieczasz! Sierżancie Kostos, niech pan się nie rusza!

— Nie mogę... kęsają jak szalone!

Kelly ujrzała, że całe ciało Kostosa jest pokryte wielkimi czarnymi mrówkami. Każda z nich miała ponad dwa centymetry długości. Musiały ich być tysiące.

- Przestań się ruszać, to same odejdą! - wrzasnął Nathan.

Kostos popatrzył na niego wściekłym wzrokiem, ale zrobił, co mu kazano. Przestał się rzucać i zamarł w bezruchu, ciężko oddychając.

Na twarzy i ramionach miał wielkie bąble. Wyglądał, jakby przypalano go papierosem.

- Co się stało? - spytał kapitan Waxman.

- Nie podchodzić! - zawołał Nathan, zatrzymując ciekawskich.

Kostos cały dygotał. W kącikach oczu zbierały mu się łzy. Musiał straszliwie cierpieć. Na szczęście rada Nathana okazała się słuszna. Mrówki przestały kęsać i powoli schodziły z sierżanta, znikając w liściastym krzewie.

— Dokąd one idą? - spytała Kelly.

— Wracają do domu. To żołnierze tej kolonii - odparł Kouwe i wskazał na znajdującą się za drzewami polanę, oddaloną zaledwie kilka metrów od nich.

Była tak gładka i równa, jakby ktoś bardzo krótko przystrzygł trawę i dokładnie ją wygrabił. Pośrodku niej stało wielkie



drzewo, którego gałęzie sięgały od jednego krańca polany do drugiego.

- Drzewo mrówkowe - dodał profesor. - Ich kolonia mieszka w jego wnętrzu.

- W środku?

Kouwe kiwnął głową.

— To jeden ze sposobów przystosowania się roślin lasu deszczowego do zwierząt. Drzewo mrówkowe ma puste w środku gałęzie i przechodzące przez cały pień kanały, w których mieszkają mrówki, karmi też ich kolonię specjalną słodką żywicą. W zamian mrówki nawożą drzewo swoimi odchodami i bronią go przed innymi owadami i ptakami. - Kouwe wskazał głową polanę. - Niszczą wszystko, co rośnie w pobliżu drzewa, usuwają także z jego gałęzi porosty i pnącza. Właśnie dlatego takie miejsca w dżungli nazywają się *Supay chacra*, poletkami diabła.

— Cóż za przedziwna koegzystencja...

— Owszem, ale przynosi korzyści obydwu gatunkom. Można nawet powiedzieć, że jeden nie może żyć bez drugiego.

Kelly w zadumie wpatrywała się w okrągłą polanę. Kilka dni temu Nathan pokazał jej orchideę, której kwiat miał kształt narządów rozrodczych samicy pewnego owada - przywabiła w ten sposób samce, które ją zapylały. Opowiedział też o roślinach wabiących swoich „zapylaczy” za pomocą słodkawego nektaru, smakującego tylko jednemu gatunkowi. Tego rodzaju związki zdarzają się zresztą nie tylko wśród roślin i owadów. Na przykład nasiona niektórych drzew mogą kiełkować jedynie wtedy, gdy przejdą przez układ pokarmowy zwierzęcia określonego gatunku. W dżungli jest mnóstwo podobnych dziwów, w skomplikowanej ewolucyjnej sieci splatają się tu ze sobą najróżniejsze formy życia.

Nathan przykucnął obok sierżanta.

— Ile razy was ostrzegałem, żebyście uważali, o co się opieracie?

— Nie widziałem ich - odparł Kostos zboląłym, ale agresywnym tonem. - Poza tym musiałem się odlać.

Nathan pokręcił głową.

- Akurat na drzewo mrówkowe?

- Mrówki są bardzo wrażliwe na markery chemiczne - wyjaśnił Kouwe. - Polanie przez pana drzewa moczem najwyraźniej zostało uznane przez żyjącą w drzewie kolonię za atak.

Kelly wyciągnęła strzykawkę ze środkiem przeciwhistaminowym, a Kouwe wyjął ze swojego plecaka jakieś liście i zaczął miażdżyć je w dłoniach. Rozpoznała ich kształt i charakterystyczny aromat.

— *Ku-run-yeh!* - spytała. Profesor uśmiechnął się.

— Zapamiętała pani...

Była to ta sama roślina lecznicza, której sokiem Kouwe posmarował jej dłoń, kiedy się poparzyła, dotykając ognistej liany. Zawierała silny środek przeciwbólowy.

We dwójkę zajęli się pacjentem. Kelly wstrzyknęła sierżantowi kombinację leku przeciwhistaminowego i sterydowego leku przeciwzapalnego, a profesor nałożył papkę z *ku-run-yeh* na ramię żołnierza.

Na twarzy Kostosa natychmiast pojawił się wyraz ulgi. Westchnął i wziął od Kouwego garść liści.

- Resztę zrobię sam - powiedział, wyraźnie zażenowany. Kapral Warczak pomógł mu wstać.

- Powinniśmy poszukać innego miejsca - oświadczył Nathan. - Nie należy rozbijać obozu zbyt blisko tego drzewa. Nasze jedzenie mogłoby zwabić mrówki.

Kapitan Waxman kiwnął głową.

- Wobec tego ruszajmy. Dość już czasu zmarnowaliśmy - stwierdził, obrzucając kuśtykającego sierżanta nieprzyjaznym spojrzeniem.

Przez następne pół godziny przebijali się przez dżunglę, pełną wrzasków kapucynek i wełniaków szarych. Manny pokazał im siedzącego na gałęzi znieruchomiłego ze strachu mrówkojada karłowatego o wielkich oczach i jedwabistej sierści, który wyglądał jak wypchany eksponat. Zwisający z palmy grzechotnik leśny o fluoryzujących zielonych łuskach również nie wyglądał zbyt groźnie - sprawiał wrażenie zrobionego z plastiku.

Nagle z przodu doleciał czyjś krzyk. Był to kapral Warczak.

- Coś znalazłem! - zawołał ponownie.
- Kelly miała nadzieję, że nie kolejne mrówcze drzewo.
- To chyba znak Clarka!

Cała grupa szybko podeszła do zwiadowcy. Na małym pagórku rósł potężny orzechowiec brazylijski. Jego rozłożysta korona ocieniała sporą przestrzeń, pokrytą starymi orzechami i liśćmi. Na pniu wisiał kawałek przemoczonej szmatki.

Warczak zamachał do podchodzących, aby się za bardzo nie zbliżali.

— Znalazłem ślady butów. Nie zadcpcie ich.

— Ślady butów? - zdziwiła się Kelly. Nie bardzo jej to pasowało.

Warczak obszedł drzewo.

- Z tej strony jest wydeptana ścieżka - powiedział.

Frank i kapitan Waxman podeszli do niego.

— Zdawało mi się, że Gerald Clark wyszedł z dżungli na bosaka - zauważyła Kelly.

— Owszem, ale szaman Yanomami, którego złapali rangersi, mówił przecież, że Indianie z wioski zabrali mu wszystko, co miał przy sobie - odparł Nathan. - Pewnie zabrali mu także buty.

Richard Zane wskazał na drzewo.

- Zostawił kolejną wiadomość?

Czekali, aż wolno im będzie podejść. Po chwili Frank i Waxman wrócili do nich.

- Rozbijemy tu obóz - oświadczył kapitan.

Rozległy się westchnienia ulgi i wszyscy podeszli do drzewa. Pod ich stopami pękały orzechy. Kelly pierwsza znalazła się przy drzewie. W jego korze wycięto znane już im znaki.



- „G.C.". Znowu Clark - stwierdził Nathan i wskazał strzałkę. - Jest skierowana na zachód. Tak jak prowadzą ślady butów. Siódmy maja.

Olin oparł się o drzewo.

— Siódmy maja? Potrzebował aż dziesięciu dni na dojście stąd do wioski? Musiał cholernie powoli iść.

— Prawdopodobnie nie szedł w linii prostej - mruknął Nathan. - Pewnie krążył po okolicy, szukając jakichś ludzkich siedzib.

— Poza tym był już wtedy chory - dodała Kelly. - Moja matka mówiła, że nowotwory zaczęły się rozwijać w jego ciele mniej więcej w tym czasie. Z pewnością musiał często odpoczywać.

Anna Fong westchnęła.

- Gdyby wcześniej nawiązał kontakt z cywilizacją... może jeszcze byłby w stanie opowiedzieć, gdzie przebywał przez cały ten czas...

Olin odepchnął się od drzewa.

— Jeśli mówimy o nawiązywaniu kontaktu z cywilizacją, chyba też powinienem zacząć to robić. Następna konferencja jest za pół godziny.

— Pomogę ci - zaofiarował się Zane.

Obaj mężczyźni poszli do komputera, a reszta grupy rozproszyła się, by porozwieszać hamaki, zgromadzić drewno i nazbierać owoców. Kelly przygotowywała swoje miejsce do spania, a obok niej to samo robił Frank.

— Kelly... - zaczął po chwili. Jego głos brzmiał, jakby zamierzał zakomunikować jej jakąś niemiłą wiadomość.

— Tak?

— Sądzę, że nie powinnaś iść dalej.

Odwróciła się do niego.

— Co masz na myśli?

— Rozmawiałem z kapitanem Waxmanem. Kiedy przekazywał swoim przełożonym raport o nocnym ataku, polecili mu, aby po założeniu bezpiecznego obozu zostawił w nim zbędne osoby. W nocy niewiele brakowało, a byłoby po nas. Nie chcą ryzykować kolejnych ofiar. Poza tym cywile spowalniają rangersów. - Frank spojrzął za siebie przez ramię. - Dlatego postanowiono zostawić tu Annę, Zane'a, Manny'ego i Kouwego. I ciebie.

— Ale...

- Olin, Nathan i ja pójdziemy dalej z żołnierzami.  
Popatrzyła na niego ze złością.  
— Nie jestem „zbędną osobą”. Jestem waszym jedynym lekarzem, poza tym potrafię maszerować nie gorzej od ciebie.  
— Kapral Okamoto jest przeszkolonym sanitariuszem.  
— Co nie czyni z niego lekarza.  
— Kelly...  
— Frank, nie rób mi tego.  
— To już postanowione - odparł, nie patrząc jej w oczy.  
Kelly obeszła brata, aby zmusić go do spojrzenia jej w oczy.  
— Ty tak postanowiłeś. Jesteś kierownikiem wyprawy.  
Uniósł głowę.  
- Masz rację, to była moja decyzja. Nie chcę narażać cię na niebezpieczeństwo.  
Kelly gotowała się w środku, wiedziała jednak, że brat nie zmieni zdania.  
— Wyślemy sygnał, aby system GPS mógł was znaleźć, i zostawimy w obozie dwóch rangersów. Gdy tylko uda nam się zorganizować brazylijski helikopter o odpowiednim zasięgu, przyleci po was zespół ewakuacyjny. Nasza grupa ruszy dalej.  
— Kiedy?  
— Po krótkim odpoczynku. Wyruszymy dziś po południu. Będziemy maszerować do zachodu słońca. Teraz, kiedy już jesteśmy na tropie Clarka, mniejsza grupa będzie mogła poruszać się znacznie szybciej.  
Kelly zamknęła oczy i westchnęła. Plan był sensowny, a wobec tak szybkiego rozprzestrzeniania się zarazka czas miał zasadnicze znaczenie. Poza tym, jeżeli Frank i jego grupa coś znajdą, zawsze będzie można sprowadzić drogą powietrzną naukowców, aby to zbadali.  
— Chyba nie mam wyboru - stwierdziła w końcu.  
Frank w milczeniu przygotowywał swój hamak.  
Narastające między nimi napięcie rozładował Olin.  
— Jesteśmy gotowi! - zawołał.  
Osłaniając się pałatką przeciwdeszczową, Kelly razem z Frankiem ruszyła w jego stronę.  
Olin kucnął nad laptopem i szybko stukał w klawiaturę.

- Coś się chrzani - mruknał. - Ta wilgoć... o, jest!  
Mamy połączenie!

Odsunął się na bok. Kelly kucnęła obok Franka. Na ekranie pojawiła się twarz, ale stale się rozmywała i rozбивała na piksele.

- Nic więcej nie mogę zrobić - mruknał Olin.

Mieli przed sobą ojca. Mimo zakłóceń widać było, że jest zmartwiony i zaniepokojony.

- Słyszałem o tym, co się działo w nocy - zaczął. - Cieszę się, że nic wam się nie stało.

Frank kiwnął głową.

- Jesteśmy zmęczeni, ale poza tym wszystko gra.

-. Czytałem raport rangersów, ale chętnie usłyszę waszą wersję wydarzeń.

Frank i Kelly szybko opisali atak dziwaczných stworów.

— Chimera? - powtórzył ojciec, kiedy skończyli. - Połączenie żaby i ryby?

— Tak sądzi biolog, który jest z nami - powiedziała Kelly, kładąc nacisk na słowo „biolog”, aby dać ojcu do zrozumienia, że Manny jest bardzo przydatnym członkiem wyprawy.

— Cóż... to załatwia sprawę. Godzinę temu zadzwonił do mnie z Fortu Bragg dowódca Sił Specjalnych, generał Korsen. Przekazał mi nowy, skorygowany plan...

- Jaki skorygowany plan? - zainteresował się Zane.

Frank uciszył go ruchem dłoni.

- Biorąc pod uwagę, jak błyskawicznie rozprzestrzenia się ta cholerna choroba, całkowicie zgadzam się z generałem. Trzeba jak najszybciej znaleźć lekarstwo. Czynnikiem krytycznym jest czas.

Kelly miała ochotę zaprotestować, zagryzła jednak wargę, zdając sobie sprawę, że nie znajdzie w ojcu sojusznika. Od początku był przeciwny temu, aby jego mała dziewczynka brała udział w wyprawie.

Frank przysunął się do ekranu.

- Jak wygląda sytuacja w Stanach?

Ojciec pokręcił głową.

- Odpowie wam na to pytanie wasza matka - odparł i odsunął się na bok.

Lauren wyglądała na bardzo zmęczoną, pod oczami miała cienie.

- Liczba przypadków... - zakaszłała i odchrząknęła. - W ciągu ostatnich dwunastu godzin liczba zachorowań się potroiła.

Kelly aż się skuliła. Tak szybko...

- Głównie na Florydzie, ale mamy już kolejne przypadki w Kalifornii, Georgii, Alabamie i Missouri.

- A co w Langley? - spytała Kelly. - W instytucie? Rodzice wymienili się spojrzeniami.

- Kelly... - zaczął ostrożnie ojciec. - Nie ma powodu do paniki...

Wyprostowała się, ale serce podeszło jej do gardła. Ma nie panikować? Czy taka rada kiedykolwiek kogoś uspokoila?

— Co się stało?

— Jessie zachorowała...

Nie słyszała następnych słów. Jej pole widzenia zawęziło się, jakby po bokach głowy zasunięto czarne zasłony. Od pierwszej chwili, gdy usłyszała o zarazku, obawiała się usłyszeć te słowa. Jessie zachorowała...

Opadła na fotel, skuliła się i zbladła. Frank objął ją i podtrzymał. Ojciec musiał zauważyć, co się z nią dzieje, bo dodał szybko:

- Kelly, nie wiemy, czy to właśnie ta choroba. Jessie ma jedynie gorączkę, ale dobrze reaguje na leki. Kiedy szliśmy na tę konferencję, jadła lody i paplała jak najęta.

Matka położyła dłoń na ramieniu ojca i rodzice znowu wymienili się spojrzeniami.

- To naprawdę nie ta choroba, mamo? - zapytała słabym głosem Kelly.

Lauren O'Brien uśmiechnęła się do niej.

— Jestem pewna, że to nie ta choroba. Frank westchnął.

— Dzięki Bogu. Czy ktoś jeszcze ma podobne objawy?

— Nikt więcej - zapewnił go ojciec.

Kelly wpatrywała się w twarz matki. Jej uśmiech sprawiał wrażenie sztucznego, wymuszonego. Po chwili spuściła wzrok. Kelly zamknęła oczy. Boże drogi...

- Zobaczymy się niedługo - zakończył rozmowę ojciec.

Frank dotknął ręki siostry.

Kiwnęła głową.

- Tak... niedługo...

- Co miał na myśli pani ojciec, mówiąc, że niedługo się zobaczycie? - spytał Zane. - Co to za korekta planów? Co się dzieje?

Frank uścisnął Kelly.

- Jessie nic nie będzie - szepnął. - Przekonasz się o tym, kiedy wrócisz do domu - dodał i odwrócił się do Zane'a, aby odpowiedzieć na jego pytania.

Kelly znieruchomiła przed laptopem, nie słysząc kłótni, która wybuchła za jej plecami. Przed chwilą widziała przecież wyraźnie, jak uśmiech znika z ust matki, jak zawstydzona spuszcza wzrok. Znała matkę lepiej niż kogokolwiek inny, chyba nawet lepiej niż ojciec. Lauren O'Brien kłamała, Kelly była tego pewna.

Jessie zachorowała na chorobę z dżungli. A przynajmniej matka tak uważała. Skoro jednak matka tak sądziła...

Nie potrafiła powstrzymać łez. Kłóćący się z powodu zmiany planów ludzie nie zwracali na nią uwagi.

Zakryła twarz dłonią. Boże... tylko nie to...



## Atak z powietrza

14 SIERPANIA, GODZ. 13.24  
DŻUNGLA AMAZOŃSKA

Nathan przewracał się w hamaku z boku na bok. Nie mógł zasnąć, choć wiedział, że powinien odpocząć przed następnym etapem marszu. Za godzinę mieli wyruszać, ale na wiele pytań w dalszym ciągu nie było odpowiedzi. Rozejrzał się po obozie. Połowa ludzi drzemała, a połowa w dalszym ciągu - jednak już nie tak głośno jak przedtem - spierała się na temat podziału grupy.

— Możemy iść za nimi - oświadczył Zane. - Co nam zrobią? Zastrzelą nas?

— Powinniśmy podporządkować się tej decyzji - stwierdził spokojnie Kouwe, lecz Nathan doskonale wiedział, że profesor jest tak samo niezadowolony z tego, że musi zostać, jak przedstawiciel Telluksa.

Odwrócił się do nich plecami i pomyślał, że gdyby to jego chciano zostawić, musiano by go związać, aby nie podążył za główną grupą.

Z miejsca, w którym leżał, widział hamak Kelly. Jako jedyna z tych, którzy mieli zostać, nie zaprotestowała. Najwyraźniej nie myślała o niczym innym poza córką. Odwróciła się i ich spojrzenia się spotkały. Miała opuchnięte od płaczu oczy. Zrezygnował z dalszych prób zaśnięcia i zsunął się z hamaka. Podszedł do Kelly i kucnął obok niej na ziemi. - Jessie nic nie będzie.

Popatrzyła na niego w milczeniu.

- Ma chorobę z dżungli - powiedziała cichym, pełnym bólu głosem.

Nathan zmarszczył czoło.

— Przemawia przez ciebie strach. Nie ma dowodu na to, że...

— Widziałam to w oczach mojej matki. Nigdy niczego nie umiała przede mną ukryć. Wie, że Jessie się zaraziła, i chce mnie oszczędzić.

Nathan nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Rozchylił lekko moskitierę i położył dłoń na ramieniu Kelly, próbując w ten sposób dodać jej otuchy.

- Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, znajdę gdzieś tutaj lekarstwo. Obiecuję - powiedział łagodnie.

Uśmiechnęła się słabo, a jej wargi poruszyły się w bezgłośnym „Dziękuję”. Po policzku stoczyła się pojedyncza łza, którą szybko przykryła dłonią. Odwróciła się.

Nathan siedział przy niej i towarzyszył jej w smutku. Kiedy kątem oka dostrzegł, że Frank i kapitan Waxman konferują nad mapą, wstał, zamierzając się do nich przyłączyć. Ale zanim ruszył w ich stronę, odwrócił się jeszcze do Kelly i w myślach powtórzył swoją obietnicę: „Znajdę lekarstwo”.

Kapitan Waxman wodził palcem po topograficznej mapie okolicy.

- Na zachód stąd teren wznosi się aż do granicy z Peru. To jedna wielka płatanina pagórków i wąwozów, istny labirynt. Łatwo się tam zgubić.

- Będziemy musieli bardzo uważać, żeby nie przegapić znaków Geralda Clarka - stwierdził Frank i podniósł głowę, dając w ten sposób do zrozumienia, że przyjmuje do wiadomości obecność Nathana. - Powinieneś zacząć pakować plecak. Wkrótce wyruszamy, żeby maksymalnie wykorzystać światło dzienne.

Nathan kiwnął głową.

— Mogę być gotów w pięć minut.

— Wobec tego zbierajmy się.

Wyznaczono żołnierzy, którzy mieli ochraniać pozostającą na miejscu grupę. Wojskowe radio satelitarne też zostawiano - aby można było podać położenie obozu pilotowi brazylijskiego

helikoptera. Grupa idąca dalej miała posługiwać się radiami CIA.

Nathan zarzucił strzelbę na ramię i poprawił plecak. Zamierzali maszerować do zmroku, z kilkoma krótkimi przerwami na odpoczynek.

Waxman uniósł rękę i grupa rangersów - prowadzona przez kaprała Warczaka - weszła w dżungłę.

Nathan po raz ostatni spojrzął za siebie. Przed chwilą pożegnał się z Kouwem i Mannym, z którymi zostało dwoje rangersów - Jorgensen i Carrera. Dziewczyna machnęła mu bronią na pożegnanie i Nathan odwzajemnił ten gest.

Waxman początkowo chciał zostawić w obozie kaprała Gravesa, który stracił brata, ten jednak poprosił, by pozwolono mu pójść dalej.

- Panie kapitanie, ta misja kosztowała mego brata życie, tak samo jak kilku moich kolegów, więc chciałbym być w tym do końca. Na cześć mego brata... wszystkich moich braci - powiedział.

Waxman wyraził zgodę.

Grupa szybko zagłębiła się w dżungłę. Kiedy słońce przebiło się przez chmury, pod wilgotnym parasolem liści zrobiło się tak parno, że w ciągu kilku minut wszyscy zaczęli ociekać potem.

Nathan szedł obok Franka O'Briena, który co kilka kroków zsuwał czapkę na tył głowy i ocierał pot z czoła. Nathan zrobił sobie z chustki do nosa przepaskę na czoło, nie była to jednak wystarczająca ochrona przed atakującymi ich nieustannie muchami i komarami, zwabianymi zapachem potu.

Choć było gorąco i dokuczały im owady, posuwali się szybko do przodu. W ciągu dwóch godzin przeszli ponad dziesięć kilometrów. Warczak co jakiś czas znajdował na ziemi odciski butów, niestety były bardzo słabo widoczne, bo rozmył je wczorajszy deszcz.

Przed Nathanem szedł kapral Okamoto, który znowu zaczął pogwizdywać. Nathan westchnął. Czyż sama dżungla nie zapewniała im wystarczająco wielu udręk?

Rozglądał się, wypatrując wszelkich możliwych zagrożeń - węży, ognistych lian, drzew mrówkowych - które mogłyby

spowolnić ich marsz. Każdy strumień przekraczali z najwyższą ostrożnością. Na szczęście w żadnym z nich nie było żabopiranii. W którymś momencie spomiędzy liści w górze wyrzał leniwiec pstry, który zatrzymał się w swojej wędrówce i z zainteresowaniem obserwował przechodzących pod nim ludzi. Zwierzęta te sprawiają wrażenie powolnych i łagodnych, jednak kiedy coś je przestraszy albo zostaną zranione, potrafią wypatroszyć napastnika. Pazury, które im służą do wspinaczki, są ostre jak sztylety. Na szczęście ten osobnik spokojnie kontynuował swoją nadrzewną podróż.

Gdy Nathan w pewnym momencie obejrzał się za siebie, wysoko w drzewach, prawie kilometr z tyłu, dostrzegł maleńki błysk. Zatrzymał się, by dokładniej mu się przyjrzeć.

- Co się stało? - spytał Frank.

Migotanie zniknęło. Być może to tylko poruszony wiatrem liść odbił światło.

- Nic ważnego - odparł Nathan i dał Frankowi znak, żeby szedł dalej. Jednak przez całe popołudnie oglądał się za siebie. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że są śledzeni, że ktoś obserwuje ich z góry. W miarę upływu czasu to przecucie coraz bardziej się nasilało.

W końcu zdecydował się powiedzieć o tym Frankowi.

— Coś mnie niepokoi. Coś, co zauważył Kouwe po nocnym ataku w wiosce.

— To znaczy?

— Miał wtedy wrażenie, że jesteśmy śledzeni.

— Pamiętam, ale on sam nie był tego pewien. Chodziło o kilka zerwanych w nocy owoców i poruszonych krzewów. Nie było odcisków stóp ani niczego konkretnego.

Nathan spojrzął za siebie.

— Załóżmy jednak, że profesor miał rację. Jeśli tak, to kto mógłby nas śledzić? Na pewno nie Indianie z wioski, bo zginęli, zanim weszliśmy do dżungli. Więc kto?

— Sądzisz, że w dalszym ciągu jesteśmy śledzeni? Widziałeś coś?

— Właściwie nie... jedynie jakiś dziwny błysk wysoko w drzewach parę godzin temu. Może to tylko odbicie słońca w jakimś liściu.

- Mimo wszystko powiadomię o tym kapitana Waxmana. Odrobina dodatkowej ostrożności nie zawadzi - stwierdził Frank i został w tyle, aby porozmawiać z dowódcą rangersów, który wraz z Olinem Pasternakiem zamykał pochód.

Nathan ponownie wbił wzrok w cienisty las nad głową. Nagle stracił pewność, czy pozostawienie części ludzi w obozie było mądrym posunięciem.

GODZ. 17.12

Manny szczotkował futro Tor-tora. Nie było to konieczne, bo jaguar sam doskonale to robił swoim szorstkim jęzorem, ale zarówno pan, jak i zwierzę lubili ten rytuał. Kiedy Manny przejechał szczotką po brzuchu swojego pupila, Tor-tor cicho zamruczał. Manny miał ochotę mu zawtórować, tyle że znacznie głośniej - najchętniej ryknąłby z niezadowolenia.

Był wściekły, że ich zostawiono.

Zaszeleściły krzaki i Manny podniósł głowę. Podeszła do niego Anna Fong.

- Mogę? - zapytała, wskazując jaguara.

Zaskoczony Manny uniósł brew. Zauważył już przedtem, że antropolożka często spogląda na Tor-tora, sądził jednak, że robi to nie z ciekawości, ale ze strachu.

- Oczywiście - odparł i poklepał miejsce na ziemi obok siebie. Kiedy Anna uklękła, podał jej szczotkę. - Najbardziej lubi wyczesywanie brzucha i karku.

Anna wzięła szczotkę i pochyliła się nad wielkim kotem. Ostrożnie wyciągnęła rękę, bo Tor-tor uważnie ją obserwował. Powoli opuściła szczotkę i przeciągnęła nią po gęstym futrze.

- Jest taki piękny... W domu, w Hongkongu, bardzo lubiłam patrzeć, jak te koty chodzą po swoich wybiegach w ogrodzie zoologicznym. Wychowywanie go musi być cudowne.

Manny'emu podobał się sposób jej mówienia - cichy, z nieco przesadną dykcją, dziwnie oficjalny.

- Cudowne? Przez długi czas wyżerał mi gigantyczną dziurę w domowym budżecie, przegryzł się przez dwie kanapy i zniszczył kilka dywanów.

Uśmiechnęła się.

- Mimo wszystko... na pewno było warto.

Manny zgadzał się z tym, ale nie lubił mówić, jak bardzo kocha Tor-tora. Uważał, że to niemęskie.

- Wkrótce będę musiał go wypuścić na wolność.

Choć próbował to ukryć, musiała wyczuć w jego głosie smutek i troskę. Popatrzyła na niego, jakby chciała mu dodać otuchy.

- Jestem pewna, że mimo to było warto.

Manny uśmiechnął się. Oczywiście, że było warto.

Anna odgarnęła z twarzy kosmyk jedwabistych włosów i lekko zmarszczyła nos, koncentrując się na szczotkowaniu zwierzęcia.

Tę sielankę przerwał nagle głośny krzyk:

- Wszyscy słuchać!

Odwrócili się gwałtownie.

Kapral Jorgensen trzymał w ręku słuchawkę radia i kręcił głową.

- Do wszystkich! Mam dobrą i złą wiadomość - oświadczył, kiedy wszyscy do niego podeszli. - Dobra jest taka, że armia brazylijska przygotowała już helikopter, który ma nas stąd zabrać.

- A zła? - spytał Manny.

Jorgensen wzruszył ramionami.

— Przyleci dopiero za dwa dni. Z powodu szybkiego rozprzestrzeniania się zarazy jest duże zapotrzebowanie na transport powietrzny. A nasza ewakuacja ma niski priorytet.

— Dwa dni? - powtórzył z irytacją Manny. - Więc mogliśmy jeszcze przez ten czas iść dalej całą grupą.

— Kapitan Waxman miał swoje rozkazy - odparł Jorgensen.

— A co ze stacjonującym w Wauwai komanczem? - spytał Zane, który leżał w hamaku i palił papierosa.

— To dwumiejscowa maszyna szturmowa - odparła Carrera. - Poza tym stoi w rezerwie, na wypadek konieczności natychmiastowego udzielenia pomocy grupie, która się od nas odłączyła.

Manny pokręcił głową i ukradkiem popatrzył na Kelly

O'Brien. Siedziała na hamaku. Miała zmęczone i pozbawione blasku oczy. Dla niej czekanie na helikopter będzie znacznie gorsze niż dla nich. Kolejne dwa dni stracone, zanim będzie mogła spotkać się z chorą córką.

Kouwe stał przy wielkim orzechowcu brazylijskim. Jeszcze przed chwilą przyglądał się pozostawionym przez Clarka nacięciom, teraz jednak uniósł głowę i przekrzywił ją na bok.

- Czy ktoś jeszcze czuje dym? - zapytał.

Manny pociągnął nosem, ale powietrze wydawało mu się czyste.

Anna zmarszczyła czoło.

- Ja chyba coś czuję...

Kouwe zaczął obchodzić drzewo. Choć dawno opuścił dżunglę, jego zmysły nadal były bardzo wyczulone.

- Tutaj! - zawołał zza drzewa.

Carrera szybko podniosła z ziemi swoje M-16 i razem ze wszystkimi podeszła do niego.

Na południe od obozu, jakieś trzydzieści metrów w głąb lasu, tuż nad ziemią, błyskały małe płomyki. Przez szpary w baldachimie liści wzbijał się w niebo cienki słup dymu.

— Pójdę sprawdzić - powiedział Jorgensen. - Reszta zostaje z Carrerą.

— Idę z panem - oświadczył Manny. - Jeśli ktoś tam jest, Tor-tor go wyczuje.

Jorgensen odpiął od pasa pistolet i podał mu go. Ostrożnie weszli w dżunglę. Manny dał znak ręką i jaguar ruszył do przodu.

- Zachować ostrożność! - poleciła Carrera pozostałym w obozie ludziom.

Manny podążał za kotem, a Jorgensen szedł za nim.

- Coś pali się na ziemi - szepnął po chwili Manny.

Kiedy zbliżali się do źródła ognia, kapral gestem nakazał

Manny'emu ciszę.

Obaj mężczyźni wyteżali wzrok i słuch, szukając potencjalnego zagrożenia - obserwowali otaczający ich las i próbowali wyłowić jakieś podejrzane odgłosy, ale szczebiot ptaków i wrzask małp bardzo im to utrudniał. Zbliżali się do ognia coraz wolniej i ostrożniej.

Tor-tor też podchodził do dziwnego pożaru, pchany wrodzoną kocią ciekawością. Jednak kilka metrów od mocno dymiącego ognia przykucnął i zawarczał, a potem powoli zaczął się cofać.

Jorgensen uniósł ostrzegawczo dłoń i dał Manny'emu znak, aby przykucnął i zajął obronną pozycję, a sam ruszył naprzód. Wstrzymując oddech, Manny patrzył, jak kapral bezszelestnie sunie przez las, ostrożnie stawiając stopy i ani na chwilę nie opuszczając karabinka.

Tor-tor wrócił do niego i usiadł na tylnych łapach. Miał nastroszoną sierść, a jego złote ślepia świeciły jak latarnie. Kilka razy prychnął - tak samo jak wtedy, gdy poczuł odchody kajmana przy rzece. Najwyraźniej coś go przestraszyło.

Krążąca we krwi Manny'ego adrenalina sprawiła, że jego zmysły również były wyostrzone. Po chwili zaczął wyczuwać unoszący się w powietrzu dziwny zapach: metaliczny, gorzki i zarazem kwaśny. Nie był to zapach dymu z płonącego drewna.

Jorgensen doszedł już do ognia. Kiedy popatrzył na ziemię, drgnął gwałtownie, jakby coś go zaskoczyło. Powoli obszedł ogień, trzymając karabinek wycelowany na las. Nie pojawiło się jednak żadne zagrożenie. Kapral obserwował otoczenie przez dwie minuty, po czym dał znak Manny'emu, aby podszedł.

Kiedy Manny podchodził do rangersa, Tor-tor pozostał z tyłu. Zdecydowanie nie miał ochoty zbliżyć się do ognia.

- Ktokolwiek to zapalił, musiał uciec - powiedział Jorgensen i wskazał lufą płomienie. - Chciał nas przestraszyć.

Manny podszedł na tyle blisko, że mógł dokładnie widzieć dziwne ognisko. Nie paliła się ściółka, ale gęsta oleista pasta, którą rozsmarowano na oczyszczonym z traw i liści kawałku ziemi. Choć płomień był bardzo jasny, nie wytwarzał zbyt wiele ciepła. Unoszący się nad ogniem dym był gęsty i słodki, jednak to nie dym ani płomienie sprawiły, że Manny poczuł w kościach zimne igiełki strachu. Przeraził go kształt płomieni.

Na ziemi narysowano i podpalono symbol przedstawiający zwiniętego w spiralę węża - znak Ban-ali.

Jorgensen czubkiem buta dotknął oleistej substancji.

- Łatwo palna pasta - mruknął.

Zaczął zasypywać ogień, narzucając nogą ziemię na płonące



linie i sploty, a Manny mu w tym pomagał. Kiedy skończyli, kapral popatrzył na wzbijający się w popołudniowe niebo dym.

- Powinniśmy wracać do obozu.

Manny kiwnął głową. Wrócili do obozu pod wielkim orzechowcem i Jorgensen szybko opowiedział wszystkim o odkryciu.

- Porozumiem się z bazą i powiem im, co znaleźliśmy.

Podszedł do swojego pękatego plecaka i podniósł słuchawkę. Po kilku sekundach zaklął i rzucił słuchawkę na widełki.

— Co się stało?

— Spóźniliśmy się... okienko satelitarne już się zamknęło.

— Co to oznacza? - spytała Anna.

Jorgensen wskazał ręką nadajnik i niebo.

— Przekazniki satelity wojskowego są teraz poza naszym zasięgiem.

— Do kiedy?

— Do czwartej rano.

— A co z drugą grupą? - spytał Manny. - Można się z nią skontaktować za pomocą radia?

— Już próbowałem, ale nasze sabery mają zasięg tylko dziesięciu kilometrów, a grupa kapitana Waxmana jest już znacznie dalej.

— Więc jesteśmy odcięci od świata... - mruknęła Anna.

Jorgensen pokręcił głową.

— Tylko do jutra rana.

— A wtedy co? - Zane chodził nerwowo po obozie, co chwila spoglądając na dżunglę. - Nie możemy beczynnienie czekać przez dwa dni na helikopter.

— Ma pan rację - przyznał Kouwe. - Kiedy Indianie z wioski zostali zaatakowani przez wychodzące na ląd piranie, zauważyli dokładnie taki sam znak na swoim *shabano*.

- Co pan sugeruje? - spytała Carrera.

Profesor zmarszczył czoło.

- Jeszcze nie jestem pewien. - Przez chwilę wpatrywał się w smugę dymu na niebie. W powietrzu wciąż wisiał gorzki zapach dymu. - Ale zostaliśmy naznaczeni...

Frank jeszcze nigdy nie był tak zadowolony z widoku zachodzącego słońca. Wkrótce powinni się zatrzymać. Z powodu długiego marszu i niedostatku snu bolał go każdy mięsień. Szedł krok w krok za podążającym przed nim rangersem, za plecami miał Nathana.

- Hej! Popatrzcie na to! - zawołał ktoś w przodzie.

Przyspieszyli kroku, weszli na niewielkie wzniesienie i zobaczyli, co wywołało okrzyk prowadzącego żołnierza. Mniej więcej czterysta metrów przed nimi znajdowała się tafla wody. Zachodzące słońce powodowało, że jej powierzchnia wyglądała jak posrebrzona. Woda blokowała im drogę - rozciągała się na wiele kilometrów w lewo i w prawo.

- To *igapo* - powiedział Nathan. - Las bagienny.

- Nie ma go na mojej mapie - odparł kapitan Waxman.

Nathan wzruszył ramionami.

- W dorzeczu Amazonki jest mnóstwo takich miejsc. Niektóre pojawiają się wraz z nadejściem deszczów i znikają, kiedy robi się sucho. Ale teraz mamy koniec pory suchej, więc należy podejrzewać, że nie jest to okresowe rozlewisko. - Wskazał przed siebie. - Świadczy o tym również to, że dżungla się tu urywa, zniszczona przez wieloletnie zabagnianie.

Wyraźnie widać było, że baldachim listowia kończy się, jakby ucięto go wielkim nożem. Na rozlewisku pozostały jedynie pojedyncze wielkie drzewa, wyrastające prosto z wody, oraz tysiące wysepek i pagórków. Nic nie zasłaniało błękitnego nieba nad bagnem. Tak wielka ilość światła po długim przebywaniu w zielonym półmroku raziła oczy.

Członkowie grupy ostrożnie schodzili długim, lekko opadającym zboczem, dochodzącym do samej wody. Powietrze wydawało się gęste od różnych zapachów. Wzrok przyciągały kolczaste bromeliowate i wielkie orchidee. Chórom żab wtórowały ptaki, próbując zagłuszyć swoich wodnych sąsiadów. Na skraju bagna dostojnie przechadzały się czaple o patykowatych nogach, łowiąc ryby. Hałaśliwe przybycie ludzi spłoszyło kilka kaczek.

Kiedy byli jakieś piętnaście metrów od wody, Waxman kazał się zatrzymać.

— Poszukamy na brzegu znaków od Clarka, ale najpierw musimy sprawdzić, czy woda jest bezpieczna. Nie chcę kolejnych niespodzianek.

— Nic nie powinno nam grozić - powiedział Nathan, ruszając dalej. - Według Manny'ego tamte żabopodobne stwory miały wiele cech piranii, a ten gatunek nie lubi stojących wód. Wolą rzeki.

Kapitan Waxman popatrzył na niego.

— I nie ścigają ofiar po suchym lądzie, prawda?

Nathan zarumienił się lekko i cofnął od brzegu. Waxman posłał kaprala Yamira, aby sprawdził bagno.

— Sprawdź, czy coś rusza się w wodzie.

Pakistańczyk uniósł swoje M-16 i odpalił granat. W górę wystrzelił wielki gejzer, który spłoszył chmurę ptaków i stado małą. Po chwili spadł na nich deszcz wody i lilii.

Odczekali dziesięć minut, jednak nic się nie stało. Nie zaatakował ich żaden kryjący się w wodzie drapieżnik.

Kapitan Waxman polecił ludziom, żeby zaczęli szukać kolejnego znaku na otaczających bagno drzewach.

- Tylko ostrożnie! Trzymać się z dala od wody i mieć oczy otwarte!

Nie musieli długo szukać.

- Znalazłem! - zawołał kapral Warczak, tropiciel od działu. Stał parę metrów od nich, niedaleko brzegu.

Na pniu pochylającej się nad wodą palmy wisiał znajomy kawałek tkaniny, przybity kolcem z jakiejś rośliny. Znak był niemal identyczny z poprzednim: inicjały i strzałka skierowana na zachód. Inna była tylko data.

- Piąty maja - przeczytał Olin. - Dwa dni od poprzedniego znaku.

Warczak wyciągnął ramię i wskazał brzeg rozlewiska.

— Wygląda na to, że Clark przyszedł stamtąd.

— Ale strzałka skierowana jest w stronę bagna - odparł Frank. Nasunął daszek czapki na czoło, aby osłonić oczy, i spojrzął za wodę. W oddali widać było poprzedzielane zarośniętymi dolinami wzniesienia, które kapitan Waxman pokazywał mu na mapie topograficznej: łańcuch czerwonych wzgórz o urwistych zboczach i płaskich szczytach, zwanych stoliwami.

Kapral Okamoto podał mu lornetkę.

— Niech pan spróbuje spojrzeć przez to.

— Dziękuję - odparł Frank i przyłożył lornetkę do oczu.

Nathanowi również zaofiarowano lornetkę i stoliwa wyraźnie się przybliżyły. Na bagnisty teren spływały z nich niewielkie wodospady, a u ich podnóży wisiała gęsta mgła, zasłaniając porośnięte lasem wąwozy.

- Te wodospady muszą zasilać bagno w wodę - stwierdził Nathan. - Dzięki temu nie wysycha przez cały rok.

Frank opuścił lornetkę i odwrócił się do kapitana Waxmana, który patrzył na kompas.

Nathan wskazał pochylone nad wodą drzewo.

- Podejrzewam, że ten znak po prostu wskazuje następny, a Clark obszedł bagno. - Spojrzał na ogromne rozlewisko. - Jego okrażenie musiało mu zająć co najmniej tydzień.

Frank przyznał mu w duchu rację - im zajęłoby to tyle samo.

Kapitan Waxman uniósł głowę i spojrzął na bagno.

Jeżeli znak znajduje się dokładnie przed nami, przepłyniemy na drugą stronę, zamiast tracić tydzień na marsz.

- Przecież nie mamy pontonów - powiedział Frank.

Waxman wzruszył ramionami.

- Nie jesteśmy małymi chłopcami. - Machnął ręką w stronę lasu. - Jest tu mnóstwo przewróconych pni, całe hektary bambusa i pełno lian. Możemy bez trudu zbudować kilka tratw. Właśnie tego nas uczono: wykorzystywania wszelkich dostępnych materiałów. - Popatrzył na daleki brzeg. - To nie więcej jak trzy kilometry stąd.

Nathan kiwnął głową.

— Doskonale. Oszczędzi nam to wielu dni marszu.

— No to do roboty! Chcę, żebyśmy byli gotowi o zmroku. Wtedy będziemy mogli wyruszyć z samego rana, wyspani i wypoczęci - oświadczył Waxman i zaczął wyznaczać ludzi do poszczególnych zadań: ściągania do brzegu pni drzew i bambusa oraz zbierania lian na powrozy.

Frank pomagał żołnierzom i był zdumiony szybkością, z jaką na mulistym brzegu rosły sterty budulca. Wkrótce mieli go dość na całą flotyllę tratw. Sama budowa poszła jeszcze szyb-

ciemniej: zsunięto równolegle dwa podobnej wielkości pnie i przykryto je solidną warstwą bambusa, po czym całą konstrukcję obwiązano linami i lianami. Po chwili przez śliskie błoto została zepchnięta do wody pierwsza tratwa i zabujała się na płyciźnie.

Rangersi wydali radosny okrzyk. Nathan, który robił z bambusa i wyschniętych liści palmowych wiosła, uśmiechnął się z uznaniem.

Wkrótce skończono drugą tratwę. Jej budowa zajęła niecałe dwie godziny.

Tratwy unosiły się obok siebie na wodzie. Słońce już zachodziło i niebo płonęło różnymi odcieniami czerwieni i żółci.

Rozłożono obóz. Rozpalono ognisko, pozawieszano hamaki i zabrano się do przygotowywania jedzenia. Kiedy Frank ruszył w stronę żołnierzy, zauważył na tle jaskrawego zachodu słońca ciemną smugę. Zmrużył oczy i zaczął jej się przyglądać.

Właśnie przechodził obok kapral Okamoto z naręczem gałęzi do ogniska.

— Mogę pożyczyć lornetkę? - spytał Frank.

— Jasne. Proszę ją sobie wziąć z kieszeni mojej kurtki.

Frank przyłożył lornetkę do oczu. Dym? Ciemna smuga wzbijała się w niebo nad odległym płaskowyżem. Czyżby byli tam jacyś ludzie? Powiódł lornetką za wijącą się ciemną linią. - Na co patrzysz? - spytał Nathan.

- Jeszcze nie wiem. - Frank wskazał niebo. - Moim zdaniem to dym. Może z jakiejś wioski albo innego obozu.

Nathan wziął od niego lornetkę.

- Bez względu na to, co to jest, zbliża się do nas.

Frank nawet bez lornetki widział, że kolumna dymu płynie w ich kierunku. Uniósł dłoń.

- To nielogiczne - stwierdził. - Wiatr wieje w przeciwną stronę.

- Więc to nie dym. Coś leci w naszą stronę.

Najlepiej będzie, jeżeli zawiadomię o tym kapitana.

Wkrótce wszyscy mieli przy oczach lornetki i patrzyli w niebo. Wstęga ciemności zamieniła się w gęstą czarną chmurę, która sunęła prosto na nich.

- Co to może być? - zastanawiał się Okamoto. - Ptaki? Nietoperze?

- Nie sędzę - odparł Nathan. Mętna ciemność wyglądała bardziej na chmurę niż na ciało stałe, jej granice rozdymały się, kurczyły, falowały.

Po chwili ciemna chmura spadła nad obóz i zatrzymała się tuż nad koronami drzew, zamieniając dzień w noc. Towarzyszyło jej przerażające piskliwe bzyczenie. Był to dźwięk znany każdemu, kto przez dłuższy czas przebywał w dżungli - ale znacznie wzmocniony. Wszyscy czuli, jak wibracje wprawiają w drżenie drobne włoski na ich skórze.

- To szarańcza - powiedział Nathan.

Kiedy ogromna chmara przelatywała nad ich głowami, najniższa warstwa owadów potrząsnęła liśćmi. Wszyscy z obawą pochyłili głowy, jednak szarańcza nie była zainteresowana ludźmi - leciała na wschód.

Kiedy ogon chmary przemykał nad nimi, Frank opuścił lornetkę.

— Co one robią? Migrują dokądś? Nathan pokręcił głową.

— Nie. Ich zachowanie jest nielogiczne.

- No to co? Odleciały przecież - stwierdził kapitan Waxman.

- Tak, ale dokąd? - mruknął Nathan, patrząc na wschód. Frank zauważył jego spojrzenie. Na wschodzie była druga część ich grupy. Poczul w gardle ucisk strachu. Kelly...

GODZ. 19.28

Kiedy dzień zamieniał się w noc, Kelly usłyszała dziwny odgłos - przypominający trochę warkot pracującego na bardzo wysokich obrotach małego silniczka. Obeszła orzechowiec, zmrużyła oczy i próbowała zlokalizować źródło niezwykłego dźwięku.

- Też to słyszysz? - spytał Kouwe, który również obchodził drzewo.

Dwójka rangersów stała nieopodal z uniesioną bronią. Pozostali członkowie wyprawy dorzucali do ogniska gałęzie. Aby uniknąć ryzyka, że ktoś mógłby podkraść się do ich obozu,

chcieli mieć jak najwięcej światła. Obok ogniska leżała wielka sterta drewna, która powinna wystarczyć do rana.

- Ten hałas... robi się coraz głośniejszy - mruknęła Kelly. - Co to takiego?

Kouwe przechylił głowę.

- Jeszcze nie wiem...

W tym momencie dziwny odgłos zamienił się w wycie. Wszyscy z niepokojem wpatrywali się w niebo.

Kelly wskazała palcem różowy poblask na zachodzie.

- Patrzcie!

Na tle zachodzącego słońca w niebo wspinała się czarna chmura, która niczym fala płynęła w ich stronę.

— Chmara szarańczy - powiedział Kouwe. - Czasami robią coś podobnego podczas godów, ale to nie ta pora roku. Poza tym jeszcze nigdy nie widziałem tak wielkiej chmary.

— To groźne? - spytał Jorgensen.

— Dla sadów i gospodarstw w dżungli bardzo. Duża chmara może w ciągu kilku minut ogołocić parę hektarów z liści, warzyw i owoców.

- A co z ludźmi?

- Nie stanowią dla nich zagrożenia. To owady roślinożerne, ale gdy spanikują, mogą lekko ugryźć - odparł Kouwe, uważnie przyglądając się chmarze. - Chociaż...

- Co? - spytała Kelly.

- Nie podoba mi się zbieżność w czasie... pojawienie się tej ogromnej chmary zaraz po tym, gdy znaleźliśmy znak Ban-ali.

- Co te dwie rzeczy mogą mieć ze sobą wspólnego? - zdziwiła się Anna Fong.

Manny podszedł do Tor-tora. Wielki kot, napięty jak struna, zataczał małe koła wokół swojego pana.

- Profesorze, czyżby pan sądził, że ta szarańcza może być czymś podobnym do tamtych piraniowatych potworów? Nowym zagrożeniem, kolejnym instrumentem ataku na nas?

Kouwe popatrzył na niego.

- Znaleźliśmy w wiosce znak i pojawiły się piranie... znajdujemy kolejny znak i zjawia się szarańcza. - Podszedł do swojego plecaka. - Nie powinniśmy lekceważyć tej zbieżności.

Kelly była przekonana, że profesor ma rację.

- Co możemy zrobić? - spytał Jorgensen.

Początek chmury owadów zniknął już w półmroku nad ich głowami, jeden cień zlewał się z drugim cieniem.

— Najpierw chyba powinniśmy znaleźć jakieś schronienie... - Kouwe popatrzył w górę i zmrużył oczy. - Są już prawie nad nami. Wszyscy do hamaków! Zamknąć szczelnie moskitiery i nie dotykać ich żadną częścią ciała!

— Ale... - zaprotestował Zane.

— Natychmiast! - krzyknął Kouwe i zaczął szukać czegoś w plecaku.

— Robić, co profesor mówi! - rozkazał Jorgensen i zarzucił na ramię bezużyteczną broń.

Kelly szybko weszła pod moskitierę - na szczęście była już rozłożona i umocowana. Zasuwała siatkę i położyła na jej skraju kamień, żeby wiatr nie odchylił materiału. Potem usiadła na hamaku, podkurczyła nogi pod siebie, objęła ciało ramionami i pochyliła głowę, aby przypadkiem nie dotknąć nią moskitiery.

Pozostali członkowie grupy też schowali się pod moskitierami, każdy schronił się na swojej wyspie. Na zewnątrz została jeszcze tylko jedna osoba - Kouwe.

— Profesorze! - zawołał Jorgensen i zaczął wychodzić ze swojego siatkowego namiotu.

— Zostań na miejscu! - odkrzyknął Kouwe, który ciągle szukał czegoś w swoim plecaku.

Jorgensen znieruchomiał.

— Co pan robi? - zapytał.

— Przygotowuję się do odparcia ataku.

Nagle z bezchmurnego nieba zaczął padać deszcz. Zielony baldachim zaszeleścił, i po chwili usłyszeli uderzenia ciężkich kropli o liście. Ale z nieba nie spadała woda. Przez gąszcz przebijały się wielkie czarne owady, nurkując ku ziemi.

Chmara szarańczy dotarła do obozu.

Jeden z owadów wylądował na moskitierze nad hamakiem Kelly. Miał jakieś osiem centymetrów długości, a jego czarny, oświetlany płomieniami ogniska tułów błyszczał oleiście. Walczył o utrzymanie się na zajętej pozycji, trzepocząc skrzydłami. Kelly ciasno objęła się ramionami. Wiele razy widywała szarań-



czę i cykady, lecz nigdy nie były takie olbrzymie. W dodatku ten osobnik nie miał oczu. Jego głowa była jedną wielką żuchwą, wgryzającą się w powietrze. Ale brak oczu rekompensowały mu inne zmysły. Przez siatkę moskitiery przebiły się długie czułki, które obracały się na boki niczym różdżki radiestety podczas szukania żyły wodnej. Po chwili obok pierwszej szarańczy usiadła druga i zaczęła uderzać w siatkę podzielonymi na segmenty tylnymi kończynami, co przypominało ciche pstrykanie palcami.

Nagle kucający przy ognisku Kouwe krzyknął z bólu i klepnął dłonią siedzącego mu na ramieniu owada.

— Profesorze! - zawołał Jorgensen.

— Nie wychodźcie spod moskitier! - krzyknął Kouwe, szarpiąc rzemień zamykający małą sakiewkę, którą wreszcie wydobył z plecaka. Z jego ramienia, w miejscu ugryzienia przez owada, spływała krew. Nawet z daleka można było dostrzec, że rana jest głęboka. Kelly miała nadzieję, że szarańcza nie jest jadowita jak żabopiranie. Kouwe przysunął się jeszcze bliżej do ogniska. Płomienie niemal paliły mu skórę, ale wyglądało na to, że ciepło ognia odstrasza owady.

Szarańcza wypełniała cały otaczający ich las, trzepocząc skrzydłami i przeraźliwie bzycząc. Z każdą chwilą było ich więcej.

- Przegryzają się przez siatkę! - zawołał przerażony Zane.

Kelly przyjrzała się swojej moskitierze. Owad, który przed chwilą wtykał czułki przez oczka siatki, teraz zabrał się do jej przegryzania ostrymi jak brzytwa szczękami. Zanim mu się to udało, Kelly grzbietem dłoni odrzuciła go z moskitiery. Potem zabrała się do usuwania kolejnych nieproszonych gości.

- Zrzucajcie je z moskitiery! - zawołała do swoich towarzyszy. - Nie pozwólcie im się przez nią przegryźć!

W pobliżu rozległ się kolejny krzyk bólu.

- Niech to cholera! - zaklął Manny. Rozległo się głośnie płasnięcie, a po nim następne przekleństwa.

- Nic ci nie jest? - spytała Kelly.

- Jeden wpełzł pod siatkę! - odkrzyknął Manny. - Uważaj! Te dranie strasznie mocno gryzą! Ich ślina piecze jak kwas!

Kelly zaczęła się modlić, aby i te owady nie okazały się jadowne. Odwróciła się za siebie, aby zobaczyć, co się dzieje z Mannym, jednak udało jej się dostrzec tylko Tor-tora, krążącego wokół moskitiery swojego pana. Pełzały po nim całe chmary owadów i wielki kot wyglądał, jakby czarne plamy na jego sierści były ruchome. Ignorował szarańczę, bo gęste futro nie pozwalało jej dostać się do skóry. Jeden z owadów wylądował na jego nosie, ale wystarczyło jedno machnięcie łapą, aby się go pozbyć.

Błyszczące skrzydła zdawały się wypełniać każdy milimetr przestrzeni. Od bzyczenia szarańczy bolały zęby. Choć wydawało się to niemożliwe, ich chmara coraz bardziej się zagęszczała. Widoczność nie przekraczała kilku metrów. Wszystkim wydawało się, że otacza ich wirująca czarna mgła. Owady pokrywały każdą powierzchnię, nieustannie gryząc i żując. Zrzucanie ich z moskitiery przypominało walkę z wiatrakami. Były wszędzie.

Kelly zaczynała tracić nadzieję. Pot zalewał jej oczy, ale nagle ujrzała w wyobraźni Jessie - jej córeczka leżała na szpitalnym łóżku i wyciągała ręce do nieobecnej matki.

- A niech was cholera! - zaklęła. Nie może się poddać.

Nie umrę tutaj... nie w ten sposób... bez zobaczenia Jessie.

Kiedy poczuła piekące ukłucie na udzie, ze złością zmiażdżyła owada dłonią. Na jej ramieniu wylądował drugi. Strząsnęła go z obrzydzeniem. Następny wpił się w jej włosy.

W piersi Kelly zaczął narastać jęk rozpacz. Jej moskitiera została pokonana. Z innych miejsc obozu dobiegały przeraźliwe krzyki. Wszyscy byli obłączeni.

Przegrali.

- Jessie... - szepnęła Kelly, strącając z karku kolejnego owada. - Przepraszam, skarbie. - Poczowała ugryzienia na łydkach i kostkach. Kopała bezradnie, płacząc z bólu i rozpacz.

Miała trudności z oddychaniem, zaczęła się krztusić i kaszleć. Powietrze wypełnił słodkawy żywiczny zapach, jakby w pobliżu płonęły świeże sosnowe gałęzie. Kelly znowu zakaszlała.

Co się działo?

Przez zasłonę łez dostrzegła, że chmara owadów zaczyna się rozpraszać, jakby rozwiewał ją potężny podmuch wiatru. Po

chwili wyraźnie zobaczyła ognisko, przy którym stał Kouwe i machał wiązką palmowych liści nad mocno dymiącymi płomieniami.

- Zapaliłem proszek *tok-tok!* - zawołał. Jego ciało po krywały krwawe ślady ugryzień. - To lekarstwo na ból głowy, ale jeśli się je zapali, odpędza owady.

Odstraszona zapachem dymu chmara szarańczy oderwała się od moskitiery i odleciała. Kelly przypomniała sobie, że Nathan opowiadał jej, jak Indianie chronią swoje pola i sady przed owadami: wbijają w ziemię bambusowe pochodnie i palą w nich jakiś proszek - pewnie taki sam, jaki właśnie palił w ognisku profesor.

Kiedy z chmary szarańczy pozostało już tylko kilku maruderów, Kouwe zawołał wszystkich do siebie.

Kelly wstała z hamaka i po chwili wahania wyszła z poszarpanej i podziurawionej moskitiery. Pochylając nisko głowę, ruszyła w kierunku ogniska. Pozostali podążyli jej śladem.

Dym był lepki i duszący, ale skutecznie odpędzał szarańczę. Chmara nie odleciała - wisiała nad nimi niczym ciemna chmura, z której co chwila nurkowały na nich pojedyncze owady, natychmiast jednak odlatywały, odstraszane przez dym.

- Skąd pan wiedział, że to zadziała? - spytał profesora Jorgensen.

- Nie wiedziałem... nie byłem pewien. - Kouwe bez przerwy machał palmowymi liśćmi. - Płonący symbol Ban-ali w dżungli... wielka ilość dymu i jego zapach... pomyślałem, że może to coś w rodzaju sygnału.

— Znak dymny? - spytał Zane.

— Nie, raczej zapachowy. Ten dym ściągnął szarańczę dokładnie w to miejsce.

- Coś w rodzaju feromonu? - spytał Manny.

— Może. A kiedy przyleciały, zaczęły robić to, co zawsze robią: niszczyć wszystko, na co się natknęły.

— Dlatego pan powiedział, że zostaliśmy naznaczeni, prawda? - wtrąciła Anna. - Ktoś przysłał nam tu tę szarańczę.

Kouwe kiwnął głową.

- Tak samo mogło być z piraniami. Coś musiało zwabić je do wioski... może też jakiś zapach, coś, co wrzucono do wody

i co doprowadziło je do *shabano*. - Wzruszył ramionami. - Nie bardzo wiem, co o tym sądzić, ale Ban-ali po raz drugi kazali dżungli nas zaatakować.

— Co teraz zrobimy? - spytał Zane. - Wystarczy nam proszku do świtu?

— Nie - odparł Kouwe i popatrzył na ciemną chmurę nad ich głowami.

GODZ. 20.05

Nathan miał już dość. Od kwadransa spierał się z Waxmanem i Frankiem.

- Musimy do nich iść i sprawdzić sytuację - powtórzył. - Albo przynajmniej wysłać kogoś, kto to zrobi. Jeśli teraz wyruszy, zdąży wrócić przed świtem.

Waxman wzruszył ramionami.

- To była tylko szarańcza, doktorze Rand. Przeleciała nad nami, nie robiąc nikomu żadnej krzywdy. Dlaczego pan uważa, że tamtej grupie coś grozi?

Nathan zmarszczył czoło.

- Nie potrafią tego udowodnić, ale przez całe życie mieszkam w dżungli i jestem pewien, że w przelocie tej chmury było coś nienaturalnego.

Frank początkowo był po stronie Nathana, ale potem przeszedł na stronę Waxmana.

— Sądzę, że kapitan ma rację - powiedział. - Jutro z samego rana, kiedy satelity znajdą się w naszym zasięgu, będziemy mogli skontaktować się z drugą grupą i upewnić się, czy nikomu nic się nie stało.

— Mając do dyspozycji tylko sześciu rangersów, nie chciałbym narażać żadnego z nich, każąc mu wyruszyć na niepotrzebną akcję - dodał Waxman.

Nathan zacisnął pięści.

— Pójdę sam - oświadczył.

— Nie mogę na to pozwolić - odparł kapitan. - Rano przekona się pan, że nikomu z tamtej grupy nic się nie stało.

Ale Nathan nie zamierzał odpuścić.

— Niech mi pan przynajmniej pozwoli pójść kawałek w ich stronę z radiem. Spróbuję podejść na tyle blisko, aby się z nimi skontaktować. Jaki zakres mają wasze radia osobiste?

— Około dziesięciu kilometrów.

— A myśmy przeszli jakieś dwadzieścia pięć. Oznacza to, że muszę przejść tylko piętnaście kilometrów, żeby znaleźć się w ich zasięgu. Wróciłbym przed północą.

Waxman zmarszczył czoło, a Frank popatrzył na Nathana.

- No cóż... wydaje mi się, że to wcale nie takie głupie, kapitanie. To rozsądny kompromis.

Jego wahanie było całkowicie zrozumiałe. W dżungli została jego siostra. Bał się o nią, jednak nie mógł odmówić słuszności argumentom Waxmana. Był kierownikiem wyprawy i musiał kierować się logiką, lecz pragnął także uspokoić swoje obawy.

- Prawdopodobnie nikomu z tamtych nic się nie stało, ale odrobina dodatkowej ostrożności nie zawadzi - stwierdził Nathan. - Zwłaszcza po tym, co się ostatnio działo.

Frank pokiwał głową.

— Proszę pozwolić mi wziąć radio - dodał Nathan.

Waxman westchnął.

— Zgoda, ale nie pójdzie pan sam.

Nathan miał ochotę krzyknąć z radości. Nareszcie!

- Pójdzie z panem jeden z rangersów. Nie chcę ryzykować życia dwóch moich ludzi.

— W porządku - odparł Nathan. Frank

spojrzał na niego z wdzięcznością.

— Kapralu Warczak, do mnie! - zawołał Waxman.

#### GODZ. 20.23

Cała grupa stała przy ognisku, spowita gęstym dymem. Chmura, powstała w wyniku spalania proszku *tok-tok*, trzymała szarańczę z dala od nich. Tam gdzie powietrze się oczyszczało, owady zaczynały opadać, trzymając ludzi w pułapce. Wszyscy zadawali sobie pytanie, na jak długo wystarczy proszku profesora. Dym wydawał się już nie tak gęsty jak jeszcze kilka minut temu.

- Proszę. - Kelly podała Manny'emu półmetry kawałek bambusa, który znalazła w stercie drewna opałowego obok ogniska, po czym wróciła do profesora.

Kouwe umieszczał w ostatnim bambusie zatyczkę z proszkiem *tok-tok*.

Manny nerwowo zaszurał stopą. Jak na jego gust, plan profesora opierał się na zbyt niepewnych założeniach.

Kiedy Kelly i profesor skończyli robić ostatnią pochodnię, wstali. Wszyscy członkowie grupy mieli już plecaki na ramionach i byli wyposażeni w takie same bambusy jak Manny.

- No dobra - powiedział Jorgensen. - Gotowi?

Nikt się nie odezwał. Patrzyli na niego z niedowierzaniem i strachem w oczach.

- Zapalcie pochodnie - zakomenderował kapral.

Wszyscy wsadzili końce swoich pochodni do ogniska. Wraz z suchymi bambusami zapalił się proszek. Kiedy powymowali je z ogniska, z ich końców zaczęły unosić się gęste kłęby dymu.

- Trzymajcie pochodnie blisko siebie, ale w górze - poinstruował ich Kouwe. - Będziemy musieli iść bardzo szybko.

Manny nerwowo przełknął ślinę. Kątem oka obserwował warkoczącą ścianę szarańczy. Owady ugryzły go tylko dwa razy, ale ranki cały czas bolały. Stojący obok Tor-tor, czując niepokój swojego pana, ocierał się o niego.

- Musimy trzymać się razem - dodał Kouwe, kiedy ruszyli od ogniska w stronę szarańczy.

Zamierzali spróbować uciec spod chmary owadów pod osłoną dymu. Kouwe przypuszczał, że owady zostały zwabione nad ich obozowisko zapachem palącego się na ziemi symbolu Ban-ali, ale może uda im się uciec, jeżeli oddalą się od niego na wystarczająco dużą odległość.

Było to ryzykowne, nie mieli jednak wyboru. Zapas proszku wyczerpywał się - mogło go wystarczyć jeszcze na jakąś godzinę, a szarańcza wcale nie zamierzała odlecieć. Musieli więc sami opuścić to miejsce.

- Chodź, Tor-tor - powiedział Manny do swojego pupila.

Szedł za kapralem Jorgensenem, a za nim podążała reszta. Wszyscy wysoko unosili pochodnie. Buczenie owadów było

ogłuszające. Mogli tylko mieć nadzieję, że plan Kouwego się powiedzie.

Nikt się nie odzywał, wstrzymywano nawet oddech. Powoli posuwali się na zachód, za drugą częścią wyprawy. Dołączenie do tamtych było ich jedyną szansą. Kiedy Manny spojrział za siebie, stwierdził, że dodający otuchy blask ogniska zamienił się w małą jasną plamkę. Szarańcza otaczała całą grupę jak ciemny kokon.

Pod ich stopami chrzęściły deptane owady.

Weszli do lasu. Choć minęło kilka minut od rozpoczęcia marszu, wciąż nie było widać końca chmary, cały czas ze wszystkich stron byli otoczeni przez owady. Fruwały nad nimi, pełzały po pniach drzew i w poszyciu. Dym trzymał je w odległości zaledwie paru metrów od ludzi.

Manny poczuł, że coś pełźnie po nogawce jego spodni. Szarańcza. Strząsnął ją wolną ręką. Owady robiły się coraz śmielsze.

- Powinniśmy już przez nie przejść - mruknął Kouwe.

Chyba podążają za nami - odparła Anna.

Kouwe zwolnił i zmrużył oczy.

- Obawiam się, że masz rację.

— Pochodnie zaraz się wypalą - jęknął Zane. - Może pobiegnijmy... może wtedy...

— Cicho! Daj mi się zastanowić! - Kouwe przyjrzał się owadom. - Dlaczego lecą za nami? Czemu nie zostają w miejscu, do którego je wezwano?

— Może one są jak tamte żabopiranie? - powiedziała idąca na końcu Carrera. - Może złapały nasz zapach i będą za nami podążać, aż nas dopadną i zniszczą.

Manny'emu przyszedł do głowy pewien pomysł.

— W takim razie zróbmy to samo co Ban-ali - powiedział.

— To znaczy? - spytała Kelly.

— Dajmy im coś, za czym będą mogły polecieć.

— Na przykład?

— Ten sam zapach, który je tu ściągnął - odparł Manny. - Zgasiliśmy z kapralem Jorgensenem ogień, którego dym przyciągnął owady, ale ta łatwo palna maź, z której utworzono symbol Ban-ali, wciąż jeszcze tam jest.

Rangers kiwnął głową.  
— Ma pan rację. Gdybyśmy tam znowu rozpalili ogień...  
— ...odciągnąłby chmurę od nas i wtedy moglibyśmy uciec - dokończył za niego Kouwe.  
— Właśnie - potwierdził Manny.  
— No to do roboty! - zawołał Zane. - Na co jeszcze czekacie?  
— Nie zostało nam już zbyt wiele czasu - stwierdził Jorgensen. - Nie warto, aby wszyscy ryzykowali.  
— Co pan ma na myśli? - spytał Manny.  
— Wy pójdziecie dalej, a ja wrócę i zapalę ogień.  
— Pójdę z panem - zaoferował się Manny.  
— Nie. Nie wolno mi narażać cywilów. A poza tym sam będę szedł szybciej.  
— Ale...  
— Marnujemy czas - uciał kapral. - Carrera, zabierz stąd wszystkich. Dołączę do was, jak tylko zapalę ogień.  
— Tak jest!  
Jorgensen kiwnął im na pożegnanie głową, odwrócił się i trzymając wysoko pochodnię, pobiegł z powrotem do miejsca, gdzie był ich obóz. Po kilku sekundach owady całkowicie go zasłoniły. O tym, że się porusza, świadczyło jedynie podskakujące światełko jego pochodni, ale wkrótce i ono zniknęło w gęstwinie owadów.  
- Naprzód! - poleciła pozostałym Carrera.  
Ruszyli dalej. Manny modlił się, aby kapralowi się udało. Jeszcze raz spojrzął za siebie i podążył za pozostałymi.

Jorgensen biegł przez gęstą chmurę szarańczy. Ponieważ chroniła go tylko jedna pochodnia, owady zacieśniły krąg. Parę odważniej szych ugryzło go, ale nie zwracał uwagi na ból. Rangers musi umieć radzić sobie w różnych warunkach: w górach, w dżungli, na bagnach, na pustyni, w śniegu - nikt mu jednak nie każe walczyć z chmurą mięsożernych robali.

Poprawił plecak, aby wygodniej mu się biegło. Choć powinien się bać, zamiast lęku czuł zapał i entuzjazm. Właśnie dlatego zgłosił się na ochotnika do rangersów: aby się sprawdzić



i móc brać udział w najtrudniejszych akcjach. Ilu chłopaków z jego rodzinnego miasteczka w Minnesocie miało możliwość robić coś takiego?

Wysunął pochodnię przed siebie i biegł dalej.

- Pieprzę was! - wrzasnął na szarańczę.

Kierując się w stronę opuszczonego obozowiska, parł przez wirujące owady. Spowijały go smugi dymu z pochodni, rotaczające wokół zapach proszku. Kiedy dotarł na miejsce, obszedł orzechowiec i ruszył do miejsca, w którym ktoś zapalił w lesie znak Ban-ali.

Niewiele widząc przez wirujące wokół niego owady, minął to miejsce i musiał wrócić. Tym razem trafił i opadł na kolana obok zgaszonego ogniska.

- Dzięki Bogu... - wymamrotał.

Wbił pochodnię w miękką ziemię i zaczął odstaniać żywicne paliwo. Pokrywała je gruba warstwa owadów. Kilka z nich ugryzło go w dłoń. Po chwili poczuł gorzki, ostry zapach. Profesor Kouwe miał rację - to właśnie on zwabił tu szarańczę.

Szybko odstaniał znak. Nie wiedział, ile ciemnej mazi trzeba zapalić, ale nie zamierzał ryzykować. Nie miał ochoty wracać tu po raz drugi. Pełznąąc na kolanach, rozgarniał ziemię i liście lepkiemi dłońmi. Wkrótce odsłonił połowę znaku.

Usiadł i zapalił zapalniczkę. Opuścił płomyk.

- No, szybciej... pal się...

Jego prośba została wysłuchana. Oleista maź złapała ogień i płomień błyskawicznie rozszły się po symbolu węża. Ogień zapalił się tak gwałtownie, że pierwsze płomienie opaliły palec kaprała.

Wypuścił z ręki zapalniczkę i cofnął dłoń.

- Cholera! - zaklął, gdy zapaliła się warstewka pasty, pokrywająca jego dłoń. - Niech to jasna...

Odturlał się na bok i wsunął dłoń pod miękką ziemię. Potrącił przy tym łokciem pochodnię, która upadła w rosnące przy ognisku krzaki. Natychmiast ją podniósł, ale proszek wysypał się i zgasł. Koniec pochodni żarzył się jeszcze, jednak przestała dymić.

Jorgensen skoczył na równe nogi.

Symbol Ban-ali palił się jasnym płomieniem, ściągając owady.

- Boże drogi! - wrzasnął kapral.

Jego krzyk zmroził wszystkim krew w żyłach.

- Jorgensen! - zawołała Carrera i odwróciła się, jakby chciała pobiec do swojego kolegi.

Kelly stanęła obok niej.

- Nie możemy wracać - oświadczył Zane, zdecydowany iść dalej.

Rozległ się drugi, jeszcze straszliwszy krzyk, przzerwany i gwałtownie zduszony.

Chmara szarańczy zaczęła odlatywać, kierując się ku miejscu, w którym jeszcze niedawno obozowali.

— Odlatują!

— Kapralowi musiało się udać zapalić ten symbol - mruknął stojący obok Kelly profesor.

Agonalne wrzaski nie milkły ani na chwilę.

- Musimy mu pomóc - stwierdził Manny.

Carrera zapaliła latarkę i skierowała strumień światła w kierunku obozu. Pięćdziesiąt metrów od nich czarna chmara była tak gęsta, że nie było widać drzew.

— Nie wolno nam tam iść - powiedziała cicho i uniosła wyżej palącą się nierówno pochodnię. - Nie wiadomo, ile czasu kupił nam Jorgensen.

— Moglibyśmy przynajmniej spróbować - nalegał Manny.  
- Może jeszcze żyje.

W tym momencie krzyk umilkł.

Carrera popatrzyła na Manny'ego i pokręciła głową.

- Patrzcie! - zawołała nagle Anna.

Po ich lewej stronie z chmary owadów wyszła jakaś ludzka postać.

Carrera poświeciła na nią.

- Jorgensen!

Kelly jęknęła i zakryła dłonią usta.

Gdyby nie wiedzieli, kto to jest, nie rozpoznaliby całkowicie pokrytej pełzającymi owadami postaci. Jorgensen wyciągał

ręce do przodu i machał nimi jak ślepiec. W końcu ugięły się pod nim nogi, potknął się o jakiś krzak i upadł na kolana. Z jego ust nie wydobył się ani jeden dźwięk, wyciągał jedynie ręce w niemej prośbie o pomoc.

Manny zrobił krok w jego kierunku, ale Carrera go powstrzymała.

Chmara szarańczy skłębiła się nad klęczącym, połknęła go.

- Za późno... - westchnęła Carrera. - Nasz czas też się kończy. - Jakby dla potwierdzenia tych słów, jej pochodnia wypłuła z siebie ostatnie iskry i zgasła. - Musimy jak najszybciej się stąd oddalić.

- Ale... - zaczął Manny.

Carrera przerwała mu szorstko:

- Nie możemy pozwolić, aby poświęcenie Jorgensena poszło na marne. - Wskazała na las. - Naprzód!

Kiedy ruszyli, Kelly obejrzała się za siebie. Bezkształtna czarna chmara owadów została z tyłu. W jej środku tkwił mężczyzna, który poświęcił życie, aby pozostali mogli się uratować. Oczy Kelly wypełniły się łzami. Była cała odrętwiała ze zmęczenia i rozpacz, miała serce ciężkie jak kamień.

Choć przed chwilą stracili kaprała, Kelly miała przed oczami tylko twarz córki. Jessie jej potrzebowała. W wyobraźni widziała ją w łóżku, płonąca od gorączki. Wróć do ciebie, skarbie, obiecała w milczeniu.

W głębi serca dręczyła ją jednak wątpliwość, czy zdoła dotrzymać tej obietnicy. Z każdym kolejnym krokiem w głąb dżungli ginęli ludzie. Graves... DeMartini... Conger... Jones... Jorgensen...

Potrząsnęła głową. Nie zamierzała się poddawać. Dopóki żyje i stawia jedną nogę przed drugą, może wrócić do domu.

Przez godzinę maszerowali dżunglą, podążając tą samą drogą, którą poprzedniego dnia szła druga część wyprawy. Kiedy ich pochodnie zaczęły po kolei gasnąć, rozdano latarki. Jak na razie szarańcza ich nie ścigała. Może byli już bezpieczni, może ślepe owady przestały się już nimi interesować - jednak nikt nie miał odwagi tego głośno powiedzieć.

Do Carrery podszedł Manny. - Co będzie, jeżeli nie znajdziemy drugiej grupy? -

zapytał. - Jorgensen miał radio, nasz jedyny środek do komunikacji ze światem zewnętrznym.

Kelly dopiero teraz sobie to uświadomiła. Bez radia byli odcięci od świata.

- Znajdziemy ją - odparła z determinacją Carrera.

Nikt nie zaprzeczył. Wszyscy chcieli wierzyć, że im się uda.

Szli przez mroczną dżunglę, koncentrując się wyłącznie na marszu. W miarę upływu czasu napięcie zamieniało się w rozmazane pasmo udręki, uplecione z krańcowego zmęczenia i obezwładniającego strachu. Nieustannie towarzyszyły im pohukiwania i inne dobiegające z głębi dżungli odgłosy. Wytężali słuch, w każdej chwili spodziewając się usłyszeć charakterystyczne bzyczenie szarańczy.

Skrzek, jaki dobiegł nagle z osobistego radia Carrera, zaskoczył wszystkich. Ktoś próbował się z nimi skontaktować.

- Mówi... jeśli mnie sły... zasięg...

Skupili się przy Carrerze, która zdjęła mikrofon z hełmu i przysunęła go sobie do ust.

— Tu Carrera. Słyszysz mnie? Odbiór.

Przez długą chwilę nikt nie odpowiadał.

— Słyszę cię. Mówi Warczak. Jak wygląda sytuacja?

Carrera szybko, choć spokojnym głosem zrelacjonowała ostatnie wydarzenia. Kiedy mówiła, jej dłoń, którą trzymała mikrofon przy ustach, drżała.

— Idziemy waszym śladem. Powinniśmy dotrzeć do was za dwie godziny - dodała na koniec.

— Przyjąłem - odparł Warczak. - Idziemy wam z doktorem Randem naprzeciw. Bez odbioru.

Carrera zamknęła oczy i westchnęła głośno.

- Wszystko będzie w porządku... - szepnęła w przestrzeń.

Odetchnęli z ulgą. Kelly popatrzyła na ciemną dżunglę.

Wiele brakowało do tego, aby można było powiedzieć: „wszystko w porządku”.

# AKT CZWARTY

## Krwawe Jaguary



**Skrzyp polny**

**rodzina:** skrzypowate (*Equisetaceae*)

**rodzaj:** *Equisetum*

**gatunek:** *Arvense*

**powszechnie używana nazwa:** *Skrzyp polny*

**nazwy etniczne:** *At Quyroughi, Atkuyrugu, Chieh Hsu*

*Ts'Ao, Cola de Caballo, Equiseto Menor, Kilkah Asb,*

*Prele, Sugina, Thanab al Khail, Vara de Oro, Wen Ching*

**właściwości/działanie:** *ściągające, przeciwzapalne,  
moczopędne, przeciwkrwotoczne*

## Przeprawa przez jezioro

15 SIERPANIA, GODZ. 8.11  
INSTYTUT INSTAR LANGLEY,  
WIRGINIA

Lauren przeciągnęła kartę magnetyczną przez zamek w drzwiach swojego gabinetu i weszła do środka. Była tu po raz pierwszy od kilku dni. Między wizytami na oddziale, na którym leżała Jessie, a spotkaniami z członkami MEDEA, nie miała ani minuty dla siebie. Teraz wreszcie znalazła wolną chwilę, ale tylko dlatego, że z Jessie było już znacznie lepiej. Miała normalną temperaturę, a jej samopoczucie poprawiało się z godziny na godzinę.

Ostrożnie optymistyczna, Lauren zaczynała mieć nadzieję, że jej początkowa diagnoza była błędna. Cieszyła się, że nie ujawniła swoich obaw Marshallowi i Kelly. Mogłaby ich tylko niepotrzebnie przestraszyć. Za bardzo zaufała statystycznemu modelowi doktora Alvisio, choć trudno było mieć do niego o to pretensję. Ostrzegł ją przecież, że jego wyniki nie pozwalają na wyciąganie zbyt daleko idących wniosków. Konieczne było zbieranie i korelowanie dalszych danych.

To samo dotyczyło innych poziomów śledztwa. Im bardziej choroba rozprzestrzeniała się na Florydzie i w innych południowych stanach, tym więcej pojawiało się teorii na temat jej pochodzenia. Mówiono też o protokołach terapeutycznych, parametrach diagnostycznych, wytycznych dotyczących kwarantanny. Instar stał się najważniejszym w kraju ośrodkiem zajmującym się nieznaną chorobą. Zadaniem Lauren było

przebijanie się przez labirynt naukowych spekulacji i najróżniejszych modeli epidemiologicznych i wyłuskiwanie spośród nich najbardziej prawdopodobnych wariantów. Ponieważ dane spływały ze wszystkich zakątków kraju, była to ogromna praca.

Lauren ciężko opadła na fotel i włączyła komputer. MASZ 314 WIADOMOŚCI. I to tylko w jej prywatnej skrzynce! Przewijała listę adresów i szybko czytała tematy, aby sprawdzić, czy jest w nich coś naprawdę ważnego.

#### Skrzynka odbiorcza

Od	Temat
jpcdvm@davis.uc.org	re: biopodobieństwa u małp
trent-magnus@scriabs.com	prośba o standaryzację próbeki
systematica@cdc.gov	sprawozd. prog.
xreynolds@largebio.com	large scale biological labs
synergymeds@phdrugs.com	wątpliwość farmakologiczna
gerard@dadecounty.fl.gov	proponowany program kwarantanny
hrt@washingtonpost.org	prośba o wywiad

Jeden z adresów zwrócił jej uwagę. Było w nim nazwisko, które wydało jej się znajome, choć nie umiała powiedzieć dlaczego. Najechała kursorem na „large scale biological labs”. Zmarszczyła brwi - wiedziała już, skąd zna nazwisko autora e-maila. Kiedy wczoraj w nocy Jessie zaczęła gorączkować, dostała od tego człowieka wiadomość na pager. Niestety choroba małej sprawiła, że zupełnie wyleciało jej to z głowy.

Prawdopodobnie sprawa nie była szczególnie ważna, otworzyła jednak e-mail. Dr Xavier Reynolds. Natychmiast przypomniała sobie to nazwisko. Przed laty był jej studentem, a potem zaczął pracować w jakimś laboratorium w Kalifornii - być może tym, z którego pisał. Należał do jej najlepszych studentów. Próbowała namówić go, aby podjął pracę w ME-DEA, ale odmówił. Jego narzeczona otrzymała stanowisko wykładowcy w Berkeley i nie chciał się z nią rozstawać.

Zaczęła czytać notatkę. Z każdym zdaniem coraz bardziej pochmurniała.

**Od:** [xreynolds@largebio.com](mailto:xreynolds@largebio.com) **Odebrano:**

14 sierpnia 13:48:28 Do: lauren-obrien@instar.org **Temat:** Large Scale Biological Labs

Szanowna doktor O'Brien

Proszę wybaczyć, że zakłócam spokój. Próbowałem wczoraj w nocy porozumieć się z Panią przez pager, ale podejrzewam, że jest Pani bardzo zajęta.

Podobnie jak wiele laboratoriów w całym kraju, także i nasze zajmuje się badaniem tej złośliwej choroby. Wydaje mi się, że udało mi się spojrzeć na nią pod nowym kątem - i być może znalazłem rozwiązanie tej zagadki. Zadałem sobie pytanie: co powoduje chorobę? Zanim jednak przedstawię wyniki moich dociekań, podaję kilka informacji.

Jako kierownik zespołu proteomicznego w tutejszym Large Scale Biological Labs, prowadziłem badania nad ludzkim genomem białka, co jest projektem podobnym do projektu poznania genomu ludzkiego dla DNA. Moim zadaniem było prześledzenie choroby wstecz. Takie czynniki chorobotwórcze jak bakterie, wirusy, grzyby czy pasożyty same nie powodują chorób - wyzwalają je wytwarzane przez nie białka. Tak więc zacząłem szukać jakiegoś nowego białka, które występowałoby u wszystkich chorych.

I znalazłem je w końcu! A potem uświadomiłem sobie, że jego harmonijkowa budowa bardzo przypomina budowę białka, które powoduje gąbczaste zwyrodnienie mózgu u krów, co z kolei kazało mi postawić sobie kolejne pytanie: czyżbyśmy szukając przyczyny tej choroby wśród wirusów, pukali nie do tych drzwi co trzeba?



Czy ktoś wziął pod uwagę możliwość, że przyczyną tej choroby może być prion?

Poniżej przedstawiam hipotetyczny model tego białka.

**Tytuł:** nieznan prion (?)

**Składnik:** białko sfałdowane z podwójnymi końcowymi helisami alfa **Model:**



**Metoda bad.:** dyfrakcja rentgenowska

**Numer EC:** 3.4.1.18

**Źródło:** Pacjent #24-b12, plemię Arawak, dolna Amazonka

**Rozdzielczość:** 2,00      wartość R: 0,145

**Grupa przestrzenna:** P21 20 21

**Komórka elementarna:**

**wymiary:** a 60,34      b 52,02      c 44,68

**kąty:**    alfa 90,00      beta 90,00      gamma 90,00

Łańcuchy **polimerowe:** 156L      **pozostałości:** 144

**Atomy:** 1286

Jak Pani widzi, to dość skomplikowana łamigłówka. Ponieważ bardzo sobie cenię Pani zdanie, zanim zacznę rozwijać tę teorię, chętnie poznałbym Pani punkt widzenia.

Z poważaniem dr  
Xavier Reynolds

Prion... Lauren popatrzyła na szkic cząsteczki. Czy to właśnie ona jest przyczyną?

Zaczęła się zastanawiać, czy to możliwe. Słowo „prion” było skrótem nazwy *proteinaceous infectious particle*, „białkowa cząsteczka zakaźna”. Chorobotwórcze oddziaływanie prionów odkryto dopiero niedawno - w 1997 roku amerykański biochemik otrzymał za to odkrycie Nagrodę Nobla. Białka prionowe można znaleźć w organizmach wszystkich istot

żywych - od człowieka po jednokomórkowe drożdże. Zazwyczaj są nieszkodliwe, ale ich cząsteczkowa struktura jest podstępnie dwoista, są czymś w rodzaju Jekylla i Hyde'a. Gdy przyjmują pierwszą postać, są dla komórek bezpieczne, a nawet przyjazne, mogą się jednak sfałdować i skrócić w drugą stronę i wtedy zamieniają się w potwora o niszczycielskich właściwościach. Kiedy ten „przekręcony” prion zostanie wprowadzony do organizmu gospodarza, zaczyna zmieniać białka jego tkanek w taki sposób, że przybierają taką samą postać jak on. Zmienione białka „przekręcają” swoich sąsiadów i nowy rodzaj komórki błyskawicznie rozprzestrzenia się w całym organizmie. Co gorsza - zakażony gospodarz może przekazać ten proces następnemu osobnikowi.

Stwierdzono, że choroby powodowane przez priony występują u zwierząt i u ludzi, należy do nich zarówno świerzb u owiec, jak i choroba Creutzfelda-Jakoba u ludzi. Do tej pory najbardziej znana była choroba przenoszona na osobników innego gatunku. Doktor Reynolds wspominał o niej w swoim liście: gąbczaste zwyrodnienie mózgu u bydła, czyli choroba szalonych krów.

Choć wszystkie znane ludzkie choroby odprionowe mają charakter zwyrodnieniowy i żadna nie jest łatwo przekazywana, Reynolds mógł mieć rację. Lauren czytała wiele prac dotyczących prionów i ich roli przy powstawaniu mutacji genetycznych oraz wywoływaniu chorób. Czyżby teraz też mieli z tym do czynienia? Jeśli zaś chodzi o przenoszenie drogą powietrzną, to przecież priony składają się z cząsteczek i są mniejsze od wirusów, a skoro niektóre z nich przenoszą się drogą powietrzną, to być może niektóre priony także?

Wciąż wpatrując się w model białka, sięgnęła po słuchawkę. Kiedy wybierała numer, miała wrażenie, że po jej kręgosłupie przesuwa się lodowaty palec. Modliła się, aby jej były student się mylił.

Telefon po drugiej stronie łącza zaczął dzwonić i po chwili podniesiono słuchawkę.

Doktor Reynolds, laboratorium proteomiczne. -  
Xavier? Tak?

— Mówi Lauren O'Brien.

— Doktor O'Brien! - zawołał i zaczął jej dziękować, że dzwoni. Był wyraźnie podekscytowany.

— Xavier, powiedz mi coś więcej o tym białku - przerwała mu. Potrzebowała jak najwięcej informacji, i to im szybciej, tym lepiej. Jeżeli istniało choćby najmniejsze prawdopodobieństwo, że Reynolds ma rację, to...

Gdy znów spojrzała na przypominającą kraba cząsteczkę na monitorze, wzdrygnęła się mimowolnie. O chorobach odpornych wiadomo jeszcze jedno: nie ma na nie lekarstwa.

GODZ 9.18

DŻUNGLA AMAZOŃSKA

Nathan patrzył Olinowi Pasternakowi przez ramię. Rosjanin coraz bardziej się denerwował. Jego czoło pokrywały grube krople potu - wywołane zarówno wysoką temperaturą, jak i dezorientacją.

— W dalszym ciągu nie ma połączenia... niech to diabli! - syknął i zagryzł dolną wargę.

— Próbuje dalej - polecił mu Frank.

Nathan spojrzął na Kelly, która stała obok brata. Miała zmęczone, pozbawione blasku oczy. Słyszał różne wersje o nocnym ataku chmary gigantycznej szarańczy, zwabionej do obozu przez płonący znak Ban-ali. Była to niesamowita i niewyobrażalna historia, ale śmierć Jorgensena czyniła ją bardzo realną.

Gdy obie grupy połączyły się w obozie nad bagnem, rangersi objęli wartę. Mieli przez całą noc wypatrywać podejrzanych ognisk i nasłuchiwać, czy nie pojawi się brzęczenie szarańczy. Na szczęście nic się nie wydarzyło. Godziny, które pozostały do świtu, upłynęły bez żadnych niepokojących wydarzeń.

Kiedy satelita komunikacyjny znalazł się w ich zasięgu, Olin znowu spróbował nawiązać komunikację ze Stanami i przekazać najnowsze wiadomości do bazy w Wauwai - przede wszystkim wiadomość o zmianie planów. Ponieważ ich ścigano, postanowili przepłynąć bagienne jezioro - być może

da im to kilka dni przewagi nad prześladowcami, którzy będą musieli obejść bagno brzegiem. Gdy znajdą się po drugiej stronie, będą trzymać się razem aż do przybycia helikoptera ewakuacyjnego. Waxman zamierzał pozbyć się wszystkich cywilów i wymienić ich na żołnierzy z bazy w misji. Po uzupełnieniu oddziału ruszyliby dalej śladem Clarka. Był tylko jeden mały problem.

- Muszę sprawdzić laptopa - stwierdził Olin. - Coś jest pochrzanione. Mógł się zepsuć procesor albo może coś się obłuzowało. Nie mam pojęcia. Muszę rozłożyć go na kawałki i wszystko posprawdzać.

Waxman rozmawiał ze swoim sierżantem sztabowym, ale usłyszał słowa Olina. Podeszedł do niego.

- Nie mamy na to czasu. Trzecia tratwa jest już gotowa. Przeprawa zajmie nam jakieś cztery godziny, więc musimy ruszać.

Nathan popatrzył na skraj bagna, gdzie czterech rangersów obok dwóch poprzednich ustawiało nowo zbudowaną tratwę. Miała na niej popłynąć część grupy, która do nich dołączyła.

Olin siedział nad komputerem i zestawem satelitarnym z małym śrubokrętem w dłoni.

- Nie mogę nikogo złapać! Nie wiedzą, gdzie jesteśmy - powiedział, ocierając grzbietem dłoni pot z czoła. Był blady jak papier.

Zane wstał i nerwowo potarł plaster na policzku, zakrywający ugryzienie szarańczy.

- Moglibyśmy posłać kogoś z powrotem i odzyskać wojskowe radio Jorgensena - podsunął.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

„Stracimy kolejny dzień na czekanie!”, „Mamy ryzykować życie kolejnego człowieka?”, „Musimy się z kimś skontaktować!”, „Kto wie, czy jego radio w ogóle będzie działać? Szarańcza mogła przegryźć przewody i...”.

Waxman zakończył tę kłótnię.

- Nie ma powodu do paniki - oświadczył. - Nawet jeśli nie uda nam się porozumieć ze światem zewnętrznym, baza zna naszą wczorajszą lokalizację. Jeżeli zgodnie z umową brazylijski helikopter ewakuacyjny przyleci jutro, usłyszymy

go nawet z drugiej strony bagna. Wystrzelimy wtedy flary i bez trudu nas znajdą.

Nathan całkowicie się z nim zgadzał. Nie uczestniczył w sporze, chciał jak najszybciej ruszać dalej.

Kapitan wycelował palec w Olina.

- Pakuj sprzęt. Zajmiesz się nim, kiedy znajdziemy się po drugiej stronie.

Rosjanin z rezygnacją kiwnął głową i schował śrubokręt.

Pozostali rozeszli się po swoje bagaże. Był najwyższy czas szykować się do przeprawy.

- Przynajmniej nie musimy iść - mruknął Manny do Nathana i poszedł obudzić Tor-tora, który spał pod palmą, obojętny na cały świat.

Nathan przyglądał włosy i poszukał Kouwego. Profesor stał na skraju bagna z fajką w ustach. Miał tak samo zmęczone oczy jak Kelly. Kiedy Nathan i kapral Warczak spotkali ich w nocy, był niezwykle milczący i poważny.

Nathan stanął obok przyjaciela i w milczeniu przyglądał się tafli wody nad bagnem.

— Wysłali szarańczę... Ban-ali... - odezwał się po chwili Kouwe. - Zabili całą wioskę Yanomami, wykorzystując te zabopiranie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Mam wrażenie, że Krwawe Jaguary naprawdę potrafią panować nad dżunglą. A jeśli ten mit jest prawdą, to co jeszcze się nią okaże? - mruknął, kręcąc głową.

— Co cię dręczy?

— Jestem badaczem kultury Indian od dwudziestu lat. Wychowałem się w tej dżungli. Powinienem być się domyślić...

Nathan położył mu dłoń na ramieniu.

— Uratowałeś wszystkich tym swoim proszkiem *tok-tok*.

— Nie wszystkich. - Kouwe pyknął z fajki. - Powinienem być przed opuszczeniem obozu ponownie zapalić znak Ban-ali. Gdybym to zrobił, kapral by żył.

— Jesteś wobec siebie zbyt surowy - powiedział Nathan. - Nic nie mogłoby przygotować kogokolwiek z nas na taki biologiczny atak. Nigdzie nie ma wzmianek o czymś podobnym.

Kouwe kiwnął głową, ale nie sprawiał wrażenia przekonanego.

- Przygotować się do wsiadania! Po pięć osób na tratwę! - zawołał kapitan Waxman i zaczął przydzielać do poszczególnych jednostek żołnierzy i cywilów.

Nathan znalazł się na jednej tratwie z Kouwem i Mannym - i oczywiście Tor-torem. Razem z nimi mieli płynąć kapral Okamoto i Carrera. Aby wsiąść na niezgrabną platformę z drewna i bambusa, musieli przejść kilka metrów po kolana w wodzie. Wspinając się na „pokład”, Nathan był pełen uznania dla stabilności konstrukcji. Kiedy już znalazł się na podskakującej tratwie, pomógł na nią wsiąść Manny'emu i jego jaguarowi.

Tor-tor nie był zadowolony z tego, że musiał się zmoczyć. Otrząsnął futro z wody, dokładnie oblewając nią swoich współpasażerów.

Na sąsiednią jednostkę weszli Kelly i Frank, kapitan Waxman oraz kaprale Warczak i Yamir. Reszta wsiadła na ostatnią tratwę. Olin ostrożnie niósł nad głową plecak z komunikacyjnym sprzętem satelitarnym. Anna Fong i Richard Zane pomogli mu wspiąć się na tratwę. Tuż za nimi stali dwaj rangersi - kapral Tom Graves i sierżant Kostos.

Kiedy wszyscy zajęli swoje miejsca, odepchnięto tratwy od brzegu długimi tykami z bambusa. Okazało się, że dno gwałtownie opada i po odpłynięciu jakichś trzydziestu metrów od brzegu drągi już nie sięgały dna, toteż zabrano się do wiosłowania. Każda tratwa była zaopatrzona w cztery sztuki, więc zmieniano się, aby jedna osoba mogła odpoczywać. Zamierzali przepłynąć na drugą stronę bez zatrzymywania się.

Maleńka flotylla przesuwała się powoli po bagiennym jeziorze. Po wypłynięciu na wodę zaczęło do nich dochodzić stłumione echo dalekiego łoskotu wodospadów. Nathan obserwował okolicę. Wzgórza na przeciwległym brzegu spowijała mgła, jednak widać było fragmenty zielonej dżungli, czerwonych wzgórz i wodnej chmury wytworzonej przez wodospady. Ich celem był wąski wąwóz między dwoma potężnymi stoliwami - zamglone wrota prowadzące w głąb gór. Właśnie w tę stronę wskazywała strzałka przy ostatniej wiadomości od Geralda Clarka.

Mieszkańcy bagna natychmiast zauważyli ich obecność. Nad wodą przemknęła śnieżnobiała czapla, niemal dotykając brzu-

chem jej powierzchni. Z maleńkich grząskich wysepek skakały żaby, wpadając z głośnym pluskiem do bagiennego jeziora, a ptaki *hoatzin*, wyglądające jak skrzyżowanie indyka i pterodaktyla, skrzeczały na ludzi, krążąc wokół swoich gniazd, zbudowanych na wyrastających z wysepek palmach. Jedynymi mieszkańcami zadowolonymi z ich obecności były chmary moskitów, z radością witające poranną przekąską.

- Cholerne robale - burknął Manny i po raz kolejny uderzył się dłonią w kark. - Nie lubię, kiedy owady traktują mnie jak posiłek.

Jakby tego było jeszcze mało, Okamoto znowu zaczął pogwizdywać - niemelodyjnie i bez najmniejszego wycucia rytmu.

Nathan westchnął. Zapowiadała się długa i męcząca podróż.

Po godzinie bagienne wysepki zniknęły. Pośrodku jeziora woda była na tyle głęboka, że pochłoneła fragmenty dżungli. W oddali od czasu do czasu pojawiały się małe pagórki, nie były jednak niczym porośnięte.

Jaskrawe słońce prażyło bezlitośnie.

- Jak w łaźni parowej - jęknęła Carrera.

Powietrze było gęste od wilgoci, niemal zbyt gęste, aby można było nim oddychać. Wkrótce wiosłarze opadli z sił i ich tempo spadło. Nawet Tor-tor leżał z otwartym pyskiem i ciężko dyszał.

Jedynym plusem wypłynięcia na wodę było to, że nie mieli już wrażenia okrążania przez dżunglę. Wokół nich była otwarta przestrzeń, co wydawało się stwarzać większe możliwości ucieczki w razie jakiegoś zagrożenia. Nathan co chwila odwracał się za siebie, niemal oczekując widoku stojącego na brzegu Indianina Ban-ali, wściekle wymachującego pięścią. Nie pojawiał się jednak żaden z nich. Tropiciele z niewidocznego jak duch plemienia pozostawali w ukryciu. Może właśnie oddalali się od nich, zdobywając kilka dni przewagi?

- Zmienię cię - powiedział Kouwe, klepnął Nathana w ramię i wysypał popiół z fajki do wody.

- Nie trzeba.

Ale profesor zabrał mu wiosło.

- Jeszcze nie jestem inwalidą - oświadczył.

Nathan nie spierał się z nim. Przeszedł na rufę i popatrzył na opuszczony obóz, który coraz bardziej malał. Kiedy sięgał po manierkę, zauważył z prawej strony jakiś ruch. Jeden z pagórków - czarny i poszarpany jak skała - zapadał się pod wodę, ale tak powoli, że na powierzchni nie powstała ani jedna zmarszczka.

Co to ma znaczyć?

Z lewej strony pod wodę zapadał się kolejny pagórek. Nathan wstał i właśnie zamierzał podzielić się z innymi swoim spostrzeżeniem, kiedy jedna z wysp otworzyła wielkie szkliste oko i spojrzała na niego. Natychmiast zrozumiał, z czym mają do czynienia.

- Jasna cholera! - zaklął.

Wiedząc już, czemu się przygląda, dostrzegł teraz pancerną łuskę i poszarpany kontur krokodylego łba. Kajmany! I to gigantyczne. Rozstaw oczu na łbach obu gadów musiał przekraczać metr dwadzieścia. Jeżeli taki ogromny był sam łeb...

- Co się stało? - spytała Carrera.

Nathan wskazał wślizgującego się pod wodę kajmana.

- Co to jest? - zdziwiła się Carrera, tak samo zdezorientowana jak on przed chwilą.

- Gigantyczne kajmany - odparł.

Załoga przestała wiosłować.

Nathan podniósł się, aby wszyscy go widzieli, i zaczął machać rękami.

— Rozproszyc się! - krzyknął. - Zaraz możemy zostać zaatakowani!

— Przez kogo? - odkrzyknął kapitan Waxman ze swojej znajdującej się w odległości pięćdziesięciu metrów od nich tratwy. - Co pan zobaczył?

W tym momencie coś ogromnego wpłynęło między tratwę Nathana i sąsiednią, trąciło obie i lekko nimi obróciło. Kiedy potwór przepływał pod powierzchnią mętnej wody, widać było jego wijący się ogon.

Nathan znał ten zwyczaj wielkich gadów. Nazywał się on „stukaniem”. Czarne kajmany nie były padlinożercami. Lubiły same zabijać to, co zamierzały zjeść. Właśnie dlatego dryfowanie bez ruchu często ratowało człowieka przed ata-



kiem. Kajmany zawsze najpierw „stukają” - sprawdzając, czy coś, co uważały za potencjalny posiłek, nie jest przypadkiem martwe.

Ich tratwa właśnie została „stuknięta”.

Nagle trzecia jednostka zabujała się na wodzie i odwróciła. To drugi kajman sprawdzał dziwacznych intruzów.

Nathan uznał, że należy zmienić plan.

— Nie poruszać się! Nie wiosłować! One atakują tylko to, co się rusza! - wrzasnął z całych sił.

— Robić, jak każe! - krzyknął Waxman. - Broń do góry! Granaty w gotowości!

Manny podpełzł do Nathana.

- Muszą mieć przynajmniej trzydzieści metrów długości... trzy razy więcej niż największe znane egzemplarze...

Carrera uniosła swoje M-16 i szybko zakładała granatnik.

- Nic dziwnego, że Gerald Clark wołał obejść to bagno.

Okamoto skończył szykować broń, ucałował wiszący na szyi krucyfiks i spojrzał na profesora Kouwego.

- Nie ma pan w swoim plecaku jakiegoś magicznego proszku na te potwory?

Profesor pokręcił głową. Miał rozszerzone, nieruchome oczy.

— Mam nadzieję, że potraficie celnie strzelać.

Okamoto popatrzył pytająco na Nathana.

— Przy ich pancerzu tylko strzał w oko może je uśmiercić.

— Nie, jeszcze w podniebienie - dodał Manny. - Ale żeby je w ten sposób załatwić, trzeba być naprawdę blisko.

— Od sterburty! - krzyknęła Carrera, klęcząca na jednym kolanie z gotową do strzału bronią.

Gładką wodę zmąciła długa, groźnie wyglądająca zmarszczka.

- Nie strzelaj, nie mając pewności - ostrzegł Nathan i ukląkł obok Carrery. - Możesz go sprowokować. Strzelaj tylko wtedy, jeżeli będziesz miała pewność, że zabijesz.

Kapitan Waxman odwrócił się w ich stronę.

- Słuchajcie doktora Randa! - przykazał. - Strzelajcie, jeśli jest szansa na sukces.

Lufy karabinków rangersów przeszukiwały okolice tratw. Nathan również chwycił swoją strzelbę. Czekali, smażąc się

w słońcu, nie mogąc otrzeć potu z czoła ani zwilżyć spieczonych ust. Kajmany krążyły wokół nich tak powoli i spokojnie, że tylko lekko marszczyły wodę. Od czasu do czasu trącały którąś z tratw, aby ją sprawdzić.

— Jak długo mogą wytrzymać pod powierzchnią? - spytała Carrera.

— Kilka godzin - odparł Nathan.

— Dlaczego nie atakują? - zdziwił się Okamoto.

— Nie wiedzą, czy jesteśmy jadalni - odparł Manny.

— Miejmy nadzieję, że się tego nie dowiedzą - mruknął Azjata. Miał minę, jakby zrobiło mu się niedobrze.

Czekanie ciągnęło się w nieskończoność. Powietrze zdawało się coraz bardziej zagęszczać.

— A gdybyśmy wystrzelili granat dla odwrócenia ich uwagi? - podsunęła Carrera.

— Wątpię, czy to by coś dało. Nie wiadomo, czyby się wtedy nie wściekły i nie zaatakowały pierwszego lepszego obiektu, który się porusza... na przykład nas.

— Przymocujmy materiały wybuchowe do jaguara i zepchnijmy go za burtę - zaproponował siedzący na trzeciej tratwie Zane. - Kiedy któryś z krokodyli go zaatakuje, zdetonujemy ładunek.

Nathan aż się wzdygnął, a Manny zbladł jak ściana. Nikt jednak nie podchwycił tej propozycji.

- Nawet gdyby to się udało, zabilibyśmy tylko jednego - oświadczył Nathan. - A wtedy drugi, który prawdopodobnie jest jego partnerem, dostałby szalu i zaatakował tratwy. Najlepsze rozwiązanie to czekać, aż przestaną się nami interesować i odpłyną. Potem będziemy mogli ruszyć dalej.

- Na wypadek gdyby się nami nie znudziły, przygotuj się do zabawienia ich - powiedział Waxman do kaprala Yami ra. - Uzbrój dwie bomby napalmowe.

Pakistańczyk kiwnął głową i sięgnął do swojego plecaka.

Znowu zaczęło się czekanie. Czas ciągnął się niemiłosiernie.

W pewnym momencie Nathan poczuł pod nogą lekkie drżenie - jeden z kajmanów musiał przeciągnąć po spodzie trawy grzbietem ogona.

- Trzymać się! - zawołał cicho.

Nagle ich tratwa uniosła się, a jej rufa wyprysnęła wysoko w powietrze. Wczepili się w bambusowy pokład jak pająki. Niezamocowane bagaże sturlały się do jeziora. Po dwóch sekundach tratwa opadła na wodę. Jej pasażerowie zadygotali jak w febrze.

— Wszyscy cali? - zapytał Nathan.

Odpowiedziały mu potakujące mruknięcia.

— Straciłem karabin! - syknął z wściekłością Okamoto.

— Lepiej stracić broń niż życie - stwierdził filozoficznie Kouwe.

— Robią się coraz bardziej zuchwałe! - krzyknął ostrzegawczo Nathan.

Okamoto wyciągnął rękę po jeden z pływających po wodzie pakunków.

— To mój sprzęt...

— Zostaw go! - wrzasnął Nathan.

Okamoto zamarł. Trzymał już w ręku pasek plecaka i wyciągnął go do połowy z wody.

— Cholera...

— Puść go i odsuń się od krawędzi.

Kapral puścił plecak i cofnął ramię, ale zrobił to za wolno.

Z wody wystrzelił kajman z szeroko rozwartą paszczą uzbrojoną w zęby długości przedramienia dorosłego mężczyzny. Uniósł się ponad trzy metry nad powierzchnię wody niczym opancerzona wieża. Okamoto został wyrzucony wysoko w powietrze i po sekundzie szczęki ogromnego gada się zamknęły. Wrzask Azjaty ucichł na chwilę, zagłuszony trzaskiem miażdżonych kości, po czym rozległ się ponownie - jeszcze bardziej piskliwy i przenikliwy. Ciało rangersa zabujało się jak szmaciana lalka, nogi zamachały na boki i gad zaczął zsuwać się do wody.

- Ognia! - wrzasnął Waxman.

Nathan był zbyt zaskoczony, aby się poruszyć. Carrera zaczęła strzelać ze swojego M-16. Pociski załomotały o brzuch prehistorycznego stwora, ale żółtawe płyty jego pancerza były kuloodporne jak kevlar. Nawet z tak niewielkiej odległości pociski z M-16 nie czyniły gadowi żadnej szkody. Jego słabe punkty, czyli oczy, znajdowały się po drugiej stronie tułowia.

Nathan uniósł strzelbę, wyciągnął ją nad głowę Manny'ego i wypalił. Ładunek śrucin przeleciał w powietrzu w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą był kajman.

Wielki gad zniknął. Razem z nim zniknął też kapral Okamoto.

Wszyscy zamarli z przerażenia.

Tratwa Nathana podskakiwała na wodzie, a on wbijał wzrok w miejsce, w którym zniknął rangers Okamoto wraz ze swoim przeklętym pogwizdywaniem. Po chwili na powierzchnię wypłynął czerwony bąbel.

Krew w wodzie... Inne kajmany wiedziały teraz, gdzie jest jedzenie.

Kelly kucała z bratem pośrodku tratwy. Kapitan Waxman i kapral Warczak klęczeli z bronią gotową do strzału. Yamir kończył uzbrajać dwie czarne bomby - każda była wielkości talerza obiadowego i miała zamontowany na górze odbiornik z timerem. Saper odchylił się do tyłu.

— Zrobione - zameldował po chwili.

— Weź broń i bądź gotów - odparł kapitan.

Yamir złapał M-16 i zaczął obserwować wodę od swojej strony.

W tym momencie za nimi rozległ się głośny trzask. Kiedy Kelly się odwróciła, ujrzała, jak trzecia tratwa ich małej flotylli wylatuje wysoko w powietrze - tak samo jak przed chwilą tratwa Nathana. Jednak płynący na niej ludzie nie mieli tyle szczęścia. Anna Fong nie wytrzymała impetu uderzenia i wylciała w powietrze jak wystrzelona z katapulty. Spadła na powierzchnię wody równocześnie z tratwą. Zane'owi i Olinowi udało się utrzymać, tak samo sierżantowi Kostosowi i kapralowi Gravesowi.

Antropolożka wyskoczyła na powierzchnię jak korek, plując i krztusząc się wodą. Znajdowała się kilka metrów od tratwy.

- Nie ruszaj się! - zawołał Nathan. - Złóż nogi razem, ręce przyciśnij do boków i dryfuj!

Próbowała wykonać jego polecenie, ale było oczywiste, że jeśli nie zacznie pracować rękami i nogami, nasiąknięty wodą plecak wciągnie ją pod powierzchnię. Groziło jej podwójne niebezpieczeństwo: utonięcie lub pożarcie przez kajmany.

Jakiś ruch kazał jej spojrzeć na tratwę. Sierżant Kostos wyciągał ku niej bambusową tykę, jedną z tych, którymi odpychano się od brzegu.

- Łap! - krzyknął.

Annie udało się dosięgnąć bambusa, jej palce przez chwilę drapały drewno, po czym dłoń zacisnęła się na drągu.

— Przyciągnę cię do tratwy - powiedział sierżant.

— Nie...

— Anno, jeśli nie będziesz robić żadnych gwałtownych ruchów, wszystko dobrze się skończy - uspokajał ją Nathan.

- Kostos, ciągnij ją powoli do siebie. Bardzo powoli... tak, żeby nie zrobić fali!

Kelly dygotała. Frank objął ją ramieniem.

Sierżant powolutku zaczął przyciągać Annę do tratwy.

- Dobrze... dobrze... - mruczał Nathan, jakby powtarzał mantrę.

Nagle tuż za Anną pojawił się opancerzony pysk - na razie widać było jedynie nos, oczy znajdowały się jeszcze pod wodą.

- Niech nikt nie strzela! - zawołał Nathan. - Nie denerwujcie go!

Żołnierze celowali w kajmana, ale nikt nie naciskał spustu.

Kostos przestał ciągnąć bambus. Wszyscy zastygli w bezruchu.

Anna jęknęła cicho.

Pysk kajmana przesuwał się centymetr po centymetrze, jego łeb unosił się powoli, potężne szczęki zaczęły się otwierać.

Sierżant musiał znowu pociągnąć Annę ku sobie, bo potwór był już tylko pół metra od niej.

- Ostrożnie! - krzyknął Nathan.

Było to jak pościg na zwolnionych obrotach. Pościg, który przegrywali.

Kajman znajdował się już tylko trzydzieści centymetrów od Anny Fong, jego szeroko rozwarta paszcza ziała za jej głową. Nie było możliwości wciągnięcia antropolożki na tratwę bez uniknięcia ataku.

Najwyraźniej kapral Graves doszedł do tego samego wniosku, bo podniósł się, przebiegł po tratwie i skoczył do wody jak olimpijczyk.

- Co ty wyprawiasz?! - wrzasnął na niego Kostos.  
Graves wylądował na łbie kajmana. Impet uderzenia ciała rangersa zamknął gadowi paszczę i wepchnął mu łeb pod wodę.  
- Wciągnąć ją na pokład! - zawołał Graves.  
Kostos błyskawicznie przyciągnął Annę do tratwy i Olin pomógł mu ją wciągnąć na górę.  
Chwilę potem kajman wystrzelił z wody, wciąż z przyczepionym do łba Gravesem. Rzucił się na boki, próbując zrzucić dziwnego jeźdźcę. Otworzył szeroko paszczę i ryknął z wściekłości.  
- Pieprzę cię! - wrzasnął Graves. - To za mojego brata! - Wspiął się wyżej, wyszarpnął coś z kieszeni kurtki i wrzucił do paszczy stwora.  
Granat.  
Potężne szczęki kłapnęły, usiłując złapać rangersa, ale był poza ich zasięgiem.  
— Wszyscy na dół! - zawołał Waxman. Graves odbił się od łba kajmana i skoczył.  
— Pozuj sobie, draniu! - krzyknął.  
Cichym bagnem wstrząsnęła eksplozja i łeb kajmana rozprysnął się, rozerwany odłamkami.  
Graves szybował w powietrzu, wrzeszcząc triumfalnie.  
Spod wody wystrzelił drugi kajman. Miał szeroko rozwarte szczęki i kierował się prosto na lecącego w powietrzu kaprala. Złapał go jak pies piłkę, po czym zwałił się do wody, unosząc ze sobą łup. Trwało to zaledwie kilka sekund.  
Cielsko zabitego kajmana wypląnęło na powierzchnię wody i obróciło się brzuchem do góry, ukazując szare i żółte łuski.  
Coś dźgnęło ogromne truchło od dołu. Kiedy towarzysz zabitego sprawdzał, co się dzieje, wokół trupa rozeszły się koliste fale.  
- Może odpłynie - mruknął Frank. - Może śmierć towarzysza go odstraszy.  
Kelly wiedziała jednak, że tak nie będzie. Te stwory musiały mieć po kilkaset lat. Były partnerami przez całe życie - jedynymi osobnikami, które dzieliły się tym ekosystemem.  
Zmarszczki na wodzie zniknęły.  
Wszyscy wpatrywali się w otaczającą ich wodę, wstrzymując

oddech albo ze świstem wciągając powietrze. Mijały minuty. Słońce prażyło coraz mocniej.

— Gdzie on zniknął? - szepnął Zane, pochylony nad szarą jak popiół antropolożką. Anna Fong, przemoczona i przerażona, dygotała na całym ciele.

— Może już odpłynął - powiedział z nadzieją w głosie Frank.

Trzy tratwy powoli dryfowały obok cielska zabitego kajmana. Najdalej od niego znajdowała się tratwa, na której siedział Nathan. Kiedy napotkał spojrzenie Kelly, kiwnął głową, aby dodać jej otuchy, ale nawet on sprawiał wrażenie przestraszonego. Jaguar przykucnął za swoim panem, cały zjeżony.

Frank ostrożnie przeniósł ciężar ciała na drugą nogę.

- Musiał uciec. Może...

Kelly poczuła uderzenie ułamek sekundy wcześniej - i woda pod ich tratwą gwałtownie się zakotłowała.

- Trzymajcie się! - zawołała.

W tym momencie ich tratwa została gwałtownie wyrzucona w górę. Potężny opancerzony pysk rozzłoszczonego kajmana uderzył od spodu w sam jej środek.

Kelly, wirując jak bąk, wystrzeliła w powietrze. Kątem oka widziała, jak inni wpadają do wody razem z bagażami i kawałkami bambusa. Jej brat plasnął o wodę po drugiej stronie potwora.

- Frank! - krzyknęła z rozpaczą.

Po chwili sama również uderzyła brzuchem w powierzchnię wody. Impet uderzenia wypchnął jej całe powietrze z płuc. Znieruchomiała, pamiętając o ostrzeżeniu Nathana, aby się nie poruszać. Spojrzała w górę - prosto na nią leciał kawałek pnia z rozbitej tratwy.

Przekreśliła się i uniknęła uderzenia, ale krawędź pnia trąciła ją w skroń. Została odrzucona do tyłu i wepchnięta pod wodę. Połknęła ją ciemność.

Nathan widział zza cielska martwego kajmana, jak uderzona przez pień Kelly idzie pod wodę - był jednak za daleko i nie potrafił określić, czy jest martwa, czy tylko nieprzytomna.

Wokół zniszczonej tratwy pływali ludzie, a między nimi na powierzchni wody unosiły się plecaki i kawałki drewna.

- Dryfujcie, jak najmniej się ruszając! - krzyknął znowu, gorączkowo rozglądając się za Kelly.

Kajman także zniknął pod wodą.

- Kelly! - zawołał Frank.

Jego siostra wypłynęła na powierzchnię trochę dalej. Leżała nieruchomo w wodzie twarzą do dołu.

Nathan wahał się. Żyła? Po chwili poruszyła ręką. Żyła! Jak długo jeszcze? Oszołomiona uderzeniem, lada chwila mogła się utopić.

- Niech to diabli! - zaklął.

Zastanawiał się gorączkowo, jak jej pomóc, jak ją uratować. Tuż za nią znajdowała się maleńka wysepka z rosnącym na niej pojedynczym mangrowcem. Z płataniny korzeni powietrznych wyrastał gruby pień, który rozszerzał się wachlarzowato, tworząc kilka metrów nad wodą zielony parasol. Gdyby Kelly udało się tam dotrzeć...

Nagle z wody rozległ się krzyk, ściągając jego uwagę. Spod wody jak bojowy okręt wynurzył się łeb kajmana. Wielkie oko badało okolice. Oddano w jego kierunku kilka strzałów, ale zwierzę nie wynurzało się całe, poza tym osłaniały je pływające wszędzie przedmioty. Po chwili łeb zniknął.

Frank wreszcie dostrzegł siostrę.

- Boże... Kelly! - zawołał i odwrócił się, zamierzając popłynąć jej na ratunek.

— Zostań! - krzyknął do niego Nathan. - Pójdę po nią!

Rzucił strzelbę na bambusowy pokład.

— Co ty wyprawiasz? - spytał Manny.

Zamiast odpowiedzieć, Nathan skoczył z tratwy na martwego kajmana. Wylądował na jego odsłoniętym brzuchu, przykucnął dla utrzymania równowagi, po czym pobiegł wzdłuż cielska, aby jak najbardziej zbliżyć się do Kelly.

Nagle po jego prawej stronie rozległ się krzyk. Był to kapral Yamir. Przez chwilę walczył, po czym został gwałtownie wciągnięty pod wodę, pozostawiając po sobie jedynie długą smugę wielkich pęcherzy powietrza. Kajman wylapywał pływających w wodzie ludzi.



Nathan miał coraz mniej czasu.

Wziął rozbieg i skoczył z unoszącego się na wodzie truchła, wyrzucając ciało do przodu z całą siłą, jaka mu jeszcze pozostała w nogach. Zanurkował i po sekundzie znalazł się przy Kelly. Odwrócił ją na plecy. Resztką sił zaczęła z nim walczyć.

- Kelly! To ja, Nathan! Nie ruszaj się!

Coś musiało do niej dotrzeć, bo się uspokoiła.

Uderzając mocno nogami, płynął szybko w kierunku wystającego z wody pagórka. Kiedy przebijał się przez pływające śmieci, potracił talerz z migającymi czerwonymi światełkami. Jedna z bomb martwego kaprala!

Złapał ją wolną dłonią i płynął dalej.

- Za tobą! - krzyknął ostrzegawczo sierżant Kostos.

Nathan spojrzął za siebie.

Sunęła ku niemu zmarszczona fala, z której po paru sekundach wysunął się najpierw czubek pyska, a potem kilka centymetrów potężnego łba. Człowiek i bestia patrzyli sobie w oczy. W spojrzeniu kajmana błyszczała inteligencja. Nie był to tępą gad i udawanie trupa nic by nie dało.

Ściskając w dłoni napalmową bombę, Nathan jeszcze bardziej przyspieszył i wkrótce jego stopy oparły się na mulistym dnie.

Popędzany strachem, złapał Kelly za ramię i przeciągnął ją przez płyciznę. Zaczął wspinać się na brzeg.

- Jest tuż za tobą! - zawołał znowu sierżant.

Nathan nie tracił czasu na odwracanie się. Dobiegł do płataniny korzeni mangrowca, wpełznął Kelly między nie i sam wcisnął się w wąską przestrzeń. Za główną masą korzeni znajdowało się ciasne zagłębienie.

Kelly oprzytomniała i zaczęła wyrzucać z siebie fontanny wody. Po chwili rozejrzała się z przerażeniem. Nathan osłonił ją własnym ciałem.

- Co to... - zaczęła, ale urwała, gdy zobaczyła za jego plecami ścigającego ich kajmana. - O, cholera...

Kiedy Nathan się odwrócił, ujrzał wyskakującego z wody potwora, który natychmiast zaczął wpełzać na wąski brzeg. Uderzył w mangrowiec z siłą parowozu. Drzewo zadygotało tak mocno, że Nathan był pewien, iż się przewróci. Kajman

popatrzył na ludzi ukrytych między korzeniami. Miał szeroko rozwartą paszczę, jego zęby groźnie błyszczały. Po chwili cofnął się i wrócił do wody. Kelly odwróciła się do Nathana.

- Uratowałeś mnie.

W ciasnej przestrzeni ich nosy niemal się stykały.

- Albo omal nie pozwoliłem ci zginąć... Wszystko zależy od tego, jak na to spojrzeć. - Nathan ukląkł i złapał jeden z korzeni, żeby podciągnąć się i stanąć na nogi. - Ale wcale jeszcze nie jesteśmy bezpieczni.

Przyjrzał się wodzie. Wydawała się spokojna, wiedział jednak, że bestia krąży w pobliżu i obserwuje ich. Wziął głęboki wdech i wysunął się spomiędzy korzeni mangrowca.

— Dokąd się wybierasz?

— W wodzie zostali ludzie... twój brat też tam jest. - Nathan wsunął napalmową bombę pod koszulę i zaczął wspinać się na drzewo. Kiedy znalazł się wystarczająco wysoko, wszedł na grubą gałąź i przesunął ku jej końcowi na tyle, aby znaleźć się nad wodą. Kiedy gałąź zaczęła się pod nim uginać, przesunął się ostrożnie jeszcze kawałek dalej i zatrzymał. Musi wystarczyć.

Wyciągnął bombę.

- Czy ktoś wie, jak to się uzbraja? - zawołał.

— Trzeba wpisać ręcznie czas do wybuchu! - odkrzyknął sierżant Kostos. - Potem wciśnij czerwony guzik!

— Ta bomba ma promień rażenia dwieście metrów - dodał unoszący się na wodzie Waxman. Nathan podziwiał spokój, z jakim to powiedział. - Jeśli zdetonujesz ją w niewłaściwym momencie, zabijesz nas wszystkich.

Nathan kiwnął głową i przyjrzał się bombie. Na górze widać było zabezpieczoną przed wilgocią klawiaturę, przypominającą ręczny kalkulator. Miał nadzieję, że nie została uszkodzona. Ustawił czas na piętnaście sekund. Powinno wystarczyć.

Trzymając bombę przy piersi, wyjął scyzoryk. Zacisnął zęby i głęboko naciął sobie kciuk. Potrzebował trochę krwi.

Chwyciwszy się drugiej gałęzi, wstał. Złapał bombę zranioną dłonią i upewnił się, czy ma dobry chwyt. Potem wyciągnął rękę nad wodę. Krew ściekała na obudowę bomby, a stamtąd

skapywała do wody, tworząc na powierzchni bagiennego jeziora rozchodzące się szeroko kręgi.

Nathan stał nieruchomo, z kciukiem na czerwonym przycisku.

- Rusz się, draniu... - wymamrotał. Kiedyś w Australii widział w parku krokodyli dziesięciometrowego osobnika, wyskakującego z wody i sięgającego po nabitego na tyczkę kurczaka, któremu właśnie obcięto łeb.

Jego plan niewiele się od tego różnił - tyle że zamiast po kurczaka kajman miał wyskoczyć po niego. Potrząsnął ręką, rozpryskując więcej krwi.

- Gdzie jesteś... - syknął. Zaczynała go boleć ręka.

Na wodzie utworzyło się małe czerwone jezioro. Kajmany wyczuwały krew w wodzie nawet z odległości paru kilometrów.

- Pokaż się...

Zaryzykował spojrzenie ku pływającym obok zniszczonej tratwy ludziom. Ponieważ nie było wiadomo, gdzie ukrywa się bestia, załogi obu ocalałych tratw nie miały odwagi płynąć na ratunek.

Ten moment nieuwagi sprawił, że omal nie przegapił błysku potężnego cielska, przesuwanego się przez płyciznę w jego stronę.

- Nate! - krzyknęła Kelly.

W tej samej chwili ujrzął krokodyla.

Potwór wystrzelił pionowo w górę, prosto na niego, z otwartą szeroko jak garaż paszczą.

Nathan wcisnął czerwony guzik i puścił bombę, która wpadła prosto do otwartego pyska ogromnego gada. Jednocześnie uświadomił sobie, że zdecydowanie nie docenił możliwości kajmana w skoku wzwyż.

Kucnął i natychmiast skoczył do góry, wykorzystując sprężystość gałęzi. Przebił się przez liście, złapał gałąź nad głową i podciągnął nogi - akurat w momencie, gdy bestia zatrasnęła szczęki centymetr od brzegu nogawek jego spodni. Poczul na plecach cuchnący oddech gada. Nie mogąc dostać się do ofiary, kajman zwałił się z powrotem w wodę, wyrzucając gejzer wody niemal tak samo wysoki jak jego skok.

Gałąź, na której Nathan przed chwilą stał, zniknęła, odcięta przez potężne szczęki. Gdyby tam jeszcze był...

Kajman odpłynął w stronę nieco głębszej wody, ale nie zanurzył się całkowicie. Z mangrowca widać było jego rozmiary: miał co najmniej czterdzieści metrów.

Obrzucił wiszącego na gałęzi Nathana gniewnym spojrzeniem i powoli zaczął odwracać się w kierunku miejsca, w którym pływali ludzie. Najwyraźniej postanowił zadowolić się łatwiejszym łupem.

Zanim zdążył zawrócić, jego cielsko gwałtownie zadygotało.

Brzuch gada wydał się potwornie, a kiedy zwierzę otworzyło paszczę, zamierzając ryknąć, z jego pyska wystrzeliły płomienie i kajman zamienił się w plującego ogniem smoka. Przewrócił się na bok i zaczął zanurzać - po kilku sekundach rozległ się stłumiony huk i w górę wystrzeliła kolumna wody, płomieni i szczątków wielkiego gada.

Nathan rozpaczliwie czepiał się gałęzi rękami i nogami. Kelly wrzasnęła z przerażenia.

Wybuch skończył się tak samo gwałtownie, jak się zaczął. W promieniu kilkunastu metrów woda bagna została zasłana płonącymi bryłami krokodylego cielska. Na szczęście pancierz stwora nieco ograniczył siłę wybuchu.

Obserwujący tę scenę ludzie zaczęli krzyczeć z radości.

Nathan zszedł z drzewa i pomógł Kelly wydostać się z płataniny korzeni.

- Wszystko w porządku? - spytał.

Kiwnęła głową, dotykając rany na linii włosów.

- Głowa mnie trochę boli, ale chyba przeżyję. - Zakaszła. - Musiałam połknąć całe wiadro wody.

Pomógł jej wdrapać się na brzeg. Tratwa Kostosa zaczęła zbierać ludzi i bagaże, a tratwa Nathana - wraz z jego przyjaciółmi i Carrerą - podpłynęła do nich, żeby nie musieli wchodzić do wody.

Carrera pomogła wejść na pokład Kelly, a Manny Nathanowi.

— Miałeś doskonały pomysł, doktoru - powiedział z uśmiechem.

— Potrzeba jest matką wynalazków - odparł Nathan, również próbując się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu to wyszło. - Dałbym jednak sporo za to, aby znów znaleźć się na twardym lądzie.

— Może ich być tu więcej? - spytała Kelly, kiedy płynęli do drugiej tratwy.

— Wątpię - odparł Manny z lekkim żalem w głosie. - Nie wyobrażam sobie, żeby nawet w takim bogatym ekosystemie było tu wystarczająco dużo żeru dla większej liczby tych ogromnych drapieżników. Ale powinniśmy uważać na ich potomstwo. Nawet małe giganty mogłyby nam narobić kłopotów.

Najwyraźniej Carrera była tego samego zdania, bo przez cały czas uważnie obserwowwała okolicę.

— Myślicie, że to Ban-ali je na nas posłali? Tak jak piranie i szarańczę?

— Nie sądzę, ale mogli je wykorzystywać jako strażników bram kraju, który zamieszkują... czuwających w dzień i w nocy strażników, odstrasżających każdego, kto śmiałyby wejść na ich terytorium - odparł Kouwe.

Strażnicy? Nathan wbił wzrok w przeciwległy brzeg. W południowym świetle wyraźnie było widać poprzedzielane wąwozami góry. Wodospady wyglądały jak maźnięcia srebrnej farby, spływające w dół urwisk o barwie krwi. Wszystkie szczyty i doliny były porośnięte bujną roślinnością.

Jeżeli profesor się nie mylił i kajmany rzeczywiście stały na warcie, mieli przed sobą krainę zamieszkiwaną przez tajemnicze plemię.

Nathan popatrzył na sąsiednią tratwę i policzył siedzących na niej ludzi. Waxman, Kostos, Warczak, Carrera. Z dwunastu przysłanych do dżungli rangersów pozostało tylko czworo - a jeszcze nie dotarli do wioski Ban-ali.

- Nigdy nie uda nam się tam dostać... - mruknął pod nosem.

Usłyszała go Carrera.

- Nie martw się. Okopimy się i zaczekamy na wsparcie. Na pewno nie potrwa to dłużej niż jeden dzień.

Nathan zmarszczył czoło. Stracili dziś trzech ludzi - trzech żołnierzy z elitarniej jednostki. Każdy kolejny dzień mógł wiele zmienić. Im bardziej zbliżali się do brzegu, tym mniej był przekonany, że rzeczywiście chce postawić nogę na suchym lądzie - zwłaszcza na tym. Nie mieli jednak wyboru. W Sta-

nach rozprzestrzeniała się zaraza, a oni mogli odkryć jej przyczyny prędzej niż ktokolwiek inny. Nie wolno im się wycofać.

Poza tym tą drogą szedł jego ojciec i choćby z tego powodu Nathan nie mógł zrezygnować. Wbrew śmierci, niebezpieczeństwom i wszelkim innym zagrożeniom musiał odkryć, co się stało z jego ojcem, więc nie pozostawało mu nic innego, jak iść naprzód.

- Zachować ostrożność! - zawołał Waxman, kiedy zbliżali się do brzegu. - Gdy dobijemy, szybko oddalać się od bagna! Założymy obóz w głębi lasu.

Przez cały czas uważnie obserwował wodę - najwyraźniej obawiał się pojawienia kolejnych kajmanów. Nathan jednak koncentrował się na dżungli przed nimi. W głębi ducha wiedział, że właśnie tam kryło się prawdziwe niebezpieczeństwo: plemię Ban-ali.

- Zabieraj się do roboty - polecił kapitan Olinowi. - Mamy trzygodzinne okienko, a potem satelity znowu znikną na całą noc.

- Zrobię, co w mojej mocy - zapewnił go Olin.

Waxman kiwnął głową. Jego oczy przepętniał niepokój.

Mimo pewnego brzmienia głosu widać było, że jest nie mniej zdenerwowany niż pozostali. Stwierdzenie tego faktu - choć mogło się to wydawać dziwne - trochę uspokoiło Nathana. Zdenerwowani ludzie uważniej się rozglądają, a właśnie od tego będzie zależeć, czy uda im się przeżyć.

Tratwy dopłynęły do płycizny po drugiej stronie bagna i po chwili ich spody oparły się o dno. Rangersi zeszli na brzeg jako pierwsi i z gotową do strzału bronią zaczęli sprawdzać najbliższą okolicę. Po kilku minutach z otaczającej bagna ciemnej dżungli zaczęły dolatywać okrzyki: „Czysto!”.

Czekając na zgodę na zejście na ląd, Nathan rozglądał się. z oddali dochodziło ciche dudnienie niezliczonych wodospadów. Wąski, zarośnięty wąwóz otaczały wysokie wzgórza. Jego środkiem płynął szeroki strumień, wpadający do bagiennego jeziora.

- Znalazłem! - zawołał Warczak. Wychylił się z cienia tego lasu i popatrzył na kapitana. - Następny znak Clarka!

Waxman machnął karabinkiem.

- Wszyscy na ląd!

Nathan nie czekał ani sekundy, natychmiast pobiegł razem z pozostałymi do kaprała Warczaka. Do rosnącego kilka metrów od skraju lasu cedru przybito żółty kawałek materiału. Pod nim wyryty był kolejny znak. Wszyscy przyglądali mu się z przerażeniem. Strzałka wskazywała w kierunku wąwozu. Komunikat był jasny.



- Czaszka i piszczele - mruknął Zane.

Czekała na nich śmierć.

GODZ. 15.40

- To było dość zabawne - powiedział Louis do swojego porucznika i opuścił lornetkę. - Wybuchający kajman... niezłe.

Podczas rozmowy ze swoim szpiegiem, którą odbył rano, Louis dowiedział się o zamiarze rozbicia przez rangersów obozu w pobliżu bagna do chwili przybycia posiłków. Uznał, że strata kolejnych trzech ludzi jedynie utwierdzi kapitana Waxmana w tym postanowieniu. Siły przeciwnika skurczyły się do czterech żołnierzy. Przestali być dla nich zagrożeniem. Jego oddział mógł opanować ich w każdej chwili - i Louis wkrótce zamierzał to zrobić.

Zwrócił się do Jacques'a.

- Damy im odpocząć do północy, a potem ich obudzimy i trochę przegonimy. Kto wie, od jakich niebezpieczeństw nas ustrzegą?

280

— Tak jest, doktorze. Oddział będzie gotów o zmroku. Opróżnimy kilka lamp, żeby zebrać wystarczającą ilość ke-rozyny.

— Doskonale. - Louis odwrócił się plecami do bagna. - Kiedy tamci zaczną uciekać, popłyniemy za tobą czółnami.

— Tak, ale... - Jacques przygryzł wargę i popatrzył na bagno.

Louis uspokajająco poklepał go po ramieniu.

- Nie bój się. Gdyby były tu jeszcze inne bestie, zaatakowałyby rangersów. Powinniście być bezpieczni.

Rozumiał jednak obawy swojego porucznika. To nie on miał płynąć pod wodą w stroju nurka, oddzielony od mieszkańców bagna jedynie cienką warstwą kombinezonu. Nawet z noktowizorami będzie to bardzo mroczna podróż.

Jacques kiwnął głową. Zrobi to, co mu się każe.

Louis wrócił do dżungli i skierował się do obozu. Wszyscy jego ludzie byli podnieceni i niespokojni, napięcie było niemal fizycznie wyczuwalne. Widzieli szczątki rangersa w lesie. Wyglądał, jakby został zjedzony żywcem - był obgryziony aż do kości. Wokół pełzało jeszcze kilka sztuk szarańczy, ale reszta owadów zniknęła. Ostrzeżony przez swojego szpiega, Louis kazał wszystkim nieść pochodnie z proszkiem *tok-tok*, kiedy szli rano przez dżunglę - na wszelki wypadek. Na szczęście Tshui udało się zebrać wystarczającą ilość rośliny.

Mimo różnych przeszkód wszystko przebiegało zgodnie z planem. Louis nie był aż tak próżny, aby sądzić, że jego oddział potrafi poruszać się niezauważony, ale Ban-ali - przynajmniej aa razie - całą swoją uwagę koncentrowali na ekspedycji.

Nie mógł jednak liczyć na to, że wciąż będzie miał przewagę, zwłaszcza po znalezieniu się na terenie krwiożerczego plemienia. Najwyraźniej nie tylko on tak uważał, bo kilka godzin wcześniej trzech najemników próbowało uciec. Oczywiście wszyscy zostali złapani i Tshui przykładnie ich ukarała.

Gdy doszedł do obozu, jego kochanka klęczała obok namiotu, a między drzewami rozpięci byli trzej uciekinierzy. Odwrócił wzrok. Tshui była bez wątpienia mistrzynią, ale jego żołądek...

Indianka usłyszała, że nadchodzi, i podniosła głowę. Myła właśnie swoje narzędzia w misce z wodą.



Uśmiechnął się do niej. Wstała - smukła postać o długich nogach i sprężystych mięśniach. Wziął ją za rękę i weszli do namiotu.

Kiedy znaleźli się w środku, z gardła Tshui wydobył się niski, pełen napiętności pomruk i niecierpliwie pociągnęła Louisa w głąb ciemnego wnętrza.

Wyglądało na to, że na razie wszystkie inne sprawy muszą poczekać.

# 13

## Cienie

15 SIERPANIA, GODZ. 15.23  
INSTYTUT INSTAR LANGLEY,  
WIRGINIA

Lauren zapukała do drzwi gabinetu doktora Alvisio. Rano epidemiolog pilnie poprosił ją o spotkanie, jednak dopiero teraz znalazła wolną chwilę i mogła go odwiedzić.

Niemal całe popołudnie spędziła na wideokonferencji z doktorem Xavierem Reynoldsem i jego zespołem z Large Scale Biological Laboratories w Vacaville w Kalifornii. Prion, który odkryli, mógł być pierwszym tropem, który pozwoliłby pokonać zarazę - czynnikiem winnym jak na razie śmierci sześćdziesięciu osób i kilkuset zachorowań. Lauren wysłała wyniki badań swojego byłego studenta do weryfikacji w czternastu innych laboratoriach. Czekała na informacje zwrotne, mogła spotkać się z epidemiologiem.

Młody lekarz ze Stanfordu otworzył jej drzwi. Wyglądał, jakby od tygodni nie spał. Jego policzki pokrywał kilkudniowy zarost, a oczy były czerwone jak u królika.

- Doktor O'Brien... dziękuję, że znalazła pani dla mnie trochę czasu.

Lauren jeszcze nigdy nie była w jego gabinecie, zaskoczył ją więc widok mnóstwa komputerów, które niemal w całości wypełniały jedną ścianę. Poza tym pomieszczenie było wyposażone dość spartańsko: zarzucone papierami biurko, wypełniony książkami regał i kilka krzeseł. Jedynym bardziej osobistym elementem był porporczyk drużyny Stanford Cardinals,

wiszący samotnie na pustej ścianie. Uwagę Lauren przyciągały jednak przede wszystkim komputery. Na ich monitorach widoczne były jakieś rysunki i przesuwające się kolumny liczb.

- Co ma pan takiego pilnego, Hank? - zapytała.

Wskazał dłonią jeden z monitorów.

- Chciałbym, aby pani na to spojrzała - powiedział ponuro.

Kiwnęła głową i usiadła przed ekranem.

- Pamięta pani, co mówiłem o szpicy bazofili w początkowej fazie? Ta cecha kliniczna może być metodą szybszego wykrywania i diagnozowania tej choroby.

Lauren kiwnęła głową, choć teraz wątpiła w słuszność teorii młodego lekarza. Wprawdzie u Jessie bazofile skoczyły, jednak w tej chwili wracała do zdrowia i mówiono nawet o wypisaniu jej ze szpitala za dzień albo dwa. Wzrost bazofili mógł być zjawiskiem towarzyszącym wielu różnym chorobom, wcale nie musiał występować tylko przy tej.

Otworzyła usta, aby to powiedzieć, ale doktor Alvisio pochylił się nad klawiaturą komputera i napisał coś szybko.

- Zebranie danych z całego kraju zajęło mi całą dobę... wyselekcjonowanie przypadków gorączki u dzieci i osób starszych, połączonej z charakterystycznym skokiem bazofili, nie było wcale łatwe - oświadczył. - Chciałem stworzyć model naszej choroby, stosując to kryterium.

Na monitorze pojawiła się żółta mapa Stanów Zjednoczonych, podzielonych czarnymi liniami na poszczególne stany. Były na niej czerwone kropki - najwięcej na Florydzie i w innych południowych stanach.

- To stare dane. Każdy czerwony punkt oznacza udokumentowany przypadek choroby.

Lauren założyła okulary do czytania i przysunęła się do ekranu.

- Jeżeli zastosujemy skok bazofili jako wskaźnik, otrzymamy obecny rozkład wszystkich przypadków w Stanach. - Epidemiolog wcisnął klawisz i na mapie pojawiło się znacznie więcej czerwonych kropek. Floryda była niemal cała czerwona, podobnie Georgia i Alabama. Inne stany - poprzednio jedno licie żółte - również pokryły się czerwonymi kropkami.

Alvisio popatrzył na Lauren.

- Jak pani widzi, liczba przypadków gwałtownie rośnie. Ponieważ u wielu osób nie pojawiły się jeszcze objawy uznane przez CDC za typowe dla tej choroby, przebywają na od działach, które nie są objęte reżimem kwarantannowym, i zarażają kolejne osoby.

Mimo iż teoria epidemiologa budziła w niej wątpliwości, Lauren poczuła ucisk w brzuchu. Nawet jeśli doktor Alvisio mylił się co do bazofili, miał rację, że wczesne wykrywanie choroby ma decydujące znaczenie. Wszystkie dzieci i osoby starsze, u których pojawiła się gorączka, należało natychmiast poddać kwarantannie - także wtedy, gdy nie mieszkali w „najgorętszych” regionach, takich jak Floryda czy Georgia.

- Rozumiem, co chce mi pan powiedzieć - odparła. - Powinniśmy natychmiast skontaktować się z CDC i nakłonić ich do ogłoszenia ogólnokrajowej polityki kwarantannowej.

Hank kiwnął głową.

- To jeszcze nie wszystko - dodał, po czym odwrócił się do komputera i znowu coś napisał. - Opierając się na danych dotyczących bazofili, stworzyłem model ekstrapolacyjny. Oto jak rozprzestrzenienie choroby będzie wyglądało za dwa tygodnie... - Wcisnął ENTER.

Cała południowa połowa kraju zrobiła się czerwona.

Lauren ciężko opadła na oparcie fotela.

- A tak za kolejny miesiąc - powiedział Hank i ponownie wcisnął ENTER.

Czerwień opanowała niemal całe Stany.

Hank wbił wzrok w Lauren.

- Musimy coś zrobić, aby to zatrzymać. Każdy dzień ma decydujące znaczenie.

Lauren wpatrywała się w czerwony ekran. Wyszło jej w ustach, a oczy rozszerzył strach. Jedynym pocieszeniem było to, że założenie, na którym opierał się doktor Alvisio przy tworzeniu tego modelu, jest prawdopodobnie przesadnie pesymistyczne. Wątpiła, aby skok bazofili naprawdę oznaczał wczesne stadium choroby. Ale jedno było pewne - każdy dzień miał decydujące znaczenie.

Zawibrował jej pager. Marshall, kod 911 - coś bardzo pilnego.

— Mogę skorzystać z pańskiego telefonu? - zapytała.

— Oczywiście.

Podeszła do biurka, a Hank wrócił do swoich komputerów i modeli statystycznych. Kiedy wykręciła numer, podniesiono słuchawkę, zanim przebrzmiał pierwszy dzwonek.

— Lauren...

— Tak, Marshall?

— Chodzi o Jessie. Jestem w szpitalu... - zaczął. Był wyraźnie zdenerwowany.

Lauren mocniej ścisnęła słuchawkę.

— Co się stało?

— Znowu skoczyła jej temperatura. Jest wyższa niż kiedykolwiek od początku. - Jego głos się załamywał. - Przyjęto jeszcze troje dzieci. Wszystkie z wysoką gorączką.

— Nie... nie rozumiem... - wymamrotała, choć odpowiedź była oczywista.

Marshall milczał.

- Zaraz tam będę - powiedziała słabym głosem. Słuchawka wypadła jej z ręki, kiedy chciała odłożyć ją na widełki.

Zaniepokojony epidemiolog odwrócił się od komputera.

- Doktor O'Brien...

Lauren nie była w stanie wydobyć z siebie ani jednego słowa. Jessie... szpica bazofili... inne dzieci. Boże drogi, choroba dotarła także i do nich!

Wbiła wzrok w ekran ukazujący pokrytą czerwienią mapę Stanów Zjednoczonych. Teoria doktora Alvisio nie była błędna. Nie była też przesadnie pesymistyczna.

- Wszystko w porządku? - spytał cicho epidemiolog.

Nie odwracając wzroku od ekranu, powoli pokręciła głową.

#### GODZ. 17.23 DŻUNGLA AMAZOŃSKA

Kelly kucała z jednej strony Olina, a jej brat z drugiej. Rosyjski komputerowiec przykręcał obudowę satelitarnego systemu komunikacyjnego. Pracował przez całe popołudnie, próbując nawiązać kontakt ze Stanami.

— Lepiej, żeby zadziałało - mruknął. - Rozłożyłem to na kawałki i ponownie złożyłem. Jeśli nie zadziała, nie mam innego pomysłu.

— Zaczynaj - powiedział Frank.

Olin po raz ostatni sprawdził wszystkie połączenia, wyregulował ustawienie czaszy anteny i skoncentrował się na laptopie. Kiedy włączył zasilanie słoneczne, system operacyjny załadował się i ekran ożył.

- Mamy połączenie z satelitą HERMES! - zawołał Rosjanin i odetchnął z ulgą.

Wokół rozległy się radosne okrzyki. Wszyscy uczestnicy wyprawy - z wyjątkiem dwóch rangersów trzymających wartę przy bagnie - zgromadzili się wokół Olina.

— Możesz nawiązać kontakt? - spytał Waxman.

— Trzymajcie kciuki - odparł komputerowiec i zaczął stukać w klawiaturę.

Kelly uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Koniecznie muszą złapać kogoś w Stanach. Potrzebowali uzupełnienia oddziału, ale dla niej jeszcze ważniejsze były informacje o stanie Jessie. Musi znaleźć jakiś sposób, aby dostać się do córki.

- Ruszamy - oświadczył Olin i wcisnął końcową sekwencję klawiszy.

Zaczęło się dobrze znajome odliczanie.

- Proszę... zadziałaj, proszę... - mruczał Richard Zane.

Pod tą modlitwą mogliby się podpisać wszyscy uczestnicy wyprawy.

Odliczanie doszło do zera. Przez nieskończenie długą sekundę nic się nie działo, po czym pojawiły się twarze rodziców Kelly i Franka. Sprawiali wrażenie ucieszonych widokiem swoich dzieci i jednocześnie zmartwionych.

- Dzięki Bogu! - zawołał Marshall O'Brien. - Od rodziny próbujemy was złapać.

Frank przysunął się do Olina.

Mieliśmy problemy z komputerem... między innymi.

Kelly podeszła do kamery.

- Jak Jessie?

Odpowiedzią na to pytanie był wyraz twarzy Lauren O'Brien. Jej oczy uciekły w bok i minęły dwie sekundy, zanim się odezwała.

- Jessie... Jessie świetnie sobie radzi, skarbie.  
Obraz zadygotał, jakby komputer zamienił się w wykrywacz kłamstw. Ekran pokryły przypominające śnieg zakłócenia. Kolejne słowa Lauren O'Brien zaczęły zanikać.

- Prowadzimy leczenie... chorobą odprionową... właśnie teraz przesyłają nam...

Do rozmowy włączył się Marshall O'Brien, ale zakłócenia były coraz silniejsze.

— ...helikopter w drodze... brazylijska armia... - mówił, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z tego, że jego komunikat prawie do nich nie dociera.

— Możesz poprawić odbiór? - zapytał Frank Olin.

— Nie wiem. - Komputerowiec znowu zaczął stukać w klawisze. - Nie rozumiem tego. Ale właśnie dostaliśmy jakiś plik. Może to on przeszkadza odbierać komunikat?

Z każdym naciśnięciem klawisza obraz coraz bardziej się pogarszał.

Laptop buczał i szumiał, słyszeli tylko pojedyncze słowa.

- Frank... gubimy was... mógłbyś... jutro rano... GPS...  
W końcu połączenie zostało przerwane. Ekran buchnął śniegiem i znieruchomiał.

- Niech to jasna cholera! - zaklął Olin.

- Spróbuj połączyć się ponownie - powiedział Waxman.

Olin pochylił się nad urządzeniem, kręcąc głową.

— Nie wiem, czy dam radę. Sprawdziłem już płytę główną i zresetowałem wszystkie programy.

— Więc co się stało? - spytała Kelly.

— Nie jestem pewien, ale wyglądało to tak, jakby komputer został zaatakowany przez wirusa.

— Mimo to próbuj dalej - polecił mu Waxman. - Satelita jest w naszym zasięgu jeszcze przez pół godziny.

— Z tego, co udało nam się usłyszeć, wynika, że brazylijski helikopter wkrótce tu będzie - stwierdził Frank. - Może nawet już jutro rano.

— Boże drogi... - jęknął nagle Olin.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Stukał palcem w ekran, pokazując im znajdujące się w prawym górnym rogu liczby.

- Nasz sygnał GPS...

— Co z nim? - spytał Waxman.

— Jest nieprawidłowy. To, co zakłóciło komunikacją satelitarną, zniekształciło także komunikaty przekazywane do satelitów GPS. Komputer wysłał do Stanów błędny sygnał. - Popatrzył na ekran. - Podaje naszą pozycję z odchyleniem mniej więcej pięćdziesięciu kilometrów na południe.

Kelly miała wrażenie, że cała krew odpływa jej z głowy.

— Nie będą wiedzieć, gdzie jesteśmy...

— Muszę to naprawić - stwierdził Olin. - Przynajmniej na tak długo, aby skorygować sygnał - dodał, po czym zresetował komputer i zabrał się do pracy.

Przez następne pół godziny pracował jak w transie, co chwila wykrzykując coś po angielsku i po rosyjsku. Wszyscy pozostali zabrali się do innych prac. Nikt nie zamierzał odpoczywać. Kelly pomagała Annie przygotować posiłek z resztek ich zapasów. Od czasu do czasu zerkały na Olinę i modliły się w milczeniu, żeby mu się udało.

Nic jednak nie pomogło - ani wysiłki Rosjanina, ani ich modlitwy.

Po półgodzinie Frank podszedł do komputerowca, uniósł lewą rękę i pokazał mu zegarek.

- Za późno. Satelity komunikacyjne są już poza naszym zasięgiem.

Olin zgarbił się nad swoim sprzętem. Został pokonany.

- Spróbujemy ponownie jutro rano - powiedział Frank, ale w jego głosie nie było wiary, że Rosjaninowi w końcu się uda. - Powinieneś teraz odpocząć. Zaczynasz jutro ze świeżą głową.

Nathan, Kouwe i Manny wrócili z wyprawy wędkarskiej nad bagno. Swoją zdobycz nieśli na linie. Rzucili ryby obok ogniska.

— Oczyszczę je - oświadczył profesor i usiadł na ziemi.

Manny westchnął.

— Nie zamierzam protestować.

Nathan wytarł ręce i popatrzył na Olinę, a potem podszedł do niego.

- Kiedy łowiliśmy ryby, przez cały czas coś mnie nurtowało. Co to był za plik?



— O czym ty mówisz?  
— Wspomniałeś, że podczas kontaktu ze Stanami ściągnął się jakiś plik.

Olin zmarszczył brwi, zaraz jednak kiwnął głową.

- *Da.* Plik danych.

Podeszli do nich Kelly i Manny. Kelly przypomniała sobie, że tuż przed załamaniem się systemu matka mówiła, że coś przesyła.

Olin otworzył plik.

Kelly przysunęła się do ekranu, na którym pojawił się trójwymiarowy model cząsteczki, wirujący nad tekstem. Za-intrygowana, zaczęła czytać.

— To raport matki - wyjaśniła pozostałym, zadowolona, że może się czymś zająć i nie myśleć o własnym niepokoju. Niestety treść raportu była nie mniej niepokojąca.

— Co to jest? - spytał Nathan.

— Możliwa przyczyna choroby.

— Prion - dodał Manny, który spoglądał Kelly przez ramię.

— Co?

Manny szybko wytłumaczył Nathanowi, o co chodzi. Kelly przez cały czas patrzyła na ekran.

- Ciekawe... - mruknęła po chwili.

— Co takiego?

— Matka pisze, że być może ten prion powoduje uszkodzenia genetyczne. - Zaczęła czytać następny tekst.

Manny czytał razem z nią. Gwizdnął z uznaniem.

— O co chodzi? - spytał znowu Nathan.

— Może to odpowiedź, której szukamy! - zawołała pod-ekscytowana Kelly. - To artykuł badaczy z Uniwersytetu Chicagowskiego, opublikowany w „Nature” we wrześniu dwutysięcznego roku. Podczas badania drożdży wysunęli hipotezę, że priony mogą być kluczem do mutacji genetycznych, a nawet mogą odgrywać ważną rolę w przebiegu ewolucji.

— Naprawdę? W jaki sposób?

— Jedną z największych zagadek ewolucji jest to, jak w spontaniczny sposób może dochodzić do pojawiania się cech przystosowawczych, wymagających różnego rodzaju zmian genetycznych. Tego typu zmiany nazwano makroewolu-

cyjnymi. Chodzi tu na przykład o przystosowanie się pewnych gatunków alg do środowisk toksycznych czy bardzo szybkiego uodparniania się bakterii na antybiotyki. Nie wiadomo, w jaki sposób wyzwalane są tego typu mutacje, ale ten artykuł proponuje wyjaśnienie tej zagadki: priony. - Kelly wskazała na ekran. - Badacze z Chicago wykazali, że priony drożdży mogą przełączyć znajdujący się w kodzie genetycznym włącznik „wszystko albo nic”, powodując jednoczesne pojawienie się różnego rodzaju mutacji, czyli mówiąc prościej, mogą zainicjować skok ewolucyjny. Wiecie, co to może oznaczać? W oczach Manny'ego pojawił się błysk zrozumienia.

— Piranie... szarańcza... - mruknął.

— Właśnie. To wszystko mutacje. Może nawet ramię Geralda Clarka również - powiedziała Kelly. - Mutacje wywołane przez priony.

— Ale co to ma wspólnego z tą dziwną chorobą, która się rozprzestrzeniła w Stanach i tutaj? - spytał Nathan.

— Nie wiem - odparła Kelly. - To odkrycie jest dopiero początkiem, daleko jeszcze do ostatecznej odpowiedzi.

Manny wskazał tekst widniejący na ekranie laptopa.

- A co powiesz na hipotezę, że...

Kelly popatrzyła na niego. Zaczęli dyskutować, spierać się, dzielić pomysłami.

Nathan przestał ich słuchać i wrócił do przestrzennego modelu prionu.



- Czy wy też widzicie podobieństwo? - przerwał im po chwili.

— Jakie podobieństwo? - zdziwiła się Kelly.

Nathan przesunął palcem po rysunku.

— Widzicie te zakrzywione końce?

— Podwójne helisy alfa? - spytała Kelly.

— Właśnie... i tę poskręcaną część środkową.

— No i?

Nathan odwrócił się i kucnął, po czym wziął do ręki patyk i zaczął coś rysować na ziemi.

- Korkociąg, rozchodzący się na obu końcach w podwójne spirale...

Kelly ze zdumieniem spojrzała na rysunek.



- Symbol Ban-ali... - mruknął Manny.

Kelly patrzyła to na rysunek na ziemi, to na ekran: zrobiony patykiem szkic i sporządzony komputerowo naukowy model. Podobieństwo było oczywiste. Korkociąg z podwójnymi helisami na końcach... Nie mogła to być przypadkowa zbieżność, bo nawet spin spirali cząsteczkowej miał ten sam kierunek.

- Jezus Maria... - jęknęła.

Symbol Ban-ali był uproszczonym obrazem chorobotwórczego prionu.

#### GODZINA 23.32

Jacques nie potrafił przezwyciężyć lęku przed ciemną wodą, który towarzyszył mu od dnia, w którym jako chłopak został zaatakowany przez piranię. Mimo to płynął pod powierzchnią, chroniony przed uzbrojonymi w ostre zęby mieszkańcami bagiennego jeziora jedynie kombinezonem nurka. Nie miał wyboru. Musiał wypełniać polecenia Louisa Favre'a. Kara za nieposłuszeństwo byłaby znacznie gorsza od wszystkiego, co mogło czyhać w tej wodzie.

Trzymał się skutera podwodnego, bezgłośnie ciągnącego go w kierunku przeciwnego brzegu bagna. Miał na sobie LAR V Draeger UBA, sprzęt używany do tajnych operacji na płytkich wodach przez oddziały SEAL marynarki wojennej. Układ oddechowy o zamkniętym obiegu oraz przypięcie butli

z powietrzem do piersi zamiast do pleców sprawiały, że na powierzchnię nie wydostawały się pęcherzyki powietrza, informujące o zbliżaniu się nurka. Wyposażenie Jacques'a uzupełniała maska z noktowizorem, zapewniającym lepszą widoczność w mętnej wodzie.

Ale nawet najlepszy sprzęt świata nie potrafił go uspokoić. Miał wrażenie, że ciemna woda zamyka się wokół niego. Widoczność wynosiła maksimum dziesięć metrów, co oznaczało, że aby utrzymać prawidłowy kurs, od czasu do czasu musiał wystawiać nad powierzchnię wody mały peryskop.

Dwaj towarzyszący mu żołnierze płynęli za nim - ich także ciągnęły małe podwodne skutery.

Jacques po raz ostatni sprawdził okolicę. Dwie tratwy, na których rangersi przepłynęli bagno, były oddalone od niego o trzydzieści metrów.

W lesie płonęło ognisko. Po obozie mimo późnej pory krążyły ciemne postacie. Jacques dał swoim ludziom znak, aby każdy z nich podpłynął do innej tratwy - on sam miał czekać i obserwować przeciwnika.

Tratwy były przycumowane do brzegu, na wodzie mającej niewiele ponad metr głębokości. Musieli być teraz bardzo ostrożni.

Jacques sprawdził sytuację zarówno nad wodą, jak i pod nią. Jego ludzie czekali przy tratwach, ukryci w ich cieniu. Uważnie przyjrzał się otaczającej obóz dżungli - spodziewał się, że znajdują się w niej patrolujący teren rangersi. Obserwował okolicę przez pięć minut, po czym dał znak swoim podwładnym.

Wyjęli pojemniki z kerozyną, polali nią boki tratw i odwrócili się w stronę Jacques'a, sygnalizując mu wykonanie pierwszej części zadania uniesieniem kciuków.

Porucznik przez cały czas obserwował obozowisko. Jak na razie chyba nikt ich nie zauważył. Zaczekał jeszcze minutę, a potem przejechał sobie dłonią po gardle - był to umówiony znak, że mają podpalać tratwy.

Obaj żołnierze zapalili zapalniczki i przytknęli płomyki do nasączonego kerozyną bambusa, który natychmiast złapał ogień.

Nie czekając, aż tratwy na dobre się zajmą, wrócili do swojego dowódcy. Jacques zwiększył obroty silnika skutera i cała trójka szybko odpłynęła na środek jeziora, po czym szerokim łukiem skierowała się ku brzegowi, do miejsca oddalonego jakieś pół kilometra od obozu przeciwnika.

Jacques spojrzął za siebie. Z lasu wybiegli mężczyźni, płonące tratwy oświetlały ich sylwetki. Nawet pod wodą słychać było krzyki i strzały.

Wszystko poszło doskonale. Louis Favre wiedział, że po ataku szarańczy ogień przestraszy przeciwnika. Mało prawdopodobne, aby zechcieli pozostać w miejscu, w którym pojawił się ogień.

Mimo to nie należało niepotrzebnie ryzykować, więc Jacques poprowadził swoich ludzi na płyciznę. Po chwili wyszli z wody - teraz musieli jeszcze upewnić się tylko, że naprawdę przepłoszyli rangersów.

Po wyjściu na brzeg bagiennego jeziora i zdjęciu płetw Jacques odetchnął z ulgą. Dotknął niezniszczonej połowy nosa, jakby chciał sprawdzić, czy wciąż jest na miejscu.

Założył gogle noktowizyjne i spojrzął w stronę obozu przeciwnika. Jego dwaj żołnierze coś do siebie szeptali, podnieceni nocną przygodą i zadowoleni z dobrze wykonanego zadania. Nie zwracał na nich uwagi.

W monochromatycznej zieleni ukazywanej przez noktowizyjne gogle widać było dwóch mężczyzn z karabinkami szturmowymi - sądząc po tym, jak je trzymali, byli to rangersi - którzy po obejrzeniu tratw wrócili do obozu. W lesie pojawiły się światła, a wokół ogniska zaczęła się gorączkowa krzątanina. Po paru minutach światła oddaliły się od ogniska jak odlatujące świetliki. Rządek postaci maszerował w kierunku wąwozu, rozdzielającego dwa potężne stoliwa.

Jacques uśmiechnął się do siebie. Plan doktora wypalił.

Nie przestając obserwować okolicy, sięgnął po radio, wcisnął klawisz nadawania i przysunął mikrofon do ust.

— Zadanie zakończone sukcesem - zameldował. - Króliki uciekają.

— Zrozumiałem - odparł Louis Favre. - Czółna już ruszają. Spotykamy się w ich obozie za dwie godziny. Bez odbioru.

Polowanie znów się zaczęło.

Jacques odwrócił się do swoich ludzi, aby przekazać im dobrą wiadomość, ale ich nie zobaczył. Natychmiast przykucnął.

- Manuel! Roberto!

Nikt mu nie odpowiedział.

Otaczała go czarna noc, a dżungla była jeszcze czarniejsza. Jacques znowu założył maskę do nurkowania z noktowizorem. Las trochę pojaśniał, ale gęsta roślinność sprawiała, że widoczność była bardzo zła. Jacques cofnął się do wody i dotknął jej bosą stopą.

Zatrzymał się, znieruchomiał między grozą przed sobą i grozą za sobą.

W tym momencie dostrzegł przez noktowizor jakiś ruch. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że oddalony o jakieś dziesięć metrów cień przybrał kontur człowieka i uważnie go obserwuje. Jacques zamrugał i ciemna postać zniknęła, ale teraz wszystkie cienie dżungli zaczęły się poruszać i przesuwać w jego kierunku.

Szybko wszedł do wody, szukając dłonią ustnika aparatu oddechowego.

Jeden z cieni oderwał się od krawędzi dżungli i ukazał na tle mulistego brzegu. Był ogromny, przerażający...

Jacques krzyknął, ale z jego ust wydobył się jedynie zduszony charkot. Z lasu szły na niego kolejne cienie. Przypomniała mu się stara modlitwa i zaczął ją szybko odmawiać, jednocześnie wycofując się do wody.

Za jego obawą przed piraniami i ciemną wodą krył się straszliwy lęk przed zjedzeniem żywcem.

Skoczył do tyłu, obracając się w powietrzu, aby zanurkować do wody.

Jednak cienie okazały się szybsze.

#### GODZINA 23.51

Nathan szedł niemal na samym końcu grupy, pod lufą strzelby taśmą samoprzylepną umocował latarkę. Za nim marszerowali już tylko Carrera i sierżant Kostos. Wszyscy mieli

latarki, których światłem omiatali otaczające ich drzewa. Mimo ciemności poruszali się bardzo szybko, chcąc jak najbardziej oddalić się od tych, którzy podpalili tratwy.

Plan kapitana Waxmana zakładał znalezienie terenu, który byłby łatwiejszy do obrony. Z bagnem z jednej strony i dżunglą z drugiej nie daliby rady odeprzeć ataku, jaki mogły ściągnąć na nich płonące tratwy - a nikt nie był na tyle głupi, aby sądzić, że taki atak nie nastąpi.

Przyzwyczajeni do nagłych zmian rozkazów rangersi zdążyli już wybrać odpowiednie miejsce. Kapral Warczak zauważył w górze wąwozu jaskinie i właśnie tam teraz zdążali.

Była to zarazem doskonała kryjówka i pozycja znacznie lepiej nadająca się do obrony.

Nathan szedł z tyłu grupy razem z Carrerą, która trzymała w rękach dziwną broń o zakończeniu przypominającym łopate. Kierowała ją w stronę ciemnej dżungli.

— Co to jest? - zapytał.

— Z powodu strat w bagnie mamy za mało M-szesnaście i musieliśmy zacząć wykorzystywać inne rodzaje uzbrojenia - odparła. - To bailey, prototypowa broń przeznaczona do walki w dżungli. - Wcisnęła przycisk i ciemność przecięła czerwony promień lasera. Spojrzała przez ramię na wyższego rangą kolegę. - Mogę zademonstrować?

— Test broni! - krzyknął ostrzegawczo sierżant sztabowy Kostos.

Carrera uniosła swoją dziwną broń i poszukała celu. Po chwili zatrzymała czerwony promień lasera na pniu rosnącego w odległości mniej więcej dwudziestu metrów drzewka.

- Poświeć tam!

Nathan skierował promień swojej latarki we wskazane miejsce. Wszyscy odwrócili głowy w tamtą stronę.

Carrera pociągnęła za spust. Nie było eksplozji, usłyszeli jedynie przenikliwy gwizd. W powietrzu mignęło coś srebrnego i rozległ się dźwięk, jakby coś pękło. Drzewko przewróciło się do tyłu - jego pień został równiutko odcięty. Rosnące za nim wielkie drzewo zadygotało od silnego uderzenia. Nathan skierował na nie światło latarki - w jego pniu tkwiło coś srebrnego.

Carrera wskazała drzewo głową.

— Ośmiocentymetrowe krążki tnące, coś w rodzaju japońskich *shuriken* - wyjaśniła. - Idealne do walki w dżungli. Przy nastawieniu na ogień ciągły można wyciąć całą roślinność wokół siebie.

— I zlikwidować wszystko, co się w niej będzie ukrywać - dodał Kostos.

Nathan z respektem przyjrzał się niezwyklej broni.

Szli dalej w górę zarośniętego wąwozu, prowadzeni przez kaprała Warczaka i kapitana Waxmana. Maszerowali wzdłuż wąskiego strumienia, ale na wszelki wypadek nie zbliżali się do jego koryta. Po półgodzinie Warczak skręcił na południe, w stronę czerwonych wzgórz.

Jak na razie nic nie świadczyło o tym, że są ścigani, ale wszyscy uważnie obserwowali okolicę. W którymś momencie baldachim listowia przerzedził się na tyle, że można było dostrzec gwiazdy i jasno świecący księżyc. Wąwóz kończył się pochyłą czerwoną ścianą, u której podnóża leżały wielkie głazy i poodłupywane odłamki skalne.

Pod jej szczytem widać było wejścia do licznych jaskiń i głębokie pęknięcia.

- Zaczekajcie... - syknął kapitan Waxman i kazał się wszystkim schować w gęstych krzewach rosnących pod skarpa. Potem dał znak Warczakowi, aby zbadał teren.

Kaprał zgasił latarkę, założył gogle noktowizyjne i wszedł w mrok. Niemal natychmiast zniknął w zaroślach.

Nathan przykucnął. Dwoje rangersów za nim zajęło stanowiska obronne. Nathan uniósł swoją strzelbę. Prawie wszyscy byli uzbrojeni, nawet Kelly trzymała w ręku pistolet. Jedyne Anna Fong i Kouwe mieli puste ręce.

Profesor przysunął się do Nathana.

— Nie podoba mi się to - oświadczył.

— Jaskinie?

— Nie... ta sytuacja.

— Co masz na myśli?

Kouwe spojrział w kierunku bagna. Tratwy ciągle jeszcze płonęły.

— Wyczułem w ogniu kerozynę.

— I co z tego? Pewnie to żywica z soplicy australijskiej.



Ma zapach podobny do kerozyny, a jest jej tu wszędzie mnóstwo.

Profesor potarł podbródek.

— Sam nie wiem... Ognisko, które ściągnęło na nas szarańczę, zostało starannie uformowane w kształt symbolu Ban-ali, a tratwy podpalono byle jak.

— Po prostu byliśmy czujni i Indianie musieli szybko działać. Prawdopodobnie na nic więcej nie starczyło im czasu.

Kouwe popatrzył na Nathana.

— To nie była robota Indian.

— A czyja?

— Tych, którzy nas śledzą od samego początku. - Profesor przysunął usta do ucha Nathana. - Ten, kto ułożył symbol Ban-ali i po jego podpaleniu zwabił szarańczę, podkradł się do naszego obozu w biały dzień. Nie zostawił po sobie śladu. Ani jednej złamanej gałązki. To był doskonały tropiciel. Wątpię, czy sam potrafiłbym zrobić coś podobnego.

Nathan zaczynał rozumieć jego niepokój.

- A ci, którzy nas śledzą, są bardzo nieostrożni i niedbali, tak?

Profesor wskazał głową w stronę bagna.

- Właśnie... jak w przypadku tych podpaleń.

Nathan przypomniał sobie tajemnicze mignięcie światła, które poprzedniego popołudnia dostrzegł wysoko w drzewach.

- Co proponujesz?

Kouwe zacisnął zęby.

— Mamy do czynienia z więcej niż jednym zagrożeniem. Cokolwiek jest przed nami... cudowny środek umożliwiający regenerację kończyn czy lekarstwo na rozszerzającą się zarazę... będzie warte miliardy. Wielu ludzi słono by za to zapłaciło.

— I sądzisz, że ten ogień podłożyła podążająca za nami druga wyprawa? Po co?

— Chcieli, żebyśmy zaczęli w panice uciekać - odparł profesor. - Nie mogą ryzykować, że dostaniemy uzupełnienie. Prawdopodobnie wykorzystują nas jako tarczę przeciwko naturalnym pułapkom zastawianym przez Ban-ali. Jesteśmy dla nich czymś w rodzaju mięsa armatniego. Będą czekać, aż

wszyscy zginiemy albo dotrzemy do Ban-ali. Wtedy się pojawią i przejmą nagrodę. Nathan popatrzył na niego z wyrzutem.

- Dlaczego nie wspomniałeś o tym wcześniej?

Kouwe nic na to nie odpowiedział i po chwili Nathan zrozumiał, czemu profesor milczał.

— Zdrajca... - szepnął. - Ktoś z naszej grupy współpracuje z ludźmi, którzy za nami idą...

— Właśnie. Czy to nie dziwny zbieg okoliczności, że straciliśmy kontakt ze światem akurat w chwili, gdy jesteśmy blisko krainy Ban-ali? No i ten fałszywy sygnał GPS...

— ...dzięki któremu nasi ludzie mogą szukać nas długo i namiętnie.

— Otóż to.

Nathan popatrzył po kucających dookoła ludziach.

- Kto to może być?

Profesor wzruszył ramionami.

— Każdy. Na pierwszym miejscu umieściłbym Rosjanina. To jego sprzęt i sfingowanie awarii byłoby dla niego najprostsze. Ale z drugiej strony za każdym razem, kiedy Olin gdzieś odchodził, przy komputerze kręcił się albo Zane, albo Anna Fong. Natomiast O'Brienowie mają powiązania z CIA, a wiadomo, że dla osiągnięcia swoich celów agencja lubi nastawiać różne strony przeciwko sobie. Nie możemy też wykluczyć żadnego z rangersów.

— Żartujesz!

— Odpowiednia suma może przekonać niemal każdego. A rangersi przechodzą szkolenie z zakresu technik komunikacyjnych.

— W ten sposób jedyną osobą, której możemy ufać, pozostaje Manny.

Kouwe potrząsnął głową.

- Czyżby?

— Chyba nie mówisz tego poważnie! Manny? Przecież jest naszym przyjacielem!

— I pracuje dla brazylijskiego rządu. Myślisz, że Brazylia nic chciałaby zatrzymać takiego odkrycia dla siebie? Tego typu medyczna zdobycz to skarb.

Nathan poczuł ciarki na plecach. Czyżby profesor miał rację? Czyżby naprawdę nie było wśród nich nikogo, komu mogliby zaufać?

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, ciszę nocną rozdarł rozpaczliwy krzyk. Coś wielkiego przeleciało w powietrzu i wylądowało na ziemi. Nathan podbiegł tam szybko.

Kiedy latarki oświetliły leżący na trawie zakrwawiony przedmiot, Anna Fong wrzasnęła przeraźliwie.

Był to kapral Warczak. Wyciągał rękę, jakby tonął. Próbował ponownie krzyknąć, ale wydobył z siebie jedynie charkot.

Nathan stał jak wmurowany. Nie mógł oderwać wzroku od straszliwie poszarpanego ciała rangersa.

Kapral Warczak nie miał dolnej części ciała. Został przegryziony na pół.

- Broń w gotowości! - krzyknął Waxman.

Nathan opadł na jedno kolano i wycelował w ciemność. Kelly i Kouwe ukłękli przy kapralu, chcąc ulżyć jego cierpieniom, nie było to już jednak potrzebne. Warczak nie żył.

W dżungli wśród drzew przemykały czarne cienie, podrygujące w skaczących światłach latarek. Nie wszystkie były złudzeniem - wiele z nich sunęło w kierunku tkwiącej w pułapce grupy.

Jeden z rangersów wystrzelił flarę i kiedy eksplodowała, niebo rozświetliło się magnezjową jaskrawością, która pokryła dżunglę srebrem i czernią. Nagła jasność sprawiła, że sunące na nich cienie zatrzymały się.

Nathan uświadomił sobie, że patrzy prosto w błyszczące ślepie, rozjaśnione światłem flary. W cieniu głazu ukrywało się potężne zwierzę, wielkie jak byk, ale szczupłe i smukłe. Kot! Obserwował człowieka oczami czarnymi i zimnymi jak kawałki obsydianu. Wokół niego, za otaczającymi grupę ludzi drzewami i głazami, czaiły się kolejne bestie. Stado liczyło przynajmniej dwadzieścia sztuk.

- Jaguary... - wymamrotał z przerażeniem Manny. - Czarne jaguary.

Budową przypominały Tor-tora, jednak były od niego trzy razy większe. Każdy z nich musiał ważyć pół tony. Ich rozmiary były... prehistoryczne.

- Są wszędzie dookoła nas - szepnęła Carrera.

Nathan przypomniał sobie ostatnią wiadomość, jaką świat otrzymał od Carla Randa: „Nie wytrzymamy dłużej. Boże, są wszędzie wokół nas...”. Czyżby tak właśnie skończył jego ojciec?

Przez chwilę nikt się nie ruszał. Nathan wstrzymywał oddech, w nadziei, że nocne drapieżniki przestraszą się światła i wycofają. To samo musiało przyjść do głowy jednemu z rangersów, bo w niebo pomknęła druga flara.

- Zachować spokój! - syknął Waxman.

Impas przedłużał się. Stado jaguarów nie odchodziło.

- Sierzancie, na mój sygnał połóżcie w stronę skarpy ścieżkę z granatów - powiedział Waxman. - Pozostali trzymać broń w pogotowiu. Kiedy dam znak, biegnijcie do środkowej jaskini.

Nathan rzucił okiem na wejście do niej. Gdyby udało im się tam dotrzeć, musieliby odpierać atak ogromnych kotów tylko z jednej strony...

- Carrera, osłaniaj nas baileyem...

Słowa kapitana przerwał wystrzał z pistoletu. Zane, trzymając dymiący pistolet, robił właśnie krok do tyłu.

Znajdujący się najbliżej nich kot prychnął i skoczył dwa metry do przodu. Pozostałe jaguary zawtórowały mu basowymi pomrukami i również zaczęły się zbliżać.

- Teraz! - krzyknął Waxman.

Kostos ukląkł na jednym kolanie, wycelował M-16 w stronę zbocza i wypalił. Carrera odwróciła się za siebie i zaczęła strzelać z biodra, osłaniając tyły. W powietrze wyprysnął rój srebrnych krążków, szarpiąc roślinność.

Jeden z jaguarów został trafiony w locie, prosto w odsłonięty brzuch. Zawył i zwałił się ciężko na ziemię.

Jego ryk został zagłuszony przez kanonadę granatów Kostosa. Od zbocza zaczęły się odbijać ogłuszające huki, wokół wznosiły się kłęby pyłu i piachu.

Wszyscy strzelali. Frank ochraniał siostrę i profesora, wciąż przykucniętych obok szczątków kaprała Warczaka. Manny klęczał na jednym kolanie koło Tor-tora, który obserwował tę potyczkę szeroko otwartymi ślepiami. Zane i Olin stali przy Annie Fong i na ślepo strzelali w ciemność.

Nathan czekał z uniesioną bronią, skoncentrowany na ogromnym jaguarze, który pojawił się pierwszy. Zwierzę wciąż czaiło się za wielkim głazem i mimo łoskotu wystrzałów i grzechotu fruwających wokół odłamków skalnych nie ruszało się z miejsca.

Z zasypanego granatami zbocza zbiegały kolejne bestie. Kilka z nich zostało zabitych.

- Do jaskini! - krzyknął Waxman.

Cała grupa rzuciła się przez krzaki w kierunku wzgórza. Nathan przez cały czas celował w wielkiego kota. Jeśli choć poruszy ogonem...

Kapitan machał ręką, pokazując drogę, a Kostos prowadził.

- Musicie dostać się na górę, zanim nas znowu zaatakują! - zawołał Waxman i opadł na ziemię obok Carrery.

Stado jaguarów szło śladem ludzi. Kilka z nich kulało, kilka zatrzymało się, by powąchać swoich martwych towarzyszy, lecz nie zamierzały odejść. Jednak przynajmniej zachowywały pełen respektu odstęp.

Nathan podniósł się i minął nieruchomego kota, śledzącego przemarsz ludzi. W jego zimnym spojrzeniu widać było inteligencję - najwyraźniej zwierzę oceniało siły przeciwnika.

Aby oszczędzać amunicję, Carrera przełączyła baileya na manualny tryb pracy. Strzeliła pojedynczym dyskiem do samotnego kota, który próbował się do niej zbliżyć, niestety nie trafiła i stalowy krążek jedynie odciął zwierzęciu ucho i poleciał w dżunglę. Ranny jaguar przysiadł i zaryczał z bólu i złości.

- Nie zatrzymywać się! - krzyknął Waxman.

Wejście do jaskini było bezpośrednio przed nimi. Nerwowy bieg ludzi zamienił się w spanikowany trucht. Biegący przodem Kostos uniósł raketnicę i strzelił w otwór prowadzący do jaskini. Rakietka eksplodowała jaskrawym światłem w jej wnętrzu.

- Czysła! - wrzasnął sierżant. - Ruszać się!

Pierwsi wbiegli do środka Zane, Olin i Anna. Kostos stał ze swoim M-16 przy wejściu i ponaglał pozostałych.

- Tempo! Tempo!

Frank pchał przed sobą Kelly, a tuż za nim biegł Kouwe. Kiedy flary na niebie zgasły, Nathan z gotową do strzału bronią zajął pozycję po drugiej stronie wejścia.

Manny i Tor-tor byli następni, Waxman i Carrera deptali im po piętach.

Wszystko wskazywało na to, że ucieczka do jaskini się uda.

Nagle z coraz bardziej ciemniejszego cienia wyskoczył jaguar i wylądował na wielkim głazie obok dwojga idących na końcu grupy rangersów. Carrera przykucnęła i wycelowała, ale zanim zdążyła strzelić, zwierzę machnęło łapą i wbiło pazury w pierś kapitana.

Waxman został poderwany do góry. Wrzasnął i nacisnął spust, trafiając wielkiego kota w łopatkę. Impet strzału odrzucił bestię, pociągnęła jednak swoją ofiarę za sobą. Machając wściekle rękami i nogami, kapitan przeleciał nad głazem.

Carrera natychmiast ruszyła na pomoc swojemu dowódcy. Po chwili zza skały doleciał charakterystyczny wizg jej broni. Zaraz jednak pojawiła się ponownie, cofając się przed dwoma jaguarami. W ich ciałach tkwiły srebrne ostrza. Najwyraźniej Carrerze skończyła się amunicja.

Nathan podbiegł do niej i wyciągnął strzelbę na wyprostowanej ręce, z wylotem lufy niespełna pół metra od wyszczerzonej paszczy jednego z jaguarów. Strzał odrzucił bestię do tyłu.

Carrera wyszarpnęła z kabury pistolet i zaczęła strzelać do drugiego jaguara. Pociągała za spust, aż skończyły się jej naboje. Zwierzę padło na ziemię i znieruchomiło.

Nathan i Carrera odwrócili się w stronę wejścia do jaskini.

W tym momencie zza głazu wyczołgał się kapitan. Nie miał jednej ręki, a jego twarz była krwawą maską.

- Myślałam... zdawało mi się, że nie żyje - wyszeptła przerażona Carrera.

Waxman przepelzł kilkanaście centymetrów, ale z ciemności wystrzeliła nagle potężna łapa, ostre pazury wbiły mu się w udo i pociągnęły go z powrotem w ciemność. Zaczął krzyczeć i drapać palcami ziemię, nie miał się jednak czego chwycić.

Huknął strzał i głowa kapitana odskoczyła do tyłu, zaraz jednak siła odrzutu szarpnęła ją do przodu i czoło uderzyło o skałę. Waxman nie żył. Nathan odwrócił się i zobaczył sierżanta Kostosa powoli opuszczającego broń. Na jego twarzy malowało się cierpienie i poczucie winy. - Wszyscy do środka! - krzyknął.

Nathan i Carrera rzucili się w stronę jaskini. Frank i Kostos czekali na nich przy wejściu z bronią gotową do strzału.

- Szybciej! - zawołał Frank.

Nathan kątem oka dostrzegł z lewej strony przesuwaną się wzdłuż podstawy wzgórza czarną cień.

- Uważajcie! - wrzasnął.

Był to największy jaguar - ten, którego zauważył jako pierwszego.

Zwierzę skoczyło na Franka. Został wyrzucony w powietrze i po chwili wylądował ciężko na plecach. Kostos został niemal wprasowany w skałę. Wielki kot uciekł w cień.

- Frank! - wrzasnęła Kelly.

Nathan i Carrera byli już przy wejściu. Kostos zbierał się z ziemi. Ciężko oddychał i trzymał się za pierś.

- Pomóżcie mi! - zawołała Kelly.

Frank wił się z bólu. Nie miał obu nóg od kolan w dół. Na kamienie tryskała krew. W ciągu kilku sekund ogromny jaguar odciął dwie ludzkie nogi niczym gilotyna.

Kouwe ukucnął z jednej strony Franka, a Olin z drugiej i razem wciągnęli okaleczonego mężczyznę do jaskini. Zaraz za nimi do środka wbiegła Kelly. Pospiesznie wyjęła z plecaka opaski uciskowe. Na ziemię posypały się plastikowe ampułki z morfiną. Nathan pozbiierał je.

Od strony wejścia dobiegł odgłos strzału i przed jaskinią błysnęła kolejna flara. Oszołomiony Nathan stał bez ruchu, trzymając w dłoniach ampułki.

Kouwe wziął od niego morfinę.

- Pilnuj naszych pleców - powiedział, wskazując wejście.

Olin i Kelly pochylili się nad rannym. Po policzkach Kelly spływały łzy, ale jej twarz była skupiona i zdecydowana. Nie zamierzała pozwolić bratu umrzeć.

Nathan podszedł do stojących przy wejściu rangersów, Kosta i Carrery. W świetle flary widać było, że wokół jaskini przez cały czas krążą czarne cienie. Pokryte głazami zbocze dawało kotom doskonałą osłonę.

Dołączył do nich Manny. Tor-tor powąchał wysychającą na skale krew Franka i zawarczał.

— Doliczyłam się przynajmniej piętnastu - poinformowała ich Carrera, która obserwowała okolicę przez gogle noktowizyjne. - Wcale nie mają zamiaru odejść.

— Jeśli zaatakują nas wszystkie jednocześnie, nie powstrzymamy ich - mruknął ponuro Kostos. - Został nam tylko jeden granatnik, dwa M-szesnaście i kilka pistoletów.

— I moja strzelba - dodał Nathan.

— Założyłam do baileya nowy magazynek, ale to już ostatni - oświadczyła Carrera.

Manny przykucnął.

— W głębi jaskini są gałęzie i suche liście. Możemy przy wejściu rozpalić ognisko - powiedział.

— Więc zrób to - odparł Kostos.

Kiedy Manny wstawał, po zboczu przetoczył się basowy warkot. Zamarli. Flara oświetliła ogromną kocią sylwetkę. Wszyscy unieśli broń.

Był to największy jaguar.

- Samica - stwierdził Manny.

Zwierzę stało na otwartym terenie i patrzyło na nich - najwyraźniej rzucało im wyzwanie. W dżungli za nim kotłowały się muskularne i zaopatrzone w potężne pazury smukłe cielska.

- Co robimy? - spytała Carrera.

— Ta suka próbuje nas stąd wywabić - powiedział Kostos i przysunął twarz do lunetki.

— Nie strzelaj! - syknął Nathan. - Jeśli to zrobisz, będziemy mieli na karku całe stado.

— Nate ma rację - poparł go Manny. - Są żądne krwi. Byle głupstwo może je sprowokować. Zaczekaj przynajmniej, aż rozpalę ognisko.

Wielki kot wydawał się słyszeć te słowa, bo ryknął i skoczył w stronę jaskini. Choć ogromny i ciężki, poruszał się błyskawicznie.

Kostos strzelił, ale jaguar był zbyt szybki i pociski załomotały o skałę, omijając zwierzę, jakby było fantomem. Z baileya wyprysnął pojedynczy latający krążek, odbił się od głazu i potoczył po zboczu.

Nathan opadł na kolano i wycelował ze swojej strzelby.

- Chodź tu, koteczku... - wyszeptał.



Carrera ponownie wycelowała, zanim jednak zdążyła strzelić, coś ją odepchnęło od wejścia. Obok niej śmignął wychowanek Manny'ego i wyskoczył z jaskini na otwarty teren.

- Tor-tor! - krzyknął biolog.

Młody jaguar przebiegł kilka metrów i zatrzymał się, blokując drogę wielkiej samicy. Warknął ostro i przykucnął, gotów do skoku. Groźnie machał ogonem, pokazując pazury i ostre kły.

Olbrzymia samica ruszyła do przodu, najwyraźniej zamierzając przewrócić intruza jak plastikowy słupek, jednak w ostatniej chwili zatrzymała się i przykucnęła - tak samo jak Tor-tor. Oba koty patrzyły na siebie i syczały.

Kostos uniósł broń.

— Już nie żyjesz, dziwko...

— Zaczekaj! - zawołał Manny.

Oba koty zaczęły się okrażać. Kiedy w którymś momencie wielka samica odwróciła się bokiem, rangersi z trudem się powstrzymali, aby nie strzelić.

— Co one robią? - spytała zdziwiona Carrera.

— Ta duża jaguarzyca nie może zrozumieć, dlaczego przedstawiciel jej gatunku, nawet tak mały jak Tor-tor, broni ludzi. Zaskoczyło ją to - wyjaśnił Manny.

Zwierzęta przestały warczeć. Ostrożnie zaczęły się do siebie zbliżać, nadal się okrażając, aż niemal zetknęły się nosami. Nastroszona sierść większego kota opadła, kiedy obwąchiwał tego dziwnego malca, i zaczął cicho posapywać.

W końcu jaguary przerwały swój taniec i powróciły do pozycji wyjściowej. Tor-tor znajdował się między samicą a jaskinią.

Po chwili przywódczyni stada jaguarów wydała z siebie basowy warkot, wyciągnęła łeb i potarła policzkiem bok łba Tor-tora. Najwyraźniej osiągnięto jakieś porozumienie, zawarto rozejm. Potem ruchem tak szybkim, że widać było jedynie mignięcie czarnego futra, wielki kot odwrócił się i zbiegł na dół.

Tor-tor podniósł się powoli. Jego oczy błyszczały. Spokojnie wygładził fragment zmierzwionego futra i powoli ruszył w stronę jaskini, jakby wracał z przechadzki.

Carrera opuściła broń i poprawiła gogle.

- Odchodzą... - wymamrotała zdumiona.

Manny objął Tor-tora.

— Ty durny draniu... - szepnął.

— Co się właściwie stało? - spytał Kostos.

— Tor-tor niedługo osiągnie dojrzałość płciową - wyjaśnił Manny. - Teraz jest takim jaguarzym nastolatkiem. A tamta samica, choć wielka, była chyba w podobnym wieku. Taka ilość krwi w powietrzu musiała je pobudzić... również seksualnie. Zachowanie Tor-tora było nie tylko ostrzeżeniem, ale także samczym pokazem.

Kostos pokręcił głową.

— Chcesz powiedzieć, że to była gra o dobranie się jej do tyłka?

— Owszem - odparł Manny, z dumą klepiąc swojego jaguara po boku. - Ponieważ Tor-tor wyszedł do niej i rzucił jej wyzwanie, mogła pomyśleć, że jest przywódcą naszego stada... możliwym do zaakceptowania partnerem.

— I co teraz? - spytała Carrera. - Cofnęły się, ale nie odeszły. Zebrały się w dole wąwozu i zagradzają nam drogę do jeziora.

Manny wzruszył ramionami.

- Nie wiem, ale Tor-tor podarował nam nieco czasu. Wy korzystajmy to. Rozpalmy ognisko i wystawmy strażę.

Nathan obserwował gromadzące się w wąwozie jaguary. Co one tak naprawdę zamierzały?

- Mamy towarzystwo - powiedziała nagle z napięciem w głosie Carrera, wskazując jakiś punkt w górze wąwozu.

Kiedy tam spojrział, nie zobaczył niczego poza drzewami i gałkami.

- Co masz na...

W tym momencie dostrzegł jakiś ruch.

Z dżungli wyszła ciemna ludzka postać. Mężczyzna. Podobnie jak koty, był jedynie czarnym cieniem. Uniósł ramię, po czym odwrócił się i zaczął iść środkiem wąwozu - tak, aby go widziano. Obserwowali go ze zdumieniem.

- To prawdopodobnie jeden z Ban-ali - mruknął Nathan.

Postać zatrzymała się i odwróciła do nich, jakby na coś czekała.

- Pewnie chce, żebyśmy za nim poszli - stwierdził Manny.

- Jaguary nie pozostawiają nam wielkiego wyboru - za  
uważyła Carrera. - Cały czas siedzą w dżungli w dole.

Czarna sylwetka wciąż stała i czekała.

— Co robimy? - spytała Carrera.

— Idziemy za nim. Przecież właśnie po to tu przyszliśmy...  
szukać Ban-ali. Może te jaguary były ich ostatnią próbą.

— Albo kolejną pułapką - odparł Kostos.

— Chyba nie mamy wyjścia - orzekła Carrera. - Jeśli nie  
pójdziemy za tym człowiekiem, te czarne bestie nas wykończą.

Nathan spojrział przez ramię w głąb jaskini. Dziesięć metrów  
dalej Kelly, Kouwe i ich pomocnicy zajmowali się rozebraniem  
do bokserów Frankiem. Anna trzymała plastikową butelkę, z  
której podawano mu dożylnie jakiś płyn. Kelly już oban-  
dażowała jeden kikut i podwiązywała w drugim naczyniu  
krwionośne. Kouwe czekał obok z przygotowanymi bandażami.  
Na ziemi leżały puste strzykawki i ampułki.

- Dowiem się, czy można transportować Franka - powie  
dział Nathan.

- Nie zostawimy nikogo - oświadczył Kostos.

Nathan kiwnął głową i podszedł do zgromadzonych przy  
rannym ludzi.

- Co z Frankiem? - spytał profesora.

- Stracił mnóstwo krwi. Kiedy jego stan się ustabilizuje,  
Kelly chce mu zrobić transfuzję.

Nathan westchnął.

- Być może będziemy musieli go przetransportować.

- Co?! - zawołała Kelly. - Nie wolno go ruszać!

Nathan przykucnął i poczekał, aż zabandażuje drugi kikut.  
Frank jęknął cicho.

- Nawiazali z nami kontakt Ban-ali. Może to zaprosze  
nie do ich wioski. Podejrzewamy, że może nie zostać pono  
wione.

Kouwe kiwnął głową.

— Musieliśmy minąć ostatnią przeszkodę, przeżyć końcowe  
wyzwanie - oświadczył, potwierdzając ocenę Nathana. -  
Okazaliśmy się godni i zasłużyliśmy na wejście na ich teren.

— Ale Frank... - zaczęła Kelly.

— Mogę zrobić z bambusa i liści palmowych nosze --

powiedział Kouwe i dotknął jej dłoni. - Jeżeli go nie zabierzemy, prawdopodobnie go zabiją. Zabiją nas wszystkich.

Kelly spojrzała na niego ze strachem. Najpierw córka, teraz brat...

Nathan ukląkł obok niej i objął ją ramieniem.

- Zadbam o to, aby bezpiecznie dotarł razem z nami do siedzib Ban-ali. Olin będzie tam mógł naprawić swój sprzęt i wezwać pomoc.

Rosjanin energicznie pokiwał głową.

— Przynajmniej naprawię GPS, żebyśmy mogli podać nasze prawidłowe położenie.

— Wtedy przyślą nam pomoc i zabiorą twojego brata - dodał Nathan. - Na pewno przeżyje. Wszyscy przeżyjemy.

Kelly wtuliła się w niego, jej ciało zmiękło.

- Obiecujesz? - zapytała przez łzy.

Objął ją mocniej.

- Obiecuję - odparł i popatrzył na bladą twarz Franka i przesączającą się przez świeżo założone bandażę krew. Mógł się jedynie modlić, aby ta obietnica okazała się realna.

Kelly poruszyła się, jakby chciała uwolnić się z jego ramion.

- W takim razie ruszajmy - powiedziała znacznie pewniejszym głosem.

Pomógł jej wstać.

Natychmiast zaczęli szykować się do wymarszu. Kostos i Manny poszli poszukać odpowiednich gałęzi na nosze, a Kelly i Kouwe próbowali ustabilizować Franka. Po kilkunastu minutach byli gotowi.

— Nasz gość ciągle czeka - powiedziała Carrera, kiedy Nathan do niej podszedł.

— Trzymać się razem! - zarządził Kostos. - Zachować ostrożność!

Ruszył na czele grupy, a Manny i Olin znaleźli się prawie na końcu - z noszami, do których przywiązano Franka. Kelly szła tuż za bratem, Nathan i Carrera byli ostatni.

W wejściu Nathan potknął się o coś. Pochylił się, aby zobaczyć, co to takiego.

Nie mogli tego tu zostawić.

Strząsnął kurz ze „szczęśliwej czapki” Franka, podszedł do niego i założył mu ją.

Kelly uśmiechnęła się do niego smutno. Kiwnął głową, przyjmując to nieme podziękowanie, po czym wrócił na tył grupy. Znowu zaczął obserwować dżunglę i dokładnie przyjrzał się stojącej w oddali postaci.

Dokąd ten człowiek ich zaprowadzi?

## Domostwo

16 SIERPANIA, GODZ. 4.13  
DŻUNGLA AMAZOŃSKA

Louis płynął czółnem i czekał na swoich tropicieli. Do świtu pozostało jeszcze kilka godzin. Na czystym niebie świeciły gwiazdy, ale księżyc już zaszedł, co spowiło bagno w mroku. Louis wypatrywał swoich ludzi przez gogle noktowizyjne, ale nie mógł dojrzeć żadnego z nich.

Zmarszczył brwi. Czuł, że cały jego plan się wali. Co się dzieje? Mający zmusić oddział przeciwnika do ucieczki podstęp się powiódł, ale co teraz?

O północy jego oddział przepłynął bagno czółnami, które ściągnięto ładem z rzeki. Kiedy zbliżali się do brzegu, nocne niebo rozjaśniły flary, a potem w górze wąwozu zaczęto strzelać. Echa wystrzałów dolatywały do bagna.

Louis obserwował toczącą się w ciemnościach walkę przez lornetkę. Oddział rangersów znowu został zaatakowany, jednak z miejsca, w którym Louis się znajdował, nie można było zobaczyć przez kogo. Nie udało mu się nawiązać kontaktu z oddziałem Jacques'a - porucznik tajemniczo zamilkł.

Louis potrzebował informacji, posłał więc na brzeg swoich najlepszych tropicieli wyposażonych w sprzęt noktowizyjny, którzy mieli sprawdzić, co się dzieje, a sam pozostał w bezpiecznej odległości od brzegu.

Minęły już dwie godziny, ale tropiciele nie dawali znaku życia, nawet nie zgłosili się przez radio. Trzej żołnierze, którzy

siedzieli razem z Louistem i Tshui w czóźnie, cały czas obserwowali brzeg przez lornetki.

Indianka pierwsza zauważyła wychodzącego z lasu człowieka. Wskazała go palcem i syknęła ostrzegawczo.

Louis przesunął lornetkę. Był to dowódca oddziału tropicieli - machał do nich, aby podpływali.

- Nareszcie... - mruknął Louis.

Konwój członków ruszył w kierunku brzegu. Louis był jednym z pierwszych, którzy wysiedli. Dał swoim ludziom znak, aby zajęli pozycje obronne, po czym podszedł do tropiciela.

Ciemnowłosego najemnika był Niemcem i nazywał się Brail. Miał nie więcej jak metr pięćdziesiąt parę i był ubrany w strój kamuflujący, a jego twarz pokrywały barwy ochronne.

— Co znalazłeś? - zapytał go Louis.

— Jaguary. Jakies piętnaście sztuk - powiedział tamten z wyraźnym niemieckim akcentem.

Louis kiwnął głową. Nie był zaskoczony. Wyjaśniało to dobiegające od strony wąwozu dziwne ryki.

— Ale to nie są zwykłe jaguary - dodał Brail. - To potwory. Trzy razy większe niż normalnie. Znalazłem też trupa... pokazać ci go?

— Nie trzeba - odparł Louis i machnął ręką. - A co się stało z resztą?

Brail opowiedział, jak ostrożnie musieli się poruszać, aby ich nie dostrzeżono. Pozostali członkowie czteroosobowego oddziału tropicieli wciąż jeszcze siedzieli na drzewach rosnących nad wąwozem.

- Jaguary poszły w górę - dodał. - Wyglądało to tak, jakby zaganiały gdzieś tamtych. - Wysunął otwartą dłoń. - Kiedy odeszły, znaleźliśmy to przy nadżartych zwłokach... - Na jego dłoni leżał kawałek materiału z dwiema kapitańskimi belkami. Był to strzęp munduru dowódcy rangersów.

- Dlaczego nie atakują pozostałych?

Niemiec dotknął swojego noktowizora.

— Zauważyłem człowieka, który odchodził z nimi w górę wąwozu. Chyba był Indianinem.

— Ban-ali?

Tropiciel wzruszył ramionami.

Louis zaczął rozważać tę najnowszą informację. Nie mógł pozwolić na to, aby oddział przeciwnika odszedł zbyt daleko, zwłaszcza jeżeli nawiązał kontakt z tajemniczym plemieniem. Będąc tak blisko nagrody, nie mógł sobie pozwolić na zgubienie ekspedycji.

Był jednak pewien problem: odgradzały go od niej jaguary. Trzeba będzie wyeliminować te bestie na tyle cicho, aby nie zaalarmować przeciwnika.

Rozejrzał się po ciemnym lesie. Czas skradania się dobiegał końca. Kiedy tylko się dowie, gdzie leży wioska Ban-ali i zorientuje się w jej możliwościach obronnych, będzie mógł rozpocząć realizację ostatniej fazy planu.

— Gdzie są teraz te jaguary? - zapytał tropiciela. - Wszystkie idą w górę kanionu?

— W tej chwili tak. Jeżeli cokolwiek się zmieni, moi ludzie przekażą mi to przez radio. Na szczęście dzięki podczerwieni łatwo je zlokalizować.

Louis z zadowoleniem kiwnął głową.

— A jacyś inni wrogowie?

— Przeszukaliśmy całą okolicę, *Herr Doktor*, ale nie zauważyliśmy nic niepokojącego.

A więc - przynajmniej na razie - od oddziału najemników uwagę rangersów odwracały inne sprawy, choć Louis zdawał sobie sprawę z tego, że tak blisko wioski Ban-ali jego przewaga wkrótce zniknie. Od tej chwili będą musieli poruszać się bardzo szybko. Najpierw jednak trzeba oczyścić drogę z jaguarów.

Odwrócił się - tuż za nim stała Tshui, milcząca i niebezpieczna jak kot z dżungli. Pieszczotliwie przeciągnął palcem po jej policzku, a ona przycisnęła jego dłoń do swojej twarzy. Jego piękna specjalistka od trucizn i tajemnych mikstur.

- Tshui, *ma chérie*, chyba znowu będziemy musieli skorzystać z twoich umiejętności...

GODZ. 5.44

Nathana bolały barki od niesienia noszy. Maszerowali już ponad dwie godziny. Na wschodzie niebo zaczynało delikatnie różowieć.



— Ile jeszcze? - wysapał Manny, który trzymał nosze z przodu. Nie tylko on zadawał sobie to pytanie.

— Nie wiem, ale już nie możemy zawrócić - odparł Nathan.

— Chyba że chcemy zostać czyjąś poranną przekąską... - dodała Carrera.

Stado jaguarów szło za nimi przez cały czas, przemykając bezgłośnie między drzewami. Czasami ten czy ów wychodził na odkryty teren i wtedy na tle ciemnej skały ukazywała się wielka czarna sylwetka.

Ich obecność sprawiała, że Tor-tor był bardzo podekscytowany. Od czasu do czasu cicho syczał i okrażał nosze, jakby otaczał je ochroną.

Wydawało się, że jaguary pilnują, aby nie ustawiali w marszu za Indianinem, który cały czas szedł jakieś czterysta metrów przed nimi, utrzymując tempo, za którym byli w stanie nadążyć.

Mimo to wszyscy byli bardzo zmęczeni. Po tylu dniach niedosypiania poruszali się jak muchy w smole i często się potykali.

Dla Kelly ten marsz był najtrudniejszy. Nie odstępowała brata na krok, stale sprawdzała jego funkcje życiowe i poprawiała mu bandaż. Miała szarą jak popiół twarz i pełne niepokoju oczy. Kiedy nie badała Franka, trzymała go za rękę, jakby chciała w ten sposób przelać w niego choć odrobinę swojej siły.

Na szczęście morfina i środki uspokajające utrzymywały rannego w stanie otumanienia i tylko od czasu do czasu pojękiwał. Za każdym razem Kelly krzywiła się boleśnie, jakby sama również cierpiała - i prawdopodobnie rzeczywiście tak było.

- Uwaga! - krzyknął nagle idący na czele grupy Kostos. - Zmieniamy kierunek!

Nathan spojrział do przodu. Do tej pory przez cały czas szli mocno ubitą ścieżką biegnącą wzdłuż skalnej ściany, ale teraz ich przewodnik skręcił w stronę jednego z licznych pęknięć w skale. Szczelina sięgała od samej góry do dna wąwozu i była szeroka jak wjazd do garażu na dwa samochody.

Indianin podszedł do „wejścia”, odwrócił się, spojrział na zbliżających się ludzi, po czym zniknął w szczelinie.

- Sprawdzę - oświadczył Kostos.

Zwolnili kroku i sierżant ruszył w stronę pęknięcia w skale. Pod swoim M-16 miał zamocowaną latarkę. Zatrzymał się przy krawędzi szczeliny i zaświecił w nią. Przez kilka sekund obserwował jej wnętrze, a potem zamachał do pozostałych.

- To boczna odnoga wąwozu! - zawołał. - Stroma!

Ruszyli w jego stronę.

Nathan zajął w szczelinę. Pęknięcie sięgało do samej góry i do środka wpadało światło gwiazd. Biegąca środkiem ścieżka rzeczywiście była stroma, ale wejście ułatwiały wyrąbane w skale schody.

- Za tym wąwozem może być następny... albo dolina - mruknął Kouwe.

- Albo przejście na górny poziom - dodała Anna Fong.

Samotny Indianin wspinał się po schodach, nie oglądając się za siebie - najwyraźniej było mu obojętne, czy za nim pójda. Idące za nimi stado jaguarów podeszło bliżej i groźnie pomrukiwało.

— Musimy podjąć jakąś decyzję - stwierdziła Carrera.

Kostos ze zmarszczonym czołem patrzył na skalny przesmyk.

— To może być pułapka...

Zane zrobił dwa kroki w głąb przejścia.

- Już jesteśmy w pułapce, sierżancie. Ja w każdym razie wolę zaryzykować pójście za naszym przewodnikiem, niż zmierzyć się z tym, co mamy za plecami.

Nikt się z nim nie spierał. Wszyscy dobrze pamiętali, jak zginął Waxman i Warczak.

Kostos ruszył do przodu, mijając Zane'a.

- Wobec tego idziemy. Zachować ostrożność.

Wąwóz był wystarczająco szeroki, aby dwie osoby mogły iść obok siebie, trzymając po jednej ręczce noszy. Ułatwiało to nieco wspinaczkę, ale i tak była bardzo trudna.

Do mężczyzn niosących Franka podszedł Olin.

— Może któryś z was chce, żebym go zmienił? Manny skrzywił się.

— Jeszcze trochę wytrzymam. Ale Nathan przyjął ofertę.

Zaczęli się wspinać i wkrótce cała grupa mocno się rozciągnęła-

nęła. Nathana bolały kolana, piekły go mięśnie ud, a barki miał zeszytywniałe z wysiłku.

— Na pewno to już niedaleko - mruknął, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

— Mam nadzieję - westchnęła Kelly i popatrzyła na Franka.

— Jest silny - powiedział Manny, próbując ją uspokoić.

— Sama siła nie wystarczy.

— Wygrzebie się z tego - zapewnił ją Nathan. - Ma przecież swoją szczęśliwą czapeczkę, prawda?

Kelly znowu westchnęła.

— Uwielbia tę starość. Wiedziłeś, że grał w wiejskim klubie? W trzeciej lidze A. Ojciec był z niego taki dumny... wszyscy byliśmy. - Jej głos ścichł do ledwie słyszalnego szeptu. - Mówiono nawet, że mógłby przejść do pierwszej ligi. Ale potem miał wypadek na nartach i kontuzja kolana uniemożliwiła mu dalszą karierę.

— Więc dlaczego to jest jego szczęśliwa czapeczka? - zdziwił się Manny.

Kelly dotknęła brzegu daszka i na jej ustach pojawił się ślad uśmiechu.

- Przez trzy sezony grał... kochał to z całego serca. Nawet po wypadku nie zgorzkniał. Uważał się za najszczęśliwszego człowieka na świecie.

Nathan spojrział na czapeczkę i pomyślał, że chyba trochę zazdrości Frankowi tamtych dni sławy. Może ta czapeczka naprawdę była dla niego szczęśliwa? Im także w tej chwili przydałoby się nieco szczęścia.

- Jaguary przestały za nami iść - przerwała jego dumania Carrera.

Nathan spojrział w dół schodów. Jeden z wielkich kotów stał u ich podnóża - była to wielka samica, przywódczyni stada. Tor-tor wpatrywał się w nią błyszczącymi oczami. Odwzajemniła to spojrzenie, po czym jak czarna błyskawica zniknęła w dżungli.

— Tamten teren musi należeć do zwierząt - stwierdził Manny. - Kolejna linia obrony.

— Ale czego one chronią? - zapytała Carrera.

Z góry doleciało wołanie. Był to Kostos. Zatrzymał się dziesięć stopni przed końcem wąwozu i wzywał ich do siebie.

Niebo na wschodzie rozjaśniał świt, więc kiedy się zebrali przy sierzancie, było już dobrze widać to, co znajdowało się za wąwozem. Była to porośnięta gęstą roślinnością dolina, pełna potężnych drzew. Słysząc było plusk strumienia, a z oddali dolatywał łoskot wodospadu.

- Kraina Ban-ali... - mruknął Kouwe.

Olin i Richard Zane zmienili jego i biologa przy noszach i wszyscy ruszyli dalej.

— Indianin zniknął - stwierdził profesor.

— Ale i tak wiadomo, gdzie mamy iść - odparł Nathan.

— Powinniśmy poczekać, aż słońce całkiem wzejdzie.

— Ban-ali śledzili nas od chwili, gdy weszliśmy do ich dżungli, w dzień i w nocy - odparł Manny. - Niezależnie od tego, czy słońce będzie za horyzontem, czy nad nim, nie zobaczymy żadnego z nich, dopóki tego nie zechcą.

— Poza tym mamy rannego - dodał Nathan. - Im szybciej dotrzemy do wioski, tym lepiej dla Franka. Musimy ruszać.

Kostos westchnął i po chwili wahania kiwnął głową.

- No dobrze, ale trzymajmy się razem - powiedział, po czym wstał i ruszył przodem.

Z każdym krokiem robiło się jaśniej. Wschód słońca w Amazonii następuje bardzo szybko. Rozlewający się coraz szerzej różowy blask poranka połykał gwiazdy. Bezchmurne niebo zapowiadało gorący dzień.

Zatrzymali się u szczytu wąwozu. Dalej prowadziła wąska ścieżka. Dokąd wiodła? W dolinie poniżej nie było śladu ludzkich siedzib. Nie widzieli dymu ani nie słyszeli żadnych głosów.

Kostos przez chwilę obserwował dolinę przez lornetkę, po czym wyciągnął rękę w prawo.

- Wygląda na to, że ten wąwóz jest oddzielony od tamtego stromymi skałami.

Nathan wyjął własną lornetkę i spojrzął we wskazanym kierunku. Przez drzewa można było dostrzec jedynie płynący dnem wąwozu strumień. Powiódł wzdłuż niego lornetką do miejsca, gdzie zniknął za stromizną, spadając do dolnego wą-

wozu, którym maszerowali przez całą noc - królestwa jaguarów.

- Jesteśmy tu zamknięci jak w pułapce - stwierdził Kostos.

Nathan przesunął lornetkę w drugą stronę. Był tam kolejny wodospad, który spadał z wysokiej skały. Dolina, w której się znajdowali, była ze wszystkich stron otoczona przez skalne ściany.

Całkowicie odizolowany od reszty świata fragment dżungli, przemknęło Nathanowi przez głowę.

- Nie podoba mi się to - mruknął sierżant. - Można stąd wyjść jedynie tą szczeliną, którą tu dotarliśmy.

Gdy Nathan opuszczał lornetkę, na wschodzie pojawiła się nad horyzontem krawędź słońca, oblewając dżunglę przed nimi światłem. Z grupy głazów przy zamglonej skalnej ścianie uniosło się stado błękitno-złotych papug, które po chwili przeleciało nad ich głowami. Mgła wodna, tworzona przez wodospady na obu końcach doliny, sprawiała, że powietrze skrzyło się w pierwszych promieniach słońca, jakby rzucono w nie garść diamentów.

- Jak w raj... - powiedział cicho Kouwe.

Dżungla budziła się śpiewami ptaków i pokrzykiwaniem małp. Nad krzewami trzepotały motyle wielkości talerzy. Między drzewami przemknęło coś futrzastego i bardzo szybkiego. Choć dolina była odizolowana od świata, bez trudu trafiły do niej wszelkie możliwe formy życia.

- Co teraz? - spytała Anna.

Odpowiedziała jej cisza.

- Chyba nie pozostaje nam nic innego, jak iść dalej - stwierdził w końcu Nathan.

Kostos jęknął, jednak po chwili kiwnął głową.

- Zobaczymy, dokąd ta droga nas doprowadzi, ale bądźcie ostrożni - oświadczył.

Zaczęto powoli schodzić krótkim zboczem, prowadzącym do skraju dżungli. Znowu prowadził Kostos, a obok niego szedł Nathan z gotową do strzału strzelbą. Szli zbici w ciasną gromadkę. Kiedy weszli pod gęsty baldachim liści, powietrze wokół nich wypełnił zapach orchidei i kwitnących powojników, tak intensywny, że niemal czuło się go na języku.

Słodkie powietrze nie rozładowało jednak napięcia, jakie przez cały czas panowało w grupie. Jakże jeszcze czyhały na nich niebezpieczeństwa? Każdy cień był podejrzany.

Dopiero po kwadransie Nathan zauważył coś dziwnego w wyglądzie otaczającego ich lasu. Zmęczenie musiało przytępić mu zmysły. Zwolnił kroku.

Wpadł na niego Manny.

— Co się stało? Nathan zszedł ze ścieżki.

— Co pan robi, Rand? - spytał ostro Kostos.

- Te drzewa... - Zdumienie nie pozwoliło Nathanowi wydusić z siebie nic więcej.

Wszyscy stanęli i zaczęli się rozglądać.

- Co jest w nich niezwykłego? - zdziwił się Manny.

Nathan zrobił małe kółko.

— Rozpoznaję większość gatunków. - Wyciągnął rękę. - Drzewo kapokowe, laurowiec, figowiec, mahoniowiec, palisander, różne rodzaje palm. Zwykłe drzewa lasu deszczowego. Ale...

— Ale co? - spytał Kostos.

Nathan podszedł do jednego z cienkopiennych drzew. Miało może trzydzieści metrów wysokości i na górze rozchodziło się w gęstą masę pierzastych liści, wśród których wisały olbrzymie szyszki.

— Wiesz, co to za drzewo?

— Wygląda jak palma - odparł sierżant. - Co w nim dziwnego?

— To nie palma! - Nathan klepnął pień dłonią. - To cholerny bennety!

— Co?

— Gatunek drzewa uważanego za dawno wymarłe, datowanego na mezozoik. Do tej pory widywałem je tylko w skamieninach.

- Jesteś pewien? - spytała Anna Fong.

Nathan kiwnął głową.

- Robiłem doktorat z paleobotaniki. - Podszedł do przyominającego paproć krzewu, dwa razy wyższego od czło-wieka. Jego każdy pierzasty liść miał wysokość dorosłego

mężczyzny i był szeroki jak rozpostarte ludzkie ramiona. Potrząsnął nim. - A to gigantyczny widłak. Sądzono, że zniknęły już w karbonie! Ale to nie wszystko. Są tu też inne wymarłe gatunki. *Glossopterides*, podokarpy... - Po kolei wskazywał dziwne rośliny. - Znam tylko niektóre z nich... - Dotknął lufą strzelby drzewa o skręconym, pozapętlanym pniu. - Nie mam pojęcia, co to może być. - Odwrócił się do swoich towarzyszy i uniósł ręce. - Jesteśmy w jakimś cholernym żywym muzeum skamielin.

— Jak to możliwe? - spytał Zane.

— Izolowane miejsce, kieszonka w strumieniu czasu - odparł Kouwe. - Mogły się tu zachować różne rzeczy.

— Ten region powstał w paleozoiku - dodał podeksytowany Nathan. - Basen Amazonki był kiedyś słodkowodnym jeziorem kontynentalnym... dopiero ruchy tektoniczne otworzyły go na ocean i spowodowały odpływ wody. To, co tu mamy, to okienko ukazujące prehistorię. Niesamowite!

— Niesamowite czy nie, musimy jak najszybciej zanieść Franka w jakieś bezpieczne miejsce - oświadczyła Kelly.

Jej słowa sprowadziły Nathana z powrotem do teraźniejszości. Kiwnął głową, nieco zawstydzony, że mimo tak trudnej sytuacji pozwolił, by jego uwagę przykuło coś innego.

- Wobec tego ruszajmy - oświadczył Kostos.

Grupa poszła za nim.

Nathan pozostał nieco z tyłu. Obserwował otaczającą ich roślinność - przestał skupiać się na mogących sygnalizować jakieś zagrożenie cieniach, a skoncentrował na wyglądzie samej dżungli. Ze zdumieniem patrzył na rozszalałą florę: skrzypy wielkości największych puszczalek kościelnych organów, paprocie, przy których współczesne palmy mogły się wydawać karłowate, ogromne iglaki z szyszkami wielkości małych samochodów. Ta mieszanina tego, co prądawne i współczesne, była zdumiewająca - był to ekosystem, jaki trudno byłoby znaleźć gdziekolwiek indziej na świecie.

Podszedł do niego profesor Kouwe.

- I co o tym wszystkim sądzisz?

Nathan pokręcił głową.

— Jeszcze nie wiem. Na świecie odkrywano już prehistoryczne enklawy. Na przykład w latach osiemdziesiątych w Chinach był to las metasekwoi chińskiej. W Afryce grota z rzadkimi paprociami. Ostatnio w Australii, w dużym lesie deszczowym, odkryto całe stanowisko prehistorycznych drzew, uważanych za dawno wymarłe. - Nathan popatrzył na Kouwego. - Biorąc pod uwagę, jak mała część Amazonii jest zbadana, bardziej zaskakujące powinno być raczej to, że do tej pory nie znaleźliśmy także i tutaj podobnych enklaw.

— Dżungla dobrze ukrywa swoje tajemnice.

Kiedy wrócili do pozostałych i przeszli trochę dalej, baldachim nad ich głowami zgęstniał, drzewa zrobiły się wyższe. Promienie porannego słońca z trudem przebijały się przez liście i wszystko wokół spowijał zielonkawy półmrok.

Rozmowy szybko umilkły - wszyscy woleli obserwować niezwykle dżunglę. Wkrótce liczba prehistorycznych roślin zaczęła przewyższać liczbę ich współczesnych odpowiedników. Drzewa były coraz większe, paprocie strzelały w niebo, pnie oplatały dziwnie poskręcane porosty i pnącza. Minęli kolczastą roślinę z rodziny bromeliowatych wielkości małego domu. Na pnączach rosły ogromne kwiaty, wypełniające powietrze intensywnym aromatem.

Była to gigantyczna cieplarnia.

W pewnym momencie Kostos zatrzymał się i zamarł w bezruchu. Wzrok kierował na ścieżkę, unosząc gotową do strzału broń. Po chwili powoli dał znak ręką, że wszyscy mają przykucnąć.

Zrobiono, jak kazał. Nathan poprawił chwyt na broni. Zastanawiał się, co mogło zaskoczyć rangersa.

Spojrzał w prawo, w lewo i obejrzał się za siebie i nagle siało się coś podobnego do tego, co dzieje się podczas oglądania komputerowego obrazu, gdy najpierw ma się wrażenie patrzenia na bezładną chmurę różnobarwnych kropek, a potem pojawia się trójwymiarowy obraz.

Okazało się, że dżungla wcale nie jest samą dżunglą.

Wysoko na drzewach, wśród grubych gałęzi, znajdowały się platformy, na których zbudowano małe chatki. Dachy wielu z nich były uplecione z żywych liści i gałęzi, co doskonale je



kamuflowało. Owe częściowo żyjące budowle zlewały się idealnie z drzewami, na których je umieszczono.

Po bliższym przyjrzeniu się można było dostrzec, że krzyżujące się między drzewami i opadające do ziemi liany i powoje są tak naprawdę naturalnymi mostami i drabinkami. Jedna z nich wisiała obok Nathana. Była pokryta kwiatami. Żyła.

Mimo iż Nathan bardzo uważnie się rozglądał, trudno mu było powiedzieć, gdzie kończyło się dzieło natury, a zaczynały wytwory rąk ludzkich. Jedno splatało się z drugim tak doskonale, że kamuflaż był idealny.

Nie zdając sobie z tego sprawy, już jakiś czas temu weszli do wioski Ban-ali!

Na drzewach przed nimi - jeszcze większych - znajdowały się obszerniejsze chaty. Wielopoziomowe, z tarasami i balkonami, ale również zamaskowane korą, porostami i liśćmi.

Grupa wędrowców stała bez ruchu. Wszyscy zastanawiali się nad tym samym: gdzie są mieszkańcy tej nadrzewnej osady?

Tor-tor wydał z siebie basowy pomruk. Było to ostrzeżenie.

Nagle - podobnie jak poprzednio domy - widzialni stali się ich mieszkańcy. Siedzieli przez cały czas w swoich chatkach - nieruchomi i cisi jak cienie. Ich pomalowane na czarno ciała zlewały się z mrokiem między drzewami i pod krzakami.

Po chwili jeden z tubylców wyszedł ze skrywającego go cienia i stanął na ścieżce. Broń przybyszy nie robiła na nim wrażenia.

Nathan był przekonany, że to ten sam człowiek, który ich doprowadził do tego miejsca. W jego włosy były powplatanе liście i kwiaty, co sprawiało, że niemal zlewał się z otoczeniem. Nie miał w rękach żadnej broni. Tak naprawdę to nie miał nawet na sobie ubrania - jedynie przepaskę na biodrach. Przez parę sekund przyglądał się przybyszom z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, po czym odwrócił się bez słowa i ruszył ścieżką.

- Chyba chce, żebyśmy znowu za nim szli - mruknął profesor.

Między drzewami stali jak wartownicy inni tubylcy.

Kostos wahał się.

- Gdyby chcieli nas zabić, już byśmy nie żyli - powiedział Kouwe.

Sierżant zmarszczył czoło, poszedł jednak za indiańskim przewodnikiem.

Nathan obserwował wioskę i jej milczących mieszkańców. Od czasu do czasu w oknach pojawiały się głowy kobiet i dzieci. Stojący w lesie mężczyźni byli wojownikami albo zwiadowcami.

Ich pomalowane twarze miały strukturę kostną typową dla Indian amerykańskich, z lekkim dodatkiem azjatyckiej, co było genetyczną nitką łączącą ich z przodkami, którzy jakieś pięćdziesiąt tysięcy lat temu przeszli przez Cieśninę Beringa i zasiedlili obie Ameryki. Ale kim tak naprawdę byli? Jak się tu dostali? Dokąd sięgały ich korzenie? Mimo grożącego im niebezpieczeństwa Nathan nie mógł się już doczekać, kiedy dowie się czegoś więcej o tym tajemniczym plemieniu i jego historii - zwłaszcza że była związana z jego własną historią.

Czy Carl Rand szedł tą samą ścieżką? Kiedy ta myśl przemknęła mu przez głowę, wypływały dawne emocje. Był tak blisko odkrycia prawdy o ojcu...

Wkrótce okazało się, że Indianin prowadzi ich w stronę oddalonego o kilkaset metrów słonecznego prześwitu.

Kiedy do niego dochodzili, las wokół wąskiej ścieżki zaczął się otwierać, odsłaniając polanę otoczoną gigantycznymi sagowcami i prymitywnymi iglakami. Przez jej środek, migocząc w promieniach słońca i gulgocząc, płynął strumień o niskich brzegach.

Ich przewodnik szedł dalej, ale oni zatrzymali się jak wryci na skraju otwartej przestrzeni.

Pośrodku polany, wypełniając ją niemal całkowicie, rosnęło potężne drzewo nieznanego gatunku. Miało wysokość przynajmniej trzydziestopiętrowego budynku, a jego pień o białej korze miał co najmniej dziesięć metrów średnicy. Z ciemnej ziemi u podstawy drzewa, niczym blade kolana, wystawały grube sploty korzeni. Kilka z nich sięgało nawet ponad strumieniem, za którym znowu znikało w glebie.

Rozchodzące się w różnych kierunkach gałęzie tworzyły tarasy. Każda z nich miała grubość wyrosniętej sekwoi. Jednak

zamiast igieł drzewo miało szerokie palczaste liście, które łagodnie łopotały, ukazując srebrne spody i grona łuskowatych owocni przypominających trochę orzechy kokosowe.

Nathan z fascynacją wpatrywał się w zielonego olbrzyma. Nie miał pojęcia, jak zaklasyfikować ten egzemplarz. Może był to jakiś nieznany gatunek prymitywnej rośliny nagozalążkowej, ale nie miał pewności. Jego owoce były nieco podobne do owoców współczesnej rośliny zwanej kocim pazurem - jednak ten gatunek musiał być znacznie starszy.

Przyglądając się drzewu, na grubszych gałęziach i przy pniu zauważył grupki małych chatek. Ze zdumieniem stwierdził, że zostały tak skonstruowane i rozmieszczone, by przypominały torebki nasienne drzewa.

Ich przewodnik wszedł między dwa poskręcane korzenie i zniknął w półmroku. Nathan podszedł bliżej i zobaczył, że ów mroczny cień jest dziurą, stanowiącą wejście do pnia drzewa. Z chat na gałęziach nie zwisały drabinki z pnączy - więc jak mieszkańcy się do nich dostawali? Czyżby wchodziło się do nich wewnątrz pnia? Ruszył w stronę drzewa, aby jak najszybciej uzyskać odpowiedzi na te pytania.

Manny złapał go za ramię.

- Popatrz tam! - powiedział, wskazując na coś z boku.

Skoncentrowany na gigantycznym drzewie, Nathan nie zauważył stojącej w głębi polany chaty z ociosanych pni. Ta masywna, kanciasta budowla zupełnie tu nie pasowała - była jedyną konstrukcją mieszkalną stojącą na ziemi.

- Czy mi się wydaje, czy na dachu naprawdę są baterie słoneczne? - spytał Manny.

Nathan zmrużył oczy i spojrział przez lornetkę. Na dachu chaty w porannym słońcu błyszczały dwa płaskie czarne panele. Rzeczywiście wyglądały jak baterie słoneczne. Zaintrygowany, dokładniej przyjrzał się chacie. Nie było w niej okien, a drzwi zastępowała zasłodka z palmowych liści.

Jego uwagę przyciągnął błyszczący w słońcu przedmiot stojący przy wejściu. Był to pręt z drewna wężowego wypolerowany od intensywnego używania, ozdobiony piórami *hoko*.

Nathan poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg.

Laska ojca.

Wypuścił z rąk lornetkę i chwiejnym krokiem ruszył w stronę chaty.

- Rand! - warknął Kostos.

Ale Nathan go nie słyszał. Po chwili zaczął biec, a pozostali członkowie ekspedycji podążyli za nim. Zane i Olin, którzy nieśli nosze z Frankiem, postępowali z wysiłku.

Nathan zatrzymał się gwałtownie przed chatą i wstrzymał oddech. Kiedy spojrzął na laskę, zaschło mu w ustach. W drewnie były wyryte inicjały.

CR.

Carl Rand.

Do oczu Nathana napłynęły łzy. Kiedy ojciec zniknął, nie chciał dopuścić do siebie myśli, że mógł zginąć. Potrzebował jakiejś nitki, której mógłby się uchwycić, czegoś, co nie pozwoliłoby mu poddać się rozpacz i umożliwiło prowadzenie dalszych poszukiwań. Nie zapłakał nawet wtedy, gdy skończyły mu się pieniądze i został zmuszony do pogodzenia się z faktem, że ojciec odszedł na zawsze. Po jakimś czasie żaloba zamieniła się w głęboką depresję, czarną otchłań, w której tkwił przez ostatnie cztery lata.

Teraz jednak, mając przed sobą namacalny dowód obecności ojca w tym miejscu, nie potrafił powstrzymać łez. Nie brał oczywiście pod uwagę, że ojciec może żyć. Tego typu cuda zdarzały się tylko w powieściach.

Wygląd chaty świadczył o tym, że od dawna nie była używana. Pod frontową ścianą leżała gruba warstwa przywianych z lasu suchych liści, przez które nikt nie przechodził.

Odchylił zasłonkę.

W środku było ciemno, więc wyjął z kieszeni latarkę i zapalił ją. Z jakiegoś kąta wyskoczył szczur bezogoniasty, zwany *paca*, i uciekł przez szparę w tylnej ścianie. Wszędzie leżała gruba warstwa kurzu, poznaczona ścieżkami wydeptanymi przez szczurze łapy i popstrzona szczurzymi odchodami. Poświecił wokół.

Przy tylnej ścianie chaty do sufitu były podwieszane cztery hamaki. Nieco bliżej środka stała zbita z ociosanych bali ława, na której leżały różne przedmioty z wyposażenia laboratorium oraz laptop.

Nathan od razu rozpoznał mikroskop i pojemniczki na próbki - podobnie jak laska przed domem, również należały do jego ojca. Podeszedł do ławy i podniósł pokrywę laptopa. Komputer zaszumił i Nathan gwałtownie odskoczył do tyłu.

- Przez cały czas zasilają go baterie słoneczne - powie dział od drzwi Manny.

Nathan ściągnął z dłoni pajęczyny.

— Mój ojciec tu był... - wymamrotał. - To jego rzeczy.

— Idzie nasz przewodnik - wtrącił Kouwe. - Z pomocnikami.

Nathan jeszcze raz spojrzął na komputer. W powietrzu fruwały drobiny kurzu, migocząc we wpadającym przez otwór drzwiowy świetle. Pomieszczenie pachniało żywicą i wyschniętymi palmowymi liśćmi, jednak spod tego zapachu wydobywał się odorek starości i dawno wystygłego popiołu. Nie było tu nikogo od miesiący.

Co się z nimi wszystkimi stało?

Otarł oczy i odwrócił się do wejścia. W kierunku chaty szło dwóch ludzi: pomalowany na czarno Indianin, który przyprowadził ich do wioski, a obok niego drugi, znacznie niższy. Miał nie więcej jak metr dwadzieścia wzrostu. Na jego ciele były wymalowane dwa kolorowe symbole - charakterystyczny czerwony wzór na brzuchu i dobrze znajoma niebieska „dłoń” tuż nad pępkiem.

Nathan wyszedł na zewnątrz.

Niski mężczyzna miał przekłute uszy, w których tkwiły pióra - tak jak to robią Yanomami, ale w odróżnieniu od nich miał na głowie przepaskę, ozdobioną na czole wizerunkiem owada. Czarny korpus błyszczał w słońcu. Była to mięsożerna szarańcza, których chmara zabiła kaprala Jorgensena.

Profesor Kouwe popatrzył na Nathana, aby sprawdzić, czy jego przyjaciel również zauważył tę ozdobę. Był to kolejny dowód na to, że atak, którego padli ofiarą, został wyprowadzony z tej wioski.

Nathan poczuł nagle, że ogarnia go złość. To plemię było odpowiedzialne za śmierć połowy członków ich wyprawy, a wcześniej przez cztery lata więziło ludzi z ekspedycji jego ojca. Zagotowało się w nim z bólu i wściekłości.

- Zachowaj spokój, Nate - powiedział Kouwe, który zauważył zmieniony wyraz jego twarzy. - Zobaczmy, co z tego wyniknie.

Przewodnik podprowadził swojego towarzysza bliżej, po czym z wyraźnym szacunkiem odsunął się na bok.

Niski Indianin uważnie przyjrzał się każdemu z nich z osobna. Na widok Tor-tora lekko zmrużył oczy. Kiedy już ich obejrzał, wskazał na nosze i dwa razy dźgnął palcem powietrze - raz w kierunku Olina i drugi raz Zane'a.

- Wy brać ranny człowiek - powiedział łamanym angielskim, po czym popatrzył na pozostałych. - Wy zostać tutaj.

Po wydaniu tych poleceń odwrócił się i zaczął iść z powrotem w stronę gigantycznego drzewa pośrodku polany.

Nikt z grupy się nie poruszył. Wszyscy byli zdumieni, że Indianin z tego tak bardzo odizolowanego plemienia posługuje się angielskim. Zane i Olin nawet nie drgnęli.

Indianin-przewodnik zamachał na nich ze złością.

- Nikt nigdzie nie pójdzie - oznajmił sierżant Kostos i wysunął się do przodu. To samo zrobiła Carrera. Oboje przygotowali broń. - Nie możemy się teraz rozdzielić.

Indianin wskazał palcem odchodzącego współplemieńca.

- Le... czyć - wydukał z trudem. - Dobrze... leczyć.

Kolejny Indianin, który posługiwał się ich językiem!

- Musieli nauczyć się angielskiego od członków ekspedycji twojego ojca - mruknęła Anna Fong.

Albo od niego samego, pomyślał Nathan.

Kouwe odwrócił się do Kelly.

— Sądzę, że powinniśmy zrobić to, czego chcą ci Indianie. Nie przypuszczam, aby zamierzali zrobić Frankowi krzywdę. Ale chyba lepiej będzie, jeśli to ja pójde z noszami.

— Nie zostawię brata samego! - zaprotestowała Kelly.

— A ja nigdzie nie pójde! - dodał Zane. - Zostaję tam, gdzie jest broń.

— Nie martw się, zajmę twoje miejsce - uspokoił go profesor. - I tak teraz moja kolej.

Zane wyraźnie się ucieszył, że został uwolniony od noszy. Natychmiast schował się za Kostosa, którego twarz wykrzywiła wściekłość.

Kelly podeszła do Olina.

- Wezmę nosze zamiast ciebie, a ty zabierz się do na-  
prawiania GPS - powiedziała. Kiedy zaczął protestować,  
dodała: - Jesteś jedyną osobą, która potrafi to zrobić.

Z wahaniem kiwnął głową i oddał jej bambusowe uchwyty.

Nathan podszedł do niej.

— Może ja go wezmę? Mogłabyś iść za nami.

— Nie - odparła stanowczym tonem i machnęła ręką w  
stronę opuszczonej chaty. - Ty tymczasem spróbuj się  
dowiedzieć, co tu się właściwie stało.

Zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, podniosła nosze  
i ruszyła. Kouwe podążył za nią, trzymając tylne rączki.

Indianin sprawiał wrażenie zadowolonego, że zdecydowali  
się mu zaufać. Szybkim krokiem zaczął iść przed noszami w  
kierunku drzewa.

Nathan znowu popatrzył na grupki chatki umieszczonych  
wysoko na drzewie o białej korze. Pomyślał, że kilka lat temu  
jego ojciec również je oglądał, i dzięki temu poczuł pewną  
więź ze zmarłym. Po chwili zobaczył, że Kelly i Kouwe znikają  
w „wejściu” do drzewa.

Kiedy pozostali członkowie ekipy zaczęli rozpakowywać  
plecaki, ponownie skoncentrował się na pustej chacie. Ekran  
laptopa świecił w mrocznym wnętrzu upiornym błękitem. Było  
to samotne, puste światło.

Nathan westchnął i po raz kolejny zaczął się zastanawiać, co  
się stało z ekipą jego ojca.

Kelly z trudem wniosła nosze do ciemnego wejścia w potęż-  
nym pniu. Przez cały czas z niepokojem obserwowała coraz  
bardziej pogarszający się stan brata.

Bandaż rannego były już całkowicie przesiąknięte krwią,  
a po kikutach pełzały muchy. Konieczna była natychmiastowa  
transfuzja. Potrzebne były też inne rzeczy: nowy wlew dożylny,  
świeże bandaż uciskowe, kolejna porcja morfiny i antybioty-  
ków. Frank będzie musiał jakoś wytrzymać do czasu przybycia  
helikoptera ratunkowego.

Mimo przepelniającego ją niepokoju widok, jaki ujrziała po

wejściu do drzewa, zdumiał ją i zachwycił. Spodziewała się ujrzeć wąską stromą drabinkę, ale zamiast tego zobaczyła szeroką ścieżkę, wspinającą się łagodną spiralą wokół pnia. Ściany tunelu, którym szli, były gładkie i miały barwę miodu. Wzdłuż nich biegły szeregi niebieskich rysunków - wszystkie przedstawiały dobrze znaną im dłoń. Mniej więcej co dziesięć metrów znajdowało się małe okienko, przypominające nieco otwór strzelniczy w średniowiecznym zamku, dzięki czemu droga była cały czas oświetlona jasnym porannym słońcem.

Wspinali się coraz wyżej, podążając za indiańskim przewodnikiem. Podłoże było gładkie, ale nie śliskie. Choć kąt nachylenia ścieżki nie był duży, Kelly wkrótce zaczęła ciężko dyszeć z wysiłku. Na szczęście wspomagały ją adrenalina i lęk o brata i pozostałych członków ekipy, dodając jej energii.

- Ten tunel wygląda jak naturalny - mruknął Kouwe z za jej pleców. - Gładkość ścian i doskonałość spirali wskazują, że nie został wyrąbany przez człowieka, lecz jest kanałem wytworzonym przez samo drzewo.

Kelly oblizła wargi, ale nie miała siły odpowiedzieć. Słowa profesora sprawiły jednak, że zaczęła uważniej przyglądać się ścianom i podłożu. Na ścianach rzeczywiście nie widać było żadnych śladów siekiery czy innego ostrza - pomijając oczywiście okna, topornie wycięte w niezbyt grubej warstwie drewna. Czyżby plemię przypadkiem znalazło w drzewie ten spiralny tunel i wykorzystało go do swoich celów? Domki, które zbudowano na gałęziach, świadczyły o tym, że Ban-ali byli dobrymi cieślami i umieli bardzo zgrabnie łączyć twory natury ze sztucznymi konstrukcjami. Może tak samo było z tym tunelem.

- Muchy odleciały - stwierdził w którymś momencie profesor.

Kelly spojrzała za siebie - wokół zakrwawionych kikutów jej brata nie krążyły już chmary owadów.

- Odleciały zaraz po tym, jak weszliśmy do drzewa - dodał Kouwe. - Olejki eteryczne zawarte w żywicy tego drzewa muszą działać na nie odstraszająco.

Kelly też czuła unoszący się w powietrzu lekko pizmowy



zapach. Wydał jej się znajomy, był nieco podobny do aromatu suszonego eukaliptusa, ale z głębszą iłasto-piaszczystą nutą.

Przez bandażę wciąż przesączała się krew. Było oczywiste, że jeżeli dalej będzie ją tracił, długo nie wytrzyma. Potrzebna mu była natychmiastowa pomoc. Kelly znowu ogarnęła fala lodowatego przerażenia i mimo zmęczenia przyspieszyła kroku.

W ścianie tunelu zaczęły pojawiać się otwory, przez które można było wchodzić do zbudowanych w pobliżu pnia chatek albo na szerokie jak podjazdy na przedmieściach konary, na których widać było kolejne chatki, znajdujące się w pewnym oddaleniu od pnia.

W dalszym ciągu prowadzono ich w górę.

Zmęczenie ponownie zaczęło wygrywać z ciekawością. Kelly potykała się i wlokła nogą za nogą, oddychając ciężko. Co chwila potrząsała głową, próbując strącić spływający z czoła do oczu pot. Rozpaczliwie potrzebowała odpoczynku, ale nie mogła zostawić Franka.

Ich przewodnik zauważył, że zaczynają coraz bardziej odstawać. Cofnął się i podszedł do Kelly.

- Ja pomóc - oświadczył i uderzył się pięścią w pierś. - Ja mocny - dodał, po czym odsunął Kelly na bok i przejął od niej nosze.

Była zbyt wyczerpana, aby zaprotestować, i zbyt zdyszana, aby podziękować.

Kiedy znacznie szybciej ponownie ruszyli w górę, z trudem dotrzymywała kroku obu mężczyznom niosącym nosze. Frank był bardzo blady i płytko oddychał. Uwolniona od ciężaru, mogła się skoncentrować na nim. Wyjęła stetoskop i przystawiła słuchawkę do piersi brata. Serce biło bardzo wolno, w płucach słychać było szmery. Ciało rannego poddawało się, wchodziło we wstrząs oligowolemiczny\*. Krwawienie zostało zatrzymane.

Skupiona na bracie, nie zauważyła, że dotarli do końca tunelu. Spiralne przejście kończyło się otworem o takim samym

\* Wstrząs spowodowany zmniejszeniem ilości krążącej w organizmie krwi.

kształcie jak wejście do tunelu u podstawy gigantycznego pnia. Nie wychodziło się nim jednak na zewnątrz pnia, ale do dużego pomieszczenia o wklęsłej podłodze, przypominającej dno wielkiego talerza.

Kelly rozglądała się po przedziwnej sali, rozjaśnionej światłem wpadającym przez wycięte wysoko nad głowami ludzi okienka. Kulista przestrzeń miała mniej więcej trzydzieści metrów średnicy i znajdowała się w gigantycznym bąblu, wyrastającym z pnia.

- To wygląda jak potężny galas - powiedział Kouwe, mając na myśli kuliste wyrośla, które czasami widuje się na dębach i innych drzewach. Powstają one wtedy, gdy drzewo zostaje zaatakowane przez owady lub pasożyty, które w nich zamieszkują.

Ale tej wyrosła nie zamieszkiwały owady. Do półokrągłych ścian przymocowano belki, z których zwisał tuzin hamaków. W kilku z nich leżeli nadzy Indianie: jeden miał obandażowaną nogę, drugi umieszczoną w łubkach rękę, trzeci rozpalone gorączką czoło, a czwarty miał na piersi długą ranę ciętą i jęknął cicho, kiedy jego opiekun nakładał na nią gęstą pastę.

Kelly natychmiast się domyśliła, gdzie się znaleźli.

Byli w szpitalu.

Niski Indianin, który polecił im tu przyjść, stał kilka kroków dalej. Był wyraźnie zirytowany, że kazali mu na siebie tak długo czekać. Wycelował palec w jeden z hamaków i zaczął coś szybko mówić.

Przewodnik kiwnął głową i podprowadził przybyszy do wskazanego hamaka.

- Jeśli się nie mylę, używają jednego z dialektów Yanomami - mruknął Kouwe.

Kelly popatrzyła na niego.

- Język Yanomami nie ma znanych odpowiedników - dodał profesor. - To lingwistyczny samotnik. Między innymi właśnie dlatego Yanomami są uważani za jedno z najstarszych amazońskich plemion. - Popatrzył na Indian w hamakach. - Ban-ali muszą być ich jakąś boczną gałęzią.

Kelly machinalnie kiwnęła głową, zbyt zajęta myśleniem o Franku, by uważnie słuchać wywodów profesora.

Pod czujnym okiem małego Indianina opuszczono nosze i przeniesiono Franka na jeden z hamaków. Poruszony nieco gwałtowniej, jęknął i zamrugał powiekami. Najprawdopodobniej przestawały działać środki znieczulające.

Kelly sięgnęła po swoją leżącą na noszach torbę lekarską, ale zanim zdążyła wyjąć z niej strzykawkę i ampułkę morfiny, mały szaman i jego ludzie przystąpili do działania. Przewodnik i jeszcze jeden Indianin zaczęli małymi kamiennymi nożykami ciąć bandaż na nogach Franka.

- Nie róbcie tego! - krzyknęła Kelly.

Jednak oni wcale nie zamierzali jej słuchać. Po chwili krew popłynęła obficie.

Kelly podbiegła do hamaka i złapała wyższego Indianina za łokieć.

- Nie! Nie wiesz, co robisz! Zaczekaj, aż przygotuję nowe opaski uciskowe! On się wykrwawi na śmierć!

Mężczyzna wyrwał rękę z jej uchwytu i burknął coś pod nosem.

- Ona jest naszym szamanem - wtrącił Kouwe, wskazując na Kelly.

Zajmujący się Frankiem popatrzyli na małego Indianina, który kuczał właśnie przy ścianie u wezłowia hamaka. Trzymał w ręku miskę i zbierał do niej gęsty sok, wyciekający z wyciętego w ścianie kanaliku.

- Ja tu szaman - oświadczył. - To leczenie Ban-ali. Zatrzymać krew. Dobre lekarstwo z *yagga*.

Kelly spojrzała na Kouwego.

- *Yagga* może pochodzić od *yakka*, co w języku Yanomami oznacza matkę... - Rozejrzał się wokół. - Chyba tak właśnie nazywają to drzewo. Matką lub boginią.

Indiański szaman wyprostował się. Miska była do połowy wypełniona gęstym czerwonym płynem. Zatkanął kanalik w ścianie drewnianą zatyczką.

- Dobre lekarstwo - powtórzył. - Krew *Yagga* zatrzyma krew człowieka. - Zabrzmiało to jak stara maksyma, ludowe porzekadło.

Dał znak swojemu pomocnikowi, żeby do końca przeciął bandaż na jednym z kikutów.

Kelly ponownie otworzyła usta, zamierzając zaprotestować, lecz Kouwe powstrzymał ją, ściskając za ramię.

- Przygotuj bandaż i butelkę z płynem fizjologicznym, jednak na razie zobaczymy, co ten Indianin jest w stanie zrobić - szepnął do niej.

Przypomniała jej się indiańska dziewczynka w szpitalu w Sao Gabriel i klęska, jaką poniosła wtedy zachodnia medycyna, więc zagryzła zęby i nic nie powiedziała. Nie miała zaufania do małego szamana, ale wierzyła profesorowi. Zaczęła grzebać w swojej lekarskiej torbie, szukając bandażu uciskowych i plastikowej butelki z solą fizjologiczną.

Kiedy to robiła, jej wzrok padł przypadkiem na kanał w ścianie, z którego wypływał sok drzewa - krew Yagga. Wyglądał jak wijąca się przez miodowe drewno ciemna wstążka, wybiegająca w górę znad otworu w ścianie i wznosząca się łukiem wysoko nad ich głowami. Podobnych kanałów było tu więcej, a każdy dochodził w pobliże innego hamaka.

Wyciągnęła z torby bandaż i butelkę i patrzyła, jak Indianie zrywają bandaż z kikutów Franka. Kiedy je odłonił, zachowała się nie jak lekarz, ale jak siostra i niewiele brakowało, żeby zemdląca: w jednym miejscu wystawał ostry odłamek żółtawej kości, wokół którego zwisały strzępy poszarpanych mięśni, a cała rana była jedną wielką masą zniszczonych tkanek. Wypływała z niej gęsta galareta, powstała ze skrzepów.

Kelly poczuła nagle, że brakuje jej powietrza. Wszystkie dochodzące do niej dźwięki stały się przytłumione i jednocześnie bardziej natrętne, a jej pole widzenia zawęziło się do bezwładnej postaci leżącej na hamaku. Zdawała sobie sprawę z grozy sytuacji. Jej brat był skazany na śmierć, a ona nie mogła mu w żaden sposób pomóc. Łzy napłynęły jej do oczu, a z gardła wydobył się jęk rozpacz.

Kouwe objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. -

Boże... proszę... - zaszlochała.

Szaman Ban-ali przez chwilę uważnie przyglądał się okaleczonej nodze, a potem dłonią nabrał z miski dużą porcję gęstego czerwonego soku i nałożył go na ranę.

Reakcja była natychmiastowa - i bardzo gwałtowna. Noga podskoczyła, jakby przepłynął przez nią prąd, a Frank - mimo oszołomienia morfiną - poderwał głowę i przeraźliwie wrzasnął.

Kelly odruchowo zrobiła krok w jego stronę.

- Frank! - krzyknęła.

Szaman spojrział na nią surowo, wymamrotał coś w swoim języku i cofnął się, aby mogła podejść bliżej.

Złapała brata za ramię, jednak gwałtowna reakcja Franka okazała się bardzo krótkotrwała. Po chwili jego ciało rozluźniło się i opadł na plecy. Kelly była przekonana, że nie żyje. Pochyliła się nad nim, łkając głośno.

Ale pierś Franka unosiła się długimi, szarpanymi ruchami.

Żył.

Kelly z ulgą opadła na kolana. Tuż przed oczami miała poszarpany kikut. Spodziejając się najgorszego, z desperacją ścisnęła trzymane w ręku bandaże, lecz okazały się niepotrzebne.

W miejscu gdzie został przyłożony sok z drzewa, powstała gruba warstwa zamykająca ranę. Kelly dotknęła tego dziwnego plastra palcem - był suchy i w dotyku przypominał skórę. Ze zdumieniem popatrzyła na szamana. Krwawienie zostało zatrzymane.

- Yagga uznała, że on godny - powiedział Indianin. - Wyleczy go.

Kelly wstała i przyglądała się, jak mały szaman przykłada cudowną miksturę do kikutu drugiej nogi.

- Nie mogę w to uwierzyć... - powiedziała w końcu cicho.

Kouwe ponownie ją objął.

- Znam piętnaście roślin o działaniu przeciwkrwotocznym, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

Podczas „zaklejania” rany na drugiej nodze Frank ponownie zadygotał, jak rażony prądem.

Kiedy szaman skończył, przez chwilę przyglądał się swojemu dziełu, po czym odwrócił się do Kelly i Kouwego.

- Yagga będzie teraz chronić - oświadczył z powagą.

- Dziękuję - odparła Kelly.

Szaman znowu popatrzył na Franka.

- On teraz Ban-ali. Jeden z Wybranych.

Kelly zmarszczyła czoło.

- Musi teraz służyć Yagga na zawsze - wyjaśnił szaman, dodał coś jeszcze w swoim języku, po czym odwrócił się i odszedł.

Kelly spojrzała pytająco na Kouwego.

Profesor pokręcił głową.

— Zrozumiałem tylko jedno słowo: *ban-yi*.

— Co to znaczy?

Kouwe popatrzył na Franka.

- Niewolnik.

# 15

## Leczenie

16 SIERPNIĄ, GODZ. 11.43  
ODDZIAŁ SZPITALNY INSTYTUTU INSTAR  
LANGLEY, WIRGINIA

Lauren jeszcze nigdy w życiu nie była tak zrozpaczona. Jej nieprzytomna wnuczka dryfowała w obłoku poduszek i prześcieradeł, opleciona mnóstwem przewodów, łączących ją z urządzeniami monitorującymi i różnymi maszynami. Nawet przez szczelny kombinezon ochronny słyszała popiskiwanie i posykiwanie rozstawionego pod ścianami wąskiego pomieszczenia sprzętu. Mała Jessie nie była tu jedyną pacjentką. W ciągu minionego dnia zachorowało również pięcioro innych dzieci.

Ile jeszcze zachoruje w nadchodzących dniach? Lauren wciąż miała przed oczami sporządzony przez doktora Alvisio model komputerowy i animację, ukazującą rozlewanie się czerwonych plam. Do instytutu dotarły już informacje o pierwszych zachorowaniach w Kanadzie oraz o dwojgu dzieciach z Niemiec, które spędziły wakacje na Florydzie.

Musiała w końcu pogodzić się z myślą, że szacunki doktora Alvisio mogą być nawet zaniżone. Rano dotarły do nich wiadomości o nowych przypadkach zachorowań w Brazylii - wśród zdrowych dorosłych. W odróżnieniu od dzieci, choroba nie zaczynała się u nich od gorączki, ale od nagłego pojawiania się złośliwych guzów. Jak u Ge-

ralda Clarka. Lauren natychmiast zleciła zbadanie tych przypadków.

Jednak na razie miała inne zmartwienia.

Siedziała w fotelu przy łóżku Jessiki, z niepokojem obserwując małą. Wnuczka oglądała puszczone z kasety program dla dzieci, ale na jej ustach ani razu nie pojawił się uśmiech. Zachowywała się jak automat, miała szkliste oczy i spocone, przylepione do czoła włosy.

Lauren nie umiała jej pomóc. Dotyk plastikowego kombinezonu był zimny i bezosobowy. Mogła jedynie siedzieć przy małej i próbować uspokoić ją widokiem znajomej twarzy. Niestety nie była jej matką. Za każdym razem, gdy rozlegał się poprzedzający otwarcie drzwi syk, Jessie odwracała się z nadzieją, po czym do jej oczu powracało rozczarowanie, bo zawsze był to tylko lekarz lub pielęgniarka.

Lauren kilka razy sama przyłapała się na tym, że również patrzy na drzwi, mając nadzieję ujrzeć w nich Marshalla przybywającego z jakąś wiadomością od Kelly lub Franka. Brazylijski helikopter ewakuacyjny wystartował z bazy w Wauwai wiele godzin temu. Ratownicy na pewno dotarli do ekipy i Kelly prawdopodobnie leciała już do domu.

Na razie jednak nie było od niej żadnej wiadomości.

Czekanie ciągnęło się w nieskończoność.

Jessie podrapała się w rączkę - w miejscu, gdzie plaster mocował wlew dożylny.

- Nie rób tego, skarbie - powiedziała Lauren i odsunęła dłoń małej.

Dziewczynka westchnęła i opadła na poduszki.

— Gdzie mama? - zapytała po raz tysięczny. - Chcę zobaczyć mamę.

— Przyjedzie, skarbie, ale Ameryka Południowa jest daleko stąd. Spróbuj się przespać.

— Bolą mnie usta.

Lauren wzięła z nocnego stolika filiżankę z rurką do picia. Był w niej sok ze środkiem przeciwbólowym.

- Napij się tego, to przestanie cię boleć.

Na wargach małej już jakiś czas temu pojawiła się opryszcz-



ka - jeden z charakterystycznych objawów zarazy. Nie można było dłużej udawać, że Jessie zachorowała na coś innego.

Dziewczynka wypła trochę soku.

— Dziwnie smakuje. Nie tak jak ten, który robi mama.

— Wiem, skarbie, ale lepiej się po nim poczujesz.

— Smakuje dziwnie... - wymamrotała Jessie i jej wzrok odpłynął w stronę ekranu telewizora.

Na którymś z łóżek zaczęło płakać dziecko. Z telewizora dolatywał tupot tańczącego niedźwiedzia, który - filtrowany przez plastikowy kombinezon ochronny - przypominał blaszany klekot.

Ile jeszcze osób zachoruje? Ile jeszcze umrze?

Syknęły otwierane drzwi i Lauren odwróciła się w ich stronę. Do sali weszła potężna postać w kombinezonie, ciągnąc za sobą przewód dostarczający powietrze. Za przezroczystą maską Lauren dostrzegła twarz męża.

Wstała.

- Marshall...

Dał znak ręką, aby usiadła, podszedł do ściany i wcisnął końcówkę przewodu powietrza do gniazda w ścianie. Potem podszedł do łóżka wnuczki.

— Dziadku! - zawołała cicho Jessie i uśmiechnęła się radośnie. Obdarzała Marshalla szczególną miłością. Jej reakcja napawała optymizmem.

— Jak się czuje moja mała syrenka? - zapytał i zmierzwił jej włosy.

— Oglądam niedźwiedzia Bobo.

— Naprawdę jest taki zabawny?

Pokiwała głową.

— Popatrzę na niego razem z tobą. Przesuń się kawałek.

Jessie była zachwycona. Zrobiła dziadkowi miejsce na skraju łóżka i przytuliła się do niego.

Lauren zerknęła na męża. Ich spojrzenia się spotkały.

Pokręcił lekko głową.

Zmarszczyła czoło. Co to miało znaczyć? Włączyła zamontowane w kombinezonie radio, aby mogli się porozumiewać tak, by Jessie ich nie słyszała.

- Jak z nią? - spytał Marshall.  
Lauren przysunęła się do niego.

- Temperatura spadła do trzydziestu siedmiu stopni, ale wyniki badań laboratoryjnych świadczą o tym, że jej stan się pogarsza. Spadł poziom białych krwinek, bilirubina rośnie.

Marshall zamknął oczy.

- Drugie stadium?

Przy tak wielkiej liczbie przypadków w całym kraju przebieg choroby powoli stawał się przewidywalny. Stadium drugim nazywano okres po zakończeniu gorączki, kiedy zaczynała się anemia z krwawieniami i wymiotami.

- Jutro - odparła Lauren. - Najpóźniej pojutrze.

Oboje wiedzieli, co się stanie potem. Przy dobrej opiece medycznej drugie stadium mogło trwać trzy lub nawet cztery dni, a potem następowało jednodniowe stadium trzecie: drgawki i krwawienia w mózgu. Stadium czwartego nie było.

Lauren wpatrywała się we wtuloną w dziadka dziewczynkę. Niecały tydzień. Tyle czasu pozostało Jessie.

- Co z Kelly? - zapytała po chwili. - Zabrano ją? Jest w drodze do domu?

Popatrzyła na męża. Milczał.

— Cóż... Helikopter dokładnie przeszukał cały rejon, w którym powinni się znajdować zgodnie z danymi GPS, ale ich nie znaleziono.

— Jak to możliwe?

— Nie wiem. Cały czas próbujemy skontaktować się z nimi przez satelitę, ale jak dotąd nie udało nam się nawiązać łączności. Najwyraźniej nadal mają problemy ze sprzętem.

— Poszukiwania z powietrza są kontynuowane?

Pokręcił głową.

— Helikopter musiał wrócić, bo skończyło mu się paliwo.

— Marshall... - Głos jej się załamał.

Ujął jej dłoń.

- Kiedy uzupełnią paliwo, wrócą tam w nocy. Będą szukać ognisk noktowizorami. Jutro dołączą do nich trzy kolejne helikoptery. - Mocniej ścisnął dłoń żony. - Na pewno ich znajdziemy.

Lauren czuła, że ogarnia ją rozpacz. Jej dwoje dzieci...  
Jessie wyciągnęła rękę w stronę ekranu. - Bobo jest  
bardzo śmieszny! - zawołała.

GODZ. 13.05 DŻUNGLA  
AMAZOŃSKA

Nathan schodził po piętnastometrowej plecionej drabince z trzypoziomowego domu na drzewie. Zbudowano go w gałęziach dębu Nightcap\*, gatunku pochodzącego z kredy. Kiedy Kelly i profesor Kouwe odeszli razem z Frankiem, pojawiła się kobieta z plemienia Ban-ali i zaprowadziła pozostałych członków ekspedycji pod drzewo na skraju polany, dając im gestami do zrozumienia, że znajdująca się na nim chata jest przeznaczona dla nich.

Sierżant Kostos z początku się opierał, ale ustąpił, gdy Carrera powiedziała:

— Na górze nasza pozycja będzie łatwiejsza do obrony. Tutaj jesteśmy wystawieni na strzał jak kaczki. Gdyby w nocy przyszły te gigantyczne koty...

— Masz rację - przerwał jej. - Zanieśmy zapasy do domu i wyznaczmy punkty obrony.

Zdaniem Nathana nie było to potrzebne. Odkąd zjawili się w dolinie, Indianie przyglądali się im ciekawie, jednak zachowywali ostrożny dystans. Obserwowali przybyszy ze skraju dżungli i okien w swoich domach. Nie okazywali wrogości. Nathan nie bardzo mógł zrozumieć, jak to się stało, że ci spokojni ludzie zainicjowali mordercze ataki zmutowanych zwierząt, które kosztowały życie połowy uczestników ich wyprawy. Ale tego typu dwoistość była typowa dla wielu tubylczych plemion: wobec obcych zachowywali się wrogo i brutalnie, jednak gdy kogoś zaakceptowali, okazywali się bardzo przyjaźni i otwarci.

\* *Eidothea hardeniana*, drzewo lasu deszczowego, które odkryto w latach 50. XX wieku w parku narodowym Nightcap, znajdującym się na wschodnim krańcu Australii.

Tylu członków ich ekipy zginęło z rąk członków tego plemienia... co prawda nie bezpośrednio, ale mimo to Nathan czuł do nich niechęć i urazę. A jego ojciec i być może inni członkowie tamtej wyprawy, trzymani przez lata w niewoli? Trudno mu było zachować profesjonalny obiektywizm. Jako antropolog rozumiał tych ludzi, lecz jako syn nienawidził ich.

Ale z drugiej strony... przecież pomogli Frankowi. Niedawno z wnętrza ogromnego drzewa o białej korze wrócił Kouwe i powiedział, że szamanowi i Kelly udało się ustabilizować Franka. Były to od dawna pierwsze dobre wieści. Profesor nie został z nimi długo, chciał jak najszybciej wrócić do niezwykłego drzewa. Mimo oferowanej przez plemię pomocy był wyraźnie zaniepokojony, jednak kiedy Nathan próbował coś z niego wydusić, machnął tylko ręką.

- Później - rzucił i odszedł pospiesznie.

Nathan zeskoczył z ostatniego szczebelka drabinki. Dwoje rangersów i Manny stali przy pniu, Tor-tor jak zwykle trzymał wartę u boku swojego pana. Pozostali członkowie ich grupy - Olin, Zane i Anna Fong - siedzieli w chacie na drzewie i pracowali nad sprzętem komunikacyjnym.

- Ja będę pilnował tutaj - powiedział Kostos do Carre ry - a ty i Manny rozejrzyjcie się po okolicy. Spróbujcie się czegoś dowiedzieć o tym miejscu.

Carrera kiwnęła głową i odwróciła się.

Manny ruszył za nią.

— Tor-tor, idziemy.

— Co tu robisz, Rand? - spytał sierżant.

— Próbuję się do czegoś przydać - odparł Nathan i wskazał oddaloną o sto metrów opuszczoną chatę. - Dopóki słońce jest na niebie i zasila komputer, sprawdzę, czy jest coś ciekawego w zapiskach ojca.

Kostos skrzywił się lekko, jakby nie zamierzał się zgodzić, ale w końcu kiwnął głową. W ich sytuacji każda informacja mogła okazać się ważna.

— Tylko bądź ostrożny - przykazał. Nathan poprawił wiszącą na ramieniu strzelbę.

— Zawsze jestem.

Na skraju polany zebrały się dzieci, pokazując go sobie

palcami. Druga gromadka dzieci szła za Mannym i Carrerą, trzymając się w pełnym szacunku oddaleniu od Tor-tora. Na całym świecie dzieci są zawsze najbardziej zaciekawione wszystkim co niezwykle. Dorośli członkowie plemienia powoli zaczynali powracać do swoich codziennych obowiązków. Kilka kobiet niosło wodę z przepływającego dnem doliny i opływającego gigantyczne drzewo strumienia. Na leżących na platformach kamieniach zapalano ogniska, aby przygotować posiłek. W jednej z chat stara kobieta grała na flecie z kości, wydobywając z niego czyste, ale trochę niesamowite dźwięki. Obok Nathana przeszło dwóch mężczyzn z łukami, traktując go jak powietrze.

Pomyślał, że ich obojętność prawdopodobnie wynika z tego, że mieszkali już wśród nich biali ludzie. Członkowie ekspedycji ojca.

Kiedy doszedł do chaty i ponownie ujrzał łaskę ojca, przez jego głowę znowu przemknęło wciąż powracające pytanie: co się z nim stało?

Wszedł do środka i jak wcześniej poczuł piżmowy zapach - jakby znalazł się w jakimś zagubionym grobowcu. Laptop stał otwarty na stole, tak jak go zostawił. Na jego ekranie falował wygaszacz ekranu - seria przesuwających się zdjęć. Nathan poczuł napływające do oczu łzy. Zdjęcia matki. Kolejny duch z przeszłości. Na jednym ze zdjęć klęczała przy małym indiańskim chłopcu. Na innym trzymała na ramieniu małą kapucynkę. Na trzecim obejmowała białe dziecko w stroju Indian Baniwa - był to on sam, miał wtedy sześć lat. Uśmiechnął się na wspomnienie tamtej chwili i poczuł, jak ściska mu się serce. Choć na żadnym ze zdjęć nie było ojca, czuł jego obecność, niemal widział pochylającego się nad nim ducha. Jeszcze nigdy nie czuł tak silnej więzi z utraconą rodziną.

Po kilku długich minutach sięgnął po mysz. Wygaszacz zniknął, zastąpił go widok pulpitu. Nathan zaczął czytać napisy pod ikonami. KLASYFIKACJA ROŚLIN... OBYCZAJE PLEMNIENNE... STATYSTYKI KOMÓRKOWE... było tu mnóstwo informacji. Przejrzenie wszystkiego zajęłoby mu wiele dni. Jedna z ikon zwróciła jego uwagę. Wyglądała jak książka, a pod nią był napis: DZIENNIK.

Najechał na nią kursorem i kliknął. Otworzył się plik o nazwie:

#### **Dziennik amazoński - dr Carl Rand**

Dziennik ojca. Popatrzył na pierwszą datę. 24 września. Właśnie tego dnia ekspedycja Carla Randa wyruszyła w głąb dżungli. Przewijając tekst w dół, Nathan stwierdził, że wpisy były robione każdego dnia. Czasami było to tylko jedno zdanie lub dwa, ale zawsze coś było. Ojciec był bardzo skrupulatny. Kiedyś powiedział synowi: „Nieudokumentowane życie jest niewarte istnienia”.

Nathan przewijał wpisy, aż znalazł datę 16 grudnia. Dzień, w którym ekipa ojca zniknęła.

#### **16 grudnia**

Burza trwa dalej, unieruchamiając nas w obozie. Dzień nie był jednak całkiem stracony. Do naszego przesiąkniętego wodą obozu zawitał płynący rzeką Indianin Arawak i opowiedział o niezwykłym plemieniu... była to zatrważająca opowieść.

Nazwał ich Ban-ali, co oznacza „Krwawe Jaguary”. Słyszałem już dawniej o tym niewidzialnym jak duch plemieniu, ale niewielu Indian chce o nim mówić.

Nasz gość nie miał oporów - wręcz przeciwnie, bardzo chętnie z nami na ten temat rozmawiał. Może miało to związek z nową maczetą i kompletem nowych, błyszczących haczyków na ryby, które zaproponowaliśmy mu w zamian za informacje. Nie odrywając oczu od czekających go bogactw, powiedział nam, że wie, gdzie można znaleźć Ban-ali.

Choć początkowo chciałem machnąć na to ręką, postanowiłem posłuchać. Jeżeli był choć cień szansy, że gdzieś istnieje jakieś zagubione plemię, jak mogłem tego nie sprawdzić? Byłby to dla naszej ekspedycji ogromny sukces. Indianin

narysował prymitywną mapę - według niej Ban-ali znajdują się trzy dni marszu od miejsca, w którym obecnie jesteśmy.

Tak więc jutro, jeżeli pogoda pozwoli, ruszymy sprawdzić, czy nasz przyjaciel mówił prawdę. Pewnie nic to nie da, ale... kto wie, co ta ogromna dżungla kryje w swoim sercu?

W sumie był to interesujący dzień.

Nathan czytał dalej, nawet nie zauważając, że wstrzymuje oddech, a z czoła spływa mu pot. W ciągu następnych siedmiu godzin przejrzał wszystkie pliki i przeczytał dziennik - dzień po dniu i rok po roku - zatrzymując się dłużej przy rysunkach i zdjęciach. Powoli to, co się stało z wyprawą ojca, zaczęło układać się w całość.

W końcu poczuł, że ogarnia go straszliwe zmęczenie. Groza minionych dni zlewała się z teraźniejszością. Wiedział, że prawdziwe zagrożenia dopiero na nich czekają.

GODZ. 17.55

— Co robi tamten gość? - spytał Manny Carrerę.

— Gdzie?

Wskazał jednego z Indian, idącego wzdłuż strumienia z długim oszczepem na ramieniu. Na broń nabite były kawałki surowego mięsa.

— Pewnie niesie obiad - odparła Carrera, wzruszając ramionami.

— Dla kogo?

Przez całe popołudnie poznawali otoczenie wioski, zataczając wokół niej duże koło. Tor-tor budził wielkie zainteresowanie wśród tubylców, ale dzięki niemu trzymali się od nich z daleka. Carrera robiła podczas marszu notatki, szkicowała mapę wioski i otoczenia. „To na wypadek, gdyby znowu podjęto wrogie działania” - wyjaśniła Manny'emu.

Obeszli ogromne drzewo o białej korze i dotarli do miejsca, gdzie strumień dochodził niemal do samego pnia. Woda wy-

plukała tu wierzchnią warstwę gleby, odsłaniając potężne korzenie. Wznosiły się jakieś dwa metry nad ziemią, wiły się po dnie strumienia, przepelzały przez niego, a na drugim brzegu znikały pod ziemią.

Indianin, który zwrócił uwagę Manny'ego, przeciskał się przez płatanię korzeni, najwyraźniej zamierzając dojść do wody.

- Przyjrzyjmy mu się z bliska - zaproponował Manny.

Carrera schowała notes do kieszeni i zdjęła z ramienia wyrzucającego tnące tarcze baileya z lufą o wylocie przypominającym łopatę. Popatrzyła z niechęcią na splątane korzenie - najwyraźniej nie miała ochoty się przez nie przedzierać - ruszyła jednak przodem. Była przecież żołnierzem i musiała chronić cywila.

Tubylec podszedł do otoczonego korzeniami jeziora. Jego powierzchnia sprawiała wrażenie gładkiej jak szkło, jedynie po bokach widać było, że nie jest to zbiornik wody stojącej.

Kiedy Indianin zauważył, że obserwuje go dwójka białych przybyszy, kiwnął głową w geście powitania, po czym znowu odwrócił się do jeziora. Manny i Carrera zatrzymali się w pewnej odległości od niego, Tor-tor przysiadł obok na tylnych łapach.

Indianin przykucnął i wyciągnął dzidę z zakrwawionym mięsem nad wodą.

- Co on robi? - zdziwił się Manny.

Z wody wyskoczyło kilka niewielkich srebrzystych rybek. Drobnymi ząbkami odgryzały kawałki mięsa.

- Żabopiranie - mruknęła Carrera.

Manny dokładniej przyjrzał się srebrzystym rybkom. Podobieństwo było oczywiste.

- Tak, to ich młode. Jeszcze bez tylnych nóg. W fazie kijanki. Sam ogon i pysk.

Indianin wstał i strząsnął resztki mięsa do jeziora. Każdy kawałek, który wpadał do wody, wywoływał gwałtowną reakcję stworów, a powierzchnia wody gotowała się i zamieniała w krwistą pianę. Indianin przez chwilę obserwował jezioro, po czym ruszył w stronę przybyszy.



Kiedy ich mijał, ponownie kiwnął głową, obrzucając jednocześnie jaguara spojrzeniem pełnym szacunku.

— Chcę przyjrzeć się bliżej tym kijankom - oświadczył Manny.

— Oszalałeś, człowieku? Spadamy stąd.

— Nie, poczekaj... muszę coś sprawdzić - powiedział i nie czekając na odpowiedź, mszył do jeziora.

Carrera burknęła coś z niezadowoleniem, ale poszła za nim.

Ścieżka była bardzo wąska i musieli iść gęsiego. Tor-tor zamykał pochód, ostrożnie stawiając nogi i nerwowo poruszając ogonem.

— Nie podchodź zbyt blisko - ostrzegła Manny'ego Carrera.

— Skoro nie zwracają uwagi na Indianina, nam też chyba nic nie grozi - odparł.

Zwolnił jednak i zatrzymał się metr od wody, kładąc dłoń na rękojęści pejcza. Mimo cienia rzucanego przez korzenie widać było, że woda jest kryształowo czysta, a jezioro ma jakieś trzy metry głębokości.

Pływały w nim stadka młodych żabopiranii. Nie było już ani śladu mięsa, ale całe dno zaścielały dokładnie ogryzione kości.

- To hodowla... - mruknął Manny. - Staw rybny.

Ze zwisających nad wodą korzeni od czasu do czasu skapywały krople żywicy, a małe srebrzyste stworki natychmiast podpływały i sprawdzały, czy to nie kolejny posiłek. Dzięki temu Manny mógł je lepiej obejrzeć. Znajdowały się tu egzemplarze różnej wielkości - dwucentymetrowe i znacznie większe, którym zaczynały wyrastać nogi. Nie było jednak wśród nich osobników z całkowicie wykształconymi kończynami.

— Same młode - stwierdził Manny. - Nie widzę tu ani jednego dorosłego osobnika, takiego jak te, które nas zaatakowały.

— Musieliśmy je wszystkie zabić proszkiem profesora.

— Nic dziwnego, że nie zaatakowały nas po raz drugi. Odtworzenie takiej armii będzie musiało trochę potrwać.

— Pewnie tak... - zaczęła Carrera i cofnęła się nagle, a jej

głos się zmienił. - Ale co innego może pójść znacznie szybciej...

Manny popatrzył na nią ze zdziwieniem. Skierowała baileya na podstawę pnia, skąd wychodziły korzenie drzewa. Kora była pokryta wyrostkami, które przypominały wielkie bąble o średnicy metra. Były ich setki. Ze znajdujących się w nich otworów wyłaziły czarne owady. Pełzały po korze, walczyły ze sobą i parzyły się. Kilka z nich rozpostarło skrzydła z cichym bzyczeniem.

— Szarańcza... - jęknął Manny i cofnął się szybko. Ale owady ignorowały ludzi, zajęte swoimi sprawami. Manny popatrzył na jeziorko, a potem znowu na szarańczę.

— To drzewo... - wymamrotał.

— Co?

Kolejna kropla żywicy spadła do wody i małe żabopiranie natychmiast podpłyneły pod powierzchnię.

- To wygląda, jakby drzewo karmiło te stwory... - urwał, bo nagle zaczęło mu się robić na przemian zimno i gorąco.

Musiał być bardzo blady, ponieważ Carrera zapytała:

— Co się stało?

— Boże... musimy natychmiast się stąd wydostać!

GODZ. 18.30

Nathan siedział przed komputerem, zmęczony i odrętwiały. Ponownie przeczytał wszystkie wpisy ojca, weryfikując część danych w naukowych plikach. Wnioski, jakie się nasuwały, były zdumiewające i zarazem zatrważające. Przewiął tekst do ostatniego wpisu.

„Spróbujemy dziś wieczorem. Niech Bóg ma nas w swej opiece”.

Szelest zasłonki wiszącej w drzwiach za jego plecami zapowiedział gościa.

Był to profesor Kouwe.

- Nate?

Nathan spojrzął na zegarek i dopiero teraz uświadomił sobie, ile czasu spędził przy komputerze, zapomniawszy o całym

bożym świecie. Miał wrażenie, jakby wyłożono mu usta tkaniną na worki. Słońce opadało już ku zachodniemu horyzontowi i popołudnie zamieniało się w wieczór.

— Jak Frank? - spytał.

— Dowiedziałeś się czegoś? - odpowiedział pytaniem Kouwe.

Nathan pokręcił głową. Jeszcze nie był gotów do rozmowy na temat tego, co odkrył.

— Gdzie Kelly?

— Na zewnątrz, rozmawia z Kostosem. Przyszliśmy, aby opowiedzieć wam o tym, co widzieliśmy, i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Potem wrócimy do drzewa. Co u was?

— Indianie trzymają się od nas z daleka - odparł Nathan, po czym wstał i podszedł do drzwi, aby popatrzeć na zachodzące słońce. - Przygotowaliśmy na dębie bazę, a Manny i Carrera obchodzą okolicę.

Profesor kiwnął głową.

- Widziałem ich, właśnie wracają. A co z komunikacją ze Stanami?

Nathan wzruszył ramionami.

— Olin twierdzi, że system operacyjny jest zainfekowany, sądzi jednak, że uda mu się na tyle naprawić GPS, żeby prawidłowo odczytywał i podawał pozycję. Może jeszcze dziś wieczorem.

— To dobre wieści - stwierdził Kouwe.

— Czy coś się stało? - spytał Nathan, słysząc napięcie w jego głosie.

— Jest coś, co mi się nie podoba, ale nie umiem określić co to takiego - odparł profesor.

— Może będę potrafił ci pomóc... - Nathan odłączył laptopa od baterii słonecznych. Kiedy słońce zajdzie, i tak będą bezużyteczne. Wsadził komputer pod pachę. - Myślę, że czas, abyśmy powymieniali się wiadomościami.

— Właśnie dlatego przyszliśmy tu z Kelly. Też mamy coś ciekawego do opowiedzenia.

Nathan popatrzył na jego zaniepokojoną twarz. Był pewien, że jego własna wygląda podobnie.

- Zbierzmy wszystkich - zaproponował.

Wyszli w zapadający zmrok. Lekki wiatr sprawiał, że po wyjściu z chaty miało się niemal poczucie chłodu. Nathan ruszył w stronę Kelly i Kostosa. Byli już z nimi Manny i Carrera.

Kilka kroków dalej stał jeden z Indian. Nathan nie od razu go rozpoznał. Był to ich wcześniejszy przewodnik. Zmył z siebie czarną farbę maskującą, co ukazało ciemnoczerwony tatuaż na piersi.

- Słyszałem, że Frank czuje się już lepiej - powiedział Nathan, kiedy znalazł się przy Kelly.

Była blada i rozkojarzona.

— W tej chwili tak. - Zauważyła laptopa pod jego pachą i zapytała: - Dowiedziałeś się czegoś o swoim ojcu?

— Tak. I sądzę, że wszyscy powinni się o tym dowiedzieć.

— Musimy ustalić jakiś plan działania - wtrącił sierżant Kostos. - Zbliża się noc.

Kouwe wskazał na stojący w koronie dębu Nightcap domek.

- Chodźmy tam.

Nikt nie oponował i po chwili zaczęli się wspinać po drabince. Na dole pozostał jedynie Tor-tor. Nie był sam, obok drzewa stał indiański przewodnik, najwyraźniej wyznaczony do towarzyszenia grupie przybyszy.

Po wspięciu się na najwyższy szczebel drabinki wchodziło się na taras domu. Było na nim dość miejsca dla całej grupy. Łukowate drzwi prowadziły z tarasu do dużego pomieszczenia, które mogło służyć jako salon. Na dwóch wyższych piętrach znajdowały się małe, jednoosobowe pokoiki, z których każdy miał swój mały balkonik.

Dom na drzewie musiał należeć do jakiejś licznej rodziny, która opuściła go na czas pobytu gości. Wszędzie widać było przedmioty codziennego użytku - naczynia i drewniane przybory kuchenne, dekoracje z piór i kwiatów, hamaki, małe rzeźbione figurki zwierząt. Nawet wypełniający powietrze zapach świadczył o tym, że nie jest to opuszczony dom. Czuć było resztki przypraw i oleju do smażenia oraz lekki odorek ludzkich ciał.

Do Nathana podeszła Anna Fong i podała mu talerz pokrojonych w plasterki świeżych fig.

- Jedna z Indianek przyniosła nam owoce, gotowane bataty i trochę suszonego mięsa.

Nathan nagle poczuł, że bardzo chce mu się pić. Wbił zęby w owoc, po brodzie pociekł mu sok. Starł go grzbietem dłoni.

— Czy Olin naprawił GPS?

— Ciągłe jeszcze nad tym pracuje - odparła Anna. - Choć sądząc po liczbie przekleństw, sprawa dobrze nie rokuje.

— Wszyscy do środka! - zarządził Kostos.

Po chwili wszyscy zebrali się w salonie. Na stołach stały tace z jedzeniem. Były nawet naczynia z jakimś ciemnym płynem, zalatującym kwaskiem fermentacji.

Profesor Kouwe powąchał go.

— To cassiri! - zawołał zdumiony.

— Co to takiego? - spytał Kostos.

— Piwo z manioku - wyjaśnił Nathan. - Alkoholowy napój wielu tubylczych plemion.

- Piwo? - Sierżantowi błysnęły oczy. - Naprawdę?

Kouwe nabrał chochelką trochę bursztynowego płynu i nalał go do kubka. W napoju pływały śliskie kawałki korzenia manioku. Podał kubek sierżantowi.

Kostos powąchał zawartość kubka, z obrzydzeniem zmarszczył nos, ale upił duży łyk.

- Blee...

- Ten smak trzeba polubić - powiedział Nathan, napełnił drugi kubek i zaczął popijać. Manny zrobił to samo. - Kobiety żują korzeń manioku i wypluwają go do naczynia. Zawarte w ślinie enzymy przyspieszają fermentację.

Kostos podszedł do wiaderka i wylał do niego swoje piwo.

- Zaczekam na budweisera - oświadczył.

Nathan wzruszył ramionami.

Przez chwilę jedzono w milczeniu, po czym poroziadano się na rozłożonych na podłodze matach. Wszyscy wyglądali na wykończonych - potrzebowali snu.

Nathan postawił laptopa na odwróconym do góry dnem kamiennym garnku.

Kiedy go otwierał i włączał, Olin patrzył na komputer jak głodny krokodyl na świeże mięso.

- Może dałoby się wyjąć z niego kilka części do naprawy

sprzętu do komunikacji satelitarnej... - mruknął, przysuwając się bliżej.

Nathan zatrzymał go gestem ręki.

- Ten komputer ma pięć lat. Wątpię, czy do czegokolwiek by ci się przydał, poza tym jego zawartość jest ważniejsza od tego, czy przeżyjemy.

Wszyscy wbili w niego wzrok. Popatrzył na swoich towarzyszy.

— Wiem, co się stało z wyprawą mojego ojca... Jeśli nie chcemy skończyć tak samo jak oni, powinniśmy wykorzystać ich doświadczenia.

— Co się z nimi stało? - spytał Kouwe.

Nathan wziął głęboki wdech, po czym wskazał głową ekran laptopa. Widać było na nim otwarty plik z dziennikiem Carla Randa.

- Wszystko jest tutaj - powiedział. - Ojciec słyszał już wcześniej o istnieniu Ban-ali, a podczas marszu jego ekipa natknęła się na Indianina, który twierdził, że może pokazać ich wioskę. Ojciec nie potrafił oprzeć się pokusie spotkania z nie znanym plemieniem i kazał ludziom zejść z zaplanowanej trasy. W ciągu dwóch kolejnych dni zostali zaatakowani przez te same zmutowane gatunki co my.

Wśród zgromadzonych rozległy się pomruki. Manny podniósł rękę, jakby byli w szkolnej klasie.

- Odkryliśmy wylęgarnie zabopiranii i szarańczy - oświadczył, po czym opowiedział, co widział razem z Carrerą przy wielkim drzewie. - Mam pewną teorię co do tych stworów...

- Zanim zaczniemy teoretyzować i spekulować, poznajmy fakty - przerwał mu Kouwe i popatrzył na Nathana. - Mów dalej. Co się stało po atakach?

Nathan wziął kolejny głęboki wdech. Niełatwo było mu mówić o tym, czego się dowiedział z dziennika.

- Przeżyli jedynie mój ojciec, Gerald Clark i dwóch naukowców, ale zostali schwytani przez tropicieli Ban-ali. Ojcu udało się z nimi porozumieć i w końcu darowali im życie. Z jego notatek wynika, że język Ban-ali jest zbliżony do dialektu Yanomami.

- Są pewne podobieństwa - przyznał Kouwe. - Przy tak wielkim odizolowaniu Ban-ali od świata już sam fakt, że biały człowiek mówił w ich języku, z pewnością mógł zwiększyć szanse przeżycia więźniów. Nie dziwi mnie, że ich oszczędzono.

I co z tego? - pomyślał Nathan.

— Cała czwórka odniosła poważne rany, ale ich wyleczono - kontynuował. - Ojciec uważał te wyleczenia za cudowne: rany zagoiły się, nie pozostawiając blizn, połamane kości pozrastały się w niecały tydzień, zniknęły nawet takie chroniczne schorzenia jak szmery w sercu u jednego z naukowców. Ale najbardziej zdumiewająca rzecz stała się z Geraldem Clarkiem...

— Ręka - dodała Kelly i wyprostowała się.

— Właśnie. W ciągu kilku tygodni od przybycia do tego miejsca kikut amputowanego ramienia zaczął pękać i krwawić, a potem zakiełkowała w nim guzowata narośl. Jeden z naukowców był lekarzem i razem z ojcem obserwowali cały ten proces. Najpierw pojawiła się niezróżnicowana masa komórek macierzystych i byli pewni, że to coś złośliwego. Zastanawiali się nawet, czy nie usunąć tego chirurgicznie, ale nie mieli narzędzi. Po trzech tygodniach skupisko komórek zaczęło się wydłużać i obrastać skórą.

— Ramię odrastało... - mruknęła Kelly.

Nathan kiwnął głową, przewinął dziennik ojca do daty sprzed trzech lat i zaczął czytać:

- „Dziś razem z doktorem Chandlerem zrozumieliśmy, że rzekomy nowotwór Clarka to niespotykany w historii ludzkości

przypadek regeneracji kończyny. Wstrzymaliśmy planowanie ucieczki do czasu, aż zobaczymy, co z tego wyniknie. Ten cud jest wart ryzyka. Ban-ali w dalszym ciągu traktują nas przyjaźnie, pozwalają nam poruszać się po dolinie, ale nie możemy stąd odejść. Poza tym z powodu krążących po dolnym wąwozie jaguarów ucieczka - przynajmniej na razie - i tak wydaje się niemożliwa”.

Nathan kliknął na inny plik. Na ekranie pojawiły się szkice górnej części tułowia i ramienia.

- Ojciec zaczął dokumentować proces regeneracji. To, jak komórki macierzyste zamieniają się powoli w kość, mięśnie,

naczynia krwionośne, włosy i skórę. Całkowite odrośnięcie kończyny nastąpiło po ośmiu miesiącach.

— Co je spowodowało? - spytała Kelly.

— Według ojca sok drzewa Yagga.

— Yagga... - powtórzyła w zamyśleniu Kelly.

— Nic dziwnego, że Ban-ali czczą to drzewo jak boga - stwierdził Kouwe.

— Co to jest Yagga? - odezwał się z kąta Zane, po raz pierwszy okazując zainteresowanie tematem ich rozmowy.

Profesor opowiedział, czego razem z Kelly był świadkiem na „oddziale szpitalnym” we wnętrzu gigantycznego prehistorycznego drzewa - i opisał, jak w cudowny sposób rany Franka niemal natychmiast się zasklepiły.

- To nie wszystko - dodała Kelly i przysunęła się bliżej komputera. - Przez całe popołudnie sprawdzałam u niego poziom czerwonych krwinek. Wzrasta w zdumiewającym tempie. Jakby coś pobudzało szpik do wytwarzania nowych czerwonych krwinek... w ogromnych ilościach. Nigdy czegoś podobnego nie widziałam.

Nathan otworzył kolejny plik.

- Spowodował to jakiś składnik soku drzewa. Naukowcom z ekipy ojca udało się go wyodrębnić i poddać chromatografii bibułowej. Tak jak sok bożodrzewu gruczołowatego \* zawiera liczne węglowodory, Yagga zawiera białka.

- Białka? - powtórzyła Kelly, wpatrując się w ekran.

Do komputera podszedł Manny i popatrzył jej przez ramię.

- Czy dobrze pamiętam, że czynnik chorobotwórczy to też jakiś rodzaj białka?

Kelly kiwnęła głową.

- Tak. To prion o silnych właściwościach mutagennych. - Spojrzała na Manny'ego. - Mówiłeś coś o żabopiraniach i szarańczy... że masz jakąś teorię.

Manny potwierdził.

- Te stwory również są związane z drzewem Yagga. Szarańcza żyje w jego korze, w czymś w rodzaju galasów, w jakich

\* *Ailantus altissima*, zwany ajlantem wyniosłym, po angielsku *copal tree*. Jest to święte drzewo Azteków.



żyją dzikie pszczoły. A w jeziorku między korzeniami drzewa znajduje się hodowla żabopiranii. Do wody skapuje sok z naziemnych korzeni. Moim zdaniem to właśnie on powoduje, że dochodzi do mutacji.

— Mój ojciec sugeruje w swoich notatkach coś podobnego - dodał Nathan. Zagadnieniu temu poświęconych było kilka plików, ale nie zdążył wszystkich przeczytać.

— A gigantyczne kajmany i jaguary? - spytała Anna.

— Zaryzykuję twierdzenie, że to dawniejsze mutacje - odparł Manny. - Oba gatunki musiały przeobrazić się już wiele pokoleń temu. Obecnie mogą się samodzielnie rozmnażać i są wystarczająco stabilne genetycznie, aby nie potrzebować wsparcia drzewa.

— Więc dlaczego nie opuszczają tej okolicy? - dopytywała się Anna.

— Może z powodu jakiegoś imperatywu biologicznego...

— To brzmi zupełnie tak, jakbyście uważali, że drzewo z rozmysłem wytworzyło te stwory. Świadomie? Drzewo? - wtrącił Zane.

Manny wzruszył ramionami.

- Kto wie? Efekt nacisku ewolucyjnego może czasem sprawiać wrażenie przemyślanego działania albo wpływu świadomej woli.

Zane pokręcił głową.

— To niemożliwe.

— Nie do końca. - Manny popatrzył na Nathana. - Mielіśmy już do czynienia z tym zjawiskiem. Na przykład w przypadku drzewa mrówkowego.

Nathan przypomniał sobie atak owadów na sierżanta Kostosa, który „podlał” drzewo mrówkowe. Dobrze pamiętał, co mówił o nim profesor Kouwe: gałęzie tego drzewa są puste w środku - służą mrówkom za dom, a drzewo karmi całą kolonię swoim słodkim sokiem. W rewanżu owady bronią drzewa przed innymi roślinami i zwierzętami. Zaczynał rozumieć, do czego dąży Manny. Rzeczywiście między tymi dwoma drzewami istniało pewne podobieństwo.

- Mamy tu do czynienia z symbiozą między rośliną a zwierzęciem. To bardzo skomplikowane współdziałanie. Jedno służy drugiemu - wyjaśnił Manny.

— Kogo obchodzi, w jaki sposób te bestie stały się tym, czym są teraz? - zapytała Carrera, stojąca przy oknie, za którym widać było powoli zachodzące słońce. - Najważniejsze jest chyba to, żebyśmy wiedzieli, jak sobie z nimi poradzić, jeśli będziemy musieli stąd uciekać.

— Wszystkimi tymi stworami można sterować - odparł Nathan.

- W jaki sposób?

Wskazał laptop.

— Ojciec poznał wiele tajemnic Ban-ali. Wszystko wskazuje na to, że plemię nauczyło się je zwabiać albo odstraszać. Widzieliśmy to na własne oczy na przykładzie szarańczy. To samo Ban-ali potrafią robić z żabopiraniami. Wrzucane do wody proszki mogą wyzwać w nich agresję. Ojciec sądził, że może to być coś w rodzaju roślinnego hormonu, który wzmacnia instynkt terytorialności i sprawia, że zwierzęta zaczynają atakować wszystkich, którzy wkraczają na ich teren.

— Wobec tego mieliśmy szczęście, że udało nam się wybić większość dorosłych osobników - stwierdził Manny. - Wyhodowanie nowego stada musi trochę potrwać. To jeden z wielu minusów broni biologicznej... czas.

— Może właśnie dlatego Ban-ali trzymają więcej gatunków? - podsunęła Carrera.

— Oczywiście! - zawołał Manny. - Powiniennem być wcześniej na to wpaść.

— Więc czym są te olbrzymie jaguary i kajmany? - spytała Carrera, patrząc na Nathana.

— Strażnikami bram - odparł. - Dokładnie tak, jak pomyśleliśmy na początku. Patrolują cały teren przed wejściem do wioski. Ale nawet jaguary można odstraszyć... trzeba tylko pomalować ciało czarną farbą wymieszaną ze specjalnym proszkiem. Właśnie w ten sposób Ban-ali bezpiecznie przechodzą przez ich terytorium. Przypuszczam, że ten proszek przypomina swoim składem chemicznym odchody kajmana.

— A więc pomalowane ciało naszego przewodnika wcale nie było kamuflażem - stwierdził Manny.

— Gdzie można znaleźć ten odstraszący proszek? - spytał Kostos. - Z czego się go robi?

- Z drzewa Yagga - odparł Kouwe.  
Jego odpowiedź zaskoczyła Nathana.
- Masz rację, Ban-ali robią go z olejków uzyskanych z liści i kory, ale jak na to wpadłeś?
- Bo wszystko, co się tutaj dzieje, ma związek z tym prehistorycznym drzewem. Uważam, że Manny miał słusność, porównując je do drzewa mrówkowego. Mylił się jedynie co do tego, kto tu jest mrówką...
- Co masz na myśli? - spytał zdziwiony Manny.
- Zmutowane zwierzęta są jedynie biologicznymi narzędziami, wspomagającymi prawdziwych żołnierzy. - Kouwe popatrzył na obecnych. - Indian Ban-ali.

Zapadła pełna zaskoczenia cisza.

- W tym systemie mrówkami żołnierzami są Indianie - kontynuował profesor. - Ban-ali nazywają swoje wielkie drzewo Yagga, co w ich języku oznacza matkę. Kogoś, kto daje życie i dba o swoje dzieci. Dawno temu, prawdopodobnie podczas pierwszej fali migracji ludzi do Ameryki Południowej, członkowie tego plemienia musieli odkryć niezwykle właściwości lecznicze tego drzewa i w efekcie zostali *ban-yi*, czyli jego niewolnikami.

Słuchając tego wywodu, Nathan poczuł, że robi mu się niedobrze. Ludzie w roli mrówek...

- Ta dolina zachowała się bez większych zmian - dokoń czył profesor. - Może jej historia sięga czasów Pangei, kontynentu, w którym Ameryka Południowa i Afryka były ze sobą połączone? Żyjące tu gatunki mogły istnieć już wtedy, kiedy człowiek dopiero zaczynał chodzić wyprostowany. Na całym świecie istnieje mnóstwo legend o różnych cudownych drzewach. Matka i strażnik. To, z czym mamy tutaj do czynienia, wcale nie jest pierwszym przypadkiem, kiedy człowiek znalazł drzewo-cud.

Zapadła cisza. Nathan podejrzewał, że nawet jego ojciec nie zbadał całkowicie historii drzewa Yagga. Była niesamowita. Sierżant Kostos przewiesił swoje M-16 na drugie ramię.

- Dość już tej lekcji historii. Wydawało mi się, że mamy opracować plan działania. Musimy się zastanowić, jak stąd uciec, jeżeli nie uda nam się z nikim skontaktować.

- Sierżant ma rację - przyznał Kouwe. - Mów dalej, Nate. Co się stało z twoim ojcem i resztą? Jak udało się uciec Clarkowi?

Nathan wziął głęboki wdech i odwrócił się do komputera. Przewinął dziennik ojca do ostatniego wpisu i przeczytał go głośno:

**18 kwietnia**

Zebraliśmy wystarczająco dużo proszku, aby spróbować uciec.

Po tym, czego się dowiedzieliśmy, musimy jak najszybciej spróbować dotrzeć do cywilizacji. Nie możemy dłużej czekać.

Pomalujemy ciała na czarno i uciekniemy zaraz po zachodzie księżyca, Illia zna ścieżki, które szybko wyprowadzą nas z tej krainy, ale powrót do cywilizacji będzie trudny i pełen zagrożeń.

Nie mamy jednak wyboru... nie teraz, po porodzie. Spróbujemy dziś w nocy. Niech Bóg ma nas w swej opiece.

Nathan wyprostował się i odwrócił do pozostałych.

- Nie tylko Gerald Clark podjął próbę ucieczki - powie dział.

Na twarzach zebranych pojawił się ten sam wyraz, który oznaczał: ale tylko Clarkowi udało się dotrzeć do celu.

- Więc wyruszyli wszyscy... - mruknęła Kelly.

Nathan kiwnął głową.

- Była z nimi także jedna kobieta Ban-ali, tropicielka o imieniu Illia. Zakochała się w Geraldzie Clarku i wzięli ślub. Zabrał ją ze sobą.

— Co się z nimi stało? - spytała Anna.

Nathan pokręcił głową.

— To był ostatni wpis do dziennika ojca. Nic więcej nie ma.

Kelly posmutniała.

— Pewnie nie udało im się uciec... poza Geraldem Clarkiem.

— Mogę zapytać Dakii, co się wtedy stało - powiedział Kouwe.

— Dakii?

Profesor wskazał w dół.

- To Indianin, który nas tu przyprowadził. Może uda mi się dowiedzieć od niego czegoś więcej, może wie, w jaki sposób zginęli.

Nathan kiwnął głową, choć nie był do końca pewien, czy rzeczywiście chce się tego dowiedzieć.

- Dlaczego zdecydowali się uciec akurat tej nocy? - spytał Manny. - I czemu musieli się spieszyć?

Nathan odetchnął głęboko.

- Właśnie dlatego chciałem, żebyście to usłyszeli. Ojciec doszedł do przerażającego wniosku... i uznał, że świat musi się o tym dowiedzieć.

- O co chodzi? - zdziwił się Kouwe.

Nathan nie bardzo wiedział, od czego zacząć.

— Po kilku latach mieszkania wśród Ban-ali ojciec zaczął kojarzyć pewne fakty. Zauważył, że przedstawiciele tego izolowanego plemienia wykazują wiele znaczących przewag ewolucyjnych w stosunku do innych indiańskich plemion z regionu Amazonki. Na przykład stosowali wielokształt, a w większych domach były nawet proste windy, w których wykorzystano wielkie kamienie jako przeciwwagi. Zaobserwował też inne oznaki rozwoju technologicznego, które wydawały się dziwne, biorąc pod uwagę izolację plemienia. Poświęcił wiele czasu badaniu sposobu ich myślenia i uczenia dzieci. Był tym wszystkim zafascynowany.

— I co się potem stało? - spytała Kelly.

— Gerald Clark zakochał się w Illii. Wzięli ślub po dwóch latach zamknięcia grupy w wiosce. Po roku spłodzili dziecko, a potem Illia urodziła... - Popatrzył na obecnych z zaciśniętymi zębami. - Dziecko urodziło się martwe, pełne mutacji. Mój ojciec nazwał je „genetycznym potworem”.

Kelly aż się skuliła.

- W tych plikach jest więcej szczegółów - dodał Nathan, wskazując komputer. - Mój ojciec i lekarz ekipy doszli do przerażających wniosków. Drzewo zmutowało nie tylko niższe gatunki, ale także samych Ban-ali, doskonaląc ich możliwości umysłowe, odruchy i zmysły. Na pierwszy rzut oka nie widać tych zmian, ale w rzeczywistości drzewo nieustannie zmieniało wszystkich członków plemienia. Ojciec podejrzewał, że z genetycznego punktu widzenia Ban-ali zaczęli się odrywać od gatunku ludzkiego. Jednym z podstawowych kryteriów, na podstawie których określa się odrębność gatunkową, jest nie-

możność płodzenia normalnego, zdrowego potomstwa przez parę, w której jeden osobnik jest z jednej, a drugi z drugiej grupy.

Manny pobladł.

- Martwy noworodek... - wymamrotał.

Nathan potwierdził kiwnięciem głowy.

— Ojciec doszedł do wniosku, że Indianom Ban-ali bardzo niewiele brakuje do całkowitego oderwania się od *Homo sapiens* i stania się osobnym gatunkiem.

— Boże... - szepnęła Kelly.

— Właśnie dlatego ojciec i inni członkowie ekspedycji uznali, że powinni jak najszybciej uciec. Chcieli zatrzymać niszczenie naszego gatunku.

Przez długie sekundy nikt się nie odzywał.

— Co teraz zrobimy? - spytała w końcu Anna Fong.

— Musimy uruchomić ten cholerny GPS, a potem natychmiast stąd spadamy - oświadczył Kostos.

— A tymczasem powinniśmy zebrać jak najwięcej proszku odstraszającego te zmutowane zwierzęta - dodała Carrera.

Kelly odchrząknęła i wstała.

— Zapominamy o jednej ważnej rzeczy. O rozprzestrzeniającej się w Ameryce chorobie. Jak ją opanować? Co Gerald Clark wyniósł z tej doliny? - Odwróciła się do Nathana. - Czy w notatkach twojego ojca jest mowa o jakiejś zarazie?

— Nie. Dzięki leczniczym właściwościom drzewa Yagga nikt na nic nie chorował. Jediną sugestią jest tabu, niepozwalające żadnemu z Wybranych opuszczać tego miejsca. Na każdego, kto odejdzie, i na wszystkich, których ten człowiek spotka, spadnie przekleństwo. Ojciec uznał to za mit, mający zapobiec odchodzeniu ludzi z plemienia.

— Przekleństwo, jakie padnie na każdego, kto odejdzie, i na wszystkich, których spotka... - powtórzył w zamyśleniu Manny. - To przypomina naszą zarazę.

— Jeśli tak rzeczywiście jest, skąd się wzięła? - spytała Kelly. - Co sprawiło, że organizm Clarka zaczął nagle wytwarzać nowotwory? Co sprawiło, że stał się zakaźny?

— Zaryzykowałbym twierdzenie, że to również ma jakiś związek z sokiem drzewa Yagga - wtrącił Zane. - Może jest

w nim jakiś środek blokujący rozwój choroby? Odchodząc stąd, musimy wziąć ze sobą sporą ilość tego soku. Na pewno okaże się potrzebny. Kelly zignorowała go.

— Czegoś nie dostrzegamy... czegoś ważnego - powiedziała cicho.

— Sprawdzę, czy Dakii zechce z nami współpracować - oświadczył Kouwe. - Może zna odpowiedzi na niektóre z interesujących nas pytań... zarówno tych dotyczących losu reszty wyprawy, jak i tej tajemniczej choroby.

— Doskonale, mamy więc wstępny plan - oznajmił Kostos, po czym zaczął wskazywać palcem poszczególne osoby i wyznaczać zadania. - Olin nadal będzie pracował nad GPS-em. O świecie Kouwe i Anna, nasi eksperci do spraw Indian, zajmą się zbieraniem informacji. Musicie zebrać jak najwięcej wszelkich możliwych danych. Manny, Carrera i ja poszukamy magazynu proszku do odstraszenia zwierząt. Zane, Rand i Kelly zaopiekują się Frankiem i przygotowują go do ewentualnej szybkiej ewakuacji oraz zbiorą próbki leczniczego soku.

Każdy potwierdzał skinieniem głową przyjęcie do wiadomości zadania, jakie mu przydzielono. Praca powstrzyma ich od myślenia o biologicznym horrorze, kryjącym się w tej pięknej dolinie.

— Mogę zacząć od razu - stwierdził profesor i wstał. - Pogawędzę z Dakii, dopóki jest sam na dole.

— Pójdę z tobą - oświadczył Nathan.

- A ja sprawdzę jeszcze raz, co z Frankiem, zanim zapadnie noc - powiedziała Kelly.

Wyszli z pomieszczenia i ruszyli w kierunku schodzącej w dół drabinki. Słońce już zaszło i na zachodzie widać było jedynie plamę jaśniejszego nieba. Mrok ogarnął dolinę niczym ciemna chmura.

Schodzili w milczeniu, każde z nich było pogrążone we własnych myślach.

Nathan, który pierwszy znalazł się na dole, pomógł zejść pozostałej dwójce. Podszedł do niego Tor-tor i trącił go nosem, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę. Nathan podrapał jaguara za uchem.

Kilka metrów dalej stał Dakii.

Kiedy Kouwe poszedł do Indianina, Kelly popatrzyła na górne gałęzie ogromnego drzewa. Nathanowi wydało się, że w jej zmrużonych oczach dostrzega błysk niepewności.

- Jeśli zaczekasz chwilę, pójdę z tobą - powiedział.

Pokręciła głową.

— Nic mi nie będzie. Mam radio jednego z rangersów. Powinieneś trochę odpocząć.

— Ale...

Popatrzyła na niego zmęczonym i smutnym wzrokiem.

- To nie potrwa długo. Chciałabym spędzić kilka minut z bratem.

Nie protestował, bo wiedział, że Ban-ali nie będą jej napastować, nie chciał jej jednak zostawiać samej z tak wielką rozpaczą. Najpierw córka, potem brat...

Ujęła jego rękę i lekko uściśnęła.

- Mimo wszystko dzięki za propozycję - szepnęła i ruszyła w stronę wielkiego drzewa.

Kouwe zapalił fajkę i zaczął rozmawiać z Dakii. Nathan poklepał Tor-tora po boku i podszedł do nich.

— Masz jakąś fotografię ojca? - spytał go profesor.

— W portfelu.

— Możesz ją pokazać Dakii? Po czterech latach spędzonych z twoim ojcem powinien być obyty ze zdjęciami.

Nathan wyjął portfel i otworzył plastikową kieszonkę, w której była fotografia. Carl Rand w wiosce Yanomami, otoczony przez dzieci.

Kouwe pokazał ją Dakii.

Indianin przekrzywił głowę i patrzył na zdjęcie szeroko otwartymi oczami.

- Kerl - powiedział w końcu, stukając w nie palcami.

- Carl... zgadza się - mruknął profesor i zapytał w dialekcie Yanomami: - Co się z nim stało?

Dakii nie zrozumiał. Dopiero po kilku kolejnych próbach pojał, o co go pytają. Energicznie pokiwał głową i zaczął coś bardzo szybko mówić - zbyt szybko, aby Nathan mógł cokolwiek zrozumieć.

- Innych członków wyprawy zabito - przekazał mu Kou-



we podczas krótkiej przerwy. - Tylko Clarkowi udało się uciec. Musiało mu w tym pomóc jego doświadczenie z czasów służby w siłach specjalnych.

- A mój ojciec?

Dakii musiał zrozumieć słowo „ojciec”, bo przysunął twarz do fotografii, a potem spojrzał na Nathana.

- Syn? - spytał. - Ty syn ten człowiek?

Nathan kiwnął głową.

Dakii poklepał go po ramieniu i uśmiechnął się szeroko.

- Dobrze. Syn *wishwa*.

Nathan pytająco popatrzył na Kouwego.

— *Wishwa* to szaman. Twój ojciec robił różne rzeczy, które uważali za cuda, więc mógł być uważany za szamana.

— Co się z nim stało?

Kouwe powrócił do rozmowy z Indianinem, złożonej z angielskiego bełkotu i dialektu Yanomami. Nathan powoli zaczął wyłapywać znaczenie pojedynczych słów.

— Kerl? - Dakii pokiwał znowu głową i uśmiechnął się dumnie. - Moja brat *teshari-rin* sprowadzić Kerl z powrotem do cień Yagga. Dobrze.

— Sprowadził go z powrotem?

Kouwe wyciągał z Indianina kolejne szczegóły. Dakii terkotał jak karabin maszynowy. Nathan nic z tego nie rozumiał, ale po chwili profesor się do niego odwrócił. Miał ponurą minę.

— Co on powiedział? - zapytał Nathan.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, twój ojciec został sprowadzony tu z powrotem, ale nie wiem, żywy czy martwy. Ponieważ popełnił przestępstwo i jednocześnie miał status *wishwy*, dostąpił rzadkiego zaszczytu.

— To znaczy?

— Jego ciało trafiło między korzenie Yagga jako... pokarm.

— Nakarmiono nim korzenie?

— Chyba chodzi o to, że został nawozem.

Nathan poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Choć wiedział, że ojciec nie żyje, trudno mu było ogarnąć umysłem to, czego się właśnie dowiedział. Ojciec zaryzykował życie, aby powstrzymać niszczenie prehistorycznego plemienia przez drzewo, i w zamian za to został przerobiony na nawóz...

Dakii przez cały czas kiwał głową i uśmiechał się.

- To dobrze. Kerl z Yagga. *Nashi nar!*

Nathan nie miał ochoty pytać, co oznacza ostatnie zdanie, ale Kouwe je przetłumaczył:

- *Nashi nar* to „na zawsze”.

GODZ. 20.08

Louis czekał w ciemnościach dżungli z nasuniętymi na czoło goglami noktowizyjnymi. Słońce właśnie zaszło i noc szybko wypełniała dolinę. Jego ludzie trwali na swoich pozycjach od kilku godzin.

Niech to czekanie wreszcie się skończy!

Musiał być jednak cierpliwy. „Spiesz się powoli” - tak zawsze go uczono. Przed atakiem należało jeszcze dołożyć do układanki ostatni element. Leżał więc na brzuchu, ukryty pod paprocią, z twarzą wysmarowaną czarną pastą.

Dzień był długi i bardzo pracowity. Rano, godzinę po wschodzie słońca, skontaktował się z nim jego agent i poinformował go, że wioska Ban-ali jest położona w odizolowanej dolinie i można dotrzeć do niej jedynie przez odnogę kanionu biegnącego między skalistymi wzgórzami. Nie mogło być lepiej: wszyscy przeciwnicy zostaną uwięzieni w jednej pułapce!

Jedyną przeszkodą było krążące u stóp wejścia do wioski stado jaguarów.

Ale Tshui udało się rozwiązać ten problem. Ukryta w poranym mroku, poprowadziła oddział jego najlepszych tropicieli - którymi dowodził niemiecki najemnik Brail - do doliny jaguarów, gdzie porzkładali świeże, jeszcze ociekające krwią mięso. Indianka własnoręcznie naszpikowała każdy kawałek pozbawioną smaku i zapachu trucizną, która zabijała po pierwszym liźnięciu mięsa. Jaguary, spragnione krwi po starciu z grupą poszukiwawczą, nie potrafiły oprzeć się tak silnej pokusie.

Co kilka minut kolejne zwierzę zapadało w sen, z którego miało się nigdy nie obudzić. Jednak kilka wielkich kotów

zachowało ostrożność i nie tknęło mięsa. Tshui i jej ludzie urządzili więc polowanie, podczas którego użyli wiatrówek z zatrutymi strzałkami i rozprawili się z resztą jaguarów.

Wszystko odbyło się bardzo szybko i cicho. Kiedy droga została oczyszczona, Louis i jego żołnierze zajęli pozycje w okolicy wejścia do odnogi kanionu.

Teraz potrzebował jeszcze tylko jednej rzeczy, ale musiał być cierpliwy.

Spiesz się powoli.

Po jakimś czasie w wąwozie coś się poruszyło. W goglach na podczerwień dwie idące po schodach postacie wyglądały jak sunące w powietrzu zapalone pochodnie. Już kilka godzin temu Louis ustawił posterunki w miejscach tak wybranych, aby natychmiast zlikwidować Indian, którzy chcieliby sprawdzić, czy w okolicy nie pojawił się jakiś wróg, ale nie pokazał się nikt z plemienia. Prawdopodobnie Ban-ali byli zbyt zajęci przybyszami i sądzą, że stado jaguarów ochroni ich albo przynajmniej ostrzeże w przypadku pojawienia się kolejnych kłopotów.

Nie dziś, *mes amis*. Do waszej małej dolinki przybyło coś znacznie groźniejszego.

Postacie przez cały czas schodziły w dół. Louis opuścił gogle. Choć wiedział, że Ban-ali nadchodzą, ich czarny kamuflaż był tak doskonały, że gołym okiem nie dało się ich dostrzec. Ponownie założył gogle i uśmiechnął się do siebie. Postacie znowu stały się widoczne.

Cóż za cuda ma do zaoferowania nowoczesna technika...

Po kilkunastu sekundach obaj Indianie dotarli do dolnego końca wąwozu i zatrzymali się. Czyżby obawiali się jaguarów? Louis wstrzymał oddech. Po chwili Ban-ali ruszyli dalej, rozpoczynając nocny obchód.

Nareszcie.

Z dżungli wyszła kolejna postać - w goglach Louisa płonęła znacznie jaśniej niż obaj Indianie - i zastąpiła im drogę. Louis opuścił gogle. Była to Tshui. Naga. Jej włosy barwy mahoniu spływały falami, sięgając do nagich pośladków. Przesunęła się w stronę Indian niczym obłok - leśna boginka obudzona z drzemki.

Pomalowani na czarno zwiadowcy Ban-ali znieruchomieli.

W krzakach rozległ się cichy odgłos przypominający kasznięcie i po chwili jeden z Indian klepnął się w kark i osunął na ziemię. W każdej strzałce była trucizna, która zwałała z nóg półtonowego jaguara. Ban-ali nie żył, zanim upadł na kamienisty grunt.

Drugi Indianin przez sekundę gapił się na swojego towarzysza, po czym błyskawicznie rzucił się do ucieczki - z powrotem do wozu, z którego wyszedł. Jednak Tshui była od niego szybsza. W jej krwi krążyło tyle środków pobudzających, że bez trudu wyprzedziła Indianina i zablokowała mu drogę ucieczki. Otworzył usta, zamierzając krzyknąć i zaalarmować mieszkańców wioski, ale Tshui znowu okazała się szybsza. Wyrzuciła do przodu dłoń, z której wysypała się garść proszku - trafiając Indianina prosto w twarz, w oczy i szeroko otwarte usta.

Krzyk uwiązał mu w gardle. Kiedy trucizna zaczęła działać, zacharczał i opadł na kolana.

Tshui nawet nie drgnęła powieką. Uklękła obok swojej ofiary i patrzyła, jak mężczyzna przewraca się na bok. Potem spojrzała nad jego ciałem w kierunku kryjówki Louisa i na jej ustach pojawił się uśmiech.

Louis wstał. Ostatni kawałek został dopasowany do puzzla. Miał już człowieka, który powie mu o instalacjach obronnych plemienia. Wszystko było przygotowane do jutrzejszego ataku.

GODZ. 21.23

Kelly siedziała ze skrzyżowanymi nogami obok nisko zawieszony hamaka brata.

Frank był owinięty grubym kocem, trzymał w dłoni orzech o średnicy kilkunastu centymetrów i popijał przez słomkę znajdujący się w nim płyn.

Kelly bez trudu rozpoznała ten owoc - ich grona rosły na gałęziach drzewa Yagga, a ich sok przypominał mleko kokosowe. Kiedy jeden z Indian przyniósł Frankowi orzech, spróbowała mleczka. Było słodkie i kremowe w smaku, zawierało mnóstwo cukrów i tłuszczu - tak potrzebnych teraz jej bratu.

Zaczekała, aż brat skończy pić ten naturalny napój energetyczny i wzięła z jego lekko drżącej dłoni orzech. Oczy Franka były ciągle jeszcze mętne od morfiny.

— Jak się czujesz? - zapytała.

— Jak dziecko szczęścia - wychrypiał. Jego wzrok powędrował w kierunku rysujących się pod kocem kikutów.

- Bardzo cię boli?

Zmarszczył czoło.

— Nie, nie bardzo - odparł, uśmiechając się z trudem. - Ale mógłbym przysiąc, że swędzą mnie palce u nóg.

— To zjawisko fantomowe. Prawdopodobnie będziesz czuł je jeszcze przez wiele miesięcy.

— Swędzenie w miejscach, w które nie można się po-drapać... wspaniale - mruknął.

Popatrzyła na niego. Twarz Franka wyrażała to wszystko, co sama czuła - ulgę, zmęczenie i strach - ale przynajmniej jego skóra nabrała normalnej barwy. Niezależnie od grozy sytuacji, w jakiej się znajdowali, musiała przyznać, że sok drzewa Yagga ma cudowne właściwości. Uratował jej bratu życie. Jego stan poprawiał się w zdumiewająco szybkim tempie.

Frank ziewnął.

- Powinieneś się przespać - stwierdziła Kelly i wstała. - Twój organizm musi naładować baterie - dodała i wetknęła koszulę w spodnie.

W pomieszczeniu było poza nimi tylko dwóch Indian, w tym szaman, który jej się podejrzliwie przypatrywał. Kelly chciała spędzić u boku brata całą noc, ale szaman nie zgodził się na to. Wyjaśnił jej łamaną angielszczyzną, że sam będzie się opiekował ich nowym bratem razem ze swoimi ludźmi.

- Yagga go chroni - oświadczył, nie dopuszczając jej do głosu.

Kelly westchnęła i popatrzyła na Franka.

- Pójdę, zanim mnie stąd wyrzucą.

Ponownie ziewnął i kiwnął głową. Kelly obiecała, że wróci do niego o świcie. Uścisnął jej rękę i szepnął:

— Kocham cię, siostrzyczko. Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

— Ja ciebie też, Frank.

- Wyrzebię się z tego... Jessie też.

Przygryzła wargę, próbując powstrzymać łzy. Nie wolno jej puszczać wodzy emocjom - nie przy rannym bracie. Bała się, że jeśli zacznie płakać, nie będzie mogła przestać. Do tej pory udawało jej się ukrywać rozpacz. Tak zawsze robią Irlandczycy w obliczu przeciwności losu. Nie był to odpowiedni moment na okazywanie tego, co naprawdę czuła.

Sprawdziła wlew dożylny. Choć nie trzeba było już podawać Frankowi płynów, wołała na razie nie wyjmować cewnika.

Szaman wpatrywał się w nią ze zmarszczonym czołem.

Pieprz się, pomyślała ze złością. Pójdę, kiedy będę gotowa. Uniosła koc i sprawdziła stan kikutów. Opatrunek z soku drzewa Yagga trzymał się dobrze. Przez półprzezroczystą warstwę widać było na ranach początek ziarninowania. Szybkość tego procesu była zdumiewająca.

Przykryła brata kocem. Frank miał zamknięte oczy i cicho chrapał. Pochyliła się nad nim i znowu delikatnie pocałowała go w policzek. Stłumiła łkanie, ale nie udało jej się powstrzymać łez. Wyprostowała się, otarła oczy i po raz ostatni rozejrzała się po pomieszczeniu.

Szaman musiał dostrzec migotanie łez na jej policzkach, bo jego twarz przybrała współczujący wyraz. Kiwnął głową, milcząco powtarzając obietnicę, że będzie doglądał jej brata.

Wzięła głęboki wdech i ruszyła do wyjścia. Schodzenie na dół wnętrzem drzewa zdawało się trwać wiecznie. W ciemnym tunelu była sama ze swoimi myślami. Wszystkie zmartwienia stawały się tu większe i straszniejsze. Jej brat... Jessie... rodzice...

Wreszcie wyszła z pnia drzewa na otwartą przestrzeń. Wiała wieczorna bryza, ale powietrze nadal było gorące. Księżyc świecił jasno, jednak gwiazdy zaczynały zasnuwać pierwsze strzępy chmur. W oddali zadudnił grzmot. W nocy na pewno będzie padać.

Szła szybkim krokiem w stronę drzewa, na którym znajdowała się ich baza. U jego podstawy ktoś z latarką trzymał wartę. Carrera. Zamachała do Kelly. Obok niej leżał Tor-tor. Kiedy Kelly podchodziła, jaguar podniósł łeb, powęszył i znowu się położył.

- Jak Frank? - spytała Carrera.

Kelly nie była w nastroju do pogaduszek, nie chciała jednak być niegrzeczna.

— Jego stan znacznie się poprawił - odparła. - Czuje się całkiem dobrze.

— To świetnie. - Carrera wskazała kciukiem w górę. - Powinnaś się wyspać. Przed nami długi dzień.

Kelly kiwnęła głową, choć wątpiła, czy zdoła szybko zasnąć. Zaczęła wchodzić po drabince.

- Na trzecim poziomie jest dla ciebie osobny pokój. Z prawej strony.

Do Kelly ledwie to dotarło.

- Dobranoc - mruknęła i wspinała się dalej, ogarnięta niewesołymi myślami.

Kiedy znalazła się na górze, stwierdziła, że taras jest pusty. Tak samo pusty był wspólny salon. Wszyscy musieli się już porozchodzić do swoich pokoi, wykończeni wieloma dniami niedosypiania.

Popatrzyła w górę na ciemne górne piętra, po czym podeszła do dłuższej z drabinek.

Trzeci poziom, przypomniała sobie słowa Carrery.

Oto co się dostaje, przychodząc na samym końcu, pomyślała.

Najwyższy poziom znajdował się w pewnym odstępnie od drugiego. Zbudowano go na rosnącej wyżej gałęzi i tak naprawdę był osobnym budynkiem, składającym się z dwóch pokoi gościnnych.

Kelly wspinała się powoli, walcząc z bólem w nogach. Wiatr się nasilił i liście zaczęły szeleścić, a drabinka lekko bujała się na boki. Zapachniało deszczem. Księżyc zniknął już za ciemnymi chmurami, więc Kelly przyspieszyła wspinaczkę, chcąc zdążyć przed burzą.

Z wysokości, na której się znajdowała, daleka błyskawica wyglądała niczym fajerwerk. Po chwili huknął grzmot i odbił się echem niczym basowy bęben. Nagle spędzenie nocy na drzewie przestało jej się wydawać dobrym pomysłem. Zwłaszcza na samej górze.

Ostatnie szczeble pokonała, kiedy pierwsze krople deszczu zaczęły przebijać się przez liście. Wciągnęła się na maleńki

taras i stanęła na czworakach. Wiatr i deszcz błyskawicznie się nasilały. Burze w Amazonii zazwyczaj trwają krótko, ale nadchodzą bardzo szybko i są dość gwałtowne. Ta nie była wyjątkiem. Kelly patrzyła na wejścia do obu znajdujących się na tym poziomie pokoiów.

Który z nich przeznaczono dla niej?

Tuż nad jej głową rozerwała się błyskawica i znowu zadudnił grzmot. Gwałtownie lunął deszcz, a bryza zamieniła się w gwałtowne podmuchy. Taras zabujał się jak statek na wzburzonym morzu.

Nie dbając o to, czy kogoś nie obudzi, Kelly zanurkowała w stronę bliższego z dwóch zasłoniętych matą otworów drzwiowych i wbiegła do ciemnego pokoju. Nie było dla niej w tym momencie nic ważniejszego od natychmiastowego znalezienia schronienia.

Kiedy niebo rozjaśniła kolejna błyskawica, przez znajdujący się w przeciwległej ścianie drugi otwór drzwiowy wpadło światło. Samotny hamak był pusty. Kelly ruszyła w jego kierunku.

Po drodze trąciła coś stopą. Potknęła się, opadła na jedno kolano i zakląła głośno. Sięgnęła za siebie i dotknęła ręką plecaka.

- Kto to? - zapytał jakiś głos zza otworu drzwiowego naprzeciwko niej. W jaśniejszym prostokącie pojawiła się ludzka sylwetka.

Kelly znieruchomiła.

Grzmot cichł dalekim echem. Po chwili płomień zapalniczki oświetlił postać stojącą w drzwiach.

— Nate? - spytała niepewnie. - To ja, Kelly. Podszedł do niej szybko i pomógł jej wstać.

— Co tu robisz?

Odsunęła z twarzy mokre włosy. Policzki piekły ją żywym ogniem.

— Eee... ee... chyba weszłam nie do tego pokoju co trzeba. Przepraszam.

— Nic ci nie jest? - zapytał Nathan.

Trzymał ją za ramiona, ciepło jego dłoni grzało ją przez mokrą koszulę.



— Wszystko w porządku. Tylko trochę głupio się czuję.  
— Nie ma potrzeby. Jest ciemno, więc miałaś prawo za-  
błądzić.

Znowu strzeliła błyskawica i Kelly zauważyła, że Nathan wpatruje się w jej twarz. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

— Jak Frank? - spytał w końcu Nathan.

— Dobrze - odparła ściszym głosem. W oddali zadudnił grzmot i przetoczył się nad nimi, sprawiając, że otaczający ich świat wydał im się ogromny i niezmierny, a oni sami poczuli się malutcy. Jej głos zamienił się w szept: - Nie powiedziałam... nie powiedziałam ci... jak bardzo mi przykro z powodu twojego ojca.

— Dziękuję.

Choć wypowiedział tylko to jedno słowo, w ciemnościach pojawiły się duchy dawnego bólu. Podeszła krok bliżej niczym owad przyciągany światłem lampy, który wie, że może zginąć w płomieniu, ale nie ma wyboru. Jego smutek potrafił jakąś strunę w jej wnętrzu. Twardy mur wokół jej serca pękł, a do oczu napłynęły łzy. Zaczęły jej drżeć ramiona.

- Ciii... - szepnął, mimo że nic nie mówiła. Przyciągnął ją do siebie i objął.

Drżenie zamieniło się w płacz. Żal i przerażenie, które przez tyle czasu zamykała w swoim sercu, zaczęły się z niej wylewać jak woda z pękniętej tamy. Ugięły się pod nią nogi, ale Nathan chwycił ją mocno i położył na podłodze. Przytulił ją do siebie. Jego serce uderzało o jej klatkę piersiową.

Leżeli przytuleni do siebie pośrodku szalejącej na zewnątrz burzy, która wyginała drzewa i ryczała niczym walczący tytani. Po kilku minutach Kelly popatrzyła na Nathana, objęła jego głowę i przyciągnęła do swojej. Czuła smak jego i własnych łez. To, co zaczęło się jako wspólna walka o przetrwanie, teraz, po zetknięciu się ich warg, obudziło w nich inne emocje. Kelly poczuła, jak tętno Nathana przyspiesza.

Odsunął się na chwilę i westchnął. Jego oczy niemal świeciły w ciemności.

— Kelly...

— Ciii... - szepnęła i ponownie przyciągnęła go do siebie.

Objęci, opadli na podłogę i zaczęli się nawzajem rozbierać.

Ich namiętność narastała w rytmie narastania szaleństwa burzy. Złe myśli odpłynęły, zagubione między bólem a przyjemnością, między odwiecznymi rytmami i bezgłósnymi krzykami. Pokój okazał się za mały i w którymś momencie znaleźli się na tarasie.

Błyskawice przesywały chmury, wokół ryczały grzmoty. Deszcz wpadał pod okap, smagając ich nagą skórę.

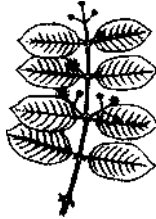
Kelly czuła gorące usta Nathana na swoich piersiach i na szyi. Wygięła plecy w łuk, aby ich ciała mocniej się spięły, przez zamknięte powieki widziała czerwone rozbłyski piorunów. Usta Nathana szukały jej ust, oddychali w tym samym rytmie. Pod kopułą burzy, przyciskana przez jego ciało, zaczęła czuć, jak narasta w niej cudowne napięcie, z początku powoli, potem coraz szybciej, jak ogarnia ją całą i w końcu wypływa z niej wraz z bezgłósnym krzykiem.

Jej krzyk odbił się od jego krzyku, który zabrzmiał dla niej głośniejsz od przetaczających się nad nimi grzmotów.

Świat przestał istnieć, przestała istnieć burza - istnieli tylko oni dla siebie nawzajem.

# AKT PIĄTY

## Korzeń



***Una de gato*, „Koci pazur“**

**rodzina:** marzanowate (*Rubiaceae*)

**rodzaj:** *Uncaria*

**gatunek:** *Tomentosa*, *Guianensis*

**powszechnie używane nazwy:** *Koci pazur*, *Una de Gato*, *Paraguay*, *Garabato*, *Garbato Casha*, *Samento*, *Toroń*, *Tambor Huasca*, *Aun Huasca*, *Una de Gavilan*, *Sokoli pazur*

**wykorzystywane części:** *kora*, *korzeń*, *liście*

**właściwości/działanie:** *przeciwbakteryjne*, *przeciwutleniające*, *przeciwzapalne*, *przeciwnowotworowe*, *antywirusowe*, *cytostatyczne*, *oczyszczające*, *moczopędne*, *obniżające ciśnienie*, *immunostymulacyjne*, *likwidujące pasożyty przewodu pokarmowego*, *antymutageniczne*

# 16

## Zdrada

17 SIERPNIĄ, GODZ. 7.05  
DŻUNGLA AMAZOŃSKA

Kiedy Nathan się obudził, stwierdził, że obejmuje nagą kobietę. Miała otwarte oczy.

- Dzień dobry - powiedział.

Kelly przysunęła się do niego. Czuł na jej skórze zapach deszczu. Uśmiechnęła się.

- Już od jakiegoś czasu mamy dzień - odparła.

Oparł głowę na łokciu, co w hamaku nie jest zbyt łatwe, i popatrzył jej w oczy.

— Dlaczego mnie nie obudziłaś?

— Pomyślałam sobie, że powinieneś jeszcze godzinę pospać.

Wyturlała się z hamaka, ściągnęła koc i owinęła się nim.

Wyciągnął do niej rękę.

Odsunęła się tak, aby nie mógł jej dosięgnąć.

- Przed nami długi dzień.

Jęknął i wygramolił się z hamaka. Kiedy Kelly zbierała swoje rzeczy, złapał leżące na stercie porzucanych ubrań bokserki. Popatrzył na dżunglę przez tylne wejście.

W nocy rozmawiali prawie do świtu o swoich bliskich, o życiu i różnych straconych rzeczach, a potem znów się kochali, tym razem wolniej, nie tak pośpiesznie, lecz za to z większą namiętnością. Zaspokojeni, położyli się na hamaku, aby złapać kilka godzin snu przed wschodem słońca.

Nathan wyszedł na tylny taras i popatrzył na las. Poranne

niebo było błękitne i czyste, po nocnej burzy nie pozostało ani śladu. Światło dnia niemal raziło, każdy kontur był jak wyrzeźbiony. Na liściach wisały jeszcze krople wody, migoczące jak klejnoty. Nie było to jednak wszystko.

- Powinnaś to zobaczyć! - zawołał Nathan.

Kelly, w spodniach i do połowy zapiętej koszuli, wyszła na taras. Popatrzył na nią, ponownie zdumiony jej urodą. Kiedy wyjrzała na las, jej oczy rozszerzyły się z zachwytu.

- Niesamowite...

Przytuliła się do niego, a on objął ją ramionami.

Nad górnych gałęziach drzewa, przyciągnięte prawdopodobnie wilgocią, siedziały setki motyli. Skrzydła każdego z nich miały rozpiętość długości ludzkiej dłoni i były pokryte jaskrawymi błękitnymi i zielonymi wzorami.

- To motyle należące do odmiany *Morpho*, ale nigdy nie widziałem tak ubarwionych osobników - powiedział Nathan.

Kelly przyjrzała się motylowi, na którego właśnie padł promień słońca. Zdawał się emanować światłem.

- Wygląda to, jakby ktoś rozbił witraż i posypał gałęzie drzewa drobinami szkła.

Przytulił ją mocniej, jakby chciał zatrzymać tę chwilę na zawsze. Stali w milczeniu przez wiele minut. Ocknęli się z zadumy dopiero wtedy, gdy z dołu doleciały głosy.

- Chyba powinniśmy zejść - stwierdził Nathan. - Mamy mnóstwo do zrobienia.

Kelly kiwnęła głową i westchnęła. Doskonale ją rozumiał. W tym miejscu można było - przynajmniej na chwilę - zapomnieć o czekających ich trudach i niebezpieczeństwach. Nie mogli jednak zostawić swoich towarzyszy.

Ubrali się powoli do końca. Kiedy byli gotowi do wyjścia, Nathan wyszedł na tylny taras i opuścił konstrukcję z bambusa i liści palmowych, która zasłoniła otwór drzwiowy - tak jak wtedy, gdy przyszedł tu po raz pierwszy.

Kelly podeszła do niego i pomacała biegnące wzdłuż górnej krawędzi zawiasy.

- Opuszczone, zamyka otwór drzwiowy. Podniesione i pod partę, chroni taras przed słońcem. Sprytne.

Nathan już wieczorem przyjrzał się tej konstrukcji.

— To przykład tego, o czym ojciec wspomniał w notatkach: pomysłowości, która daje Ban-ali przewagę nad okolicznymi plemionami - powiedział. - Prosty, ale bardzo przydatny wynalazek techniczny, tak jak ich prymitywne windy.

— Chętnie skorzystałabym teraz z takiej windy... - Kelly poruszała barkami, aby pozbyć się lekkiego napięcia w mięśniach. - W każdym razie daje to do myślenia... o tym, co drzewo Yagga robi z tymi ludźmi.

Pokiwał głową, po czym zaczął pakować swój plecak. W tej dolinie wiele rzeczy dawało do myślenia. Po chwili rozejrzał się po raz ostatni po pokoju i podszedł do drzwi, przy których czekała na niego Kelly.

Kiedy zarzucała plecak na ramiona, pochylił się i pocałował ją namiętnie. Była zaskoczona, ale odwzajemniła pocałunek z taką samą namiętnością. Nie zamienili dotychczas ani słowa na temat tego, co się stało w nocy. Oboje zdawali sobie sprawę, że ich zranione serca szukały przede wszystkim ukojenia, ale dla Nathana było to też początkiem czegoś, co wiązało się z nadzieją. A jeśli pocałunek Kelly o czymś świadczył, to chyba dla niej również.

Odsunęli się od siebie i bez słowa podeszli do prowadzącej na niższe poziomy drabinki.

Z dołu dolatywały zapachy gotowanego jedzenia. Kiedy zeszli na poziom wspólnego salonu i wyszli na taras, Nathan uświadomił sobie nagle, że jest bardzo głodny.

Przy wpuszczonym w taras kamiennym palenisku krzatali się Anna i Kouwe. Właśnie kończyli robić śniadanie. Obok paleniska leżał bochenek chleba z manioku, a przy nim stało kamienne naczynie z zimną wodą.

Anna trzymała w rękach tacę z najprawdziwszym bekonem.

- Z dzika - powiedziała, unosząc ją triumfalnie. - Przyniosły nam go o świcie dwie Indianki.

Nathanowi ślinka napłynęła do ust. Były także owoce, jajka i coś, co wyglądało jak ciasto.

- Nic dziwnego, że twój ojciec tak długo tu siedział - mruknęła Carrera z ustami pełnymi chleba i bekonu.

Nawet wzmianka o ojcu nie była w stanie popsuć Nathanowi apetytu. Opychał się jak pozostali.

Po chwili zauważył jednak, że nie wszyscy jedzą razem z nimi.

— Gdzie Zane i Olin? - zapytał.

— Pracują nad radiem - odparł Kostos. - Olin uruchomił rano GPS.

— Uruchomił GPS?! - Nathan omal nie zakrztusił się kawałkiem chleba.

— Znowu wszystko rozmontował i złożył, ale nie wiadomo, czy nasz sygnał do kogokolwiek dotrze.

Nathan popatrzył na Kelly. Jeżeli ktoś odbierze ich sygnał z prawidłowymi współrzędnymi, mogliby zostać odnalezieni nawet dziś po południu. Sądząc po błysku nadziei w jej oczach, Kelly pomyślała chyba o tym samym.

— Bez głównego radia może się okazać, że tylko plujemy na wiatr - powiedział Kostos. - Dopóki nie będę miał potwierdzenia, realizujemy plan awaryjny. Dzisiejsze zadanie Nathana, Zane'a i Kelly to przygotowanie Franka do natychmiastowej ewakuacji.

— Oraz nzbieranie soku z drzewa - dodała Kelly.

— Olin dalej będzie pracował nad radiem, a pozostali się rozdzielą i spróbują wyciągnąć od Indian jak najwięcej informacji. Przede wszystkim musicie dowiedzieć się czegoś o proszkach do odstraszania zwierząt.

Nathan nie zamierzał dyskutować z sierżantem. Niezależnie od tego, czy dysponowali GPS-em, czy nie, musieli działać z maksymalną ostrożnością. W milczeniu dokończono posiłek.

Po śniadaniu wszyscy zeszli z drzewa, pozostawiając na nim jedynie Olinę z częściowo naprawionym sprzętem komunikacyjnym. Manny i dwoje rangersów ruszyli w jedną stronę, Anna i Kouwe w przeciwną. Mieli spotkać się przy drzewie w południe.

Nathan i Kelly poszli w stronę drzewa Yagga - z wlokącym się za nimi Zane'em. Nathan poprawił strzelbę na ramieniu. Sierżant upierał się, aby każdy członek grupy był uzbrojony przynajmniej w pistolet. Kelly miała swój w przypiętej do

paska kaburze, a Zane - jak zwykle nieufny - trzymał berette w rękę i podejrzliwie rozglądał się dokoła.

Każda z trzech grupek była wyposażona w wojskowe radio małego zasięgu typu Saber, za pomocą którego mogła porozumiewać się z pozostałymi.

- Macie co kwadrans zgłaszać się z informacją, czy wszystko jest w porządku - polecił im Kostos. - Nie wolno wam o tym zapominać.

Idąc przez polanę, Nathan dokładnie przyjrzał się prehistorycznemu drzewu. Jego biała kora błyszczała od rosy, a liście migotały poruszane ruchem powietrza. Między gałęziami zwisały grona wielkich orzechów, które wyglądały jak miniaturki zbudowanych na drzewie chat. Nathan nie mógł się doczekać, aż obejrzy gigantyczne drzewo od środka.

Doszli do płataniny grubych, gruzłowatych korzeni i Kelly poprowadziła grupkę w kierunku wejścia. Z bliska bez trudu można się było domyślić, dlaczego Indianie nazywają to drzewo Yagga - Matką. Analogia była oczywista: dwa główne korzenie wyglądały jak rozłożone nogi, pomiędzy którymi znajdował się olbrzymi kanał rodny. Nazwa drzewa sugerowała, że Ban-ali się w nim rodzili.

- Mogłaby tędy wjechać ciężarówka - stwierdził Zane, patrząc na mroczny otwór.

Wchodząc do środka, Nathan wzdrygnął się mimowolnie. W powietrzu wisiał ciężki piżmowy zapach zawarty w drzewie olejków. Ściany tunelu były pokryte niebieskimi „odciskami dłoni”, dużymi i małymi. Może każdy z nich reprezentował jednego członka plemienia? Czy między nimi był symbol należący do jego ojca?

- Tędy - powiedziała Kelly i wprowadziła ich do idącego ku górze tunelu.

Także i tu na ścianach były „odciski dłoni” - ale im wyżej wchodzili, tym rzadziej je spotykali. Po pewnym czasie całkowicie zniknęły.

Nathan patrzył na gładkie ściany i co chwila odwracał się za siebie. Coś go niepokoiło, nie umiał jednak określić co to takiego. Coś mu tutaj nie pasowało. Znajdujące się wewnątrz drzewa kanały w drewnie i łyku, którymi w górę i w dół



transportowane były woda i związki odżywcze, okręwały eleganckimi zakolami tunel, do którego właśnie weszli, ale na dole, gdzie korytarz się urywał, przewody przepływowe były poszarpane. Zanim Nathan zdążył się temu dokładniej przyjrzeć, minęli zakręt i przestał widzieć początek tunelu.

- To długa wspinaczka - ostrzegła swoich towarzyszy Kelly. - Izba chorych jest na samej górze, w pobliżu korony drzewa.

Szli dalej. Tunel wyglądał jak wydrążony przez gigantycznego owada. Nathan znał ze studiów niszczące drzewa owady: chrząszcze z rodziny *Dendroctonus ponderosae*, ogłodek wielorzędowy, *Pennisetia marginata*... jednak ten tunel nie został wydrążony - o to mógłby się założyć. Powstał w sposób naturalny, podobnie jak kanaliki znajdujące się w pniu i gałęziach drzewa mrówkowego. Stwierdzenie tego faktu wywołało jednak kolejne pytanie. Drzewo z pewnością rosło tu już przed pojawieniem się w tym rejonie Indian Ban-ali - więc dlaczego wytworzyło te puste kanały?

Przypomniał sobie słowa, które Kelly powiedziała cicho podczas zebrania poprzedniego wieczoru: „Chyba czegoś nie dostrzegamy... czegoś ważnego”.

Po drodze mijali kolejne otwory w ścianach tunelu. Jedne prowadziły prosto do chat, inne na gałęzie, na których chaty znajdowały się nieco dalej od pnia. Nathan cały czas je liczył - minęli ponad dwadzieścia otworów.

Idący na końcu Zane zgłosił się przez radio do Kostosa. Z pozostałymi grupami też wszystko było w porządku.

Wreszcie dotarli do izby chorych. Słońce było jeszcze na tyle nisko, że przez wycięte wysoko w ścianach okienka nie wpadało zbyt wiele światła.

Kelly podbiegła do brata.

Mały szaman stał po przeciwległej stronie sali i zajmował się innym pacjentem. Kiedy się pojawili, podniósł wzrok. Nie było przy nim żadnego z jego pomocników.

- Dzień dobry - powiedział po angielsku.

Nathan kiwnął głową. Świadomość, że tych słów najprawdopodobniej nauczył Indianina jego ojciec, sprawiała, że czuł się dość dziwnie. W dzienniku Carla Randa była wzmianka, że

mały szaman jest nominalnym wodzem Ban-ali. Ich struktura klasowa nie była skomplikowana, wszyscy członkowie plemienia zdawali się mieć wyznaczone miejsce i rolę. Szaman był kimś w rodzaju króla, osobą mającą najbliższy związek z drzewem Yagga.

Kelly uklękała przy Franku, który siedział w hamaku i pił przez słomkę sok zerwanego z drzewa orzecha.

Odstawił swój płynny posiłek.

- Śniadanie wyczynowców - powiedział z uśmiechem.

Na głowie miał czapkę Red Soksów - jednak poza tym był nagi. Jego biodra i nogi okrywał niewielki koc, który zasłaniał kikuty, ale pierś miał naga, więc wyraźnie widzieli, co na niej wymalowano.

Był to purpurowy wąż z niebieskim „odciskiem dłoni” pośrodku. Znak Ban-ali.

- Kiedy się obudziłem, już to miałem. Musieli mi to namalować w nocy, kiedy odjechałem po lekach.

Podszedł do nich szaman.

- Ty... ty syn *wishwa* Kerl - powiedział.

Nathan kiwnął głową. Najwyraźniej ich przewodnik miał długi język.

— Tak, Carl był moim ojcem.

Szaman poklepał Nathana po barku.

— On dobry człowiek.

Nathan nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Pokiwał głową, choć najchętniej rzuciłby się na szamana. Jeżeli uważali go za dobrego człowieka, to dlaczego go zamordowali? Lata kontaktu z tubylczymi plemionami w regionie nauczyły go jednak, że nie ma na to pytanie zadowalającej odpowiedzi. Nawet ktoś, kogo tubylcy uznali za dobrego, mógł zostać zabity - na przykład za złamanie tabu. Nie było też niczego dziwnego w tym, że uważali, iż zamienienie kogoś na nawóz dla drzewa jest okazaniem mu najwyższego szacunku.

Kelly skończyła badanie Franka.

— Rany całkowicie się zasklepiły. Szybkość ziarninowania jest niesamowita.

— Yagga wyleczyć go - zapewnił ją szaman. - Będzie silny. Urośnie... - Zmarszczył czoło, najwyraźniej nie mógł

sobie przypomnieć właściwego słowa. W końcu pochylił się i poklepał swoją nogę.

Kelly popatrzyła na niego, a potem na Nathana.

— Sądysz, że to możliwe? Frankowi naprawdę mogą odrosnąć nogi?

— Ramię Geralda Clarka odrosło. Wiemy, że to możliwe.

— Gdybyśmy mogli obserwować ten proces w nowoczesnym ośrodku medycznym...

— Pamiętajcie, że mamy zadanie do wykonania - przerwał jej Zane ściszym głosem.

— Jakie zadanie? - spytał Frank.

Kiedy siostra mu powiedziała, że Olinowi udało się naprawić GPS, rozpromienił się.

- A więc jest nadzieja, że nas znajdą! - zawołał.

Kelly potwierdziła skinieniem głowy.

Szaman stracił zainteresowanie gośćmi i odszedł.

— Możemy teraz zająć się zbieraniem soku - stwierdził Zane.

— Wiem, skąd wypływa - powiedziała Kelly i wskazała na wycięte w drzewie korytko.

Zasłaniana przez Nathana i Zane'a, wzięła pusty orzech, którego zawartość wypił Frank, podeszła do ściany i wyciągnęła zatyczkę z korytka. Popłynęła ciemnoczerwona struga. Nadstawiła skorupę orzecha pod strumień gęstego płynu i zaczęła zbierać sok. Szło to bardzo powoli.

- Daj, ja to zrobię - zaproponował Zane. - Ty lepiej zajmij się swoim bratem.

Kiwnęła głową i podeszła do Nathana.

— Nosze ciągle jeszcze tu są - powiedziała, wskazując na ścianę, pod którą stały. - Jeżeli dostaniemy znak od Kostosa, będziemy musieli się szybko zwijać.

— Powinniśmy...

Gwałtowna eksplozja sprawiła, że wszyscy zamarli. Przez chwilę słuchali, jak echa wybuchu przewalają się przez dolinę i odpływają. Nathan spojrzął w górę, na okienka wycięte w ścianach izby chorych, i usłyszał kolejne łomoty, przez które przebijały się krzyki ludzi.

- Zostaliśmy zaatakowani! - wrzasnął.

Kiedy się odwrócił, ujrzał wycelowany w siebie pistolet.

— Nie ruszaj się - syknął Zane. Kucnął przy ścianie, jedną ręką trzymał skorupę orzecha, z której wylewał się sok, w drugiej berettę. - Niech nikt się nie rusza!

— Co to ma... - zaczęła Kelly.

— To ty! - przerwał jej Nathan, który natychmiast wszystko zrozumiał. Przypomniał sobie podejrzenia Kouwego, że są śledzeni i że wśród członków ekspedycji jest zdrajca. - Ty draniu! Sprzedałeś nas!

Zane powoli wstał.

- Cofnąć się! - krzyknął.

Na zewnątrz eksplodowały kolejne granaty.

Nathan odciągnął Kelly na bok.

Szaman, przerażony wybuchami, rzucił się do wyjścia, nie zwracając uwagi na pistolet.

- Nie ruszaj się! - wrzasnął na niego Zane.

Ale Indianin był zbyt przerażony, aby rozumieć czy choćby tylko słyszeć, co mu się każe. Biegł dalej.

Zane strzelił. W zamkniętym pomieszczeniu huk wystrzału brzmiał ogłuszająco. Nie był jednak na tyle głośny, by nie przebił się przez niego jęk szamana.

Nathan spojrzał przez ramię. Indianin upadł na bok, złapał się za brzuch i ciężko dyszał. Spomiędzy jego palców wypływała krew.

- Ty draniu! - wrzasnął Nathan do Zane'a. - On cię nie rozumiał!

Wylot lufy znowu powędrował w ich kierunku i Zane zaczął powoli okrążyć pomieszczenie. Trzymał się w bezpiecznej odległości nawet od hamaka Franka.

— Zawsze byłeś naiwnym głupcem - stwierdził. - Tak samo jak twój ojciec.

— Dla kogo pracujesz?

Szaman wciąż jęczał. Zane, który był już przy wyjściu, machnął pistoletem.

- Wyrzucie swoją broń przez okno. Po kolei.

Nathan nie zamierzał go posłuchać. W następnej chwili pocisk odłupał z podłogi tuż przy jego stopach kilka drzazg.

- Róbcie, co wam każe - odezwał się Frank z hamaka.

Kelly wyjęła pistolet z kabury i wyrzuciła go przez okno. Nathan ciągle jeszcze się wahał. Zane uśmiechnął się zimno.

— Druga kula przeszycie serce twojej przyjaciółki.

— Nate... - jęknął Frank.

Nathan zacisnął zęby i zaczął przesuwać się w kierunku ściany. Zastanawiał się, czy uda mu się trafić w Zane'a, ale miał na to małą szansę - jeśli nie chciał ryzykować życia Kelly. Zdjął strzelbę z ramienia i wyrzucił ją przez jedno z okienek.

Zane z zadowoleniem kiwnął głową i tyłem ruszył do wyjścia.

- Musicie mi wybaczyć, ale mam spotkanie. Proponuję, abyście tutaj zostali. W tej chwili to najbezpieczniejsze miejsce w dolinie.

Powiedziawszy to, zniknął.

#### GODZ. 8.12

Manny szedł przez dżunglę razem z Carrerą. Obok niego truchtał Tor-tor z płasko położonymi na łbie uszami. Powietrze rozrywały kolejne wybuchy, między drzewami kłębił się dym.

— Wszyscy z powrotem do bazy! - wrzeszczał do radia biegnący przed nimi Kostos. - Atak na dolinę!

— Może to nasi ludzie? - mruknął Manny. - Czy mogliby już tu być, jeśli otrzymali prawidłowy sygnał GPS?

Carrera popatrzyła na niego i zmarszczyła czoło.

- Na pewno nie dotarliby do nas tak szybko. Zostaliśmy napadnięci.

Jakby na potwierdzenie jej słów na ścieżce przed nimi pojawiło się trzech mężczyzn w strojach maskujących, uzbrojonych w AK-47 z granatnikami.

Kostos syknął ostrzegawczo i kazał się swoim ludziom schować.

Manny i Carrera padli na brzuch.

Na trójkę żołnierzy rzucił się Indianin z dzidą. Serie z broni maszynowej niemal przecięły go na pół.

Jaguar, przestraszony terkotem, skoczył naprzód.

- Tor-tor... - jęknął Manny i uniósł się nieco, aby go złapać.

Ale wielki kot wyprysnął już na otwartą przestrzeń, prosto na żołnierzy.

Jeden z nich warknął coś po hiszpańsku i wycelował. Drugi wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu i również uniósł broń.

Manny podniósł pistolet, zanim jednak zdążył wystrzelić, z ziemi przed nim wstał Kostos z wyciągniętym M-16 i trzy razy pociągnął za spust. BLAM-BLAM-BLAM.

Wszyscy trzej napastnicy zostali odrzuceni do tyłu, a ich głowy eksplodowały jak melony.

Manny znieruchomiał.

- Chodźcie, musimy dostać się do naszego drzewa - powiedział sierżant. - Dlaczego pozostali nie odpowiadają?

## GODZ. 8.22

Kouwe schował się za wielką paprocią i kazał Annie trzymać się za nim. Dakii, plemienny przewodnik, kuczał obok nich. Czwórka najemników stała nie więcej niż sześć metrów od nich, nieświadoma, że ktoś ich obserwuje. Choć profesor słyszał polecenie Kostosa, że wszyscy mają wracać do drzewa, w którym nocowali, z powodu bliskości przeciwnika nie miał odwagi odpowiedzieć. Zostali przyszpileni. Najemnicy stali między nimi a drzewem.

Dakii zamarł, czuć było jednak emanujące z niego napięcie. Ze swojej kryjówki widział, jak kilkanaścioro jego współplemieńców - mężczyzn, kobiet i dzieci - zostało przed chwilą skoszonych przez tych czterech ludzi.

W lesie w dalszym ciągu rozlegały się eksplozje i słychać było krzyki ludzi. Z drzew spadło kilka chat, roztrzaskując się o ziemię. Zabójcy parli przez wieś. Jediną nadzieją dla grupki Kouwego była ucieczka do dżungli, co być może pozwoliłoby im uniknąć odkrycia przez napastników.

- Oddział Tango na pozycji. Strefa czternaście zabezpieczona - rzucił po hiszpańsku do radia jeden z najemników.

Kouwe poczuł, że coś dotyka jego kolana. Był to Dakii. Dawał mu w ten sposób znak, aby się nie ruszał. Profesor kiwnął głową.

Indianin bezgłośnie i zwinnie jak kot odturlał się na bok. Nie poruszył ani jednej gałązki. Był *teshari-rin*, jednym z „nie-widzialnych” zwiadowców Ban-ali. Nawet jeśli nie pomalował się na czarno, zlewał się z otoczeniem. Biegł niczym rozmazana plama od jednego bezpiecznego miejsca do drugiego. Kouwe zdawał sobie sprawę, że właśnie jest świadkiem demonstracji „ulepszonych” przez drzewo Yagga zdolności znajdujących się pod jego kuratelą Indian. Dakii okrążył polanę i po chwili znikł im z oczu.

Anna złapała profesora za rękę i ścisnęła. Czyżbyśmy zostali opuszczeni? - zdawało się brzmieć jej bezgłośnie pytanie.

Kouwe również je sobie zadawał - dopóki znowu nie zobaczył Dakii. Indianin przekradał się przez drogę. Kouwe i Anna widzieli go wyraźnie, ale najemnicy jeszcze nie.

Dakii przetoczył się na plecy i wycelował wysoko w powietrze łuk, który gdzieś znalazł. Profesor spojrział w miejsce, w które celowała strzała, a potem z powrotem na najemników.

Zrozumiał plan Indianina i kazał Annie przygotować broń. Kiwnęła głową i także spojrzała w górę.

Kouwe dał Dakii znak.

Indianin wypuścił strzałę. Rozległ się cienki wizg zwalnianej cięciwy i szelest przelatującej przez listowie strzały. Najemnicy odwrócili się do Dakii z bronią gotową do strzału.

Profesor zignorował ich, patrzył na szczyt rosnącego nad nimi drzewa. W jego koronie znajdowała się opuszczona chata, przy której pozostawiono jeden z wynalazków Ban-ali: prymitywną windę. Strzała Dakii przeszła linię oplatającą przeciwwagę, którą był odłamek granitowej skały.

Uwolniony gładz poleciał w dół - prosto na najemników.

Jeden z nich zorientował się zbyt późno. Odłamek trafił go prosto w głowę i niemal wgniótł w ziemię.

Kouwe i Anna podnieśli się i z bezpośredniej odległości opróżnili magazynki, strzelając do pozostałej trójki. Gdy najemnicy padli na ziemię, z zarośli wyskoczył Dakii z obsydianowym sztyletem w dłoni. Podbiegł do najemników i tym,

którzy jeszcze się ruszali, popodrzynał gardła. Była to szybka i bardzo krwawa akcja.

Profesor uspokajająco poklepał po ramieniu ręki Annę, która mocno zbladła na widok tej egzekucji.

- Musimy dołączyć do pozostałych - powiedział.

GODZ. 9.05

Ze szczytu wąwozu Louis miał doskonały widok na dolinę. Na jego szyi wisiała nieużywana od dłuższego czasu lornetka. Nad dżunglą unosił się dym z niezliczonych ognisk i flar sygnałowych. Jego ludzie otoczyli wioskę i zamykali teraz pierścień.

Brail, który po zniknięciu Jacques'a został mianowany porucznikiem, przykucnął u stóp Louisa i patrzył na mapę. Po każdym kolejnym meldunku przez radio robił na niej krzyżyk.

- Sieć jest już zarzucona, *Herr Doktor*. Musimy tylko posprzątać.

Louis czuł, że jego nowy porucznik nie może się doczekać, kiedy będzie mógł się wykazać.

— A rangersi? - zapytał.

— Zostali zepchnięci do centrum, jak pan kazał.

— Znakomicie. - Louis skinął głową stojącej obok kochance. Tshui była naga i uzbrojona jedynie w niewielką dmuchawkę. Między jej piersiami wisiała skurczona głowa kaprała DeMartiniego razem z jego nieśmiertelnikiem. - Czas, abyśmy przyłączyli się do zabawy. - Uniósł wyżej oba miniaturowe uzi. Czuł w dłoniach ich siłę. - Najwyższy czas, abym zawarł znajomość z Nathanem Randem.

GODZ. 9.12

— Pilnuj swojego brata i szamana - polecił Nathan Kelly.

- Ja idę po Zane'a.

— Nie masz broni - powiedziała, klękając obok szamana. Wcześniej we dwoje wciągnęli Indianina na hamak i dała mu



zastrzyk z morfiny. Rany brzucha należą do najboleśniejszych, jakie istnieją. Nie mając lepszego pomysłu, zaczęła smarować ranę postrzałową i wylotową sokiem z drzewa Yagga. - Co zrobisz, jak go złapiesz? Nathana paliło w środku, jakby sam dostał postrzał w brzuch.

— Najpierw zdradził mojego ojca, teraz nas... - urwał, bo ze złości odebrało mu mowę. Chciał tylko jednego: zemsty.

— Co z nim zrobisz? - spytał Frank z hamaka.

— Jeszcze nie wiem - odparł Nathan.

Ruszył do wyjścia. Odległe wybuchy zamilkły, słysząc było tylko pojedyncze wystrzały. Najwyraźniej napastnicy nie zamierzali pozostawić żadnego z Indian przy życiu. Nathan był pewien, że jeżeli czegoś nie wymyślą, ich również czeka śmierć.

Schodząc w dół - początkowo powoli, a potem coraz szybciej - zastanawiał się nad spiralnym węzłem w symbolu Ban-ali. Czy rysunek był odzwierciedleniem tego tunelu, czy też cząsteczki białka, jak sądziła Kelly? Mutagennego prionu? Jeżeli reprezentował tunel, to w takim razie czym były helisy na obu jego końcach? Jedna mogła symbolizować pomieszczenie szpitalne na górze drzewa. Ale co w takim razie reprezentowała druga? I co oznaczał niebieski odcisk dłoni? Przypomniawszy sobie „rączki” zdobiące wejście do tunelu i pokręcił głową. Co to wszystko znaczyło?

Kiedy minął następny zakręt, potknął się o ciało leżącego na podłodze zabitego Indianina. Poleciał do przodu i upadł na dłonie i kolana. Kiedy przetaczał się na bok, zobaczył w piersi zabitego dziurę po kuli. Druga znajdowała się w jego potylicy.

Spojrzał w dół i ujrzał wystające zza następnego zakrętu nogi kolejnego martwego Indianina.

To Zane, pomyślał.

Wstał, gotując się z wściekłości. Ten drań zabijał nieuzbrojonych pomocników szamana, oczyszczając sobie drogę. Co za tchórz!

Zaczął liczyć otwory w ścianie tunelu. Kiedy doszedł do ostatniego, pochylił się i szybko wybiegł na gałąź o średnicy co najmniej półtora metra, na której tuż przy pniu zbudowana była chata. Musiał sprawdzić, co się dzieje na dole. Całą polanę zasnuwały kłęby kotłującego się dymu.

Do drzewa zbliżało się kilku Indian, najwyraźniej zamierzając się w nim schować.

Nad wioską zawisła złowroga cisza.

Nathan powoli sunął wzdłuż gałęzi, nie udało mu się jednak zobaczyć dębu, na którym nocowała jego grupa, bo zasłaniał je pień Yagga. Nie widział nawet wejścia do drzewa Yagga. Niech to cholera!

Z dołu doleciał odgłos wystrzału z pistoletu. Zane! Po drugiej stronie pnia ktoś głośno krzyknął. Ten tchórz musiał ukrywać się w wejściu do drzewa i strzelał do każdego Ban-ali, który się zbliżał. Miał wystarczająco dużo amunicji, aby utrzymać swoją pozycję przez dłuższy czas.

Indianie, którzy chcieli się schronić w drzewie Yagga, pobiegli szukać innej kryjówki.

Nathan popatrzył na polanę, ale nie dostrzegł żadnego ze swoich towarzyszy.

Przesuwając się wzdłuż gałęzi, trącił stopą leżący na niej zwój liny. Kiedy przyjrzał się jej uważniej, stwierdził, że to nie lina, ale upleciona z pnącza drabinka.

- Droga przeciwpożarowa... - mruknął do siebie.

Pchnął drabinę w dół.

Rozwinęła się z cichym szelestem. Jej ostatni stopień zawisł około metra nad ziemią. Była bardzo długa, ale Nathan pomyślał, że jeżeli Zane ukrywa się w głębi wejścia do drzewa, może uda mu się go podejść.

Zaczął pospiesznie schodzić. Gdyby jego grupie i pozostałym przy życiu Indianom udało się ukryć w drzewie Yagga, mieliby tu lepszą pozycję do obrony. Najpierw jednak musiał wyeliminować Zane'a.

Doszedł do końca drabinki i zeskoczył na ziemię.

Wylądował między wznoszącymi się wysoko spod ziemi korzeniami i rozejrzał się, aby zorientować się w topografii. Strumień był z lewej strony za nim, co oznaczało, że znajduje się „na godzinie czwartej” od wejścia do drzewa. Zaczął obchodzić pień w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Trzecia godzina... druga...

Gdzieś w głębi dżungli zaterkotał karabin maszynowy. Eks-

plodował kolejny granat. Widocznie w niektórych zakątkach wioski walka się jeszcze nie skończyła.

Wykorzystując hałas, Nathan zaczął szybciej czołgać się wokół drzewa. W końcu ujrzał jeden z dwóch wielkich korzeni przy wejściu. Pierwsza godzina.

Oparł się o pień. Jego przeciwnik znajdował się tuż-tuż, ale jak miał iść dalej? Z wejścia znowu strzelono. Nathan popatrzył na swoje puste dłonie.

No i co teraz, bohaterze?

#### GODZ. 9.34

Zane klęczał na jednym kolanie i celował z pistoletu. Był zmęczony, więc wzmocnił chwyt, obejmując nadgarstek prawej dłoni lewą. Nie zamierzał stracić czujności - nie w chwili, gdy zwycięstwo było tak blisko. Musi tylko jeszcze trochę wytrzymać i jego zadanie w tej operacji zostanie zakończone.

Kątem oka patrzył na skorupę orzecha, w której znajdował się cudowny sok drzewa. Była to zdobycz warta miliardy. Choć St. Savin Pharmaceuticals w zamian za współpracę złożyła znaczącą sumę na jego szwajcarskim koncie, do zdrady nakłoniła go przede wszystkim obietnica przekazywania mu w przyszłości jednej czwartej procenta wartości sprzedaży produktów z soku Yagga. Kryjący się w nim potencjał zapewnił nieograniczone zyski.

Oblizwał wargi. Jego rola w tej grze dobiegała końca. Najważniejszą rzecz zrobił kilka dni temu: zainfekował sprzęt komunikacyjny wirusem. Teraz pozostawało mu już tylko wzięcie udziału w ostatnim akcie dramatu.

Ubiegłej nocy Favre kazał mu zdobyć próbkę soku z drzewa i pilnować jej jak własnego życia.

- Jeżeli ci cholerni tubylcy będą chcieli wykrecić jakiś głupi numer, na przykład podpalić drzewo, aby ochronić swoją cenną tajemnicę, masz do tego nie dopuścić - powiedział.

Zane oczywiście przytaknął, ale nie zamierzał zdradzać swojemu wspólnikowi, że przygotował sobie zapasowy plan. Odlął z orzecha nieco soku do prezerwatywy, zawiązał ją

i połknął. Ot tak, na wszelki wypadek - gdyby doszło do zdrady i zamiast St. Savin w posiadanie soku weszłaby jakaś konkurencyjna firma, na przykład Tellux.

Z lasu dobiegał odgłos karabinowych strzałów. Ludzie Favre'a zaciskali pętlę. Gra nie potrwa już zbyt długo.

Na skraju polany eksplodował granat i stojąca na jednym z drzew duża chata rozleciała się na kawałki, a w powietrze wystrzeliły liście i fragmenty budulca. Zane uśmiechnął się do siebie, ale nagle przez echo wybuchu przebił się czyjś głos:

- Uwaga! Granat!

Coś uderzyło w pień nad jego głową, odbiło się i poleciało w stronę wyrastających wysoko nad ziemię korzeni. Zane zanurkował w głąb wejścia, padł na ziemię i zasłonił głowę ramionami. Odczekał w napięciu kilka sekund, a potem dla pewności jeszcze parę następnych. Dyszał ciężko, przerażony, że coś może mu się stać tak blisko końca. Nic jednak nie wybuchło. Ostrożnie odsłonił głowę, odruchowo zaciskając zęby. Nadal nic nie wybuchło.

Uniósł tułów i zaczął powoli pełznąć w kierunku wyjścia. Kiedy wyjrzał zza węgła, ujrzał leżący na ziemi niewielki przedmiot. Był to niedojrzały orzech z drzewa Yagga. Musiał spaść z którejś gałęzi.

- Niech to cholera! - zaklął Zane. Było mu głupio, że tak spanikował.

Wyprostował się, uniósł pistolet i wrócił na poprzednie stanowisko przy wejściu. Pomyślał, że robi się strasznie nerwowo.

Nagle coś twardego trafiło go w nadgarstek. Poczł ostry ból i pistolet wyslizgnął mu się z palców. Kiedy zaczął przewracać się do tyłu, ktoś złapał go za rękę - ktoś stojący za węgłem. Szarpnięto go i popchnięto do przodu.

Uderzył barkiem o ziemię, przetoczył się i rozejrzał.

- Rand? Jak tu...

Nad nim stał Nathan - z grubą gałęzią w ręku.

- Jak tu się znalazłem? Dzięki niewielkiej pomocy naszych indiańskich przyjaciół... - odparł i kopnął w kierunku Zane'a niedojrzały orzech. - Uwierz w coś bardzo mocno, a inni też ci uwierzą.

Zane zaczął podnosić się z ziemi.

Nathan zamachnął się gałęzią jak kijem do baseballu, trafił go w ramię i ponownie przewrócił.

- To za szamana, do którego strzeliłeś jak do psa! - wycedził ze złością, po czym ponownie uniósł gałąź. - A to za...

Zane spojrzął ponad jego ramieniem.

- Kelly! Dzięki Bogu!

Nathan odwrócił się.

Zane natychmiast to wykorzystał, skoczył na równe nogi i zaczął uciekać. Trzema susami minął korzeń przy wyjściu.

Kiedy za plecami usłyszał jęk zawodu, uśmiechnął się do siebie.

Rand okazał się głupcem, dał się oszukać. W wejściu oczywiście wcale nie było Kelly. Nie było tam nikogo.

Nathan popatrzył za uciekającym Zane'em.

- Nie uciekniesz, draniu! - warknął, po czym mocniej ścisnął w rękę gałąź i ruszył w pogoń.

Po kilku krokach ujrzał Zane'a biegnącego wzdłuż pnia w kierunku splątanych korzeni. Za chwilę zniknie w nich i ucieknie. Stłumił w sobie chęć powrotu po jego pistolet - nie miał na to czasu. Nie mógł stracić tego łajdaka z oczu.

Zane pochylił się i zaczął przeciskać jak piskorz pod łukowatym korzeniem. Był cholernie zwinny. Podczas ucieczki jego drobniejsza budowa dawała mu przewagę.

Nathan doszedł do wniosku, że gałąź tylko będzie mu przeszkadzać, więc odrzucił ją i przyspieszył pościg. Przeciskali się przez labirynt splątanych korzeni, pełznąć, wspinając się, skacząc i wijąc. Zane oddalał się.

Wreszcie korzenie rozsunęły się nieco i znaleźli się na wąskiej ścieżce. Zane ruszył biegiem, a Nathan popędził za nim.

Przed nimi migotała woda. Ścieżka kończyła się przy sporym jeziorku.

Nathan uśmiechnął się. Koniec wycieczki, panie Zane!

Kiedy zbliżali się do jeziorka, Zane również zauważył, że znalazł się w pułapce. Jednak zamiast jęknąć z rozpacz, zaśmiał się radośnie i rzucił w bok, ku ziemi.

Nathan skrócił dystans.

Zane odwrócił się do niego. W rękę trzymał dziewięciomilimetrową berettę.

Nathan potrzebował chwili, aby zrozumieć, skąd jego przeciwnik wziął broń, ale wszystko stało się jasne, kiedy kilka kroków w prawo ujrzał wiszącą na występie korzenia własną strzelbę. Zane znalazł pistolet Kelly, wyrzucony z pomieszczenia na czubku drzewa.

Jęknął. Bogowie najwyraźniej mu nie sprzyjali. Zrobił krok w kierunku strzelby, lecz Zane ostrzegawczo klasnął językiem.

- Rusz się jeszcze o centymetr, a będziesz miał trzecie oko!

GODZ. 9.45

Kouwe biegł za Anną i nieustannie ją poganiał. Trzaski wystrzałów zbliżały się do nich ze wszystkich stron. Dakii prowadził z kamienną twarzą, przemykając się przez las prosto ku drzewu, w którym spędzili minioną noc. Musieli koniecznie spotkać się z rangersami i wymyślić jakiś plan.

Profesorowi udało się skontaktować przez radio z sierżantem Kostosem i poinformować go o sytuacji, w jakiej się znaleźli. Dowiedział się także, że Olinowi - którego pozostawili w chacie na drzewie - też udało się zgłosić przez radio. Jednak jak na razie nie było żadnej wiadomości od grupki, z którą był Nathan. Kouwe modlił się, aby nic im się nie stało.

W końcu przez drzewa zaczęło być widać polanę. Dotarli do niej od południa, przez cały czas wykorzystując las jako kryjówkę. Ze słów sierżanta wynikało, że rangersi zbliżają się do polany od północy.

Dakii zatrzymał się, przykucnął i pokazał coś palcem.

Anna i Kouwe podeszli do niego. Przez prześwit między liśćmi ujrzeni stojącą na polanie opuszczoną chatkę z bali. Dzięki temu mogli się zorientować, gdzie są. Profesor popatrzył w kierunku wskazywanym przez Indianina. Dąb Nightcap, ich cel, znajdował się w odległości jedynie pięćdziesięciu metrów od nich. Nie na niego jednak wskazywał Dakii. Za wielkim drzewem skrajem polany biegł Tor-tor, a za nim widać było przesuujące się w głębokim cieniu ludzkie postacie.

Rangersi i Manny! Udało im się wrócić!

Dakii znowu ruszył przed siebie skrajem lasu.

Po kilku minutach obie grupki połączyły się u podstawy dębu. Sierżant Kostos poklepał profesora po barku. Anna i Manny objęli się.

- Są jakieś wieści od Nathana? - spytał Kouwe.

Sierżant pokręcił głową, po czym wskazał ręką chatę nad nimi.

— Kazałem Olinowi spakować sprzęt komunikacyjny i dołączyć do nas.

— Dlaczego? Sądziłem, że właśnie tam mieliśmy się wszyscy spotkać.

— Jesteśmy otoczeni, a to drzewo nie zapewnia żadnej ochrony. .

Kouwe zmarszczył czoło, ale natychmiast zrozumiał, o co chodzi. Najemnicy systematycznie niszczyli wszystkie chaty.

— Więc co robimy?

— Spróbujemy przekraść się przez ich linie. Kiedy wyjdziemy z okrążenia, poszukamy jakiejś kryjówki.

Podszedł do nich Manny. Spoglądał na zegarek.

— Bomba napalmowa podłożona w lesie wybuchnie za piętnaście minut - poinformował ich.

— Zrobiłem to dla odwrócenia uwagi przeciwnika - wyjaśnił Kostos i zarzucił plecak na ramiona. - W razie potrzeby mamy ich więcej.

— Właśnie dlatego nie możemy czekać na Nate'a - dodał Manny.

Kouwe popatrzył na drzewo Yagga. Strzelanina powoli cichła. Kończył im się czas. Jeżeli mieli jakąś szansę, to tylko teraz. Powoli kiwnął głową.

Nad ich głowami zaszeleściła pleciana drabinka. Schodził po niej Olin - z plecakiem ze sprzętem na ramionach.

Kostos machnął karabinem.

- No to przygotujmy się do...

Niespodziewany wybuch rzucił ich na kolana. Kiedy Kouwe się odwrócił, zobaczył wylatujący wysoko w powietrze dach chaty. Kawałki budulca pofrunęły na boki. Nad ich głowami śmignął wielki bal i pomknął w dżunglę niczym gigantyczny taran. Z resztek domu na drzewie buchnął dym.

Nie była to eksplozja granatu.

Za kłębam dymu pojawiły się postacie żołnierzy z gotową do strzału bronią automatyczną.

Na czele wychodzącej z lasu grupy szła naga kobieta, której towarzyszył - trzymając ją za rękę - wysoki dżentelmen w białym ubraniu.

Jeden z żołnierzy trzymał w rękach długą czarną rurę. Po chwili ukląkł na jedno kolano i uniósł groźnie wyglądającą rurę.

Kouwe obejrzał wystarczająco dużo hollywoodzkich filmów, aby domyślić się, co to za broń.

- Wyrzutnia rakiet! - wrzasnęła za jego plecami Carrera. - Padnij!

GODZ. 10.03

Pierwsza eksplozja sprawiła, że obaj przeciwnicy znieruchomieli, ale Zane nie przestał celować z pistoletu. Nathan nie poruszał się, nie miał nawet odwagi oddychać.

Co to za huk?

Kiedy rozległa się kolejna eksplozja, Zane odwrócił głowę w kierunku, z którego dobiegł odgłos wybuchu. Nathan uświadomił sobie, że nie będzie miał drugiej okazji. Zginie, jeżeli natychmiast czegoś nie zrobi... nawet jeśli nie będzie to zbyt mądre.

Skoczył, ale nie w stronę Zane'a, tylko w stronę zwisającej z sęka strzelby. Rozległ się suchy trzask pistoletu i Nathan poczuł, że coś ukuło go w udo. Nie zatrzymał się jednak.

Jego ciało uderzyło w korzeń, ręka wyciągnęła się do broni. Nie miał czasu zdjąć paska z sęka, więc tylko skierował lufę strzelby w kierunku Zane'a i pociągnął za spust. Odrzut wystrzału wyrwał mu broń z ręki.

Kucnął i odwrócił się.

Zane miał zakrwawiony brzuch i z szeroko rozpostartymi ramionami leciał w powietrzu do tyłu. Wpadł do jeziorka, przy którym kończyła się ścieżka. Po chwili wypłynął na powierzchnię - woda była w tym miejscu dość głęboka, nawet przy samym brzegu - i zaczął przeraźliwie jęczeć.



Spotkało go to samo, co zrobił bezbronnemu szamanowi Ban-ali: rana brzucha jest jedną z najboleśniejszych ran.

Nathan wstał, zdjął strzelbę z korzenia i wycelował ją w machającego wściekle rękami przeciwnika. Nie widział, gdzie upadł pistolet, i tym razem nie zamierzał ryzykować.

Zane, z twarzą wykrzywioną bólem, płynął do brzegu. Nagle jego ciałem coś szarpnęło, wybałuszył oczy, a wydobywające się z jego ust jęki zamieniły się we wrzask.

- Pomóż mi!

Nathan odruchowo zrobił krok naprzód.

Zane wyciągnął ku niemu rękę. Miał przerażoną twarz i błagalny wzrok. Woda wokół niego zaczęła wściekle kipieć.

Nathan zobaczył pod powierzchnią srebrne błyski. Żabopiranie! Cofnął się gwałtownie, bo nagle uświadomił sobie, gdzie się znalazł: przy stawie hodowlanym, o którym opowiadał Manny.

Zane walił wściekle ramionami w wodę, szarpał się i wił, krzycząc przy tym przeraźliwie. Po chwili zaczął się zanurzać. Próbował utrzymać się na powierzchni, ale jego wysiłki na nic się nie zdały. Jego głowa opadła. Z wody wystawała już tylko jedna ręka, ale i ona po paru sekundach zniknęła.

Nathan odwrócił się od jeziora i ruszył ścieżką z powrotem. Nie było mu żal Zane'a. Obejrzał miejsce na udzie, w którym kilka minut wcześniej poczuł ukłucie. Stwierdził, że kula przestrzeliła mu nogawkę i jedynie musnęła skórę. Miał szczęście.

Ścisnął mocniej strzelbę i poszedł dalej, modląc się, aby w dalszym ciągu dopisywało mu szczęście.

#### GODZ. 10.12

Manny leżał pod stertą resztek domu i próbował się spod niej wydostać. Dusił go dym, a eksplozja rakiety nadal dudniła mu w uszach. Nawet najmniejsze poruszenie szczęką bolało. W końcu wypęłzył na wolną przestrzeń i natychmiast spadła na niego kanonada wykrzykiwanych głośno rozkazów:

- Rzucić broń!
- Ręce na wierzch!

- Ruszaj się albo cię rozwałę!

Jęknął i splunął krwią. Wokół panował chaos. Anna Fong klęczała i zakrywała dłońmi głowę, jednak nie sprawiała wrażenia rannej. Profesor Kouwe klęczał obok niej - z jego rozciętego czoła cienkim strumykiem spływała po policzku krew. Razem z nimi był też Dakii.

Tor-tor siedział za krzakiem, wystawiając tylko kawałek pyska. Manny dał mu znak, aby się nie pokazywał. Siedząca przy tym samym krzaku Carrera próbowała wsunąć swojego baileya pod fragment dachu chaty, który spadł z drzewa.

- Ty! - wrzasnął nagle jeden z najemników. - Wstawaj!

Manny nie miał pojęcia, do kogo skierowane było to polecenie, ale kiedy poczuł na skroni ucisk lufy, zamarł.

- Wstawać! - krzyknął ponownie mężczyzna ze specyficznym, prawdopodobnie niemieckim akcentem.

Manny dźwignął się na kolana i wstał. Kiwał się na boki, ale najwyraźniej najemnikowi to nie przeszkadzało.

- Twoja broń!

Manny rozejrzał się wokół siebie, jakby szukał brakującego buta albo skarpety. Ujrzał leżący na ziemi pistolet i dotknął go stopą.

- Proszę.

Obok niego jak spod ziemi wyrósł drugi mężczyzna i zabrał pistolet.

- Dołączyć do reszty! - wrzasnął znowu najemnik i ruchem ręki dał znak, że Manny ma podejść do reszty grupki.

Kiedy szedł do swoich klęczących towarzyszy niedoli, ujrzał Carrerę i Kostosa otoczonych przez pozostałych najemników. Oboje mieli puste kabury, ich plecaki również zniknęły. Także i ich zmuszono do ukłęknięcia i splecenia rąk na głowie. Lewe oko sierżanta było opuchnięte, miał złamany nos i zakrwawioną twarz, co świadczyło o tym, że bronił się bardziej zaciekle niż pozostali.

W tym momencie położony dość daleko fragment dżungli eksplodował. Kula ognia wystrzeliła w niebo, a nad ich głowami przetoczyło się ciche echo i fala dymu.

To by było na tyle, jeśli chodzi o „odwrócenie uwagi” planowane przez Kostosa, pomyślał Manny. Za późno.

- Panie Brail, ten facet się nie rusza! - krzyknął jeden z najemników, używając przedziwnej mieszanki hiszpańskiego i niemieckiego.

Manny obejrzał się. Olin leżał bezwładnie na ziemi, jego ramię było przebite cienkim i długim jak dzida kawałkiem drewna. Krew rozlewała się jasnoczerwoną plamą na jego koszuli. Oddychał jednak.

Mężczyzna, którego nazwano Brailem, odwrócił wzrok od płonącego lasu i podszedł do Rosjanina.

- *Hundefleisch* - warknął, po czym podniósł pistolet i strzelił Olinowi w tył głowy.

Na dźwięk wystrzału Anna jęknęła głośno.

Przywódcy najemników spokojnym krokiem szli w stronę kłęczących. Naga Indianka poruszała się tak swobodnie i naturalnie, jakby była na garden party. Zdawała się składać z samych gładkich nóg i łagodnych krzywizn. Między jej piersiami kołysał się jakiś talizman, sakiewka czy ozdoba - tak przynajmniej z początku sądził Manny. Kiedy jednak kobieta podeszła bliżej, rozpoznał spreparowaną ludzką głowę. Włosy na czubku tej makabrycznej ozdoby były wygolone.

Jego uwagę zwrócił szczupły mężczyzna u boku kobiety, ubrany w biały drellich, w zawadiackiej panamie na głowie. Uniósł wiszący na szyi kobiety amulet, aby wszyscy mogli go sobie dobrze obejrzeć.

Manny natychmiast zauważył nieśmiertelniki.

- Czy mógłbym przedstawić państwu kaprała DeMartiniego? - zapytał biało ubrany mężczyzna i zaśmiał się cicho, jakby właśnie powiedział świetny dowcip, po czym puścił spreparowaną głowę rangersa, która ponownie zadyndała między piersiami kobiety.

Sierżant Kostos wymamrotał pod nosem jakąś groźbę, ale skierowana w jego głowę lufa AK-47 sprawiła, że znieruchomiał.

Louis uśmiechnął się do szeregu kłęczących więźniów.

- Miło znowu widzieć was wszystkich razem.

Mówił z wyraźnym francuskim akcentem. Manny zastanowił się, kim jest ten człowiek.

- Louis Favre - powiedział cicho Kouwe, odpowiadając

na milczące pytanie w oczach przyjaciela. Miał taką minę, jakby wdepnął w psią kupę.

Francuz odwrócił się do Kouwego.

- Doktor Favre, panie profesorze. Jeśli zachowacie spokój, załatwimy tę niemiłą sprawę najszybciej, jak to możliwe.

Kouwe zacisnął usta i popatrzył na niego spode łba.

Manny znał to nazwisko. Wiedział, że Favre jest biologiem, usuniętym z Brazylii za czarnorynkowe interesy i przestępstwa przeciwko rdzennej ludności. Wiedział także, że profesor oraz ojciec Nathana pracowali kiedyś z tym człowiekiem.

- Policzyliśmy wszystkich członków grupy i wydaje nam się, że paru osób brakuje - oświadczył Favre. - Gdzie reszta waszej ekspedycji?

Nikt się nie odezwał.

- Dajcie spokój. Zachowajmy przyjacielską atmosferę. Mamy dziś taki piękny dzień... - Favre ruszył wzdłuż szeregu więźniów. - Chyba nie chcecie tego zepsuć? To przecież bardzo łatwe pytanie...

Ale więźniowie w dalszym ciągu milczeli.

Favre pokręcił głową.

- Sami tego chcieliście... - Odwrócił się do towarzyszącej mu kobiety. - Tshui, *ma cherie*, wybierz kogoś.

Naga Indianka ruszyła wzdłuż szeregu. Zatrzymała się przed Carrerą i przekrzywiła głowę na bok, jednak po chwili przeszła dwie osoby dalej i uklękła przed Anną Fong. Jej nos znalazł się nie więcej niż dwa centymetry od twarzy antropolożki.

Anna próbowała cofnąć głowę, ale nie pozwoliła jej na to lufa przystawiona do głowy.

- Moja ukochana zna się na tym, co ładne - stwierdził Favre.

Indianka wyciągnęła z ukrytej we włosach pochwy długi nóż o wąskim ostrzu. Manny wiedział, że tego rodzaju noże noszą we włosach członkowie tylko jednego plemienia Indian południowoamerykańskich - Shuarowie, łowcy głów z Ekwadoru.

Nóż dotknął miękkiej skóry pod podbródkiem Anny. Antropolożka zadrżała. Po białym kościanym ostrzu spłynęła strużka krwi. Anna jęknęła cicho.

Dość tego, pomyślał Manny i jego prawa ręka dotknęła pasa, a palce chwyciły rękojeść krótkiego pejcza. Kiedy było trzeba, umiał się błyskawicznie poruszać. Wychowywanie dzikiego kota nauczyło go szybkich reakcji. Wyszarpnął zza pasa pejcz.

Skórzana końcówka uderzyła w kościany nóż, który pofrunął w powietrze, przecinając skórę Indianki pod okiem.

Naga kobieta syknęła jak kot i odtoczyła się na bok. W jej dłoni, niczym na iluzjonistycznym pokazie, pojawił się drugi nóż. Najwyraźniej ten kot miał wiele pazurów.

— Zostaw ją w spokoju! - krzyknął Manny. - Powiem ci, gdzie są pozostali! - Ledwie zdążył skończyć zdanie, otrzymał potężny cios kolbą w tył głowy i poleciał na twarz w piach i liście. Czyjaś stopa kopnięciem odrzuciła pejcz na bok, po czym nadepnęła na dłoń Manny'ego, łamiąc mu palec.

— Podnieść go! - wrzasnął Favre. Jego pseudodżentelmeńska postawa nagle zniknęła.

Podciągnięto Manny'ego do góry za włosy. Przycisnął ranną dłoń do piersi.

Favre podszedł do Indianki i starł jej krew spod oka. Potem odwrócił się do Manny'ego i zlizął sobie krew z palca.

- Czy to było konieczne? - spytał i sięgnął za siebie. Jeden z najemników podał mu uzi.

Dłoń, trzymająca Manny'ego za włosy, zacisnęła się i przekreśliła.

- Puść go, Brail.

Kiedy go puszczono, o mało znowu nie upadł twarzą na ziemię.

- Gdzie oni są? - spytał Favre.

Manny zagryzł zęby z bólu.

— W drzewie... a przynajmniej byli tam, kiedy ostatni raz ich widziałem... nie odpowiadali na wezwania przez radio.

— Tak, wiem - odparł Favre i wyjął z kieszeni takie samo radio, jakim posługiwali się rangersi. - Kapral DeMartini był tak uprzejmy i pożyczył mi swojego sabera oraz poinformował, jakich częstotliwości używacie.

— Jeśli wiedziałeś o tym, to... dlaczego... - Manny zmarszczył czoło i popatrzył na Annę.

Favre westchnął.

- Musiałem sprawdzić, czy nikt z was nie prowadzi po-

dwójnej gry. Wygląda na to, że straciłem kontakt z moim agentem w waszej grupie, więc zrobiłem się podejrzliwy.

— Agentem...?

— Szpiegiem - powiedział Kouwe. - Richardem Zane'em.

— Właśnie. - Favre odwrócił się do wielkiego drzewa i uniósł radio do ust. - Nathan, jeśli mnie słyszysz, nie wychodź. Zaraz do ciebie przyjdziemy.

Nie było odpowiedzi.

Manny miał nadzieję, że Nathanowi udało się uciec razem z Kelly, jednak w głębi serca wiedział, że Kelly nigdy nie zostawiłaby brata. Wszyscy musieli być w drzewie Yagga.

Kiedy Francuz patrzył na giganta o białej korze, jego oczy się zwięziły. Po chwili znowu odwrócił się do Manny'ego.

- Pozostaje mi więc już tylko odpowiedzieć na zniewagę mojej pani...

Kompaktowe uzi skierowało się ku głowie Manny'ego.

- Niezbyt to było szarmanckie z pana strony, *monsieur* Azevedo - stwierdził Favre, po czym pociągnął za spust.

Zaterkotały strzały, ale to nie Manny został trafiony.

Za jego plecami rozległ się jęk. Stojący za nim strażnik przewrócił się i Manny zobaczył, że jego tułów jest posiekany kulami. Mężczyzna dyszał jak wyrzucona na brzeg ryba, a z jego ust i nosa leciała krew. Manny ze zdziwieniem popatrzył na stojącego przed nim Francuza.

Favre opuścił broń.

- Braił powinien cię lepiej pilnować. Nie wolno mu było dopuścić do tego, aby pozostawiono ci pejcz. - Pokręcił głową. - Dwóch poruczników straconych w ciągu dwóch dni... - Odwrócił się i machnął ręką. - Sprowadzić resztę! Pogoń za synem Carla Randa już się skończyła. Zobaczmy, czy uda nam się wywabić tego młodzieńca z wnętrza drzewa i namówić go, aby do nas dołączył.

GODZ. 11.09

Nathan ukrywał się w cieniu korzeni drzewa Yagga. Polanę zasnuwał dym. Od strony dębu Nightcap słychać było strzały z broni maszynowej i zduszone krzyki. Co tam się działo?

Jedyną rzeczą, jaką widział, była chata ojca. Czuł, że ogarnia go rozpacz. Nagle z kłębow dymu wyszły niewyraźne postacie.

Wsunął się głębiej pod korzeń i wycelował w kierunku nadchodzących. Z każdym krokiem zjawy stawały się coraz wyraźniejsze. Na czele grupy ludzi szli Manny i profesor Kouwe, a między nimi Anna Fong, Kostos, Carrera i Dakii znajdowali się parę kroków za nimi, trochę z boku.

Wszyscy byli zakrwawieni, trzymali dłonie na karkach i szli potykając się, popychani od tyłu przez kolejne cienie. Po chwili także i one stały się wyraźne: byli to mężczyźni w strojach stanowiących połączenie kombinezonów wojskowych i ubrań do poruszania się po dżungli. Celowali do przyjaciół Nathana z różnego rodzaju broni.

Nathan patrzył wzdłuż lufy strzelby. Przy tej przewodze przeciwnika była całkowicie nieprzydatna. Jak na razie jedyną jego przewagą była niewidzialność.

Jego towarzysze zostali zatrzymani, ale nie mógł im pomóc.

Mężczyzna w białym drelichu przyłożył do ust mały megafon.

- Nathanie Rand! - zawołał, patrząc w górę, w kierunku szczytu drzewa. - Pokaż się! Albo wyjdiesz z własnej woli, albo twoi przyjaciele zapłacą za twoją nieobecność! Daję ci dwie minuty!

Wszyscy członkowie grupy Nathana i Indianin zostali zmuszeni do ukłęknięcia.

Nathan wsunął się jeszcze głębiej pod korzeń. Mężczyzna, który mówił przez megafon, był bez wątpienia dowódcą najemników i Francuzem, sądząc po akcencie. Popatrzył na zegarek, potem znowu na czubek drzewa i nerwowo postukał czubkiem buta o ziemię. Najwyraźniej - opierając się na ostatnich informacjach swojego szpiega - sądził, że jego przeciwnik znajduje się w pomieszczeniu na górze.

Nathan nie wiedział, co ma zrobić. Pokazać się czy uciekać? Może powinien spróbować szczęścia w lesie, obejść najemników i zejść ich od tyłu? Nie, nic by z tego nie wyszło - nie był partyzantem.

- Pół minuty, Nathan!

- Nie ma go tu! - dobiegł słaby głosik ze szczytu drzewa. - Poszedł sobie!

Kelly!

Francuz opuścił megafon.

— To kłamstwo... - mruknął pod nosem.

— Doktorze Favre... poproszę na słówko... - wychrypiął Kouwe.

Na dźwięk tego nazwiska palce Nathana same zacisnęły się na broni. Słyszał od ojca wiele strasznych historii o tym człowieku. Favre był postrachem całej Amazonii, diabłem, o którym w indiańskich plemionach odważano się mówić jedynie szeptem, potworem wypędzonym z tego regionu przez jego ojca. A teraz ten potwór wrócił.

— Słucham, profesorze?

— To była Kelly O'Brien. Jest razem z rannym bratem. Jeżeli mówi, że Nathana nie ma na górze, to znaczy, że go tam naprawdę nie ma.

Favre pokręcił głową i spojrzał na zegarek.

- Zobaczmy. - Uniósł megafon. - Dziesięć sekund! - Wyciągnął rękę i jeden z najemników podał mu paskudną broń: zagiętą maczetę wielkości kosy. Jej brzeszczot świecił nawet w zasnutym dymem powietrzu. Musiała zostać świeżo naostrzona.

Favre pochylił się i przytknął maczetę do szyi Anny Fong.

- Twój czas się kończy, Nathan! Byłem bardzo wspaniałomyślny, dając ci dwie minuty. Od tej chwili każda następna minuta będzie kosztować życie jednego z twoich przyjaciół. Jeśli wyjdiesz, wszyscy zostaną oszczędzeni! Daję ci na to słowo jako dżentelmen i Francuz - powiedział Favre i zaczął odliczać ostatnie sekundy: - Pięć... cztery...

Nathan zastanawiał się gorączkowo, co powinien zrobić. Doskonale wiedział, że słowo Louisa Favre'a nie jest warte funta kłaków.

— Trzy... dwa... Musi coś wymyślić!

— Jeden...

Nic nie wymyślił.

- Zero!



Nathan wstał i wyszedł ze swojej kryjówki z wysoko uniesioną nad głowę strzelbą.

- Wygrałeś! - zawołał.

Favre wyprostował się.

- Och, *mon petit homme*... bardzo mnie zaskoczyłeś. Co tu robiłeś?

Po twarzy Anny spływały łzy.

Nathan odrzucił strzelbę.

- Wygrałeś - powtórzył.

Otoczyli go najemnicy.

Favre uśmiechnął się.

- Jak zawsze - odparł, ale nagle jego uśmiech znikł, a twarz? zamieniła się we wściekłą maskę.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, odwrócił się i z całej siły machnął maczetą. Trysnęła krew. Głowa ofiary została odcięta tuż przy barkach.

- Manny! - wrzasnął Nathan i padł na kolana.

Ciało przyjaciela zważyło się na plecy.

Anna zawyła i cofnęła się gwałtownie w stronę Kouwego.

Odwrócony plecami do Nathana Favre z zainteresowaniem przyglądał się reakcji pozostałych więźniów.

- Naprawdę sądziliście, że puszczę *monsieur Azevedo* płazem zaatakowanie mojej ukochanej? *Mon Dieu!* Gdzie wasza rycerskość?!

Naga Indianka dotknęła małej ranki pod okiem.

Favre odwrócił się do Nathana. Jego biały drelich był spryskany krwią Manny'ego. Postukał palcem w cyferblat swojego zegarka.

- Poza tym odliczanie doszło do zera, Nate. Spóźniłeś się. Uczciwość to uczciwość.

Nathan zwiesił głowę.

- Manny... - jęknął.

Gdzieś w oddali poranne powietrze przeszło wycie jaguara, przetaczając się echem po całej dolinie.

# 17

## Lekarstwo

17 SIERPANIA, GODZ. 16.16  
DŻUNGLA AMAZOŃSKA

Louis doglądał ostatnich przygotowań. Zaplamioną kurtkę przerzucił przez ramię i podwinął rękawy koszuli. Popołudnie okazało się upalne, ale wkrótce miało się tu zrobić jeszcze goręcej, znacznie goręcej. Patrzył na ruiny wioski i uśmiechał się z satysfakcją.

Gdy podszedł do swojego nowego porucznika, kolumbijski żołnierz o imieniu Maska wyprężył się jak struna. Ten mający ponad metr dziewięćdziesiąt dryblas był doskonale wyszkoloną maszyną do zabijania. Kiedy pracował jako ochroniarz kapitana z kartelu narkotykowego, broniąc swojego szefa, został obłany kwasem i teraz pół jego twarzy wyglądało, jakby skóra została ugotowana. Niewdzięczny pracodawca wyrzucił go z roboty, bo jego widok nieustannie mu przypominał, jak blisko otarł się o śmierć. Louis szanował Maskę za lojalność i uważał, że będzie najlepszym następcą Braila.

— Ile jeszcze zajmie rozmieszczenie wszystkich ładunków? - spytał.

— Pół godziny.

Louis kiwnął głową i popatrzył na zegarek. Czas był czynnikiem krytycznym, ale wszystko szło zgodnie z planem. Gdyby ten cholerny Rosjanin nie uruchomił GPS-u i nie przekazał sygnału, miałby znacznie więcej czasu na cieszenie się zwycięstwem.

Westchnął i popatrzył na klęczących przed nim więźniów. Było ich w sumie osiemnastu - mieli związane za plecami ręce, dodatkowo przywiązane do kostek i połączone z pętlą wokół szyi. Było to tak pomyślane, że każde szarpnięcie pętami rąk lub nóg powodowało zaciąganie się liny wokół szyi.

Kilku więźniów, którym sznur zdążył już wpić się w szyję, dyszało ciężko. Pozostali pocili się i krwawili w palącym słońcu.

Louis zauważył, że Maska cały czas stoi obok niego.

— Wieś została spalona? - spytał. - Nie ma więcej Ban-ali?

— Wszyscy poza tymi tutaj nie żyją, doktorze.

Wioska liczyła ponad sto osób. Ban-ali byli teraz kolejnym wymarłym plemieniem.

— A dolina? Została dokładnie przeszukana?

— Tak jest. Jedyne wejście do niej to tamten mały boczny wąwóz.

— Znakomicie - mruknął Louis. Wiedział już o tym od zwiadowcy Ban-ali, którego Tshui torturowała minionej nocy, ale chciał się upewnić. - Zróbcie ostatni przegląd wszystkich posterunków. Musimy stąd zniknąć nie później niż o piątej.

Maska kiwnął głową, odwrócił się jak na pokazie musztry i ruszył w kierunku drzewa Yagga.

Louis podążył za nim wzrokiem. Z wejścia do drzewa wytaczano właśnie dwie niewielkie stalowe beczki. Po zabezpieczeniu terenu dwóch ludzi z siekierami i przebijakami poszło na górę drzewa, założyło głęboko w drewnie krany i zebrało bezcenny sok. Kiedy wytaczali beczki, Louis przyjrzał się drugiemu oddziałowi pracującemu przy podstawie drzewa. Zmrużył oczy.

Wszystko odbywało się z zegarmistrzowską precyzją. Louis nigdy nie działał inaczej.

Zadowolony, ruszył w kierunku szeregu więźniów z konkurencyjnej wyprawy, którzy klęczeli w pewnym oddaleniu od pozostałych przy życiu Indian Ban-ali.

Popatrzył na swoich jeńców. Był nieco rozczarowany, że nie okazali się większym wyzwaniem. Dwójka rangersów wbijała w niego spojrzenia, które mogłyby zabić. Mała Azjatka -

Anna Fong - w końcu się uspokoiła i zamknęła oczy, jej wargi poruszały się w bezgłośnie modlitwie. Była wyraźnie zrezygnowana. Kouwe zachowywał stoicki spokój. Louis zatrzymał się przed ostatnim więźniem w szeregu.

Spojrzenie Nathana Randa było nie mniej twarde od spojrzeń rangersów, ale kryło się w nim coś jeszcze - lodowata determinacja.

Louis miał kłopot z wytrzymaniem jego spojrzenia, ale nie zamierzał pierwszy odwracać głowy. Widział w twarzy Nathana cień jego ojca - jasnopopielate włosy, zarys policzków, kształt nosa - nie był to jednak Carl Rand. Ku swemu zaskoczeniu Louis stwierdził, że czuje coś w rodzaju zawodu. Satysfakcja, jaką miał nadzieję poczuć na widok klęczącego u jego stóp syna Carla Randa, okazała się iluzją.

Wprost przeciwnie: czuł do tego młodego człowieka pewien szacunek. Podczas najeżonej niebezpieczeństwami wędrówki do wioski Ban-ali Nathan wykazał się wielką pomysłowością i odwagą, udało mu się nawet rozgryźć jego szpiega. Na koniec wykazał się lojalnością, gotowością poświęcenia życia dla swojego zespołu. Były to cechy godne podziwu - nawet jeśli skierowane zostały przeciwko niemu, Louisowi.

Jego twarde jak polerowany kamień oczy świadczyły o tym, że doświadczył wielkiego bólu, ale udało mu się przetrwać. Przypominały Louisowi starego człowieka z hotelowego baru w Gujanie Francuskiej - człowieka, który przeżył więzienie na Diabelskiej Wyspie. Młody Rand miał takie same oczy jak on. Nie były to jednak oczy Carla Randa. Syn został stworzony z całkiem innego materiału.

- Co zamierzacie z nami zrobić? - spytał Nathan.

Louis wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł czoło.

- Daję słowo dżentelmena, że nie zabiję ani ciebie, ani nikogo z twoich przyjaciół. A ja zawsze dotrzymuję danego słowa.

Nathan zmrużył oczy.

— Pozwolę, aby zabiła was amerykańska armia... - dodał po chwili Louis.

— Co to znaczy?

Louis wskazał sierżanta Kostosa.

— Sądę, że na twoje pytanie najlepiej może odpowiedzieć ten twój towarzysz.

— Nie wiem, o czym mówisz - z wściekłością warknął Kostos.

Louis pochylił się i spojrzał mu prosto w oczy.

- Czyżby kapitan Waxman nie wtajemniczył swojego sierżanta sztabowego?

Kostos odwrócił głowę.

— O czym on mówi? - spytał Nathan. - Nie pora na tajemnice, Kostos. Jeżeli coś wiesz...

— Bomby napalmowe - mruknął w końcu sierżant, wyraźnie zakłopotany. - Mieliśmy rozkaz znaleźć cudowną substancję i po zabezpieczeniu próbki zniszczyć jej źródło. Całkowicie je zlikwidować.

Louis wyprostował się, wyraźnie rozbawiony i zadowolony z szoku, jaki pojawił się na twarzach więźniów. Nawet kobieta rangers wyglądała na zaskoczoną. Najwyraźniej wojsko wtajemniczyło jedynie mały krąg wybrańców.

Uniósł rękę i wskazał zgromadzoną u nasady wielkiego drzewa grupkę. Byli to jego saperzy. Dziewięć minibomb, które odebrano rangersom, wyglądało na białej korze jak patrzące na nich płaskie czarne oczka.

- Dzięki rządowi USA mamy do dyspozycji siłę ognia wystarczającą do zlikwidowania znacznie większych drzew niż ten gigant.

Kostos zwiesił głowę.

- Widzicie więc, że nasze misje niewiele się różnią - dodał Louis. - Inni są tylko ci, którzy mieli na tym skorzystać: amerykańska armia albo francuska firma farmaceutyczna. Ciekawe, kto lepiej spożytkowałby osiągniętą wiedzę dla dobra ludzkości? - Wzruszył ramionami. - Kto to wie? Można jednak zapytać inaczej: kto bardziej by zaszkodził? - Popatrzył na sierżanta. - Odpowiedź na to drugie pytanie jest chyba łatwiejsza.

Zapadła złowieszcza cisza.

- A co z Kelly i Frankiem? - spytał w końcu Nathan.

Louisa nie zaskoczyło, że właśnie on wspomniał o brakujących członkach swojej grupy.

— Nie martw się o nich. Pójdą ze mną. Kontaktowałem się z moimi mocodawcami i uznali, że pan O'Brien będzie doskonałym materiałem doświadczalnym... Naukowcy z St. Savin już nie mogą się doczekać, kiedy będą mogli go obejrzyć i przebadać.

— A Kelly?

— *Mademoiselle* O'Brien weźmiemy ze sobą jako gwarancję współpracy z nami jej brata.

Nathan zbladł.

Louis zauważył, że w trakcie tej wymiany zdań młody Rand kilka razy spojrzał na drzewo.

- Detonatory są nastawione na trzy godziny, poczynając od tej chwili. Dokładnie mówiąc, na dwudziestą. - Wiedział, że wszyscy więźniowie znają siłę działania jednej bomby napalmowej. A teraz miało wybuchnąć aż dziewięć. - Poroz mieszczaliśmy tu także inne ładunki, w tym również w prowadzącym do tej doliny wąwozie, które zdetonują, gdy tylko stąd odejdziemy. Nie możemy ryzykować, że gdzieś kryje się jakiś Indianin, który mógłby was uwolnić. Obawiam się, że nie macie szansy... niezależnie od tego, czy będziecie związani, czy nie. Wkrótce ta odcięta od świata dolina zamieni się w morze ognia, który zniszczy nawet najmniejszy ślad po cudownym soku oraz przyciągnie uwagę wysłanych po was helikopterów. Znakomicie ułatwi nam to ucieczkę. Jak widzicie, wszystko zostało dokładnie zaplanowane.

Do Louisa podszedł jego nowy porucznik. Nie zwracał uwagi na więźniów, dla niego równie dobrze mogłyby to być owce.

— Tak, Maska?

— Wszystko w porządku. Wystarczy jedno pańskie słowo i możemy zacząć ewakuację.

— Rozpocząć! - polecił Louis i ponownie popatrzył na więźniów. - Niestety obowiązki mnie wzywają. Muszę się pożegnać.

Carl Rand doprowadził swojego dumnego syna do zguby, pomyślał z satysfakcją. Młody zniknie jak jego ojciec... Miał nadzieję, że Rand senior obserwuje to wszystko z piekła.

Nathan klęczał wraz z pozostałymi więźniami, zdruzgotany tym, czego się właśnie dowiedzieli. Patrzył tępo, jak najemnicy zwijają obóz.

- Favre całą wiarę pokłada w soku Yagga... - mruknął Kouwe.

Nathan ostrożnie odwrócił głowę, aby nie zacisnąć sobie pętli na szyi.

— Jakie to ma teraz znaczenie?

— Liczy na to, że uda mu się wyleczyć nim zarazę, nie mamy jednak żadnego dowodu, że sok ma taką właściwość.

— Więc co powinniśmy w tej sprawie zrobić?

— Powiedzieć mu o tym.

— I pomóc mu? Dlaczego?

— Nie jemu, ale tym wszystkim, którzy umierają z powodu zarazy. Lek na nią z pewnością znajduje się gdzieś tutaj. Czuję to. A on zamierza go zniszczyć, co zniweczy jakąkolwiek możliwość odwrócenia przekleństwa Ban-ali. Musimy go ostrzec.

Nathan zmarszczył czoło. Wciąż jeszcze miał przed oczami śmierć przyjaciela... padające bezwładnie na ziemię ciało Manny'ego. Wiedział, że profesor ma rację, ale serce nie pozwalało mu iść na jakąkolwiek współpracę z Favre'em.

- I tak nas nie posłucha - mruknął, szukając jakiegoś kompromisu między tym, co podpowiadał mu umysł, i tym, co mówiło serce. - Favre działa zgodnie ze ścisłym har monogramem. Ma sześć, najwyżej osiem godzin na ucieczkę przed pojawieniem się wojska. Może tylko złapać, ile się da, i wiać.

- Musimy sprawić, aby nas posłuchał - stwierdził Kouwe.

Od strony drzewa Yagga dobiegły podniecone głosy. Obaj jednocześnie popatrzyli na wejście do drzewa. Pojawiło się w nim dwóch najemników z noszami. Frank. Był obwiązany jak baleron, przygotowany do transportu.

Za noszami wyszła Kelly. Miała ręce spętane z tyłu. Wlokła się obok Favre'a i jego nagiej indiańskiej kochanki. Za nimi szło jeszcze kilku najemników z gotową do strzału bronią.

- Nie wie pan, co pan robi! - powiedziała głośno Kelly. - Nie mamy żadnego dowodu na to, że ten sok jest w stanie wyleczyć jakąkolwiek chorobę! Słowa te były niemal dosłownym powtórzeniem rozmowy Nathana i Kouwego sprzed paru minut. Louis wzruszył ramionami.

— St. Savin zapłaci mi na długo przedtem, zanim ktokolwiek się dowie, czy masz rację, czy nie. Kiedy zobaczą nogi twojego brata, natychmiast przeleją na moje konto obiecane dziesięć milionów.

— A co z tymi, którzy umierają na zarazę? Dziećmi i starymi ludźmi?

— Co oni mnie obchodzą? Moi dziadkowie już nie żyją i nie mam dzieci.

Kelly zamruwała i potrząsnęła głową. Jej spojrzenie padło na uwieczonych przyjaciół. Najwyraźniej nie rozumiała, co się dzieje. Popatrzyła na trzydziestoosobową grupę najemników, wychodzącą właśnie z doliny, a potem znów na więźniów.

— Co tu jest grane? - zapytała.

— Ach... twoi przyjaciele... zostaną tutaj.

Kiedy zobaczyła przymocowane do drzewa Yagga ładunki wybuchowe, znowu spojrziała na Nathana.

— Nie... nie może ich pan tak tu zostawić...

— Mogę. Oczywiście, że mogę.

Kelly zatrzymała się.

- Więc niech pan przynajmniej pozwoli mi się z nimi pożegnać... - powiedziała, bliska płaczu.

Louis westchnął.

- No dobrze. Ale szybko.

Wziął ją za ramię i podprowadził do szeregu więźniów. Za nimi szło pięć osób: jego kochanka i czterech najemników.

Louis brutalnym szarpnięciem zatrzymał Kelly, kiedy stanęli przed więźniami.

Na jej widok Nathan poczuł ukłucie w sercu. Chyba lepiej by było, gdyby się przed nim nie zatrzymała.

Po jej policzkach spływały łzy. Stawała przed każdym z nich i mówiła, jak bardzo jest jej przykro - jakby to, co się wokół



działo, było jej winą. Nathan prawie jej nie słuchał. Widząc ją po raz ostatni w życiu, chciał jak najlepiej zapamiętać jej twarz. Pochyliła się przed profesorem i przycisnęła policzek do jego policzka, a potem przesunęła się do końca szeregu, gdzie klęczał Nathan.

Wbiła w niego wzrok i opadła na kolana.

— Nate...

— Ciii... - powiedział ze smutnym uśmiechem, tak samo jak podczas ich wspólnej nocy. - Ciii.

- Słyszałam o Mannym. Tak mi przykro...

Zamknął oczy i pochylił głowę.

- Jeśli będziesz miała okazję, zabij tego francuskiego drania - wyszeptał.

Przytuliła się do niego.

- Obiecuję - powiedziała mu cichutko do ucha.

Obrócił głowę i ich wargi się zetknęły. Nie obchodziło go, kto im się przygląda. Pocałował ją po raz ostatni.

Po chwili oderwano ją od niego. Favre brutalnie postawił Kelly na nogi i mocno zacisnął dłoń wokół jej ramienia.

- Wygląda na to, że wasz stosunek nie ma jedynie za wodowego charakteru... - stwierdził ze złośliwym uśmiechem.

Odwrócił ją i mocno pocałował w usta. Krzyknęła. Louis puścił ją i pchnął w stronę swojej indiańskiej kochanki. Z jego wargi skapywała krew.

Kelly go ugryzła!

Otarł krew z brody.

- Nie martw się, Nathanie. Dobrze się zaopiekuję twoją kobietą. - Popatrzył na swoją kochankę. - Razem z Tshui zadamy o to, aby się nie nudziła. Prawda, *ma chérie*?

Indianka przysunęła się do Kelly, pomacała kosmyk jej włosów i powąchała go.

- Widzisz, młody człowieku? Już jest nią zainteresowana. Próbował rzucić się na niego, ale pęta skutecznie go po wstrzymały.

— Ty draniu... - syknął.

— Uspokój się, chłopcze. - Favre cofnął się i objął Kelly ramieniem. - Jest w dobrych rękach.

Nathan zaczął szarpać więzy i sznur natychmiast zacisnął

się na jego gardle. I tak ma umrzeć, co za różnica, czy się udusi, czy spali?

Louis popatrzył na niego ze smutkiem i odszedł, ciągnąc za sobą Kelly.

- Co za szkoda... - mamrotał pod nosem. - Taki miły chłopiec, a tyle w jego rodzinie tragedii...

Nathanowi zrobiło się czarno przed oczami.

— Przestań się szarpać, Nate - powiedział Kouwe.

— Po co?

— Póki życia, póty nadziei.

Nathan znieruchomiał - nie dlatego, że przyznał profesorowi rację, ale po prostu ogarnęła go rezygnacja. Od razu zaczęło mu się łatwiej oddychać. Patrzył za odchodzącą bandą najemników, lecz widział tylko Kelly. Przed zniknięciem w dżungli jeszcze raz spojrzała za siebie.

Wszyscy milczeli, jedynie Anna cicho się modliła. Kilku spośród związanych Indian zaczęło śpiewać jakąś ponurą pieśń, pozostali płakali. Klęczeli na ziemi i piekli się we wciąż palących promieniach wędrującego na zachód słońca. Z każdym oddechem coraz bardziej zbliżali się do śmierci.

— Dlaczego nas nie zastrzelili? - spytał sierżant Kostos.

— Favre nie działa w ten sposób - odparł profesor. - Chce doprowadzić nas do takiego stanu, żebyśmy z utęsknieniem czekali na śmierć. To coś w rodzaju tortury. Takie rzeczy go podniecają.

Po godzinie od południa doleciał odgłos potężnej eksplozji. Nathan otworzył oczy - w niebo wystrzeliła kolumna czarnego dymu i skalnych odłamków.

- Wyszadzili wąwóz - mruknęła Carrera.

Po kilku sekundach echa eksplozji umilkły. Zaczęli czekać na następną - tę, która zniszczy dolinę i spali ich żywcem.

Kiedy zrobiło się cicho, Nathan usłyszał dochodzący ze skrajów dżungli przypominający kasznięcie dźwięk. Kasznięcie jaguara.

Kouwe popatrzył na Nathana, który poczuł, że budzi się w nim nadzieja.

- Tor-tor? - zapytał.

Na polanę wyszedł wielki kot, ale nie był to jaguar Manny'ego.

Potężne czarne zwierzę zaczęło węszyć. Po chwili jego wargi cofnęły się, obnażając kły, a z gardzieli wydobył się głęboki warkot.

GODZ. 17.35

Kelly szła obok noszy Franka. Niosący je najemnicy byli niezmordowani, maszerowali przez dżunglę jak roboty. Ona sama, choć nie miała żadnego bagażu, potykała się o każdy kamień i korzeń.

Favre narzucił swojej grupie ostre tempo. Chciał przed eksplozją na polanie dotrzeć do bagna i zniknąć w znajdującym się na południe od niego lesie.

- Zaraz po wybuchu będzie tu mnóstwo wojska - oświadczył. - Musimy być wtedy daleko stąd.

Kelly podsłuchiwała rozmowę radiową, prowadzoną w mieszaninie portugalskiego i hiszpańskiego. Favre porozumiał się ze swoimi ludźmi i ustalili, że dzień marszu dalej na rzece będą na nich czekać łodzie silnikowe. Gdy tylko znajdą się na miejscu spotkania, szybko znikną nie wiadomo gdzie.

Najpierw jednak musieli się tam bezpiecznie znaleźć, a to oznaczało szybki marsz. Było jasne, że Favre nie będzie tolerował maruderów - nie wyłączając Kelly. Zabrał Manny'emu pejcz i teraz, krążąc wśród swoich żołnierzy, trząsał z niego raz za razem niczym pilnujący niewolników nadzorca. Kiedy po wysadzeniu wężowozu Kelly potknęła się i przewróciła, nie zawahał się jej uderzyć. Przypominało to ukłucie rozżarzoną igłą - końcówka pejczy rozdarła jej koszulę na ramieniu i lekko przecięła skórę. Od tego momentu bardzo się pilnowała, aby znowu nie upaść.

- Kelly... - stęknął Frank z noszy.

Pochyliła się ku niemu.

- Wychszepiemy sssię s techo - powiedział bełkotliwie. Choć protestował, zanim wyniesiono go z drzewa Yagga, dała mu zastrzyk demerolu. Nie chciała, aby cierpiał podczas transportu. - Urrratujemy sssię.

Kiwnęła głową. Bardzo chciała móc ująć jego dłoń, ale

miała związane za plecami ręce, a on był przywiązany do noszy.

- Nathan i reszta... znajdą sposób, aby uciec... - dodał po chwili, próbując ją pocieszyć, a potem znowu odjechał.

Spojrzała za siebie. Choć większa część nieba była zasłonięta listowiem, widać było resztę dymu z eksplozji, która odcięła górną dolinę od dolnej. Nie powiedziała bratu, że drzewo Yagga zostało naszpikowane bombami napalmowymi i nie mogą się spodziewać żadnej pomocy ze strony tych, którzy pozostali na polanie.

Wbiła wzrok w plecy Favre'a.

Jedyne, co jej pozostało, to zemsta.

Zamierzała dotrzymać danej Nathanowi obietnicy.

Zabije tego Francuza... albo zginie, próbując to zrobić.

GODZ. 17.58

Nathan obserwował wielkiego czarnego jaguara. Rozpoznał w nim samicę, która przewodziła stadu. Jakimś sposobem przeżyła trucicielską akcję Louisa i wróciła na swoje terytorium.

- Robi się coraz przyjemniej - jęknął cicho Kostos.

Wielka bestia uważnie przyglądała się związanym więźniom - gotowym, zapakowanym posiłkom. Bez odstraszonego proszku zagrożeni byli nawet Ban-ali. Czarny koci bóg, stworzony przez drzewo Yagga, aby ich chronił, zamienił się w zwiastuna śmierci.

Samica pełzła w kierunku ludzi, lekko poruszając ogonem.

Nagle nad grzbietem czarnego kota błysnął jasny płomień - to z dżungli wyprysnął Tor-tor. Nie okazując strachu, minął większego jaguara i skoczył na Nathana.

Ten wybuch radości przewrócił Nathana na bok. Po utracie swojego pana młody jaguar czuł wyraźną ulgę, że znalazł znajomych ludzi, którzy mogliby go uspokoić.

Zaciskająca się lina zaczęła dusić Nathana.

- Tak, tak... dobry chłopiec... Tor-tor...

Wielki czarny kot zatrzymał się i z ciekawością obserwował ten dziwaczny pokaz.

Tor-tor ocierał się o Nathana, bardzo chciał, żeby go pogłaskano, powiedziano mu, że wszystko jest w porządku.

Nathan przewrócił się na bok, co go jeszcze bardziej poddusiło, ale pozwoliło wyciągnąć linę w stronę jaguara.

- Przegryź ją, to cię pogłaskam, ty wielki futrzaku.

Tor-tor polizał jego dłoń, po czym trącił go nosem w bark.

Nathan jęknął z rozpaczy i zerknął przez ramię. Wielki jaguar podpełzł do niego, wydał z siebie cichy warkot i pyskiem odsunął Tor-tora na bok.

Nathan znieruchomiał.

Czarny kot powąchał dłoń, którą polizał Tor-tor, po czym popatrzył na człowieka czarnymi jak węgiel ślepiami. Nathan byłby gotów się założyć, że zwierzę wyczuwa jego strach.

Doskonale pamiętał, jak jedna z tych bestii oderwała Frankowi nogi.

Jaguar pochylił łeb i znowu zawarczał, a potem Nathan poczuł potężne szarpnięcie i został uniesiony nad ziemię. Zaczął się dusić. Przez głowę przemknęło mu pytanie, czy najpierw się udusi, czy zostanie pożarty żywcem. Zdecydowanie wołał to pierwsze.

Po chwili spadł na ziemię. Skulił się w oczekiwaniu ataku, ale nagle stwierdził, że ma wolne ręce. Odtoczył się szybko na bok, usiadł i popatrzył na przecięte więzy. Jaguar go oswobodził!

Zaczął uwalniać się od liny wokół szyi.

Wielka samica obserwowała go uważnie. Tor-tor otarł się o nią lekko, wyraźnie okazując jej swoje uczucie, a potem podszedł do Nathana.

Nathan pozbył się pętli na szyi i choć miał jeszcze związane nogi, musiał przerwać, by podziękować przyjacielowi.

Tor-tor wbił mu łeb w klatkę piersiową.

Nathan podrapał znajome miejsce za uszami kota, a zwierzę w odpowiedzi zamruczało z zadowoleniem.

- Dobry chłopiec... doskonale to wymyśliłeś.

Tor-tor jęknął cicho.

Nathan uniósł jego łeb i popatrzył mu prosto w oczy.

- Ja też kochałem Manny'ego - szepnął.

Jaguar wtulił łeb w jego twarz.

Nathan głaskał go i mruczał uspokajająco. W końcu Tor-tor cofnął się i Nathan mógł oswobodzić sobie nogi.

Wielka czarna samica siedziała na tylnych łapach i czekała. Tor-tor musiał ją odnaleźć po śmierci Manny'ego i przyprowadził tutaj. A więc Manny miał rację - te dwa młode koty musiała połączyć jakaś więź. Możliwe, że ta więź jeszcze się pogłębiła, gdy oboje utracili bliskie istoty: Tor-tor swojego pana, a samica stado.

Nathan wstał i uwolnił Kouwego, a potem we dwóch rozwiązywał pozostałych. Kiedy Nathan rozwiązywał Dakii, nie czuł już do niego złości. Ten człowiek był odpowiedzialny za sprowokowanie ataku żabopiranii i szarańczy na ich wyprawę, ale przecież usiłował jedynie chronić swoje plemię. Pomógł Dakii wstać i rozejrzał się po dymiących zgliszczeniach. Nie umiałby odpowiedzieć na pytanie, kto jest gorszy - zmutowane bestie czy ludzie, którzy ich napadli i zrównali wioskę Ban-ali z ziemią.

Indianin objął go mocno.

- Jeszcze mi nie dziękuj - mruknął Nathan.

Po chwili rozwiązano pozostałych przy życiu Indian. Teraz trzeba było się jak najszybciej zająć przymocowanymi do drzewa dziewięcioma bombami napalmowymi.

- Pójdę sprawdzić, czy da się rozbroić ładunki - powiedział sierzant Kostos. - A Carrera niech poszuka broni, którą schowała w krzakach.

Uwolnieni Ban-ali zgromadzili się wokół pary jaguarów. Koty leżały w cieniu, pozornie obojętne na zgromadzonych wokół ludzi, ale samica obserwowała wszystko zmrużonymi oczami.

Do Nathana podszli Anna i Kouwe.

- Jesteśmy wolni, ale co teraz? - spytał profesor.

Nathan pokręcił głową.

Anna skrzyżowała ramiona na piersi.

— Co jest? - spytał Nathan, bo Anna ponuro zmarszczyła czoło.

— Richard Zane. Jeśli uda nam się z tego wykaraskać, składam wymówienie w Telluksie.

W ich sytuacji zabrzmiało to dość humorystycznie i Nathan mimowolnie się uśmiechnął.

- Zrobię to samo zaraz po tobie - oświadczył.  
Po chwili wrócił Kostos.

- Ładunki są połączone ze sobą i tak zabezpieczone, żeby nie można było do nich podejść. Nie da się usunąć detonatorów ani zatrzymać sekwencji eksplozji.

- Naprawdę nic nie można zrobić? - zmartwił się Kouwe.  
Rangers pokręcił głową.

— Muszę przyznać temu francuskiemu draniowi, że zna się na swojej robocie. Niech go cholera weźmie.

— Ile mamy czasu? - spytała Anna.

— Niecałe dwie godziny. Zegary detonatorów są ustawione na dwudziestą.

— W takim razie musimy znaleźć jakieś inne wyjście z tej doliny albo poszukać dobrej kryjówki - stwierdził Nathan.

— Zapomnij o kryjówce - odparł Kostos. - Kiedy te zabawki wybuchną, powinniśmy być wiele kilometrów stąd. Nawet bez dodatkowych ładunków, założonych przez ludzi Favre'a, te dziewięć bomb usmaży cały płaskowyż.

— Gdzie jest Dakii? - spytał Nathan. - Może on zna inną drogę ucieczki z tego miejsca?

Kouwe wskazał wejście do wielkiego drzewa.

— Poszedł zobaczyć, jak się czuje szaman.

— Sprawdźmy, czy nasz przyjaciel wie coś, co mogłoby się nam przydać.

Nathan, Anna i Kouwe ruszyli w stronę drzewa.

- Przyjrzę się jeszcze raz tym bombom - oświadczył Kostos. - Może coś mi przyjdzie do głowy.

Po wejściu do drzewa znowu poczuli piżmowy, słodki zapach. Ruszyli tunelem w górę, wzdłuż namalowanych na jego ścianach odcisków dłoni.

— Wiem, że w tej chwili wszyscy myślą o ucieczce, ale może warto zastanowić się także nad szalejącą w Ameryce zarazą - powiedział Kouwe.

— Jeśli istnieje jakieś wyjście stąd, zbierzemy tyle próbek roślin, ile zdążymy - odparł Nathan. - To wszystko, co możemy zrobić. Miejmy nadzieję, że trafimy na tę właściwą.

Jego odpowiedź nie usatysfakcjonowała profesora, ale nic już nie mówił. Zdawał sobie sprawę, że samo odkrycie leku nic nie da, jeżeli nie dostarczą go światu.

Po chwili usłyszeli odgłos kroków schodzącego z góry człowieka. Nathan popatrzył na Kouwego.

Zza zakrętu wyszedł Dakii. Na widok idących w górę drzewa ludzi zatrzymał się z wyrazem zdumienia na twarzy i zaczął bardzo szybko mówić w języku swojego plemienia - tak szybko, że nawet Kouwe nic nie rozumiał.

- Mów wolniej - poprosił go Nathan.

Dakii złapał go za ramię.

- Syn *wishwa*, idź ze mną - powiedział i zaczął ciągnąć Nathana na górę.

— Wszystko w porządku z waszym szamanem?

Dakii pokiwał głową.

— Szaman żyć, ale chora... bardzo chora.

— Zaprowadź nas do niego.

Ruszyli truchtem i po kilku minutach znaleźli się na „oddziale szpitalnym”.

Szaman leżał na jednym z hamaków. Nie wyglądał dobrze. Jego skóra była żółtawa i pokryta warstewką potu. Rzeczywiście był „bardzo chora”.

Kiedy się zbliżali, uniósł się nieco - choć sprawiało mu to wyraźny ból - machnął do Dakii, wydając mu jakieś nieme polecenie, po czym wbił wzrok w Nathana. Jego oczy były szkliste, ale całkowicie przytomne.

Pod hamakiem leżały sznury. Favre również i jego kazał związać, choć był poważnie ranny.

Szaman wskazał Nathana palcem.

- Ty *wishwa*... jak ojciec.

Nathan otworzył usta, zamierzając zaprzeczyć. Zdecydowanie nie czuł się szamanem.

- Przytaknij - szepnął Kouwe.

Po chwili wahania Nathan kiwnął głową. Ufał instynktowi profesora.

Jego odpowiedź wyraźnie uspokoiła szamana.

- Dobrze - powiedział.

Wrócił Dakii ze skórzaną sakwą i dwoma półmetrowymi



kawałkami trzciny. Podał to wszystko rannemu, ale szaman był zbyt wycieńczony, więc tylko wydawał polecenia. Dakii uniósł sakwę.

- Wysuszona moszna jaguara - wyjaśnił Kouwe.

- W Paryżu nieźle by za nią zapłacili - stwierdził Nathan. Indianin otworzył sakwę. W środku znajdował się ciemno czerwony proszek.

Szaman zaczął wydawać kolejne polecenia.

— Ten proszek to *ali ne Yagga*.

— Krew Matki - mruknął Nathan, który rozumiał pojedyncze słowa.

Dakii umieścił nieco proszku w końcach obu trzcin

- Wiesz, co się teraz stanie? - spytał Kouwe.

Nathan domyślał się, ale nie był pewien.

- Sądzę, że chodzi o coś podobnego jak w ceremonii *epena* u Yanomami - odparł.

W ciągu wielu lat pobytu w dżungli zetknął się z różnymi plemionami Yanomami i czasem zapraszano go na tę ceremonię. *Epena*, co oznaczało „nasienie Słońca”, było środkiem halucynogennym, używanym przez szamanów Yanomami dla łatwiejszego nawiązania kontaktu ze światem duchów. Był to bardzo mocny środek, który miał wywoływać z dżungli małe ludziki zwane *hekura*, aby uczyły szamanów różnych sposobów leczenia. Kiedy Nathan go pewnego razu spróbował, miał kolorowe omamy, które skończyły się potężnym bólem głowy. Nie bardzo podobał mu się też sposób podawania narkotyku - przez nos.

Dakii jedną trzcinę podał Nathanowi, a drugą rannemu. Szaman Ban-ali dał Nathanowi znak, aby ukląkł przy jego hamaku.

— Szaman wie, że umiera - powiedział Kouwe. - To, co ci proponuje, jest czymś więcej niż zwykły rytuał. Wydaje mi się, że chce ci przekazać swoje obowiązki... odpowiedzialność za plemię, wieś i drzewo.

— Nie mogę tego przyjąć.

— Musisz. Kiedy zostaniesz szamanem, poznasz wszystkie tajemnice plemienia. Zdajesz sobie sprawę z tego, co to oznacza?

Nathan kiwnął głową.

— Lekarstwo.

— Właśnie.

Nathan podszedł do hamaka szamana i ukląkł.

Szaman pokazał mu, co ma robić. Było to bardzo podobne do rytuału odprawianego przez Yanomami. Ranny Indianin przystawił sobie do nosa napełniony proszkiem jeden koniec rurki i dał znak, aby Nathan do drugiego końca przyłożył usta. Drugą trzcinkę należało ułożyć odwrotnie - koniec z narkotykiem znalazł się przy nosie Nathana, a pusty przy ustach szamana. Dmuchając jednocześnie, mieli wdmuchnąć sobie nawzajem proszek do nosa.

Szaman uniósł ramię. Obaj wzięli głęboki wdech.

Indianin opuścił rękę.

Nathan mocno dmuchnął w trzcinkę i przygotował się. Mimo to narkotyk wstrząsnął nim.

Poleciał do tyłu. W jego czaszce eksplodował płomień i zaraz potem poczuł silny ból. Miał wrażenie, jakby coś odrywało mu potylicę. Świat wokół niego zawirował i ogarnęły go mdłości. W jego głowie otworzyła się otchłań, w którą zaczął spadać. Wirując, koziółkował w ciemność, która była równocześnie oślepiająco jasna.

Z daleka dochodził czyjś głos: ktoś wołał go po imieniu, ale Nathan nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Nagle jego spadające ciało zderzyło się z czymś twardym jak ściana i ciemność wokół niego rozprysła się jak eksplodujące szkło. Drobinę czarnej nocy odpływały gdzieś i zniknęły. Pozostał jedynie cień mający kształt drzewa rosnącego na ciemnym wzgórzu.

Nathan szybował nad drzewem, dostrzegając coraz więcej szczegółów. Drzewo robiło się trójwymiarowe: wyrastały z niego drobne liście, pojawiały się liczne poziome gałęzi i grona kulistych orzechów.

YAGGA.

Zza grani wzgórza wyszły małe sylwetki. Szły gęsiego, kierując się prosto na drzewo.

*Hekura?*

Podobnie jak drzewo, z każdą chwilą robiły się wyraźniejsze.

Nathan zobaczył, że wzgórzem idą zwierzęta: małpy, leniwce, szczury, krokodyle, jaguary, a także zwierzęta, których nie umiał zidentyfikować. Między ciemnymi sylwetkami zwierząt szli ludzie - mężczyźni i kobiety - ale nie byli to *hekura*. Rząd czarnych cieni podszedł do drzewa i zaczął w nie wchodzić. Czarne postacie powoli zlewały się z czernią drzewa.

Dokąd poszli? Czy miał za nimi podążyć?

Po chwili wszystkie postacie zaczęły wychodzić z drugiej strony drzewa. Były teraz zupełnie inne. Przemienione. Nie spowijał ich cień - rozświetlał je wewnętrzny blask. Rząd świecących sylwetek zaczął otaczać drzewo. Ludzie i zwierzęta. Obrońcy Matki.

Nathan przez cały czas unosił się nad drzewem. Czuł, że czas płynie znacznie szybciej. Kiedy blask któregoś z obrońców słabł, wracał do drzewa, zjadał podobny do orzecha owoc i rozjaśniał się na nowo, po czym wracał do kręgu dzieci Yagga. Ten rytuał nieustannie się powtarzał.

Po jakimś czasie obraz zaczął blednąć jak stary film i wkrótce znów nastąpiła ciemność.

- Nate? - zawołał jakiś głos.

KTO? CO? Nathan szukał źródła głosu, ale wokół siebie widział jedynie mrok.

— Nate, słyszysz mnie?

TAK, ALE KIM JESTEŚ?

— Jeśli mnie słyszysz, ściśnij moją dłoń.

Nathan odwrócił się w kierunku głosu, próbując wydobyć go z ciemności.

— Bardzo dobrze, Nate. Teraz otwórz oczy.

Nathan spróbował zrobić, co mu kazano.

— Nie walcz... po prostu otwórz oczy.

Ciemność znowu się rozprysła i oczy Nathana poraził jaskrawy blask. Westchnął i głęboko zaczerpnął powietrza. Ujrzał nad sobą twarz swojego przyjaciela, który podtrzymywał mu głowę.

- Nate?

Zakaszłał i kiwnął głową.

— Jak się czujesz?

— A jak sądzisz?

- Co widziałeś? Mamrotałeś coś.
- I ślinałeś się jak dziecko - dodała Anna.

Nathan otarł usta.

- Ślinotok... halucynogen alkaliczny.
- Co widziałeś? - zapytał znowu profesor.

Nathan spróbował usiąść. Błąd - jego głowa eksplodowała bólem.

- Na długo odjechałem?
- Może na jakieś dziesięć minut.
- Dziesięć minut? - Miał wrażenie, że śnił przez wiele godzin albo nawet dni.
- Co się z tobą działo?
- Chyba widziałem sposób wyleczenia zarazy.
- Co takiego?

Nathan opowiedział, co widział.

- Z mojego snu wynika, że dla zdrowia ludzi z plemienia największe znaczenie mają orzechy tego drzewa. Zwierzęta ich nie potrzebują, ale ludzie tak.

Kouwe w zamyśleniu pokiwał głową.

- A więc chodzi o orzechy... Z badań twojego ojca wiadomo, że sok zawiera mnóstwo mutagennych białek, prionów posiadających zdolność doskonalenia każdego gatunku, z którym się zetkną, aby jego przedstawiciele stali się lepszymi obrońcami drzewa. Jednak za to udoskonalenie trzeba zapłacić. Drzewo nie chce, żeby jego dzieci je opuściły, zastosowało więc mechanizm zabezpieczający. W przypadku zwierząt jest to prawdopodobnie wzmocnienie ich wrodzonego instynktu terytorialności, każącego im pozostać w najbliższej okolicy... instynktu, którym można sterować wedle potrzeb, na przykład za pomocą proszków. Jednak żeby związać z drzewem ludzi, istoty inteligentne, trzeba było czegoś innego. Myślę, że to orzechy z drzewa. Aby mutagenne priony nie zaczęły szkodzić, ludzie muszą regularnie pić ich mleko. Pewnie zawiera jakąś postać antyprionu, coś, co blokuje rozwój choroby.

Anna wyglądała, jakby zbierała jej się na wymioty.

- A więc Ban-ali nie pozostawali tutaj z poczucia obowiązku, lecz byli niewolnikami.

Kouwe potarł skronie.

- *Ban-yi* to właśnie niewolnik. Ta nazwa wcale nie jest metaforą. Po kontakcie z mutagennym prionem musisz zostać w dolinie albo umrzesz. Bez picia mleka z orzechów prion przybiera złośliwą postać i atakuje układ odpornościowy, wywołując śmiertelną gorączkę i rozwój nowotworów.

- Jekyll i Hyde... - mruknął Nathan.

Kouwe i Anna popatrzyli na niego pytająco.

- To właśnie mówiła Kelly o prionach - wyjaśnił. - W jednej postaci są dobrotliwe, ale mogą się przekształcić i stać złośliwe, jak to dzieje się na przykład w przypadku choroby wściekłych krów.

Profesor kiwnął głową.

— Mleko z orzechów tego drzewa musi utrzymywać prion w dobrotliwej postaci, kiedy jednak przestanie się je pić, prion przebudowuje się i atakuje gospodarza, wywołując chorobę, oraz przenosi się na każdego, z kim chory ma kontakt. Także to służy celom, jakie wyznaczyło sobie drzewo. Ponieważ nie chce, żeby ktokolwiek je odnalazł, zginąć musi zarówno każdy uciekinier z doliny, jak i ten, kto się z takim uciekinierem kontaktował.

— Po to, aby istnienie drzewa pozostało tajemnicą.

— Właśnie.

Nathan poczuł się na tyle dobrze, że spróbował wstać. Kouwe pomógł mu.

- Zastanawiam się jednak, dlaczego to wszystko mi się przyśniło. Czy to narkotyk wyzwolił moją podświadomość, od dłuższego czasu szukającą odpowiedzi na te pytania, czy też szaman mi przekazał ten obraz mentalnie... za pomocą wywołanej przez narkotyk telepatii?

- Nie - odparł Kouwe. - Szaman nie mógł tego zrobić.

Indianin leżał w hamaku i wpatrywał się szklanym wzrokiem w sufit. Z jego nozdrzy sączyła się krew. Nie oddychał. Dakii ukląkł obok niego i spuścił głowę.

- Umarł natychmiast po wciągnięciu narkotyku. Sądząc po objawach, dostał wylewu krwi do mózgu. - Kouwe popatrzył na Nathana. - Cokolwiek widziałeś, nie zostało ci to przekazane przez niego.

Nathan nie mógł się skupić. Miał wrażenie, jakby jego czaszka była o dwa numery za mała.

— W takim razie musiała to być moja podświadomość. Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy ujrzałem te orzechy, pomyślałem, że wyglądają jak owocniki *Uncaria tomentosa*. Roślina ta nazywana jest „kocim pazurem”. Indianie używają jej do zwalczania wirusów, bakterii, a nawet nowotworów. Jednak aż do tej pory nie dostrzegałem między nimi żadnego związku... może narkotyk pomógł mojej podświadomości dokonać intuicyjnego skoku myślowego?

— Może... - mruknął Kouwe.

— A cóż innego mogłoby to być? - spytał Nathan, wyczuwając w jego głosie wahanie.

Profesor przez chwilę milczał, w zamyśleniu marszcząc czoło.

— Kiedy byłeś w transie, rozmawiałem z Dakii. Proszek *alene Yagga* pochodzi z korzenia drzewa. To suszone i sproszkowane włókno korzenia.

— No i...?

— To, że twój sen mógł być nie tylko wytworem podświadomości. Może to było coś w rodzaju przekazu od drzewa: „Zjedz mój owoc, a będziesz zdrowy”. Wiadomość.

— Chyba nie mówisz tego poważnie.

— Biorąc pod uwagę wszystko, co widzieliśmy w tej dolinie... zmutowane gatunki, odrastanie kończyn, ludzie zniewoleni przez roślinę... nie byłbym taki sceptyczny.

— Myślę, że profesor może mieć rację - powiedziała Anna. - Jak to możliwe, aby drzewo wytwarzało priony mogące występować u tak różnych gatunków? Już samo to zakrawa na cud. W jaki sposób się tego nauczyło? Skąd wzięło materiał genetyczny do eksperymentów?

- Historia tego drzewa sięga paleozoiku, kiedy na Ziemi istniały wyłącznie rośliny - odparł Kouwe. - Jego przodkowie musieli tu już być w czasie, gdy zaczynały rozwijać się pierwsze gatunki zwierząt lądowych. Zamiast z nimi rywalizować, drzewo wplotło je w swój cykl życiowy... tak samo jak robi to dziś drzewo mrówkowe.

Profesor mówił dalej, ale Nathan przestał słuchać. W głowie dudniło mu ostatnie zdanie Anny: „Skąd drzewo wzięło materiał genetyczny do eksperymentów?”. Właśnie... w jaki sposób

drzewo Yagga nauczyło się wytwarzać priony występujące u różnych gatunków istot żywych?

W swoim narkotycznym śnie widział sznur zwierząt i ludzi, znikających we wnętrzu drzewa. Dokąd się udali? Czy ten obraz miał znaczenie symboliczne, czy rzeczywiste? Szli w jakieś „miejsce”?

Przyjrzał się kłęczącemu przy hamaku Dakii. Może był to kolejny intuicyjny skok myślowy, może resztkowy efekt działania narkotyku, ale zaczął się domyślać, co to mogło być za miejsce.

*Ali ne Yagga.* Krew Yagga. Z korzeni drzewa.

Kiedy Dakii mówił o jego ojcu i oświadczył, że jego ciało trafiło między korzenie Yagga jako pokarm, powiedział to z zachwytem.

Odwrócił się w stronę Indianina.

— Nate? - zaniepokoił się Kouwe.

— Brakuje nam jeszcze jednego kawałka układanki i wiem, kto nam go dostarczy - odparł Nathan i skinął głową w kierunku Dakii.

Podszedł do płaczącego Ban-ali. Kiedy Indianin go zobaczył, wstał.

— *Wishwa* - odezwał się z szacunkiem.

— Przykro mi z powodu śmierci twojego szamana, ale musimy porozmawiać.

Podszedł do nich Kouwe, aby pomóc w tłumaczeniu, ale Nathan już na tyle dobrze sobie radził z dialektem Ban-ali, że sam potrafił zapytać o to, co go interesowało.

- Nazywał się Dakoo - powiedział Dakii, dotykając piersi zmarłego. - Moja ojciec.

Nathan przygryzł wargę. Powinien był się tego domyślić. Teraz, kiedy już wiedział o pokrewieństwie, natychmiast dostrzegł podobieństwo obu mężczyzn. Położył dłoń na barku Dakii. Wiedział, co to znaczy stracić ojca.

- Naprawdę bardzo mi przykro - powtórzył.

— Dziękuję.

— Twój ojciec był niezwykłym człowiekiem. Wszyscy będziemy go opłakiwać, teraz jednak jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie. Potrzebujemy twojej pomocy.

Dakii pochylił głowę.

— Ty *wishwa*. Mów.

— Chcę, żebyś zaprowadził mnie do korzenia drzewa. Tam, gdzie jest karmione.

Dakii gwałtownie poderwał głowę. Jego twarz wyrażała zarazem strach i troskę.

- Ostrożnie - ostrzegł przyjaciela Kouwe. - Poruszasz się po świętej ziemi.

Ale Nathan machnął ręką, jakby odrzucał na bok wątpliwości profesora, po czym położył sobie dłoń na piersi.

- Teraz jestem *wishwa* - powiedział, zwracając się do Dakii. - Muszę zobaczyć korzeń.

Indianin energicznie pokiwał głową.

- Pokażę ci - odparł.

Jeszcze raz popatrzył na martwego ojca i skierował się do wyjścia.

Zaczęli schodzić w dół. Anna i Kouwe szli za Nathanem i rozmawiali szeptem, co pozwalało mu zająć się własnymi myślami. Znowu przyszło mu na myśl podobieństwo symbolu Ban-ali do wijącego się przez drzewo tunelu. Czy znaczyło to coś więcej? Czy tunel rzeczywiście symbolizował - jak sugerowała Kelly - kształt cząsteczki prionu? Czy między drzewem i ludźmi mógł istnieć jakiś system komunikacji? Wspólna pamięć? Po tym, czego doświadczył pod wpływem narkotyku, nie był już tak skłonny do odrzucania podobnej ewentualności. Może symbol Ban-ali reprezentował obydwa aspekty?

- Ktoś idzie - powiedział w którymś momencie Dakii i zwolnił.

Rzeczywiście - z dołu dobiegał odgłos kroków. Po chwili zza zakrętu wybiegła znajoma postać.

- Carrera... - mruknął Kouwe.

Skinęła im głowę, mocno zadyszana od biegu pod górę. Znowu miała swoją broń.

- Mam się z wami skontaktować. Sprawdzić, czy odkryliście jakąś drogę ucieczki. Sierżantowi Kostosowi nie udało się rozbroić ładunków.

Dopiero teraz Nathan uświadomił sobie, że zapomniał spytać Indianina o najważniejszą rzecz.



- Dakii, musimy się dowiedzieć, czy istnieje jakieś tajemne wyjście z doliny. Znasz jakieś?

Zadanie tego pytania wymagało mnóstwa gestykulacji i pomocy Kouwego.

Carrera popatrzyła na Nathana ze zmarszczonym czołem.

— Jeszcze go nie przesłuchaliście? - zdziwiła się. - To co robiliście na górze?

— Ćpaliśmy - odparł Nathan półgębkiem, skupiony na rozmowie z Indianinem.

Dakii wreszcie zrozumiał, o co go pytają.

— Odejść? Dlaczego? Zostać tutaj. - Wskazał na swoje stopy.

— Nie możemy - odparł Nathan.

— Nie rozumie, że na drzewie są bomby - szepnęła do Nathana Carrera. - Nie wie, że dolina zostanie zniszczona.

— Musimy mu to jakoś wytłumaczyć - mruknął Nathan. - A ty i sierżant musicie przez ten czas nabierać do plecaków jak najwięcej orzechów.

— Orzechów?

— Wyjaśnię wam wszystko potem. Zróbcie, o co proszę... błagam...

Kiwnęła głową i odwróciła się.

- Ale pamiętajcie, chłopaki: TIK-TAK... - rzuciła na odchodnym.

Nathan popatrzył na Dakii. Jak miał mu uświadomić, że cały jego świat wkrótce zostanie zmieciony z powierzchni ziemi? Nie będzie to łatwe.

- Idźmy do korzenia - powtórzył.

Razem z profesorem szli po bokach Indianina i próbowali mu wytłumaczyć, jakie grozi im niebezpieczeństwo. Kiedy prawda wreszcie do niego dotarła, ogarnęło go takie przerażenie, że zaczął się potykać - jakby świadomość zbliżającego się końca była dla niego fizycznym ciężarem.

Doszli do końca tunelu, ostemplowanego mnóstwem niebieskich „rączek”. Niebo na zewnątrz nabrało miodowej barwy, co oznaczało, że niedługo zajdzie słońce. Kończył im się czas.

- Czy jest inne wyjście z doliny? - ponownie spytał Nathan.

Dakii wskazał lekko wklęsłą ścianę, gęsto pokrytą niebieskimi „rączkami”.

— Przez korzeń. Idziemy przez korzeń.

— Tak, chcę zobaczyć korzeń, ale pytam o drogę z doliny.

Dakki nie zrozumiał go.

— Przez korzeń - powtórzył.

Nathan uświadomił sobie, że Indianinowi „korzeń” i „droga” zlały się w jedno.

- Pokaż drogę.

Dakii podszedł do ściany, przyjrzał się „rączkom”, przyłożył do jednej z nich dłoń i pchnął. Ściana odwróciła się na niewidocznej osi, odsłaniając zejście w dół.

Nathan pojął, dlaczego kanały przepływu soku przebiegały w tym miejscu inaczej niż gdzie indziej. Sekretne wejście... Odpowiedź mieli przez cały czas przed nosem. Odciski dłoni - takie same jak na symbolu Ban-ali - chroniły reprezentującą korzeń podwójną helisę.

Anna wyjęła z kieszeni latarkę. Nathan pomacał się po kieszeniach, ale nie znalazł swojej - musiał ją zgubić. Anna podała mu własną i odsunęła się na bok, puszczając go przodem.

Podszedł do wejścia. Powietrze, które wypływało z dołu, było wilgotne i stęchłe, jakby wydobywało się z grobowca. Nathan wziął głęboki wdech i przeszedł przed odsłonięty otwór.

## Ostatnia godzina

GODZ. 19.01 DŻUNGLA  
AMAZOŃSKA

Kiedy grupa Louisa zatrzymała się na krótki odpoczynek, sprawdził zegarek. Do eksplozji, która miała zamienić górny płaskowyż w morze ognia, pozostała jeszcze godzina. Skupił się na leżącym przed nimi bagnie. Zachodzące słońce zamieniło powierzchnię wody w płachtę spatynowanego srebra.

Mieli doskonały czas. Po okrążeniu bagna i dotarciu na południowy brzeg, gdzie dżungla była najgęstsza, a rzeka dzieliła się na liczne odnogi, bez trudu umkną pościgowi. Nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości.

Westchnął zadowolony, choć w głębi serca był nieco rozczarowany. Od tego momentu było już tylko z górki. Po zakończonej sukcesem misji zawsze czuł się podobnie. Podejrzewał, że to coś w rodzaju ekwiwalentu depresji postkoitalnej. Wróci do Gujany Francuskiej znacznie bogatszy, ale za żadne pieniądze nie mógłby kupić podniecenia, jakie przeżywał podczas ostatnich dni.

- *C'est la vie* - mruknął. Jeszcze wiele misji przed nim.

Jego uwagę zwróciło małe zamieszanie.

Dwóch żołnierzy zmuszało Kelly do ukłęknięcia. Trzeci wił się dwa metry obok na ziemi, kłął i ścisnął dłońmi krocze.

Louis ruszył w ich kierunku, ubiegł go jednak Maska. Postawił jęczącego wartownika na nogi.

- Co się stało? - spytał Louis.

Maska wskazał żołnierza.

- Pedro wsadził jej łapę pod koszulę i kopnęła go w jaja.

Louis uśmiechnął się i położył dłoń na rękojeści pejcza. Był pod wrażeniem.

Podszedł do klęczącej Kelly. Jeden z żołnierzy trzymał ją mocno za włosy i odciągał jej głowę do tyłu, odsłaniając szyję. Szczęrzyła wściekle zęby na obrzucających ją wyzwiskami mężczyzn.

- Dajcie jej wstać - powiedział Louis.

Rozkaz został natychmiast wykonany. Louis uniósł brzeg kapelusza.

- Proszę wybaczyć nieodpowiednie zachowanie moich ludzi. Obiecuję, że to się już nie powtórzy.

Zebrawi się wokół nich pozostali żołnierze.

— Następnym razem wbiję mu jaja do brzucha - syknęła Kelly.

— Karanie należy do moich obowiązków. - Dotknął tkwiącego za pasem pejcza. Kilka godzin temu smagnął nim tę kobietę, teraz musiał przywołać do porządku swojego człowieka. Odwrócił się i machnął pejczem. Rozległ się głośny trzask. Pedro wrzasnął i zakrył dłonią lewe oko. Spomiędzy jego palców trysnęła krew.

Louis odwrócił się do swoich żołnierzy.

- Nikt nie będzie krzywdził więźniów, rozumiano?

Rozległy się potwierdzające pomruki.

Louis schował pejcz.

- Niech ktoś opatrzy temu popaprańcowi oko.

Kiedy odwrócił się do Kelly, zobaczył, że obok niej stoi Tshui, trzymając dłoń przy policzku Amerykanki.

Po chwili dostrzegł, że Indianka owinęła sobie wokół palca pasmo włosów Kelly.

No tak, pomyślał. Rude włosy. Nowe niezwykle trofeum do kolekcji.

GODZ. 19.05

Kiedy poświecili latarkami, stwierdzili, że tunel za ukrytymi drzwiami jest podobny do tego, który prowadził w górę, choć

jego ściany były znacznie mniej gładkie. Płynące z dołu powietrze miało gęsty i duszący zapach.

Wszyscy czworo ruszyli w dół. Przejście szybko się zwężyło, a zakręty zacieśniły, co zmusiło ich do zbiccia się w ciasną gromadkę.

— Musimy być w głównym korzeniu - stwierdził Nathan.

— Schodzimy pod ziemię - dodał Kouwe.

Nathan kiwnął głową. Po kilku zakrętach na przestrzeni paru metrów tunel wychodził z korzenia i pod ich stopami pojawiła się skała, przemieszana z plackami gliny.

Dakii wskazał przed siebie i szedł dalej.

Nathan wahał się przez chwilę. Ściany porastały przedziwne, lekko świecące mchy. Piżmowy zapach utrudniał oddychanie, a po chwili dołączył do niego fotor zgnilizny. Dakii nie zatrzymał się nawet na sekundę.

Nathan popatrzył na Kouwego, który wzruszył ramionami.

Po kilkunastu dalszych metrach biegnąca nad ich głowami jedna z głównych odnóg korzenia rozdzieliła się i poszczególne odgałęzienia podążyły własnymi korytarzami. Z góry zwisały niczym anielski włos drobne korzonki. Poruszały się rytmicznie, jakby w korytarzu wiał lekki wiatr - ale żadnego wiatru nie było.

Tunel zaczął się obniżać, co pierwszy zauważył Nathan, gdy musnął głową sufit. Drobne nitki korzeni wplątały mu się we włosy i zatrzymały go. Szarpnął głową w bok.

Poświecił w górę latarką.

- Co jest? - spytał Kouwe.

- Korzeń mnie złapał.

Kouwe uniósł rękę i cienkie jak nici korzonki natychmiast oplótły mu palce, jakby chciały je objąć pożądliwym uściskiem. Profesor skrzywił się i oderwał od nich dłoń.

W regionie Amazonii istnieje wiele roślin wrażliwych na bodźce: zwijające się pod dotykiem liście, torebki nasienne wybuchające po przeciągnięciu po nich palcem czy zamykające się po poruszeniu kwiaty - jednak te korzonki były znacznie bardziej „żywe”.

Nathan poświecił latarką w głąb tunelu. Dakii czekał na nich kilka metrów dalej. Nathan dał znak Kouwemu i Annie, aby do

niego dołączyli. Kiedy zrównał się z Dakii, zaczął przyglądać się korzeniom, rozchodzącym się we wszystkich kierunkach. W ścianach licznych korytarzy znajdowały się mniejsze i większe zagłębienia, wypełnione plątaniną korzeni i czegoś, co wyglądało jak falujące białe włosy. Tkwiły wśród nich małe grudki, które przypominały nieco spotykane na korzeniach wielu roślin pęcherzyki azotowe, służące jako zbiorniki nawozu.

Dakii zatrzymał się przed jednym z takich zagłębień. Nathan poświecił do jego wnętrza. Głęboko w masie splątanych korzeni, nitek i „włosów” coś było. Nathan przysunął się bliżej. Kilka drżących włosków natychmiast wyciągnęło się ku niemu.

Cofnął się.

W środku kokonu z korzeni, niczym w pajęczej sieci, leżał nietoperz *Megachiroptera*. Nathan wyprostował się z obrzydzeniem.

Kouwe również podszedł do zagłębienia.

— To drzewo żywi się nietoperzami?

— Nie sądzę - odparła Anna. - Popatrzcie na to...

Odwrócili się do niej. Klęczała przy znacznie większej wnęce, tak samo oplątanej drobniejszymi korzeniami. Wskazywała palcem w jej głąb.

Nathan poświecił do środka. Znajdował się tam wielki brązowy kot.

— Puma... - mruknął Kouwe.

— Patrzcie! - zawołała nagle Anna.

Wyteżyli wzrok, nie wiedząc, czego się spodziewać. Po chwili wielki kot poruszył się, a jego klatka piersiowa uniosła się i zapadła. Jednak ten ruch nie wyglądał naturalnie, bardziej przypominał mechaniczne oddychanie za pomocą sztucznego płuca.

— To zwierzę żyje - oświadczyła Anna.

— Nic z tego nie rozumiem - stwierdził Nathan.

— Mogę poprosić o latarkę? - spytała Anna. Poświeciła do kilkunastu kolejnych wnęk, zarówno w ich korytarzu, jak i w kilku bocznych. Różnorodność gatunków w kokonach była ogromna - znalazła ocelota, tukana, marmozeta, kilka tamaryn, mrówkojada, różne węże i jaszczurki,

a nawet pstrąga dżunglowego. Każde zwierzę oddychało albo okazywało inne oznaki życia - skrzela ryby również lekko dygotały.

— Każdy egzemplarz to unikat - powiedziała Anna z błyszczącymi oczami. - Każde z tych zwierząt żyje. Wszystkie wyglądają jak zahibernowane.

— Do czego zmierzasz?

— Znajdujemy się w magazynie biologicznym - oznajmiła Anna. - W bibliotece genotypów. Prawdopodobnie właśnie tutaj ma początek produkcja prionów.

Nathan powoli obrócił się wokół własnej osi. Implikacja tego stwierdzenia była porażająca. Drzewo magazynowało w swoich korzeniach wszelkie możliwe gatunki, poznając kod genetyczny każdego z nich i dzięki temu dowiadując się, jak powinny wyglądać priony, które zmieniłyby określone gatunki w taki sposób, aby je z nim związać. Było to żywe, oddychające laboratorium genetyczne.

Kouwe chwycił Nathana za ramię.

- Twój ojciec!

Nathan popatrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

- O co ci chodzi?

Kiedy zrozumiał, co chce zasugerować profesor, jęknął. Jego ojciec został oddany korzeniowi nie jako nawóz, ale jako królik doświadczalny!

- Ze swoją białą skórą i wykształceniem twój ojciec był wyjątkowym egzemplarzem - stwierdził Kouwe. - Ban-ali i drzewo Yagga nie chcieli stracić jego genetycznego dziedzictwa.

Nathan odwrócił się do Dakii.

- Mój... mój ojciec - powiedział z trudem. - Wiesz, gdzie on jest?

Dakii kiwnął głową i rozpostarł ramiona.

— On razem z korzeń.

— Tak, ale gdzie dokładnie? - Nathan wskazał na jedną z wnęk. - W której?

Dakii zmarszczył czoło i rozejrzał się. Nathan wstrzymał oddech. Wokół musiały być setki korytarzy i tysiące zagłębień w ścianach. Nie mieli czasu prze-

szukiwać wszystkich, nie mógł jednak stąd odejść, wiedząc, że gdzieś tu na dole jest jego ojciec.

Po chwili Dakii ruszył przed siebie jednym z korytarzy i dał znak, aby szli za nim.

Zagłębiali się coraz bardziej w podziemny labirynt. Coraz trudniej im się oddychało - nie tylko dlatego, że piżmowy zapach coraz bardziej się nasilał, ale także dlatego, że ich gardła ścisnął strach. Nathan już dawno stracił nadzieję, że ojciec żyje, ale teraz znowu był rozdarty między nadzieją a rozpaczą, napięcie pchało go na skraj paniki. Co znajdują?

Dakii zatrzymał się przed jednym ze skrzyżowań, a potem zdecydowanie skręcił w lewo. Jednak po dwóch długich krokach pokręcił głową, zawrócił i skręcił w prawo.

Nathan czuł, że w jego piersiach wzbiera krzyk.

Dakii szedł, mamrocząc coś pod nosem. W końcu stanął przed dużą wnęką i wskazał palcem jej wnętrze.

- Ojciec - powiedział.

Nathan wziął od Anny latarkę, opadł na kolana i poświecił do środka. Nie zauważył nawet, że cienkie korzonki natychmiast oplotły mu nadgarstek.

W kokonie leżała ciemna postać. Nathan powiódł po niej latarką. Na miękkim glinianym podłożu leżał nagi mężczyzna, skulony w pozycji embrionalnej. Jego twarz pokrywał gęsty zarost, włosy splątały się z korzeniami. Nathan próbował zobaczyć, co kryje się pod brodą. Nie miał pewności, czy to jego ojciec.

Nagle mężczyzna głęboko wciągnął powietrze. Żył!

— Musimy go stąd wydobyć - oświadczył Nathan.

— To twój ojciec? - spytała Anna.

— Nie... jestem pewien - odparł Nathan.

Wskazał na tkwiący za paskiem spodni Kouwego kościany nóż. Kiedy profesor mu go podał, zaczął ciąć korzenie.

Dakii zawył przeraźliwie i wyciągnął dłoń, aby powstrzymać świętokradztwo, ale Kouwe podniósł dłoń.

- Nie, Dakii! Niech *wishwa* robi, co chce.

Nathan przebił się przez zewnętrzną warstwę kokonu. Okazała się twarda jak łupina orzecha. Warstwa pod spodem była



znacznie delikatniejsza, korzonki i nici nie były jeszcze zdrewniałe.

Wiele korzeni wnikało w ciało człowieka, jakby był ziemią uprawną. Drzewo Yagga właśnie w ten sposób musiało utrzymywać swoje „króliki doświadczalne” przy życiu - podtrzymywało funkcjonowanie ich narządów i dostarczało związków odżywczych.

Nathan zawahał się. Czy odcinając korzenie, nie zaszkodzi temu człowiekowi, nie zabije go? Jeżeli rzeczywiście mieli tu do czynienia ze sztucznym podtrzymywaniem funkcji życiowych, to czy przerwanie dopływu z zewnątrz niezbędnych do życia składników nie spowoduje niewydolności narządów?

Pokręcił głową i zaczął ciąć. Postanowił zaryzykować. Gdyby pozostawili tu tego mężczyznę, i tak niedługo by się spalił.

Uwolniwszy ciało od włosowatych korzeni, Nathan odłożył nóż, złapał nagą postać za ramiona i wyciągnął ją na korytarz. Pękły ostatnie korzenie, wypuszczając swój łup.

Nathan bez sił opadł obok. Mężczyzna zaczął kaszleć i łapczywie chwytać powietrze. Od jego ciała odpadały drobne korzonki, odrywały się niczym wszy. Z kilku miejsc, w których jeszcze przed chwilą tkwiły większe korzenie, pociekła krew. Nagle mężczyzna dostał drgawek: jego mięśnie się skurczyły, plecy wygięły w łuk, a głowa odchyliła się do tyłu.

Nathan nie wiedział, co robić, więc tylko objął go i trzymał mocno. Drgawki trwały przez całą minutę. Kouwe pomagał przyjacielowi przytrzymywać mężczyznę, aby nie zrobił sobie krzywdy.

W końcu ciało drgnęło po raz ostatni i bezwładnie opadło na ziemię.

Nathan odetchnął z ulgą, bo pierś leżącego unosiła się i opadała w regularnym oddechu. Po chwili jego powieki zatrzepotały i nagi człowiek otworzył oczy. Nathan rozpoznał w nich swoje własne oczy.

— Nate? - spytał mężczyzna cichym, chrapliwym głosem.

— Tato!

— Czy... czy ja śnię?

Nathan nie był w stanie wykrztusić ani jednego słowa. Pomógł ojcu usiąść - jego ciało było lekkie jak garść piór, składało się z samej skóry i kości.

Kouwe pochylił się nad Randem seniorem.

- Jak się czujesz?

Carl Rand popatrzył na profesora i dopiero po dłuższej chwili wyraz jego twarzy powiedział im, że go rozpoznał.

— Kouwe? Boże, co się dzieje?

— To długa historia, przyjacielu... - odparł Kouwe i pomógł Nathanowi postawić ojca na nogi. Carl był zbyt słaby, aby móc stać samodzielnie, musiał wesprzeć się na stojących po obu stronach mężczyznach. - Teraz trzeba się stąd jak najszybciej wydostać.

Nathan wpatrywał się w ojca, po jego policzkach spływały łzy.

— Tato...

— Tak, synu - wychrypiał Carl i zakaszłał.

Nie było czasu na rodzinne czułości, ale Nathan nie zamierzał powtórzyć błędu, który popełnił w dniu, kiedy ojciec wyruszał na swoją ostatnią ekspedycję.

- Kocham cię, tato.

Ramię wokół jego barku zacisnęło się mocniej na znak, że Carl Rand czuje do niego to samo.

— Powinniśmy dołączyć do pozostałych - ponagliła ich Anna. - I wiać stąd, gdzie pieprz rośnie.

— Nate, może zostać tutaj z ojcem - zaproponował Kouwe.

- Odpoczniecie, a potem dołączycie do nas, kiedy przeprowadzimy resztę.

Dakii pokręcił głową.

— Nie. Nie będziemy tu iść. - Machnął ręką. - Wyjście inna droga.

— Sądzę, że powinniśmy trzymać się razem - stwierdził Nathan.

— Poradzę sobie - powiedział ciągle jeszcze słabym głosem Carl. Popatrzył na wnękę, z której go wyciągnięto. - Wystarczająco długo odpoczywałem.

Powoli ruszyli na górę. Po drodze profesor przedstawił Carlowi w skrócie ich sytuację. Ojciec Nathana słuchał w mil-

czeniu, odezwał się jedynie wtedy, gdy Kouwe opowiedział o ataku najemników Louisa Favre'a.

- Cholerny drań...

Nathan uśmiechnął się, bo w głosie ojca dała się wreszcie słyszeć odrobina dawnego ognia.

Kiedy dotarli na powierzchnię, okazało się, że dwójka rangersów nie zasypiała gruszek w popiele - ich plecaki były pełne orzechów.

Nathan został z ojcem w wejściu do drzewa, a Kouwe opowiedział pozostałym o nowym członku grupy i o tym, co znaleźli pod ziemią.

— Dakii twierdzi, że można uciec z doliny przez korzeń - dodał na koniec.

— W takim razie pospieszmy się - odparł Kostos. - Mamy niecałe pół godziny, a im dalej stąd się znajdziemy, tym lepiej.

— Jesteśmy gotowi do wymarszu - oświadczyła Carrera. - Mamy dwadzieścia pięć orzechów i cztery pojemniki soku.

— No to zmiatajmy stąd - zarządził Kostos.

#### GODZ. 19.32

Kiedy schodzili tunelem w korzeniu, Kouwe szedł obok Dakii i od czasu do czasu spoglądał za siebie, na amerykańsko-indiański rząd ukiekinierów. Kostos i Nathan pomagali iść Carlowi. Przydałyby się nosze, niestety liczyła się każda minuta.

Choć Kostos uważał, że podziemne korytarze ochronią ich przed główną falą uderzeniową i ogniem, obawiał się, czy system tuneli się nie zawali.

- Skała jest osłabiona przez erozyjne działanie korzeni. Wybuch może spowodować, że wszystko spadnie nam na głowy albo jakiś zawał zablokuje drogę. Dlatego musimy wyjść z tych tuneli przed wybuchem.

Maszerowali więc tak szybko, jak tylko mogli. Musieli ratować nie tylko własne życie, ale także świat. W plecakach nieśli ratunek dla tysięcy - jeśli nie milionów - ludzi.

Nie mogli dać się uwieźć pod ziemią.

Kouwe co chwila oglądał się za siebie. Ciemne tunele, lekko świecące porosty na ścianach, nisze w ścianach z uwiecznionymi w nich zwierzętami... wszystko to działało mu na nerwy. Na tej głębokości korzenie były wszędzie - pokrywały ściany i sufity tuneli, krzyżowały się, rozdzielały i znowu splatały. Kłęby cieniutkich korzonków falowały i wysuwały się w kierunku każdego, kto je mijał, a pokryte nimi ściany wyglądały jak nieustannie poruszające się futro.

Nie tylko Kouwe był zaniepokojony - nie mniej zdenerwowani byli Indianie. Pochód ludzki zamykała Carrera, za którą szły oba jaguary. Nakłonienie ich do zejścia pod ziemię nie było łatwe, ale Nathanowi jakoś udało się namówić do tego Tor-tora, więc to samo zrobiła wielka czarna samica.

- Nie zamierzam pozwolić zginąć wychowankowi Man ny'ego - wyjaśnił pozostałym. - Muszę go chronić. Przynajmniej tyle jestem winien mojemu przyjacielowi.

Carrera przez cały czas była maksymalnie skoncentrowana i trzymała broń w pogotowiu. Nie była pewna, czy jaguary nie zechcą przekąsić czegoś w trakcie marszu.

Dakii zatrzymał się na skrzyżowaniu tuneli. Kosz mruknął pod nosem, że powinni iść szybciej, ale musieli dostosować się do swojego przewodnika.

W końcu Indianin wybrał drogę i ponownie ruszyli. Tunel opadał ostro. Musieli być setki metrów pod ziemią i schodzili coraz głębiej, ale powietrze, zamiast gęstnieć, robiło się coraz świeższe.

Po kilku minutach tunel zaczął biec poziomo, ostro zakręcił i wyszedł na wielką jaskinię, mniej więcej w połowie jej wysokości. Wzdłuż ściany biegł wąski występ. Dakii bez wahania wszedł na niego.

Kouwe ruszył jako drugi. Jaskinia była ogromna. Musiała mieć jakieś osiemset metrów szerokości, a w samym jej środku tkwił gigantyczny fragment korzenia - miał średnicę pnia dorosłej sekwoi, wychodził z sufitu i znikał w podłodze.

- To chyba znowu korzeń palowy drzewa - powiedział Nathan. - Musieliśmy zatoczyć koło i wrócić do niego.

Z głównej odnogi korzenia wyrastały odgałęzienia, które

rozchodziły się na wszystkie strony, znikając w licznych tunelach.

— Pewnie są tu całe kilometry tuneli - stwierdził Kouwe. Przyjrzał się korzeniowi palowemu. Gigantyczny pień musiał stanowić jedynie nieznaczną część całkowitej masy rośliny. - Wyobrażasz sobie, ile tu na dole jest gatunków zawieszonych w czasie?

— Drzewo musi je zbierać od wieków - powiedział Carl.

— Albo nawet dłużej. Może zaczęło to robić już w chwili, gdy rozpoczęło się formowanie tego kontynentu?

— Czyli w paleozoiku... - mruknął Nathan. - A jeśli tak, to co znajduje się w jego głównym magazynie?

- I jakie gatunki mogą tu jeszcze żyć? - dodała Anna.

Była to jednocześnie zdumiewająca i przerażająca myśl. Nie mieli jednak czasu na tego rodzaju rozważania, więc Kouwe dał znak Dakii, aby szedł dalej.

Sunęli ostrożnie po skalnym występie, który otaczał całą jaskinię. Dakii po kilkudziesięciu metrach wszedł w kolejny tunel w ścianie. Kouwe zwolnił, aby zrównać się z Nathanem i Carlem.

— Kiedy studiowałem antropologię, natrafiłem na wiele mitów o drzewach - powiedział. - Mówi się w nich o Strażniku-Matce, o opiekunie, o skarbnicy wszelkiej wiedzy. Próbuję właśnie w ten sposób myśleć o Yagga. Czy człowiek kiedykolwiek natknął się na to drzewo?

— Co masz na myśli? - spytał Nathan.

— Na pewno w przeszłości było więcej drzew tego gatunku. Może te mity to zbiorowa pamięć kontaktów ludzi z nimi? - Zauważył powątpiewanie w oczach Nathana, doszedł więc do wniosku, że musi wyjaśnić to bliżej. - Weźmy na przykład drzewo poznania z Edenu. Drzewo, którego owoce zawierają wszelką wiedzę tego świata, ale ich zjedzenie powoduje śmierć\*. Widać tu wyraźną analogię do drzewa Yagga. A kiedy ujrzałem Carla oplątanego przez korzenie, przypomniała mi się inna biblijna opowieść. W trzynastym wieku pewien mnich opowiedział, że miał wizję, w której zobaczył, jak syn Adama,

\* Patrz Księga Rodzaju 1,9 oraz 1,17.

Set, wrócił do rajskiego ogrodu. Tam ujrzał drzewo poznania, które zrobiło się białe. W jego korzeniach tkwił Kain, a niektóre z mniejszych korzeni wnikały w jego ciało... - Popatrzył na Nathana i dodał: - Paralele wydają się dość oczywiste, prawda?

Nathan zmarszczył czoło i przez chwilę zastanawiał się nad jego słowami.

— Może rzeczywiście coś w tym jest - mruknął w końcu. - Tunel w pniu Yagga nie został wykonany przez człowieka, ale powstał w sposób naturalny, co musiało nastąpić podczas rośnięcia drzewa. Czemu jednak drzewo miałooby coś takiego wykształcać, jeżeli jego poprzednicy nie mieli kontaktu z ludźmi?

— Po prostu przystosowało się, podobnie jak drzewo mrówkowe przystosowało się do swoich sześcionogich żołnierzy - dodał Kouwe.

— Pomyślcie też o genetycznym udoskonalaniu Ban-ali - wtrącił Carl. - Czy kiedykolwiek przedtem dochodziło do podobnych modyfikacji? Czy jakieś drzewa mogły odegrać decydującą rolę w ewolucji ludzkości? Może dlatego utrwaliliśmy je w naszych mitach?

Kouwe przygryzł wargę. Aż tak daleko się nie zapuszczał. Popatrzył na koniec wężyka ludzi, na którym szły koty. Jeżeli drzewo Yagga potrafiło „poprawić” jaguara, czy mogłoby w przyszłości zrobić to samo z ludźmi? Sama myśl o tym mroziła krew w żyłach.

Zapadła ciężka cisza.

Kouwe rekonstruował w myślach historię doliny Ban-ali. Yagga musiało przez wieki zbierać w swoim podziemnym „magazynie” okazy rozmaitych gatunków: zwabiało je zapachem, oferowało im schronienie, a potem je chwytalo i przechowywało we wnękach. W którymś momencie w dolinie pojawił się człowiek - koczownicze plemię Indian Yanomami - i odkrył system tuneli oraz cudowne własności soku. Indianie zostali pojmani i po jakimś czasie drzewo zamieniło ich w dzisiejszych Ban-ali - swoich niewolników i służących. Ban-ali zaczęli dostarczać drzewu egzemplarze kolejnych gatunków istot żywych i umieszczać je w jego korzeniach, aby mogło powiększać swoją bazę danych biologicznych.

Do czego mogłoby to doprowadzić, gdyby ten proceder trwał dalej? Do powstania nowego gatunku człowieka, jak obawiał się Carl po urodzeniu przez kobietę Geralda Clarka martwego dziecka? A może do powstania czegoś jeszcze gorszego - agresywnej hybrydy podobnej do żabopiranii czy mięsożernej szarańczy, z którymi mieli do czynienia?

Poczuł nagle ulgę, że to wszystko zostanie spalone.

Idący z przodu Dakii krzyknął coś i wskazał boczny tunel. Widać w nim było małe światełko. Słyszeli też stłumiony grzmot.

- Wyście - powiedział do swoich towarzyszy Kouwe.

GODZ. 19.49

Nathan i Carl przyspieszyli.

Sierżant Kostos biegł i jednocześnie odliczał minuty do wybuchu.

Będzie blisko...

Pędzili jak szaleni w kierunku widocznego z przodu światła księżyca. Przypominający grzmot odgłos nasilał się, a kiedy wyszli zza następnego zakrętu, ujrzeni źródło huk.

Zaraz za wylotem tunelu znajdował się wodospad. Strumienie wody jarzyły się w świetle księżyca i gwiazd.

- Ten tunel musi wychodzić ze skalnej ściany, schodzącej do niższej doliny - stwierdził Kouwe.

Podeszli za Dakii do wyjścia. Za jego krawędzią dudniła spadająca z wysoka woda. Indianin wskazał w dół. W wąskiej przestrzeni między wylotem tunelu i wodnym płaszczem wykuto w skale wąskie schodki, schodzące zakolami do dolnej doliny.

- Głowy na dół! - zakomenderował sierżant. - Schodźcie szybko, ale kiedy krzyknę, wszyscy padają i mocno się łapią!

Dakii pozostał przy Kostosie, aby poprowadzić swoich współplemieńców.

Kouwe pomagał Nathanowi prowadzić ojca. Zsuwali się po schodach najszybciej jak mogli, próbując jednocześnie nie spaść.

Kostos machnął na Carrerę, aby schodziła pierwsza, po czym pospieszył za nią.

Za sierżantem pojawiły się jaguary, bardzo zadowolone, że wreszcie wyszły na otwartą przestrzeń. Nathan chętnie pożyczłby od nich pazury.

- Jeszcze minuta - wysapał profesor, ślaniając się pod ciężarem Carla.

Nie mieli szansy zdążyć dotrzeć do samego dołu. Dzieliły ich jeszcze od niego jakieś cztery piętra. Kto spadnie ze schodów, zginie.

Przez ryk wody przebił się głośny krzyk Kostosa:

- Teraz! Na ziemię! Na ziemię!

Nathan położył ojca na schodach i spojrzął za siebie - wszyscy przyłgnęli do mokrego kamienia. Szybko poszedł w ich ślady i zaczął się modlić.

Nie było głośnego huku - poziom hałasu nie przekraczał odgłosu wybuchów fajerwerków na Czwartego Lipca - ale efekt był piorunujący.

Zza górnej krawędzi płaskowyżu wystrzeliła ściana ognia o szerokości pięciuset metrów. Na wysokość miała trzy razy tyle. Powietrze zawirowało, szarpiąc przyciśniętych do skały ludzi. Pomiędzy strumieniami powietrza przelatywały jęzory ognia. Gdyby nie osłona wodnej płachty wodospadu, wszyscy zostaliby zmieceni z kamiennych schodów w przepaść. Zalała ich woda, ale udało im się utrzymać.

Po chwili przez krawędź zaczęły spadać fragmenty wysadzonego płaskowyżu. Na szczęście także i teraz osłona szybko spadającej wody sprawiła, że kawały pni i gałęzie omijały ludzi, choć widok przelatujących tuż obok połamanych drzew był przerażający.

- Idziemy dalej, ale uważać na spadające śmieci! - za wołał Kostos, kiedy fala gorąca odplynęła.

Nathan wstał na czworakach. Pozostali - jeszcze lekko oszołomieni - również zaczęli się podnosić. Udało im się! Nathan chwycił ojca za rękę.

- Chodź, tato. Spadajmy stąd.

W tym samym momencie poczuł drżenie ziemi. Jasna cholera...



Rzucił się na ojca, by przykryć go własnym ciałem.

- Na ziemię! - wrzasnął. - Wszyscy padnij!

Drugi wybuch był tak ogłuszający i potężny, że Nathan się obawiał, iż cała skalna ściana spadnie im na głowy.

Ze znajdującego się kilkanaście metrów nad nimi wylotu tunelu wystrzelił jęzor ognia i wbił się w wodospad. Na ludzi spadła chmura gorącej jak wrzątek pary wodnej.

Z tunelu wystrzelił drugi jęzor ognia i zaraz potem trzeci. Z mniejszych pęknięć w skalnej ścianie również wydobywały się płomienie - były ich setki. Wszystkie miały upiorny niebieskawy kolor.

Ziemia wciąż drgała i dudniła.

Nathan przez cały czas chronił ojca.

Zza krawędzi skalnej ściany wypryskiwały głązy i chmury ziemi. Obok ludzi przelatywały niczym rakiety całe drzewa i z hukiem spadały do niższej doliny.

Powoli również i to inferno zaczęło się uspokajać.

Nikt się nie ruszał, czekali, aż pospadają także mniejsze kamienie. Wodospad znowu ich chronił - odrzucał większość śmieci, a te, którym udało się przebić przez płachtę wody, leciały już znacznie wolniej i nie były takie groźne.

Po kilku minutach Nathan uniósł głowę, aby ocenić straty.

Kouwe leżał jeden stopień nad jego ojcem i wyglądał, jakby za chwilę miał zemdleć. Z rozpaczą popatrzył na Nathana.

— Anna... kiedy zawałałeś... nie zdążyłem... nie udało mi się jej złapać. - Jego spojrzenie powędrowało w dół. - Spadła.

— O Boże...

Wokół słyhać było jęki. Nathan ukląkł. Ojciec zakaszłał i przetoczył się na bok. Jego twarz miała barwę popiołu.

Po jakimś czasie udało im się zejść na dół. Byli poobijani, pokrwawieni i zszokowani.

Zebrali się przy wodospadzie, w chłodnej wodnej mgiełce. Kiedy się policzyli, okazało się, że razem z Anną spadło trzech Indian Ban-ali.

- Skąd ta druga eksplozja? - spytał Kostos.

Nathan przypomniał sobie dziwną błękitną barwę płomieni. Poprosił o jeden ze zbiorników z sokiem Yagga, wylał trochę na ziemię i zapalił. W górę wystrzelił niebieskawy płomień.

— To coś w rodzaju copalu. Całe drzewo zapaliło się jak raca. Sądząc po wstrząsie ziemi, spłonęło wszystko, co było nad ziemią i pod nią.

— Co teraz? - spytała Carrera.

— Ten drań Favre zapłaci nam jeszcze za śmierć Manny'ego, Olina, Anny i ludzi Ban-ali - syknął Nathan.

— Mają broń, a nam pozostał tylko bailey - stwierdził Kostos. - Poza tym jest ich dwa razy więcej niż nas.

— My za to mamy kartę, która przebija każdą inną- odparł Nathan.

— To znaczy?

— Są przekonani, że nie żyjemy.

## Nocny atak

GODZ. 23.48 DŻUNGLA  
AMAZOŃSKA

Kelly czuła, że od płaczu pieką ją oczy. Z powodu związanych rąk nawet nie mogła otrzeć łez. Była przywiązana do wbitego w ziemię palika pod daszkiem z liści palmowych, który osłaniał ją przed deszczem. Kiedy zapadła noc, na niebie pojawiły się chmury, co bardzo odpowiadało najemnikom.

- Im ciemniej, tym lepiej - stwierdził Favre.

Poruszali się bardzo szybko i wkrótce znaleźli się w gęstej dżungli na południe od bagna.

Choć wokół było ciemno, niebo na północy jarzyło się wściekłą czerwienią - jakby próbowało tam wzejść słońce. Rozświetlające noc eksplozje były niesamowite - najpierw w niebo wystrzeliwały kule ognia, a potem we wszystkie strony zaczęły rozpryskiwać się gejzery płonących szczątków.

Widok ten odebrał Kelly resztki nadziei. Wszyscy jej towarzysze zginęli.

Favre narzucił ostre tempo - spodziewał się, że lada chwila na miejsce wybuchu zaczną zlatywać się rządowe helikoptery. Jednak na razie niebo było czyste, z oddali nie dochodził charakterystyczny łoskot łopat wirników wojskowych maszyn. Favre nieustannie spoglądał w górę, ale nic niepokojącego się nie pojawiało.

Może sygnał Olina nie został odebrany. Może helikoptery ciągle jeszcze były w drodze.

Tak czy siak, Favre nie zamierzał ryzykować. Nie zapalali latarek, poruszali się w goglach noktowizyjnych. Kelly ich oczywiście nie dostała, więc jej łydki były całe poranione od upadków i nadziewania się na kolczaste gałęzie. Ponieważ nie mogła amortyzować upadków rękami, każde potknięcie kończyło się kolejnym skaleczeniem. Krew na jej nogach zwabiała moskity i muchy, które latały nad nią jak nad padliną. Nie mogła ich nawet odgonić.

Deszcz przyniósł jej ulgę, a trwająca godzinę przerwa w marszu pozwoliła odpocząć. Kelly popatrzyła na wciąż jarzące się północne niebo, modląc się, by jej przyjaciele nie cierpieli.

Banda najemników świętowała zwycięstwo. Wokół krążyły butelki alkoholu, mężczyźni wznosili toasty i opowiadali sobie, na co wydadzą zarobione pieniądze - na pierwszym miejscu planowanych wydatków były oczywiście prostytutki. Favre krążył między swoimi ludźmi - pozwalał im świętować, ale jednocześnie pilnował, aby sprawy nie wymknęły się spod kontroli. Do miejsca, w którym czekały na nich motorówki, było jeszcze wiele kilometrów.

Tak więc Kelly miała chwilę spokoju. Frank leżał pod drugim prowizorycznym daszkiem, ustawionym pośrodku obozu. Pilnował go tylko jeden strażnik - porucznik z poparzoną twarzą o imieniu Maska. Stał teraz z jeszcze jednym najemnikiem i popijali we dwóch z jednej flaszki.

Z mżawki wychynęła jakaś ciemna postać. Była to indiańska kochanka Favre'a, Tshui. Sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie zauważała deszczu; w dalszym ciągu była całkowicie naga, ale przynajmniej nie miała na szyi spreparowanej głowy kaprała DeMartiniego.

Kelly pomyślała gorzko, że prawdopodobnie zdjęła ją, aby nie zaszkoziła jej wilgoć.

Kiedy Indianka podeszła bliżej, kompan Maski pośpiesznie odszedł. Zachowywała się tak większość najemników, gdy się zjawiała. Najwyraźniej panicznie się jej bali. Nawet Maska odsunął się kilka kroków i schował pod pobliską palmą.

Indianka uklękła obok Kelly. W rękę trzymała mały plecak. Postawiła go na ziemi i zaczęła w nim grzebać. Po chwili wyciągnęła mały gliniany słoiczek i zdjęła z niego pokrywkę.

W środku znajdowała się gęsta pasta. Indianka nabrała trochę pasty na palec i wyciągnęła go w stronę zakładniczki.

Kelly odsunęła się.

Indianka złapała ją za kostkę. Miała chwyt jak imadło. Nasmarowała pastą poranione kolano Kelly. Pieczenie i ból natychmiast niemal całkowicie ustąpiły. Kelly przestała walczyć i pozwoliła się opatrywać.

- Dziękuję - powiedziała, choć przypuszczała, że miało to służyć jedynie temu, aby szybciej szła. Tak czy owak, poczuła ulgę.

Indianka ponownie sięgnęła do plecaka, wyjęła z niego kawałek zwiniętego płótna i starannie rozłożyła go na mokrej ziemi. W małych kieszonkach znajdowały się narzędzia z nierdzewnej stali i kości. Wybrała nóż o długim, zakrzywionym ostrzu i pochyliła się nad Kelly.

Kelly ponownie się cofnęła, ale Indianka złapała ją za włosy na karku i odchyliła jej głowę do tyłu. Była bardzo silna.

- Co robisz? - zapytała Kelly.

Tshui nic na to nie odpowiedziała. Przystawiła nóż do skraju włosów nad czołem zakładniczki, po czym schowała go i wyjęła inny, który także przystawiła do skóry nad czołem.

Kelly z przerażeniem pojęła, o co chodzi. Indianka sprawdziła, który nóż najlepiej będzie się nadawał do jej oskalpowania. Po chwili zaczęła wyjmować inne narzędzia i przystawiać je do podbródka, policzków i nosa Kelly.

Poukładała swoje instrumenty na ziemi, jeden za drugim, tuż obok swojego kolana. Długie noże, ostre kolce, poskręcane jak korkociąg kawałki kości.

Ktoś obok nich chrząknął, by zwrócić na siebie uwagę.

Głowa zakładniczki została oswobodzona. Kelly zaczęła kopać wokół siebie, aby odsunąć się jak najdalej od indiańskiej wiedźmy. Trafione stopą narzędzia pofrunęły w powietrze.

- Widzę, że Tshui starała się panią zabawić, *mademoiselle* O'Brien - powiedział Favre. - Próbowałem wydobyć z pani brata informacje dotyczące CIA, które pomogłyby nam dokończyć tę operację i przeprowadzić następne. To bardzo ważne

dla nas informacje i nie sędzę, aby St. Savin miało do mnie żal o to, że próbuję je uzyskać od ich pacjenta. Nie mogę jednak zrobić Frankowi żadnej krzywdy. Nie spodobałoby się to moim pracodawcom. Zapłacą jedynie za dostarczenie zdrowego królika doświadczalnego. - Ukląkł obok Kelly. - Ale ty, moja droga, to coś całkiem innego. Obawiam się, że będę musiał dać twojemu bratu mały pokaz umiejętności Tshui. Nie krępuj się, pozwól Frankowi posłuchać swoich krzyków. Kiedy Tshui da mu za kilka minut twoje ucho, jestem pewien, że będzie znacznie bardziej skłonny do współpracy. - Wstał. - Musisz mi jednak wybaczyć... nie lubię przyglądać się takim rzeczom.

Skłonił się lekko i odszedł w deszcz.

Kelly zastygła krew w żyłach. Nie pozostało jej zbyt wiele czasu. W palcach ścisnęła mały nożyk. Udało jej się podnieść go przed chwilą z ziemi - kiedy narzędzia Tshui rozsypały się po jej kopnięciu. Zaczęła przecinać więzy na skrępowanych za plecami rękach.

Indianka ponownie pogrzebała w plecaku i wyjęła materiały opatrunkowe - aby zatamować krew po obcięciu Kelly ucha. Bez wątplenia będą ją torturować, dopóki Frank nie powie im wszystkiego, co wie. Potem pozbędą się jej jak niepotrzebnego bagażu.

Nie zamierzała na to pozwolić. Szybka śmierć z pewnością będzie lepsza od tego, co dla niej szykują. Frankowi raczej nic złego się nie stanie - przynajmniej do chwili, aż Favre odda go w ręce naukowców z St. Savin.

Przecinała więzy i aby ukryć, co robi, szarpała się i jęczała.

Podeszła do niej Tshui - z zakrzywionym nożem w dłoni.

Sznur ciągle jeszcze krępował ręce Kelly.

Indianka pochyliła się i znowu złapała ją za włosy. Odchyliła głowę swojej ofiary i uniosła nóż.

Kelly walczyła rozpaczliwie. Z jej oczu płynęły łzy.

Nagle nocną ciszę przeszły mrozące krew w żyłach przenikliwe, przepełnione wściekłością kocie wycie.

Tshui zamarła z uniesionym nożem, który miał za chwilę dotknąć ucha Kelly. Pochyliła głowę i popatrzyła na ciemny las.

Kelly nie mogła stracić tej okazji. Szarpnęła ramionami i rozerwała ostatnie włókna krępującego ją sznura.

Kiedy Indianka ponownie się do niej odwracała, Kelly zamachnęła się i wbiła nóż w jej ramię. Tshui wrzasnęła i odskoczyła do tyłu.

Kelly poderwała się i wykorzystując całą adrenalinę, jaka natychmiast zaczęła krążyć w jej żyłach, popędziła w stronę lasu. Jednak zanim udało jej się w nim ukryć, zderzyła się z postacią, która wyszła zza drzewa.

Złapały ją czyjeś silne ramiona. Zobaczyła przed sobą poparzoną twarz Maski. W panice zupełnie zapomniała o pilnującym Franka strażniku. Zaczęła się szarpać, ale nie miała żadnej broni. Najemnik obrócił ją jedną ręką, a drugą złapał za gardło. Choć kopała jak wściekła, bez trudu zaniósł ją z powrotem na polanę.

Tshui klęczała na jednym kolanie i bandażami, które były przeznaczone dla Kelly, opatrywała sobie ramię. Patrzyła na swoją niedoszłą ofiarę wzrokiem, który mógł zabić.

Kelly przestała się szarpać.

W tym momencie stało się coś dziwnego: Maska drgnął gwałtownie i puścił Kelly. Nie spodziewając się tego, upadła na kolana. Kiedy się odwróciła, ujrzała, że mężczyzna przewraca się twarzą do przodu na ziemię.

W jego potylicy tkwiło coś migoczącego metalicznie.

Błyszcząca stalowa tarcza.

Kelly natychmiast ją rozpoznała i zaczęła wpatrywać się w las. Ze wszystkich stron buchnęły wrzaski. Stojący najemnicy osuwali się na ziemię, siedzący przewracali się i nieruchomiel na trawie. W ich klatkach piersiowych i szyjach tkwiły pierzaste strzały. Kilka ciał podrygiwało konwulsyjnie. Trucizna.

Kelly ponownie popatrzyła na ciało Maski i tkwiącą w jego czaszce srebrną tarczę.

Poczuła przyływ nadziei.

Boże... jej towarzysze musieli przeżyć!

Kiedy się rozejrzała, stwierdziła, że Tshui zniknęła. Prawdopodobnie pobiegła do Favre'a - tam, gdzie więziono Franka. W obozie zapanował chaos. Strzelano, wykrzykiwano komendy, jednak żaden z atakujących się nie pokazał.

Wyglądało to tak, jakby atakowały ich duchy.

Padali kolejni najemnicy.

Kelly zabrała martwemu porucznikowi pistolet. Obawiając się o życie Franka, pobięła do centrum obozu.

Nathan zobaczył Kelly, kiedy zaczęła biec. Domyślił się, że chce dotrzeć do brata. Nie mogli dłużej czekać. Dał znak Carrerze. Rozległ się ostry gwizd i z gardeł otaczających obóz Indian wydobyło się bojowe wycie. Było przerażające.

Nathan ruszył do przodu.

Wszyscy byli pomalowani na czarno.

Rzucili się do ataku, uzbrojeni jedynie w łuki, dmuchawki i kościane noże. Indianie, którzy umieli posługiwać się bronią palną, zabierali ją poległym przeciwnikom.

Kostos pierwszy otworzył ogień ze swojego AK-47 - z lewej flanki. Carrera, która atakowała od prawej, ustawiła baileya na ogień ciągły i pokotem kładła wrogów. Kiedy opróżniła magazynek stalowych tarcz, złapała porzucony przez jednego z najemników M-16, wcześniej należący prawdopodobnie do któregoś z rangersów.

Nathan wyjął z martwych palców innego najemnika pistolet i pobięł do głównej części obozu. Ludzie Favre'a jeszcze nie zdążyli się zorganizować, ale zaczynali już formować linię obrony. Nathan zamierzał dostać się na ich tyły, zanim zewrą szyki.

Po drodze minął przestraszonego mężczyznę, który - najwyraźniej nieuzbrojony - skulił się pod krzakiem. Na widok biegnącego padł na kolana i zasłonił głowę dłońmi.

Nathan minął go. Myślał tylko o jednym: musi znaleźć Kelly i jej brata, zanim coś im się stanie.

Po drugiej stronie obozu biegł Kouwe z Dakii i innymi Indianami. Zatrzymał się na chwilę, aby podnieść z ziemi maczetę i rzucić ją jednemu ze swoich towarzyszy. Sam wziął sobie karabin tego samego zabitego.

Pobiegli dalej w kierunku centrum obozu.

Nagle profesor zwolnił - ostrzegł go instynkt. Odwrócił się



i ujrzał wysuwającą się zza krzaka Indiankę. Była pomalowana na czarno tak samo jak oni.

Kouwe wychował się wśród Indian, więc choć kobieta pomalowała całe ciało na czarno, jego wprawne oko od razu pozwoliło mu rozpoznać rysy typowe dla plemienia Shuar.

Uniósł broń i wycelował w Indiankę.

- Nie ruszaj się! - krzyknął.

Najwyraźniej kobieta Favre'a próbowała przedrzeć się przez linię atakujących i uciec do dżungli, ale Kouwe nie zamierzał na to pozwolić. Zbyt dobrze pamiętał, co spotkało kaprala DeMartiniego.

Indianka zatrzymała się i zaczęła powoli odwracać w jego kierunku.. Profesor dał znak Dakii, aby biegł dalej. Walka jeszcze się nie skończyła.

Ban-ali ponownie ruszyli.

Kouwe pozostał sam z kobietą. Otaczały ich jedynie ciała zabitych najemników. Zrobił ostrożny krok naprzód. Rozum nakazywał mu ją natychmiast zastrzelić - była na pewno tak samo niebezpieczna, jak piękna - ale coś go powstrzymywało.

- Na kolana! - powiedział po hiszpańsku. - Ręce do góry!

Zaczęła przysiądać pełnym wdzięku, gładkim ruchem, powolnym i płynnym jak ruch żmii. Patrzyła na Kouwego spod ciężkich powiek. Całe jej ciało emanowało żarem, uwodziło...

Kiedy zaatakowała, natychmiast pociągnął za spust, ale usłyszał tylko głuchy stuk. Magazynek był pusty.

Kobieta skoczyła na niego. W obu dłoniach trzymała noże - z pewnością zatrute.

Kelly wpatrywała się w dwa miniaturowe uzi w rękach Favre'a. Jeden pistolet był wycelowany w głowę Franka, a drugi w jej pierś.

- Rzuć broń, *mademoiselle*, albo oboje zginiecie!

Frank poruszył ustami, nakazując jej bezgłośnie: „Uciekaj”.

Favre przykucnął pod daszkiem, zasłaniając się ciałem rannego.

Nie miała wyboru. Nie zamierzała zostawić brata z tym szaleńcem. Opuściła broń i odrzuciła ją na bok.

Favre wstał i podszedł do niej. Wypuścił z ręki jeden pistolet, a lufę drugiego przycisnął do pleców Kelly.

- Wychodzimy stąd! - warknął i wolną ręką podniósł swój plecak. - Mam zapas soku przygotowany właśnie na taką okazję.

Zarzucił plecak na ramiona, po czym złapał Kelly za koszulę na plecach.

- Puść ją! - usłyszeli za sobą.

Favre odwrócił się, trzymając przed sobą Kelly.

Zobaczyli Nathana Randa - całego pomalowanego na czarno, w samych bokserkach. W ręku miał przygotowany do strzału pistolet.

— Upodabniamy się do tubylców, panie Rand?

— Nie uciekniesz - syknął Nathan. - Rzuć broń, to przeżyjesz.

Kelly wpatrywała się w niego w napięciu. Wszędzie wokół strzelano, słychać było krzyki i wrzaski bólu.

- Pozwolisz mi żyć? - wycedził Favre. - Gdzie? W więzieniu? Taka propozycja wcale mi nie odpowiada. Wolę wolność.

Oddany z bliskiej odległości pojedynczy strzał sprawił, że Kelly cała się wzdrygnęła. Nathan, trafiony w biodro, poleciał do tyłu, broń wypadła mu z ręki. Po sekundzie Kelly poczuła, że sama również opada na kolana. Spojrzała na swój brzuch. Krew zaczęła wypływać z rany i rozlewać się po jej koszuli.

Aby trafić Nathana, Favre strzelił przez nią.

Brutalność tego czynu przeraziła ją bardziej niż krew, bardziej niż fakt, że jest ranna.

Popatrzyła na Nathana. Ich spojrzenia się spotkały, ale żadne z nich nie miało siły się odezwać. Po chwili Kelly osunęła się na ziemię i świat spowiła ciemność.

Kouwe odbił pierwszy nóż kolbą karabinu, jednak Indianka była bardzo szybka. Skoczyła na niego i przewróciła go na ziemię.

Padając ciężko, uderzył się w potylicę, ale udało mu się złapać Tshui za nadgarstek. Drugim nożem próbowała dźgnąć go w twarz. Usiłował zrzucić ją z siebie, ale wpijała się w niego, oplatając go nogami jak namiętna kochanka.

Drapała mu policzek, jej paznokcie szukały jego oczu, ale udało mu się odwrócić głowę. Wbiła mu przedramię w zagłębienie szyi i jej nóż zaczął zbliżać się do jego gardła. Była młoda i niezwykle silna.

Kouwe znał jednak zwyczaje jej plemienia. Wiedział, że Shuarowie noszą broń we włosach lub w przepaskach na biodrach, maskują ją jako ozdoby. Wiedział także, że kobiety wojownicy Shuar mają ukrytą w ciele dodatkową broń służącą do obrony przed gwałtem, który podczas wojen między plemionami Shuar wcale nie jest rzadkością.

Wolną ręką sięgnął między nogi Indianki i wyciągnął mały sztylecik, rozgrzany od ciała.

Kiedy zauważyła, co zrobił, zawyła i wyszczerzyła zęby.

Próbowała odtoczyć się na bok, ale Kouwe mocno ścisnął jej nadgarstek i przeturlał się razem z nią, aby wykorzystać jej ruch i stanąć na nogi.

Zamarli, oddaleni od siebie na długość ramienia.

Spojrzała mu w oczy. Zobaczył w jej wzroku strach.

— Łaski... - szepnęła. - Proszę... Wyobraził sobie, ile ofiar prosiło ją o to samo.

— Dobrze, będę dla ciebie łaskawy - odparł.

Rozluźniła się lekko.

Wykorzystując ten moment, przyciągnął ją do siebie i wbił jej nóż między piersi. Po samą rękojęść. Westchnęła z bólu i zaskoczenia.

- Podarowałem ci łaskę szybkiej śmierci - syknął jej do ucha.

Trucizna podziałała błyskawicznie. Ciało Indianki drgnęło gwałtownie i zeszywniało, jakby przeszył je prąd. Kiedy z jej gardła wydobył się zduszony charkot, Kouwe odepchnął ją od siebie. Nie żyła, zanim jej ciało dotknęło ziemi.

Rzucił na ziemię zatrute ostrze.

- Dostałaś więcej, niż zasłużyłaś.

Strzelanina zamieniła się w wymianę pojedynczych strzałów i Louis musiał się spieszyć, aby zdążyć oddalić się ze swoim skarbem, zanim obrona całkowicie się załamie.

Podniósł z ziemi drugie uzi i popatrzył na Nathana, z wysiłkiem próbującego unieść się na łokciach.

Zasalutował mu drwiąco, odwrócił się i zamarł w pół kroku.

Dwa metry przed nim o drzewo opierała się blada, wychudzona postać.

- Louis...

Favre cofnął się przerażony. Duch...

- Tato, cofnij się! - zawołał Nathan słabym, pełnym bólu głosem.

Louis wzdrygnął się i wziął się w garść. Oczywiście, że to nie duch, ale żywy Carl Rand!

Skierował na zjawę z zaświatów pistolet maszynowy.

Wychudzona postać uniosła rękę i wskazała na lewo od Louisa.

Spojrzał w tamtą stronę kątem oka.

Obok krzaka czał się jaguar z napiętymi jak sprężyny mięśniami.

Louis odwrócił broń i strzelił, ale pociski poleciały za wysoko.

W tym samym momencie coś go uderzyło z drugiej strony, zbijając z nóg i rzucając twarzą na ziemię. Do jego ust i nosa dostał się piach, uniemożliwiając mu złapanie oddechu. Przygniatał go jakiś wielki ciężar.

Co się...

Kiedy przekręcił głowę, zobaczył tuż przed swoją twarzą wielki czarny pysk. W jego plecy wbiły się długie pazury.

- Boże! - jęknął.

Zza krzaka wyszedł pierwszy jaguar. Louis próbował wyciągnąć spod siebie uzi i wycelować. Jakoś udało mu się wyszarpnąć broń, ale zanim strzelił, zęby drugiego kota z przerażającym chrzęstem kości i ścięgien oderwały mu ramię od tułowia.

Louis zawył.

- *Bon appetit* - mruknął Nathan do kotów. Nie przyglądał się temu, co było dalej. Widział kiedyś na filmie, jak dwie orki bawiły się młodą foką przed jej zjedze-

niem: rzucały zwierzę w powietrze, łapały, odrywały kawałek i znowu rzucały. Było to okrutne i bezlitosne - jak cała natura. To samo odbywało się tutaj: dwa koty powoli zabijały Louisa Favre'a - nie tylko po to, aby go pożreć, ale także dla samej przyjemności zabijania.

Podciągając się na rękach, zaczął pełznąć do Kelly. Bolało go biodro i wszystko wirowało mu przed oczami, ale musiał do niej dotrzeć.

Leżała skulona, wokół niej rozlewała się kałuża krwi.

W końcu znalazł się przy niej.

- Kelly...

Poruszyła się na dźwięk jego głosu.

Przysunął się bliżej i przytulił ją.

— Udało nam się? - zapytała szeptem. - Mamy... lekarstwo?

— Tak. - zapewnił ją. - Wkrótce dostarczymy je światu... i Jessie.

Podszedł do nich Carl Rand i ukląkł obok.

- Pomoc jest już w drodze. Jeszcze trochę wytrzymajcie.

Nathan ze zdziwieniem ujrzał obok ojca Carrerę.

- Sierżant Kostos znalazł w obozie radio najemników - powiedziała. - Helikoptery będą tu za pół godziny.

Nathan kiwnął głową i ponownie przytulił Kelly. Miała zamknięte oczy. Świat wokół niego również ciemniał. Usłyszał jeszcze tylko głos Franka:

- Czy mojej siostrze nic się nie stało?

## Osiem miesięcy później

GODZ. 16.45 LANGLEY,  
WIRGINIA

Nathan zapukał do drzwi rezydencji O'Brienów. Dziś Frank miał wrócić ze szpitala. Nathan przyniósł mu prezent - czapkę baseballową Red Soksów, podpisaną przez całą drużynę. Czekał, patrząc na doskonale utrzymany trawnik.

Na południu zbierały się ciemne chmury, zapowiadając burzę.

Zapukał ponownie. Odwiedził Franka mniej więcej tydzień temu w instytucie Instar. Jego nowe nogi były blade i słabe, ale mógł się poruszać, używając kul.

- Rehabilitacja to paskudna rzecz - mruknął. - Jestem dla tych wampirów w białych kitlach poduszką do igieł.

Nathan uśmiechnął się. W ciągu minionych miesięcy lekarze i naukowcy przez cały czas monitorowali odrastanie nóg Franka. Lauren O'Brien twierdziła, że jak na razie dokładny mechanizm wywołanej przez prion regeneracji pozostaje tajemnicą, wiadomo było jednak, że o ile u dzieci i osób starszych - a więc osobników o niedojrzałym lub osłabionym układzie odpornościowym - wywołuje on gorączkę krwotoczną, to u zdrowych dorosłych obserwowano coś wręcz przeciwnego. W ich przypadku prion zdawał się wpływać na układ odpornościowy w sposób, który pozwalał na proliferację tkanek, konieczną do regeneracji i szybkiego leczenia ran.

Właśnie ten cudowny proces miał miejsce u Franka - choć nie był całkowicie pozbawiony ryzyka. Aby nie dopuścić do

nadmiernego narastania tkanek i pojawienia się procesów nowotworowych, które zabiły agenta Clarka, trzeba mu było podawać rozcieńczoną mieszankę mleczka Yagga. Kiedy regeneracja nóg dobiegła końca, Frank musiał przyjmować mleczko w bardziej skondensowanej postaci - aby organizm usunął priony, a układ odpornościowy powrócił do normalnego działania. Choć Frank był znakomitym królikiem doświadczalnym, mechanizm działania prionu nadal w znacznym stopniu pozostawał tajemnicą.

— Jesteśmy jeszcze bardzo daleko od znalezienia odpowiedzi na nasze pytania i skopiowania leczniczych właściwości drzewa Yagga - stwierdziła ze smutkiem Lauren. - Jeżeli historia tego drzewa sięga paleozoiku, to ma ono nad nami sto milionów lat przewagi. Może któregoś dnia wszystko rozgryziemy i zrozumiemy, ale dziś wiemy bardzo niewiele. Niezależnie od tego, jak bardzo szcycimy się naszymi naukowymi osiągnięciami, jesteśmy jedynie dziećmi, próbującymi przeprowadzić jeden z najbardziej skomplikowanych eksperymentów biologicznych w historii ludzkości.

— Dziećmi, którym prawie udało się spalić przy tym własny dom - dodał Nathan.

Na szczęście orzechy okazały się właściwym lekiem na zarazę. Zawarty w owocu „antyprion”, pewien rodzaj alkaloidu, był łatwy do wyizolowania i wyprodukowania. Lek został bardzo szybko przekazany wszystkim potrzebującym dzięki międzynarodowej współpracy licznych organizacji. Miesięczna kuracja całkowicie likwidowała chorobę, usuwając z organizmu chorobotwórczy prion. Indianie Ban-ali nie wiedzieli, że wystarczy jedynie przedłużyć czas picia mleczka do trzydziestu dni, co na wiele stuleci uczyniło ich niewolnikami drzewa. Podawanie chorym syntetycznego środka było skuteczną metodą i wkrótce zaraza została usunięta.

Okazało się, że na obecnym poziomie nauki nie ma możliwości hodowli ani stworzenia duplikatu samego prionu. Wszystkie próbki zawierające go soku zostały zakwalifikowane jako zagrożenie biologiczne czwartego stopnia i zamknięte w kilku wybranych laboratoriach. Po dotarciu do doliny Ban-ali stwierdzono, że naturalne źródło soku już nie istnieje. Z wielkiego drzewa Yagga pozostał jedynie popiół.

Nathana wcale to nie zmartwiło.

Kouwe i Dakii przebywali w Ameryce Południowej i pomagali niedobitkom Ban-ali przystosować się do życia w nowym otoczeniu. Byli oni teraz najbogatszymi Indianami w Amazonii. Ojciec Nathana oskarżył St. Savin Pharmaceuticals o zniszczenie ojczystej ziemi plemienia i wymordowanie jego członków. Louis Favre pozostawił dokumenty, które pozwoliły zidentyfikować jego zleceniodawcę. Choć należało się spodziewać, że apelacje mogą potrwać wiele lat, St. Savin praktycznie była już bankrutem, a jej całemu zarządowi groziło postawienie w stan oskarżenia.

Carl Rand również wrócił do Ameryki Południowej i pomagał Ban-ali budować nowe życie. Nathan zamierzał do niego dołączyć za kilka tygodni, a wraz z nim mieli jechać genetycy, aby przebadać członków plemienia, określić zmiany w ich DNA, dowiedzieć się, w jaki sposób do nich doszło, i sprawdzić, czy można by je cofnąć. Nathan przypuszczał, że nawet jeżeli uzyskanie odpowiedzi na te pytania było możliwe, potrwa to wiele lat.

Razem z ojcem poleciało do Amazonii dwoje rangersów - Kostos i Carrera - których awansowano i odznaczono. Nadzorowali wydobywanie ciał z doliny Ban-ali, a nie była to ani miła, ani łatwa praca.

Nathan westchnął. Tylu ludzi zginęło... ale jednocześnie dzięki tej ofierze wiele innych istnień ludzkich zostało uratowanych. Mimo to cena była chyba zbyt wysoka.

Odgłos zbliżających się do drzwi kroków sprowadził go na ziemię. Drzwi się otworzyły.

- Czemu tak długo? - spytał. - Stoję tu już pięć minut.

Kelly spojrzała na niego, mrużąc oczy. Przyciskała dłoń do dołu pleców.

- Spróbuj ponosić taki balon...

Nathan położył dłoń na wielkim brzuchu swojej narzeczonej. Za dwa tygodnie miała rodzić. Stwierdzono, że jest w ciąży, kiedy dochodziła do siebie po postrzale. Wszystko wskazywało na to, że kiedy badała ciało Geralda Clarka w Manaus, prion przeniósł się do jej organizmu. Podczas dwutygodniowej wędrówki przez Amazonię wyleczył jej bezpłodność i sprawił, że



wszystkie uszkodzone tkanki się zregenerowały. Diagnozę postawiono w samą porę, ponieważ gdyby jeszcze przez dwa tygodnie nie odkryto w organizmie Kelly obecności prionu, rozpocząłby się proces nowotworowy. Natychmiast zaczęto - tak jak Frankowi - podawać jej mleczko Yagga i prion został usunięty, zanim zrobił się niebezpieczny.

W efekcie tego wszystkiego Nathan i Kelly zostali pobłogosławieni. W nocy, którą spędzili razem przed atakiem Louisa, spłodzili dziecko - brata Jessie.

Wybrali już dla niego imię. Miał się nazywać Manny.

Nathan pochylił się i pocałował narzeczoną.

W oddali zagrzmiało.

— Wszyscy czekają - powiedziała Kelly.

— Niech czekają - odparł.

Zaczęły padać pierwsze grube krople, głośno bębniąc o dach. Znowu zagrzmiało i po chwili lunął deszcz.

- Czy nie powinniśmy...

Przyciągnął ją do siebie i znowu pocałował.

- Ciii...

# Epilog

W głębi dżungli amazońskiej natura kieruje się swoimi prawami, ma swój własny rytm.

Nakrapiany jaguar trąca nosem swoje małe, popiskujące w legowisku. Jego czarnej partnerki już bardzo długo nie ma. Samiec węszy, wyczuwa w powietrzu piżmowy zapach. Zaczyna nerwowo krążyć wokół małych.

Z cienistej dżungli wysuwa się smukła czarna sylwetka. Nakrapiany jaguar pomrukuje, witając większą od siebie samicę. Zaczynają się o siebie ocierać. Samiec czuje na partnerce zły zapach - płomień, dym. Jeż mu się włosy na karku i groźnie warczy.

Samica idzie na skraj polany i zaczyna kopać łapą w miękkiej ziemi. Wrzuca do dziury grudę ziemi z nasieniem w środku, którą przyniosła ze sobą, po czym szybkimi ruchami tylnych łap zasypuje ją ziemią.

Potem podchodzi do swoich małych - część z nich jest czarna, część nakrapiana. Wącha je. Małe popiskują, domagają się, aby je nakarmiła, przełazą jedno przez drugie.

Samica znowu ociera się o swojego partnera. Zapomniała o zakopanym w ziemi nasieniu. To już nie jej sprawa. Wie tylko, że należy przenieść małe w inne miejsce. Zbiera kocięta i po chwili cała rodzina znika w pozbawionej ścieżek zielonej otchłani.

Ziemia przykrywająca świeżo wykopany dołek wysycha w popołudniowym słońcu.

# Spis treści

Podziękowania .....	7
Prolog .....	11
<b>AKT PIERWSZY — Misja</b> .....	23
1. Olej węża .....	25
2. Odprawa .....	50
3. Doktor i wiedźma .....	67
<b>AKT DRUGI — Pod baldachimem</b> .....	77
4. Wauwai .....	79
5. Badania nad komórkami macierzystymi .....	101
6. Czynniki amazoński .....	111
7. Zbieranie danych .....	129
<b>AKT TRZECI — Przetrwają tylko najlepsi</b> .....	141
8. Wioska .....	143
9. Nocny atak .....	169
10. Ucieczka .....	195
11. Atak z powietrza .....	225
<b>AKT CZWARTY — Krwawe Jaguary</b> .....	253
12. Przeprowadzenie przez jezioro .....	255
13. Cienie .....	283

14. Domostwo .....	311
15. Leczenie .....	336
<b>AKT PIĄTY — Korzeń .....</b>	<b>373</b>
16. Zdrada .....	375
17. Lekarstwo .....	405
18. Ostatnia godzina.....	430
19. Nocny atak.....	446
20. Osiem miesięcy później .....	457
 Epilog .....	 461